

JAMES S. A. COREY



4

EXPANSE

G O R A C Z K A
C I B O L I

4

EXPANSE

JAMES S. A. COREY

GORĄCZKA
CIBOLI

PRZEŁOŻYŁ MAREK PAWELEC

WYDRWNICTWO MAG
WARSZAWA 2018

Tytuł oryginału:
Cibola Burn: Book 4 of the Expanse

Copyright © 2014 by James S. A. Corey
Copyright for the Polish translation © 2018 by Wydawnictwo
MAG

Redakcja: Iwona Sośnicka
Korekta: Elwira Wyszyńska
Ilustracja na okładce: Dark Crayon
Opracowanie graficzne okładki: Piotr Cieśliński
Projekt typograficzny, skład i łamanie: Tomek Laisar Fruń

Wydanie II

ISBN 978-83-7480-837-8

Wydawca: Wydawnictwo MAG
ul. Krypska 21 m. 63, 04-082 Warszawa
tel./fax 228 134 743

*Dla Jaya Lake i Elmore'a Leonarda.
Panowie, to była czysta przyjemność.*

Prolog

BOBBIE DRAPER

Tysiąc planet, pomyślała Bobbie, gdy zamknęły się drzwi. A właściwie nie tylko tysiąc planet. Tysiąc układów. Słońc. Gazowych olbrzymów. Pasów asteroidów. Wszystkie miejsca zasiedlone przez ludzi pomnożone przez tysiąc. Ekran nad siedzeniami po drugiej stronie wyświetlał wiadomości, ale głośniki były uszkodzone, a głos prezentera był zbyt zniekształcony, by zrozumieć słowa. Jednak grafika, która pojawiła się obok niego, wystarczyła, by wiedziała, o czym mówi. Dotarły nowe dane z sond wysłanych na drugą stronę wrót. Kolejne zdjęcie nieznanego słońca z elipsami oznaczającymi orbity nowych planet. Wszystkie były puste. Cokolwiek zbudowało protomolekułę i u zarania dziejów wystrzeliło ją w stronę Ziemi, nie odbierało już telefonu. Budowniczy mostów otworzył drogę, ale przez wrota nie przeszli wielcy bogowie.

Bobbie pomyślała, że to zdumiewające, jak szybko ludzkość potrafiła przejść od *Cóż za przepotężna inteligencja stworzyła te niesamowite cuda? do Cóż, skoro ich tu nie ma, to czy możemy zabrać ich zabawki?*

– Przepraszam – odezwał się chrapliwy męski głos. – Nie ma pani czasem paru groszy dla weterana?

Oderwała wzrok od ekranu. Mężczyzna był chudy, o szarej twarzy. Jego ciało zdradzało wszystkie oznaki dorastania w niskim ciężeniu: długi korpus, duża głowa. Oblizwał wargi i nachylił się do niej.

– Weteran? – zapytała. – Gdzie służyłeś?

– Na Ganimesie – odpowiedział, kiwając głową i starając się przybrać szlachetny wyraz twarzy. – Byłem tam, gdy wszystko trafił szlag. A kiedy tu wróciłem, rząd wyrzucił mnie na zbity pysk. Teraz próbuję nazbierać dość, żeby wykupić przelot na

Ceres. Mam tam rodzinę.

Bobbie poczuła rosnącą w piersi złość, ale próbowała zachować spokój w głosie i wyrazie twarzy.

– Korzystałeś z programu dla weteranów? Może ci pomogą.

– Potrzebuję tylko czegoś do zjedzenia – powiedział głosem, w którym pojawił się jad.

Bobbie rozejrzała się po wagonie. Zwykle o tej porze metrem podróżowało wiele osób. Wszystkie osiedla pod Aurorae Sinus były połączone próżniową rurą, elementem wielkiego projektu terraformacji Marsa, który rozpoczął się przed urodzeniem Bobbie i będzie trwał jeszcze długo po jej śmierci. Tym razem w wagonie nie było nikogo. Wzięła pod uwagę, jak musiała wyglądać w oczach żebraka. Była dużą, wysoką i masywną kobietą, ale siedziała, a sweter, który na sobie miała, był dość luźny. Mężczyzna mógł przyjąć błędne założenie, że na jej masę składa się głównie tłuszcz. Którego w ogóle nie miała.

– W której kompanii służyłeś? – zapytała.

Zamrugał. Wiedziała, że powinna się go trochę bać, ale to on poczuł się niepewnie, gdy nie okazała niepokoję.

– Kompanii?

– W której kompanii służyłeś?

Znowu oblizał wargi.

– Nie chcę...

– Bo wiesz, to zabawne – powiedziała. – Mogłabym przysiąc, że znałam praktycznie wszystkich służących na Ganimesie, gdy zaczęła się wojna. Wiesz, jak przejdzie się przez coś takiego, to mocno wbija się w pamięć. Gdy widzisz, jak ginie mnóstwo twoich przyjaciół. Jaki miałeś stopień? Ja byłam sierżantem kompanii.

Szara twarz zamknęła się w sobie i zbielała. Mężczyzna zacisnął wargi. Wcisnął dłonie głębiej do kieszeni i coś wymamrotał.

– A teraz – kontynuowała Bobbie – pracuję trzydzieści godzin tygodniowo w ramach programu pomocy weteranom. I jestem cholernie pewna, że moglibyśmy zapewnić takiemu weteranowi jak ty całkiem przyzwoity byt.

Odwrócił się, a ona złapała go za łokieć szybciej niż mógł się

odsunąć. Jego twarz wykrzywił strach i ból. Przyciągnęła go do siebie. Kiedy się odezwała, mówiła bardzo ostrożnie. Każde słowo było wyraźne i ostre.

- Znajdź. Sobie. Inną. Historię.

- Tak jest, proszę pani - odpowiedział żebrak. - Znajdę. Obiecuję.

Wagon przesunął się, hamując przed stacją Breach Candy. Puściła go i wstała. Kiedy to zrobiła, trochę szerzej otworzył oczy. Ludzie czasami tak na nią reagowali - jej rysy i postawa, odziedziczone po przodkach z Samoa, robiły wrażenie, gdy stanęli z nią twarzą w twarz. Czasami trochę się tego wstydziła. Nie tym razem.

Jej brat mieszkał w średniej klasy dziurze w Breach Candy, niedaleko uniwersytetu. Mieszkała z nim przez jakiś czas po powrocie na Marsa, gdy wciąż próbowała poskładać w całość swoje życie. Zajęło jej to znacznie więcej czasu, niż się spodziewała, czego skutkiem było poczucie, że jest coś winna bratu. Elementem spłacania tego długu były wieczory rodzinnych kolacji.

Sale Breach Candy były dość puste. Reklamy na ścianach budziły się, gdy podchodziła, śledząc ją mechanizmami rozpoznawania twarzy i oferując produkty i usługi, których mogła chcieć. Serwisy randkowe, karnety na siłownię, szoarma na wynos, nowy film Mbeki Soon, porady psychologiczne. Bobbie próbowała nie brać tego do siebie, ale żałowała, że w okolicy nie ma więcej osób, kilku dodatkowych twarzy, które urozmaiciłyby tę mieszankę. Żeby mogła sobie wmawiać, że reklamy wycelowano w kogoś przechodzącego w pobliżu, nie w nią.

Jednak Breach Candy nie było tak tłoczne jak kiedyś. Na stacjach metra i w korytarzach było mniej ludzi, coraz mniej osób przychodziło na spotkania programu pomocy weteranom. Słyszała, że o sześć procent spadła liczba kandydatów na studia.

Ludzkość nie zdołała jeszcze stworzyć ani jednej porządnej kolonii na nowych światach, ale dane sond wystarczyły. Ludzie zobaczyli nową granicę i marsjańskie miasta od razu odczuły konkurencję.

Gdy tylko przeszła przez drzwi, uderzył w nią wywołujący ślinę na ustach intensywny aromat gumbo robionego przez szwagierkę i usłyszała podniesione głosy brata i bratanek. Skręciło ją od nich w trzewiach, ale byli jej rodziną. Kochała ich. Była ich dłużniczką. Nawet jeśli sprawiali, że pomysł szoarmy na wynos stał się nagle bardzo kuszący.

– ...wcale nie to mówię – powiedział bratanek. Kończył studia magisterskie, ale gdy rodzina zaczynała się kłócić, w jego głosie wciąż słyszała jękliwego sześciolatka.

Usłyszała grzmiący głos brata. Bobbie rozpoznała charakterystyczne uderzenia palcami o blat stołu, podkreślające ważniejsze punkty wypowiedzi. Perkusja jako element retoryki. Ich ojciec robił tak samo.

– Mars to nie opcja. – Stuknięcie. – Nie jest wtórny. – Stuknięcie. – Te wrota i to, co znajduje się po ich drugiej stronie, nie jest naszym domem. Wysiłek terraformacji...

– Nie twierdzą, że terraformacja nie ma sensu – odpowiedział bratanek w chwili, gdy weszła do pokoju.

Szwagierka bez słowa kiwnęła jej głową z kuchni. Bobbie odpowiedziała tym samym. Jadalnia łączyła się z salonem, w którym wyświetlane na ekranie wiadomości pokazywały teleskopowe obrazy nieznanymi planet z mówiącym obok nich eleganckim czarnoskórym mężczyzną w okularach ze stalowymi ramkami.

– Mówię tylko, że zdobędziemy mnóstwo nowych danych. Danych. To wszystko, co twierdzą.

Siedzieli przygarbieni po dwóch stronach stołu, jakby mieli między sobą niewidzialną szachownicę. Grę wymagającą skupienia i zaangażowania intelektu, pochłaniającą ich tak bardzo, że nie dostrzegali świata wokół. Co było prawdą na wiele sposobów. Zajął miejsce przy stole, choć żaden z nich jej nie przywitał.

– Mars – odezwał się jej brat – jest najlepiej przebadaną planetą. Nie ma znaczenia, ile nowych zestawów danych zdobędziesz, jeśli nie dotyczą Marsa. Bo nie dotyczą Marsa! To tak jakbyś twierdził, że obejrzenie zdjęć tysiąca innych stołów

powie ci więcej na temat tego, przy którym właśnie siedzisz.

– Wiedza jest dobra – zaoponował bratanek. – Sam mi to zawsze powtarzałeś. Nie rozumiem, dlaczego teraz tak się przed tym wzbraniasz.

– Jak ci leci, Bobbie? – odezwała się szwagierka ostro, stawiając miskę na stole.

Ryż i papryka jako podstawa pod gumbo i przypomnienie pozostałym, że mają gości. Obaj mężczyźni skrzywili się z powodu przerwania dyskusji.

– Dobrze – odpowiedziała Bobbie. – Kontrakt ze stoczną został zatwierdzony. To powinno zapewnić pracę sporej liczbie weteranów.

– To dlatego, że budują statki badawcze i transportowe – skomentował bratanek.

– *David.*

– Przepraszam, mamó. Ale to prawda – odpowiedział David, nie ustępując. Bobbie nałożyła sobie ryżu do miski. – Wszystkie statki, które łatwo przerobić, są przerabiane, a budują ich też więcej, żeby ludzie mogli lecieć do wszystkich tych nowych układów.

Jej brat wziął miskę z ryżem i łyżkę, śmiejąc się pod nosem, by jasno dać do zrozumienia, jak nisko ceni opinię syna.

– Pierwszy prawdziwy zespół badawczy dopiero dolatuje do pierwszego z tych układów...

– Na Nowej Ziemi już mieszkają ludzie, tato! Grupa uciekinierów z Ganimesesa... – urwał, posyłając Bobbie spojrzenie obciążone poczuciem winy. Ganimeses nie był tematem rozmów przy kolacji.

– Zespół badawczy jeszcze nie wylądował – odpowiedział jej brat. – Miną lata, zanim będziemy mieć tam coś wyglądającego jak prawdziwe kolonie.

– Miną pokolenia, zanim ktokolwiek będzie mógł tutaj chodzić po powierzchni! Nie mamy pieprzonej magnetosfery!

– Słownictwo, David!

Wróciła szwagierka. Gumbo było czarne i aromatyczne, z warstewką oleju na wierzchu. Od jego zapachu Bobbie poczuła

ślinę w ustach. Kobieta postawiła kociołek na podstawce i podała Bobbie chochelkę.

– Jak twoje nowe mieszkanie? – zapytała.

– Całkiem miłe – odparła Bobbie. – Tanie.

– Wolałbym, żebyś nie mieszkała w Innis Shallow – skomentował jej brat. – To bardzo zła okolica.

– Nikt nie będzie zaczepiał cioci Bobbie – wtrącił się bratanek. – Oderwałyby im głowy.

Bobbie się uśmiechnęła.

– Nie, po prostu patrzę na nich ciężkim wzrokiem, a oni...

Salon nagle rozbrzmiał czerwienią. Zmienił się wygląd ekranu wiadomości. U góry i dołu pojawiły się jaskrawoczerwone pasy, a na ekranie starsza Ziemianka mówiła coś z poważną miną, patrząc prosto do kamery. Za jej plecami wyświetlano zdjęcia pożaru i standardowe zdjęcie starego statku kolonizacyjnego. Czarne litery na tle białych płomieni głosiły: TRAGEDIA NA NOWEJ ZIEMI.

– Co się stało? – zapytała Bobbie. – Co się tam *stało*?

Rozdział pierwszy

BASIA

Basia Merton był kiedyś łagodnym człowiekiem. Nie kimś, kto robi bomby ze starych beczek po smarze i z górniczych materiałów wybuchowych.

Wytoczył kolejną beczkę z małego warsztatu za swoim domem i poturlał ją w stronę jednego z elektrycznych samochodów Pierwszego Lądowania. Budynki rozciągały się na niewielkiej powierzchni na północ i południe, a za nimi aż po horyzont widać było tylko czerń równiny. Zwisająca mu z pasa latarka podskakiwała przy każdym kroku, rzucając na pylisty grunt dziwne ruchome cienie. Spoza kręgu światła huczały małe pozaziemskie zwierzęta.

Noce na Ilusie – on nie nazywał go Nową Ziemią – były bardzo ciemne. Planeta miała trzynaście maleńkich księżyców o niskim albedo, rozmieszczonych tak równomiernie na tej samej orbicie, że wszyscy zakładali, że są artefaktami obcych. Skądkolwiek się wzięły, dla kogoś dorastającego na satelitach Jowisza, będących prawie wielkości planet, wyglądały bardziej na przechwycone asteroidy niż na prawdziwe księżyce. I praktycznie wcale nie przechwytywały ani nie odbijały światła słońca Ilusa. Na miejscowe nocne zwierzęta składały się głównie małe ptaki i jaszczurki. A przynajmniej coś, co nowi mieszkańcy Ilusa uważali za ptaki i jaszczurki. Z ziemskimi odpowiednikami dzieliły tylko najbardziej powierzchowne cechy zewnętrzne i biochemię opartą na węglu.

Basia stęknął z wysiłku, dźwigając beczkę na tył samochodu, a po sekundzie z odległości kilku metrów zabrzmiało identyczne stęknięcie. Jaszczurka papuzia, którą ciekawość przyciągnęła aż do skraju kręgu światła, błysnęła małymi oczami. Stęknęła jeszcze raz, kiwając szeroką skórzastą głową podobną do

ropuszej, napętniając i opróżniając przy tym worek powietrzny na karku. Stworzenie czekało przez chwilę, patrząc na niego, a gdy nie odpowiedział, odpęzło z powrotem w mrok.

Basia wyciągnął ze skrzynki narzędziowej elastyczne taśmy i zaczął mocować beczki do paki wózka. Materiały wybuchowe nie powinny się aktywować od upadku na ziemię. A przynajmniej tak twierdził Coop. Basia wołał tego nie sprawdzać.

– Baz – odezwała się Lucia.

Zaczerwienił się, zawstydzony jak mały chłopiec przyłapany na kradzieży cukierków. Lucia wiedziała, co robi. Nigdy nie potrafił jej okłamywać. Ale miał nadzieję, że zostanie w środku, gdy pracował. Sama jej obecność sprawiła, że zaczął się zastanawiać, czy słusznie postępuje. Jeśli tak, to dlaczego czuł się tak zawstydzony w obecności Lucii?

– Baz – powiedziała znowu, nie nalegając. Jej głos zdradzał smutek, nie złość.

– Lucia – odpowiedział, odwracając się.

Stała na skraju światła rzucanego przez jego latarkę, biały szlafrok szczelnie osłaniał szczupłe ciało przed nocnym chłodem. Jej twarz była ciemną plamą.

– Felcia płacze – powiedziała głosem, który nie sugerował oskarżenia. – Boi się o siebie. Chodź porozmawiać ze swoją córką.

Basia odwrócił się i mocno zaciągnął taśmę na beczkach, ukrywając przed nią twarz.

– Nie mogę. Przylatują – odpowiedział.

– Kto? Kto przylatuje?

– Wiesz, o czym mówię. Jeśli się nie sprzeciwimy, zabiorą wszystko, co tu stworzyliśmy. Potrzebujemy czasu. A tak właśnie możemy go zdobyć. Bez płyty lądowiska będą musieli użyć małych promów. Więc zabierzemy im lądowisko. Zmusimy ich do odbudowania go. Nikomu nie stanie się krzywda.

– Jeśli tu zrobi się źle – odparła – możemy odlecieć.

– Nie – zaoponował Basia zaskoczony gniewem w swoim głosie. Odwrócił się i przeszedł kilka kroków, wciągając jej twarz w krąg światła. Płakała. – Żadnego więcej odlatywania. Opuściliśmy

Ganimedesa. Zostawiliśmy Katoa i uciekliśmy, a moja rodzina przez rok mieszkała na statku, gdy nikt nie chciał nam wydać zgody na lądowanie. Nie będziemy znowu uciekać. Nigdy więcej nie będziemy uciekać. Oni zabrali mi już wszystkie dzieci, które mogli.

– Mnie też brakuje Katoa – powiedziała Lucia. – Ale ci ludzie go nie zabili. Była wojna.

– To była decyzja biznesowa. Podjęli decyzję biznesową i wywołali wojnę, zabierając mi syna. – A ja im pozwoliłem, choć tego już nie powiedział. *Zabrałem cię, Felcię i Jacka, zostawiając Katoa za sobą, bo myślałem, że nie żyje. A jeszcze żył.* Słowa były zbyt bolesne, by je wymówić, ale Lucia i tak je usłyszała.

– To nie była twoja wina.

Owszem, była, pojawiło się na końcu jego języka, ale nie powiedział tego.

– Ci ludzie nie mają żadnych praw do Ilusa – powiedział zamiast tego, starając się, by jego głos brzmiał rozsądnie. – Byliśmy tu pierwsi. Zgłosiliśmy roszczenie. Wyślemy pierwszy ładunek litu, dostaniemy pieniądze i będziemy mogli wynająć prawników na Ziemi, żeby o nas zadbali. Jeśli korporacja zapaści tu korzenie, gdy wreszcie do tego dojdzie, to nie będzie miało żadnego znaczenia. Po prostu potrzebujemy czasu.

– Jeśli to zrobisz – odezwała się Lucia – wsadzą cię do więzienia. Zostaw to. Nie rób tego swojej rodzinie.

– Robię to *dla* mojej rodziny – odpowiedział cicho.

To było gorsze od krzyku. Wskoczył za kierownicę i wduśił pedał gazu. Wózek szarpnął z jękiem. Nie obejrzał się, nie mógł się obejrzeć i zobaczyć Lucii.

– *Dla* mojej rodziny – powtórzył jeszcze raz.

Oddalił się od domu w stronę prowizorycznego miasta, które zaczęli nazywać Pierwszym Lądowaniem jeszcze w czasach, gdy wybierali miejsce na planecie na podstawie map stworzonych przez czujniki *Barbapiccola*. Gdy przeszli od pomysłu do rzeczywistego miejsca, nikt nie zawracał sobie głowy zmianą nazwy. Jechał w stronę centrum miasta, dwóch rzędów

budynków z prefabrykatów, aż dotarł do szerokiego pasa utwardzonej ziemi służącej za główną drogę i skręcił do miejsca pierwszego lądowania. Uchodźcy, którzy zasiedlili Ilus, dotarli tu ze swojego statku w małych promach, więc do lądowania potrzebowali tylko płaskiego kawałka gruntu, ale ludzie z Royal Charter Energy, korporacyjni, którzy dostali od ONZ statut przekazujący im planetę, zleca tu z ciężkim sprzętem. Ciężkie promy potrzebowaly prawdziwego lądowiska. Zostało zbudowane na tych samych otwartych terenach, których do lądowania użyła kolonia.

Basi wydawało się to obsceniczne. Inwazyjne. Miejsce pierwszego lądowania coś znaczyło. Wyobrażał sobie, że kiedyś powstanie tam park z pomnikiem upamiętniającym ich przybycie na planetę. Zamiast tego RCE zbudowało tam lśniącą metalę, olbrzymią konstrukcję. Co gorsza, zatrudnili do tego samych kolonistów, a dostatecznie dużo osób uznało ten pomysł za na tyle dobry, żeby faktycznie go wykonać.

Czuł się, jakby go wymazywano z historii.

Kiedy przyjechał, na miejscu czekali Scotty i Coop. Scotty siedział na brzegu metalowej platformy z nogami zwieszonymi w powietrzu, paląc fajkę i spluwając na ziemię. Stojąca obok mała elektryczna latarnia oświetlała go w dziwnym zielonym kolorze. Coop stał trochę dalej, z wyszczerzonymi zębami przyglądając się niebu. Coop był Pasiarzem starej szkoły, a seanse leczenia agorafobii były dla niego trudniejsze niż dla pozostałych. Chudy mężczyzna wciąż wpatrywał się w pustkę, walcząc o przyzwyczajenie się do niej tak, jak dziecko zrywa strupy.

Basia podjechał wózkiem do brzegu platformy i zeskoczył z niego, żeby zdjąć pasy przytrzymujące bomby.

– Pomożecie? – rzucił.

Ilus był dużą planetą o ciężeniu trochę powyżej ziemskiego. Nawet po sześciu miesiącach przyjmowania leków wzmacniających mięśnie i kości wszystko wydawało się za ciężkie. Myśl o przestawieniu beczek z powrotem na ziemię sprawiła, że jego mięśnie barków drgnęły w przewidywaniu zmęczenia.

Scotty zsunął się z platformy i zeskoczył półtora metra w dół, na ziemię. Odsunął oleiście czarne włosy z oczu i jeszcze raz solidnie pociągnął z fajki. Basia poczuł intensywny, silny zapach hodowanych przez Scotty'ego konopii zmieszanych z liofilizowanymi liśćmi tytoniu. Coop obejrzał się, przez chwilę skupiając spojrzenie, a potem na jego twarzy pojawił się wąski, okrutny uśmiech. To właśnie on stworzył plan.

– Mmm – odezwał się. – Ładne.

– Nie przywiązuj się – odpowiedział Basia. – Nie zostaną tu długo.

Coop wydał dźwięk naśladujący wybuch i wyszczerzył zęby w uśmiechu. Razem zdjęli z wózka cztery ciężkie beczki i ustawili je w rzędzie obok platformy. Przy ostatniej wszyscy dyszeli z wysiłku. Basia przez chwilę w ciszy opierał się o pojazd, podczas gdy Scotty dopalał fajkę, a Coop montował na baryłkach zapalniki. Detonatory leżały z tyłu wózka jak śpiące grzechotniki z jeszcze nieaktywnymi diodami LED.

W ciemności iskrzyło się miasto. Domy, które zbudowali dla siebie, plus jeden dodatkowy, migotały jak gwiazdy. Za nimi stały ruiny. Długa, niska struktura obcych, z dwoma potężnymi wieżami wznoszącymi się nad okolicą jak gigantyczne termیتیery. Cała budowla pełna była korytarzy i pomieszczeń, których nie zaprojektował żaden człowiek. Za dnia ruiny jarzyły się tęczągamą barwą masy perłowej, w nocy były tylko ciemniejszym mrokiem. Jamy kopalni znajdowały się za nimi, niewidoczne poza bardzo słabym odbłaskiem lamp odbijającym się od spodu chmur. Prawdę mówiąc, Basia nie lubił odkrywki. Ruiny były dziwnym reliktem przeszłości planety i podobnie jak wszystko, co niezwykle, a zarazem niestanowiące zagrożenia, także i to przestało przykuwać jego uwagę po pierwszych kilku miesiącach. Kopalnia niosła ze sobą historię i oczekiwania. Pół życia spędził w tunelach z lodu, a tunele biegnące przez obcą ziemię źle pachniały.

Coop syknął ostro, zamachał dłonią i zaklął. Nic nie wybuchło, więc nie mogło być tak źle.

– Myślisz, że zapłacą nam za odbudowanie go? – zapytał Scotty.

Basia zakląła i splunęła na ziemię.

– Nie musielibyśmy tego robić, gdyby nie ludzie pragnący utuczyć się na cycku RCE – skomentował, turlając na miejsce ostatnią beczkę. – Bez tego tu nie wylądują. Wystarczyłoby go nie budować.

Scotty roześmiał się w chmurze dymu.

– I tak by tu przylecieli, więc mogliśmy chociaż wziąć ich pieniądze. Tak mówili ludzie.

– Ludzie są głupi – rzucił Basia.

Scotty przytaknął, a potem jedną ręką zrzucił z fotela pasażera wózka papuzią jaszczurkę i usiadł na zwolnionym miejscu. Nogi położył na desce rozdzielczej i głęboko pociągnął z fajki.

– Jeśli mamy to wysadzić, trzeba będzie się stąd oddalić. Ten proch robi solidne bum.

– Hej, ludzie – krzyknął Coop. – Gotowe. Ustawmy je, dobra?

Scotty wstał i ruszył w stronę lądowiska. Basia zatrzymał go, wyjął mu z ust zapaloną fajkę i położył ją na masce wózka.

– Materiały wybuchowe – powiedział. – Wybuchają.

Scotty wzruszył ramionami, ale wyglądał na upokorzonego. Kiedy do niego doszli, Coop obracał już pierwszą beczkę na bok.

– To buena załatwi sprawę. Na mur.

– Dziękuję – powiedział Basia.

Coop leżał na plecach na ziemi. Basia położył się obok niego. Scotty ostrożnie przeturlał bombę między nimi.

Basia wspinał się pod platformę, przeciskając się między skrzyżowanymi wspornikami do każdej z czterech beczek, włączając zdalne zapalniki i synchronizując je. Usłyszał narastający jęk elektrycznych silników i przez chwilę czuł irytację na Scotty'ego za odjechanie, zanim uświadomił sobie, że słyszy przyjeżdżający, a nie oddalający się wózek.

– Hej – zabrzmiał znajomy głos Petera.

– Que la moog drań tu robi? – wymamrotał Coop, wycierając dłonią czoło.

– Mam iść się dowiedzieć? – zapytał Scotty.

– Basia – rzucił Coop. – Idź zobacz, czego chce Peter. Scotty jeszcze sobie nie pobrudził pleców.

Basia wysunął się spod platformy lądowiska i zrobił miejsce dla Scotty'ego przy ostatniej z czterech bomb. Wózek Petera stał zaparkowany obok jego wózka, a sam Peter stał między nimi, przestępując z nogi na nogę jakby cisnęło go na pęcherz. Basię bolały plecy i ręce. Chciał mieć to za sobą i wrócić do domu, do Lucii, Felci i Jacka.

- Czego? - zapytał Basia.

- Lecą - powiedział Pete, szepcząc, jakby był tu ktoś, kto mógłby ich podsłuchać.

- Kto leci?

- Wszyscy. Tymczasowy gubernator. Policja korporacyjna. Personel naukowy i techniczny. Wszyscy. Poważna sprawa. Wylądowanie tu dla nas cały nowy rząd.

Basia wzruszył ramionami.

- Też mi nowość. Lecą już od osiemnastu miesięcy. Dlatego właśnie tu jesteśmy.

- Nie - zaproponował Pete, kręcąc się nerwowo i patrząc w gwiazdy. - Lecą już teraz. *Edward Israel* wyhamował pół godziny temu. Siedzi na wysokiej orbicie.

Basia poczuł niesmak w ustach. Spojrzał w górę, w mrok. Miliard nieznanych gwiazd, choć wszyscy uważali, że to ta sama galaktyka Mlecznej Drogi, tylko widziana z innego kąta. Jego oczy poruszały się gorączkowo, a potem to zobaczył. Ruch był powolny jak ruch minutowej wskazówki na zegarze analogowym, ale zobaczył go. Lądownik już schodził. Ciężki prom leciał na lądowisko.

- Chciałem wam powiedzieć przez radio, ale Coop powiedział, że monitorują widmo radiowe i... - Pete urwał, ale Basia biegł już w stronę platformy.

Scotty i Coop właśnie spod niej wychodzili. Coop strzepnął ze spodni chmury pyłu i wyszczerzył się w uśmiechu.

- Mamy problem - powiedział Basia. - Statek już schodzi. Wygląda na to, że już są w atmosferze.

Coop spojrział do góry. Światło jego latarki rzuciło cienie na jego policzki i oczy.

- Hm...

– Myślałem, że masz to pod kontrolą. Że zwracasz uwagę na to, gdzie są.

Coop wzruszył ramionami, nie potwierdzając ani nie zaprzeczając.

– Musimy z powrotem wyciągnąć bomby – oświadczył Basia.

Scotty zaczął klękać, ale Coop chwycił go za ramię i zatrzymał.

– Dlaczego? – zapytał.

– Jeśli teraz spróbują wylądować, mogą je aktywować – wyjaśnił Basia.

Coop uśmiechnął się łagodnie.

– Mogą – potwierdził. – I co z tego?

Basia zacisnął dłonie w pięści.

– Oni już schodzą.

– Widzę – zgodził się Coop. – Ale jakoś nie wzbudza to we mnie poczucia obowiązku. I jakby na to nie patrzeć, nie ma dość czasu, żeby je wyciągnąć.

– Możemy wyjąć przynajmniej zapalniki – stwierdził Basia, schylając się. Poświecił latarką po metalowym rusztowaniu.

– Może tak, może nie – odpowiedział Coop. – Pytanie brzmi, czy powinniśmy, a to już zupełnie inna kwestia.

– Coop? – odezwał się Scotty cienkim i niepewnym głosem.

Coop go zignorował.

– Dla mnie to wygląda jak okazja – powiedział.

– W tym promie są ludzie – przypomniał Basia, wczółgując się pod platformę. Elektronika najbliższej bomby opierała się o ziemię. Oparł o nią bolące ramię i pchnął.

– Nie ma czasu, brachu – zawołał Coop.

– Może być, jeśli pomożecie – odkrzyknął Basia.

Zapalnik przywarł do boku beczki jak kleszcz. Basia spróbował wbić palce w żel mocujący i oderwać go od metalu.

– O cholera – powiedział Scotty ze zdecydowanie zbyt dużym przejęciem w głosie. – Baz, cholera!

Zapalnik się oderwał. Basia wcisnął go do kieszeni i zaczął się czołgać do drugiej bomby.

– Nie ma czasu! – krzyknął Coop. – Lepiej się stąd zbierajmy i wysadźmy to, póki jeszcze mogą się podnieść.

Usłyszał, jak jeden z pojazdów rusza. Pete wyraźnie postanowił się oddalić. A potem usłyszał jeszcze inny dźwięk. Basowe grzmienie silników hamujących. Z rozpaczą popatrzył na trzy pozostałe bomby i wyturlał się spod lądowiska. Prom był już masywnym obiektem na czarnym niebie, tak blisko nich, że widział poszczególne dysze.

Nie miał szans.

– Uciekamy! – krzyknął.

Razem ze Scottym i Coopem pognali do wózka. Ryk promu narastał i robił się ogłuszający. Basia dotarł do wózka i chwycił detonator. Jeśli wysadzi bomby wcześniej, prom będzie mógł się poderwać i odlecieć.

– Nie! – krzyknął Coop. – Jesteśmy za blisko!

Basia walnął dłonią w przycisk.

Ziemia się uniosła, uderzając go mocno, z głębą i kamieniami szarpiącymi dłonie i policzki, gdy się wreszcie zatrzymywał, ale ból był odległy. Jakaś jego część wiedziała, że może być bardzo ciężko ranny, może być w szoku, ale to też wydawało się odległe i łatwe do zignorowania. Najbardziej uderzyła go panująca cisza. Świat dźwięku kończył się na jego czaszce. Słyszał własny oddech, bicie swojego serca, ale wszystko poza tym miało głośność ustawioną na „1”.

Przeturlał się na plecy i wbił wzrok w upstrzone gwiazdami nocne niebo. Ciężki prom przeleciał nad jego głową, połowa tego kolosa pluła ogniem, dźwięk silników nie był już basowym rykiem, a krzykiem rannego zwierzęcia, który Basia bardziej czuł w brzuchu niż słyszał. Prom był zbyt blisko, wybuch był zbyt silny, albo po prostu jakiś pechowy odłamek został wyrzucony w bardzo niewłaściwe miejsce. Nigdy się tego nie dowie. Jakaś część Basi wiedziała, że to bardzo źle, ale nie potrafił zwracać na to uwagi.

Prom zniknął z pola widzenia, skrzecząc śmiertelnie w locie nad doliną, co Basia odbierał jako odległy, piskliwy dźwięk, a potem nagle zapadła cisza. Scotty siedział obok niego na ziemi, wpatrując się w miejsce, gdzie zniknęła maszyna. Basia pozwolił sobie dalej leżeć.

Kiedy przygasły plamy w jego polu widzenia, wróciły gwiazdy. Basia patrzył, jak mrugają i zastanawiał się, która z nich jest Słońcem. Były tak daleko. Ale dzięki wrotom – równocześnie były blisko. Zestrzelił ich prom. Teraz będą musieli wylądować. Nie dał im wyboru.

Dopadł go nagły atak kaszlu. Miał wrażenie, że jego płuca wypełniły się płynem, który wykasływał przez kilka następnych minut. Z kaszlem w końcu przyszedł ból, ogarniając go od stóp do głów.

A z bólem przyszedł strach.

Rozdział drugi

ELVI

Promem szarpnęło, rzucając Elvi Okoye o pasy na tyle mocno, żeby pozbawić ją tchu, a potem wcisnęło ją z powrotem w przemożne objęcia pryczy przeciążeniowej. Światło zamigotało, zgasło, wróciło. Przełknęła ślinę, a podniecenie i oczekiwanie zmieniło się w zwierzęcy strach. Obok niej Eric Vanderwert uśmiechnął się w taki sam, sugerujący nadzieję sposób, jaki posyłał jej w ciągu ostatnich sześciu miesięcy. Oczy siedzącego po drugiej stronie Fayeza otworzyły się szeroko, a jego skóra zszarzała.

– Wszystko w porządku – powiedziała Elvi. – Wszystko będzie dobrze.

Nawet gdy mówiła te słowa, jakaś jej część wzdrygnęła się przed nimi. Nie wiedziała, co się dzieje. Nie było mowy, żeby mogła mieć pewność, że faktycznie cokolwiek będzie w porządku. A jednak mimo wszystko jej pierwszym odruchem było zapewnianie, mówienie tego tak, jakby słowa miały magiczną moc. Przez korpus promu przebił się wysoki jęk, z piętrzącymi się na sobie nutami. Poczowała, że jej masa uskakuje w lewo i wszystkie prycze przeciążeniowe równocześnie przesunęły się na przegubach, jak w tańcu synchronicznym. Straciła Fayeza z oczu.

Trójtonowy sygnał dźwiękowy poinformował o aktywacji mikrofonu pilota, a potem w głośnikach zabrzmiał jej głos.

– Panie i panowie, wygląda na to, że doszło do krytycznej awarii na platformie lądowiska. Nie będziemy mogli obecnie wylądować. Wrócimy na orbitę i zadokujemy z powrotem do *Edwarda Israela* do czasu, aż zdołamy ocenić...

Zamilkła, ale w statku wciąż rozbrzmiewał syk otwartej linii. Elvi przypuszczała, że coś odwróciło uwagę pilotki. Statkiem

szarpnęło, a potem maszyna zadrżała i Elvi chwyciła swoje pasy, przytulając się do nich. Ktoś obok zaczął się głośno modlić.

– Panie i panowie – odezwała się znowu pilotka. – Obawiam się, że awaria lądowiska spowodowała uszkodzenie naszego promu. Nie sędzę, żebyśmy mogli od razu polecieć z powrotem na górę. Niedaleko stąd jest dno wyschniętego jeziora. Spróbujemy przyjrzeć mu się jako awaryjnemu miejscu lądowania.

Elvi poczuła chwilową ulgę – *wciąż mamy gdzie wylądować* – a potem zrozumiała niewypowiedziane słowa i ogarnął ją głębszy strach – *ona tak naprawdę mówi, że się rozbijemy*.

– Muszę prosić wszystkich o pozostanie w swoich pryczach – powiedziała pilotka. – Proszę nie rozpinąć pasów i trzymać ręce i nogi w obrębie osłony pryczy tak, żeby nie uderzały o jej boki. Żel znajduje się tam z określonego powodu. Za kilka minut znajdziemy się na dole.

Wymuszony, sztuczny spokój przeraził Elvi bardziej niż ewentualne krzyki czy płacz. Pilotka robiła wszystko, co mogła, żeby na pokładzie nie wybuchła panika. Czy ktokolwiek robiłby coś takiego, gdyby nie uważał, że panika jest uzasadniona?

Jej masa znowu się przesunęła, ciągnąc ją w lewo i z potem z powrotem, po chwili – gdy prom zaczął opadać – zrobiła się bardzo lekka. Spadanie zdawało się ciągnąć w nieskończoność. Klekot i jęki promu robiły się coraz głośniejsze, przechodząc w ryk. Elvi zamknęła oczy.

– Nic nam nie będzie – powiedziała do siebie. – Wszystko jest w porządku.

Uderzenie rozbiło prom jak ogon homara stuknięty młotkiem. Przez chwilę miała wrażenie widzenia nieznanych gwiazd na obcym niebie i jej świadomość zgasała, jakby Bóg pstryknął przełącznikiem.

* * *

Wieki temu Europejczycy najechali przetrzebione przez zarazę Ameryki, wchodząc na pokłady drewnianych statków z wielkimi płóciennymi żaglami; ufając, że wiatry i umiejętności żeglarzy przewiozą ich ze znanych krajów do ziem zwanych Nowym

Światem. Fanatycy religijni, awanturnicy i biedni desperaci powierzali swój los nieprzychylnym falom Oceanu Atlantyckiego czasem nawet na sześć miesięcy.

Osiemnaście miesięcy temu Elvi Okoye opuściła stację Ceres w ramach kontraktu z Royal Charter Energy. *Edward Israel* był wielką jednostką. Kiedyś, prawie trzy pokolenia temu, był jednym ze statków kolonizacyjnych, które zabrały ludzkość do Pasa i układu Jowisza. Gdy migracja się skończyła i potrzeba ekspansji osiągnęła swoje naturalne granice, *Israel* został przerobiony na jednostkę do transportu wody. Era ekspansji się skończyła i romantyczna wizja wolności ustąpiła miejsca praktycznym potrzebom życia – powietrzu, wodzie i jedzeniu, dokładnie w tej kolejności. Przez dziesięciolecia statek był koniem roboczym Układu Słonecznego, a potem otworzył się Pierścień. Wszystko znów się zmieniło. W stocznicach Bush i stacji Tycho budowano nowe pokolenie statków kolonizacyjnych, ale przerobienie *Israela* była szybsze.

Kiedy Elvi weszła na jego pokład po raz pierwszy, czuła zdumienie, nadzieję i podniecenie szumem wymienników powietrza *Israela* oraz kątami jego staromodnych korytarzy. Znowu nastąpiła era przygód, stary wojownik powrócił ze świeżo naostrzonym mieczem i zbroją lśniąca po dziesięcioleciach, kiedy to zżerała go rdza. Elvi zdawała sobie sprawę, że to tak naprawdę tylko projekcja psychologiczna mówiąca więcej o jej stanie umysłu niż o możliwościach statku, ale to niczego mu nie ujmowało. *Edward Israel* znowu był statkiem kolonizacyjnym z ładowniami wypełnionymi prefabrykowanymi budynkami i sondami atmosferycznymi, laboratoriami produkcyjnymi, a nawet femtoskopem rozpraszania wtórnego. Mieli ze sobą zespół eksploracyjny i kartograficzny, ekipę geologów, hydrologów, grupę egzozologiczną Elvi i inne. Doktorów na pokładzie starczyłoby na przyzwoity uniwersytet, a do tego było tu dość młodych naukowców na obsadzenie laboratorium rządowego. Łącznie z załogą i kolonistami – tysiąc osób.

Tworzyli miasto w przestworzach, równocześnie – łódź

pielgrzymów kierującą się na Plymouth Rock i podróż Darwina na pokładzie Beagle. Była to największa i najpiękniejsza przygoda ludzkości, a Elvi zdobyła miejsce w zespole egzobiologii. W tym kontekście wyobrazenie sobie, że stal i ceramikę statku przenika uczucie radości, było dopuszczalnym złudzeniem.

A wszystkim rządził gubernator Trying.

Widziała go kilka razy w ciągu miesięcy, które spędzili na przyśpieszaniu, hamowaniu, powolnym przelocie między pierścieniami, a potem ponownym przyśpieszaniu i hamowaniu. Ale porozmawiała z nim dopiero tuż przed wejściem do promu.

Trying był chudym mężczyzną. Jego mahoniowa skóra i przyprószone siwizną włosy kojarzyły się jej z wujkami, a jego uśmiech uspokajał i dawał poczucie pewności siebie. Była na pokładzie obserwacyjnym, udając, że ekrany wysokiej rozdzielczości, wyświetlające obraz planety, są tak naprawdę oknami, że światło tego obcego słońca rzeczywiście odbija się od rozległych, mętnych mórz i wysokich chmur, a potem dociera bezpośrednio do jej oczu, choć ciężenie hamowania oznaczało, że jeszcze nie znaleźli się na orbicie. To był dziwny, piękny widok. Jeden wielki ocean upstrzony wyspami. Duży kontynent rozciągający się na połowie półkuli, najszerszy na równiku, zwężający się ku południu i północy. Oficjalna nazwa planety brzmiała Bering Badanie Cztery, na cześć sondy, która pierwsza go wykryła. W korytarzach, kawiarni i siłowni wszyscy zaczęli nazywać ją Nową Ziemią. Przynajmniej nie była jedyną, która dała się ponieść romantyzmowi.

– O czym pani myśli, doktor Okoye? – zapytał Trying łagodnym głosem, a Elvi podskoczyła.

Nie słyszała, gdy wchodził. Nie zauważyła, że stoi obok niej. Miała wrażenie, że powinna się uklonić albo złożyć jakiś formalny raport, ale miał tak łagodny i rozbawiony wyraz twarzy, że odpuściła.

– Zastanawiam się, czym sobie na to wszystko zasłużyłam – odpowiedziała. – Lada chwila zobaczę pierwszą rzeczywiście obcą biosferę. Dowiem się o ewolucji rzeczy, których dotąd

dosłownie nie dało się dowiedzieć. W poprzednim życiu musiałam być bardzo, bardzo dobrą osobą.

Nowa Ziemia jarzyła się na ekranie brązem, złotem i błękitem. Wiatry w górnych warstwach atmosfery smużyły zielonkawymi chmurami na połowę planety. Elvi nachyliła się do ekranu. Gubernator roześmiał się cicho.

– Będzie pani sławna – powiedział.

Elvi zamrugła i parsknęła śmiechem.

– Chyba tak, prawda? – powiedziała. – Będziemy robić rzeczy, których ludzkość jeszcze nie robiła.

– Niektóre – przyznał Trying. – Oraz takie, które robiliśmy od zawsze. Mam nadzieję, że historia będzie dla nas łaskawa.

Nie do końca wiedziała, co przez to rozumie, ale zanim zdążyła zapytać, wszedł Adolphus Murtry. Chudy mężczyzna z twardymi niebieskimi oczami był szefem ochrony, będąc w tym równie twardym i skutecznym jak Trying był dobrotliwy. Mężczyźni wyszli razem, zostawiając Elvi samą ze światem, który lada chwila będzie mogła badać.

Ciężki prom był prawie tak wielki, jak niektóre ze statków, którymi latała Elvi. Na powierzchni musieli zbudować specjalne lądowisko, żeby go utrzymać. Załadowano na niego pierwsze pięćdziesiąt struktur, podstawowych laboratoriów badawczych oraz – co najważniejsze – sztywną kopułę.

Przeciskała się przez zatłoczone korytarze promu, pozwalając się prowadzić terminalowi do przydzielonej jej pryczy przeciążeniowej. Gdy na Marsie zakładano pierwsze kolonie, sztywne kopuły były bezwzględny wymogiem przetrwania. Umożliwiały utrzymanie powietrza w środku i chroniły przed promieniowaniem. Na Nowej Ziemi chodziło o ograniczenie skażenia. W ramach otrzymanego przez RCE statutu firma miała obowiązek dopilnować, aby ich wpływ na biosferę planety był możliwie najmniejszy. Słyszała, że na dole są już inni ludzie, i miała nadzieję, że oni także uważają, by nie skazić miejsc, w których przebywają. Jeśli tak nie było, interakcje między miejscowymi organizmami a tymi przywiezionymi przez nich mogły być bardzo złożone. Może nie da się ich odseparować.

– Wyglądasz na zmartwioną.

Fayez Sarkis siedział na prycy przeciążeniowej, zapinając szerokie pasy bezpieczeństwa na piersi i w talii. Dorastał na Marsie i miał wysoką, szczupłą sylwetkę oraz dużą głowę typową dla niskiego ciężenia. Wyglądał, jakby bardzo dobrze znał prycze przeciążeniowe. Do Elvi dotarło, że jej terminal ręczny informuje ją o dotarciu do właściwego miejsca. Usiadła, a żel powoli dopasował się do jej bioder i dolnej części pleców. Zawsze miała ochotę siedzieć w prycy przeciążeniowej jak dziecko w brodziku. Powolne zatapianie się w prycy kojarzyło jej się ze zjadaniem żywcem.

– Po prostu myślę o tym, co tam zastaniemy – odpowiedziała, zmuszając się do położenia się. – Czeka nas mnóstwo pracy.

– Wiem – potwierdził Fayez z westchnieniem. – Koniec laby. Teraz będziemy musieli zapracować na utrzymanie. Mimo wszystko, było miło. To znaczy, poza lotem z pełnym ciężeniem.

– Wiesz, że na Nowej Ziemi ciężenie jest trochę większe.

– Nawet mi nie przypominaj – rzucił. – Nie wiem, dlaczego nie mogliśmy zacząć od jakiejś miłej dmuchanej planety z cywilizowaną studnią grawitacyjną.

– Tak się wylosowało – stwierdziła Elvi.

– Cóż, gdy tylko dostaniemy dokumenty na jakąś przyzwoitą planetę w typie Marsa, natychmiast się przenoszę.

– Ty i połowa Marsa.

– Wiem, prawda? Jakieś miejsce z atmosferą nadającą się do oddychania. I polem magnetycznym, żebyśmy nie musieli gnieździć się jak krety. To jakby skończył się już projekt terraformacji, tylko że dożyję jego końca.

Elvi się roześmiała. Fayez był członkiem zespołu geologów i hydrologicznej grupy roboczej. Studiował na najlepszych uniwersytetach poza Ziemią, a dzięki długoletniej znajomości wiedziała, że był przynajmniej równie przestraszony i zachwycony jak ona. Przyszedł Eric Vanderwert, siadając na prycę obok Elvi. Uśmiechnęła się do niego uprzejmie. W ciągu półtora roku lotu z Ceres członkowie zespołów naukowych nawiązali rozliczne romanse, jeśli nie o podłożu uczuciowym, to

przynajmniej seksualnym. Elvi trzymała się z dala od tej płataniny. Wcześniej przekonała się, że połączenie pracy z zaangażowaniem seksualnym tworzy toksyczną i niestabilną mieszankę.

Eric kiwnął głową Fayezowi, a potem zwrócił się ku niej.

– Podniecające – powiedział.

– Tak – zgodziła się Elvi, a siedzący po drugiej stronie Fayez przewrócił oczami.

Pojawił się Murtry, przechodząc między pryczami przeciążeniowymi. Jego spojrzenie przejechało po wszystkim – pryczach, pasach, twarzach ludzi przygotowujących się do lądowania. Elvi uśmiechnęła się do niego, a on krótko kiwnął jej głową. Nie był to wrogi gest, po prostu roboczy. Patrzyła, jak ją ocenia. Nie robił tego w sposób seksualny, jak zwykle mężczyźni oceniali kobiety, raczej jak doker upewniający się, że aktywują się zaczepy magnetyczne skrzyni. Jeszcze raz kiwnął jej głową, najwyraźniej zadowolony z poprawnego zapięcia pasów, i ruszył dalej. Kiedy zniknął z pola widzenia, Fayez się roześmiał.

– Biedny drań zaczyna żuć ściany – skomentował, kiwając głową w stronę, w którą oddalił się szef policji.

– Doprawdy? – odezwał się Eric.

– Miał nas pod swoją kontrolą przez półtora roku, prawda? A teraz lecimy na dół, a on zostaje na orbicie. Jest przerażony, że damy się pozabijać na jego wachcie.

– Przynajmniej się przejmuje – skomentowała Elvi. – Za to go lubię.

– Ty lubisz każdego – rzucił Fayez. – To twoja patologia.

– A ty nie lubisz nikogo.

– To moja – zgodził się z uśmiechem.

Zabrzmiał trójtonowy sygnał ostrzegawczy i obudziły się do życia głośniki.

– Panie i panowie, nazywam się Patricia Silva i będę waszym pilotem podczas tej dostawy towaru.

Z prycz przeciążeniowych rozległ się chór śmiechów.

– Odłączymy się od *Israela* za około dziesięć minut i spodziewamy się, że lądowanie zajmie około pięćdziesięciu.

Czyli za godzinę od teraz wszyscy będziecie oddychać całkiem nowym powietrzem. Mamy na pokładzie gubernatora, więc dopilnujemy, żeby wszystko poszło gładko i spokojnie, żebyśmy mogli złożyć wniosek o premię.

Czyli wszyscy byli poddenerwowani, nawet pilotka. Elvi uśmiechnęła się szeroko, a Faye z odpowiedział tym samym. Eric odchrząknął.

– No cóż – powiedział Faye z udawaną rezygnacją. – Dotarliśmy aż tutaj, więc pewnie powinniśmy to dokończyć.

* * *

Ból nie był zlokalizowany. Był na to zbyt wielki. Rozciągał się wszędzie, obejmował wszystko. Elvi uświadomiła sobie, że na coś patrzy. Może na olbrzymią, powyginaną nogę kraba. Albo połamany żuraw budowlany. Płaski grunt dna jeziora rozciągał się w stronę tego czegoś, a potem robił się coraz bardziej nierówny, aż do podstawy obiektu. Mogła sobie wyobrazić, że to coś wypycha się z ciemnej, suchej gleby albo że się w nią wbiło. Jej otępiały od bólu umysł próbował zrobić z tego kawałek rozbitego promu, ale bezskutecznie.

To był artefakt. Ruiny. Jakaś tajemnicza struktura pozostawiona przez obcą cywilizację, która zaprojektowała protomolekułę i pierścienie; teraz porzucona i pusta. Elvi doznała nagłego, potężnego i oderwanego wspomnienia wystawy, którą widziała jako dziewczynka. Był tam wysokiej rozdzielczości obraz roweru w rowie przed ruinami Glasgow. Skutek katastrofy na jednym obrazie, skompresowany i wymowny jak poemat.

Przynajmniej udało mi się to zobaczyć, pomyślała. Przynajmniej dotarłam tutaj przed śmiercią.

Ktoś wyciągnął ją ze zniszczonego promu. Kiedy obróciła głowę, zobaczyła jarzące się biało-żółto światła konstrukcyjne i innych ludzi ułożonych rzędami na płaskiej ziemi. Niektórzy stali. Chodzili między rannymi i martwymi. Nie rozpoznała ich twarzy ani sposobu, w jaki się ruszali. Po półtora roku na *Israelu* potrafiła rozpoznać każdego, a ci byli obcy. Czyli miejscowi. Dzicy lokatorzy. Nielegalni. Powietrze pachniało płonącym pyłem

i kuminem.

Musiała stracić przytomność, bo kobieta pojawiła się przy boku Elvi w mgnieniu oka. Miała zakrwawione dłonie i twarz umazaną ziemią i cudzą krwią.

– Jesteś poobijana, ale nie ma bezpośredniego zagrożenia. Dam ci coś przeciwbólowego, ale musisz leżeć nieruchomo, aż będziemy mogli usztywnić ci nogę. Dobrze?

Była piękna na szorstki sposób. Na ciemnych policzkach miała rozproszone czarne kropki, które wyglądały jak koraliki na welonie. Jej czarne włosy przenikały srebrne nitki przypominające blask księżyca na wodzie. Ale na Nowej Ziemi nie było blasku księżyca, tylko miliony obcych gwiazd.

– Dobrze? – zapytała ponownie kobieta.

– Dobrze – potwierdziła Elvi.

– Powiedz mi, na co się właśnie zgodziłaś.

– Nie pamiętam.

Kobieta znowu się nachyliła, łagodnie naciskając dłonią ramię Elvi.

– Torre! Będę potrzebować skanu głowy tej tutaj. Może mieć wstrząśnienie.

Z ciemności zabrzmiał kolejny głos, tym razem męski.

– Tak, doktor Merton. Jak tylko skończę z tym.

Doktor Merton odwróciła się z powrotem do niej.

– Jeśli teraz wstanę, zostaniesz na miejscu do czasu, aż przyjdzie tu Torre?

– Nie, wszystko w porządku. Mogę iść pomóc – powiedziała Elvi.

– Z pewnością możesz – zgodziła się z westchnieniem kobieta. – Ale może lepiej na niego poczekamy.

Z ciemności wyłonił się cień. Po sposobie chodzenia rozpoznała Fayeza.

– Proszę iść, ja z nią zostanę.

– Dziękuję – powiedziała doktor Merton, a potem zniknęła.

Fayez ze stęknieniem opadł na ziemię i usiadł po turecku. Włosy sterczały mu na wszystkie strony z nieco za dużej głowy. Mocno zaciskał wargi. Choć wcale nie miała takiego zamiaru, Elvi

ujęła jego dłoń i przez chwilę poczuła, jak ją cofa, ale potem pozwolił na dotyk palców.

– Co się stało? – zapytała.

– Lądowisko wybuchło.

– Och – powiedziała. – One tak mogą?

– Nie. Zdecydowanie tego nie robią.

Spróbowała to przemyśleć. Skoro nie wybuchają, to jak mogło do tego dojść? Jej umysł oczyścił się na tyle, że dostrzegła, jak kiepsko idzie jej myślenie. Było to niepokojące, ale prawdopodobnie również było dobrym znakiem.

– Jak źle to wygląda?

Bardziej poczuła, niż zobaczyła wzruszenie ramion Fayeza.

– Źle. Jedyna dobra wiadomość to fakt, że wioska jest blisko, a ich lekarka jest kompetentna. Uczyła się na Ganimedesie. A gdyby nasze wyposażenie się nie paliło albo nie było przygniecione paroma tonami ceramiki i metalu, może mogłaby coś zrobić.

– Nasza grupa?

– Widziałem Gregoria. Nic mu nie jest. Eric zginął. Nie wiem, co się stało z Sophie, ale pójdę szukać dalej, gdy już się tobą zajmą.

Eric nie żył. Kilka minut temu leżał w pryczy obok niej, irytując ją i próbując flirtować. Nie rozumiała.

– Sudyam? – zapytała.

– Ona jest na pokładzie *Israela*. Nic jej nie jest.

– To dobrze.

Fayez ścisnął jej dłoń i puścił ją. W miejscu, gdzie jego skóra przestała dotykać jej palców, powietrze wydawało się chłodne. Popatrzył nad rzędami ciał w stronę wraku rozbitego promu. Było tak ciemno, że ledwie widziała jego sylwetkę zasłaniającą gwiazdy.

– Gubernator Trying nie miał szczęścia – powiedział.

– Nie miał szczęścia?

– Martwy jak zeszlotygodniowy szczur. Nie jesteśmy pewni, kto tu teraz rządzi.

Poczuła zbierające się łyzy i narastający w piersi ból, który nie miał nic wspólnego z obrażeniami. Przypomniała sobie łagodny

uśmiech gubernatora i ciepło jego głosu. Jego praca dopiero się zaczynała. Dziwne, że śmierć Erica przemknęła po powierzchni jej myśli jak kamień rzucony nad wodą, podczas gdy śmierć gubernatora Tryinga zapadła tak głęboko.

- Tak mi przykro - powiedziała.

- No cóż. Jesteśmy na obcej planecie półtora roku od domu z zapasami w kawałkach wielkości wykałaczek, a najbardziej prawdopodobnym wyjaśnieniem katastrofy jest sabotaż ze strony ludzi, którzy właśnie udzielają nam pomocy medycznej. Śmierć nie jest dobra, ale przynajmniej jest prosta. Zanim będzie po wszystkim, możemy jeszcze pozazdrościć Tryingowi.

- Wcale tak nie myślisz. Wszystko będzie dobrze.

- Elvi? - Fayez powiedział to z sardonycznym śmiechem. - Obawiam się, że wcale nie jest.

Rozdział trzeci

HAVELOCK

– Hej. – Inżynier odezwał się chrapliwie z celi. – Havelock. Nie jesteś chyba nadal wkurzony, co?

– Nie płacą mi za wkurzanie się, Williams – odpowiedział Havelock ze swojego miejsca przy biurku.

Stanowisko ochrony wewnętrznej *Edwarda Israela* było małe. Dwa biurka, osiem cel, przestrzeń w równym stopniu więzienna, co biurowa. A przy statku na orbicie utrata pozorowanego ciężenia sprawiła, że przestrzeń wydawała się jeszcze mniejsza.

– Słuchaj, wiem, że się wygłupiłem, ale teraz już jestem trzeźwy. Możesz mnie wypuścić.

Havelock zerknął na swój terminal.

– Jeszcze pięćdziesiąt minut – odparł – i będziesz wolny.

– Daj spokój, Havelock. Miej serce.

– Takie są zasady. Nie mogę z tym nic zrobić.

Przez ostatnie trzynaście lat Dimitri Havelock pracował na kontraktach policyjnych w ośmiu korporacjach. Między innymi dla Pinkwater, Star Helix, el-Hashem Cooperative i Stone & Sibbets. Krótka nawet dla Protogenu. Był w Pasie, na Ziemi, Marsie i Lunie. Zaliczył długie loty na statkach zaopatrzeniowych lecących z Ganimedesa na Ziemię, radził sobie ze wszystkim: od buntów, przez przemoc domową i przemyt narkotyków, aż do historii pewnego idioty, który miał fetysz kradnięcia cudzych skarpet. Nie widział wszystkiego, ale dużo. Dość, by wiedzieć, że prawdopodobnie nigdy nie zobaczy wszystkiego. I dość, by rozpoznać, że jego sposób reagowania na sytuację kryzysową miał więcej wspólnego z ludźmi w zespole niż z samą sytuacją.

Kiedy walnął reaktor w bazie Ateny, jego partner i szef spanikowali, a Havelock pamiętał ogarniający go wtedy przemożny strach. Kiedy doszło do buntów na Ceres po

zniszczeniu lodowcowca *Canterbury*, jego partner był bardziej zmęczony niż przestraszony, więc Havelock stawił czoła sytuacji z podobną ponurą rezygnacją. Kiedy *Ebisu* został poddany kwarantannie z powodu wirusa Nipah, jego szef był pełen energii – prawie zachwycony – i kierował statkiem prawie jak łamigłówką do rozwiązania, a Havelock również odczuwał satysfakcję z robienia czegoś ważnego.

Z długiego doświadczenia Havelock wiedział, że ludzie są przede wszystkim istotami społecznymi, i sam doskonale to odczuwał. Dużo bardziej romantyczne – szlag, nawet męskie – było udawanie, że jest samotną wyspą, na którą nie wpływają fale otaczających go emocji, ale to nie była prawda i już dawno się z tym pogodził.

Kiedy dotarła wiadomość, że lądowisko ciężkiego promu wybuchło i zaczęły docierać raporty o ofiarach, Murtry zareagował skupioną i wydajną furią, więc podobnie odczuł to Havelock. Wszystko działo się na powierzchni planety, więc mógł się wyżyć tylko na *Edwardzie Israelu*. Za to tutaj miał pełną kontrolę nad sytuacją.

– Proszę? – jęknął Williams z celi. – Muszę iść po jakieś czyste ciuchy. Przecież to nie robi żadnej różnicy, prawda? Kilka minut?

– Jeśli to nie robi żadnej różnicy, to równie dobrze możesz tam przesiedzieć do końca – odpowiedział Havelock. – Za czterdzieści pięć minut będziesz mógł sobie iść. Usiądź wygodnie i ciesz się wolnym czasem.

– Nie da się usiąść, gdy unosisz się na orbicie.

– To metafora. Nie bądź taki dosłowny.

Przydział na *Edwarda Israela* był świetnym kontraktem. Royal Charter Energy wysłała pierwszą prawdziwą wyprawę do nowych układów otwartych przez pierścienie i waga, jaką firma przykładała do sukcesu misji, znalazła odbicie w wielkości pakietu korzyści, jaki zaoferowali uczestnikom lotu. Każdy dzień na pokładzie *Israela* oznaczał premię za zagrożenie, nawet gdy po prostu ładowali zapasy i załogę z Luny. A przy prawie półtorarocznym locie, sześćioletniej misji przed planowanym

powrotem na Ziemię i kolejnych miesiącach lotu w drugą stronę – wszystko z pełną pensją – był to nie tyle kontrakt, co ścieżka kariery.

A jednak Havelock zawahał się przed zaciągnięciem się.

Widział zdjęcia z Erosa i Ganimedesa, rzeźnię w tak zwanej powolnej strefie, gdy obrona obcej bazy zatrzymała statki na tyle gwałtownie, by wymordować jedną trzecią znajdujących się w nich ludzi. Przy olbrzymim zagęszczeniu naukowców i inżynierów upakowanych na pokładzie *Israela* nie sposób było zapomnieć, że lecą w nieznaną. Tam będą smoki.

A teraz gubernator Trying nie żył. Nie żył Severn Astrapani, statystyk, który w konkursie talentów śpiewał klasyczne utwory Ryu-pop. Nie żyła Amanda Chu, która flirtowała kiedyś z Havelockiem, gdy oboje byli trochę nietrzeźwi. Połowa kobiet i mężczyzn pierwszego zestawu ludzi była ranna. Przepadł sprzęt na ciężkim promie, razem z samą maszyną. A cisza, która spadła na *Edwarda Israela*, była jak chwila szoku między uderzeniem a odczuciem bólu. A potem wściekłość i cierpienie. Nie tylko załogi. Również Havelocka.

Zadzwoił jego ręczny terminal. Wiadomość była oznaczona dla służb bezpieczeństwa. Murtry, Wei, Trajan, Smith i on. Havelock otworzył ją z uczuciem przyjemności. Może i był najniższy stopniem w tej grupie, ale był jej członkiem. Włączenie sprawiło, że poczuł się, jakby może jednak miał jakiś wpływ na zdarzenia. Co było złudzeniem, ale mu to nie przeszkadzało. Szybko przeczytał wiadomość, kiwnął głową i wystukał kod otwierający drzwi celi.

– Masz szczęście – powiedział. – Muszę iść na zebranie.

Williams wypchnął się z pomieszczenia. Jego siwiejące włosy były zmierzwiłone, a skóra wyglądała na bardziej szarą niż zwykle.

– Dzięki – rzucił ponuro.

– Tylko nie rób tego więcej – powiedział Havelock. – Sytuacja będzie dość trudna i bez pogarszania jej przez ludzi, którzy powinni mieć więcej rozumu.

– Ja tylko się upiłem – burknął inżynier. – Nic specjalnego nie

miałem na myśli.

– Wiem – potwierdził Havelock. – Po prostu więcej tego nie rób, dobra?

Williams kiwnął głową, unikając kontaktu wzrokowego, a potem przeciągnął się za pomocą uchwytów na ręce i wleciał do korytarza prowadzącego do kabin załogowych i szafek z ubraniami bez dziur i plam po wymiocinach. Havelock odczekał, aż inżynier odleci, a potem zamknął stanowisko ochrony i skierował się do pokoju zebrań.

Murtry był już na miejscu. Był niewielkiej postury, ale przepełniała go energia zdająca się promieniować z niego jak żar. Havelock wiedział, że szef ochrony całą ścieżkę zawodową przepracował w korporacyjnych więzieniach i ochronie przemysłowej. W połączeniu z prostym faktem, że powierzono mu dowodzenie *Israelem*, nie musiał pracować na szacunek zespołu. Unosząca się obok niego specjalistka od informacji, Chandra Wei, i zastępca do spraw operacji lądowych, Hassan Smith, wyglądali poważnie i ponuro.

– Havelock – przywitał go Murtry.

– Sir. – Havelock kiwnął głową, złapał uchwyt i ustawił się tak, by jego głowa znalazła się w podobnym ustawieniu jak pozostałych.

Kilka sekund później do pokoju wleciał Reeve, zastępca Murtry'ego. Murtry kiwnął głową.

– Zamknij drzwi, Reeve.

– Trajan? – zapytała Wei, ale niewyraźny ton głosu zdradzał, że podejrzewała już odpowiedź.

– Trajan zginęła na promie – potwierdził Murtry. – Smith? Dostajesz awans.

– Przykro mi to słyszeć, sir – odpowiedział Smith. – Trajan była dobrym oficerem i profesjonalistką. Będzie nam jej brakować.

– Owszem – potwierdził Murtry. – Musimy porozmawiać o planie odpowiedzi.

– Zrzucić kamień na nielegalnych? – zasugerowała Wei, żartując w sposób, który nie miał nic wspólnego z humorem.

Murtry i tak się uśmiechnął.

– Na razie rozegramy to trochę bardziej według podręcznika – odpowiedział. – Zresztą, mamy tam swoich ludzi. Wysłałem wiadomość do domu i poprosiłem o swobodę w sposobie podejścia do tej sprawy. Biorąc pod uwagę okoliczności, jestem przekonany, że w razie czego będziemy kryci.

– Jesteśmy o półtora roku od dowolnego miejsca – przypomniała Wei. W powietrzu zawisło niewypowiedziane *nikt nie zdoła nas powstrzymać przed zrobieniem czegokolwiek*.

– Jesteśmy też tylko kilka godzin od każdego ekranu i strumienia wiadomości od Ziemi do Neptuna – przypomniał Reeve. – To jest do bani, ale mamy przewagę moralną. Jeśli zareagujemy zbyt ostro, zmieni się to w kolejną serię złych korporacji uciskających biednych Pasiarzy. Żyjemy w świecie ze spuścizną Protogenu. Nie wygramy czegoś takiego.

– Nie wiedziałem, że zrobili cię oficerem politycznym – skomentowała Wei, a Reeve mocno zacisnął szczęki.

Murtry odezwał się spokojnym, cichym głosem, groźnym jak grzechotnik.

– To. Tego nie będziemy robić.

– Sir? – zapytał Reeve.

– Takie przygryzanie sobie i opluwanie jadem. Tego nie będziemy sobie robić.

Wei i Reeve popatrzyli na siebie.

– Przepraszam, sir – powiedziała Wei. – Nie powinnam była tego robić.

– To nie jest żaden problem, bo więcej się to nie powtórzy – stwierdził Murtry. – Jakie działania widzieliśmy ze strony *Barbapiccola*?

– Nic – odpowiedziała Wei. – Pasiarze wysłali kondolencje i oferty pomocy, jakby było cokolwiek, co mogliby zrobić.

– Grzeją silniki?

– Niczego takiego nie zaobserwowałam – zapewniła Wei.

– Mamy na to oko – rzucił Murtry.

Było to równocześnie stwierdzenie i pytanie.

– Moglibyśmy przejąć kontrolę nad statkiem – zasugerowała Wei. – Zanim go zajęli, należał do Mao-Kwikowski. Jego status

odzyskanego jest bardzo niepewny. Można go ogłosić nielegalnym, obsadzić paroma ludźmi i zablokować.

– Zapamiętam – rzucił Murtry. – Jak załoga, Havelock?

– Wstrząśnięta, sir. Przestraszona. Zła. To naukowcy. W ich oczach dzicy lokatorzy byli źródłem irytacji i zagrożeniem dla danych. Dla większości to, co się stało, wykracza poza ich doświadczenia.

Murtry pogładził się po brodzie wierzchem dłoni.

– Co zamierzają z tym zrobić?

– Na razie? Upić się. Krzyczeć na siebie nawzajem lub na nas. Wymyślić teoretyczne systemy prawne. Większość z nich wydaje się chcieć, żeby to wszystko po prostu zniknęło, żeby mogli zająć się swoimi badaniami.

Murtry się zaśmiał.

– Boże błogosław jajogłowych. No dobra.

– Wciąż mamy jeszcze dwa lekkie promy atmosferyczne – przypomniał Havelock. – Mogę wziąć do nich pilotów i ewakuować ludzi z planety.

– Żadnej ewakuacji. Nielegalni tego nie wygrają – zaprotestował Murtry. – Nikt, kto tam zleciał, nie wróci na górę. Wyślemy więcej ludzi na dół, żeby im pomóc. Niezależnie od tego, jakiego rodzaju badania prowadzą, dopilnujemy, żeby pracowali, a wszyscy na dole widzieli, że praca się posuwa.

– Tak jest, sir – odpowiedział Havelock, czując lekkie zawstydzenie.

– Reeve, polecisz na dół. Zajmij się miejscowymi. Dowiedz się, czego tylko zdołasz. Zapewnij bezpieczeństwo naszym ludziom. Chcemy pokazu siły.

– Ale nic na tyle mocnego, żeby można tego użyć do wywołania współczucia w wiadomościach w domu – dodał Reeve, jakby się zgadzał.

– Wei, ty pilnuj wrogiego statku. Jeśli zaczną grać silniki, chcę o tym natychmiast wiedzieć.

– Mogę przeprowadzić swoje usprawnienia lasera łączności?

Edward Israel nie miał wyrzutni torped ani dział elektromagnetycznych. Sprzętem najbardziej przypominającym

broń był stary laser łączności, który można było zmodyfikować na tyle, by potrafił ciąć. Statek zaprojektowano w czasach, gdy niebezpieczeństwa kosmosu sprowadzały się do promieniowania i zapasów powietrza, nie celowej przemocy. Co było prawie urocze.

– Nie – odpowiedział Murtry. – Po prostu monitoruj ich działania, słuchaj rozmów i zgłaszaj mi wszystko. Jeśli ktoś będzie musiał podjąć decyzję, będę to ja. Żadnej inicjatywy. Zrozumiano?

– Tak jest, sir.

– Havelock, zostaniesz tutaj i będziesz koordynował działania z zespołem na dole. Używaj promów, gdy tylko będzie potrzeba, żeby sprowadzić personel i materiały na powierzchnię. Przylecieliśmy tu, żeby założyć bazę, więc zaczniemy ją zakładać.

– A jeśli dojdzie do kolejnego ataku, sir? – zapytała Wei.

– Wtedy będzie to decyzja podjęta przez dzikusów, a my uszanujemy ich wybór – oświadczył Murtry.

– Nie jestem pewna, co pan ma na myśli, sir – odpowiedziała.

Uśmiech Murtry'ego nie dotarł do jego oczu.

– Jest pewna godność w konsekwencjach.

* * *

Kwatera Havelocka była tylko odrobinę większa od cel w areście, ale znacznie wygodniejsza. Po skończeniu zmiany leżał przypięty pasami do swojej pryczy przeciążeniowej, gdy rozległo się ciche pukanie do drzwi i do środka wciągnął się Murtry. Szef ochrony krzywił się, ale nie bardziej niż zwykle.

– Coś się dzieje, szefie? – zapytał Havelock.

– Pracowałeś z Pasiarzami – odezwał się Murtry. – Co o nich myślisz?

– To ludzie – odpowiedział Havelock. – Niektórzy są lepsi od innych. Wciąż mam przyjaciół na Ceres.

– Dobrze. Ale co *myślisz* o Pasiarzach?

Havelock się poruszył, a ruch pchnął go na ograniczające ruch pasy.

– Są zaściankowi. Prawie plemienni. Wydaje mi się, że ich

najbardziej wspólną cechą jest to, że nie lubią typów z planet wewnętrznych. Choć Marsjanin czasem ujdzie. Oni też mają ten typ fizjologiczny niskiego ciężenia.

– Czyli głównie nienawidzą Ziemiaków.

– To ich jednoczy. Bycie uciskany przez Ziemię to w zasadzie jedyne, co mają wspólne. Kultuwują to. Nienawidzenie ludzi takich jak my sprawia, że stają się sobą.

Murtry przytaknął.

– Wiesz, że są ludzie, którzy za powiedzenie czegoś takiego nazwaliby cię sprzedanym.

– To jest uprzedzenie tylko wtedy, gdy człowiek tam nie był – odparł Havelock. – Byłem na stacji Ceres tuż przed tym, jak przeszła na stronę SPZ. Dla mnie to realne doświadczenie.

– No tak, uważam, że masz rację – stwierdził Murtry. – Dlatego właśnie chciałem z tobą porozmawiać. Nieoficjalnie. Większość osób na pokładzie pochodzi z Ziemi, ewentualnie z Marsa, ale jest kilkoro Pasiarzy. Na przykład ten technik z maszynowni, jak mu tam?

– Bischen?

– O właśnie. Miej na nich oko.

– Czy coś się dzieje?

– Chodzi o to, że nasi dzicy lokatorzy to przeważnie Pasiarze i ludzie z planet zewnętrznych, a RCE to ziemską firmę. Nie chcę, żeby komuś pomyliło się, wobec kogo powinien być lojalny.

– Tak jest, sir – odpowiedział Havelock. A potem dodał trochę niepewnie. – Czy coś się będzie działo, sir?

– Nie od razu, ale... cóż, równie dobrze możesz się dowiedzieć. Dostałem wiadomość z domu. Uprzejmie oddalono moją prośbę o udzielenie większej swobody. Najwyraźniej sposób prowadzenia tej sprawy to temat rozgrywek politycznych. SPZ i ONZ rozmawiają o tym, czego chcieliby w tej sytuacji. Chcą dopilnować, żeby nielegalni zostali dobrze potraktowani.

Gniew Murtry'ego był głęboki i ledwie ukrywany, a Havelock zauważył, że zaczyna go przejmować.

– Ale to my otrzymaliśmy statut. Mamy prawo tu być.

– Owszem.

- I to nie my zaczęliśmy zabijać ludzi.
- Też prawda.
- To co mamy w tej sytuacji zrobić? Siedzieć z założonymi rękami, podczas gdy Pasiarze nas zabijają i odbierają nam naszą własność?
- Sprzedaż litu z ich nielegalnej operacji wydobywczej została zamrożona - rzucił Murtry. - I polecono nam nie robić niczego, co w większym stopniu zaogniłoby konflikt.
- To bzdura. Jak mamy wykonywać naszą pracę, jeśli mamy przy tym uważać, żeby nie urazić drani, którzy do nas strzelają?
- Wzruszenie ramion Murtry'ego było wyrazem zgody. Kiedy się odezwał, jego spokojny i lakoniczny ton ledwie ukrywał pogardę.
- Podobno wysyłają nam mediatora.

Interludium

ŚLEDZCY

– sięga, sięga, sięga, sięga –

Sto trzysta razy na sekundę, nic nie odpowiada, a to sięga. Nie jest świadome, choć zawiera świadome części. Ma w sobie struktury, które kiedyś były osobnymi organizmami, miejscowe, wyewoluowane i złożone. Zaprojektowano je do improwizacji, do używania tego, co znajdzie, i do wykonania zadania. To, co wystarczy, wystarczy, więc artefakty są ignorowane lub dostosowywane. Świadome części próbują odnaleźć sens sięgania. Zinterpretować je.

Jedna wyobraża sobie nogę owada, drgającą, drgającą, drgającą. Inna słyszy iskrę przeskakującą przez szczelinę, trzaskanie tak częste, że staje się brzęczeniem. Kolejna, niepomna, już od lat wciąż na nowo doświadcza odpadania ciała od kości, mdłości i strachu i początków śmierci. Ma na imię Maria. To nie pozwala jej umrzeć. Nie daje komfortu. Jest jej nieświadome, ponieważ jest nieświadome.

Ale brak świadomości nie oznacza braku aktywności. Znajduje energię, gdzie tylko może, skąpane w niskich dawkach promieniowania. Drobne struktury mniejsze od atomów wychwytyją energię przelatujących przez nie wysokoenergetycznych cząstek. Subatomowe wiatraki. Zjada pustkę i sięga, sięga, sięga.

W artefaktach będących świadomością wciąż budzą się wspomnienia wymazanych żywotów. Tkanki przemienione bez zabijania ich trzymają się chwili, gdy chłopiec usłyszał, że jego siostra opuszcza dom. Trzymają tabliczkę mnożenia. Obrazy seksu, przemocy i piękna. Wspomnienia nieistniejących już ciał. Zawierają metafory: mitochondria, rozgwiazdy, mózg Hitlera w słoju, kraina piekieł. Śnią. Struktury, które kiedyś były

neuronami, drgają, zapętlają się, płoną i śnią. Obrazy i słowa, i ból, i strach, bez końca. Przemodne odczucie choroby. Pamiętany głos staruszka szepczącego suche słowa, których nie jest świadome. *Pięć sążni w głąb twój ojciec na dnie, z kości wyrosły korale*¹.

Gdyby przyszła odpowiedź, mogłoby się to skończyć. Gdyby ktokolwiek odpowiedział, spoczęłoby niczym kamień w głębinie, ale nic nie odpowiada. Blizny wiedzą, że żadna odpowiedź nigdy nie nadejdzie, ale odruch wzbudza odruch, wzbudza odruch i sięga.

W kaskadach odruchów rozwiązało już miliard małych łamigłówek. Nie pamięta robienia tego, pamiętają tylko blizny. Jest tylko wysyłanie, sięganie, przesyłanie wiadomości, że wykonało swoje zadanie. Nic nie odpowiada, więc nie może przestać. Sięga. Jest złożonym mechanizmem do rozwiązywania łamigłówek z użyciem tego, co dostępne.

A jego oczy to perły te.

Ale ma śledczego.

Ze wszystkich blizn ten pojawił się ostatni. Jest najmniej uszkodzony. Jest użyteczny, więc jest używany. Buduje śledczego z tego szablonu nieświadome, że to robi, i próbuje kolejnego sposobu sięgania. I coś odpowiada. Coś niewłaściwego, obcego i miejscowego, ale pojawiła się odpowiedź, więc w ciągu lat buduje śledczego ponownie i sięga. Śledczy robi się coraz bardziej złożony.

To nie przestanie, aż dokona finalnego połączenia, a do tego nigdy nie dojdzie. Rozciąga się, próbuje nowych kombinacji, różnych sposobów na wysyłanie, choć nie jest świadome tego, że to robi. Nieświadome swojego istnienia. Puste poza nieistotnymi elementami.

Owadzia noga będzie drgać w nieskończoność. Blizna wyjąca o śmierć będzie wyc w nieskończoność. Śledczy będzie szukać w nieskończoność. Cichy głos będzie mamrotał w nieskończoność.

1 Fragmenty Burzy Williama Shakespeare'a w tłumaczeniu Macieja Słomczyńskiego.

*Nie zginął bowiem wcale, podlega morskiej przemianie,
W coś dziwnego niesłychanie.*
Sięga.

Rozdział czwarty

HOLDEN

– FMRK *Sally Ride*, tu niezależny statek *Rosynant*, proszę o pozwolenie na przelot przez Pierścień z jedną jednostką, ciężkim frachtowcem SPZ *Sen Kalisto*.

– Prześlij kod autoryzacji, *Rosynant*.

– Przesyłam. – Holden stuknął w ekran, żeby przestać kody, i przeciągnął się, prostując ręce i nogi, pozwalając, by w nieważkości ruch wyciągnął go z fotela. Kilka nadwyreżonych stawów i różne miejsca szkieletu zareagowały pykaniem.

– Starzejesz się – skomentował Miller.

Detektyw stał w wymiętym szarym garniturze i kapeluszu pork pie kilka metrów od niego, ze stopami na pokładzie, jakby dla niego działało ciężenie. Im bardziej inteligentna robiła się symulacja Millera – a w ciągu ostatnich dwóch lat stała się prawie doskonała – tym mniej zdawała się dbać o dostosowanie do warunków otoczenia.

– Ty nie.

– Z mych kości wyrosły korale – odpowiedział duch, jakby się zgadzał. – To wszystko kwestia kompromisów.

Kiedy *Sally Ride* przesłał kod pozwolenia, Aleks spokojnie i powoli przeprowadził ich przez Pierścień, z Callisto na równoległym kursie i z identyczną prędkością. Gwiazdy zniknęły w chwili, gdy statek przeniósł się do czarnej pustki skupiska. Miller zniknął w chwili przejścia przez wrota, zaczął się odtwarzać i zniknął ponownie w chmurze błękitnych świetlików, gdy z brzękiem otworzył się właz pokładowy i do środka przeciągnął się Amos.

– Łądujemy? – zapytał mechanik bez wstępów.

– Tym razem nie ma takiej potrzeby – odpowiedział Holden i otworzył kanał do Aleksa w kokpicie. – Zostań tu aż do

zadokowania Callisto, a potem zabierz nas z powrotem.

– Przydałoby się nam kilka dni na stacji, szefie – rzucił Amos, podciągając się do jednego ze stanowisk dowodzenia i przypinając się pasami. Jego szary kombinezon miał ślad po przypaleniu na rękawie, a połowę lewej dłoni pokrywał bandaż.

Holden wskazał na opatrunek, ale Amos tylko wzruszył ramionami.

– Na stacji Tycho czekają na nas dwa statki z glebą – przypomniał Holden.

– Nikt nie miał dość jaj, żeby spróbować obrobić jakiś statek na tej trasie. Przy tej liczbie jednostek floty w okolicy to byłoby samobójstwo.

– A jednak Fred płaci nam bardzo przyzwoite pieniądze za eskortowanie jego statków na stację *Medyna*, a ja lubię brać jego pieniądze. – Holden przesunął okrętowy teleskop, powiększając obraz pierścieni. – Z drugiej strony nie lubię zostawać tu dłużej niż to konieczne.

Duch Millera był artefaktem technologii obcych, którzy stworzyli bramy. I był trupem. Trzymał się Holdena od dwóch lat, od kiedy wyłączyli stację Pierścienia. Cały ten czas spędzał, żądając, prosząc i namawiając Holdena do przelotu przez nowo otwarte wrota w celu rozpoczęcia badania znajdujących się za nimi planet. Przy zdrowych zmysłach utrzymywał go tylko fakt, że Miller mógł się objawiać Holdenowi wyłącznie, gdy ten był sam, co bardzo rzadko zdarzało się na statku wielkości *Rosynanta*.

Z kokpitu przyleciał Aleks z rzednącymi włosami sterczącymi na wszystkie strony z brązowej głowy. Pod oczami miał ciemne kręgi.

– Nie lądujemy? Naprawdę przydałoby mi się parę dni na stacji.

– Widzisz? – rzucił Amos.

Zanim Holden zdążył odpowiedzieć, przez właz pokładowy przeszła Naomi.

– Nie będziemy dokować?

– Kapitan chce szybko wracać po te transportowce z glebą przy Tycho – wyjaśnił Amos głosem, któremu w jakiś sposób zdołał

nadać równocześnie neutralny i drwiący ton.

– Naprawdę przydałoby mi się kilka dni... – zaczęła Naomi.

– Obiecuję, że po powrocie weźmiemy tydzień wolnego na Tycho. Po prostu nie chcę spędzać wakacji, no wiecie – wskazał na ekrany wyświetlające martwą kulę stacji Pierścienia i lśniące bramy – w tym miejscu.

– Tchórz – rzuciła Naomi.

– Owszem.

Konsola łączności błysnęła ostrzeżeniem o nadchodzącej wiązce kierunkowej. Siedzący najbliżej Amos stuknął w ekran.

– Tu *Rosynant* – powiedział.

– *Rosynant* – odpowiedział znajomy głos. – Mówi stacja *Medyna*.

– Fred – odezwał się z westchnieniem Holden. – Jakiś problem?

– Nie lądujecie? Założę się, że przydałoby się wam kilka...

– Mogę w czymś pomóc? – Holden nie dał mu dokończyć.

– Tak, możesz. Zadzwoń do mnie, jak zadokujecie. Mam interes do omówienia.

– Szlag – rzucił Holden po zamknięciu połączenia. – Macie czasem wrażenie, że wszechświat jest przeciwko wam?

– Czasem miewam wrażenie, że wszechświat jest przeciwko *tobie* – skomentował Amos z szerokim uśmiechem. – Zabawnie się to ogląda.

– Znowu zmienili nazwę – skomentował Aleks, powiększając obraz wirującej stacji, która jeszcze niedawno nazywała się *Behemot*. – Stacja *Medyna*. Dobra nazwa.

– Czy to nie znaczy „twierdza”? – zapytała Naomi, marszcząc brwi. – To chyba zbyt wojenne.

– Nie – zaprzeczył Aleks. – A w każdym razie nie do końca. To była część miasta otoczona murami, ale była też czymś w rodzaju ośrodka aktywności społecznej. Wąskie ulice miały utrudnić ewentualne wtargnięcie napastników, ale też nie wpuszczały do środka ruchu zmechanizowanego ani wozów ciągniętych przez zwierzęta, więc można się tam było przemieszczać tylko na piechotę. A dzięki temu zbierali się tam sprzedawcy, przez co stało się to świetnym miejscem na zakupy, spotkania i picie herbaty. Bezpieczne miejsce, w którym mogą zbierać się ludzie.

To bardzo dobra nazwa stacji.

– Dużo o tym myślałeś – zauważył Holden.

Aleks wzruszył ramionami.

– To ciekawe, to znaczy ewolucja tego statku i jego nazw. Zaczął życie jako *Nauvoo*, czyli miejsce schronienia, prawda? Duże miasto w kosmosie. Potem stał się *Behemotem*, największym i najgroźniejszym okrętem bojowym w Układzie. A teraz to stacja *Medyna*. Miejsce spotkań. Ten sam statek, trzy nazwy, trzy różne rzeczy.

– Ten sam statek – rzucił urażony Holden i poleciał *Rosynantowi* rozpoczęcie podejścia do dokowania.

– Nazwy są ważne, szefie – powiedział Amos po chwili milczenia z dziwnym wyrazem twarzy. – Nazwy wszystko zmieniają.

* * *

Wnętrze *Medyny* było placem budowy. Duże części centralnego, obrotowego cylindra pokryto przywiezioną glebą w przygotowaniu na produkcję żywności, ale w wielu miejscach wciąż widać było metal i ceramikę konstrukcji. Usunięto już większość uszkodzeń, jakich doznał były statek kolonizacyjny podczas wcześniejszych bitew. Biura i magazyny w ścianach cylindra stawały się ośrodkiem koordynacji wysiłków eksploracji tysiąca nowych światów, które stanęły otworem przed ludzkością. Jeśli Fred Johnson, były pułkownik ziemskich sił zbrojnych, a teraz szef szanowanego skrzydła SPZ starał się przygotować *Medynę* na logiczną siedzibę rządzącego rządu w stylu Ligi Planet, przynajmniej miał dość rozsądku, by nie mówić tego na głos.

Holden był tam świadkiem śmierci zbyt wielu ludzi, by widzieć w Stacji coś innego niż cmentarz. Co w gruncie rzeczy stawiało ją na równi z każdym innym rządem w historii.

Fred urządził swoje nowe biuro w budynku administracji kolonialnej zaplanowanej w czasach, gdy stacja *Medyna* wciąż jeszcze nazywała się *Nauvoo*. Pomieszczenia te używane były także jako studio radia Wolna Powolna Strefa. Połatano je,

pomalowano na nowo i ozdobiono roślinami odnawiającymi powietrze oraz ekranami wyświetlającymi przestrzeń pierścieni wokół stacji. Dla Holdena było to dziwne zestawienie. Jasne, ludzie dokonali najazdu na pozawymiarową przestrzeń z tunelami podprzestrzennymi prowadzącymi do gwiazd rozproszonych po całej galaktyce, ale pamiętali, żeby zabrać ze sobą paprotki.

Fred kręcił się po biurze, robiąc kawę.

– Czarna, prawda?

– Owszem – potwierdził Holden i przyjął podany dymiący kubek. – Nie lubię tu przylatywać.

– Rozumiem. I doceniam, że mimo wszystko to zrobiłeś – odpowiedział Fred i opadł na fotel z westchnieniem, które wydawało się przesadzone w jednej trzeciej g generowanego przez obrót stacji. Z drugiej strony ciężar na barkach Freda nie miał wiele wspólnego z grawitacją. Pięć lat, które minęły od ich pierwszego spotkania, nie potraktowało Freda zbyt łagodnie. Jego dawniej szpakowate włosy zrobiły się całkiem siwe, a ciemną skórę przecinały liczne zmarszczki.

– Żadnych oznak budzenia się? – zapytał Holden, wskazując kubkiem z kawą w stronę ściennego ekranu wyświetlającego powiększenie kulistej stacji Pierścienia.

– Muszę ci coś pokazać – odezwał się Fred, jakby nie usłyszał pytania.

Holden kiwnął głową, a gospodarz stuknął w biurko, budząc do życia ekran za swoimi plecami. Pojawiła się na nim znieruchomiła w pół słowa Chrisjen Avasarala. Podsekretarz rządu ONZ miała błyszczące oczy i wargi wykrzywione w pogardliwym uśmiechu.

– To ta część, która dotyczy ciebie.

– ...rawdę tylko wymówką do wymachiwania na siebie futami – powiedziała Avasarala po włączeniu nagrania. – Więc uważam, że powinniśmy wysłać Holdena.

– Wysłać Holdena? – zapytał wspomniany, ale nagranie było odtwarzane dalej, a Fred mu nie odpowiedział. – Gdzie wysłać Holdena? Gdzie go wysyłamy?

– Jest blisko, prawie w *Medynie*, a wszyscy nie znoszą go w równym stopniu, więc możemy argumentować, że jest bezstronny. Ma powiązania z tobą, Marsem i ze mną. Jest fatalnym wyborem na misję dyplomatyczną, a dzięki temu jest idealny. Wprowadź go, powiedz, że ONZ zapłaci za jego czas podwójną stawkę i wyślij go na Nową Ziemię najszybciej, jak to możliwe, zanim sytuacja spieprzy się jeszcze bardziej niż teraz.

Starsza pani nachyliła się do kamery, a jej twarz zajęła większość ekranu, tak że Holden mógł zobaczyć szczegółowo każdą zmarszczkę i przebarwienie.

– Jeśli Fred ci to pokazuje, Holden, to wiedz, że twoja ojczysta planeta docenia twoją służbę. I proszę, nie próbuj wsadzać w to swojego fiuta. I bez tego sytuacja jest dość spieprzona.

Fred zatrzymał nagranie i odchylił się na fotelu.

– A więc...

– O czym ona, u diabła, mówi? – zapytał Holden. – Co to jest Nowa Ziemia?

– Nowa Ziemia to niezbyt wymyślna nazwa nadana pierwszej ze zbadanych planet sieci wrót.

– Wydawało mi się, że nazywa się Ilus.

– Ilus – odpowiedział Fred z westchnieniem – to nazwa nadana jej przez Pasiarzy, którzy tam wylądowali. Royal Charter Energy, korporacja z kontraktem na przeprowadzenie początkowej eksploracji, nazwała ją Nową Ziemią.

– Mogą to zrobić? Przecież ludzie już tam mieszkają. Wszyscy nazywają ją Ilus.

– Nazywają ją tak wszyscy *tutaj*. Chyba dostrzegasz problem. – Powoli napił się kawy, dając sobie czas do namysłu. – Nikt nie był na to gotowy. Statek pełen uchodźców z Ganimedesa, przejęty ciężki frachtowiec Mao-Kwik, przeleciał przez Pierścień z dużą prędkością, gdy tylko pojawiły się wyniki pierwszej sondy. Zanim mieliśmy czas posprzątać po naszym pierwszym wtargnięciu, zanim ustanowiono blokadę wojskową. Zanim *Medyna* była gotowa do wymuszania ograniczenia prędkości w przestrzeni Pierścieni. Przelecieli tak szybko, że nie mieliśmy nawet czasu ich wywołać.

– Niech zgadnę – odezwał się Holden. – Wrota Ilusa są naprzeciw wrót Słońca.

– Niezupełnie. Byli dość inteligentni, by wlecieć pod kątem i uniknąć wbicia się w stację Pierścienia przy trzystu tysiącach kilometrów na godzinę.

– Czyli mieszkają na Ilusie od roku, a tu nagle pokazuje się RCE i mówi im, że ups, tak naprawdę to *ich* planeta?

– RCE ma statut ONZ na badania naukowe Ilusa, Nowej Ziemi czy jakkolwiek to nazwiesz. I są właśnie tam dlatego, że uchodźcy z Ganimedesa wylądowali tam pierwsi. Plan zakładał badanie tych światów przez całe lata, zanim ktokolwiek będzie mógł na nich zamieszkać.

Coś w tonie głosu Freda sprawiło, że umysł Holdena wreszcie zaskoczył.

– Chwila. Statut ONZ? Od kiedy to ONZ może decydować o losie tysiąca planet?

Fred uśmiechnął się kwaśno.

– Sytuacja jest złożona. Mamy ONZ, które próbuje rościć sobie prawo do administrowania wszystkimi tymi nowymi planetami. Mamy obywateli SPZ osiedlających się na jednej z nich bez pozwolenia. I firmę energetyczną z kontraktem na eksplorację planety, która przypadkiem ma też najbogatsze pokłady litu, jakie zdarzyło się nam widzieć.

– Oraz mamy ciebie – dopowiedział Holden – szykującego się do przejęcia bramki, przez którą wszyscy muszą tam przelecieć.

– Chyba można bezpiecznie powiedzieć, że SPZ fundamentalnie nie zgadza się na pomysł, że ONZ może jednostronnie przejąć kontrolę nad wydawaniem takich kontraktów.

– Czyli rozmawiasz po cichu z Avasaralą, żeby sytuacja nie przerodziła się w coś jeszcze poważniejszego.

– Dochodzi do tego jeszcze jakieś pięć zmiennych, ale w zasadzie tak. I tu właśnie wkraczasz ty – powiedział Fred, wskazując Holdena kubkiem z kawą. Na jego boku wypisano wielkimi literami SZEf. Holden stłumił śmiech. – Nie masz nad sobą szefa, ale pracowałeś zarówno ze mną, jak i z Avasaralą, więc uważamy, że możesz zrobić to znowu.

- To naprawdę głupi powód.

Uśmiech Freda był enigmatyczny.

- Nie przeszkadza fakt, że masz statek zdolny do lotów w atmosferze.

- Ale wiesz, że jeszcze nigdy tego nie robiliśmy, prawda? Nie bardzo mam ochotę, żeby nasze pierwsze lądowanie atmosferyczne odbyło się o milion kilometrów od najbliższej stoczni remontowej.

- *Rosynant* został zbudowany jako okręt wojenny i...

- Zapomnij. Niezależnie od tego, co napisałeś sobie na kubku, nie zamierzam być butem na karkach kolonistów. Nie zrobię tego.

Fred westchnął i wyprostował się na fotelu. Kiedy się odezwał, jego głos był miękki i ciepły jak flanela, co jednak nie wystarczyło do ukrycia czającej się pod spodem stali.

- Właśnie tworzone są zasady zarządzania tysiącem nowych planet. To przypadek testowy. Polecisz tam jako niezależny obserwator i rozjemca.

- Ja? Rozjemcą?

- Jestem świadom ironii. Ale sytuacja zaczęła się już tam psuć i potrzebujemy kogoś, kto nie dopuści do jej dalszego pogorszenia w czasie, gdy trzy rządy będą decydować, jak to wszystko ma działać.

- Czyli chcesz, żebym wyglądał, jakbym coś robił w czasie, gdy wy będziecie wymyślać, co faktycznie zrobić - skomentował Holden. - I jak psuje się tam sytuacja?

- Koloniści wysadzili ciężki prom RCE. Był na nim tymczasowy gubernator. Zginął razem z kilkoma naukowcami i pracownikami firmy. Nasza pozycja negocjacyjna nie będzie lepsza, jeśli Ilus zmieni się w otwartą wojnę między Pasiarzami a korporacją ONZ.

- Czyli mam utrzymać pokój?

- Skłonić ich do rozmów i dopilnować, żeby rozmawiali. A przy tym zrobić to, co zawsze, czyli zachować całkowitą przejrzystość. To rzadki przypadek, w którym sekrety nikomu nie pomogą. Powinno ci pasować.

- Sądziłem, że jestem dla was największym w galaktyce

narwańcem. Czy Avasarala wysyła zapałkę na spotkanie beczki z prochem bo chce, żeby to się posypało?

Fred wzruszył ramionami.

– Interesuje mnie raczej to, czego ja od ciebie chcę, niż to, czego chce ona. Może staruszka cię lubi. Nie proś, bym ci to wyjaśnił.

* * *

Miller czekał na Holdena przed biurem Freda.

– W tej chwili na stacji *Medyna* są trzy tysiące ludzi – odezwał się Holden. – Jakim cudem nie ma tu nikogo, kto przeszkodziłby ci mnie męczyć?

– Przyjmiesz tę robotę? – zapytał Miller.

– Jeszcze nie zdecydowałem – odparł Holden. – A ponieważ prowadzisz symulację mojego mózgu, to zakładam, że o tym wiesz. Czyli pytając, tak naprawdę sugerujesz mi przyjęcie jej. Popraw mnie, jeśli się mylę.

Holden ruszył w głąb korytarza, mając nadzieję natknąć się na innego człowieka, co zmusi ducha Millera do zniknięcia. Miller poszedł za nim, a jego kroki rozbrzmiewały głośno na ceramicznej podłodze. Fakt, że dźwięki istniały tylko w głowie Holdena, sprawiał, że cała sytuacja robiła się jeszcze bardziej upiorna.

– Nie mylisz się. Powinieneś się zgodzić – powiedział Miller. – On ma rację. To ważne. Coś takiego może się przerodzić z kilku wkurzonych miejscowych w masakrę bez żadnych etapów pośrednich. Była taka sytuacja, jeszcze na Ceres...

– Dobra, wystarczy. Żadnych policyjnych anegdotek od truposza. Co takiego chcesz z Ilusa? – zapytał Holden. – Mogłoby pomóc, gdybyś po prostu powiedział wprost, czego chcesz właściwie po drugiej stronie tych pierścieni.

– Wiesz, czego szukam – odpowiedział stary detektyw.

Udało mu się przybrać smutny wygląd.

– Tak, tej cywilizacji obcych, która cię stworzyła. I wiem już, że jej nie znajdziesz. Szlag, nawet ty wiesz, że jej tam nie ma.

– Ale i tak muszę szu... – Miller zniknął.

Korytarzem przeszła kobieta w niebieskim mundurze ochrony

stacji *Medyna*, patrząc na swój terminal. Nie podnosząc wzroku, mruknęła coś, co mogło być powitaniem.

Holden wszedł schodami na wewnętrzną powierzchnię wirującego cylindra mieszkalnego *Medyny*. Tam Miller nie miał szans go zaskoczyć. W cylindrze mnóstwo się działo, robotnicy rozprowadzali importowaną glebę na przyszłe uprawy, inni wznosili budynki z prefabrykatów, które będą mieścić pokoje mieszkalne i magazyny. Holden machał im radośnie, przechodząc obok. Przy coraz częstszych nawiedzeniach przez Millera zaczął doceniać wartość posiadania w zasięgu wzroku innych ludzi. Samym swoim istnieniem sprawiali, że jego życie robiło się trochę mniej dziwne.

Odpuścił sobie windę do punktu tranzytowego przy maszynowni, pozwalającego na wyjście z obrotowego cylindra do nieważkości na rufie byłego statku kolonizacyjnego. *Rosynant* dokował tam przy jednej ze śluz. Zamiast tego ruszył długą, spiralną rampą, na której cały czas pozostawał w zasięgu wzroku wszystkich w cylindrze. Kiedy ostatni raz jechał w górę tą rampą, ludzie wokół niego strzelali i ginęli od kul. Nie było to miłe wspomnienie, ale i tak było lepsze od uwięzienia sam na sam z Millerem w windzie. Wszechświat robił się trochę zaśmiecony jego osobistymi wspomnieniami.

Zanim przeszedł przez punkt tranzytowy na poziomy maszynowni, unosił się przez chwilę w powietrzu i zajrzał w głąb cylindra mieszkalnego. Z tego miejsca pola z glebą wyglądały jak kwadraty na szachownicy – ciemnobrązowe na szarym tle powłoki cylindra. Maszyny wędrowały przez nie jak metalowe owady, zajmujące się tajemniczymi zadaniami. Zmieniając metalową konstrukcję w mały, samowystarczalny świat.

Zapomnimy, jak się to robi, pomyślał Holden. Ludzkość ledwie zaczęła się uczyć życia w przestrzeni, a już groziło jej zapomnienie tej lekcji. Po co wymyślać nowe strategie przetrwania w maleńkich stacjach kosmicznych w rodzaju *Medyny*, gdy na podbicie czekało tysiąc nowych planet z darmową wodą i powietrzem? Ta myśl wprawiała w zdumienie, ale wzbudziła też w Holdenie odrobinę melancholii.

Odwrócił się plecami do robotników zajętych pracą skazaną na zapomnienie i wrócił do swojego statku.

* * *

– No dobrze – zagała Naomi, gdy załoga usiadła razem w kambuzie *Rosynanta*. – Polecimy na Ilusa?

Holden spędził kilka minut na wyjaśnianiu, czego chcieli od nich Fred Johnson i Chrisjen Avasarala, a potem jakby przygasł. Tak naprawdę nie znał odpowiedzi na pytanie Naomi.

– Jest wiele powodów, żeby to zrobić – stwierdził w końcu, wystukując szybki rytm na blacie stołu. – To naprawdę ważna sprawa. Przypadek testowy dla tysiąca dalszych planet. I przyznaję, że kusi mnie myśl, że pomożemy określić sposób patrzenia na podobne sprawy w przyszłości. Może uda nam się stworzyć szablon dla wszystkiego, co przyjdzie później. To dość podniecające.

– Na dodatek nieźle płacą – wtrącił Amos. – Nie zapomnij, że nieźle płacą.

– Ale... – podsunęła Naomi z uśmiechem, kładąc dłoń na jego ramieniu.

Dawała mu znać, że może się podzielić wszystkimi swoimi lękami. Uśmiechnął się w odpowiedzi i pogłaskał jej dłoń.

– Ale mam jeden bardzo dobry powód, żeby odmówić – wyznał. – Miller bardzo chce, żebyś poleciał.

Siedzieli w milczeniu przez dłuższą chwilę. Pierwsza odezwała się Naomi.

– Zrobisz to.

– Tak?

– Owszem – potwierdziła. – Ponieważ uważasz, że będziesz mógł pomóc.

– Sądzisz, że nie pomożemy?

– Nie – zaprzeczyła Naomi. – Sądzę, że ty możesz. A nawet jeśli się mylimy, niepodjęcie tej próby sprawiłoby, że zrobiłbyś się marudny.

– Inne kwestie do rozważenia? – odezwał się Amos. – Naprawdę dobrze płacą.

Rozdział piąty

BASIA

– Jezu Chryste, Basia, moje dziecko – powiedział Coop. – *Wygrywamy*. Na ile jesteś gotowy się zaangażować, jeśli zrobi się ostro?

Wszyscy pozostali patrzyli na niego wyczekująco. Scotty i Pete, ale też Loris i Catherine. Ibrahim i Zadie. Basia złożył ręce na piersiach.

– Dowiedzą się, kto zabił ich gubernatora... – zaczął Basia, ale Coop machnął rękami jakby odganiał muchy.

– Nie. Jeśli nie dowiedzieli się do teraz, to wyląduje to w aktach jako po prostu jedna z tych rzeczy, które się stały. Cholera, ja nie pamiętam, kto to zrobił. Ty pamiętasz, Zadie?

Zadie pokręciła głową.

– Ne savvy, mé – powiedziała jak Pasiarka, którą faktycznie była. Którą była wcześniej.

Coop machnął w jej stronę, jakby dowiodła jego tezy.

– Mnie też się nie podoba, jak to wyszło – odezwał się Pete. – Ale gdybyśmy tego nie zrobili, mieliby dla siebie cały ten czas, zamiast samych okruszków. Holden wylądowałby tu i zastał miasto pod kopułą, a wtedy jak by to wszystko wyglądało?

– *Dokładnie* – potwierdził Coop. – Zwolnić ich, tego chcieliśmy i to nam się właśnie udało. Pytanie brzmi, co teraz zrobimy z czasem, który nam został.

– Moglibyśmy ich pozabijać i wrzucić ciała do jam kopalń – rzuciła Loris z uśmiechem jasno sugerującym, że w zasadzie tylko żartuje.

– Pomyślałem sobie, że moglibyśmy im zwędzić nadajnik – odezwał się Ibrahim. – Wszystkie ich sygnały przechodzą przez jeden wzmacniacz w namiocie technicznym. Gdyby mu się coś stało, mieliby znacznie węższe pasmo, tak samo jak my.

– Czy to nie pozbawiłoby ich też ręcznych terminali? – zapytał Coop.

– Mogłoby – potwierdził Ibrahim. – Zdecydowanie zaczęłyby działać tylko lokalnie i w zasięgu wzroku.

– Warto to rozważyć – stwierdził Coop.

Ruiny, w których się spotkali, znajdowały się pół godziny szybkiego marszu od miasta. Potężne wieże z dziwnego, podobnego do kości materiału wznosiły się z ziemi i opierały się o siebie, tworząc wzory, które wydawały się losowe, aż zobaczyło się je pod właściwym kątem, kiedy to z obrazu wyłaniała się wyszukana symetria. Dolne struktury miały łagodne krawędzie, zakrzywione jak kręgi lub przekładnie jakiejś niewyobrażalnie sprawnej maszyny.

Łagodny wiatr przemykał między ruinami, wywołując dźwięk, który przypominał dobiegające z oddali tony trzciniowych piszczałek. Coś tu kiedyś żyło, ale odeszło, a jego kości stały się kryjówką dla Basi i jego kliki. Nieoczekiwanie przypomniało mu się widziane kiedyś nagranie krewetki kryjącej się wśród kości martwego wieloryba.

– Moje pytanie – powiedział Basia – dotyczy naszego celu. Zdusimy ich pasmo łączności. Co nam to da?

– Trudniej im będzie wykazać swoją wartość – rzuciła Loris. – Czytałam ich statut tak samo jak wszyscy. Tak, mają w nim sporo o ochronie i podstawowych badaniach, ale postawmy sprawę jasno. RCE przyleciało tu, żeby zarobić. Jeśli jasno damy im do zrozumienia, że im się to nie uda...

– To nie ma znaczenia – wtrącił się Ibrahim. – Tak naprawdę musimy postawić własne roszczenia do planety. Zyski i straty przyjdą później.

– Nie zgadzam się, Bram – odparła Loris. – Jeśli przyjrzesz się historii kolonializmu, precedensy prawne i formalne roszczenia prawie zawsze są racjonalizowane po fakcie. To, co tu widać, to...

– To, co tu widzę – wtrącił się Coop – to czas, zanim przyleci tu wspólny obserwator SPZ/ONZ i zmieni zasady gry. Basia? Masz coś do powiedzenia?

Basia strzelił kostkami palców.

– Kiedy tu przyłeci, powinien się przekonać, że RCE nie jest zorganizowane, a my mamy statek pełen gotowego do sprzedaży, rafinowanego litu.

– No to dopilnujmy, żeby tak było – rzucił Coop ze swoim jadowitym uśmiechem.

Po spotkaniu rozeszli się pojedynczo i parami, żeby nie zwracać na siebie uwagi. Najpierw Pete i Ibrahim, razem, bo byli kochankami. Potem Scotty, pykający z fajki. Loris i Catherine. Potem zwykle Zadie i Coop, ale nie dzisiaj. Tym razem Coop kiwnął głową Zadie, żeby poszła sama. Przytaknęła machnięciem jedną dłonią, fizycznym idiomem Pasiarzy, którzy musieli się porozumiewać w skafandrach próżniowych, i wyszła, ze zbyt długimi kończynami nadającymi jej ruchom wrażenie równocześnie niezgrabnych i wdzięcznych. Jak żyrafa.

– Nie jest ci z tym łatwo – odezwał się Coop.

Basia wzruszył ramionami.

– Nie zaczęło się za dobrze, to wszystko.

– Wcześniej byłeś jednym z nich. Nie walczyłeś – przypomniał Coop.

– Owszem – potwierdził gorzko Basia.

Po Ganimesie mieszkali razem na jednym statku przez całe lata. Klócili się wielokrotnie na temat ucieczki na nowe planety otwarte przez wrota pierścieni. Basia znał Coopa. Walczył w odłame SPZ, który nigdy nie zgodził się na kompromis z planetami wewnętrznymi. Na skórze tuż nad lewą łopatką miał wytatuowany rozerwany krąg Sojuszu Planet Wewnętrznych. Basia nie po raz pierwszy pomyślał, że *planety zewnętrzne* w ciągu ostatnich kilku lat nabrały zupełnie nowego znaczenia.

– To może być trudne – powiedział Coop. – Zwłaszcza na dużych stacjach. Ceres. Wcześniej na Erosie. Na Ganimesie. Jest tam pełno różnych wewnętrzniaków. Żyjesz obok nich, pracujesz z nimi. Może nawet niektórych polubiłeś. A potem przychodzi rozkaz i musisz zerwać uszczelkę, pozwolić komuś umrzeć. Nie możesz odpuścić, bo wtedy zaczną szukać wzoru. Kto przeżył, choć nie powinien. A to naraża komórkę.

Basia kiwnął głową, choć w ustach czuł kwaśny smak.

- Tym właśnie jesteście? Komórką SPZ?
- Opieramy się próbie przejęcia władzy przez ziemską korporację, nie? Są gorsze modele.
- Owszem - zgodził się Basia. - Rozumiem.
- Naprawdę? Bo jak na razie to widzę, że u wielu ludzi wywołujesz pytania. Zaczynają się zastanawiać, czy wybraliśmy właściwą ścieżkę.
- Basia się zjeżył.
- To dla ciebie problem?
- Problem dla ciebie, stary. Bo im bardziej ty się zastanawiasz, tym bardziej robią to oni. A niezależnie od tego, co udaję, wszyscy doskonale pamiętamy, kto wcisnął ten przycisk.

* * *

Marsz powrotny ze spotkań zawsze wzbudzał w Basi irytację. Wszędzie widział drobne przypomnienia tego, co ich grupa - komórka - zrobiła, i czego nie zrobiła. Małe laboratorium hydrologiczne przy strumieniu z kopułą geodezyjną i odwiertami, niczym miniaturowymi szybami kopalni. Chata egzobiologów, samotna na skraju miasteczka. Nieznane twarze na rynku, materiały wyprodukowane ze wzorami RCE.

Na równinie na północ od miasta trwał mecz piłki nożnej, wznosząc chmury pyłu - miejscowi, włącznie z jego synem Jackiem, grali przeciwko ludziom korporacji. Przynajmniej wciąż byli w różnych drużynach. Basia zrobił pętlę, wchodząc do głównej części miasta ścieżką prowadzącą do kopalni. Wiatr przybierał na sile, wzbudzając wiry z pyłu. Wysoko w górze na błękitnym łuku nieba klin wielkich stworów podobnych do powietrznych meduz ciągnął złote macki z bladobiałych ciał. Lucia mówiła, że każdy jest wielkości statku, ale jakoś nie potrafił w to uwierzyć. Zaczął się zastanawiać, czy ktoś już nadał im nazwę.

- Basia!
- Carol - odpowiedział, kiwając głową dużej kobiecie, która do niego dołączyła.

Carol Chiwewe po wylądowaniu została jednogłośnie wybrana

koordynatorką. Inteligentna, skupiona i stanowcza, choć nie dominująca. Prawie na pewno domyśliła się, że maczał palce w tym, co się stało z ładowiskiem, ale to nie miało znaczenia. Niektóre tajemnice zostawały nimi, bo nikt ich nie znał, inne dlatego, że nikt nie mówił o nich na głos.

– Zbieram ekipę konserwacyjną, która uda się do kopalni. Wyjdziemy jutro, zostaniemy tam pewnie pięć albo sześć dni. Przyłączysz się?

– Jest jakiś problem?

– Nie, ale sądzę, że lepiej dopilnować, żeby tak zostało. Jeszcze tylko kilka ładunków do wysłania na górę i będziemy mogli wysłać towar.

– Dobrze będzie mieć pełną ładownię, zanim przyleci obserwator – skomentował Basia.

– Dokładnie – zgodziła się Carol z uśmiechem. – Cieszę się, że w to wchodzisz. Spotykamy się na rynku o dziewiątej.

– W porządku – rzucił Basia, a ona klepnęła go w ramię i wykręciła na pięcie, wracając do zadania, którym zajmowała się, zanim go zobaczyła.

Minęło jeszcze dwadzieścia minut, zanim dotarło do niego, że właściwie to nie powiedział, że dołączy. Pomyślał, że tak właśnie wszystkim kierowała.

Jego dom znajdował się blisko skraju miasta. Produkowali cegły z miejscowej ziemi, przetwarzali je w sprzęcie górniczym i wypalali w piecu. Wszystko to mogłoby być bardziej prymitywne tylko, gdyby wykopali jaskinię i zaczęli malować na ścianach bizona. Lucia stała na małym ganku, zamiatając cegły szczotką zrobioną z miejscowego odpowiednika trawy, która pachniała jak gnój z mięta, a po ścięciu zmieniała kolor z czarnego na złoty.

– Nie wiesz, co wychodzi z tego czegoś – rzucił.

To był ich wspólny żart. Jej reakcja zawsze mówiła mu wiele o tym, na czym stoją. Taki mały papierek lakmusowy pH ich małżeństwa.

– Jedna trzecia jest rakotwórcza, jedna trzecia mutagenna i nie wiemy, co robi reszta – odpowiedziała z uśmiechem.

Czyli było niezłe. Basia poczuł, że kamień w żołądku traci na wadze. Pocałował ją w policzek i schronił się do chłodnego wnętrza domu.

– W zasadzie możesz sobie odpuścić – powiedział. – Wiatr wszystko wrzuci z powrotem.

Lucia jeszcze parę razy pobieżnie machnęła miotłą, szurając trawą o cegły, a potem weszła za nim. Według standardów Ganimedesa lub statku, ich dom był olbrzymi. Mieścił osobne sypialnie dla każdego z dzieci i wspólną dla nich. Pomieszczenie przeznaczone wyłącznie na przygotowywanie jedzenia. Apartament kapitański na *Barbapiccoli* miał mniejszą powierzchnię od domu Basi. Miejsce było barbarzyńskie, ale należało do niego. Usiadł na fotelu przy frontowym oknie i wyjrzał na równinę.

– Gdzie jest Felcia? – zapytał.

– Wyszła – odpowiedziała Lucia.

– Mówisz tak jak ona.

– Felcia jest moim podstawowym źródłem informacji na temat Felci – stwierdziła Lucia. Uśmiechała się. Nawet trochę się śmiała.

Nie widział jej w tak dobrym nastroju już od tygodni. Basia wiedział, że był to jej świadomy wybór. Z jakiegoś powodu chciała, żeby był w dobrym nastroju i jeśli będzie mądry, oprze się manipulacji. Choć nie miał na to ochoty. Chciał móc choć przez chwilę zachowywać się tak, jakby wszystko było w porządku. Więc grał.

– To wszystko przez twoją stronę rodziny. Jako chłopiec zawsze byłem grzeczny. Mamy coś wartego zjedzenia?

– Kolejne racje okrętowe.

Basia westchnął.

– Nie ma sałaty?

– Niedługo – doparła. – Nowy zbiór dobrze się zapowiada. O ile tylko nie znajdziemy w nim nic dziwnego, od przyszłego tygodnia będziesz mógł się delektować marchewką.

– Któryś dnia będziemy mogli hodować rośliny w tutejszej glebie.

– Może na północ stąd – powiedziała Lucia i położyła mu dłoń na ramieniu, wyglądając przez okno wraz z nim. – W tej okolicy problemy ma nawet miejscowa fauna.

– Północ. Południe. Jeśli o mnie chodzi, cały Ilus to tutaj.

Odwróciła się i poszła do kuchni. Basia poczuł uderzenie tęsknoty za nią, pragnienie ciała z czasów, gdy byli młodszy, bezdzietni i ciągle napaleni. Usłyszał pyknięcie i syk pojemników z racjami żywnościowymi. Powietrze wypełnił zapach sag aloo. Lucia wróciła z niewielkimi talerzami z jedzeniem dla obojga.

– Dziękuję.

Lucia kiwnęła głową i usiadła na swoim fotelu, podwijając pod siebie nogę. Ciężenie ją zmieniło. Mięśnie barków i rąk były teraz bardziej widoczne, a gdy usiadła, plecy wykrzywiały się pod innym kątem. Ilus zmieniał ich w sposób, jakiego nigdy się nie spodziewał, choć być może powinien. Nabrał pełen widelec sag aloo.

– Jutro pójde do kopalni – powiedział.

Lucia lekko uniosła brwi.

– Po co?

– Konserwacja – wyjaśnił, a potem wiedząc, o czym myśli, dodał: – Carol mnie poprosiła.

– Ach, to dobrze.

Dobrze, że poprosiła go o to Carol, a nie Coop. Poczul ukłucie wstydu, a potem irytacji na swój wstyd. Trochę mocniej zacisnął wargi.

– Przylatuje obserwator – powiedziała Lucia, jakby nie miało to większego znaczenia. – James Holden.

– Słyszałem. To dobrze. Da nam wsparcie przeciwko RCE.

– Pewnie tak.

Pamiętał czasy, gdy śmiali się razem. Kiedy Lucia wracała do domu ze szpitali na Ganimesie pełna opowieści o pacjentach i innych lekarzach. Jedli hodowane w kadziach steki kruche jak najlepsze mięsa ze zwierząt i pili piwo fermentowane na ich małym księżycu. Rozmawiali godzinami, jeszcze w nocy, gdy dawno już powinni spać. Teraz ich rozmowy były tak ostrożne, że miał wrażenie, jakby wszystkie słowa miały podstawy ze

szkła. Zmienił temat.

– Dziwnie się czuję, kiedy się nad tym zastanowię – powiedział.
– Pewnie już nigdy więcej nie będę spawał w próżni. Te wszystkie lata nauki i pracy, a teraz wszystko, co robię, ma wokół powietrze.

– Jakbym nie wiedziała. Gdybym wpadła na to, że to się później przyda, wszystkie przydziały spędzałabym na oddziale ogólnym.

– No cóż, jesteś najlepszą chirurg dłoni na planecie.

– Najlepsza chirurg dłoni na planecie czyta bardzo dużo o zaburzeniach przewodu pokarmowego i badaniach ginekologicznych – odpowiedziała cierpko Lucia. Jej spojrzenie było twarde i nieobecne. – Musimy porozmawiać o Felci.

O to chodziło. Łagodność, spokój, miłe wspomnienia. To wszystko prowadziło do tego. Wyprostował się, wbijając wzrok w ziemię.

– Co tu jest do powiedzenia?

– Mówiła o tym, co będzie dalej. Dla niej.

– To samo, co ze wszystkimi – odpowiedział Basia.

Lucia włożyła sobie do ust kolejną porcję potrawy i przeżuła ją powoli, choć danie wcale tego nie wymagało. Podmuch wiatru naparł mocniej na okno, uderzając cicho piaskiem w szkło. W końcu odezwała się cichym, ale nieustępliwym głosem.

– Chciałaby wstąpić na uniwersytet – oświadczyła. – Zaliczyła wszystkie kursy i egzaminy w sieci. Potrzebuje naszego pozwolenia na złożenie podania.

– Jest za młoda – odpowiedział Basia, natychmiast uświadamiając sobie, że to było niewłaściwe podejście. Frustracja ścisnęła mu gardło i odłożył na wprost zjedzoną kolację na oparcie fotela.

– Nie będzie, kiedy już tam doleci – zauważyła Lucia. – Gdyby poleciała z pierwszą partią i przesiadła się w *Medynie*, mogłaby dotrzeć na Ganimedesa lub stację Ceres za dziewiętnaście miesięcy. Może dwadzieścia.

– Potrzebujemy jej tutaj – powiedział Basia tonem twardym i ostatecznym.

To był koniec rozmowy. Tylko że wcale nie.

– Nie żałuję, że tu przyleciałam – powiedziała Lucia. – A ty wcale mnie do tego nie zmuszałeś. Te miesiące po Ganimesedzie, gdy wszyscy żyliśmy jak zbyt ciasno upakowane szczury? Te wszystkie porty, które nie chciały nas przyjąć? Pamiętam to. Kiedy rozwiązano Mao-Kwikowski, to ja pomogłam kapitanowi Andradzie wypełnić dokumenty do zgłoszenia odzysku. To dzięki mnie *Barbapiccola* stał się naszym statkiem.

– Wiem.

– Kiedy głosowaliśmy, stanęłam po twojej stronie. Może tak długie życie na prawach uchodźcy sprawiło, że zrobiliśmy się dzicy lub odważni. Nie wiem, chcieliśmy przylecieć tutaj. Rozpocząć wszystko od nowa pod innym niebem. W promieniach nowej gwiazdy. Uważałam to za równie oczywiste jak ty, i wcale nie żałuję przylotu.

Mówiła teraz ognistym tonem. Jej ciemne oczy jarzyły się i błyskały, wyzywając go do sprzeciwienia się. Nie próbował.

– Jeśli resztę życia spędzimy, wydobywając lit i próbując hodować marchewki, będę tym zachwycona – mówiła dalej. – Jeśli nigdy więcej nie zamocuję na powrót kolejnego więzadła ani nie odtworzę odciętego kciuka, dobrze. Bo to mój wybór. Ale Jacek i Felcia nie dokonali tego wyboru.

– Nie wysłę moich dzieci z powrotem – oświadczył Basia. – Co je tam czeka? Przy całej pracy, którą trzeba zrobić tutaj, ze wszystkimi rzeczami, których musimy się dowiedzieć i odkryć tutaj, jak powrót tam może być dobrym pomysłem? – Jego głos zrobił się głośniejszy niż zamierzał, ale nie krzyczał. Jeszcze nie.

– Pobyt tutaj był naszym wyborem – przypomniała Lucia. – Felcia musi sama dokonać swojego. Możemy jej stanąć na drodze albo pomóc.

– Pomóc jej wrócić do tego wcale nie jest pomaganiem – rzucił Basia. – Jej miejsce jest tutaj. Tu jest miejsce nas wszystkich.

– Tam, skąd pochodzimy...

– Przybyliśmy stąd. Nie liczy się nic, co działo się wcześniej. Teraz jesteśmy stąd. Z Ilusa. Prędzej zginę niż pozwolę im sprowadzić tutaj ich wojny, ich broń, ich korporacje i projekty naukowe. I niech mnie diabli, jeśli dostaną jeszcze jakieś z moich

dzieci.

- Tato?

W drzwiach stał Jacek. Trzymał na biodrze piłkę, a z jego oczu przebijał niepokój.

- Synu - odpowiedział Basia.

Jedynym dźwiękiem po tym słowie był jęk wiatru. Basia wstał, wziął swoje naczynie z jedzeniem, potem jeszcze Luci. Posprzątanie po niej było bardzo małą gałązką oliwną, ale nie miał nic więcej. W jego wnętrzu gotowało się uczucie bezsilnej furii i wstydu, nie znajdując ujścia. Katoa, lądowisko, niepokój w oczach Jacka. Lata spędzone na uciekaniu tylko po to, by skończyć w ceglanym pałacu, który chciała opuścić jego córka. Wszystko to zlało się w osłabiającą złość, gorącą jak słońce.

- Wszystko w porządku? - zapytał Jacek.

- Tak, po prostu rozmawialiśmy z mamą.

- Nie jesteśmy stąd - Lucia odezwała się, jakby Jacek wcale nie wszedł, jakby rozmowa dorosłych mogła trwać dalej w obecności chłopca. - Próbujemy to osiągnąć, ale to jeszcze nie prawda.

- Tak będzie - zapewnił Basia.

Rozdział szósty

ELVI

Elvi siedziała na łące z wyciągniętymi przed siebie nogami i cicho obserwowała. Odpowiedniki roślin – tak naprawdę nie mogła nazwać ich roślinami – wznosiły się nad suchą, beżową glebą, wyciągając się w stronę słońca. Najwyższa miała niewiele ponad pół metra, z płaskim pomarszczonym wierzchem poruszającym się w ślad za słońcem, jarząc się opalizującą zielenią pancrzyka chrząszcza. Łodygi poruszył łagodny wiatr, chłodząc policzek Elvi. Nie ruszyła się. Cztery metry od niej zagruchała jaszczurka papuzia.

Tym razem odpowiedź dobiegła z mniejszej odległości. Elvi zmusiła się, by nie podskoczyć z podniecenia. Miała ochotę machać rękami z radości i chichotać. Pozostała jednak nieruchoma jak głaz. Ofiara jaszczurki zbliżała się coraz bardziej. Zwierzę wielkości mniej więcej wróbla, po bokach pokryte było czymś miękkim przypominającym pióra lub gęste włosy. Poruszało się na sześciu mocnych, choć niezdarnie wyglądających nogach zakończonych podwójnymi haczykami. Chciała zobaczyć w nich palce, ale jak dotąd nie widziała, żeby któreś ze zwierząt użyło haczyków do manipulowania obiektami. Stwór zagruchał ponownie, emitując łagodne gardłowe dźwięki w pół drogi między gruchaniem gołębia a tamburynem. Jaszczurka papuzia poczekała chwilę, obracając w stronę małego zwierzęcia szeroko rozstawione oczy. Elvi obserwowała drżenie boku jaszczurki, prawie niewidoczny trzepot skóry pokrytej łuskami.

Paszcza drapieznika otworzyła się z szybkością pistoletu i wystrzeliła masę mokrego różowego ciała. Ofiara nawet nie skrzeknęła, gdy przenicowany żołądek jaszczurki wgniótł ją w ziemię. Elvi z zachwytem poruszyła pięściami, gdy jaszczurka

papuzia zaczęła wciągać z powrotem swoje narządy wewnętrzne po suchej ziemi. Ofiara była martwa lub sparaliżowana i przywarła do różowego ciała. Do żołądka przyklejała się też ziemia i małe kamienie. W końcu cała masa dotarła do zbyt szeroko otwartych szczęk jaszczurki i zaczął się długi proces wciągania tego wszystkiego z powrotem do paszczy. Z wcześniejszych obserwacji Elvi wiedziała, że minie większa część godziny, zanim znowu wypełnią się chwilowo wklęsłe boki papuziej jaszczurki. Wstała, otrzepała się z ziemi i zaczęła kułykać.

Stopę wciąż miała unieruchomioną usztywnieniem zyskanym tego pierwszego, koszmarne wieczoru. Ból złamanej kości był już tylko tępym ćmieniem, bardziej źródłem irytacji niż problemem, ale usztywnienie utrudniało poruszanie się. Otworzyła torbę z czarnej tkaniny, a potem delikatnie włożyła do niej pożywiającą się jaszczurkę. Przesunęło się po niej nieufne spojrzenie zwierzęcia. Całkiem słusznie.

– Przepraszam, maluchu – powiedziała. – To w imię nauki.

Zamknęła torbę i aktywowała sekwencję zbioru. Jaszczurka zginęła natychmiast i rozpoczęła się sekwencja analizy wewnętrznej, katalogując większe struktury w ciele zwierzęcia, wprowadzając cienkie jak włos igły do pobrania próbek z każdej granicy między tkankami i przesyłając dane do dedykowanego systemu w pasku torby. Do czasu, gdy dotrze do swojej chaty i wyciągnie truchło do zmagazynowania i skatalogowania, jaszczurka papuzia i jej ofiara zostaną wymodelowane w jej komputerze z terabajtami informacji gotowymi do wysłania do *Edwarda Israela*, a stamtąd dalej, do laboratoriów na Lunie. Sygnał będzie potrzebował kilku godzin na przebycie drogi, która jej zajęła osiemnaście miesięcy, ale w tym czasie ona z zespołem będą jedynymi ludźmi spośród miliardów na wszystkich planetach, znającymi tajemnice tego małego stworzenia. Gdyby pojawił się Bóg i zaoferował jej na wymianę bibliotekę aleksandryjską, nie zgodziłaby się.

Schodząc po łagodnym zboczach do swojej chaty, zobaczyła przed sobą górniczą wioskę. Była maleńka. Dwie równoległe ulice

z przerwą w środku, pełniącą funkcję miejskiego rynku. Budynki sklecono z zasobów przywiezionych z góry i tego, co zdołali znaleźć na powierzchni planety. Wszystko stało pod odrobiną niewłaściwymi kątami, jakby rozrzucono tam garść kości do gry. Przyzwyczaiła się do precyzyjnie odmierzanej architektury związanej z życiem w miejscach, gdzie każdy centymetr był cenny. Tutaj to nie obowiązywało, przez co małe miasto wydawało się bardziej organiczne, jakby po prostu tam wyrosło.

Fayez siedział na małym ganku przed chatą. W ciągu tygodni, które upłynęły od katastrofy, jego skóra pociemniała. Wstępne badanie hydrologiczne sprawiło, że razem z kilkoma innymi członkami zespołu spędził prawie dwa tygodnie w terenie.

– Wiesz, co mi się podoba w tej planecie? – przywitał ją Fayez.

– Nic?

Skrzywił się, udając zranione uczucia.

– Bardzo podoba mi się okres obrotu. Trzydzieści godzin. Możesz odpracować pełną dniówkę, posiedzieć, upijając się w knajpie, a i tak zdołasz się porządnie wyspać. Nie wiem, dlaczego nie pomyśleliśmy o tym w domu.

– Owszem, są pewne zalety – przyznała Elvi, otwierając drzwi i wchodząc do chaty.

– Oczywiście to oznacza, że przez ostatni miesiąc spędziliśmy tu prawie sześć tygodni – rzucił Fayez – ale Bogu dzięki nie trafiliśmy na jeden z tych małych bączków z zachodem słońca co sześć godzin. Gdyby jeszcze tylko dało się naprawić ciężenie.

Budynek miał cztery na sześć metrów i mieścił łóżko, prysznic, ubikację, kuchnię oraz stanowisko robocze, wszystko w jednym pomieszczeniu. Kiedy odkładała torbę do jednostki archiwizującej, uderzyło ją, jak istotna część jej pracy polegała na wnioskowaniu na podstawie budowy różnych rzeczy. Gdy tylko zobaczyła skierowane do przodu oczy jaszczurki papuziej, uznała, że to drapieżnik. Każdy, kto przyjrzałby się jej chacie, wiedziałby, że zaprojektowano ją przy założeniu, że dostępna przestrzeń będzie ograniczona. Wszystko było wynikiem swojej funkcji. To właśnie czyniło ewolucję tak wspaniałą. Spojrzała w lustro wiszące nad umywalką. Jej skórę pokrywała cienka

warstwa beżowego pyłu przypominającego sceniczny makijaż.

- Nie chcę tego robić - powiedziała, wycierając policzki wilgotnym ręcznikiem.

- Spójrz na to z dobrej strony - odpowiedział Faye. - Jak na razie tylko raz próbowali nas zabić.

- Nie pomagasz.

- Wcale nie próbuję - przyznał, a potem skrzywił się, jakby obudziły się wspomnienia.

Gubernator Trying został skremowany wraz ze wszystkimi ofiarami rozbitego promu. Poza jednym miejscowym, który przyleciał tu z lekoopornym rakiem kości, byli to pierwsi ludzie, którzy zginęli na tej planecie. Zdecydowanie byli pierwszymi ofiarami mordu.

Ale po tym mieszkańcy wioski byli dla nich bardzo mili i pomocni. Lucia Merton, lekarka, która przysłała z pomocą po katastrofie, kontrolowała stan zdrowia każdego uratowanego. Pasiarz z Ceres, Jordan, przynosił Elvi jedzenie, które jego żona gotowała dla rannych. Kapłan zaprosił ją na nabożeństwa w wioskowej świątyni. Wszystko w mieszkańcach Nowej Ziemi mówiło, że to mili, łagodni i autentyczni ludzie. Tylko że ktoś zabił gubernatora i jeszcze jedenaście innych osób.

Obóz RCE wzniesiono na południe od wioski.

Włącznie z Elvi i Fayezem, trochę poniżej połowy pracowników RCE na powierzchni zdecydowało się uczestniczyć w spotkaniu komunalnym wioski. Pozostali byli zajęci pracą lub wciąż zbyt ciężko ranni. Gdyby nie uważała, że częścią jej pracy jest uświadamianie innych w zakresie zagrożeń związanych ze skażeniem, Elvi pewnie też zostałaby w swojej chacie.

Większość personelu RCE była naukowcami pracującymi w terenie. Ubierali się, mając na uwadze głównie wygodę. Jedynie personel ochrony nosił formalne stroje. Hobart Reeve, zastępca Murtry'ego, prowadził trzech uzbrojonych strażników w mundurach RCE, nadających im wygląd żołnierzy albo policji. Nie było ich na dużym promie, ale przylecieli jednym z małych niemal natychmiast po katastrofie. Gdy dotarło polecenie z RCE zakazujące wysyłania na dół nowego personelu do czasu

przybycia obserwatora ONZ, Reeve prowadził już dochodzenie w sprawie, jak to określał „zdarzenia”.

Sala komunalna tworzyła jeden z boków rynku wioski czy też, jak woleli miejscowi, miasta, mając po drugiej stronie ziemnego placu świątynię. Gdyby nie zbiór obrazów religijnych wiszących pod okapem kościoła – trudno byłoby rozróżnić te budynki.

Krzesała wykonano z przemysłowych osłon i zmodyfikowanych prycz przeciążeniowych. Gdyby wioskę wzniesiono w strefie bardziej umiarkowanego klimatu planety, mieszkańcy mieliby do dyspozycji więcej lokalnej flory i może jakiegoś typu miejscowe drewno, ale tutaj lit znajdował się najbliżej powierzchni, a to właśnie ten metal miał im zapewnić pieniądze. I dokładnie z tego powodu, jak mikroorganizmy kierujące się gradientem stężeń, cała ludzkość na planecie zebrała się na tych dwudziestu kilometrach kwadratowych.

Elvi usiadła z tyłu z pracownikami RCE, poza Reevem i ochroniarzami, którzy usiedli z przodu, z miejscowymi. Przyglądała się, jak rozdzielają się bez słowa. Żadnej wymuszonej segregacji, ale i tak do niej doszło. Michaela, fizyk atmosfery, usiadła obok niej z uśmiechem. Anneke i Tor, oboje geoinżynierowie, usiedli razem z jej drugiej strony. Fayez usiadł na pryczy za nią, rozmawiając z Sudyam, która przyleciała pierwszym małym promem po katastrofie. Zdarzeniu. Ataku. Anneke nachyliła się i powiedziała coś cicho do Tora. Zaczerwienił się i trochę zbyt energicznie kiwnął głową. Elvi spróbowała zignorować ich zaloty.

Burmistrzem Pierwszego Lądowania była Marsjanka Carol Chiwewe, o grubych rysach, z wyraźnym akcentem i włosami ściętymi na zapałkę, tyle że miejscowi nazywali ją koordynatorką, nie burmistrzem. Kobieta formalnie otworzyła spotkanie, a Elvi poczuła, że jej serce przyśpiesza. Porządek obrad został ustalony przez Pasiarzy, więc zaczęło się od spraw ważniejszych dla nich niż dla Elvi lub RCE: harmonogramu konserwacji systemów oczyszczania wody, dyskusji nad potencjalnym otwarciem linii kredytowej w banku wspieranym przez SPZ, ale oferującym niekorzystne warunki (może lepiej

poczekać na wysłanie pierwszego ładunku litu i spróbować wynegocjować lepszy procent?). O wszystkim rozmawiano spokojnie i w zrównoważony sposób. Jeśli gdzieś tu czaił się gniew, strach lub morderstwo, zakopali je na tyle głęboko, że nie wystawał nawet wzgórek.

Przyszła kolej Reeve'a, więc ruszył energicznie do przodu sali. Na jego ustach rysował się wąski, wymuszony uśmiech.

- Dziękuję pani koordynator za zaproszenie nas do uczestnictwa - rozpoczął. - Otrzymaliśmy potwierdzenie, że leci do nas niezależny obserwator skierowany tu wspólnie przez ONZ, marsjański kongres i SPZ, a jego zadaniem będzie pomoc w dalszym rozwoju kolonii. Mamy nadzieję, że przed jego przylotem uda nam się rozwiązać kwestie dotyczące bezpieczeństwa.

Mamy nadzieję powiesić złoczyńców na linie, zanim ktoś tu przyleci i powie, że nam nie wolno, Fayez przetłumaczył na tyle cicho, że jego słowa dotarły tylko do uszu Elvi.

- Jednoznacznie zidentyfikowaliśmy materiał wybuchowy użyty w ataku i próbujemy odkryć, kto miał do niego dostęp.

Nie mamy zielonego pojęcia, kto to zrobił, a ponieważ wy, jełopy, trzymacie górnicze materiały wybuchowe w niepilnowanej szopie, nieprędko uda nam się czegoś dowiedzieć.

- Nie muszę wyjaśniać powagi tej sytuacji, ale Royal Charter Energy jest zaangażowana w powodzenie tej kolonii zarówno dla swoich pracowników, jak i tej społeczności. Jesteśmy w tym wszyscy razem, a moje drzwi są zawsze otwarte dla każdego z pytaniami lub wątpliwościami i mam nadzieję, że możemy polegać na tej samej życzliwości i współpracy, którą obdarzyliście nas od czasu przylotu.

Ponieważ niczego nie mamy, byłoby naprawdę miło, gdyby ktoś nam po prostu powiedział, kto podłożył te ładunki. Ponadto bardzo prosimy, żeby nie mordować nas we śnie. Dziękujemy.

Sudyam zakaszłała, żeby ukryć śmiech, a Fayez błysnął zębami w uśmiechu. Reeve na przedzie sali kiwnął głową i wrócił na swoje miejsce. Koordynatorka wstała, patrząc w stronę tyłu sali. Elvi odczuła nagle silny nacisk na pęcherz.

– Doktor Okoye? – odezwała się koordynatorka. – Chciała pani coś powiedzieć?

Elvi przytaknęła i wstała. Do przodu sali było około dziesięciu metrów, Elvi przeszła tę odległość, czując, jak skrzeczą jej nerwy. Ciepło bijące z ciał zgromadzonych nagle wydało się przejmujące, a woń potu i pyłu – przytłaczająca. Język zrobił się ciężki i lepki, ale uśmiechnęła się. Na oko siedziało przed nią około dwustu osób i wszyscy się w nią wpatrywali. Serce biło jej tak szybko, że zaczęła się zastanawiać, czy w sali jest dość powietrza. Przypomniała sobie otrzymaną kiedyś poradę, by znaleźć na widowni przychylną twarz i udawać, że przemawia się tylko do tej osoby. W czwartym rzędzie z lewej strony siedziała Lucia Merton, trzymając dłonie złożone na podolku. Elvi uśmiechnęła się, a kobieta odpowiedziała tym samym.

– Zajmę wam tylko minutkę – powiedziała Elvi – żeby powiedzieć parę słów o sposobach ograniczania skażenia krzyżowego ze środowiskiem. Ponieważ straciliśmy kopułę. Tę, która miała nam zapewnić separację.

Lucia zrobiła się poważna. Elvi zaryzykowała spojrzenie na resztę zebranych i natychmiast tego pożałowała.

– Elementem... uch. Elementem umowy RCE z ONZ było przeprowadzenie przez nas pełnego badania środowiskowego. Trafiliśmy do załedwie drugiej biosfery, jaką kiedykolwiek napotkaliśmy i jest tyle rzeczy, których o niej nie wiemy, że im bardziej możemy zachować ją nienaruszoną, tym lepiej będziemy mogli ją zrozumieć. Optymalne byłoby ustanowienie na powierzchni całkowicie zamkniętego ekosystemu. Hermetycznego jak statek. Ze śluzami, pomieszczeniami do odkażania i...

Zaczęła paplać. Uśmiechnęła się w nadziei, że ktoś tym odpowie. Przeliczyła się. Przełknęła ślinę.

– Z każdym oddechem wciągamy do siebie całkowicie nieznane mikroorganizmy. Choć mamy różne proteomy, wciąż jesteśmy tak naprawdę dużymi bańkami wody i minerałów. Prędzej czy później któryś z miejscowych gatunków znajdzie sposób na wykorzystanie tego faktu. Zresztą to działa też w drugą stronę.

Za każdym razem, gdy oddajemy stolec, wprowadzamy do środowiska miliardy bakterii.

- To powie nam pani teraz, że nie możemy srać? - zapytał męski głos.

Elvi poczuła nagłą falę gorąca, od której zaczerwieniła się jej szyja i policzki. Nawet wyraz twarzy Lucii zrobił się chłodny i odległy, a jej spojrzenie skierowało się w pustkę.

- Chodzi mi tylko o to, że gdybyśmy robili wszystko poprawnie, mielibyśmy chronione, jałowe środowisko i nie wychodzilibyśmy do ruin ani nie uprawiali roślin jadalnych na otwartym powietrzu, bo...

- Bo pani zdaniem zrobiliśmy to źle - wtrącił się mężczyzna siedzący obok Lucii. Był dużym facetem ze śladem siwizny na skroniach i krótkim zarostem na stale gniewnej twarzy. - Tylko że nie pani o tym decydować.

- Rozumiem, że mamy tu do czynienia ze skomplikowaną sytuacją - powiedziała Elvi głosem chrapliwym z desperacji. - Ale wszyscy żyjemy już w tej olbrzymiej szalce Petriego i mam listę kilku niewielkich poświęceń, których wszyscy możemy dokonać, żeby z naukowego punktu widzenia...

Mężczyzna obok Lucii Merton zaczerwienił się i nachylił się do przodu, opierając pięści na udach. Utkwił w niej spojrzenie jak drapieznik.

- Mam dość poświęcania różnych rzeczy dla nauki - oświadczył, a ton jego głosu groził przemocą.

Lucia położyła mu dłoń na nadgarstku, ale inni w sali przejęli wzgardę mężczyzny. Powietrze wypełniły dźwięki ciał poruszających się na miejscach, pomruk cichych rozmów i skrzywienie krzeseł.

Ten, kto zabił Tryinga, siedzi pewnie w tej sali, pomyślała. A potem gwałtownie naszła ją myśl, co ja tu, u diabła, robię?

Carol Chiwewe wstała z bolesnym wyrazem twarzy. Zawstydzona z powodu Elvi.

- Może lepiej będzie, jeśli wrócimy do tego innym razem, doktor Okoye. Jest późno i ludzie są zmęczeni, ne?

- Tak - wymamrotała Elvi. - Tak, oczywiście.

Ze skórą piekącą ze wstydu pomaszerowała z powrotem do swojego miejsca, ale nie zatrzymała się przy nim, wyszła na ulicę i samotnie ruszyła w gęstniejącym mroku do swojej chaty. Jej buty szurały na żwirze i pyłe. Powietrze było chłodne i pachniało jak przed deszczem. Nie przeszła jeszcze połowy drogi, idąc powoli w ciemności rozświetlanej tylko gwiazdami, gdy zatrzymał ją głos.

– Przepraszam za tatę.

Elvi się odwróciła. Dziewczyna była niewiele więcej niż głębszym mrokiem w nocy. Trochę bardziej litym cieniem. Elvi poczuła wdzięczność, że głos nie należał do mężczyzny.

– W porządku – powiedziała. – Chyba nie najlepiej się do tego zabrałam.

– Nie, chodzi o niego – oświadczyła dziewczyna, podchodząc bliżej. – Z nim nie da się rozsądnie rozmawiać. Mój brat zginął i teraz tata nie jest już takim samym człowiekiem.

– Och – zareagowała Elvi. – Przykro mi.

Dziewczyna kiwnęła głową, czymś przesunęła i w jej dłoni rozjarzyło się bladozielone światło, niewiele silniejsze od świecy, rzucając cienie na jej twarz. Była ładną nastolatką, ale Elvi pomyślała, że kiedy dorośnie, może się zrobić piękna jak jej matka.

– Jesteś córką doktor Merton – powiedziała.

– Felcia – przedstawiła się dziewczyna.

– Miło cię poznać, Felciu.

– Mogę panią odprowadzić do domu. Jeśli nie ma pani latarki.

– Nie mam – przyznała Elvi. – Powinnam była ją zabrać.

– Wszyscy czasem zapominają – powiedziała dziewczyna, ruszając przed siebie.

Elvi wydłużyła krok, żeby za nią nadążyć. Przez kilkanaście metrów szły w ciszy. Elvi wyczuła, że dziewczyna się do czegoś zbiera. Do wyznania lub groźby. Do czegoś niebezpiecznego. Miała nadzieję, że to tylko jej paranoja, ale była też pewna, że tak nie jest.

Kiedy dziewczyna wreszcie się odezwała, głos miała napięty z niepokoju i tęsknoty, a jej słowa były ostatnim, czego Elvi

mogła się spodziewać.

– Jak to jest, uczyć się na prawdziwym uniwersytecie?

Rozdział siódmy

HOLDEN

Powinny rozbrzmiewać fanfary, pomyślał Holden.

Przelot przez pierścień do innego układu gwiazdowego po drugiej stronie galaktyki względem Ziemi powinien być dramatycznym wydarzeniem. Trąby, głośnie alarmy, wpatrzone w ekrany, pełne napięcia twarze. Ale nie było nic. Żadnego fizycznego znaku, że *Rosynant* został przeniesiony pięćdziesiąt tysięcy lat świetlnych. Tylko upiorna czerń przestrzeni pierścieni została zastąpiona nieznanymi gwiazdami nowego układu. W jakiś sposób zwyczajność tego przelotu czyniła go jeszcze dziwniejszym. Wrota z tunelem nadprzestrzennym powinny być olbrzymim wirem światła i energii, a nie tylko wielkim Pierścieniem z czegoś w rodzaju metalu z różnymi gwiazdami po drugiej stronie.

Oparł się chęci włączenia ogólnego alarmu tylko w celu zwiększenia napięcia tej chwili.

Nowe słońce było słabą kropką białozółtego światła, nie tak różną od Słońca widzianego z Pierścienia tuż za orbitą Urana. W układzie znajdowało się pięć skalistych planet wewnętrznych, jeden olbrzymi gazowy gigant i kilka planet karłowatych na orbitach wychodzących nawet poza Pierścień. Czwarta z planet wewnętrznych, dokładnie pośrodku ekosfery gwiazdy, to Ilus. Nowa Ziemia. Bering Badanie Cztery. Statut RCE 24771912-F23. Jakkolwiek chciało się ją nazywać.

Wszystkie te nazwy były zbyt proste na to, czym naprawdę była. Pierwszym domem ludzkości przy obcej gwiazdzie. Ludzie ciągle wynajdowali sposoby zmieniania niezwykłych zdarzeń ostatnich lat w coś zwykłego. Za kilkadziesiąt lat, gdy wszystkie obce planety zostaną zbadane i zamieszkane, ośrodek z pierścieniami stanie się po prostu systemem tranzytowym. Nikt

nie będzie się nad nimi zastanawiał.

– Rety – rzuciła Naomi, patrząc na gwiazdę Ilusa spojrzeniem pełnym zachwytu.

Holden poczuł falę uczuć do niej.

– Właśnie o tym myślałem – wyznał. – Cieszę się, że nie ja jeden. Otworzył kanał do kokpitu.

– Yo – rzucił Aleks.

– Jak szybko możesz nas tam zawieźć?

– Bardzo szybko, jeśli jesteście gotowi na niewygody.

– Ustaw nas na harmonogramie szybkiego ciągu i daj mi trochę ziemi pod nogami – odpowiedział z szerokim uśmiechem Holden.

– Duży ciąg posadzi nas na planecie za około siedemdziesiąt trzy dni.

– Siedemdziesiąt trzy dni – powtórzył Holden.

– No, dokładnie siedemdziesiąt dwa koma osiem.

– Kosmos – rzucił Holden, zmieniając uśmiech na westchnienie – jest zdecydowanie za wielki.

* * *

W piątej godzinie lotu zaczęły przychodzić wiadomości. Holden poprosił Aleksa o obniżenie ciągu do jednej trzeciej g na kolację i odtworzył pierwsze nagranie na ekranie w kambuzie, pomagając Amosowi robić makaron.

Z ekranu patrzył na niego starszy mężczyzna, o brązowej skórze i siwych włosach. Miał wąskie rysy, dużą czaszkę Pasiarza i ślad akcentu Ceres w głosie.

– Kapitanie Holden. Fred Johnson poinformował nas o pańskim przylocie, więc chciałem podziękować za pomoc. Jestem Kasim Andrada, kapitan niezależnego frachtowca *Barbapiccola*. Pozwoli pan, że wprowadzę pana w obecną sytuację.

– Powinno być już dobre – rzucił Amos, przelewając dymiące spaghetti do sitka, żeby je odsączyć.

Holden podał mu garnek z mieszanym sosem pomidorowym, a potem oparł się o blat, żeby obejrzeć resztę nagrania.

– Kolonia wreszcie jakieś cztery miesiące temu uruchomiła kopalnię. W tym czasie wydobyliśmy z niej i wynieśliśmy na

orbitę kilkaset ton surowej rudy. Przy tym poziomie czystości, po rafinacji powinno się to przełożyć na prawie dwanaście ton czystego litu. To wystarczy, żeby kupić wyposażenie, lekarstwa, glebę i nasiona, czyli wszystko, czego kolonia potrzebuje, żeby mieć realną szansę.

Do kambuza weszła Naomi, stukając gorączkowo w swój ręczny terminal.

– Dobrze pachnie, ja... – urwała na widok odtwarzanego nagrania i usiadła, żeby obejrzeć.

– *Edward Israel* – kontynuował kapitan Andrada – oświadczył, że nie pozwoli nam opuścić orbity do zakończenia arbitrażu. Royal Charter twierdzi, że są właścicielami tego litu do czasu, aż ktoś powie im, że to nieprawda. Jednym z naszych pierwszych priorytetów będzie zniesienie blokady przez *Israel*, żebyśmy mogli zabrać tę rudę do rafinerii na Pallas, gdzie mamy już czekających w kolejce nabywców.

– Och – odezwał się Amos, wrzucając makaron z sosem do dużej miski i stawiając ją na stole. – I to jest naszym priorytetem?

Holden wstrzymał odtwarzanie.

– Zabrzmiało jak rozkaz, prawda?

– Jest z SPZ – przypomniała Naomi. – Sądzi, że jesteś tu rzecznikiem Freda.

– Ten gość przyprawi mnie o ból żołądka – skomentował Holden i wyłączył odtwarzanie. – Dokończę oglądanie po jedzeniu.

* * *

Następnego dnia na obejrzenie czekało pięć kolejnych transmisji. Kapitan *Edwarda Israela*, starszy Ziemianin nazwiskiem Marwick, z ogniście rudymi włosami i brytyjskim akcentem, zażądał, by Holden wymusił przestrzeganie statutu RCE przez uszkodzenie silników *Barbapiccoli* w przypadku, gdyby ten próbował opuścić układ. Fred przysłał wyrazy poparcia i przypomnienie, że Avasarala śle groźby dotyczące konsekwencji spieprzenia tej misji. Trzy stacje informacyjne poprosiły o wywiady, włącznie z osobistą prośbą Moniki Stuart

o wywiad na żywo po powrocie.

Miller oglądał to wszystko znad jego ramienia, aż Naomi weszła do pokoju i detektyw zniknął w chmurze błękitnych iskier.

– Monika chyba cię lubi – skomentowała z uśmiechem Naomi, a potem rzuciła się na podwójną pryczę przeciążeniową, której używali jako łóżka. – Aleks włączy większy ciąg za dwanaście minut, a ja chcę umrzeć.

– Monika będzie flirtować z jaszczurką, jeśli uzna, że da jej to szansę na dobry wywiad. Powiedz Aleksowi, żeby dał nam jeszcze pół godziny, żebym mógł wysłać kilka odpowiedzi i poczekaj, pójdę po pistolet.

Naomi z jękiem dźwignęła się z łóżka.

– Przyniosę kawy, gdy będziesz szukał nabojów.

– Nie wychodź – poprosił Holden, sięgając po jej rękę. – Nie chcę nagrywać tych wiadomości, mając za plecami Millera.

– On istnieje tylko w twojej głowie – przypomniała, ale i tak usiadła z powrotem. – Nie będzie go widać na nagraniu.

– Myślisz, że przez to czuję się mniej niestosownie? Serio?

Naomi przeczołgała się przez łóżko i zwinęła obok niego, kładąc mu głowę na piersi. Pociągnął ją lekko za lok włosów, a ona westchnęła z satysfakcją.

– Lubię długie loty, podczas których nie robimy tych miażdżących kości, szalonych gonitw – powiedziała. – Można czytać, słuchać muzyki i cały dzień siedzieć w łóżku. Bycie sławnym jest do bani.

– Ale też dzięki temu jesteśmy teraz tak jakby bogaci.

– Moglibyśmy sprzedać statek i znowu wziąć pracę w Pur’N’Kleen. Wozić lód z Saturna...

Holden milczał, bawiąc się jej włosami. To nie była poważna sugestia. Oboje dobrze wiedzieli, że nie było już powrotu do ludzi, którymi kiedyś byli. On jako pierwszy oficer, ona główny inżynier na lodowcowcu, którym nie interesował się nikt we wszechświecie, chyba że spóźniał się z dostawą. Anonimowi ludzie wiodący anonimowe życie. Czy przy tysiącu nowych planet z wodą i powietrzem ktoś jeszcze kiedyś będzie potrzebował Pur’N’Kleen?

– Poradzisz sobie tam na dole beze mnie? – zapytała Naomi.

Pasiarscy koloniści z Ganimesesa spędzili na *Barbapiccola* całe miesiące, przygotowując się do lądowania na Ilusie. Faszzerowali się hormonami wzrostu mięśni i kości, pracując pod pełnym ciężeniem, aż ich ciała mogły sobie poradzić z nieco wyższym od ziemskiego ciężeniem planety. Naomi nie miała czasu ani ochoty drastycznie modyfikować fizjologii tylko dla tego jednego zadania. Holden argumentował, że byłaby wtedy w stanie polecieć z nim później na Ziemię, ale odparła, że nigdy tam nie poleci, niezależnie od wszystkiego. Porzucili potem ten temat, ale wciąż był wrażliwy na tym punkcie.

– Nie poradzę – odpowiedział, decydując się nie rozniecać na nowo dyskusji. – Ale jest jak jest.

– Amos się tobą zaopiekuje.

– Świetnie – skomentował Holden. – Wyląduję w samym środku najbardziej napiętej sytuacji w dwóch układach słonecznych, a zamiast najinteligentniejszej znanej mi osoby wezmę ze sobą gościa, który najchętniej wdaje się w bójki.

– Możesz tego potrzebować – odpowiedziała, przeciągając palcami po bliznach, których nabawił się w ciągu ostatnich kilku lat. Zatrzymała się przy czarnej kropce na brzuchu. – Wciąż przyjmujesz leki przeciwnowotworowe?

– Codziennie. – Do końca życia, choć tego już nie dodał.

– Niech ich lekarka przyjrzy się temu po wylądowaniu.

– Dobrze.

– Wykorzystują cię – oznajmiła, jakby cały czas o tym rozmawiali.

– Wiem.

– Wiedzą, że to wszystko idzie ku gorszemu. Nie ma żadnego rozwiązania, w którym ktoś nie zostałby wystawiony do wiatru. To dlatego wysyłają cię, będziesz kozłem ofiarnym. Zatrudnili cię, bo niczego nie będziesz ukrywał, ale przez to też łatwo będzie cię obwiniać o nieuniknioną klęskę tych rozmów.

– Gdybym uważał, że to nieuniknione, nie wziąłbym tej roboty – odpowiedział. – I dobrze wiem, dlaczego to mnie do tego zatrudnili. Nie dlatego, że jestem najbardziej wykwalifikowany.

Ale też nie jestem takim idiotą, za jakiego mnie mają. Chyba nauczyłem się paru sztuczek.

Naomi sięgnęła i wyrwała mu włos ze skroni. Pomachała mu nim przed nosem, zanim zdążył zaprotestować. Miał kolor szarego pyłu.

- Stary pies – skomentowała.

* * *

Lot na Ilusa był męczący nie tylko z powodu długich okresów wysokiego ciśnienia. Za każdym razem, gdy *Rosynant* zwalniał do znośnego przyśpieszenia na czas posiłków i konserwacji, na Holdena czekały dziesiątki wiadomości do wyświetlenia i udzielenia odpowiedzi. Kapitan *Edwarda Israela* coraz bardziej stanowczo domagał się od Holdena gróźb wobec kapitana *Barbapiccoli*. Koloniści wraz z ich pasiarskimi towarzyszami na orbicie coraz mocniej domagali się uwolnienia *Barbapiccoli* z blokady. Obie strony oskarżały się wzajemnie o eskalację konfliktu, choć zdaniem Holdena fakt, że jak dotąd tylko koloniści przelali krew, nieco osłabiał ich pozycję w tym zakresie.

Z drugiej strony ich argument, według którego tylko sprzedaż rudy litu mogła uczynić ich kolonię samowystarczalną, a blokada wysyłki de facto prowadziła do ich zagłodzenia, miał pewną siłę przekonywania. RCE dalej upierało się, że ponieważ uzyskali statut od ONZ, prawa do wydobycia i ładunek litu na orbicie należą do nich.

- Tysiąc nowych planet do zbadania, a my wciąż walczymy o zasoby – rzucił Holden w przestrzeń po jednej z wyjątkowo długich i gniewnych wiadomości od radcy prawnego RCE na *Israelu*.

Odpowiedział mu siedzący przy stanowisku dowodzenia w pobliżu Aleks.

- Cóż, pewnie z tym litem jest jak z nieruchomościami. Nikt już nie robi nowych.

- Słyszałeś tę część o tysiącu nowych planet, prawda?

- Może niektóre z nich mają więcej litu, ale może nie. A ta decyzja go ma. Ludzie sądzili kiedyś, że warto się bić

o złoto, a przecież to cholerstwo powstaje przy każdym wybuchu supernowej, czyli da się je znaleźć praktycznie na każdej planecie przy gwiazdzie typu G2. Za to lit w gwiazdach spala się tak szybko, jak powstaje. Cała dostępna ruda powstała przy wielkim wybuchu, a tego raczej nie powtórzymy. To jest przykład niedoboru.

Holden westchnął i skierował sobie na twarz strumień z wywietrznika. Chłodny powiew z wymiennika sprawił, że zamrowiła go skóra na głowie. Na statku wcale nie było gorąco, więc pot musiał być objawem stresu.

– Jesteśmy zdumiewająco krótkowzroczni.

– Tylko ty i ja? – zapytał Aleks, dla zabawy przesadnie akcentując.

– Otworzyła się przed nami olbrzymia nowa granica. Mamy szansę stworzyć nowe społeczeństwo z niewypowiedzianymi bogactwami za każdymi z wrót. Ale ten świat ma skarb, więc zamiast wymyślić właściwy sposób na podzielenie cholery galaktyki, walczymy o pierwsze znalezione ochłapy.

Aleks przytaknął, ale nie odpowiedział.

– Mam wrażenie, że powinienem tam być już teraz – kontynuował Holden po chwili. – Boję się, że kiedy wylądujemy, wszyscy będą już tak okopani na swoich pozycjach, że nie będziemy mogli pomóc.

– Hm – mruknął Aleks, a potem się roześmiał. – Myślisz, że lecimy tam z pomocą?

– Myślę, że właśnie po to tam lecę. Będę w maszynie, gdyby ktoś mnie szukał.

– Została nam godzina do ciągu – odpowiedział Aleks do jego pleców.

Holden kopnął w przycisk zwalniania włązu, który rozsunał się z sykiem. Zszedł po drabinie przez poziomy załogowe do maszynie, gdzie Amos rozkładał na jednym z blatów coś o bardzo skomplikowanym wyglądzie. Holden kiwnął mu głową i otworzył włącznik prowadzący do pomieszczenia reaktora. Amos posłał mu pytające spojrzenie, ale tylko pokręcił głową, więc mechanik wzruszył ramionami i wrócił do swojej pracy.

Kiedy zamknął się za nim właz, pomieszczenie reaktora rozjarzyło się błękitnym światłem. Holden zsunął się po drabince na pokład, a potem oparł się o ścianę.

– Cześć – rzucił Miller, obchodząc reaktor zajmujący środek pomieszczenia, jakby cały czas stał po drugiej stronie i czekał na przybycie Holdena.

– Musimy porozmawiać – dopowiedział Holden.

– To mój tekst. – Detektyw poczęstował go uśmiechem smutnego basseta.

– Robimy to, czego chciałeś. Przelecieliśmy przez pierścień do jednego z innych układów. Zakładam, że będziesz chciał polecieć ze mną na planetę i się tam rozejrzeć.

Miller kiwnął głową, ale nie odpowiedział. *Ile z tego, co zamierzam powiedzieć, on już wie? Jaki poziom przewidywania oferuje ten ich model mojego mózgu?* Holden uznał, że zastanawianie się nad tym może go tylko doprowadzić do szaleństwa.

– Muszę wiedzieć dwie rzeczy – powiedział – albo ta podróż skończy się od razu.

– Dobra – odpowiedział Miller, unosząc dłonie do góry w pasiarskim odpowiedniku wzruszenia ramion.

– Po pierwsze, w jaki sposób się mnie trzymasz? Po raz pierwszy pokazałeś się na tym statku po Ganimedesie, a potem byłeś ze mną wszędzie, gdzie latam. Jestem zakażony? Czy w taki sposób się mnie trzymasz? Przeszedłem przez dwoje wrót, nie pozbywając się ciebie, więc albo tkwisz wewnątrz mojej głowy, albo jesteś zjawiskiem rozciągającym się na całą galaktykę. To jak?

– Cóż – rzucił Miller, a potem zdjął kapelusz i przygładził swoje krótkie włosy. – Oba przypuszczenia są błędne. Pierwsza odpowiedź jest taka, że tu mieszkam. Podczas incydentu Ganimedesa, co swoją drogą jest bardzo głupią nazwą, protomolekuła umieściła w tym statku węzeł lokalny.

– Chwila. Na pokładzie *Rosa* znajduje się materiał protomolekuły? – zapytał Holden, tłumiąc nagły atak paniki. Gdyby Miller chciał go skrzywdzić i miał ku temu sposób, już

dawno by to zrobił.

– Właśnie – potwierdził Miller, wzruszając ramionami, jakby nie było to nic wielkiego. – Miałeś gościa, pamiętasz?

– Masz na myśli na wpół ludzkiego potwora – skorygował Holden – który prawie zabił Amosa i mnie. I którego odparowaliśmy gazami wylotowymi z silnika.

– Tak, to on. Szczerze mówiąc, ten akurat nie kierował się żadnym spójnym programem. Ale zostało w nim dość starych instrukcji, więc umieścił na statku trochę materiału. Niewiele, i nie można tego nazwać żywą kulturą komórkową. Tylko tyle, żeby zachować połączenie między mocą obliczeniową stacji Pierścieni a twoim statkiem.

– Zakaziłeś *Rosa*? – powiedział Holden, czując, jak zмага się w nim furia ze strachem.

– Chyba nie użyłbym tego terminu, ale niech ci będzie. Jeśli się upierasz. To właśnie pozwala mi z tobą latać – wyjaśnił Miller, a potem zmarszczył brwi. – Co było to drugie?

– Nie wiem, czy skończyliśmy z tym pierwszym – warknął Holden.

– Jesteś bezpieczny. Potrzebujemy cię.

– A kiedy przestaniecie?

– Wtedy nikt nie będzie bezpieczny – wyznał Miller, błyskając oczami. – Więc przestań się przejmować. Ta druga sprawa?

Holden usiadł na pokładzie. Nie chciał pytać, jak Miller znajdował się w jego głowie, ponieważ bał się, że odpowiedź kryła się w zakażeniu. Fakt, że zakażony był nie on, a jego statek, był równocześnie źródłem ulgi i nowym powodem do strachu.

– Co znajdziemy na Ilusie? Czego szukasz?

– Tego, co zawsze. Sprawcy – odpowiedział Miller. – W końcu coś zabiło cywilizację, która to wszystko zbudowała.

– A jak się dowiemy, kiedy to w końcu znajdziemy?

– Och – stwierdził Miller, przestając się uśmiechać. Nachylił się w stronę Holdena, wypełniając powietrze wonią octanów i miedzi. – Dowiemy się.

Rozdział ósmy

ELVI

Burze piaskowe zwykle pojawiały się późnym popołudniem i wygasały krótko po zachodzie słońca. Zaczynały się jako rozmycie zachodniego horyzontu. Potem małe analogi roślin na równinie za jej chatą składały powierzchnie fotosyntezujące w ciasne zbitki przypominające drobne zielone usta, które zakosztowały cytryny, a dwadzieścia minut później miasteczko, ruiny i niebo zniknęły w fali suchego piachu.

Elvi siedziała przy swoim biurku, Felcia w stopach łóżka, a Fayeż opierał się plecami o wezłowie.

Felcia stała się częstym gościem, przychodziła rozmawiać z Elvi, Fayeżem lub Sudyam. Elvi lubiła jej towarzystwo. Dzięki niemu rozdział między miastem a zespołami RCE wydawał się... nie tyle mniej rzeczywisty, co nie taki straszny. Przepuszczalny.

Choć dzisiaj było inaczej. Felcia zdawała się bardziej spięta niż zwykle. Może chodziło o to, że coraz bardziej zbliżał się mediator z ONZ. A może o pogodę.

– Czyli nasz Układ Słoneczny ma tylko jedno drzewo życia – powiedziała Elvi, przesuając dłońmi w powietrzu, jakby chciała je wywołać. – Zaczęło się raz i wszystko, co kiedykolwiek znaleźliśmy, ma to jedno wspólne pochodzenie. Ale nie znamy powodu.

– Dlaczego wszyscy mamy wspólnych przodków? – zapytała Felcia.

– Dlaczego to nie zdarzyło się więcej niż raz – wyjaśniła Elvi. – Tylko jeden typ kryształu Schrödingera. Tylko jedna mapa kodonów. Dlaczego? Jeśli istniały tam wszystkie materiały do powstawania i interakcji aminokwasów, dlaczego w jednej kałuży nie powstał jeden schemat, a potem drugi w jakiejś innej, a potem kolejny i jeszcze jeden? Dlaczego życie pojawiło się tylko

ten jeden raz?

– To jak brzmi odpowiedź? – zainteresowała się Felcia.

Elvi rozłożyła lekko dłonie, opuszczając je. Wyjątkowo silny podmuch wiatru przegonił przed chatą falę twardego pyłu.

– Która odpowiedź?

– Dlaczego zdarzyło się to tylko raz?

– Ach. Nie wiem. To tajemnica.

– Z tego samego powodu, dla którego pozostał tylko jeden hominid posługujący się narzędziami. Te wciąż istniejące wybiły konkurencję – odezwał się Fayez.

– To spekulacje – zaprotestowała Elvi. – Nic w zapisie kopalnym nie wskazuje na to, że życie na Ziemi miało więcej niż jeden początek. Nie możemy wymyślać takich rzeczy tylko dlatego, że dobrze brzmią.

– Elvi bardzo dobrze czuje się z tajemnicami – skomentował Fayez, mrugając porozumiewawczo do Felci. – To dlatego tak trudno jej zrozumieć tych z nas, którzy czują się niepewnie z własną ignorancją.

– Cóż, nie można wiedzieć wszystkiego – rzuciła żartobliwie Elvi, by ukryć własny dyskomfort.

– Bóg wie, że ja nie wiem. Zwłaszcza na tej planecie – dodał Fayez. – Nie było sensu wysyłać tu geologa.

– Nie wątpię, że dobrze sobie radzisz – skomentowała Elvi.

– Ja? Tak, wprost cudownie. To wina tej planety. Ona nie ma geologii. To wszystko zostało wyprodukowane.

– Co masz na myśli? – zapytała Felcia.

Fayez rozłożył ręce jakby prezentował jej cały świat.

– Geologia to nauka o procesach naturalnych. Tutaj nic nie jest naturalne. Cała planeta została wyprodukowana. Ta ruda litu, którą wydobywają twoi ludzie? Nie istnieje żaden naturalny proces, który uczyniłby ją tak czystą jak to, co wyciągacie z ziemi. To niemożliwe. A więc najwyraźniej ktokolwiek zbudował wrota miał też pod ręką coś, co potrafiło zebrać stężony lit w jednym miejscu.

– Ale to fantastyczne – skomentowała Elvi.

– Jeśli interesują cię procesy przemysłowego oczyszczania.

Mnie nie. Do tego południowe równiny? Wiesz, jak bardzo są zmienne? Wcale. Znajdująca się pod nimi płyta tektoniczna jest *dostownie* płaska jak tafla szkła. Gdzieś około pięćdziesiąt kilometrów na południe stąd znajduje się jakiegoś typu tektoniczna maszyna do polerowania, o której nie mam zielonego pojęcia. Kompleksy tuneli? No cóż, to jakiegoś typu system *transportu* planetarnego. A ja tutaj mam...

– Potrzebuję listu polecającego – wypaliła Felcia, a potem czerwieniąc się, spuściła wzrok na swoje dłonie.

Elvi i Fayez wymienili spojrzenia. Wiatr wył i mamrotał.

– Do czego? – zapytała łagodnie Elvi.

– Chcę złożyć podanie na uniwersytet – wyjaśniła dziewczyna. Mówiła szybko, jakby słowa wypływały pod ciśnieniem, a potem zwolniła, aż w końcu prawie je z siebie wyduszała. – Mama uważa, że chyba się dostanę. Rozmawiałam z Instytutem Hadriana na Lunie i mama dogadała się, że będę mogła polecieć na Pallas, gdy *Barbapiccola* zabierze rudę, a potem mogę polecieć stamtąd samodzielnie, tylko że do podania wymagany jest list polecający, a nie mogę o to poprosić nikogo z miasta, bo nie powiedziałyśmy tacie i...

– Och – rzuciła Elvi. – No cóż. Nie wiem. To znaczy, nigdy nie widziałam twoich prac naukowych...

– Poważnie? – Fayez prychnął. – Elvi, to tylko list polecający. Nie wiążesz się w ten sposób przysięgą. Daj dziewczynie trochę luzu.

– No tak, po prostu pomyślałam, że lepiej by było, gdybym mogła faktycznie powiedzieć coś, co widziałam na własne oczy.

– Kiedy składałem dokumenty na uczelnię, sam napisałem sobie listy polecające. Dwa z nich były od ludzi, których wymyśliłem. Nikt tego nie sprawdza.

Elvi poczuła, że opada jej szczęka.

– Naprawdę?

– Jesteś fantastyczną kobietą, Elvi, ale nie wiem, jak udało ci się przeżyć w prawdziwym świecie. – Fayez zwrócił się do Felci. – Jeśli ona tego nie zrobi, ja ci napiszę. Będzie na rano, dobrze?

– Nie wiem, jak mogę się panu odwdzięczyć – odpowiedziała

Felcia, ale już wyglądała spokojniej.

Fayez zbył jej słowa machnięciem ręki.

– Wystarczy mi twoja dozgonna wdzięczność. Co zamierzasz studiować?

Przez następną godzinę Felcia opowiadała o karierze medycznej mamy, zaburzeniu immunologicznym nieżyjącego brata i regulacji sygnałów międzykomórkowych. Do Elvi zaczęło docierać, że podświadomie uznała dziewczynę za młodszą niż faktycznie była. Miała wysoką, nieco chudą sylwetkę i stosunkowo dużą głowę Pasiarki, a gdzieś w świadomości Elvi te proporcje zostały uznane za objaw niedojrzałości. Felcia doskonale pasowałaby do młodzieży rozpoczynającej studia. Światło na zewnątrz powoli zmieniło barwę z beżowej na głęboki brąz, potem bursztyn, a później zapadła ciemność. Wiatr się uspokoił. Kiedy Elvi otworzyła drzwi, ganek pokrywały dwa centymetry drobnego pyłu, a na niebie migotały gwiazdy. Powietrze pachniało świeżo zaoraną ziemią. Elvi pomyślała, że to jakiś analog promieniowców. Może faktycznie przenoszonych przez wiatr. Albo zapach wynikał z czegoś innego, czegoś jeszcze dziwniejszego.

Felcia wróciła do miasta, a Fayez do swojej chaty. Na ile mogła stwierdzić, Fayez był jednym z dwójki albo trójki pozostałych członków zespołu naukowego, którzy wciąż sypiali sami. Najnowszą parą byli Sudyam i Tolerson. Laberge i Maravalis właśnie zerwali związek, który narodził się podczas lotu, i każde z nich już spotykało się z kimś innym.

Seks nie był czymś rzadkim wśród naukowców. Choć było to zachowanie świadczące o braku profesjonalizmu, równoważył je fakt, że – zwłaszcza podczas wieloletnich wypraw polowych jak ta – pula potencjalnych partnerów była mocno ograniczona i generalnie wysokowartościowa. Ludzie byli ludźmi. Jeśli w ogóle zazdrościła, to nie żadnego konkretnego związku, a bliskości jako takiej. Miło byłoby mieć kogoś, z kim mogłaby się przejść w ciemności po burzy. Kogoś, przy kim budziłaby się rano. Zastanawiała się, jak wyglądała polityka stosunków seksualnych między rodzinami Pierwszego Lądowania. Gdyby

RCE pomyślała o wysłaniu zespołu nauk społecznych, mogliby napisać ciekawą publikację.

Przed nią, nieco na prawo, na tle horyzontu rysowały się ruiny obcych, będące ledwie trochę ciemniejszą plamą czerni. Tylko że między nimi poruszało się światło. Małe i słabe. Delikatniejsze od gwiazdy, widoczne tylko dzięki temu, że się ruszało. Ktoś znowu wszedł do ruin. Zanieczyszczał to miejsce. Wiedziała, że pozwala sobie na złość z tego powodu, ponieważ było to lepsze od uczucia samotności lub poczucia winy, ale przez to jej gniew nie zrobił się ani trochę mniej prawdziwy. Wróciła do chaty z mocno zaciśniętymi ustami. Chwyciła latarkę, sprawdziła poziom naładowania baterii i ruszyła do ruin śladem chwiejącego się, oświetlającego drogę kręgu błękitnego światła. Drobną pył poruszał się pod jej stopami jak śnieg, a uda bolały ją od szybkiego marszu.

Gdy zbliżała się do ruin, wydało jej się, że widzi oddalające się od nich słabe światło. Sunęło w stronę miasta. Jednak kiedy za nim zawołała, nikt nie odpowiedział. Stała w ciemności przez prawie minutę, najpierw czuła się niepewnie, potem była po prostu zawstydzona i wreszcie zła na własne uczucia.

Do ruin wiodła ścieżka, której nie zdołał ukryć nawet świeży opad pyłu. Ślady szerokie jak wóz w miejscach, gdzie koła turlały się po ziemi dość często, by wyrobić koleiny. Elvi pokręciła głowę i ruszyła śladem skręcającym wokół wybrzuszenia ziemi i zagłębiającym się w olbrzymie struktury obcych.

Wewnątrz wiązka światła z jej latarki padła na ściany i powierzchnie, śląc migotliwe odbłyски, które wydawały się ruszać niezależnie od niej. W miejscach osłoniętych przed wiatrem widać było odciski stóp. I to sporo. To nie były ślady jednej osoby prowadzącej samodzielną eksplorację ruin, traktowano je raczej jak coś w rodzaju klubu. Wszelkie pobrane tu przez naukowców próbki gleby były już nieodwracalnie skażone. Mikroorganizmy stanowiły mieszaninę znanych i obcych oraz tego, co mogło się wyłonić przy ich spotkaniu w całkowicie niekontrolowanym środowisku. Nieistotne wydawało jej się teraz, że to samo dotyczyło całego miasta.

Chodziło o budowle obcych. Zostały wzniesione przez wielką, nieistniejącą już cywilizację, o której ludzkość wciąż prawie nic nie wiedziała. To nie był jakiś domek na drzewie.

– Halo? – zawołała. – Jest tu ktoś?

Nikt jej nie odpowiedział. Nawet wiatr. Pokręciła głową i weszła głębiej w cienie. Jeśli ktoś tu był, wygłosi mu przemowę, którą zamierzała zaprezentować wcześniej. Zmusi ich do zrozumienia problemów, nawet jeśli będzie musiała mówić przez całą noc.

Ściany wokół niej wznosiły się z ziemi pod dziwnymi i niepokojącymi kątami, równocześnie organiczne i sztuczne, jak maszyna, którą zbudowano, by udawała dzieło natury. Łuki wyrastały i zamykały się nad nagą, ciemną ziemią. Im głębiej wchodziła Elvi, tym więcej wydawało się tam być, aż zaczęła mieć wrażenie, że ruiny są większe od środka niż od zewnątrz.

Właśnie miała zrezygnować i wrócić do domu, gdy dostrzegła coś prostokątnego. Obiekt zawierał linie proste, więc od razu się wyróżniał. Skrzynie wykonano z plastiku i ceramiki, proste szarości złamane jaskrawą czerwieńią i żółcią etykiet ostrzegawczych. **NIEBEZPIECZEŃSTWO, MATERIAŁY WYBUCHOWE. NIE PRZECHOWYWAĆ W POBLIŻU ŹRÓDEŁ CIEPŁA ALBO PROMIENIOWANIA KLASY TRZECIEJ.**

– O nie – powiedziała do siebie Elvi. – O cholera, nie.

* * *

– Doktor Okoye – powiedział Reeve. – Jeśli dobrze słyszę, mówi mi pani, że znalazła materiały wybuchowe ukryte za miastem.

– Tak – potwierdziła Elvi. – Oczywiście, że to właśnie panu mówię.

– Na dodatek są tam dowody odwiedzania tego miejsca przez kilku ludzi.

Siedzieli w biurze Reeve'a. Lampa rzucała ciepłe i łagodne światło, a jego wymięte spodnie i luźna koszulka sugerowały, że wyciągnęła go z łóżka. Miała wrażenie, że jest środek nocy, choć wydłużony czas obrotu oznaczał, że ciemność potrwa jeszcze przez prawie dziesięć godzin.

- Tak - potwierdziła.

- No dobrze - rzucił Reeve. - Wszystko w porządku. To bardzo dobrze. Musi mi pani teraz powiedzieć, jak znaleźć do miejsce.

- Tak. Oczywiście. Zaprowadzę pana.

- Nie, pani musi tu zostać. Nie wracać do swojej chaty, nie iść do ruin. Musi pani zostać tu, gdzie będzie bezpieczna. Rozumie pani?

- Ktoś tam był. Zobaczyłam światło, dlatego tam poszłam. A gdyby wciąż tam był?

- O to nie musimy się martwić, bo do tego nie doszło - powiedział Reeve starannie uspokajającym tonem głosu znaczącym zginęłaby pani. Elvi opuściła głowę w dłonie. - Może mnie tam pani skierować?

Zrobiła, co mogła, mówiąc drżącym głosem. Reeve wygenerował mapę na ręcznym terminalu, a ona była dość przekonana, że jest dokładna. Choć jej umysł zdawał się trochę rozchwiany.

- No dobrze - powiedział Reeve. - Będę musiał panią poprosić o zostanie tu przez jakiś czas.

- Ale cała moja praca jest w chacie.

Ochroniarz uspokajająco położył dłoń na jej dłoni, ale jego spojrzenie było już skupione wewnątrz, wyraźnie planował kolejny krok, który jej nie uwzględniał.

- Najpierw musimy zapewnić pani bezpieczeństwo - oświadczył. - Wszystko inne przyjdzie później.

Przez następną godzinę na zmianę siedziała i chodziła po małym pomieszczeniu. Przez ścianę docierały do niej głosy Reeve'a i jego zespołu ochroniarzy, rozmawiających poważnym i profesjonalnym tonem. A potem ich liczba się zmniejszyła.

Przyszła po nią młoda kobieta. Elvi już ją widziała, ale nie знаła jej imienia. Nagle wydało się jej niewłaściwe, że mogli spędzić prawie dwa lata, lecąc tu na jednym statku, a jednak nie udało jej się jej poznać. Powinno to coś znaczyć o populacjach i tym, na ile się mieszały. Na ile tego nie robiły.

- Potrzeba pani czegoś, doktor Okoye?

- Nie wiem, gdzie mogę spać - wyznała Elvi niewyraźnym głosem. Kruchym.

- Przygotowałam pani pryczę - odpowiedziała dziewczyna. -
Proszę ze mną.

Pokoje były puste. Pozostali ruszyli w obcy mrok, by wyjść naprzeciw koszmarnie ludzkiemu zagrożeniu. Dziewczyna prowadząca ją do pryczy miała przy pasie pistolet. Kiedy przechodzili obok okna, Elvi wyjrzała na zewnątrz. To była ta sama ulica, którą wędrowała dzień wcześniej, a jednak teraz wyglądała zupełnie inaczej. Nad wszystkim wisiało poczucie zagrożenia, jak obietnica nadchodzącej burzy. Jak rozmycie horyzontu. Zobaczyła idącego ulicą brata Felci, nie patrzył na nią ani na nic innego. Jej strach był zimny i głęboki.

Rozdział dziewiąty

BASIA

Basia zgłosił się na ochotnika na nocną zmianę w kopalni. Dzięki temu mógł unikać większej liczby ludzi. Mniej otwartego nieba, od którego robił się nerwowy. Praca, choć bardzo męcząca, przynosiła ulgę. Fabrykator sprowadzony z *Barbapiccoli* produkował tory i wózki w tempie ładowania do niego surowców. Jego zespół próbował nadażyć za mocą przerobową maszyny, składając system szyn, który umożliwi przewożenie rudy z jamy odkrywki do przesiewaczy i silosu. Tam ruda będzie czekać na prom z *Barbapiccoli*, który zabierze ją na orbitę. Wszystko, co wykopali do tej pory, zostało przewiezione ręcznie, z użyciem taczek. System mechanicznych wózków zwiększył produkcję o rząd wielkości, więc zespół Basi montował metalowe szyny, wyciągając je nowiutkie i lśniące w ostrym, białym świetle reflektorów. Ładowali je na ręczne wózki i przeciągali do dołu kopalni. Potem ręcznie ściągali je na ziemię i spawali do rosnącego systemu kolejki. Był to rodzaj pracy fizycznej, który w erze mechanizacji praktycznie nie był już wykonywany przez ludzi. Samo spawanie w atmosferze było procesem zupełnie różnym od spawania w próżni, więc musiał opanować nowy zestaw umiejętności. Połączenie wyzwania umysłowego i ciężkiego wysiłku fizycznego sprawiało, że poczuł się wyczerpany. Jego świat ograniczył się do następnego zadania, bólu rąk i odległej obietnicy snu. Nie było czasu na myślenie o innych sprawach.

Na przykład o byciu mordercą. O korporacyjnych ochroniarzach wężących wokół niego, Coopa i pozostałych. O winie odczuwanej za każdym razem, gdy Lucia kłamała im, mówiąc, że nie wie o niczym, co mogłoby im pomóc.

Później, gdy siedział w chacie zespołu z mięśniami drżącymi

i kurczącymi się od zmęczenia, próbując spać pomimo światła dnia przebijającego się przez okna, mógł znowu przywołać przed oczy scenę zniszczenia promu. Myśleć o tym, co mógł zrobić, by dezaktywować materiały wybuchowe szybciej, niż faktycznie to robił. Jak mógł się rzucić na Coopa i zabrać mu radio. Gdy był w wyjątkowo paskudnym nastroju, myślał o tym, że gdyby po prostu posłuchał żony, nic z tego w ogóle by się nie wydarzyło. W takie dni odczuwał wstyd tak silny, że trochę jej z tego powodu nienawidził. A potem nienawidził siebie za obwinianie jej. Wciskana na oczy poduszka blokowała światło słońca, ale nie obrazy wybuchającego ciągle na nowo promu, krzyczącego jak zwierzę przy obalaniu na ziemię.

Jednak w nocy, gdy pracował, miał przynajmniej trochę spokoju.

Kiedy więc przy jego stanowisku pracy pojawił się Coop, wchodząc do sztolni, jakby nie martwił się niczym na świecie, Basia prawie uderzył go w twarz.

– Cześć, stary – przywitał go Coop.

Basia puścił młot i stanął zgarbiony.

– Cześć – odpowiedział.

– Jest taka sprawa – kontynuował Coop, z uczuciem obejmując Basię ramieniem. – Potrzebuję do tego mi primero.

To nie wyglądało dobrze.

– Jaka sprawa?

Coop odprowadził go trochę dalej od miejsca pracy, uśmiechając się i kiwając głową kilku mijanym członkom nocnej zmiany. Po prostu dwóch kumpli oddalających się na chwilę porozmawiać.

– Widziałem tę dziewczynę z RCE wchodzącą do ruin – powiedział, gdy znaleźli się poza zasięgiem słuchu. – Wysłałem Jacka, żeby to sprawdził.

– Wysłałeś Jacka – powtórzył Basia.

Coop przytaknął.

– Dobry dzieciak. Można na nim polegać.

Basia zatrzymał się, wyciągając rękę.

– Nie... – *angażuj w to mojego syna.*

Zanim zdążył wypowiedzieć te słowa, Coop zbył je machnięciem i mówił dalej.

– Está ważne. – Coop podszedł bliżej i zaczął mówić ciszej. – Weszła do ruin, a potem poszła prosto do gliniarzy RCE. Jacek mówi, że planują tam na nas czekać. Złapać ruch oporu na gorącym uczynku.

– No to nie wrócimy tam – odpowiedział Basia.

To wydawało się takie proste. Żadnego powodu do paniki.

– Oszalałeś, primo? Toda alles tam byliśmy. Mają tam naszych śladów po same uszy. Jeśli poczekają dość długo to się znudzą i sprowadzą prawdziwy zespół śledczy, a wtedy będzie po nas. Po nas wszystkich, y veh, chyba że jak tam byłeś, przestałeś tracić naskórek.

– To co?

– Pójdziemy tam pierwsi. Wystarczy raca na ten materiał wybuchowy i bum. Koniec z dowodami.

– Kiedy?

Coop się roześmiał.

– A jak myślisz? Może gdzieś w przyszłym tygodniu? *Teraz, coyo.* Musimy iść teraz. Do lądowania mediatora zostały godziny, nie dni. Nie chcesz chyba, żeby zaraz po wylądowaniu zobaczył właśnie coś takiego, prawda? Jesteś szefem zmiany, możesz wziąć jeden z wózków. Musimy dostać się do tego syfu i to załatwić. – Coop niecierpliwie strzelił palcami. – Jetzt.

Coop mówił o szaleństwie, jakim było wysadzenie ich zapasów górniczych materiałów wybuchowych z takim spokojem i przekonaniem, że Basi trudno było się z nim spierać. Oczywiście, wysadzenie ruin obcych było szaleństwem, ale Coop miał rację. Jeśli znajdą materiały wybuchowe i powiążą je z Basią, będą wiedzieć. Nie chciał, ale musiał. Więc to robi.

– Dobra – rzekł i ruszył w stronę stacji lądowania wózków.

Został tylko jeden, a ponieważ wszechświat był okrutny i drwiący, był to ten sam, który prowadził w noc wysadzenia lądowiska. Wciąż miał wgniecenia i ślady przypaleń powstałe tamtej nocy. Ślady przypaleń, o które nikt w kolonii bardzo starannie nie pytał.

Coop czekał niecierpliwie, żeby go odblokował i wycofał ze stanowiska, a potem wskoczył do kabiny i zaczął wystukiwać szybki rytm na plastikowym kokpicie.

– Jedźmy, jedźmy, jedźmy.

Basia ruszył.

W połowie drogi do ruin obcych trafili na kolejnych czterech członków wewnętrznego kręgu Coopa. Pete i Scotty oraz Cate i Ibrahim. Bez Zadie. Jej synek złapał paskudne zakażenie oka i ostatnio nie wychodziła za wiele. Cate miała sporą torbę, która wylądowała na pace wózka z metalicznym łomotem, a potem cała czwórka poszła jej śladem.

– To sprzęt? – zapytał Coop, a Cate przytaknęła i klepnęła w bok wózka, dając Basi znać, że może jechać.

Basia nie pytał o zawartość torby. Było już za późno na pytania.

Ruiny wyglądały na równie mroczne i opuszczone jak zawsze, ale Coop kazał Basi objechać je dookoła i dotrzeć do miejsca od strony przeciwnej niż miasto.

– Tak na wszelki wypadek – wyjaśnił.

Kiedy Cate rozpięła torbę, Basi wcale nie zaskoczył widok broni. *Barbapiccola* nie był okrętem bojowym. Odlatując z Ganimesesa, nie mieli ze sobą dużej ilości broni, ale wszystkie ich zapasy trafiły na powierzchnię wraz z Pierwszym Lądowaniem. Wyglądało na to, że jest tu większość z nich. Cate wyciągnęła strzelbę i zaczęła ładować grube plastikowe naboje. Była wysoką, grubokościstą kobietą o szerokiej szczęce i trwałej zmarszczce na czole między oczami. Z bronią wyglądała naturalnie. Jak żołnierka. Basia podniósł jakiś krótkolufowy automat i poczuł się jak dziecko bawiące się w przebieranki.

– Potrzebujesz tego, zabójco – odezwał się Ibrahim i rzucił mu wąski metaliczny obiekt.

Basia dopiero po kilku sekundach zrozumiał, że to magazynek do automatu. Włożył go prawidłowo w uchwyt już za drugim razem. Wysadzić materiały wybuchowe. Oczyszczyć miejsce. Zniszczyć dowody. Tak naprawdę plan wcale tak nie wyglądał i gdzieś w głębi duszy to wiedział.

Gdy reszta grupy kończyła szykować swoją broń, Basia stał

kilka metrów od wózka, wpatrując się w nocne niebo. Jeden z punktów świetlnych na górze był dyszą *Rosynanta*, statku, którym leciał Jim Holden. Mediator. Człowiek, który miał nie dopuścić do wzajemnego zabijania się kolonistów i ludzi z RCE. Zastanawiał się, jak daleko jest Holden. Czy wiedział, że jest już spóźniony. Za późno po raz drugi. Na Ganimedesie Holden też się spóźnił.

Katoa, syn Basi, nie był jedynym chorym dzieckiem, którego układ odpornościowy ugiał się i przegrał walkę z tysiącami czynników obciążających życie poza studnią grawitacyjną. Cała grupa podobnych dzieci zgłaszała się każdego dnia do doktora Stricklanda. Człowieka, który miał znać właściwe odpowiedzi. Katoa, Tobias, Annamarie, Mei. Mei, która przeżyła. Którą James Holden uratował z laboratoriów na Io.

Holden był tam też, gdy znaleźli Katoę. Basia nigdy go nie spotkał. Widział go tylko w wiadomościach. Ale ojciec Mei był jego przyjacielem. Wysłał Basi wiadomość z informacją o tym, co zaszło i że był z Holdenem, gdy znaleźli ciało chłopca.

Dlaczego właśnie ona, a nie on? Mei Praksidike, ale nie jego Katoa. Dlaczego niektórzy ludzie ginęli, a inni żyli? Gdzie była w tym sprawiedliwość? Gwiazdy, na które patrzył, nie miały dla niego żadnych odpowiedzi.

Holden przybył zbyt późno, by powstrzymać to, co działo się teraz na Ilusie, jeszcze zanim postawił na nim nogę pierwszy człowiek. Zanim otworzyły się pierścienie. Zanim wykwitła Wenus. Gdyby Katoa wciąż żył, Basia by tu nie przyleciał, a gdyby nawet to zrobił, nie zostałby tu.

To była dziwna myśl. Nierzeczywista. Basia spróbował sobie wyobrazić człowieka, którym byłby w tamtej linii czasowej, ale nie potrafił. Spuścił wzrok na trzymany w dłoni brzydki czarny pistolet. Nie robiłbym tego.

– Zaczynamy – powiedział ktoś. Basia odwrócił się. To Coop. – Ogarnij się, coyo.

– Dui – odpowiedział Basia i odetchnął głęboko. Nocne powietrze było zimne, rześkie i delikatnie smakowało pyłem z wieczornej burzy piaskowej. – Dui.

– Chodźcie – rzucił Coop, a potem wolnym truchtem ruszył do ruin.

Cate i Ibrahim oraz Pete i Scotty pobiegli za nim, trzymając broń w sposób, który zapewne uważali za typowo wojskowy. Basia trzymał pistolet za lufę, nie chcąc, by jego palce znalazły się w pobliżu spustu.

Weszli do olbrzymiej struktury obcych przez jeden z licznych otworów w jej boku. Okna? Drzwi? Nie został żaden obcy, który mógłby wyjaśnić. Wewnątrz światło z ich latarek i lamp roboczych odbijało się od gładkich ścian wzniesionych pod dziwnymi kątami. Materiał wyglądał jak kamień, był gładki jak szkło, a po oświetleniu zmieniał się z czarnego na różowopomarańczowy. Basia przesunął palcami po jego powierzchni.

Coop machnął ręką, żeby stanęli, a potem schylił się i ostrożnie podszedł do przypominającego okno otworu w ścianie. Wyjrzał i natychmiast opadł z powrotem, gestem polecając grupie przyłączenie się do niego. Basia skulił się z resztą.

– Widzicie? – wyszeptał Coop, wskazując na pomieszczenie po drugiej stronie okna. – Wiedziałem, że się tam zaczają.

Cate wychyliła się, by rzucić okiem i przykucnęła z powrotem, kiwając głową.

– Widzę pięciu. Reeve, ich szef, i czterech zbirów. Pistolety i ogłuszacze. Wszyscy patrzą w przeciwną stronę.

– To zbyt łatwe, szefie – wyszeptał Scotty, szczerząc zęby, i odciągnął bezpiecznik karabinu.

Cate odsunęła zamek strzelby na tyle, by upewnić się, że w komorze znajduje się nabój. Coop uniósł w jednej ręce duży pistolet automatyczny, a drugą odciągnął zamek. Potem podniósł do góry trzy palce i zaczął cicho odliczać w dół.

Basia popatrzył kolejno na wszystkich. Wyglądali na przejętych i podnieconych. Wszyscy oprócz Pete'a, który wpatrywał się w Basię ze skórą coraz bardziej zieloną w słabym świetle, kręcąc głową na boki w cichym zaprzeczeniu. Basia praktycznie słyszał jego myśli. Nie chce tego robić.

Coś przeskoczyło w umyśle Basi i świat nagle zdał się

wyostrzyć z niemal fizycznym wrażeniem. Podążał za Coopem jak ogłuszony od chwili, gdy ten pojawił się w jego miejscu pracy. A teraz mieli właśnie zastrzelić grupę ochroniarzy RCE.

- Czekaście - powiedział.

Coop zareagował, wstając, celując z pistoletu do drugiego pomieszczenia i strzelając.

Umysł Basi się zaciął. Czas przeskoczył.

Coop wyrzaskuje obelgi i nieustannie strzela z pistoletu do sąsiedniego pomieszczenia. Basia leży na plecach, patrząc w górę na łuski wylatujące z pistoletu Coopa, odbijające się obok niego od ziemi. Wydawały się poruszać tak powoli, że Basia mógł odczytać tłoczenia na metalu: TruFire 7.5 mm.

Przeskok.

Stoi obok Cate. Nie pamięta, żeby wstawał. Kobieta prowadzi ogień ze strzelby, a w ograniczonej przestrzeni grzmot wystrzałów jest ogłuszający. Zastanawia się, czy dozna trwałego uszkodzenia słuchu. W sąsiednim pomieszczeniu trzech mężczyzn i dwie kobiety w mundurach ochrony RCE próbują znaleźć jakąś osłonę, wyciągnąć broń lub odpowiedzieć ogniem. Na ich twarzach widać panikę. Krzyczą do siebie w ruchu. Nie rozpoznaje żadnych słów. Jeden z nich strzela z pistoletu i pocisk uderza w ścianę blisko Cate. Kawalek pocisku albo ściany wybija mały otwór w jej policzku. Strzela dalej, jakby rana była zbyt drobna, by ją zauważyć.

Przeskok.

Kobieta z ochrony RCE trzyma się za pierś, z której tryska fontanna krwi. Twarz ma bladą i przerażoną. Jest ledwie metr od niej, stojąc obok Scotty'ego. Scotty znowu do niej strzela, tym razem w szyję. Kobieta pada w zwolnionym tempie, sięgając rękami do rany, ale w pół drogi robi się bezwładna i po prostu wygląda jakby wzruszała ramionami.

Przeskok.

Stoi sam w korytarzu. Nie wie, gdzie jest ani jak tam trafił. Z tyłu słyszy strzały i krzyki. Kilka metrów przed nim stoi ochroniarz RCE z ogłuszaczem. Mężczyzna ma ciemną skórę i jasne oczy, szeroko otwarte ze strachu. Basia nagle przypomina sobie, że mężczyzna ma na imię Zeb, choć nie pamięta, skąd to wie. Zeb rzuca w niego

ogłuszaczem i sięga po pistolet nadal wciśnięty do kabury na biodrze. Broń uderza Basię w głowę, rozcinając skórę na trzy centymetry, a z rany natychmiast zaczyna płynąć krew, choć tego nie czuje. Widzi, że Zeb wyciąga pistolet i w ogóle nie myśląc, celuje w niego z własnej broni. Zaskoczył go fakt, że trzyma ją prawidłowo, za rękojeść, z palcem na spuście. Nie pamięta, żeby ją tak ujął. Pociąga za spust. Nic się nie dzieje. Właśnie ma to zrobić po raz drugi, gdy za jego plecami rozlega się głośny huk i Zeb zaczyna padać, z krwią tryskającą z czoła. Czeką na utratę świadomości.

Tym razem nie ma przeskoku. Żadnego wytchnienia. Żadnej ucieczki.

– Dobra robota – mówi za nim Coop. – Ten prawie uciekł.

Basia odwraca się powoli, wciąż we śnie. Fuga. Stan dysocjacyjny. Impuls uniesienia ręki jeszcze jeden raz, zgody na to, by dać się ponieść przemocy i zastrzelić Coopa, prawie skłania go do zrobienia tego. Prawie, ale nie do końca. Zeb wykrwawił się na podłodze. Koniec strzelaniny.

Reszta grupy za nim zaczęła pokrzykiwać radosnymi i podnieconymi głosami. Basia popatrzył na swój automat, przypominając sobie, jak prezentują jego działanie filmy instruktażowe. Magazynek z nabojami wsadza się do broni, a potem należy umieścić pocisk w komorze. Przypomniał sobie, jak Cate odciągała zamek swojej strzelby. Jak robił to Coop ze swoim pistoletem. Broń Basi nie wystrzeliłaby niezależnie od tego, ile razy nacisnąłby spust.

Zeb przestał krwawić. *To prawie byłem ja*, pomyślał Basia, ale ta myśl nie niosła jeszcze ze sobą żadnych emocji. Żadnej wagi. Tak jakby przez jego umysł przeleciała chmura gryzącego dymu, natychmiast się oddalając.

– Pomóż nam ściągnąć ich ciała, primo – powiedział Coop, poklepując go po plecach. – Zade zmyje to miejsce kwasem i enzymami trawiennymi, zniszczy dowody, ale one nie zjedzą tych dużych kawałków, nie?

Basia pomógł. Zakopanie ciał pięciorga kobiet i mężczyzn w twardej, ubitej ziemi za ruinami obcych zajęło im kilka godzin.

Coop zapewnił ich, że następna burza pyłowa ukryje wszelkie ślady ludzkiej obecności w tym miejscu. Ludzie RCE po prostu znikną bez śladu.

Scotty i Pete wyciągnęli z ruin resztę materiałów wybuchowych i załadowali je na wózek. Potem pomaszerowali z powrotem do miasta z Cate i Ibrahimem. Cate niosła na ramieniu torbę z bronią. Pistolet automatyczny Basi znowu tam trafił, choć ani razu nie wystrzelił.

– Musieliśmy to zrobić. – Coop odezwał się, gdy odeszli.

Basia nie wiedział, czy mówi to jemu czy samemu sobie. I tak kiwnął głową.

– Ustawiłeś to wszystko. Wiedziałeś, że ich zabijemy i uczyniłeś mnie częścią tego.

Coop posłał mu pasiarskie wzruszenie ramion i okrutny uśmiech.

– Ty też o tym wiedziałeś, coyo. Możesz udawać, że tak nie było, ale wiedziałeś.

– Nigdy więcej – oświadczył Basia. – A jeśli komuś z mojej rodziny stanie się przez to krzywda, sam cię zabiję.

Pojechał z powrotem do kopalni, a potem pieszo wrócił do domu. Kiedy w końcu wszedł do maleńkiej łazienki, właśnie wschodziło słońce. Człowiek w lustrze nie wyglądał na mordercę, ale miał ręce pokryte krwią. Próbował ją zmyć.

Rozdział dziesiąty

HAVELOCK

Mniej więcej pięć godzin wcześniej – gdy Havelock znajdował się w połowie dziesięciogodzinnej zmiany – mężczyzna ubrany w pomarańczowo-fioletowy garnitur, tak brzydki, że aż odrzucało, usiadł na fotelu w studiu nagraniowym na Marsie. Havelock unosił się przytrzymywany w miejscu pasami i przyglądał mu się. Przypinał się już odruchowo, choć czuł się z tym trochę głupio. Przestrzeń orbitalna wokół Nowej Ziemi była praktycznie pusta i ryzyko nagłego przyśpieszenia było prawie zerowe. Po prostu przyzwyczajenie. Na małym monitorze osadzonym w ścianie kabiny młody mężczyzna ucisnął rękę gospodyni i uśmiechnął się do kamery.

– Minęło trochę czasu, od kiedy ostatnio nas pan odwiedził, panie Curvelo – odezwała się prezenterka. – Bardzo dziękujemy za przybycie.

– Dobrze znowu tu być, Moniko – odpowiedział mężczyzna, kiwając głową, jakby go na czymś przyłapano. – Dobrze znowu tu być.

– Miałam szansę zagrać w nową grę i muszę przyznać, że wydaje się *dużym* odejściem od twoich wcześniejszych dzieł.

– Tak – potwierdził gość lakonicznie.

Mocno zacisnął szczękę.

– Wywołało to pewne kontrowersje – mówiła dalej dziennikarka. Jej uśmiech zrobił się nieco ostrzejszy. – Możemy o tym porozmawiać?

Havelock fizycznie nie mógł się zapaść w pryczę, ale psychologicznie poczuł, jakby właśnie to zrobił.

– Słuchaj, Monika – odpowiedział mężczyzna w brzydkim garniturze – to, co tu eksplorujemy, to *konsekwencje* przemocy. Wszyscy patrzą na pierwszą część i nie zastanawiają się nad tym

wszystkim, co dzieje się dalej.

Zadzwonił ręczny terminal Havelocka. Wyciszył kanał wiadomości i odebrał połączenie.

– Havelock – przywitał go Murtry – musisz odebrać połączenie.

Mówił głosem tak spokojnym i kontrolowanym, że Havelockowi niemal zaparło dech. To brzmiało jak kłopoty, a jego umysł chwycił się pierwszego lęku, jaki się nasunął. *Rosynant* z Jimem Holdenem, rozjemcą ONZ, był jakieś dziesięć godzin od końca hamowania. Prawie tutaj. Gdyby coś mu się stało...

– Coś stało się na dole – powiedział Murtry. – Mam na linii Cassie, będziesz musiał powstrzymać ją od rozpadnięcia się w czasie, gdy będę rozmawiał z kapitanem.

– Tak źle?

– Owszem. Odbierz połączenie. Bądź spokojny. Dasz radę?

– Jasne, szefie – zapewnił Havelock. – Chłodny jak lód, gładki jak jedwab.

– Doskonale.

Obraz znieruchomiał na ułamek sekundy, a potem miał przed sobą Cassie. Przez półtora roku razem lecieli statkiem, byli w tym samym zespole i choć nie byli sobie bliscy, dobrze się znali. Nie interesował się tym zbyt, ale i tak wiedział, kiedy nawiązała romans z Aragão, a potem kiedy z nim zerwała. Miał ją za koleżankę, ponieważ poza tym prawie o niej nie myślał.

Na ekranie miała skórę koloru popiołu i zaczerwienione oczy.

– Cassie – odezwał się Havelock głosem o kojącym zabarwieniu, którego wyuczył się podczas warsztatów z negocjacji z porywaczami, zaliczonym po zamieszkach na Ceres. – Ponoć sytuacja na dole nie wygląda najlepiej.

Śmiech. Cassie przesunęła kamerę, potrząsając nią na ekranie jak przy trzęsieniu ziemi. Odwróciła wzrok, potem spojrzała w obiektyw.

– Przepadli – powiedziała. W zapadłej po tym słowie ciszy jej spojrzenie przesunęło się, jakby czegoś szukała. Może słów do powiedzenia. – Nie ma ich.

– Dobrze – odpowiedział. Nasuwało mu się tysiąc pytań, błagając o zadanie. *Co się stało? Kogo nie ma? Co się stało? Ale*

Murtry nie prosił go o zdobycie informacji, a Cassie nie potrzebowała teraz śledczego. – Murtry rozmawia z kapitanem.

– Wiem – rzuciła Cassie. – Dostaliśmy informację. Znaleźliśmy kryjówkę. Reeve ich zabrał, ja zostałam na miejscu ze świadkiem.

– Świadek wciąż tam jest?

– Teraz śpi – potwierdziła Cassie. – Jestem konsultantką systemów zabezpieczeń, Havelock. Powinnam układać optymalne harmonogramy zmian i budować system monitorowania. Nie strzelam do ludzi. To nie jest moja cholerna kategoria płacowa.

Havelock uśmiechnął się, a Cassie uśmiechnęła się razem z nim, choć z oka wypłynęła jej łza. Przez chwilę oboje się śmiali, zmieniając przerażenie i lęk w coś oczyszczającego. Coś odrobinę bezpieczniejszego.

– Boję się jak diabli – wyznała Cassie. – Jeśli przyjdą też pomnie, nie zdołam się obronić. Zamknęłam całe biuro, ale mogą się przebić przez ściany. Mogą to wszystko wysadzić. Nie mam pojęcia, dlaczego uznaliśmy lądowanie tutaj za dobry pomysł. Po tym jak wysadzili prom, powinniśmy byli zabrać tyłki z powrotem na orbitę i zostać tam. Powinniśmy na nich zrzucić skały z pieprzonej orbity.

– Teraz najważniejsze jest zapewnienie bezpieczeństwa tobie i świadkowi.

– A jak niby zamierzacie to zrobić? – zapytała Cassie. Jej głos zabrzmiał jak wyzwanie, ale bardzo chciała poznać odpowiedź. *Równocześnie nie zdołacie i powiedz mi, że to możliwe.*

– Pracujemy nad tym – zapewnił Havelock.

– Nie mam tu nawet nic do jedzenia – rzuciła Cassie. – Wszystko jest w kantynie. Mogłabym zabić za kanapkę. Serio. Zabiłabym za jedzenie.

Havelock próbował sobie przypomnieć, co mówili na warsztatach o rozmawianiu z ludźmi po traumatycznych przeżyciach. Była na to lista. Cztery pozycje. Był na to skrót pamięciowy: BEST, ale nie pamiętał, co znaczą poszczególne litery.

– No dobra – odezwał się. – Założę się, że teraz jesteś nieźle

przestraszona.

– Nie daję sobie rady.

– No wiesz, tak tylko się czujesz, bo tak naprawdę poprawiasz sytuację przez sam fakt, że jej nie pogarszasz. Kiedy sytuacja jest zła, ludzie często popełniają właśnie taki błąd. Reagują przesadnie, eskalują. Wtedy wszystko trafia szlag. A ty się zamknęłaś i rozmawiasz z nami. To znaczy, że masz bardzo dobre odruchy.

– Wymyślasz to sobie – odpowiedziała Cassie. – Jestem na granicy zapaści.

– Zostań po tej stronie, to wystarczy do wygranej. Ale poważnie, naprawdę postępujesz właściwie. Utrzymaj nerwy na wodzy, a wyjdziemy z tego z tarczą. Wiem, że czujesz się, jakby świat się walił, ale wszystko będzie w porządku.

– Jeśli ja nie...

– Będzie dobrze.

– Ale jeśli nie. *Jeśli*, dobra?

– W porządku – zgodził się Havelock. – Jeśli.

– Zrób coś dla mnie. Jest facet na Europie. Hihiri Tipene. Inżynier żywności.

– Dobrze.

– Powiedz mu, że żałowałam.

Ona myśli, że zginie, pomyślał Havelock *i może mieć rację*. W jego ustach pojawił się ostry, metaliczny smak strachu. Miejscowi zabijali ochronę RCE, a ona była ostatnia przy życiu. Nie wiedział niczego na temat bieżącej sytuacji na dole. Równie dobrze Cassie mogła w każdej chwili zmienić się we wspomnienie dzięki trzem tonom materiałów wybuchowych. Mogła zginąć w każdej chwili, a on mógł obserwować jej śmierć i nie móc nic z tym zrobić.

– Sama mu to powiesz – odpowiedział łagodnie. – A po tym, co przeszłaś dzisiaj, to nawet nie będzie straszne.

– No nie wiem. Nigdy nie spotkałeś Hihiri. Obiecujesz?

– Jasne – potwierdził Havelock. – Jestem z tobą.

Cassie kiwnęła głową. Po jej policzku spłynęła kolejna łza. Miał wrażenie, że nie za dobrze radzi sobie z powstrzymaniem jej

przed rozpadnięciem się.

Na ekranie pojawiło się małe dodatkowe okienko. Obejście bezpieczeństwa Murtry'ego.

– Cześć, Cass – odezwał się szef ochrony. – Rozmawiałem z kapitanem Marwickiem, wyślemy ci zespół do pomocy. Ale zajmie nam to kilka godzin. Twoim zadaniem jest zapewnienie bezpieczeństwa tej kobiecie.

Kiedy Cassie się odezwała, jej głos drżał, ale się nie złamała.

– Na planecie jest czterdziestu naszych ludzi i dwustu ich. Ja jestem sama. Wszystkich nie ochronię.

– Nie musisz – zapewnił Murtry. – Wysłałem zawiadomienie o blokadzie. Koordynuję działania zespołów naukowych. Zajmę się tym wszystkim, twoim zadaniem jest doktor Okoye. Po prostu dopilnuj, żeby dożyła do czasu, aż tam przylecimy, dobra?

– Tak jest, sir.

– Dobra – rzucił Murtry. – Dwie godziny. Dasz radę, Cass.

– Tak jest, sir.

– Havelock, robimy teraz odprawę w biurze ochrony. Możesz wpaść?

– Już lecę – odpowiedział Havelock.

Rozpiął uprząż, wyciągnął się z pryczy i ruszył na korytarz. Korytarze *Edwarda Izraela* zbudowano w formie wydłużonych ośmiokątów, jak coś, w czym mógł podróżować jego dziadek. Taśmy i uchwyty umieszczone wzdłuż ścian nie sugerowały żadnego kierunku. Poruszał się szybko, a jego mózg przełączał się między informowaniem go, że wspina się w górę olbrzymiej, stalowo-ceramicznej studni, spadaniem w jej głąb głową w dół, aż do – co dziwne – wspinania się w zwisie, jakby był pod sufitem wielkiej rury kanalizacyjnej. Mówiono mu, że Pasiarze mieli naturalnie odłączone poczucie siebie w takich sytuacjach, wolne od pojęć góry i dołu, ale słyszał to tylko od Pasiarzy i zawsze w kontekście tego, na ile są od niego lepsi. Może była to prawda, może tylko przesada. Niezależnie od wszystkiego, kiedy w końcu dotarł do biura ochrony, trochę kręciło mu się w głowie i brakowało mu fałszywego ciężenia ciągu.

Przy ścianach unosiło się dziesięć osób, wszyscy z głowami

skierowanymi w tę samą stronę. Kobiety i mężczyźni o drastycznie różnych rysach i kolorach skóry, choć wszyscy z tym samym wyrazem twarzy. Było to prawie upiorne. Murtry wydał sprzęt do tłumienia zamieszek – niebiesko-szare pancerze z wysokimi kołnierzami chroniącymi kark nadawały im wszystkim wygląd wielkich, człekokształtnych owadów. Nawet Murtry miał na sobie pancerz, więc najwyraźniej też planował zejście na dół.

– ...jacy mi zostali – mówił Murtry z miejsca na przedzie pokoju.

– A wy jesteście *wszystkimi*, którzy mi zostali. Kawaleria nie przyleci z domu uratować nam tyłki. To my jesteśmy kawalerią, a to oznacza, że straciłem już wszystkich, których stracę. Jesteśmy oddziałem ochrony dla całej planety, my, zebrani w tym pokoju. I możemy to zrobić, ale nie bez pewnych poświęceń. Kiedy będziemy tam na dole i poczujecie się zagrożeni, zróbcie wszystko, żeby ochronić siebie i oddział.

– Sir?

– Okmi?

– Czy to oznacza upoważnienie do reagowania zabójczą siłą?

– To oznacza, że macie upoważnienie do *wyprzedzającego* zastosowania zabójczej siły – odpowiedział Murtry a potem poczekał, by jego słowa do nich dotarły.

Havelock sapnął. Takie podejście było paskudne, ale nie mieli wyboru. Gdyby ciężki prom był tylko przestępstwem, mogliby postępować z tym jak policja, ale miejscowi nie zatrzymali się na tym i teraz kolejni ludzie RCE zginęli lub zaginęli. Teraz sytuacja bardziej przypominała wojnę.

Cóż. Przynajmniej najpierw próbowali postępować pokojowo. Nie, żeby Pasiarze dali im za to jakieś punkty.

– Lecimy za dwadzieścia minut – oznajmił Murtry. – To długi, szybki lot i przez część drogi będzie trzęsło. Wylądujemy tuż na wschód od obozu Pasiarzy. Smith i Wei będą dowódcami drużyn. Priorytetem jest dotarcie do naszego biura na dole i wzmocnienie go.

– A co z *Barbapiccolą*? – zapytał ktoś.

– Pieprzyć *Barbapiccolę*! Co z *Rosynantem*?

Murtry uniósł dłonie, powstrzymując i uspokajając pytającego.

– Nie traćcie czasu na przejmowanie się tym, co dzieje się na orbicie albo w domu. To moja sprawa i ja się tym zajmę. Z Havelockiem. – Murtry posłał mu szybki uśmiech, a Havelock przytaknął, prawie się kłaniając. – Macie swoje rozkazy i moje zaufanie. Lećmy na dół i ogarnijmy ten burdel.

Zespół ochrony zaczął się rozchodzić, ruszając szybko i sprawnie w stronę hangaru i lekkich promów. Patrząc na pozostałych ruszających na dół bez niego, Havelock poczuł ukłucie żalu. Przypomniawszy sobie coś z dzieciństwa, przebłysk wspomnienia, które natychmiast odpłynęło, o kulawym dziecku i szczurołapie z fletem.

Murtry przeleciał do niego przez pokój, przemieszczając się w stronę przeciwną do pozostałych.

– Dobrze cię widzieć, Havelock. Będę potrzebował minuty.

– Tak jest, sir.

Murtry kiwnął głową w stronę swojego biura. Pomieszczenie było maleńkie, nawet mniejsze od kabiny do spania, z pryczą przeciążeniową na starego typu kardanach, które wznosiły się nad nią łukiem. Murtry zamknął za nimi drzwi.

– Będziesz odpowiedzialny za statek.

– Dziękuję, sir.

– Na twoim miejscu bym nie dziękował. Zostawiam cię w gównianym położeniu – skomentował Murtry. – Mamy na *Israelu* pełną załogę składającą się głównie z jajogłowych obrażonych na cały świat, bo nie pozwalamy im prowadzić badań naukowych, a kapitan walczy z całych sił, żeby ich tu zatrzymać. Teraz, skoro pojawiły się kłopoty, nie będą tak mocno napierać na lot w dół, ale to ciśnienie gdzieś będzie szukać ujścia. Zostawiam ci tylko bazowy personel do radzenia sobie z tym.

– Poradzimy sobie, sir.

– Doskonale. Największym zagrożeniem, jakie tu mamy, jest *Rosynant*. Zanim przeszli na stronę SPZ, to był marsjański okręt wojenny. *Israel* jest wielki, ale to statek badawczy. Jeśli *Rosynant* nas kopnie, nie wstaniemy.

– Czemu mieliby do nas strzelać?

Murtry wzruszył ramionami.

– Myślę nie tyle o tym „dlaczego”, co raczej „jeśli”. No dobrze... potrzeba mi czegoś, i choć cholernie spaskudzi to harmonogram lotów promów – i tak chcę, żebyś to zrobił.

– Oczywiście.

– Weźmiemy na dół jeden z lekkich promów – powoli powiedział Murtry, jakby zastanawiał się nad tym w trakcie mówienia, choć wyraźnie nie było to prawdą. – Zostanie tu drugi. Chcę, żebyś zrobił z niego broń. Usuń wszystko, co uniemożliwia reaktorowi przeciążenie, i zamontuj odporny na zakłócenia zdalny zapłon. Zablokuj wszystkie standardowe elementy nawigacyjne i zamiast nich daj tam coś, do czego dostęp będziemy mieć tylko ty i ja.

– Kapitan Marwick też?

Murtry uśmiechnął się enigmatycznie.

– Jasne, jeśli tego chcesz.

– Proszę mi dać pół dnia, załatwię to – zapewnił Havelock.

– Dobrze.

– Sir? Jak pan myśli, przeciw komu go użyjemy? Przeciwno obozowi Pasiarzy?

– Na razie tylko gromadzimy opcje, Havelock. Mam nadzieję, że w ogóle nie trzeba będzie go używać. Ale jeśli zdecyduję, że to konieczne, będę go potrzebował szybko.

– Załatwione.

– Czuję się lepiej z tą wiedzą – odpowiedział Murtry i oparł dłoń o biurko, żeby się odepchnąć.

– Sir?

Murtry uniósł brwi. Havelock poczuł nagły atak wstydu i prawie zrezygnował z ciągnięcia tematu. Ale postanowił mimo wszystko to zrobić.

– Wiem, że to drobiazg, sir, ale kiedy z nią rozmawiałem, Cassie powiedziała, że jest głodna. Obiecałem, że przywieziemy jej kanapkę.

Twarz Murtry'ego była pusta jak rzeźba.

– Zastanawiałem się, czy mógłby jej pan zabrać tę kanapkę, sir.

– Może się uda – odpowiedział dowódca, a Havelock nie potrafił

stwierdzić, czy jest rozbawiony, czy zirytowany. Może jedno i drugie.

* * *

Havelock unosił się przy swoim biurku. Wszystkie cele aresztu były puste. Jego bazowa załoga – czterech młodszych pracowników ochrony i technik, którego wypożyczyli z personelu technicznego statku – po cichu modyfikowała ostatni pozostały lekki prom statku. Robiąc z niego bombę. Na jego monitorach w osobnych oknach wyświetlał końcowe podejście *Rosynanta*, lecący na planetę prom i obraz z wewnętrznej kamery monitoringu na dole z Cassie i doktor Okoye. Havelock obserwował je wszystkie, czekając, co się teraz zepsuje. Każda minuta zdawała się rozciągać. Wymiennik powietrza szumiał i klikał. Zaczął obgryzać paznokiec.

Kiedy zabrzmiał sygnał przychodzącej wiadomości, podskoczył i musiał się chwycić konsoli, żeby od niej nie odlecieć. Przełączył się na skrzynkę odbiorczą. Nowa wiadomość została wysłana z korporacyjnego biura RCE na Lunie, a jej temat brzmiał: MOŻLIWE STRATEGIE ZŁAGODZENIA KONFLIKTU NA NOWEJ ZIEMI: PROŚBA O SUGESTIE. Wiadomość wysłano przed pięcioma godzinami.

Gdzieś tam, w pobliżu wrót pierścieni, minęły się sygnały radiowe, fale elektromagnetyczne mknące przez pustkę, niosąc w sobie treści zakodowane przez ludzi. Odległość, na której przebycie ludzie potrzebowali półtora roku, wiadomość pokonała w pięć godzin.

Pięć godzin, a i tak cholernie za wolno.

Rozdział jedenasty

HOLDEN

Rosynant dokończył hamowanie na słupie białego ognia i wszedł na wysoką orbitę wokół Ilusa. Planeta w dole wyglądała na tyle podobnie do Ziemi, że różnice wywoływały niepokój. Holden patrzył już wcześniej na obce światy: widział rdzawą czerwień i biel Marsa, wiry i strumienie Saturna i Jowisza. Zupełnie nie przypominały ziemskiego błękitu, brązu i bieli. Jednak Ilus miał otwarte morze i niebo z białymi chmurami, co mózg Holdena jednoznacznie wiązał z ojczystą planetą.

Problem w tym, że tutaj był tylko jeden duży kontynent oraz tysiące wysp rozciągających się archipelagiem przez olbrzymi ocean jak brązowe koraliki naszyjnika. Mieszanka obcości i swojskości wywoływała u niego ból głowy.

– *Rosynant* – nadał do nich *Edward Israel*. – Dlaczego namierzacie nas do strzału?

– Uch... – Holden zaczął uderzać w panel sterowania, aż utworzył do nich kanał. – Nie, to tylko standardowy dalmierz, *Israel*. Nie ma się czym przejmować.

– Potwierdzam – odpowiedział nie do końca przekonany głos z drugiego statku.

– Aleks. – Holden przełączył się na kanał wewnętrzny. – Przestań szturchać niedźwiedzia.

– W porządku, kapitanie. – Aleks odpowiedział z przesadnym akcentem, wyraźnie tłumiąc śmiech. – Po prostu dałem miejscowym znać, że w mieście jest nowy szeryf.

– Przestań. Daj nam jeszcze godzinę na końcowe kontrole i wylądaj.

– Robi się – rzucił Aleks. – Minęło sporo czasu, od kiedy lądowałem na jednej z takich.

– To jakiś problem?

– Nie.

Holden odpiął się od fotela przy stanowisku dowodzenia i poszybował do drabiny żałogowej. Kilka minut później znalazł się na pokładzie ze służą w towarzystwie Amosa. Mechanik przygotował dwa zestawy lekkich marsjańskich pancerzy bojowych, liczne karabiny i strzelby oraz zestaw amunicji i materiałów wybuchowych.

– Co to ma być? – powiedział Holden.

– Powiedziałeś, żeby się przygotować do lądowania.

– Miałem na myśli rzeczy w rodzaju bielizny i szczoteczek do zębów.

– Kapitanie. – Amos prawie zdołał ukryć zniecierpliwienie w głosie. – Oni się tam zabijają. Zniknęło pół tuzina personelu ochrony RCE i wysadzili ciężki prom transportowy.

– Owszem, ale naszym zadaniem jest nie dopuścić do eskalacji. Schowaj to wszystko. Tylko pistolety. Zapakuj nam ubrania i wszelkie drobiazgi oraz zapasowe wyposażenie medyczne dla kolonii. Ale to wszystko.

– Później – odpowiedział Amos – gdy będziesz żałował, że nie mamy tego sprzętu, będę się z ciebie bezlitośnie nabijał. A potem zginiemy.

Holden zebrał się do ostrej odpowiedzi, ale się powstrzymał. Czy *kiedykolwiek* zdarzyło się, żeby wszystko poszło tak, jak zaplanował?

– No dobra, po jednym karabinie dla każdego z nas, ale rozłożone, w worku. Nic widocznego. I tylko lekkie opancerzenie na tors. Coś, co możemy ukryć pod ubraniem.

– Kapitanie. – Amos powiedział to z udawanym zaskoczeniem. – Czyżbyś naprawdę nauczył się czegoś z przeszłości? To twoja nowa umiejętność?

– Dlaczego ja ci pozwalam na te bzdety?

– Ponieważ – odpowiedział Amos, zabierając się do rozkładania na części strzelby szturmowej – jestem jedyną osobą na tym statku, która potrafi utrzymać na chodzie ekspres do kawy.

– Idę po bieliznę i szczoteczkę do zębów.

* * *

Na końcowym etapie hamowania *Rosynant* musiał rozjarzyć nocne niebo Ilusa, kiedy zaś wylądował na równinie w pobliżu prymitywnego miasta kolonii, wzbili chmurę pyłu o średnicy kilometra, a grzmot lądowania musiał zatrzęść oknami w dużo większej odległości.

Dlatego też Holden zdziwił się nieco i poczuł rozczarowanie, że nikt nie wyszedł im na powitanie.

W końcu był mediatorem z ramienia zarówno SPZ, jak i Ziemi, wybranym osobiście przez Chrisjen Avasaralę z ONZ i Freda Johnsona, przywódcę SPZ (na tyle, na ile SPZ dało sobie przewodzić), przysłanym tu do nadzorowania rozmów. Gdzie indziej zasłużyłby sobie tym na formalne przywitanie przez gubernatora planety, być może przy akompaniamencie orkiestry. W zasadzie wystarczyłoby mu podwiezienie do miasta.

Zważył w rękach dwie ciężkie torby i ruszył w stronę osiedla. Amos niósł trzy. Trzecią nazwał torbą na wypadek, gdyby wszystko trafił szlag. Holden miał szczerą nadzieję, że nigdy nie będą musieli jej otwierać.

Gdy znaleźli się dostatecznie daleko, wysłał sygnał do Aleksa i *Rosynant* znowu włączył silniki, na kilka chwil wzbijając przy starcie olbrzymią chmurę pyłu.

– Wiesz – odezwał się konwersacyjnym tonem Amos – wylądowaliśmy tak daleko, żeby nie obsypać pyłem miejscowych, a oni nie raczyli nawet wysłać wózka, żeby nas odebrać? Wydaje mi się to trochę niewdzięczne.

– Owszem, mnie to też trochę zirykowało. Następnym razem każe Aleksowi wylądować na pieprzonym rynku.

Amos kiwnął głową w stronę wznoszącej się w oddali olbrzymiej struktury obcych. Wyglądała jak skręcone ze sobą dwie szklane wieże, jak rosnące obok dwa drzewa.

– Za to mają to – rzucił.

Holden nie potrafił odpowiedzieć. Czytanie o „ruinach obcych” w raporcie o planecie było jednym, ale zupełnie czym innym było zobaczyć na własne oczy dominującą nad okolicą olbrzymią strukturę wzniesioną przez inny gatunek. Kiedy powstała? Jeśli

wierzyć Millerowi à propos tego, jak dawno zniknęli panowie protomolekuły, miała kilka miliardów lat. Czy ludzie kiedykolwiek zbudowali coś, co przetrwałoby tak długo?

- Według ludzi z ochrony na *Israelu* właśnie tam zmasakrowano ich ludzi - odezwał się Holden po kilku minutach marszu w milczeniu.

- Bosko - rzucił Amos. - Ktoś tam zginął. Wiesz, tak właśnie przejmujemy teren. Teraz planeta oficjalnie należy do nas.

Poza faktycznie trudnymi do zignorowania wieżami obcych reszta krajobrazu mogła być żywcem przeniesiona z południowego zachodu Ameryki Północnej. Zasnęta ziemia z małymi krzaczkami roślin. Spod ich stóp rozbiegały się małe zwierzęta. Przez kilka chwil otaczała ich chmura gryzących owadów, ale po tym jak część owadów wgryzła się w nich, zakosztowała krwi i padła trupem, reszta chyba zorientowała się, że ludzie nie są zdrowym pokarmem i straciła zainteresowanie.

Sama kolonia wyglądała jak slumsy. Niechlujna mieszanka budynków z prefabrykatów i przybudówek z resztek metalu i cegieł. Kilka zrobiono nawet z gliny, więc wyraźnie ktoś postanowił spróbować materiału suszonego na słońcu. Na myśl o tym, że ludzie przelecieli pięćdziesiąt tysięcy lat świetlnych, żeby zbudować domy, korzystając z technologii wywodzącej się z prehistorii, Holden się uśmiechnął. Ludzie byli dziwnymi stworzeniami, ale czasami też uroczymi.

W środku miasta zebrał się tłum. Lepszym określeniem byłoby, że zebrał się na skrzyżowaniu jedynek dwóch dróg. Około pięćdziesięciu kolonistów stało naprzeciw może dziesięciu ludzi w mundurach RCE. Krzyczeli na siebie, choć Holden nie potrafił rozróżnić słów.

Ktoś na skraju tłumy zauważył, że wchodzi do miasta, i wskazał ich. Kłótnia przygasła, a potem wszyscy ruszyli w stronę Holdena i Amosa. Holden puścił torby i pomachał z uśmiechem. Amos też się uśmiechnął, choć jednocześnie niedbałym ruchem oparł dłoń na rękojęści pistoletu.

Wysoka, krępa kobieta, na oko starsza od Holdena o kilka lat, podbiegła do niego i złapała go za ręce. Holden był prawie

pewien, że to Carol Chiwewe, ale jeśli była to prawda, to sporo się zmieniła od czasu, gdy zrobiono zdjęcie w przekazanej mu dokumentacji.

– Wreszcie! Musi pan powiedzieć tym zbirom...

Zanim zdążyła dokończyć albo Holden odpowiedzieć, zaczęła do niego krzyczeć reszta tłumu. Holden słyszał fragmenty ich żądań: ma przegnać RCE, dać im żywność, leki lub pieniądze, pozwolić im sprzedać ich lit, dowieść tego, że kolonia nie ma nic wspólnego ze zniknięciem ich ochroniarzy.

Gdy Holden próbował uciszyć tłum, starszy mężczyzna w mundurze ochrony RCE szedł powoli w jego stronę, mając resztę ochroniarzy korporacyjnych za plecami w szerokim klinie, jak stadko gęsi.

– Proszę, przestańcie. Wysłucham każdej z waszych próśb, gdy tylko się gdzieś rozłożymy. Ale nie zdołamy niczego zrobić, jeśli będziecie wszyscy krzyczeć...

– Szef Murtry – przedstawił się mężczyzna z RCE, idąc przez tłum jakby wcale go tam nie było, wyciągnął rękę i uśmiechnął się. – Royal Charter Energy, dowódca ochrony wyprawy.

Holden uściśnął jego dłoń.

– Jim Holden. Mediator z ramienia ONZ i SPZ.

Tłum się uciszył i odsunął, tworząc mały krąg spokoju wokół Holdena i Murtry'ego.

– To pańscy ludzie zniknęli – kontynuował Holden.

– Zostali zamordowani – poprawił go Murtry, nie przestając się uśmiechać.

Holdenowi skojarzył się z rekinem. Mnóstwo wyszczerzonych zębów i zimne, czarne oczy.

– Z tego, co rozumiem, nie zostało to dowiedzione.

– To prawda, że wysprzątał miejsce zbrodni, ale nie mam wątpliwości.

– Do czasu, aż ja nie będę ich miał, nie zostaną podjęte żadne działania karne – oświadczył Holden. Poczł, jak Amos staje bliżej niego, emanując milczącą groźbą.

Uśmiech Murtry'ego nie dotarł do jego oczu.

– Pan tu rządzi.

– Mediuje – poprawił Holden, jednocześnie tonem dając do zrozumienia, że jeśli o niego chodzi, to jedno i to samo.

Murtry kiwnął głową i splunął na bok.

– Jasne.

Te słowa zerwały tamę i tłum znowu ruszył ku niemu, do przodu w jego kierunku przepychała się wysoka kobieta. Gwałtownie wysunęła rękę w stronę Holdena, jakby gniewnie domagała się uściśnięcia dłoni. Skoro przywitał się z Murtrym, to musiał też z nią.

– Carol Chiwewe, koordynatorka kolonii – przedstawiła się, mocno potrząsając jego ręką.

Czyli pierwsza kobieta musiała być kimś innym.

– Dzień dobry, pani koordynator – przywitał się Holden.

– Ten człowiek – mówiła kobieta, wskazując Murtry’ego – grozi nam stanem wojennym! Twierdzi, że statut RCE daje mu prawo do...

– Egzekwowania przepisów w ramach statutu ONZ i utrzymania pokoju – powiedział Murtry, w jakiś sposób potrafiąc być słyszany ponad jej słowami bez podnoszenia głosu.

– Utrzymanie pokoju? – odpowiedziała Carol. – Kazał pan swoim ludziom strzelać pierwszym!

Tłum zamruczał gniewnie po tych słowach, a potem znowu rozległy się krzyki. Holden zamachał rękami, żeby ich uspokoić. Miał nadzieję, że wyglądało to bardziej dystygowanie i władczo niż się z tym poczuł. Kiedy Murtry się odezwał, jego głos był spokojny, ale twardy.

– Trudno mi zrozumieć, jak mielibyśmy strzelać jako pierwsi. Jak dotąd wszystkie ofiary zostały zabite przez waszych ludzi. Nie będę tolerował żadnych dalszych zagrożeń dla pracowników lub własności RCE.

Na czoło tłumy przepchnął się wysoki mężczyzna z dużą czaszką kogoś dorastającego w Pasie.

– Dla mnie brzmi to jak groźba, brachu.

– Proszę, Coop, nie pogarszaj sytuacji – powiedziała Carol, wzdychając przy tym z rezygnacją.

Ach, Coop to wichrzyciel, pomyślał Holden i zwrócił uwagę, by zapamiętać jego twarz.

– Tak mi się tylko zdaje – powiedział Coop, obracając się w stronę tłumu z krzywym uśmiechem i podnosząc głos. – Tak mi się tylko wydaje, że jedyną osobą rzucającą tu groźbami jesteś ty.

Tłum zagrzmiał z poparciem, a Coop wyszczerzył się od ucha do ucha, ciesząc się władzą nad tłumem.

Murtry kiwnął w jego stronę głową, wciąż z uśmiechem.

– To prawda, posunę się do wszystkiego, żeby ochronić życie moich ludzi. A straciliśmy ich już zbyt wielu, żeby dalej ryzykować.

– Hej, nie wiń nas, brachu, jeśli nie potrafisz upilnować swoich.

Ktoś w tłumie się roześmiał.

– Bez obaw – powiedział Murtry nadal z uśmiechem, choć podszedł o krok do Coopa. – Dowiem się, co się z nimi stało.

– Może powinieneś uważać – stwierdził Coop, patrząc z góry na niższego mężczyznę z groźnym uśmiechem. – Albo, no wiesz, tobie też może się to przytrafić.

– To – odpowiedział Murtry, wyciągając pistolet – zdecydowanie była groźba.

Strzelił Coopowi prosto w prawe oko. Pasiarz rozluźnił się i padł jak maszyna odłączona od zasilania. Pistolet Holdena znalazł się w jego ręce wycelowany w Murtry'ego, jeszcze zanim do końca dotarło do niego, co zaszło. Amos stanął obok niego, również z bronią wycelowaną w szefa ochrony RCE. Cały zespół RCE wyciągnął broń i wycelował ją w Holdena. W tłumie zapadła śmiertelna cisza.

– Co, u diabła! – krzyknął Holden. – Powiedziałem właśnie, żadnych działań karnych. No przecież, dopiero to powiedziałem.

– Owszem. To nie było działanie karne, tylko reakcja na bezpośrednią groźbę słowną. – Murtry schował pistolet do kabury i odwrócił się plecami do Holdena. – Wprowadziliśmy tu stan wojenny zgodnie z artykułem 71 statutu ONZ na eksplorację tej planety. Każde zagrożenie dla personelu RCE będzie eliminowane szybko i bardzo stanowczo.

Obrócił się do Holdena, patrzył na niego przez kilka sekund, a potem powiedział.

– Może powinien pan schować broń, kapitanie.

Amos wysunął się o pół kroku do przodu, ale Holden położył mu dłoń na ramieniu.

– Schowaj to, Amos.

Włożył swój pistolet do kabury, a po sekundzie ludzie z RCE zrobili to samo.

– Cieszę się, że udało nam się tak szybko ustanowić wzajemne zrozumienie. Sugeruję, żeby się pan rozgościł – rzucił Murtry. – Później wstąpię z wizytą.

* * *

Koordynatorka wyznaczyła pokoje dla Holdena i Amosa w dużym, kanciastym magazynie z prefabrykatów, przerobionym na połączenie sklepu, kantyny i pubu. Pokoje na tyłach wyposażono w łóżko, stolik i miednicę do mycia.

– O, dali nam apartament prezydencki – skomentował Amos, rzucając torby na podłozie maleńkiego pokoju. – Muszę się napić.

– Daj mi chwilę – odpowiedział Holden, potem poszedł do swojego pokoju i wywołał *Rosynanta*.

Złożył pełny raport o lądowaniu oraz zastrzeleniu Coopa. Naomi obiecała przesłać go w jego imieniu do Freda i Avasarali i poprosiła, żeby zachował ostrożność.

Miejscowy bar składał się z czterech chwiejnych stolików do gry w karty i może dwudziestu krzeseł rozstawionych w rogu budynku przeznaczonego na kantynę. Kiedy Holden skończył raport, Amos czekał już na niego z dwoma butelkami piwa.

– Poszło całkiem nieźle.

– Nie masz wrażenia, że wdepnęliśmy w coś głębokiego? – zapytał Amos po kilku łykach piwa.

– Wydaje się to mniej więcej normalne – odpowiedział Holden.

– Prawda.

Siedzieli przy drugim piwie, gdy przyszedł Murtry. Przez chwilę rozmawiał z barmanem, a potem usiadł naprzeciw Holdena

i postawił na stole butelkę whisky i trzy szklaneczki.

– Proszę się ze mną napić, kapitanie – powiedział, nalewając trzy porcje.

– Wylądował pan w więzieniu za to, co pan dziś zrobił – odpowiedział Holden, a potem wypił whisky. Miała kwaśno-pleśniowy smak destylatów Pasiarzy. – Zamierzam tego dopilnować.

Murtry wzruszył ramionami.

– Może. Ja zamierzam dopilnować, żeby wszyscy moi ludzie przeżyli dość długo, by więzienie stało się opcją. Jak na razie straciłem już prawie dwudziestu, w ataku na prom i wymordowaniu zespołu naziemnego. Nie stracę nikogo więcej.

– Jest pan korporacyjnym ochroniarzem. Nie w pana gestii ogłaszać stan wojenny i mordować ludzi, którzy nie chcą współpracować. Nie przełknę czegoś takiego ze strony prawowitego rządu, a co dopiero gliniarza do wynajęcia, jak pan. – Holden nalał sobie kolejną porcję alkoholu i wypił odrobinę.

– Jak nazywa się ta planeta?

– Co?

– Planeta. Jak się nazywa.

Holden nachylił się do przodu, mając na końcu języka słowo *Ilus*. Znieruchomiał. Uśmiech Murtry'ego był bardzo krzywy.

– Spędził pan mnóstwo czasu, pracując z SPZ, kapitanie Holden. I nie jest tajemnicą, że odczuwa pan bardzo głęboką niechęć do firm w rodzaju tych, która mnie zatrudnia. Mam pewne zastrzeżenia odnośnie do pańskich zdolności rozwiązania tutejszej sytuacji bez uprzedzeń. Grożenie mi i obrzucanie mnie obelgami raczej ich nie rozwiewa.

– Podważył pan mój autorytet, zabijając Pasiarza w pięć minut po moim przybyciu – oświadczył Holden.

– Owszem. I rozumiem, że przez to może pan uważać, że nie traktuję pańskiej roli tutaj dość poważnie. Jednak pańscy przyjaciele w ONZ są o półtora roku stąd – odpowiedział Murtry. – Proszę o tym pomyśleć. Potrzeba od ośmiu do jedenastu godzin na odbycie pierwszej wymiany słów w rozmowie i prawie dwiętnastu miesięcy na przylecenie tu z cywilnymi

prędkościami. Nasz miejscowy gubernator został zamordowany przez terrorystów. Moi ludzie zostali zabici za próbę wyegzekwowania naszych ustawowych praw. Naprawdę sądzi pan, że zamierzam czekać, aż naprawi pan to, co się tu spieszyło? Nie, zastrzelę każdego, kto zagrozi ekspedycji RCE lub jej pracownikom i będę po tym doskonale spał. Tak właśnie realnie wygląda pańska sytuacja. Lepiej niech się pan do tego przyzwyczai.

– Wiem, kim jesteś – odezwał się Amos.

Wielkolud siedział dotąd tak cicho, że Murtry i Holden prawie podskoczyli z zaskoczenia.

– Kim jestem? – zapytał Murtry, wchodząc w ton.

– Zabójcą – odpowiedział Amos. Jego twarz niczego nie wyrażała, a ton głosu był lekki. – Masz elegancką wymówkę i lśniącą odznakę, więc wydaje się, że masz do tego prawo, ale tak naprawdę wcale nie o to chodzi. Zrobiłeś sobie dobrze, załatwiając tego gościa przy wszystkich. I nie możesz się doczekać, żeby to powtórzyć.

– Doprawdy? – zapytał Murtry.

– Tak. Więc tak między nami zabójcami, nie próbuj tego gówna z nami.

– Spokojnie, Amos – ostrzegł Holden, ale obaj mężczyźni go zignorowali.

– To brzmiało jak groźba – powiedział Murtry.

– Och, naprawdę nią była – zapewnił Amos z szerokim uśmiechem.

Holden zauważył, że obaj trzymają ręce pod stołem.

– Hej, panowie.

– Mam wrażenie, że jeden z nas może skończyć zakrwawiony – skomentował Murtry.

– Może teraz? – zasugerował Amos, wzruszając ramionami. – Chwilowo jestem wolny, możemy sobie odpuścić wszystko pośrodku.

Murtry i Amos uśmiechali się do siebie nad stołem przez ciągnącą się w nieskończoność chwilę, podczas której Holden myślał nad możliwymi wynikami tej sytuacji: *co będzie, jeśli*

Amos zostanie postrzelony, co będzie, jeśli Murtry zostanie postrzelony, co będzie, jeśli ja zostaną postrzelony.

– Miłego dnia, panowie – powiedział Murtry, wstając. Nie trzymał ręki na broni. – Zatrzymajcie flaszkę.

– Dzięki! – rzucił Amos, nalewając sobie kolejnego drinka.

Murtry kiwnął im głową, a potem wyszedł z baru.

Holden głośno wypuścił powietrze, które wstrzymywał chyba od godziny.

– Tak, chyba wdepnęliśmy w coś bardzo głębokiego – przyznał.

– Przyjdzie taki moment, że będę musiał zastrzelić tego gościa – powiedział Amos, a potem wychylił szklaneczkę.

– Wolałbym, żebyś tego nie robił. To wszystko i tak wygląda jak jedna wielka katastrofa, a oprócz przemienienia kilkuset kolonistów i naukowców, co samo w sobie jest dostatecznie złe, kiedy to wszystko się rozpadnie, będzie to moją winą.

– Zastrzelenie go może pomóc.

– Mam nadzieję, że nie – odpowiedział Holden, ale martwił się, że Amos ma rację.

Interludium

ŚLEDZCY

– sięga, sięga, sięga, sięga –

Sto trzysta razy na sekundę, nic nie odpowiada, a to sięga. Nie czuje frustracji, choć odczuwają ją niektóre części. Nie zostało zaprojektowane do uwzględnienia świadomości lub woli, ale korzysta z tego, co znajdzie. Zawarte w nim umysły są otorbione, odseparowane. Są wykorzystywane, gdy się przydają, jak wszystko, i sięga.

To nie plan. To nawet nie pragnienie, albo tylko pragnienie bez świadomości celu tego pragnienia. To selektywna presja działająca na chaos. To nie myśli o sobie w ten sposób, ponieważ nie myśli, ale środowisko się zmienia, otwiera się nowa pula możliwości i tworzy śledczego, a potem wciska się w nową szczelinę. Nową przestrzeń. Umysły w nim inaczej interpretują zdarzenia. Jak rękę sięgającą przez cmentarną ziemię. Jak znalezienie drzwi w pokoju, gdzie wcześniej nie było przejścia. Jak oddech dla tonącej kobiety. To nie jest świadome tych obrazów, ale ich świadomość jest jego częścią.

Śledczy wywiera presję na miejscowego, a ten podejmuje działanie. Środowisko znowu się zmienia. Wzory zaczęły pasować do wzorów, ale nie może być rozpoznania, ponieważ nie jest świadome, by rozpoznawać. Byłoby świadome miejscowego przyspieszenia, jego zwalniania, wektorów przechodzących z zera na jeden na inne zero w innym miejscu, gdyby było świadome, ale nie jest. Sięga.

Wzory pasują, więc zmienia orientację i sięga. Wykwitają kaskady implikowanych informacji, jego świadome części widzą otwierający się bez końca lotos, słyszą krzyk składający się z innych krzyków składających się z innych krzyków we fraktalnej fali dźwięku, modlitwa do Boga o śmierć, która nie

przychodzi.

Sięga, ale zmieniają się sposoby, na jakie to robi. Improwizuje, jak zawsze, owadzie drgnięcie, iskra pokonująca szczelinę, sięga.

Czegoś dotyka i przez chwilę jego część odczuwa, czuje nadzieję. Jest nieświadome nadziei. Odpowiedź nie nadchodzi. To nie koniec. Nigdy nie będzie końca. Sięga i znajduje nowe rzeczy. Stare rzeczy. Przepływa do miejsc, w których wygodnie mu się przepływa. Pojawiają się odpowiedzi, a te karmią impulsy, które je wywołały, i dochodzą kolejne odpowiedzi. Wszystko automatyczne, puste i tak martwe jak ono. Nic nie sięga z powrotem. Nie odczuwa rozczarowania. Nie wyłącza się. Sięga.

Nie doświadcza zmęczenia, choć zmęczenie jest jego częścią. Sięga, pędząc w nową przestrzeń możliwości i coś głęboko w jego wnętrzu, szersze niż powinno, patrzy, jak sięga.

Drzwi i kąty. Sięga, sięga, sięga, sięga. Drzwi i kąty.

Może się zrobić paskudnie, młody.

Rozdział dwunasty

BASIA

James Holden przyleciał za późno.

Wraz z wszystkimi kolonistami Basia przyglądał się rozświetlającemu nocne niebo Ilusa ogniu z dyszy *Rosynanta*. Dla niego chyba było już za późno. To on zrobił bomby, które zniszczyły prom RCE i zabiły gubernatora. Był tam, gdy Coop z pozostałymi wymordowali zespół ochrony RCE. I może z tego miejsca nie było powrotu. Może był już trupem albo człowiekiem skazanym na życie w więzieniu, co w sumie było tym samym. Jednak patrząc w górę, na kreskę białego ognia na niebie, nie potrafił nie czuć iskry nadziei. Jim Holden uratował dzieci Ganimedesa. Choć przybył za późno dla Katoa, uratował pozostałe. Zniszczył złą korporację, która zabiła chłopczyka Basi. Mao-Kwikowski i Protogen nie istniały już właśnie dzięki Holdenowi. I choć Basia nigdy nie spotkał go na żywo, to często oglądał go na transmisjach wideo i czytał o nim w wiadomościach. Oglądanie na ekranie mówiącego i uśmiechającego się człowieka, który pomścił Katoa, wzbudzało dziwne poczucie bliskości.

A teraz ten człowiek przybywał na Ilusa. Może zdoła też uratować Basię?

Kiedy więc biała kreska na niebie zniknęła, a Basia wiedział, że Holden z załogą znaleźli się na orbicie, pozwolił sobie na odrobinę nadziei. Pierwszą, jaką poczuł od bardzo dawna.

A kiedy usłyszał grzmot lądującego promu, wybiegł na zewnątrz jak inni koloniści, obserwując, gdzie wylądje. *Leci mediator ONZ!*, krzyczeli do siebie. Tak naprawdę myśleli o człowieku, który uratował Ziemię. Uratował Ganimedesa. Człowieku, który uratuje także ich.

Z nieba spadł mały prom i osiadł na ubitej ziemi na południe od

Pierwszego Lądowania, a na jego spotkanie wyszła połowa mieszkańców miasta. Basia też pobiegł.

Prom stał na pięciu grubych nogach, trzaskając od żaru. Mieszkańcy miasta czekali w ciszy, zbyt podnieceni, żeby rozmawiać. Potem na ziemię opadła rampa i zszedł po niej przysadzisty Ziemiąnin z siwymi włosami i głębokimi bruzdami na twarzy. To nie był Holden. Może ktoś z jego załogi? Ale mężczyzna miał na sobie pancerz z logo RCE, a Holden miał być bezstronnym rozjemcą.

Mężczyzna zatrzymał się w połowie rampy i uśmiechnął się do nich bez radości. Basia uświadomił sobie, że wstrzymuje oddech, a potem zrozumiał, że robią to wszyscy.

– Witam – powiedział mężczyzna. – Nazywam się Adolphus Murtry. Jestem szefem ochrony Royal Charter Energy.

Czy to, co widzieli w górze, było wchodzącym na orbitę kolejnym statkiem RCE? Mężczyzna zszedł po rampie wciąż z uśmiechem drapieżnika, a tłum cofnął się jak jeden organizm. Basia cofnął się wraz z nimi.

– Z powodu ataku na prom, co doprowadziło do śmierci licznych pracowników RCE oraz urzędników ONZ, przejmuję bezpośrednią kontrolę nad bezpieczeństwem tej planety. Jeśli brzmi to jak stan wojenny, to właśnie tak powinno być. – Murtry zagwizdał, a po rampie zeszło jeszcze dziesięciu ludzi w pancerzach ochrony.

Nieśli karabiny automatyczne, a w kaburach mieli i pistolety na pociski. Żadnego sprzętu do ogłuszania lub odstraszania.

– Musicie wiedzieć – kontynuował Murtry – że z powodu ataku na pierwszy zespół ochrony...

– Nikt nie dowiedział, że zostali zaatakowani! – krzyknął ktoś z tłumu.

Coop, oczywiście że to Coop. Stał z tyłu ze złożonymi rękami i uśmiechem wyrażającym zadowolenie z siebie.

– Z powodu tego ataku – Murtry nie dał się zbić z tropu – wydałem moim ludziom rozkaz strzelania jako pierwszym. Jeśli poczują się zagrożeni, mogą użyć zabójczej siły do wyeliminowania zagrożenia.

Carol przepchnęła się przez tłum do rampy, stając naprzeciw Murtry'ego, a Coop podszedł za nią.

– Nie stanowi pan tu rządu – oświadczyła Carol, a wściekłość sprawiła, że mocno zarysowały się ścięgna na jej szyi. Dłonie zacisnęła w pięści, ale trzymała je spuszczone przy bokach. – Nie może pan tu tak wylądować z bronią i mówić, że ma prawo nas zastrzelić. To *nasza planeta*.

– Właśnie! – krzyknął Coop i odwrócił się w stronę tłumy, zapraszając ich do przyłączenia się.

– Nie – odparł Murtry, nie przestając się uśmiechać. – Nie jest wasza.

Powietrze przeszył grom wchodzącego do atmosfery drugiego statku, który zszedł do lądowania po zachodniej stronie miasta. Murtry ledwie zerknął w jego stronę. *Lądują kolejne oddziały*, pomyślał Basia.

Murtry zaczął iść w stronę miasta, prowadząc swoich ludzi za sobą, a tłum ruszył w luźnej grupie wokół nich. Carol dalej mówiła, ale jej słowa nie miały żadnego efektu. Murtry tylko się uśmiechał, kiwał głową i nawet nie zwalniał. Statek, który wylądował po drugiej stronie miasta, wystartował ponownie na kolumnie białej pary i szybko zniknął w górze. Świat wypełnił ryk jego silników.

Kiedy dotarli do centrum miasta, Basia zobaczył Jacka trzymającego się skraju tłumy. Chwycił syna za rękę, szarpiąc przy tym mocniej niż zamierzał, a chłopiec krzyknął przestraszony.

– Tato – odezwał się, gdy Basia go odciągnął – mam kłopoty?

– Tak – krzyknął Basia, a potem, gdy zobaczył łzy zbierające się w oczach chłopca, opadł przy nim na kolana. – Nie. Nie, synu. Nie masz kłopotów. Ale musisz iść do domu.

– Ale... – zaczął Jacek.

– Dzisiaj żadnych ale, chłopcze. – Basia pchnął go lekko w stronę domu. – Idź do domu.

– Czy ten człowiek nas zabije? – zapytał Jacek.

– Jaki człowiek? – zapytał Basia, ale chciał tylko opóźnić odpowiedź.

Wiedział, o co pytał syn. Nawet ten mały chłopiec potrafił wyczuć śmierć emanującą od Murtry'ego i jego ludzi.

– Nikt nas nie zabije. Idź do domu.

Basia patrzył, jak syn się oddala; czekał, aż chłopiec wejdzie do środka i zamknie za sobą drzwi. Właśnie ruszył z powrotem w stronę tłumu, gdy rozległ się strzał.

Jego pierwsza myśl brzmiała Jacek miał rację. Zabijają nas.

Choć gdy wreszcie wrócił do tłumu okazało się, że nie nas. Tylko Coopa – leżał na ziemi z czerwoną dziurą w miejscu oka, z krwią zbierającą się pod głową.

Zobaczył też Holdena z zaciśniętymi szczękami i szeroko otwartymi oczami.

Za późno, pomyślał. Znowu za późno.

* * *

Ulicami Pierwszego Lądowania chodzili ludzie z karabinami automatycznymi.

Basia i Lucia siedzieli na maleńkim ganku przed domem i w gasnącym świetle wczesnego wieczoru patrzyli, jak maszerują. Kobieta i mężczyzna, oboje w pancerzach z czerwono-niebieskim logo RCE. Oboje trzymali broń automatyczną. Oboje mieli twarde wyrazy twarzy.

– To moja wina – powiedział Basia.

Lucia ścisnęła jego dłoń.

– Napij się herbaty, Baz.

Basia spojrział na kubek z herbatą stygnący mu na kolanach. Cała herbata, jaką posiadała ich mała kolonia, przyleciała tu z nimi jednym z promów. Nie do pomyślenia było zmarnowanie takiego luksusu. Napił się letniego napoju z kubka i nie poczuł jego smaku.

– Teraz zabiją mnie.

– Może.

– Albo wsadzą mnie na zawsze do więzienia, zabiorą mnie od rodziny.

– Ty sam – odpowiedziała Lucia – oderwałeś się od nas, gdy przyłączyłeś się do tych głupich ludzi, pełnych przemocy, którzy

wysadzili prom. Ty zawiozłeś ich do ruin, gdzie zabili ludzi RCE. Sam dokonałeś każdego wyboru, który doprowadził cię do tego miejsca. Kocham cię, Basiu Merton. Kocham się tak bardzo, że boli mnie serce. Ale jesteś bardzo, bardzo głupim człowiekiem. A kiedy cię ode mnie zabiorą, nie wybaczę ci tego.

- Jesteś surową kobietą.

- Jestem lekarką - odpowiedziała Lucia. - Przywykłam do przekazywania ludziom złych wieści.

Basia dopił resztę herbaty, zanim całkowicie ostygła.

- Mógłbym przynieść trochę liny lub łańcucha z kopalni. Może zawiesić tu ławkę. Moglibyśmy się tu huścić.

- Mogłoby być miło - przyznała Lucia.

Para wartowników RCE dotarła do końca ulicy i zawróciła do patrolu w drugą stronę. Słońce prawie dotykało horyzontu, więc ich cienie były niemal równie długie, jak samo miasto.

- Skupiliśmy się na wydobywaniu litu, żeby zdobyć pieniądze - kontynuował Basia. - Ale musimy zacząć myśleć o naszych potrzebach energetycznych.

- To prawda.

- Nie możemy w nieskończoność polegać na ładowaniu akumulatorów przez *Barb*. I któregoś dnia statek odleci na Pallas sprzedać rudę. Nie będziemy go mieć przez kilka lat.

- To też prawda - zgodziła się Lucia. Przemieszała resztkę herbaty w kubku i zapatrzyła się na gwiazdy. - Brakuje mi Jowisza na niebie.

- Był piękny - zgodził się Basia. - Muszę się dziś wieczorem spotkać z Cate i pozostałymi, gdy zrobi się ciemno.

- Baz - zaczęła Lucia, ale nie dokończyła, wzdychając.

- Będą chcieli pomścić Coopa. To tylko pogorszy sytuację.

- Zastanawiam się - rzuciła Lucia - jak może to wyglądać gorzej.

Basia siedział w milczeniu, rozmyślając o huśtawce, którą mógłby zmontować na ganku. O dodaniu do łazienki większego grzejnika do wody. O zbudowaniu większej kuchni i jadalni z tyłu domu. O wszystkich tych rzeczach, których teraz nie będzie mógł zrobić.

Strażnicy dotarli do końca długiej ulicy miasta, prawie już niewidoczni w ciemnych pancierzach i słabnącym świetle. Basia wstał, by wyruszyć na spotkanie.

– Możesz ich powstrzymać przed zabijaniem kolejnych ludzi? – zapytał Lucia takim tonem, jakby pytała, czy chce jeszcze herbaty.

– Tak – odpowiedział Basia.

To słowo miało posmak kłamstwa.

– To idź.

* * *

Spotkali się w domu Cate. Pete, Scotty i Ibrahim. Przyszła nawet Zadie, a jej żona Amanda została w domu, żeby opiekować się ich synem i jego zakażonym okiem. To nie był dobry znak. Z nich wszystkich Zadie była najbardziej gniewna. Najbardziej porywczą. Basia pracował z nią na Ganimesesie, gdzie nie raz pojawiała się rano z podbitym okiem lub wargą pękniętą po jakiejś bójce barowej, do której doszło poprzedniego wieczora. Wszyscy byli zdenerwowani, wszyscy na krawędzi, gotowi skoczyć, ale Zadie będzie najtrudniej przekonać, by tego nie robić.

– Zastrzelili Coopa – oświadczyła Cate bez wstępów, gdy w końcu przyszedł Scotty, ostatni z nich.

To nie było stwierdzenie faktu. Wszyscy tam byli, wszyscy to widzieli. Nie, to był wstęp do uzasadnienia.

– Z zimną krwią – potwierdziła Zadie, podkreślając słowa uderzeniem pięści w dłoń. – Wszyscy to widzieliśmy. Po prostu strzelił mu w twarz przed Bogiem i wszystkimi.

– Mam plan – kontynuowała Cate. – Ludzie RCE siedzą w...

– Kto dał ci dowodzenie? – zapytała Zadie.

– Murtry.

Zadie zmrużyła oczy, ale odpuściła. Basia siedział nerwowo na skraju kanapy Cate. Składała się z ręcznie zrobionej ramy pokrytej wyściółką ze statku i kiepsko zszytych pozostałości materiału, który raz na miesiąc wyciągali z fabrykatora na ubrania i inne tego typu potrzeby. Cate zrobiła mały stolik

z miejscowego analogu drewna i ustawiła go przy kanapie. Stolik nie był do końca poziomy, więc szklanka z wodą Basi stała pod widocznym kątem. Na ścianach wisiały zdjęcia rodziny Cate, dwóch siostr wciąż mieszkających w Pasie oraz ich dzieci. Na podłodze stała ceramiczna waza z patykami i gałęziami, które chyba miały stanowić dekorację, nie zapas podpałki.

Miejsce było zbyt domowe i oswojone na rodzaj spotkania, które się w nim odbywało. Temu wszystkiemu towarzyszyło wrażenie odrealnienia: on i pięcioro znanych mu osób omawiali w salonie Cate, tuż obok wazy pełnej patyków, zamordowanie tuzina korporacyjnych ochroniarzy.

Mówił Scotty, przekonując, by poczekali. Nie był to głos rozsądku, a strachu. Pete go popierał, argumentując przeciw eskalacji. Cate i Zadie ich zakrzyczały. Ibrahim się nie odzywał, po prostu pociągał za dolną wargę i marszcząc brwi, wbijał wzrok w podłogę.

– Sądzę, że powinniśmy poczekać na Holdena – odezwał się Basia podczas chwili przerwy w rozmowie.

– Holden jest tu już cały dzień. To na co mamy jeszcze czekać? – zapytała Cate, ociekając gniewnym sarkazmem.

– Potrzebuje czasu na spotkania z nami, wyczucie terenu – odpowiedział Basia, choć te słowa brzmiały słabo nawet w jego uszach. – Ale to mediator. Może rozmawiać bezpośrednio z radą zarządzającą SPZ i ONZ. Jego rekomendacje mają realne znaczenie. Potrzebujemy go po naszej stronie.

– SPZ? – Zadie splunęła. – ONZ? Co one tak dokładnie mają dla nas zrobić? Wysłać ostro brzmiący list? Murtry i jego zbiry są już tutaj! – Zadie dźgnęła palcami w kierunku ściany i ulicy po drugiej stronie, na strażników z bronią automatyczną. – Ilu naszych ludzi mają zabić, zanim będziemy mogli się bronić?

– To my zabiliśmy ich pierwsi – przypomniał Basia i natychmiast tego pożałował.

Wszyscy zaczęli krzyczeć, głównie na niego. Wstał. Wiedział, że jego wygląd robił wrażenie, był masywny, miał gruby kark. Większy od pozostałych w pokoju. Zrobił krok do przodu, rzucając fizyczne wyzwanie. Miał nadzieję, że jego rozmiary

wystarczą. Był przekonany, że Cate mogłaby go pobić na śmierć, gdyby tylko chciała.

– Zamknijcie się!

Zamilkli.

– Mamy tu szansę – powiedział, z wysiłkiem przyciszając głos. – Ale jest bardzo krucha. Zabiliśmy ludzi RCE.

– Ja nie... – zaczęła Zadie, ale Basia uciszył ją gestem.

– Oni zabili Coopa. W tej chwili sądzą, że wywarli na nas wrażenie, więc nie zabiją nikogo więcej, chyba że ich sprowokujemy. W tej chwili mamy stan równowagi. Jeśli nikt nie zrobi niczego, żeby przechylić szalę w którąś stronę, Holden może robić to, po co go tu przysłano. Może nam pomóc rozwiązać to wszystko bez dalszej przemocy.

Cate prychnęła i odwróciła wzrok, ale Basia ją zignorowała.

– Siedzę w tym z wami, mam do stracenia tyle, co każde z was. Ale chcemy mieć tego człowieka po naszej stronie. Widział, jak Murtry zabija jednego z nas, a przy tym nie widział, żebyśmy my coś robili. W tej chwili mamy przewagę bycia choć z pozoru ofiarami. Nie zmieniamy jego zdania w tej sprawie.

Przez dłuższą chwilę Basia stał pośrodku pokoju, dysząc z emocji, a nikt inny się nie odzywał.

– Dobra – powiedział Ibrahim.

Kiedyś był żołnierzem, pozostali go szanowali. Kiedy w końcu przemówił, zrobił to głosem pełnym autorytetu. Cate zmarszczyła czoło, ale się nie odezwała.

– W porządku?

– W porządku, wielkoludzie – potwierdził Ibrahim. – Na razie rozegramy to po twojemu. Idź, pogadaj z tym Holdenem. Przeciągnij go na naszą stronę. To on znalazł twojego chłopaka, sa sa? Wykorzystaj to.

Basia poczuł uderzenie wstydu i złości na wspomnienie Katoa, sugestię użycia go do zbliżenia się z Holdenem, ale stłumił te uczucia. Ibrahim miał rację. Da to Basi wstęp do rozmowy z Holdenem i może sprawić, że wyda się współczujący.

– Porozmawiam z nim jutro – oświadczył Basia, tłumiąc nagły atak mdłości.

- Teraz wszystko spoczywa na tobie, wielkoludzie -
odpowiedział Ibrahim.

Zabrzmiało to jak groźba.

* * *

Basia szedł do domu w całkowitej ciemności nocy Ilusa. Żałował, że nie zabrał latarki. Żałował, że wysadził prom pełen ludzi i pomógł Coopowi wymordować strażników RCE. Żałował, że żona jest na niego zła i tego, że miała rację. Pragnął, by Katoa wciąż żył i by wszyscy nadal mieszkali w ich domu na Ganimesesie oraz by nikt nigdy w ogóle nie przylatywał na Ilusa.

Potknął się o kamień i upadł na kolano, ocierając je. Pozostałych rzeczy nie dało się naprawić, ale mógł przynajmniej pomyśleć o zabraniu latarki.

Lucia zostawiła w domu zapalone światło. Bez niego Basia mógłby przejść tuż obok, w ogóle o tym nie wiedząc. Przynajmniej chciała, żeby wrócił do domu. Zostawiła światło, by to umożliwić. Basia po raz pierwszy od bardzo dawna poczuł, że się uśmiecha.

W słabym świetle wokół domu w stronę tylnych drzwi przemknęła niewyraźna sylwetka. Zanim zdążył się zastanowić, Basia zaczął biec z całych sił. Postać przy drzwiach skuliła się, mniejsza od niego i przestraszona.

Felcia.

- Tato! Wystraszyłeś mnie!

- Och, skarbie, tak mi przykro. Nie widziałem, że to ty. Zobaczyłem po prostu, że ktoś zakrada się do domu i przybiegłem.

Felcia uśmiechnęła się do niego z wilgotnymi oczami i drżącymi wargami, ale dzielna.

- Dobrze, wchodzę do środka.

- Felcia - odezwał się Basia, kładąc dłoń na drzwiach, by ich nie otwierała. - Dlaczego zakradasz się do domu pośrodku nocy?

- Wyszłam się przejść. - Odwróciła wzrok, nie potrafiąc spojrzeć mu w oczy.

- Proszę, skarbie, powiedz mi, że to chłopak.

- To chłopak - potwierdziła, wciąż na niego nie patrząc.

- Felcia.

- Polecę na górę następnym promem, tato - powiedziała, w końcu patrząc mu w oczy. - Lecę na górę. Kiedy James Holden zmusi ich, żeby pozwolili odlecieć *Barbapiccoli*, polecę z nim. Z Pallas będę mogła złapać transport na Ceres. Mama zadzwoniła do swojego byłego mentora w CUMA, żeby załatwił mi przesłuchanie do programu medycznego w Hadrianie na Lunie.

Basia poczuł się tak, jakby ktoś uderzył go pięścią w splot słoneczny. Ból w brzuchu uniemożliwił mu oddychanie.

- Polecę, tato.

- Nie - odpowiedział. - Nie polecisz.

Rozdział trzynasty

ELVI

Dziadek Elvi ożenił się ponownie dość późno. Jego nowym mężem był Niemiec o radosnym śmiechu, śnieżnobiałej brodzie i radośnie cynicznym podejściu do ludzkości. Najbardziej zapamiętała w dziadku Raynardzie to, że szybko potrafił rzucić fraszką lub żartem. Miał je gotowe na każdą okazję. Sądziła, że dzięki nim brzmi światowo i mądrze, przynajmniej w części dlatego, że często nie była pewna, co naprawdę miał na myśli.

Jedną z rzeczy, które powiedział, było: *raz to nigdy, dwa razy to zawsze*.

Kiedy prom uległ katastrofie, wiedziała – wszyscy wiedzieli – że ktoś podłożył tam materiały wybuchowe, ale jej doświadczenie z pochodzącymi z Pasa kolonistami, które zaczęło się właśnie tamtej nocy, było tak odmienne, że ta wiedza oddzieliła się od emocji. Ktoś z Pasiarzy zrobił coś strasznego, ale ta osoba nie miała twarzy, była anonimowa i nierzeczywista. Doktor Merton robiła wszystko, co w jej mocy, by uratować rannych i złagodzić cierpienia, i to było realne. Rzeczywista była jej córka, Felcia, będąca w najodleglejszym miejscu, do jakiego kiedykolwiek dotarła ludzkość, i której ambicje ciągnęły ją z powrotem na Lunę. Tak samo jak Anson Kottler i jego siostra Kani, którzy pomogli Elvi ustawić jej chatę. Samish Oe ze swoim głupkowskim półuśmieszkiem. Carol Chiwewe. Eirinn Sanchez. Wszyscy okazywali tyle dobroci, że Elvi uznała śmierć gubernatora za coś odstającego, coś tak rzadkiego, że nigdy więcej się nie wydarzy.

Jednak zniknięcie Reeve'a i zespołu ochrony było drugim zdarzeniem, które zmieniło sposób, w jaki Elvi patrzyła teraz na kolonię, naukowców RCE i swoją małą chatkę na skraju równiny. Ponieważ groźba przemocy nie była już *nigdy*. Była *zawsze*.

– Widziała pani coś jeszcze? – zapytał Murtry.

– Nie – odpowiedziała Elvi. – Nie sądzę.

– Doktor Okoye, wiem, że to było dla pani bardzo nieprzyjemne – powiedział szef ochrony – ale musi pani sobie przypomnieć, czy będąc tam, widziała pani coś jeszcze. Ta osoba, której powrót stamtąd pani widziała. Potrafi pani stwierdzić, czy był to mężczyzna? Kobieta?

Oczywiście nie tak działa pamięć. Sama chęć przypomnienia sobie czegoś, wewnętrzne parcie, miało większą szansę wygenerować fałszywe wspomnienia i dodać błędne dane do zestawu niż wydobyć jakiś istotny szczegół, o którym zapomniała wspomnieć. Tłumaczenie tego Murtry'emu wydało się jej nieuprzejme, więc tylko potrząsnęła głową.

– Przykro mi – powiedziała.

– Nic nie szkodzi – rzucił tonem głosu jasno zdradzającym rozczarowanie. – Jeśli coś jeszcze się pani przypomni, proszę się do mnie zgłosić.

– Zrobię to.

– Dobrze się pani czuje?

– Chyba tak. Dlaczego pan pyta?

– Mediator ONZ poprosił o rozmowę także z panią – wyjaśnił Murtry. – Ale nie musi pani się z nim spotykać, jeśli nie ma na to ochoty. Wystarczy jedno słowo, a powiem mu, żeby poszedł się walić.

– Nie, nie mam nic przeciwko – zapewniła, ale myślała przy tym, czy *naprawdę James Holden chce ze mną rozmawiać?* – Czy powinnam... to znaczy, czy jest coś, o czym powinnam mu powiedzieć? To znaczy, o pracy?

Tak naprawdę chciała tylko wyjść wreszcie z biura ochrony. Przedłużony, trzydziestogodzinny dzień Nowej Ziemi sprawiał, że trudno było jej się zorientować, ile faktycznie spędziła tam czasu, ale przyszła do Reeve'a, gdy było już ciemno i tamtą noc przespała w jednej z cel. Siedziała tam jeszcze, gdy Murtry i oddział ochrony zleciał z orbity i zapewnił bezpieczeństwo miastu, a teraz znowu było rano. Czyli dwa dni Nowej Ziemi. Może trzy ziemskie. Dokładne znaczenie słowa dzień nie było już intuicyjne.

– Kapitan Holden musi zrozumieć, w jak złej sytuacji się tu znajdujemy – odpowiedział Murtry. – Przyleciał tu, sądząc, że są tu dwie strony, więc będzie chciał doprowadzić do jakiegoś kompromisu. Bardzo docenię wszystko, co będzie pani mogła zrobić, by pomóc mu zrozumieć, że to nie będzie tu rozwiązaniem.

– Och – powiedziała. – Tak, oczywiście.

– Dziękuję – rzucił Murtry.

– Jeszcze jedno?

Murtry uniósł brwi i kiwnął głową w jej stronę. Nie powiedział: *Tak, proszę pani?*, ale fizycznie to zasugerował.

– Moje badania wciąż znajdują się w mojej chacie – wyznała. – Kiedy przyszedłam porozmawiać z... kiedy tu przyszedłam, prowadziłam analizy. Czy mogę wrócić do mojej chaty, czy mam się do niej nie zbliżać?

– Może pani wrócić – zapewnił Murtry. – Jedna rzecz, która się tu nie wydarzy, pani doktor. Nie oddamy ani centymetra naszej ziemi. Ktokolwiek to zrobił, nie ma szans na wygraną.

– Dziękuję – odpowiedziała Elvi.

Wyraz twarzy Murtry'ego na chwilę stwardniał. Jego oczy zrobiły się płaskie w sposób kojarzący się Elvi z poświęcanymi na ołtarzu nauki zwierzętami laboratoryjnymi. Wyglądał na martwego.

– Proszę bardzo – powiedział.

* * *

Idąc ulicą miasta, Elvi poczuła falę niepokoju, ale znacznie mniejszą niż się spodziewała. Małe obłączenie, które przeżyła w biurze ochrony, czekając na przylot posiłków, było ponurym i przerażającym doświadczeniem. Teraz jednak do mieszkańców miasta dołączyły znajome twarze. Ulicą naprzeciw niej szły dwie kobiety w pancerzach RCE do zwalczania zamieszek, z karabinami szturmowymi spoczywającymi swobodnie w zgięciach rąk. Sam ich widok sprawił, że Elvi poczuła się bezpieczniej. I przyleciał też Holden. Sytuacja zdecydowanie nie wyglądała tak, jak powinna, ale zaczynała się normować.

Zaczynała się poprawiać. To na razie będzie musiało wystarczyć.

Kolejny strażnik stał przy wejściu do sklepu, trzymając karabin w dłoniach.

- Doktor Okoye - przywitał ją i ruchem głowy zaprosił ją do środka.

- Pan Smith - odpowiedziała.

Od czasu lądowania na Nowej Ziemi była w budynku kantyny wielokrotnie. Poza niewielkimi, intymnymi zebraniem w chatkach naukowców i formalnymi zgromadzeniami miasta w sali komunalnej było to jedyne miejsce spotkań, chyba że odczuło się powołanie do religii. Natychmiast zobaczyła - poczuła - jak obecność Jamesa Holdena zmieniła naturę tego miejsca. Wcześniej było miejscem komunalnym, publicznym w takim samym sensie, jak park miejski, bez żadnej dominującej ludzkiej obecności. Teraz przy stole w głębi pomieszczenia siedział mężczyzna, jakby był mieszkańcem miasteczka jedzącym miskę ryżu popijanego piwem. Siedząc tam, opierając się na łokciach i rozmawiając z Fayezeem, przejmował przestrzeń. Rządził nią. Miejsce należące do wszystkich było teraz niekwestionowaną domeną Jamesa Holdena. Elvi poczuła skurcz w brzuchu, a niepokój przyspieszył jej oddech.

Oczywiście, widziała Holdena w wiadomościach i raportach. Na początku wojny między Marssem a Pasem był najważniejszym człowiekiem w Układzie Słonecznym i celebrytą, a choć jego znaczenie i gwiazda przygasły i osłabły przez lata, nie zniknęły do końca. James Holden był ikoną. Dla niektórych symbolem triumfu jednego statku nad rządami i korporacjami, dla innych agentem chaosu, który wszczynał wojny i groził stabilizacji w imię ideologicznej czystości. Jednak niezależnie od tego, co ludzie sądzili na jego temat, nie było wątpliwości, że jest ważny. Był człowiekiem, który uratował Ziemię przed protomolekułą. To on zniszczył Mao-Kwikowskiego. Jako pierwszy doświadczył kontaktu z obcym artefaktem i otworzył wrota prowadzące do tysiąca światów.

Na żywo wyglądał inaczej niż na ekranie. Jego twarz wciąż była szeroka, ale nie aż tak bardzo. Jego skóra miała ciepło, którego

nie pozbawiły go nawet lata spędzone w pozbawionej słońca skrzyni statku. Ciemnobrązowe włosy zaczynały lekko siwieć na skroniach, ale oczy miały ten sam, szafirowobłękitny kolor. Holden potarł dłonią policzek, przytakując przy tym czemuś, co mówił Fayez. Był to podświadomie męski gest, który Elvi przywiódł na myśl duże zwierzęta – lwy, goryle czy niedźwiedzie. Nie było w nim poczucia zagrożenia, tylko moc, a sama stała się dogłębnie świadoma, że mężczyzna, którego dotąd widziała tylko jako obraz na ekranie, oddychał tym samym powietrzem, co ona.

– Dobrze się pani czuje?

Elvi podskoczyła. Pytanie zadał wielki, blady i muskularny mężczyzna. Ogolona głowa i wydatny brzuch nadawały mu wygląd wielkiego niemowlęcia. Położył jej dłoń na ramieniu, jakby chciał ją przytrzymać.

– Dobrze? – odpowiedziała z intonacją, która zrobiła z tego pytanie.

– Przez chwilę wyglądała pani trochę dziwnie. Na pewno dobrze się pani czuje?

– Miałam się spotkać z kapitanem Holdenem – odpowiedziała, próbując się opanować. – Jestem Elvi Okoye, pracuję dla RCE. Jestem egzobiologiem z RCE.

– Elvi! – zawołał Fayez, przywołując ją gestem.

Kiwnęła głową blademu mężczyźnie i podeszła do stołu, przy którym siedzieli Holden z Fayezem. James Holden wbił w nią wzrok.

– To Elvi – przedstawił ją Fayez. – Znamy się od studiów doktoranckich.

– Dzień dobry – powiedziała Elvi głosem, który zabrzmiał dla niej sztucznie i cienko. Odchrząknęła.

– Miło mi panią poznać – odpowiedział Holden, wstając i wyciągając rękę.

Elvi uściśnęła ją, jakby witała się z kimkolwiek innym. Była z siebie z tego powodu dumna.

– Usiądź – zaprosił Fayez, wysuwając dla niej krzesło. – Właśnie mówiłem tu kapitanowi o problemie z zasobami.

– To jeszcze nie jest prawdziwy problem – zauważyła Elvi. – Ale

będzie.

Holden westchnął, stykając czubki palców.

– Wciąż mam nadzieję, że uda nam się wynegocjować coś sprawiedliwego dla wszystkich stron.

Elvi zmarszczyła brwi i przechyliła głowę.

– Jak chciałby pan to osiągnąć?

Holden uniósł brwi. Fayeze nachylił się w jej stronę.

– Rozmawialiśmy o zasobach takich jak lit i pieniądze – wyjaśnił, a potem znowu zwrócił się do Holdena. – Ona ma na myśli wodę i substancje odżywcze. Inne konteksty.

– Czy nie ma tu dość wody? – zainteresował się Holden.

– Jest – zapewniła Elvi, mając nadzieję, że nie widać jej zaczerwienionych policzków. Oczywiście, że rozmawiali o kopalniach litu. Powinna była to wiedzieć. – To znaczy, jest dość wody. I substancji odżywczych. Ale to też tak jakby problem. Jesteśmy tu pośrodku całkowicie obcej biosfery. Wszystko w tym miejscu jest kompletnie różne od tego, do czego jesteśmy przyzwyczajeni. No wie pan, na przykład życie tutaj jest całkowicie bichiralne.

– Naprawdę? – zapytał Holden.

– Nikt nie wie, co to znaczy, Elvi – powiedział Fayeze.

Holden uprzejmie udawał, że go nie usłyszał.

– Ale wszystkie tutejsze zwierzęta i owady wyglądają... no cóż, nie do końca znajomo, ale mają oczy i takie tam.

– Podlegały podobnym naciskom selekcyjnym – odparła Elvi. – Niektóre rzeczy są po prostu dobrym pomysłem. Na Ziemi oczy wyewoluowały cztery albo pięć razy. Samodzielny lot przynajmniej trzykrotnie. Większość zwierząt umieszcza jamy gębowe w pobliżu narządów zmysłów. Stopień podobieństw morfologicznych w dużej skali przy kryjących się niżej różnicach biochemicznych jest częścią tego, co czyni z tego miejsca tak fantastyczną okazję do badań. Dane, które zdołałam wysłać od czasu przylotu tutaj, wystarczą do prowadzenia badań przez całe pokolenie, a ledwie zadrapałam powierzchnię.

– A ten problem zasobów? – przypomniał Holden. – Jakich zasobów pani potrzeba?

– Nie chodzi o to, których my potrzebujemy – wyjaśniła Elvi, gestykulując. – Tylko o te, którymi jesteśmy. Z perspektywy lokalnego środowiska jesteśmy bańkami wody, jonów i cząsteczek wysokoenergetycznych. Nie do końca w miejscowym smaku, ale tylko kwestią czasu jest, zanim coś wymyśli sposób na wykorzystanie tego dobra.

– Coś jak wirus? – zainteresował się Holden.

– Wirusy są znacznie bardziej podobne do nas niż to, z czym mamy tu do czynienia – odparła Elvi. – Wirusy mają kwasy nukleinowe. RNA. Ewolowały wraz z nami. Gdy coś tutaj wymyśli, jak dobrać się do nas jako zasobów, będzie to bardziej przypominać górnictwo.

Na twarzy Holdena pojawił się wyraz zniesmaczenia.

– Górnictwo – powtórzył.

– Chwilowo mamy przewagę, ponieważ pochodzimy ze starszej biosfery. Na ile możemy stwierdzić, tutaj ewolucja zaczęła się tak naprawdę dopiero jakieś półtora do dwóch miliardów lat temu. Mamy dość mocne dowody na przynajmniej miliard lat przewagi ewolucyjnej nad miejscowymi, a niektóre z naszych strategii mogą działać przeciw nim. Jeśli zdołamy wyprodukować przeciwciała skierowane przeciw białkom używanym przez miejscowych, możemy być w stanie zwalczać ich jak każde inne zakażenie.

– Albo nie – wtrącił Fayez.

– Częścią powodów mojego przybycia tutaj, częścią powodów, dla których się na to zgodziłam, był fakt, że musimy to zrobić właściwie – powiedziała Elvi, słysząc nacisk we własnym głosie. – Mieliśmy tu wznieść izolowane środowisko. Kopułę. Mieliśmy badać planetę i uczyć się od niej, zachowując się odpowiedzialnie w zakresie tego, jak ją traktujemy. RCE przysłało naukowców. Badaczy. Wie pan, ilu z nas ma certyfikaty ze zrównoważonego rozwoju i zachowania zasobów? Pięć szóstych. Pięć szóstych.

Jej głos coraz bardziej przybierał na sile. Gestykulowała bardziej zamasyście, a w głosie pojawiło się też drżenie oburzenia. Nierzeczywiście błękitne oczy Holdena wpatrywały się w nią i czuła, że słucha jej, jakby jego uwaga promieniowała.

Intelektualnie rozumiała, co się dzieje. Bała się, została skrzywdzona, i odczuwała winę z powodu tego, że to ona naraziła Reeve'a i pozostałych na niebezpieczeństwo. Do tej pory to ignorowała, ale to wszystko się gotowało. Mówiła o biologii i nauce, ale naprawdę chciała powiedzieć *pomóż mi. Wszystko toczy się nie tak, a nikt nie potrafi mi pomóc. Nikt oprócz ciebie.*

- Tylko że kiedy tu przylecieliście, była tu już kolonia - przypomniał Holden. Jego głos był niczym ciepła flanela. - Na dodatek kolonia założona przez ludzi z bardzo dobrymi powodami, by nie ufać korporacjom. I rządóm.

- To wszystko tutaj wygląda bardzo spokojnie - powiedziała Elvi. - Wygląda pięknie. I tak jest. Nauczy nas rzeczy, o których dotąd nawet nie śniliśmy. Ale źle się do tego zabieramy.

Fayez westchnął.

- Ona ma rację - przyznał. - To znaczy, lubię mówić o licie i prawie moralnym oraz przepisach nie mniej, niż każdy inny, ale Elvi nie myli się co do tego, jak dziwne jest to miejsce, gdy zacznie mu się uważnie przyglądać. I jest tu wiele bardzo groźnych krawędzi, na które nie zwracamy uwagi. Bo wie pan, zamiast tego zabijamy się wzajemnie.

- Słyszę, co chce pan powiedzieć - zapewnił Holden. - Będę musiał się temu przyjrzeć. Najwięcej uwagi muszę poświęcić tej części, w której ludzie się wzajemnie zabijają. Ale mogę wam obiecać, że umieszczę utworzenie zamkniętej, bezpiecznej planetarnej kopuły na liście, gdy tylko opanujemy ten kryzys. Niezależnie od tego, kto znajdzie się u steru.

- Dziękuję - odpowiedziała Elvi.

- Większość z miejscowych to dobrzy ludzie - powiedział Fayez. - Pasiarze? Jesteśmy tu już od miesiący i mogę przysiąc, że większość z nich to nie potwory. To biedni dranie, którzy uznali za dobry pomysł zaczęcie wszystkiego od nowa. A Royal Charter to bardzo, bardzo odpowiedzialna korporacja. Proszę się przyjrzeć ich historii, nie znajdzie pan tam więcej szwindli i korupcji niż w przeciętnej umowie handlowej. Naprawdę się starają zrobić to wszystko właściwie.

- Wiem - potwierdził Holden. - I cholernie chciałbym, żeby

dzięki temu było łatwiej.

– Uch, kapitanie? – odezwał się wielki mężczyzna-dziecko.

– Amos?

– Z ONZ przyleciało właśnie kolejne wiadro prawniczego gówna.

Holden westchnął.

– I mam je przeczytać?

– Nie widzę, jak mieliby cię do tego zmusić – skomentował Amos. – Pomyślałem tylko, że wolisz je zignorować świadomie.

– Dziękuję. Chyba – powiedział Holden, a potem odwrócił się z powrotem do nich. – Obawiam się, że na trochę muszę zająć się biurokracją. Ale bardzo dziękuję wam obojgu za przybycie. Proszę się nie wahać przed ponownym przyjściem i rozmową ze mną.

Fayez wstał, a Elvi zrobiła to samo sekundę później. Uściśniły sobie dłonie, a potem Holden wycofał się do pokoju na tyłach. Fayez wyszedł z nią na ulicę. Hassan Smith i jego karabin przywitali ich, gdy przechodzili obok.

Słońce jarzyło się na niebie błękitnym od tlenu. Wiedziała, że jest trochę za małe, jego widmo ma trochę zbyt pomarańczowe zabarwienie, ale była już do niego przyzwyczajona. Było tak zwyczajne, jak trzydziestogodzinne dni i jej mała, znajoma chatka. Fayez szedł tuż obok niej.

– Wracasz do siebie? – zapytał.

– Powinam – przyznała. – Nie byłam tam, od kiedy wyszłam porozmawiać z Reevem. Wszystkie moje zestawy danych powinny już być gotowe. I pewnie mam całe mnóstwo gniewnych wiadomości z domu.

– Tak, pewnie tak – zgodził się. – Czyli dobrze się czujesz?

– Jesteś trzecią osobą, która zadaje mi dzisiaj to pytanie. Czy zachowuję się jakby coś było ze mną nie tak?

– Trochę – przyznał Fayez. – Masz prawo być przestraszona.

– Nic mi nie jest – zapewniła Elvi.

Ręka wciąż mrowiła ją od uścisku Holdena. Pomasowała sobie skórę. Na końcu ulicy dziewczyna Pasiarzy maszerowała szybko ze spuszczoną głową i rękami wciśniętymi głęboko do kieszeni.

Za nią stali Murtry i Chandra Wei z karabinami w dłoniach, przyglądając się jej podejrzliwie. Wiatr od równiny wzbijał drobne wiry pyłu na rogach uliczek. Chciała wrócić do swojej chaty i wcale nie miała na to ochoty. Chciała opuścić studnię, polecieć na *Edwarda Izraela* i z powrotem do domu, a równocześnie nie opuściłaby Nowej Ziemi za żadne skarby świata. Przypomniła sobie, jak była bardzo, bardzo młoda i z jakiegoś powodu zła. Płakała mamie na ramieniu, że chce wracać do domu, tylko że mówiąc to, właśnie tam była. Tego właśnie teraz chciała.

- Nie rób tego – powiedział Fayez.
- Czego mam nie robić?
- Nie zakochuj się w Holdenie.
- Nie wiem, o czym mówisz – warknęła.
- W takim razie zdecydowanie tego nie rób – oświadczył Fayez z cynicznym śmiechem i odszedł.

Rozdział czternasty

HOLDEN

– To pierwsze spotkanie arbitrażowe kolonii – powiedział Holden, patrząc do kamery umieszczonej na końcu stołu. – Nazywam się James Holden. Kolonię Nowej Ziemi...

– Ilusa – wtrąciła się Carol.

– ...reprezentuje Carol Chiwewe, administratorka kolonii. Korporację Royal Charter Energy reprezentuje szef ochrony, Adolphus Murtry.

– Jak dokładnie do tego doszło? – zapytała Carol.

Mówiąc to, patrzyła na Murtry'ego z nieprzeniknionym wyrazem twarzy. Holden miał wrażenie, że Carol może być świetną pokerzystką.

Murtry uśmiechnął się do niej. Z jego twarzy też nic nie dało się wyczytać.

– To znaczy do czego?

– Wie pan doskonale, o co pytam – warknęła Carol. – Co pan tu robi? Jest pan wynajętym ochroniarzem. Nie ma pan upoważnienia do...

– To wy wprowadziliście mnie do tej sali – odpowiedział Murtry – zabijając gubernatora kolonii. Pamięta to pani? Duży wybuch? Rozbicie statku? Raczej trudno byłoby tego nie zauważyć.

Holden westchnął i odchylił się na oparcie niewygodnego krzesła. Zamierzał pozwolić im przez chwilę na siebie najeżdżać, wypluć trochę nagromadzonego jadu, a potem tupnąć nogą i ściągnąć rozmowę z powrotem na temat.

RCE zaoferowało gościnę i prowadzenie rozmów na pokładzie ich promu lub *Edwardzie Israelu*, co byłoby dużo wygodniejsze, ale kolonia zażądała, by spotkanie odbyło się w Pierwszym Lądowaniu. Co oznaczało, że zamiast automatycznie

dostosowujących kształt, żelowych foteli, siedzieli na metalowych i plastikowych koszmarkach dostępnych w kolonii. Stół zrobiono z zalanego epoksydem arkusza tkaniny węglowej, osadzonego na czterech metalowych nogach, a pomieszczenie, w którym prowadzono rozmowy, ledwie mieściło stół i trzy krzesła. Na małej półce na ścianie stał ekspres do kawy, syczący cicho i emitujący w powietrze gorzki zapach spalenizny. Amos opierał się o jedyne drzwi pokoju z rękami złożonymi na piersi i wyrazem twarzy tak bardzo wykraczającym poza znudzony, że w zasadzie mógł spać.

- ...nieustanne oskarżenia nieoparte dowodami, mające wesprzeć pańskie *kryminalne* twierdzenia o prawie do terenu... - mówiła Carol.

- Dość - wciął się Holden. - Dajcie sobie spokój z tymi wybuchami. Przyleciałem tu na prośbę ONZ i SPZ, żeby doprowadzić do jakiegoś porozumienia, które pozwoli RCE prowadzić badania naukowe, do których mają prawo, a przy tym nie dopuścić do tego, żeby ludziom mieszkającym już na Nowej Ziemi...

- Ilusie.

- ...Ilusie stała się przy tym krzywda.

- A co z pracownikami RCE? - zapytał cicho Murtry. - Czy im może się stać krzywda?

- Nie - odparł Holden. - Nie może. I w świetle ostatnich wydarzeń cel tych spotkań uległ pewnej zmianie.

- Od czasu przybycia Holdena widziałam śmierć tylko jednej osoby, zastrzelonej przez pana. - Carol zwróciła się do Murtry'ego.

- Pani koordynator - mówił dalej Holden - nie może dochodzić do żadnych dalszych ataków na personel RCE. To nie podlega negocjacom. Nie dojdziemy tu do żadnego porozumienia, jeśli wszyscy nie będą pewni swojego bezpieczeństwa.

- Ale on...

- A pan - nie przerywał Holden, wskazując Murtry'ego - jest mordercą i zamierzam dopilnować, by stanął pan przed sądem...

- Nie ma pan...

- ...gdy tylko wrócimy do przestrzeni, w której faktycznie istnieją sądy. Co sprowadza nas do pierwszego prawdziwego punktu naszej rozmowy. Istnieją dwa konkurencyjne roszczenia dotyczące tego, kto ma prawo kierować tą ekspedycją. Musimy określić, kto ustala tu prawo.

Murtry nie odpowiedział, zamiast tego wyciągnął z kieszeni płaszcz elastyczny wyświetlacz i rozwinął go na stole. Przez arkusz powoli zaczął się przewijać tekst statutu ONZ, zlecającego RCE misję naukową na Nowej Ziemi. Carol prychnęła i pchnęła wyświetlacz przez stół z powrotem w jego stronę.

- Tak - powiedział Holden. - RCE otrzymała od ONZ umocowanie prawne, które dało im kontrolę nad tą planetą na czas trwania misji naukowej. Ale nie możemy ignorować faktu, że ludzie mieszkali na Nowej Ziemi, czy Ilusie, na wiele miesięcy przed wydaniem tego aktu.

- Owszem, nie możemy - zgodziła się Carol.

- Czyli musimy wypracować kompromis - stwierdził Holden - który pozwoli RCE wykonywać zadanie, z którym tu przybyli. Zadanie, którego wykonanie, jak mam nadzieję, będzie korzystne dla wszystkich, włącznie z kolonistami. To nowa planeta. Może się na niej czaić mnóstwo zagrożeń, z których nie zdajemy sobie sprawy. Jednakże ten kompromis musi obejmować możliwość, że ostateczna decyzja rządów w domu może przyznać Ilusowi prawo do samostanowienia.

Amos prychnął i jego głowa poderwała się do góry z szeroko otwartymi na chwilę oczami, których powieki powoli zaczęły z opadać z powrotem.

- No tak. - Holden wrócił do tematu. - To długie i nudne wyjaśnienie. W skrócie chciałbym, żeby RCE dalej zajmowało się badaniami naukowymi, a koloniści dalej żyli jak dotąd, ale żeby nikt nie ginął. Jak do tego doprowadzić?

Murtry odchylił krzesło na dwóch nogach i przeciągnął się z rękami nad głową.

- No cóż - stwierdził - bardzo wyraźnie zaznaczył pan, że chce doprowadzić do mojego aresztowania, gdy tylko wrócimy do cywilizowanego kosmosu.

– Owszem.

– Jednak wedle mojej rachuby to koloniści – prawie prychnął tym słowem – zaliczyli około dwudziestu zabójstw.

– I gdy tylko znajdziemy sprawców – odpowiedział Holden – oni także wrócą do Układu Słonecznego, by stanąć przed sądem.

– Teraz jest pan detektywem? – prychnął Murtry.

Holden poczuł dziwny chłód wzdłuż kręgosłupa i rozejrzał się wokół, jakby obok mógł się pojawić Miller.

– Uważam, że ochrona RCE we współpracy z panem Burtonem i ze mną powinna kontynuować śledztwo w sprawie tych zbrodni.

– Chwileczkę – odezwała się Carol, gwałtownie pochylając się na krześle. – Nie pozwolę mu...

– Wyłącznie śledztwo. Nie możemy tu prowadzić żadnych rozpraw sądowych, więc w grę nie wchodzi żadne kary poza prewencyjnym aresztem, a to wyłącznie za moją wyraźną zgodą.

– Pańską wyraźną zgodą? – zapytał powoli Murtry, jakby smakował słowa. Uśmiechnął się. – Jeśli pozwolą moim ludziom dalej zajmować się śledztwem w sprawie zabójstw w trakcie prowadzenia tych rozmów, przyznają nam prawo do obrony i zagwarantują, że każdy, przeciwko komu zbierzemy silne dowody, zostanie osadzony w areszcie do czasu postawienia przed sądem, zgadzam się.

– Oczywiście, że się zgodzi! – wykrzyknęła Carol. – Opóźnianie to wszystko, czego mu trzeba, żeby nas zabić.

Holden zmarszczył brwi.

– Proszę wyjaśnić.

– Nie jesteśmy jeszcze samowystarczalni – stwierdziła Carol. – Mamy na orbicie *Barb*. Dostajemy z niego ogniwa paliwowe naładowane w reaktorze i ściągnęliśmy z niego wszystkie nasiona i całą dostępną żywność, ale nie możemy tu jeszcze uprawiać jedzenia. W glebie znajdują się niewłaściwe mikroorganizmy. Desperacko potrzebujemy zapasów żywności, środków do wzbogacania gleby i lekarstw.

– RCE z przyjemnością to wszystko... – zaczął Murtry.

– Za to mamy tu najbogatszą żyłę litu, jaką ktokolwiek z nas widział. A dzięki tej rudzie możemy kupić wszystko inne, czego nam potrzeba. *Israel* nie pozwala *Barbapiccoli* wysłać na dół promu po odbiór reszty, zagrozili też zatrzymaniem *Barb*, jeśli spróbuje opuścić orbitę.

– Prawa do minerałów na Nowej Ziemi nie są wasze – skomentował Murtry. – Przynajmniej do czasu, aż ONZ powie inaczej.

Carol walnęła dłonią w stół, a uderzenie w małym pokoju zabrzmiało głośno jak wystrzał.

– Widzi pan? To gra na przeczekanie. Jeśli zdoła dość długo blokować nam wysłanie rudy na statek, to nie będzie miało znaczenia, kto dostanie te prawa. Nawet jeśli przypadną nam, będziemy tak bardzo do tyłu w ładowaniu rudy na statek, że wszyscy umrzemy z głodu, zanim towar trafi na rynek.

– Czyli – powiedział Holden – prosi pani o możliwość dalszego ładowania rudy na *Barbapiccola* w czasie negocjacji praw.

Carol otworzyła usta, zamknęła je i złożyła ręce.

– Tak – potwierdziła.

– Dobra – rzucił Holden, kiwając głową. – Wydaje się uczciwe. Niezależnie od tego, kto w końcu sprzeda tę rudę, będzie potrzebował transportu do jej przewiezienia, a *Barb* jest do tego równie dobra, jak cokolwiek innego.

Murtry wzruszył ramionami.

– Dobrze. Pozwolimy, żeby prom wylądował i zaczął znowu przewozić rudę. Ale działania wydobywcze wiążą się dla mnie z pewnymi problemami.

– Proszę wyjaśnić – zachęcił Holden.

– Używają materiałów wybuchowych. Takiego samego typu, jakich użyto do zniszczenia promu i zabicia gubernatora. Jak długo ci ludzie mają do nich nieograniczony dostęp, moi ludzie są zagrożeni.

– Jakie rozwiązanie pan proponuje? – zapytał Holden.

– Chcę kontrolować dostęp.

– Czyli pozwoli nam pan przewozić rudę, ale nie możemy jej wydobywać? – zapytała Carol. – Typowa korporacyjna obłuda.

– Wcale tego nie powiedziałem – zaprotestował Murtry, wykonując uspokajający gest dłońmi, co Holden odebrał jako zachowanie świadomie protekcyjne. – Proponuję, by nieużywane materiały znajdowały się pod naszą kontrolą, a wasze ekipy górnicze kwitowały ich pobieranie. W ten sposób nic nie zniknie i nie pojawi się później jako bomba rurowa.

– Czy uważasz to za uczciwe rozwiązanie, Carol? – zapytał Holden.

– To spowolni proces, ale da się tak pracować.

– Świetnie – oświadczył Holden, wstając. – Na razie tu się zatrzymamy. Spotkamy się znowu jutro, żeby omówić propozycje ONZ dotyczące zarządzania kolonią i zacząć ustalać szczegóły. Będziemy też musieli porozmawiać o kontroli środowiska.

– SPZ... – zaczęła Carol.

– Tak, mam zalecenia również od Freda Johnsona, i one także zostaną omówione. Chciałbym przesłać skorygowany plan do ONZ i SPZ do końca tygodnia i dostać ich opinię zwrotną. Może być?

Odpowiedziały mu skinienia głowy Murtry’ego i Carol.

– Świetnie. Chciałbym mieć was oboje ze sobą, gdy przedstawię nasze ustalenia na wieczornym spotkaniu w sali komunalnej. Nasz pierwszy pokaz dobrej woli i solidarności.

Murtry wstał i przeszedł obok Carol, nie patrząc na nią ani nie oferując uścisku dłoni.

Rzeczywiście, dobra wola i solidarność.

* * *

– No to – odezwał się Amos, gdy Holden wieczorem opuścił salę komunalną po spotkaniu. – Jak poszło?

– Chyba robię to jak należy – odpowiedział Holden. – Wszyscy są wkurzeni.

Przez chwilę szli zakurzoną ulicą w przyjaznym milczeniu.

– Dziwna planeta – odezwał się w końcu Amos. – Chodzenie pod gołym niebem w nocy bez księżycy łamie mi serce.

– Rozumiem. Ja ciągle podświadomie próbuję znaleźć Oriona albo Wielki Wóz. Ale jeszcze dziwniejsze jest to, że je znajduję.

- To nie one – podsunął Amos.

- Och, wiem. Ale mam wrażenie, że moje oczy wymuszają na gwiazdach wzory, które tak naprawdę wcale nie są właściwie do nich ułożone.

Zapadła kolejna dłuższa cisza, którą w końcu przerwał Amos.

- To jakby jedna z tych tam, metafor, nie?

- Teraz już tak.

- Postawić ci piwo? – zapytał Amos, gdy dotarli do kantyny.

- Może później. Chyba jeszcze pójde się przejść. Mają to miłe powietrze w nocy. Przypomina mi Montanę.

- Dobra, to do zobaczenia później. Spróbuj nie dać się zastrzelić, porwać czy coś.

- Zrobię co w mojej mocy.

Holden szedł powoli, przy każdym kroku wzbudzając sięgającą kolan chmurkę pyłu. Budynki jarzyły się w ciemności, będąc jedynym ludzkim osiedlem na planecie. Jediną oznaką cywilizacji w dzicz. Odwrócił się do nich plecami i szedł dalej.

Znalazł się dostatecznie daleko od miasta, by nie widzieć już jego słabych świateł, gdy obok niego pojawił się lekki błękitny blask. Blask równocześnie był tam i go nie było. Rozjarzał powietrze, ale niczego nie oświetlał.

- Miller – powiedział Holden, nie oglądając się.

- Cześć, młody.

- Musimy porozmawiać – dokończył za niego Holden.

- Im częściej to robisz, tym mniej jest to zabawne – skomentował detektyw, wsadzając ręce do kieszeni. - Przyszedłeś tu, żeby mnie znaleźć? Przyznaję, że jestem mile połechtany, biorąc pod uwagę twoje pozostałe problemy.

- Pozostałe problemy?

- Tak, te slumsy pełne przyszłych trupów, które próbujesz traktować jak dorosłych. Nie ma mowy, żeby nie skończyło się to rozlewem krwi.

Holden odwrócił się i ze zmarszczonym czołem popatrzył na Millera.

- Mówi do mnie były gliniarz? Czy upiorna laleczka protomolekuły?

– Nie wiem. Oboje – odpowiedział Miller. – Jeśli chcesz cienia, potrzebujesz światła i czegoś, co stanie mu na drodze.

– Mogę na chwilę pożyczyć gliniarza?

Szary mężczyzna z obwisłym podbródkiem uniósł brwi tak, jak robił to za życia.

– Czy chcesz mnie poprosić o użycie twojego mózgu do powstrzymania tych małą od zabijania się z powodu rzadkich kamieni?

– Nie. – Holden westchnął. – Tylko o radę.

– Dobra. Jasne. Murtry to świr, który wreszcie trafił w miejsce, gdzie może robić paskudztwa, o których marzył całe życie. Ja tam kazałbym Amosowi go zastrzelić. Carol i jej banda farmerów żyją tylko dlatego, że są zbyt zdesperowani, by uświadomić sobie własną głupotę. Pewnie zginą z głodu i zakażeń bakteryjnych w ciągu roku. Góra półtora. Twój kumpel, Avasarala i Johnson, wręczyli ci zakrwawiony nóż, a ty myślisz, że to dowód zaufania.

– Wiesz, czego w tobie nie cierpię?

– Kapelusza?

– Tego też – przyznał Holden. – Ale głównie nie znoszę wszystkiego, co masz do powiedzenia, choć nie zawsze się mylisz.

Miller kiwnął głową i wpatrzył się w nocne niebo.

– Pogranicze zawsze wyprzedza prawo – odezwał się Holden.

– Prawda – zgodził się Miller. – Ale tutaj było już miejsce zbrodni, jeszcze zanim tu doleciałeś.

– Wsadzenie ciężkiego promu było...

– Nie to – wciął się Miller. – Chodzi mi o to wszystko. Wszystkie miejsca.

– Mam wrażenie, że ostatnio spędzam mnóstwo czasu, prosząc ludzi, żeby wyrażali się jaśniej.

Miller się roześmiał.

– Myślisz, że ktoś zbudował te wieże i struktury, a potem po prostu odszedł? Ta cała planeta jest miejscem zbrodni. Pustym mieszkaniem z ciepłym jedzeniem na stole i wszystkimi ubraniami wciąż w szafach. Strasznie to śmierdzi.

– Północnoamerykańscy koloniści, którzy...

– Tylko że – Miller go zignorował – ludzie, którzy tu zniknęli, to nie byli jacyś durni Europejczycy, którzy nie wiedzieli, w co się pakują. To, co tu żyło, zmieniało planety tak, jak my remontujemy salon. Mieli na orbicie sieć obronną, która odparowałaby Ceres, gdyby ta za bardzo się zbliżyła.

– Czekaj, jaką sieć obronną?

Miller go zignorował.

– Puste mieszkanie, zniknęła rodzina, to niepokojące. Ale tutaj masz pustą bazę wojskową. Myśliwce i czołgi na jałowym biegu na skraju pasa, bez kierowców i pilotów. To nie pachnie dobrze. Stało się tu coś złego. Powinieneś powiedzieć wszystkim, żeby się stąd zabrali.

– Jasne – zgodził się Holden. – Oczywiście, już to robię. Ta kłótnia o to, kto może tu mieszkać naprawdę potrzebuje trzeciej strony, na którą mogą bluzgać dwie dotychczasowe.

– Nikt tu nie mieszka – powiedział Miller – ale pewne jak cholera, że będziemy się bawić trupami.

– Co to, u diabła, miało znaczyć?

Miller odsunął do tyłu kapelusz, patrząc na gwiazdy.

– Nigdy nie przestałem jej szukać. Julie? Nawet gdy nie żyła, nawet kiedy zobaczyłem jej ciało, nigdy nie przestałem.

– Prawda. Nadal upiorne, ale prawdziwe.

– To jest podobne. Nie podoba mi się to, ale o ile nic się nie stanie, będziemy sięgać i sięgać, i sięgać, aż znajdziemy to, co to wszystko zrobiło.

– I co wtedy?

– I wtedy to znajdziemy – odpowiedział.

* * *

Na skraju miasta czekał na niego nieznany mu mężczyzna. Wysoki jak Pasiarz, masywny i z grubym karkiem. Z wielkimi, mięsistymi dłońmi, które pocierał nerwowo. Holden z wysiłkiem zmusił się do nieopierania ręki na rękojeści pistoletu w kaburze.

– Myślałem, że się pan tam zgubił – odezwał się mężczyzna.

– Nie, wszystko w porządku. – Holden wyciągnął prawą dłoń. – Jim Holden. Spotkaliśmy się?

- Basia. Basia Merton. Z Ganimedesa.
- No tak, chyba wszyscy tu jesteście z Ganimedesa, prawda?
- W zasadzie tak.

Holden czekał, żeby mężczyzna się odezwał. Basia patrzył na niego, znowu splatając dłonie.

- No to. - Ciszę w końcu przełamał Holden. - Panie Merton. Jak mogę panu pomóc?

- Znalazł pan mojego syna. Tam... w tamtym miejscu. Znalazł pan Katoa - odpowiedział Basia.

Holden potrzebował chwili na skojarzenie, o czym mowa.

- Ten mały chłopiec na Ganimedesie. Jest pan przyjacielem Praksa.

Basia kiwnął głową, ruszając nią za szybko, jak nerwowy ptak.

- Odlecieliśmy. Ja, żona i dwójka pozostałych dzieci. Mieliliśmy możliwość wydostać się na *Barbapiccolę*, a ja myślałem, że Katoa nie żyje. Wie pan, on był chory.

- Tak samo jak córka Praksa. Brak układu odpornościowego.

- Właśnie. Tylko że kiedy odlatywaliśmy, on jeszcze żył. Wciąż żył w tym laboratorium, gdzie go pan znalazł. Zostawiłem swojego syna na śmierć.

- Może - odpowiedział Holden. - Nie da się tego stwierdzić.

- Ja to wiem. Wiem. Ale przywiozłem tu moją rodzinę. Żeby zapewnić im bezpieczeństwo.

Holden kiwnął głową. Nie powiedział tego, co mu się nasunęło: *to obcy świat pełen zagrożeń, których nie potrafi pan przewidzieć, a na dodatek nie macie do niego żadnych praw, a pan przyleciał tu, żeby być bezpieczny?* Nie wydawało się to pomocne.

- Nikt nie może nas zmusić do odejścia - dokończył mężczyzna.

- No cóż...

- Nikt nie może nas zmusić do odejścia - powtórzył Basia. - Powinien pan o tym pamiętać.

Holden ponownie kiwnął głową, a po chwili Basia odwrócił się i odszedł. *Jeśli to nie jest członek ruchu oporu, to przynajmniej wie, kto w nim jest*, pomyślał. Trzeba będzie mieć na niego oko.

Jego terminal ręczny zabrzączał prośbą o połączenie.

- Jim? - powiedziała Naomi. W jej głosie usłyszał nerwowość.

- Jestem.
- Coś się dzieje tam na dole. Potężny skok energii w twojej lokalizacji i, uch...
- Uch?
- Ruch.

Rozdział piętnasty

HAVELOCK

Nowa Ziemia powoli zaczynała się robić znajoma. Jedyne duże kontynent i długi łańcuch wysp planety obracały się pod Edwardem *Israelem* co dziewięćdziesiąt osiem minut, a okres orbitalny i obroty planety pilnowały, żeby przy każdym spojrzeniu obraz był odrobinę inny. Elementy geografii planety zaczęły dla niego nabierać nazw, choć nigdy nie będą tymi, które zostaną umieszczone w oficjalnej dokumentacji. Największa południowa wyspa stała się Dużym Manhattanem, ponieważ jej zarys przypominał mu tę północnoamerykańską wyspę. Wyspy Psiej Głowy leżały rozproszone na środku olbrzymiego oceanu planety i jeśli zmrużył oczy, wyglądały jak głowa collie. To, co nazywał Robaczymi Polami, było faktycznie olbrzymią siecią rzek wielkiego kontynentu, a każda z nich była dłuższa od Amazonki czy Nilu. Na północy wznosiło się Półksiężycowe Miasto, potężna sieć ruin obcych, które wyglądały trochę jak księżyc z kreskówki.

A tam, na dużej beżowej połąci miejsca, które określał mianem Talerza, leżała czarna kropka Pierwszego Lądowania, jak pierwsza krosta wysypki. Była maleńka, ale gdy statek nad nią przelatywał w nocy, była też jedynym źródłem światła. W dole było więcej miejsc i ekosystemów, więcej odkryć do dokonania i zasobów do wykorzystania niż znajdowało się na Ziemi. Wydawało się niedorzeczne, że walczyli i ginęli o ten jeden mały kawałek wyżynnej pustyni. Z drugiej strony, było to nieuniknione.

Murtry patrzył na niego z ekranu, słuchając raportu Havelocka. Ciężenie zmieniło kształt jego twarzy, ściągając w dół policzki i oczy. Właściwie wyglądał z tym dużo lepiej. Niektórzy ludzie byli stworzeni do studni grawitacyjnej.

– Mieliśmy jeden incydent z Piercem i Gilletem.

- To ci dwaj od biologii morza?

- Tylko Gillet. Pierce to facet od gleby. W sumie była to tylko niewielka kłótnia domowa, ale cóż... nastroje nie są najlepsze. Wszyscy ci ludzie przylecieli tu do pracy, a zamiast tego utknęli na górze. Robimy analizy czujnikami i czasami wypuszczamy sondy atmosferyczne, ale to jak dawanie głodującym ciasteczka, gdy czują zapach pełnego stołu. To wszystko zaczyna się powoli rozchodzić w szwach.

- To ma sens - zgodził się Murtry.

- Na dodatek nienawidzą nieważkości. Automatyczny lekarz wydaje leki przeciw mdłościom, jakby jutro miał się skończyć świat. W tej chwili w sumie dziwię się, że nie dodajemy tego syfu do wody.

Uśmiech Murtry'ego był bardzo powierzchowny. Havelock zamierzał mu zasugerować pomysł założenia drugiej kolonii. Może czegoś w umiarkowanej strefie temperaturowej, blisko rzeki i plaży. W miejscu, gdzie dałoby się na przykład rozwiesić hamak. Dałoby to pracę załodze wyprawy, a problemy z dzikimi lokatorami mogłyby zostać rozwiązane bez narażania na niebezpieczeństwo nikogo więcej. Miał te słowa na końcu języka, ale nie powiedział ich na głos. Znał już wszystkie argumenty przeciw pomysłowi. Nowotwór leczy się, kiedy jest mały, zanim się rozprzestrzeni. Nawet słyszał głos szefa. Havelock strzelił kostkami palców.

- Jak tam prom? - zapytał Murtry.

Havelock obejrzał się przez ramię, choć wiedział, że jest sam w biurze. Odpowiedział cichszym głosem.

- Było trochę oporów, ponieważ oznaczało to ścięcie o połowę harmonogramu dostaw, ale ludzie się z tym pogodzili. Myślałem o wsadzeniu do ładowni ceramiki dużej gęstości jako szrapnela i dorzuceniu kilku palet ładunków kumulacyjnych od geologów, ale nie mam niczego, co robi większy wybuch niż sam reaktor promy. Za to usunąłem wszystkie blokady bezpieczeństwa, jak pan prosił. Fizyczne i w oprogramowaniu. Szczerze mówiąc, wchodzenie na niego jest trochę straszne przez świadomość, że może wybuchnąć.

- A sterowanie?
- Usunięto wszystkie standardowe protokoły. Sterowanie pozostawiono panu i mnie. Każdy inny będzie rozmawiał z cegłą.
- Dobra robota.
- Kapitan Marwick nie jest z tego powodu zadowolony.
- Przeboleje to – rzucił Murtry. – Lepiej go mieć i nie użyć, niż potrzebować i nie mieć.
- Mamy też silnik statku – przypomniał Havelock. – Jeśli skierujemy zadek *Israela* w stronę *Barbapiccoli* i odpalimy, możemy go zmienić w żużel.
- Przy odpowiedniej odległości dałoby się to zrobić też z *Rosynantem* – zgodził się Murtry. – Tylko że oni mogą zrobić to samo, a na dodatek mają rakiety. Nie, szykujemy się po prostu na potencjalne zagrożenia. Co mi przypomina, że mam rozwiązanie jednego z naszych problemów.
- Sir?
- Ci wszyscy znudzeni naukowcy. Straciliśmy sporo personelu ochrony, a trafiliśmy w środowisko znacznie bardziej wrogie, niż się spodziewaliśmy. Chcę, żebyś przeprowadził trochę szkoleń.
- Chce pan ich zatrudnić do ochrony?
- Nic oficjalnego – odpowiedział Murtry. – Ale poczułbym się zdecydowanie lepiej, gdybyśmy mieli kilkanaście osób zaznajomionych ze sprzętem do tłumienia zamieszek i praktyką w nieważkości.
- Havelock kiwnął głową.
- Czyli milicja.
- Tu na dole de facto kontrolujemy Pierwsze Lądowanie. Holden uważa się za jakiegoś pieprzonego Salomona. Na razie nie mam nic przeciwko temu, żeby sobie tak myślał, ale gdy przyjdzie pora, możemy potrzebować dodatkowych sił na dole. Albo na *Barbapiccoli*. Będę zadowolony, jeśli nie będzie to potrzebne, ale chcę mieć taką możliwość. Dasz sobie z tym radę?
- Przyjrę się sprawie – odpowiedział Havelock. – Choć jestem prawie pewien, że oznaczałoby to naginanie zasad korporacyjnych. Kwatera główna jest dość wrażliwa na punkcie odpowiedzialności.

- Wysłali nas na koniec świata i pozwolili bandzie dzikich lokatorów nas zaatakować - odpowiedział Murtry. - Nie przejmuję się za bardzo tym, co myślą. To nie musi być nic oficjalnego. Zrób z tego klub. Po prostu paru gości zabijających czas wspólnym hobby w postaci ćwiczeń taktyki w niskim ciśnieniu. Wyprodukuj dla nich kilka karabinów na farbę. Po prostu dopilnuj, by byli gotowi.

- Na wypadek, gdyby byli potrzebni.

- Dokładnie - potwierdził Murtry z opadającym uśmiechem w pełnym ciśnieniu. - Na wypadek.

Technicznie rzecz biorąc, Havelock mógł spędzać czas w głównym biurze ochrony, przypięty do pryczy Murtry'ego i korzystać z jego biurka. Zamiast tego wolał trzymać się znajomego miejsca przy areszcie. Tłumaczył sobie, że ma tam system dostosowany już do jego preferencji i kodów dostępu, ale tak naprawdę wiedział, że chodziło o coś więcej. Murtry przejmował przestrzeń, nawet jeśli fizycznie jej nie zajmował, i Havelock nie czułby się tam swobodnie. Kiedy więc skończyła się druga zmiana, szef grupy inżynieryjnej przyszedł z nim do aresztu.

Główny inżynier Matthu Koenen był masywnym mężczyzną z krótkimi, sterczącymi siwymi włosami i znamieniem na szyi, którego nigdy nie usunął. Unosił się w powietrzu przy pryczy Havelocka z rękami złożonymi na szerokiej piersi i nogami skrzyżowanymi w kostkach jak posępna, gniewna baletnica.

- Dziękuję, że pan wpadł - powiedział Havelock.

- Jakieś kłopoty? - warknął Koenen.

- Nie - zapewnił Havelock, automatycznie przybierając burkliwy ton, którym posługiwał się na służbie. - Chciałem pana poprosić o zebranie zespołu. Tuzin osób do ćwiczeń taktyki w małych grupach.

Główny inżynier zmarszczył brwi i pogłębiły się bruzdy wokół jego ust. Havelock patrzył mu w oczy. Spędził zbyt wiele lat jako gliniarz na zbyt wielu stacjach Pasiarzy, by dał się przestraszyć gniewnej minie.

- Taktyka małych grup?

– Ćwiczenia w nieważkości – wyjaśnił Havelock. – Ze sprzętem do zwalczania zamieszek. Żeby zając czymś ciało i umysł.

Koenen uniósł podbródek, wciąż wbijając wzrok w Havelocka. Było to coś, czego nigdy nie robili Pasiarze. Havelock nie wiedział, dlaczego ten gest tak wyraźnie zdradzał osoby dorastające na planecie, ale tak było. Znalazł w tym pocieszenie.

– Mowa o działaniach wojskowych? Spodziewamy się czegoś?

Havelock wzruszył ramionami pod pasami pryczy. Prycza przesunęła się parę milimetrów na zawieszaniu.

– Chcę mieć taką możliwość – odpowiedział, nie zdając sobie sprawy, że cytuje Murtry’ego, zanim to powiedział.

– Nie ma sprawy. Mogę znaleźć jeszcze jedenaście osób. Kiedy chce pan nas mieć?

– Ile czasu to zajmie?

Koenen stuknął w swój terminal czubkami dwóch palców. *Mogę do nich od razu zadzwonić.* Havelock się uśmiechnął.

– Spotkamy się w hangarze promu o siódmej. Omówię wyposażenie, a potem godzina ćwiczeń dziennie przed zmianą przez cały czas w przewidywalnej przyszłości.

– Wpiszę to w harmonogram.

Kiwnęli sobie głowami i główny inżynier wysunął nogę, opierając ją o kraty jednej z cel, by pchnąć się w stronę drabiny. Havelock poczuł, jak coś niepewnie przesuwają się w jego umyśle. O czymś zapomniał. O czymś ważnym.

Sapnął, gdy wreszcie to do niego dotarło.

– Szefie!

Mężczyzna obejrzał się na niego. Oś jego ciała była prostopadła do biurka i poczucie równowagi Havelocka zmieniło się, gdy jego mózg wykonał jedną z okazjonalnych, panicznych prób ustalenia góry i dołu. Zamknął oczy, próbując zwalczyć falę mdłości.

– Tak?

– Kiedy będzie pan wybierał ludzi – powiedział Havelock przez zaciśnięte zęby. – Proszę nie brać Pasiarzy.

Koenen uśmiechnął się po raz pierwszy. Uśmiech wydawał się szczery.

– Też mi nowość – rzucił.

* * *

Jako pełniący obowiązki szefa ochrony powinien jadać w mesie oficerskiej. Był to jeden z tych drobnych gestów, które nadawały statkowi poczucie ciągłości, przestrzegania zasad i zwyczajów. Wiązały się z tym też pewne korzyści. Kolejki były krótsze, dostępny był alkohol, a ekran ścienny zwykle wyświetlał coś interesującego. W tej chwili urzędnik ONZ w niewygodnie wyglądającym szarym garniturze składał właśnie dłonie na szerokim, lśniącym biurku. Operator kamery kadrował obraz tak, by można go było wygodnie oglądać na ręcznych terminalach, więc twarz mężczyzny na ekranie ściennym była tak duża, że Havelock widział pory na jego skórze i ślady po makijażu.

- Znaleźliśmy się na skraju nowej złotej ery - powiedział. - Skala tych wydarzeń jest niesłychana. Wszystko, co zrobiliśmy, od pierwszych kamiennych narzędzi do kopuł na Ganimesedzie, stworzyliśmy, korzystając w zasadzie wyłącznie z zasobów jednej planety. Ziemi. Tak, potrzeba minerałów i rzadkich pierwiastków skierowała nas na Marsa i Lunę. Oraz do Pasa. A potem potrzeba infrastruktury uczyniła układ Jowisza czymś znacznie większym, niż sobie wyobrażaliśmy. Jednak mamy przed sobą ekspansję nie o rząd czy dwa, ale o trzy rzędy wielkości większą niż te, z którymi mieliśmy do czynienia w historii naszego gatunku.

Havelock zdarł folię z wierzchu swojego dania. Wołowinę z papryką przygotowano do jedzenia w nieważkości: twarde grudki białka i warzyw, które opierały się rozpadnięciu w powietrzu, ale zmieniały się w ustach w coś miękkiego i przyjemnego. Było to równie bezpieczne, jak tubki z papką, ale znacznie przyjemniej się jadło. Wrzucił sobie do ust pierwszy kawałek. Kostka wciągnęła ślinę, przywierając do języka. Kamera na Ziemi przełączyła się na młodą kobietę o poważnej twarzy.

- Ale co z projektantami protomolekuły? - zapytała. - Gatunkiem, który wysłał ją tutaj na Febe?

- Od tego zdarzenia minęły miliardy lat - odpowiedział mężczyzna w garniturze. - Żadna z naszych sond nie znalazła

żadnych śladów wciąż działającej, zaawansowanej cywilizacji. Wszędzie napotykamy coś, co wydaje się ruinami. Widzimy coś, co zdaje się funkcjonującymi biosferami. Szczerze mówiąc, są takie dni, gdy zapiera mi od tego dech.

Havelock napił się z bańki z wodą, a jedzenie rozwinęło się w pełny, smakowity kęs, prawie jakby zostało ugotowane w normalnej kuchni, a nie przemysłowym automacie.

– To gdzie jest haczyk? – zapytała kobieta.

Haczyk polega na tym, że pierwsze, co zrobiliśmy, gdy tu dotarliśmy, to pozwoliliśmy bandzie terrorystów z Pasa zgłosić roszczenie prawem zasiedzenia, a potem zaczęli do nas strzelać, pomyślał Havelock, wyciągając z opakowania kolejną kostkę. Człowiek z ONZ na ekranie rozłożył ręce.

– Przetwarzamy obecnie trochę ponad cztery tysiące wniosków już złożonych o prawa do eksploracji i rozwijania tych układów. Jeśli ma to zostać zrobione właściwie, musimy to robić bardzo ostrożnie. I wcale nie pomaga fakt, że SPZ wykorzystało tę sytuację do sięgnięcia po władzę.

– Cholerni Pasiarze – rzucił ktoś.

Havelock odwrócił się i zobaczył unoszącego się za sobą w powietrzu kapitana Marwicka. Jego krótko ścięte rude włosy i broda miały więcej siwizny, niż kiedy opuszczali Ziemię. Havelock się uklonił.

– Mogę się przyłączyć, panie Havelock?

– Ależ oczywiście – zapewnił Havelock, mrugając zaskoczony.

Kapitan przyciągnął się do stołu i przypiął do pryczy przeciążeniowej. Ekran ścienny za nim przełączył się z mężczyzny z ONZ na prowadzącą z nim wywiad kobietę, ale Havelock zarejestrował tę zmianę tylko jako zmianę oświetlenia i tła. Całą uwagę skupił na Marwicku.

– Jak wygląda sytuacja na powierzchni? – zapytał kapitan, otwierając pudełko z kolacją. Zabrzmiało to jak zaledwie uprzejma rozmowa przy jedzeniu i wśród innych ludzi pewnie tak właśnie by było.

– Widział pan raporty – odpowiedział Havelock.

– Ach, raporty. Zwykle pisze się je dla potomności i sędziów.

Mimo wszystko zaskoczyło mnie, że nasz wspólny znajomy, pan Murtry, zdecydował się na tak ostre kroki zaraz po przybyciu mediatora.

- Sytuacja tego wymagała - stwierdził Havelock. - Przez cierpliwość i umiarkowane zachowanie straciliśmy tam na dole mnóstwo świetnych ludzi.

Marwick wydał mrukliwy dźwięk, który mógł znaczyć cokolwiek, i zjadł porcję posiłku. Jego spojrzenie utkwiło gdzieś nad lewym ramieniem Havelocka.

- Oczywiście jesteśmy teraz tutaj na pozycji względnej władzy, prawda? - powiedział kapitan. - Mam nadzieję, że nasz przyjaciel na planecie pamięta, że nie zawsze tak będzie.

- Nie jestem pewien, czy rozumiem, co ma pan na myśli.

- No cóż, formalnie rzecz biorąc, nie jestem członkiem wyprawy ekspedycyjnej, prawda? Moją domeną jest *Israel*. Korzystam z mojej rangi kapitana do wygłaszania żądań i próśb, o jakie prosi mnie kwatera główna, choć tak naprawdę jestem tylko kierowcą ciężarówki. Ale przyjdzie taki moment, że przeprowadzę moją krypę z powrotem przez wrota, a po ich drugiej stronie będzie czekać Fred Johnson ze swoją dobrze uzbrojoną bazą. Wolałbym, żeby nie widział we mnie przede wszystkim celu.

Havelock powoli przeżuwał, marszcząc brwi. Zacisnął szczęki od nagłego gniewu.

- To my tutaj postępujemy zgodnie z zasadami. Przylecieliśmy tu z zespołami naukowców i hermetyczną kopułą. Zatrudniliśmy ich do zbudowania nam lądowiska, a oni nas zabili. To my tutaj jesteście dobrzy.

- A przewaga moralna daje bardzo miłą platformę widokową - odpowiedział Marwick, jakby się z nim zgadzał. - Tylko że nie zatrzyma rakiety. I nie odchyli trajektorii pocisku z działa Gaussa. To, co nasz znajomy robi na planecie, niesie ze sobą konsekwencje sięgające bardzo daleko stąd. A między nami są tacy, włącznie ze mną, którzy któregoś dnia chętnie wróciliby do domu.

Marwick włożył sobie do ust kolejną porcję kolacji, uśmiechnął

się smutno i kiwnął głową, jakby Havelock coś powiedział. Odpiął pasy pryczy przeciążeniowej.

- Te małe pudełka trzymają w kupie ciało i duszę, ale tak naprawdę nie zaspokajają, prawda? Oddałbym lewe jajo za prawdziwy stek. No cóż, było miło, panie Havelock. Jak zawsze.

Havelock kiwnął głową, ale złość w jego piersiach utrzymywała go na granicy między irytacją a furią. Wiedział, że dzieje się tak przynajmniej częściowo dlatego, że tak właśnie na jego miejscu zareagowałyby Murtry, ale ta świadomość nie zmieniała odczuwanych emocji. Zadzwoił jego ręczny terminal. Główny inżynier Koenen przesłał mu wiadomość. Otworzył ją.

MAMY PEŁNY ZESPÓŁ. JEDEN Z CHŁOPAKÓW ROBI MAŁE LOGO DLA KLUBU. COŚ NA POPRAWĘ MORALE.

Havelock przyjrzał się ilustracji. Była to stylizowana postać mężczyzny, masywna i bez twarzy, trzymająca w górze pięść większą od głowy. Ikoniczna reprezentacja ziemskiego typu budowy i przemocy. Havelock przyglądał się jej bardzo długo, zanim wysłał odpowiedź.

WYGLĄDA ŚWIETNIE. ZRÓBCIE TEŻ JEDNĄ DLA MNIE.

Rozdział szesnasty

ELVI

– Co to znaczy ruch? – zapytała Elvi.

– Po tym, jak zobaczyliśmy skok mocy – wyjaśnił Holden – *Rosynant* dokonał przemieszczenia okolicy. Właściwie to kilku.

Wyciągnął swój terminal ręczny, żeby Elvi popatrzyła. Próbowwała wyglądać poważnie, nie pokazywać po sobie, że jest pod wrażeniem. Przecież była uczoną, której postawiono poważne pytanie, a nie dziewczyną, która wpięła się do wspólnego strumienia rodziny, żeby paplać o tym, że James Holden odwiedził jej chatę. Przeskakiwała między obrazami. Ludzkie mózgi wyewoluowały do dostrzegania ruchu, więc przy szybkim przełączaniu łatwo było zauważyć przesuwające się cienie.

– Coś się porusza – zgodziła się. – Możemy zobaczyć, co to takiego?

– Nie ma tu jeszcze wielu satelitów obrazowych – odpowiedział Holden. – *Rosa* zbudowano raczej z myślą o walkach z innymi okrętami, a nie o badaniu planet.

Tego problemu nie byłoby w dowolnym miejscu Układu Słonecznego. Latało tam tak wiele kamer o tak wysokiej czułości, że w olbrzymiej pustce wewnątrz orbity Neptuna nie mogło się zdarzyć prawie nic, co nie zostałoby zauważone przez kogoś, kto wiedziałby, że należy tego szukać. Było to kolejne przypomnienie faktu, jak daleko są od domu i jak wiele oczywistości codziennego życia tu się nie sprawdzało.

– Co widzi *Israel*? – zapytała.

– Nic wiele lepszego – stwierdził Holden. – Dlatego właśnie wychodzimy. To coś jest w zasięgu pojazdów, choć dotarcie tam zajmie większą część dnia.

– Dlaczego? – zapytała. – To znaczy, widzę, że to dość duże, ale

w oceanach i zimniejszych rejonach prawdopodobnie jest całkiem sporo dużych organizmów.

– Organizmy nie wywołują skoków mocy – przypomniał Holden. – Na tej planecie ruszają się bardzo różne rzeczy. Cały czas. Ale to dopiero się zaczęło.

Elvi dotknęła obrazu, powiększając go, aż cienie się rozmyły.

– Ma pan rację. Powinniśmy to sprawdzić – oznajmiła. – Zbiore swoje instrumenty.

Godzinę później siedziała z tyłu otwartej kabiny pojazdu, mając obok Fayeza. Holden siedział z przodu, na siedzeniu pasażera, a prowadziła Chandra Wei. Przy boku Wei podskakiwał groźnie wyglądający karabin, ustawiony w zasięgu ręki, gdyby potrzeba przemocy pojawiła się nieoczekiwanie. Koła ładowarki jęczały, turlając się po ziemi i kamieniach przemieszczanej wiatrem pustyni.

– Dlaczego nie pojechała Sudyam? – zapytała Elvi, krzyżąc, by dało się ją słyszeć przez silniki maszyny i wiatr.

Fayez nachylił się blisko jej ramienia.

– Wei uznała, że na wypadek, gdyby nie poszło nam najlepiej, dobrze będzie mieć przy życiu kogoś z grupy egzobiologów.

Elvi poczuła, jak szerzej otwierają jej się oczy i zerknęła na kobietę prowadzącą pojazd.

– Naprawdę?

– Ubrała to w słowa trochę łagodniej – przyznał Fayez.

Nie było żadnego oznaczenia granicy, płotu albo drogi wskazującej, że opuścili teren Pierwszego Lądowania. Wzgórza z kamieni i ziemi wznosiły się i opadały, z organizmami w rodzaju trawy i grzybów przywartymi do ziemi, rozgniatanymi przez koła ładowarki. Ruiny, które stały się dla Elvi znakiem charakterystycznym Nowej Ziemi, powoli zmalowały i zniknęły z pola widzenia. Oparła głowę o metalową rurę klatki ładowarki, pozwalając, by wibracje przenosiły się do jej czaszki. Wei obejrzała się przez ramię, a Elvi uśmiechnęła się do niej. Wspomnienia setek wycieczek polowych z uniwersytetu sprawiły, że jej ciało spodziewało się piwa i marihuany, a przy tym męczył ją niepokój związany z wyprawą. Od wielu tygodni codziennie znajdowała jakiś nowy organizm lub odkrywała

nowy, nieznany dotąd ludzkości fakt, a teraz zobaczy coś, co może być jeszcze bardziej obce. Nikt nie wypowiedział słowa protomolekuła, ale implikacja była gęsta jak beton. Zwierzęta nie wywoływały impulsów energetycznych. Obcy tak.

Na szerokim jasnym niebie nad nimi wiatry w górnych warstwach atmosfery rozciągały w wąskie smugi olbrzymie, zielono-pomarańczowe chmury. Na Lunie spekulowano, że dziwne zabarwienie chmur oznaczało obecność w nich jakichś organizmów, czegoś, co zabierało do nieba własne minerały i używało pary tak jak łososie używają stawów rozplodowych. Choć była to tylko hipoteza, prawda mogła być tysiąc razy dziwniejsza. Albo bardzo zwyczajna. Elvi przyglądała się, jak rozciąga się jasna wełna chmury, a słońce przesuwają się za nią trochę zbyt powoli. Fayez pisał coś gorączkowo na swoim terminalu ręcznym. Wei prowadziła ze skupieniem i zaangażowaniem, które zdawały się jej znakiem charakterystycznym od chwili, gdy wylądowała na powierzchni. Czyli od kiedy zniknęli Reeve i pozostali.

Elvi zastanawiała się, co znaczył fakt, że mogła udać się w całkowicie nieznane tereny, jadąc przez powierzchnię planety, nie mając pojęcia, jakie grożą jej niebezpieczeństwa, a jednak przerażały ją myśli o mieszkańcach Pierwszego Lądowania. Nowa Ziemia miała być niebezpieczna, dzika i nieznana. Dopiero teraz zaczynała dorastać do oczekiwań. Niebezpieczeństwo stwarzane przez ludzi było znacznie gorsze, ponieważ się go nie spodziewała. I bała się, że tak samo będzie następnym razem.

Nie wiedziała, że zapada w drzemkę do chwili, gdy Fayez położył dłoń na jej ramieniu i delikatnie ją potrząsnął, żeby ją obudzić. Wskazał do góry. Na błękitnym niebie jarzyła się jasna kropka, jak Wenus widziana z Ziemi. Robiła się powoli coraz jaśniejsza, sunąc na zachód. Utworzyła się za nią cienka, biała smuga kondensacyjna, jedyna idealnie prosta linia na powykręcanym organicznie niebie. Prom. Elvi zmarszczyła brwi.

– Spodziewaliśmy się promu? – zapytała.

– To nie nasz – odpowiedział Fayez. – Ten jest z *Barbapiccoli*. Wznowili wydobycie rudy.

Elvi potrząsnęła głową. To wszystko było nieustannym ciągiem głupich pomyłek tak bardzo ze sobą zazębionych, że wydawały się nieuniknione. Kolonia sprzeda rudę, zatrudni prawników, zawrze porozumienia. Nigdy nie zostanie wzniesiona hermetyczna kopała. To, co powinno było być czystą, nieskażoną biologią, zmieni się w odzyskiwanie pełne z korektą na to oraz odrzucając zanieczyszczenia. Fayez wydawał się wiedzieć, o czym myśli.

- Żaden protokół badawczy nie przetrwa w kontakcie z badaną populacją - powiedział. - To nie tylko to. Chodzi o wszystko.

Słońce opadło na pół ręki nad horyzont, gdy ładowarka wspięła się na kolejne wzniesienie podobne do tysiąca wcześniejszych. Wei zahamowała i wyłączyła silniki. Fayez stanął na siedzeniu, opierając się łokciami o pręt klatki osłony. Holden rzucił pod nosem coś obelżywego.

- No cóż - skomentował przyciszonym głosem Fayez. - Przynajmniej nie było trudno to znaleźć.

Stwór siedział w zagłębieniu między wzgórzami. Jego olbrzymia skorupa była perłowobiała, podobna do ścian ruin, ale nie było w niej nic architektonicznego. Miał kształty owada i długie stawowe kończyny przypominające nogi naciskające słabo na ubity śnieg. Z jego pleców wystawały dwie większe wypustki, jedna szara i rozerwana, z egzoszkieletem zawierającym tylko pył, druga poruszała się niezgrabnie. Pięć czarnych kręgów na torsie kojarzyło się z oczami, ale nie przesunęły się, by na nich spojrzeć. Tak się przynajmniej Elvi wydawało.

- Co to jest? - zapytała Wei.

Elvi zauważyła, że kobieta trzyma w dłoni karabin. Nie zauważyła, kiedy go podniosła.

- Nie wiem - odparła. - Nigdy wcześniej nic podobnego nie widziałam.

- A ja tak - odezwał się Holden. - To jedna z ich maszyn. Cokolwiek zaprojektowało protomolekułę miało... rzeczy podobne do tego na stacji między pierścieniami. Choć były mniejsze. Widziałem, jak jeden z nich kogoś zabił.

- Chce mi pan powiedzieć - odezwała się Wei spokojnym i cichym głosem - że to coś ma kilka miliardów lat?

- Tak przypuszczam - potwierdził Holden.

Fayez zagwizdał.

- Nie jest umarłym ten, który może spoczywać wiekami². Czy, no wiecie, wszystko jedno.

Potwór z pustyni poruszył się chwiejnie, niezgrabnie ruszając nogami. Jego działająca kończyna wykręciła się w ich stronę, a potem opadła na ziemię. Ciało przesunęło się i zadrżało, próbując znowu się unieść.

- Patrzcie - powiedziała Elvi. - Tam.

Na linii wzdłuż dna doliny między wzgórzami kamienie zostały starte do czysta. Nie został na nich nawet ślad grzybotraw. Żadnych jaszczurek ani ptaków. Wyglądało to tak, jakby olbrzymia ręka sięgnęła gąbką i starła ziemię do czysta. Teraz, gdy wiedziała, czego szukać, zobaczyła, że nogi stwora zbierały miejscowe życie i podawały je do małych, chitynowych otworów rozmieszczonych na brzuchu.

- Czy to... je? - zapytała.

- Na stacji - powiedział Holden - żołnierze próbowali zabić jednego granatami. Maszyny zabiły człowieka, który go wystrzelił i zużyły jego ciało. Przetworzyły na miejscu. Zmieniły w pastę i użyły do naprawy uszkodzeń.

- To ma sens - przyznała Elvi. - Podczas zdarzenia na Erosie protomolekuła też wykorzystywała systemy biologiczne do swoich celów.

- Cieszę się, że się to pani podoba, doktor Okoye - rzuciła cierpko Wei. - Czy w pani naukowej opinii to coś może stanowić zagrożenie dla ekspedycji?

- Jasne, możliwe - potwierdziła Elvi, a Holden wyemitował chrapliwy dźwięk z głębi gardła.

Stwór szarpnął się do przodu, stracił równowagę i opadł z powrotem. Przypominało to oglądanie zepsutej zabawki lub uderzonego przez samochód psa, który jeszcze nie całkiem zginął. Było to fascynujące i przerażające. Nie potrafiła odwrócić

² Tłum. Ryszarda Grzybowska.

wzroku.

– Chyba powinniśmy się stąd zbierać – powiedział Holden, a strach sprawił, że jego słowa padały szybko. – I to już. Nie później, natychmiast.

– Nie po to tu przyjechaliśmy – powiedziała Wei, unosząc karabin do ramienia.

– Co robisz! – krzyknął Holden. – Nie słyszałaś tego kawałka o robieniu pasty?

W odpowiedzi Wei otworzyła ogień. Pociski smugowe wykreślały w powietrzu jaskrawoczerwone linie, a małe wybuchy rozświetlały każde uderzone miejsce. Stwór zatoczył się do tyłu, machnął kończyną, ale kiedy Wei skończyły się naboje w magazynku, wyjęła z kieszeni nowy i wznowiła ostrzał. Stwór próbował przepychać się w jej stronę, a potem się od niej oddalić. Z ran w jego boku wyciekał szarozielony płyn. Grzmot wystrzałów był ogłuszający.

Stwór szarpnął się ostatni raz i wyemitował wysoki skrzek, od którego zaboląły zęby. Opadł z rozrzuconymi nogami w kałuży płynu. Wei powoli opuściła broń, aż jej lufa skierowała się ku ziemi. Obejrzała się na Holdena twardymi oczami. Holden zaciskał dłonie na pulpicie ładowarki tak, że zbiegały mu kostki. Zrobił się szary na twarzy.

– Mam nadzieję, że to nie problem, sir – powiedziała Wei.

– Kompletnie ci odwaliło? – odpowiedział Holden wysokim i napiętym głosem. – To coś mogło cię zabić!

– Tak jest, sir – potwierdziła Wei. – Dlatego właśnie to zabiłam.

– Zabiłaś? – zapytał Holden jeszcze wyższym głosem. – Jesteś pewna? A jeśli to nie jest całkiem martwe? Możemy to... spalić czy coś?

Wei się uśmiechnęła.

– Tak – potwierdziła. – Owszem, możemy.

Wielki rudawy krąg słońca dotknął horyzontu godzinę później. Płomienie tańczyły wokół korpusu stwora, wznosząc się wyżej niż z wielkiego ogniska. W stronę chmur wędrowały spirala kłęby tłustego, czarnego dymu, a cały świat wydawał się śmierdzieć paliwem. Wei wyciągnęła z bagażnika ładowarki mały

namiot, a Fayeze go rozstawił. Elvi stała, czując na twarzy ciepło słońca i płomieniu. Ta noc będzie długa. Tutaj wszystkie takie były.

– Dobrze się czujesz? – zapytał Fayeze.

– W porządku. Choć żałuję, że nie mam jakichś próbek.

W samym sercu ognia jarzył się stwór. Jego skorupa była biała od żaru i pojawiały się na niej pierwsze pęknięcia, rozchodzące się od spoin. Na swój sposób był piękny i w równym stopniu żałowała jego zniszczenia, co czuła z tego powodu ulgę. Nie było to połączenie emocji, do którego się przyzwyczaiła.

Wei uparła się przy wystawieniu wart przez całą noc, a Holden zgłosił się na ochotnika do pierwszej. Wydawał się niespokojny w sposób, którego Elvi zupełnie nie spodziewała się po Jamesie Holdenie, kapitanie *Rosynanta*. Bezbronny. Elvi leżała w namiocie, wystawiając głowę na zewnątrz. Obok niej cicho pochrapywał Fayeze. Wei zwinęła się z tyłu ładowarki pod cienkim kocem i była cicha jak kamień. Elvi przyglądała się Holdenowi i słuchała, jak nuci sobie coś pod nosem. Samotny dźwięk człowieka pośród olbrzymiej, nieludzkiej planety. Sen nie przychodził. Po dwóch godzinach poddała się, wstała z niewygodnego materaca i poszła usiąść przy jego boku. Na planecie bez blasku księżyca światło pochodziło tylko od pomarańczowego blasku gasnącego stosu obcego i srebrzystego poblasku gwiazd. Zmieniło go to w kilka linii oraz wrażenie masy i ciepła.

– Nie mogę usnąć – powiedziała.

– Ja chyba też nie będę umiał – wyznał. – Nie znoszę tego, jak przerażają mnie te rzeczy.

– Dziwię się, że potrafi pan to wyznać.

– Sądziła pani, że będę się tym cieszył? – Usłyszała jego uśmiech.

Wysoko nad nimi przez niebo przemknęła spadająca gwiazda, jarząc się przez chwilę i gasnąc.

– Nie jestem przyzwyczajona do mężczyzn przyznających się do posiadania emocji. Był pan na Erosie, gdy doszło do zakażenia, prawda? Sądziłam, że po czymś takim już nic pana nie

przestraszy.

– To nie działa w ten sposób. Po Erosie bałem się wszystkiego. I nadal próbuję się uspokoić. – Zaśmiał się. Kiedy znowu się odezwał, jego głos spoważniał. – Sądzi pani, że była to maszyna? Czy raczej zwierzę?

– Nie sądzę, żeby oni stosowali takie rozróżnienia.

– Ma pani na myśli projektantów? Kto, u diabła, wie, jak oni patrzyli na świat?

– Och, pewne rzeczy da się stwierdzić – powiedziała Elvi. – To, co było dla nich ważne, pozostało w tym, co zaprojektowali. Na swój sposób wciąż tak jest. Wiemy, że szanowali moc systemów zdolnych do samodzielnego powielania się i wiedzieli, jak ją wykorzystać.

Bardziej poczuła niż zobaczyła, że obrócił się w jej stronę. Stała się bardzo świadoma bycia kobietą w ciemnej głuszy z mężczyzną przy boku. Wszechwładna noc wydała się intymna.

– Skąd to wiemy? – zapytał.

– Gdziekolwiek wysłali protomolekułę – odparła – wszechświat zawiera pewne dość spójne elementy. Wszędzie są te same pierwiastki. Węgiel jest zawsze węglem, azot azotem. Tworzą takie same wiązania i mogą budować takie same struktury. Wszystkie badane przez nas układy zawierają przynajmniej jedną planetę zdolną go generowania replikatorów organicznych.

– Ma pani na myśli rzeczy z DNA?

– Albo czymś, co zachowuje się jak DNA. Wysyłali budowniczych mostów do wykorzystania tych podstawowych replikatorów biologicznych, niezależnie od ich postaci. Mogą przejąć biosferę i zmienić ją w olbrzymią, usieciowaną fabrykę. Prawdopodobnie tak właśnie się rozprzestrzeniali. Celowali w miejsca, które dało się wykorzystać do robienia rzeczy, które pozwalały się tam dostać. A swoje struktury budowali tak, żeby były trwałe. Wygląda na to, że patrzyli na kolonizację galaktyki bardzo perspektywicznie.

Odchyliła się do tyłu, pozwalając ręce oprzeć się na przedzie ładowarki. Nie sięgając do niego, ale kładąc palce w miejscu, gdzie w ciemności mógł się o nie otrzeć. Na północy jakies

zwierzę odezwało się wysokim i świdrującym głosem.

- Było tu przez miliardy lat - odezwał się Holden. - A my zabiliśmy je karabinem i ropą naftową.

- Na swoją obronę mamy fakt, że to nie wyglądało zdrowo. Ale owszem, to coś nie spodziewało się niczego tak zaawansowanego lub agresywnego jak my. Budowali struktury, które trwają przez miliardy lat. Ruiny, to coś, pierścienie. Wszystko.

- Chwilami można by pomyśleć, że to bogowie. Gniewni i mściwi, ale bogowie.

- Nie - odpowiedziała Elvi. - Po prostu organizmy, których nie rozumiemy. Podlegające własnym ograniczeniom. Byli wyspecjalizowani do swojego ekosystemu, tak jak my. Tysiąc trzysta planet wydaje się dużą liczbą, gdy dotąd miało się tylko jedną, ale to kropla w oceanie w porównaniu z tym, co tam jeszcze jest, i to tylko w naszej galaktyce.

- Mieli ich więcej.

Elvi wydała cichy pytający dźwięk.

- Mieli ich więcej - powtórzył Holden. - Ale coś ich zaatakowało i próbowali to powstrzymać. Spalili całe układy słoneczne. I to wiele. A potem, gdy to nie zadziało, wyłączyli całą sieć. Poddali się kwarantannie, a i tak wymarli.

- Tego nie wiedziałam.

- Widziałem to. Tak jakby. Facet, którego kiedyś znałem, tak jakby się tym zajmuje.

- Chciałabym z nim porozmawiać - stwierdziła.

- No cóż, nie jest aż tak pomocny, jak można by się spodziewać.

Wei poruszyła się we śnie. Elvi ziewnęła, choć nie była jakoś szczególnie zmęczona.

- Dlaczego to się obudziło? - zapytał, kiwając głową w stronę trupa stwora. - Czy to przez nas? Wiedziało, że tu jesteśmy?

- Może - przyznała. - A może po prostu co jakiś czas się budziło i usypiało. Jak dotąd widzieliśmy tylko jednego, może ich tu być dużo więcej i spotkanie ich będzie częstsze. A może jest ich bardzo niewiele i będą rzadkie. Mógł być tylko ten jeden. Jeszcze nie mamy dość danych.

- Chyba tak. Mimo wszystko wolałbym wiedzieć, co się miało

stać.

– A ja nie. Tyle mojego życia okazało się lepsze niż się spodziewałam, że lubię być zaskakiwana. Kiedy robiłam studia magisterskie na Kano, wyobrażałam sobie, że będę przez całą karierę zawodową robić oznaczenia środowiskowe na Europie. A trafiłam tutaj.

– Kano?

– Dorastając, spędziłam dużo czasu w Zachodnioafrykańskiej Strefie Współpracy. Północna Nigeria. Wróciłam tam na studia.

– Naprawdę? – powiedział Holden z autentycznym zainteresowaniem. – Jeden z moich ojców miał rodzinę w Nigerii.

– Jeden z?

– Miałem kilku – wyjaśnił. – Rozszerzona grupa rodzicielska.

– Ach. Słyszałam o nich.

– Robi się z tego spora rodzina zasadnicza i olbrzymia rozszerzona. Możemy być kuzynami.

– Mam nadzieję, że nie – odpowiedziała ze śmiechem Elvi, a potem natychmiast pożałowała tych słów.

Cisza była okropna. Nie widziała zbyt wyraźnie jego twarzy, ale mogła ją sobie wyobrazić. Zaskoczenie. Zakłopotanie. Ściągnęła rękę z powrotem na kolana.

– Ja... – powiedział.

– Jeśli pan chce, wezmę resztę warty – stwierdziła. Lekkość jej głosu nawet dla niej brzmiała na wymuszoną. – Tej nocy chyba i tak nie mam szansy na sen.

– Byłoby... świetnie – odpowiedział Holden. – Dziękuję.

– Tylko niech pan uważa na Fayeza. Kradnie koce.

James Holden zsunął się z maski ładowarki. Usłyszała jego kroki oddalające się w stronę namiotu, potem szelest plastiku, gdy się kładł. Skuliła się, obejmując się ciasno rękami. Stwór z pustyni był już tylko dogasającymi węglami, jarzącymi się słabym pomarańczowym światłem w nocy, niczego nie oświetlając. Wykwitało w niej zawstydzenie, jasne i bolesne jak rozcięcie kartką papieru.

– Głupia – powiedziała cicho. – Głupia, głupia, głupia.

Obcy mrok nie zaprotestował.

Rozdział siedemnasty

BASIA

Coop i Cate byli członkami SPZ starej szkoły jeszcze w czasach, gdy Sojusz Planet Zewnętrznych był tylko wspólną ideą z bronią. Razem wspinali się w hierarchii, gdy nawet rozerwany krąg SPZ na rękawie był przestępstwem wystarczającym do aresztowania. Sztuki uczyli się, omijając uzbrojone punkty kontrolne Koalicji Ziemska-Marsjańskiej, podkładając bomby, przemycając broń i generalnie zachowując się jak terroryści, o co oskarżały ich planety wewnętrzne. Jedynym powodem, dla którego nie trafili na dożywocie do obozów, był fakt, że według niektórych standardów SPZ wygrał. Po Erosie planety wewnętrzne zaczęły traktować SPZ jak rzeczywisty rząd i wielu wojowników SPZ otrzymało faktyczną amnestię, wiążącą się z rezygnacją z wykonywania wyroków.

Cate była teraz tylko górnikiem, jak pozostali, ale potrafiła używać słów w rodzaju przewaga taktyczna i brzmieć, jakby faktycznie wiedziała, o czym mówi.

- Teren i przewaga liczebna to czynniki naszej przewagi taktycznej - powiedziała Cate do małej grupy zebranej w jej domu. - Ale oni mają większą siłę ognia. Tego nie obejdziemy. Mamy może ze dwanaście sztuk broni, to wszystko. Nadal możemy zdobyć materiały wybuchowe, ale umowa, którą Holden zawarł z RCE, robi z tego znacznie bardziej ryzykowne przedsięwzięcie.

- Pieprzyć Holdena - rzuciła Zadie.

- Wkrótce się z nim policzymy - odpowiedziała Cate.

Jej słuchaczami była zwykła w takich wypadkach grupa. Stan syna Zadie się pogorszył, jego infekcja oka nie ustępowała i jej żona zostawała z nim teraz cały czas w domu. Basia miał wrażenie, że Zadie szukała kogoś, kogo mogłaby ukarać za

cierpienie rodziny. Pete, Scotty i Ibrahim też tam byli, weterani ich starcia z ochroniarzami RCE. Dawało im to pewien status w grupie, z którego ochoczo korzystali. Jednak znaleźli się tam też nowi. Inni członkowie kolonii, którzy wcześniej nie byli zdecydowani odnośnie do najlepszego sposobu postępowania z RCE, ale zostali przeciągnięci do obozu rewolucyjnego przez brutalną taktykę Murtry'ego. Przez męczeństwo Coopa.

– Jak? – zapytał Scotty. – Jak policzymy się z Holdenem?

– Sądzę, że usuniemy wszystkie nasze problemy w jednej operacji na kilku frontach – odparła Cate. – Murtry i jego ludzie, Holden ze swoim zbirami, wszyscy na raz. Kluczem do tej wojny są pieniądze.

– Musimy sprawić, żeby okupacja była dla nich zbyt kosztowna.

– Ibrahim przytaknął.

On też był w SPZ.

– Dokładnie. Tak właśnie pozbyliśmy się wewnętrzniaków w Pasie. Jeśli okupowanie nas nie jest opłacalne ekonomicznie, nie będą tego robić. Każdy, który wraca do domu w worku, to kolejny gwóźdź do korporacyjnej trumny. – Cate podkreślała słowa, uderzając dużą pięścią w otwartą dłoń.

– Nie łapię. Jak zabijanie ich ma nam w tym pomóc? – zapytał Basia.

Zgodził się przyjść w nadziei, że może zdoła pomóc wygrać rozsądniejszym. Jednak im dłużej trwało spotkanie, tym mniej prawdopodobne się to wydawało.

– Przesłanie nowych żołnierzy na front wymaga osiemnastu miesięcy – wyjaśniła Cate. – To uwięzienie długodystansowego frachtowca na ponad trzy lata. To kosztuje. A przez półtora roku lotu tutaj my będziemy umacniać naszą pozycję. Robić obozy na wzgórzach. Rozchodzić się. Żeby wygrać, musieliby przeprowadzić operację wojskową w pełnej skali. Stacja *Medyna* na to nie pójdzie, nawet jeśli się na nas wkurzą za siłowe rozwiązania.

– Wymuszony sojusz – dodał Ibrahim, potakując.

– Książkowy przykład – potwierdziła Cate.

Przez chwilę w pokoju panowała cisza, gdy wszyscy

przetrawiali jej słowa. Metalowy dach zagrzechotał i zazgrzytał przerzucanym po nim przez wiatr piaskiem. Okna zatrzeszczały, stygnąc w nocy. Kilkanaście osób wdychało obce powietrze.

- Oni już tu są - powiedział Basia po odchrząknięciu, żeby przerwać ciszę. - Czy to nie jest dokładnie to, co zrobią?

- Kto zrobi? - zapytał Scotty.

- *Rosynant* - wyjaśnił Basia. - W tej chwili są na orbicie. Okręt wojenny z działami, raketami i Bóg wie czym jeszcze. Jeśli zabijemy Holdena, to czy nie mogą nas po prostu zbombardować?

- Miejmy nadzieję, że to zrobią! - zagrzmiała na niego Cate. - Na Boga, niech to zrobią. Kilka nagrań z martwymi kolonistami zamordowanymi przez statki ONZ z orbity i wojna o opinię publiczną będzie wygrana.

Basia kiwnął głową jakby się zgadzał, choć tak naprawdę pomyślał: *jestem w niewłaściwej drużynie*.

- Obie grupy muszą ruszyć równocześnie - oznajmiła Cate. Jej głos przybrał takie same tony, jakimi zwykł mówić Coop. Gdyby zamknął oczy, mógłby pomyśleć, że on wciąż tu jest, że nawiedza pokój. - Przez cały czas w mieście krąży dwuosobowy patrol, więc będziemy potrzebować zespołu, który będzie deptał im po piętach, aż damy sygnał. Drugi zespół zaatakuje budynek ochrony, gdzie będzie Murtry z resztą swoich ludzi. Trzeci zespół pójdzie do kantyny, gdzie na noc zamyka się Holden ze swoim zbirem. Myślę, że pierwszy zespół powinien się składać ze Scotty'ego i Ibrahima. Ja poprowadzę...

Cate mówiła dalej, prezentując szaleństwo wielokrotnego morderstwa jak układankę do złożenia lub grę do wygrania. Koordynując taktykę, by wszystkie trzy ataki nastąpiły równocześnie, uniemożliwiając ostrzeżenie którejś grupy. Używała zwrotów w rodzaju *pola ostrzału* i *maksymalna agresja*, jakby znaczyły coś innego niż zastrzelenie kilkunastu kobiet i mężczyzn, z których większość będzie spać. Mała grupa kiwała głowami i słuchała. Basię zdumiało, jak łatwo coś niesłychanego stało się zwyczajne.

- Tutaj żyją moje dzieci - odezwał się Basia, przerywając jej.

- Co? - rzuciła Cate, wyglądając na szczerze zdumioną. Przerwał jej w połowie zdania. - Nie ro...

- Te ciała, których zdjęcia zrobimy, żeby wysłać wiadomościom w domu - odpowiedział Basia. - Będą na nich nasze dzieci. Moje dzieci.

Cate zamrugnęła, jeszcze zbyt zaskoczona, żeby się złościć.

- Como?

- Chciałem przyjść tu i może przekonać was, żebyście nie zrobili czegoś głupiego - powiedział Basia, wstając i zwracając się do całego pokoju. - Myślałem, że może bez Coopa wreszcie z tym skończymy. Ale to nie jest już tylko głupie. Nie, jeśli mówicie o martwych przyjaciółach i członkach rodzin jak o narzędziach walki medialnej. To jest złe. I nie mogę w tym uczestniczyć.

W pokoju znowu zapadła cisza, jedynymi dźwiękami był piasek uderzający w okna i oddychanie.

- Jeśli spróbujesz nam wejść w drogę... - zaczął Ibrahim, ale Basia obrócił się w jego stronę.

- To co? - zapytał, podchodząc na tyle blisko, że jego oddech poruszył włosami na rzadkiej brodzie Ibrahima. - Jeśli wejde wam w drogę, to co? Nie rób połowicznych gróźb, macho.

Ibrahim był od niego mniejszy. Spuścił wzrok i nie odpowiedział. Basia poczuł chwilę wstydlivej ulgi, że to właśnie Ibrahim postanowił się postawić, nie Cate. Basia bał się tej kobiety i nigdy nie zdołałby się jej tak przeciwstawić.

- Dui - powiedział, cofając się i kiwając im głową. - Idę stąd.

Gdy tylko zamknęły się za nim drzwi, zaczęli rozmawiać przyciszonymi głosami, ale nie słyszał treści ich rozmów. Od tego świerbiło go na karku. Zastanawiał się, czy posunął się za daleko i czy uznają, że lepiej zabić jego i Lucię.

W pół drogi do domu natknął się na dwuosobowy patrol RCE. Dwie kobiety w wielkich pancerzach, dzięki którym wyglądały na masywne i niebezpieczne. Jedna z nich, o jasnej karnacji i kruczoczarnych włosach, kiwnęła mu głową, gdy je mijał. Wszystko w jej wyglądzie było gróźbą: pancerz, trzymany w rękach wielki karabin szturmowy, zwisające z pasa granaty

ogłuszające i kajdanki. Jej przyjazny uśmiech wyglądał zdecydowanie nie na miejscu. Basia nie potrafił powstrzymać się przed wyobrażeniem jej sobie, jak wykrwawia się na ulicy, zastrzelona od tyłu przez jednego z jego przyjaciół.

Lucia czekała na ganku, siedząc po turecku na dużej poduszce i popijając coś parującego w nocnym powietrzu. Nie herbatę. Nie mieli już prawie żadnych zapasów. Prawdopodobnie po prostu gorącą wodę z odrobiną aromatu cytrynowego. Jednak nawet sztuczne aromaty wkrótce się skończą, chyba że dostaną pozwolenie na rozpoczęcie handlu rudą.

Basia z łomotem usiadł obok niej na twardej podłodze z włókien węglowych.

- I co? - zapytała Lucia.

- Nie chcę słuchać. - Basia westchnął. - Mówią o zabiciu ludzi z RCE. Wszystkich. Oraz Jima Holdena i jego ludzi.

Lucia pokręciła głową w łagodnym zaprzeczeniu.

- A ty?

- W tej chwili mogą rozmawiać na temat zabicia i mnie. Nie sądzę, żeby to zrobili, jeśli nie będę im wchodził w drogę. Ale nie mogę brać w tym udziału. Powiedziałem im to. Bardzo cię przepraszam, że pozwoliłem, by to zaszło tak daleko, Lucy. Jestem bardzo głupim człowiekiem.

Lucia posłała mu smutny uśmiech i położyła mu dłoń na ramieniu.

- Jeśli teraz niczego nie zrobisz, zostaniesz po ich stronie.

Basia zmarszczył brwi. Nocne powietrze niesło ziemny zapach niedawnej burzy pyłowej. Woń cementarza.

- Sam ich nie powstrzymam.

- Po to przyleciał tu Holden. Wrócił z tego wyjazdu na pustynię z naukowcami. Możesz iść z nim porozmawiać.

- Wiem - przyznał Basia, ponieważ dokładnie o tym właśnie myślał. Fakt, że było to konieczne, w niczym nie osłabił wrażenia, że zdradzi swoich przyjaciół. - Wiem. Zrobię to.

Lucia roześmiała się z ulgi. Widząc zdziwiony wyraz twarzy Basi, chwyciła go w ramiona i przyciągnęła.

- Tak się cieszę, że wciąż tu jest Basia, którego kocham.

Rozluźnił się w jej objęciach, pozwalając sobie przez chwilę czuć się bezpiecznym i kochanym.

– Baz – Lucia wyszeptała mu do ucha.

Nie mów niczego, co zepsuje tę chwilę, pomyślał.

– Felcia leci promem na *Barbapiccola*. Teraz. Tej nocy. Pozwoliłam jej.

Basia odsunął się od Luci na długość ręki.

– Co takiego?

Lucia zmarszczyła brwi i mocno chwyciła go za barki.

– Pozwól jej lecieć. – W jej głosie zabrzmiało ostrzeżenie.

Basia wyszarpnął się i zerwał się na nogi. Lucia zawołała za nim, ale biegł już drogą w stronę lądowiska, najszybciej jak potrafił.

Ulga, jaką poczuł na widok promu, była tak wielka, że niemal padł na ziemię. Obok przejechał jeden z elektrycznych wózków kolonii, prawie go rozjeżdżając w ciemności. Paka wózka była pełna rudy. Wciąż ładowali prom. Miał czas.

Felcia stała kilka metrów od śluzy. Trzymając walizki w obu dłoniach, rozmawiała z pilotem. Stali w dużej plamie światła lamp rozstawionych wokół statku, a jej ciemnooliwkowa skóra zdawała się jarzyć. Czarne włosy opadały wokół twarzy i na plecy w luźnych falach. Miała szeroko otwarte oczy i usta jak zwykle, gdy mówiła na temat, którym się przejmowała.

W tej chwili jego córka była tak piękna, że Basia poczuł ból serca. Kiedy go zobaczyła, na jej twarzy pojawił się uśmiech. Zanim zdążyła się odezwać, objął ją ramionami i mocno uściskał.

– Tato – odezwała się z niepokojem w głosie.

– Nie, skarbie, wszystko w porządku. – Pokręcił głową przy jej szyi. – Nie przyszedłem cię zatrzymać. Ja tylko... nie mogłem pozwolić ci odlecieć bez pożegnania.

Jego policzek zrobił się mokry. Felcia się rozplakała. Ujął ją za ramiona i odsunął od siebie, żeby popatrzeć jej w twarz. Jego mała dziewczynka, już taka dorosła, ale płacząca w jego objęciach. Nie potrafił nie widzieć w niej czterolatki, którą kiedyś była, gdy przewróciła się i skaleczyła sobie kolano.

– Tato – odezwała się głosem pełnym przejęcia. – Bałam się, że

znienawidzisz mnie za odlot. Ale mama powiedziała...

– Nie, skarbie, nie. – Basia znowu ją przytulił. – Leć, a kiedy pozwolą odlecieć statkowi, leć na Ceres, zostań lekarką i miej fantastyczne życie.

– Dlaczego?

Ponieważ ludzie tutaj widzą w twojej śmierci sposób na wygranie walki o przychyłność opinii publicznej. Ponieważ straciłem już wszystkie dzieci, jakie zamierzam stracić. Ponieważ nie mogę pozwolić, żebyś mnie zobaczyła, gdy w końcu mnie aresztują.

– Ponieważ cię kocham, skarbie – powiedział zamiast tego. – I chcę, żebyś była wspaniała.

Przytuliła go i przez tę chwilę wszystko na świecie znowu było jak należy. Basia przyglądał się, jak wchodzi do promu, zatrzymując się za progiem służby, żeby mu pomachać i posłać całusa. Obserwował, jak ładują do przedziału towarowego ostatnią porcję rudy. Patrzył, jak prom startuje z rykiem i uderzeniem fali żaru.

Potem odwrócił się i ruszył poszukać Holdena.

* * *

Holden z Amosem siedzieli w maleńkim barze kantyny. Amos pił i przyglądał się każdemu, kto przeszedł przez drzwi. Szklanek trzymał lewą ręką, prawej nigdy nie odsuwając daleko od broni przy pasie. Holden pisał szybko na leżącym na stole terminalu ręcznym. Obaj wyglądali na spiętych.

Basia podszedł do nich, uśmiechając się i kiwając głową, cały czas trzymając ręce widoczne i z dala od ciała. Amos uśmiechnął się w odpowiedzi. W blasku białych diod LED kantyny czaszka wielkiego mężczyzny wyglądała na bladą i lśniąca. Kiedy nachylił się trochę na krzesło, wyglądało to całkowicie naturalnie i niegroźnie, ale Basia zauważył, że w ten sposób pozornie przypadkiem jego ręka znalazła się bliżej broni.

Nie były to szczegóły, które zauważyłby wcześniej. Coop, Cate i przemoc ostatnich kilku miesięcy sprawiły, że zrobił się nerwowy i wszędzie dostrzegał groźbę przemocy. Jednak gdy

popatrzył na Amosa, nabrał silnego przekonania, że w tym wypadku się nie myli.

– Mogę się na chwilę przysiąc, kapitanie Holden? – zapytał, unosząc ręce.

Holden poderwał głowę, poruszony i przestraszony. Basia był pewien, że to nie on był źródłem strachu i zainteresował się, co mogło nim być. Murtry i jego korporacyjni zabójcy? Czy Holden usłyszał od kogoś innego o planowanym ataku?

– Proszę – powiedział Holden, a strach zniknął z jego twarzy równie szybko, jak się na niej pojawił. Wskazał jedno ze stojących przy stole krzesel. – Co mogę dla pana zrobić?

Amos się nie odezwał, tylko dalej się uśmiechał. Basia usiadł, pilnując, by trzymać dłonie widoczne, na stole.

– Przyszedłem pana ostrzec, kapitanie.

– Przed czym? – zapytał natychmiast Amos.

Holden milczał.

– Jest tu grupa ludzi. Tych samych, którzy zaatakowali i zabili zespół ochroniarzy RCE przed pańskim przylotem. Planują wymordować pozostałych ochroniarzy w ciągu kilku najbliższych dni. Może nawet jutrzejszej nocy.

Holden i Amos wymienili szybkie spojrzenia.

– Spodziewaliśmy się czegoś takiego – przyznał Holden. – Ale to nie jest ważne...

Basia nie dał mu skończyć.

– Chcą zabić także pana.

Holden trochę bardziej się wyprostował. Wydawał się nie tyle zły, co dotknięty.

– Mnie? Dlaczego chcieliby zabić mnie?

– Uważają, że to będzie przesłanie – wyjaśnił przepraszająco Basia. – Wkurzyli się też na kontrole materiałów wybuchowych.

– Mówiłem – rzucił Holden do Amosa. – Dobry kompromis zdenerwuje wszystkie strony.

Nawet nie zdając sobie sprawy z tego, że zamierza to zrobić, Basia chwycił stojącą na stole butelkę i pociągnął długi łyk. Musiało to być coś, co przywieźli ze sobą, bo whisky była dużo lepsza, niż wszystko, co robili w osadzie. Napój przyjemnie

rozgrzał jego gardło i brzuch, ale nie uspokoił go tak bardzo, jak miał nadzieję. Pchnął butelkę z powrotem w stronę Amosa, ale olbrzym go zatrzymał.

– Zachowaj ją, brachu. Wyglądasz, jakbyś jej potrzebował.

– Co zamierza pan zrobić? – zapytał Basia Holdena.

– W sprawie zabójstwa? Nic. To nie będzie miało znaczenia, bo wszyscy odlatujemy.

– Wszyscy...?

– Ewakuujemy planetę. Wszyscy ją opuszczają. Wszyscy.

– Nie – odpowiedział Basia. – Nikt nie odleci. Teraz nie możemy.

Pomagalem zabijać ludzi, żeby tu zostać.

– Och, *naprawdę* odlatujemy – zapewnił Holden. – Na tej planecie dzieje się coś bardzo złego, co nie ma nic wspólnego z hardymi Pasiarzami ani ześwirowaną korporacyjną ochroną.

Basia pociągnął jeszcze jeden długi łyk z butelki. Alkohol zaczynał lekko szumieć mu w głowie, ale wciąż nie koił nerwów.

– Nie rozumiem.

– Ktoś tu kiedyś mieszkał – powiedział Holden, machając ręką wokół. Oszołomiony alkoholem umysł Basi potrzebował chwili, że Holden wcale nie mówi o kantynie. – Może odeszli, a może nie, ale zostawili tu po sobie mnóstwo rzeczy, a niektóre z nich zaczynają się budzić. Więc zanim zmienimy się w Erosa pod wielkim błękitnym niebem, wszyscy muszą się stąd wynieść w cholere.

Basia kiwnął głową, nie rozumiejąc.

– Wieże i roboty, brachu – powiedział do niego Amos, szczerząc się. Miał na myśli obcych. – Wygląda na to, że ich sprzęt zaczyna się budzić.

– W tej chwili wysłałem wiadomość do *Rosa*, który prześle ją do ONZ i rady SPZ – mówił dalej Holden. – Zalecam w niej, żeby wszyscy jak najszybciej wynieśli się na orbitę. Żeby to ułatwić, proszę o awaryjne przekazanie mi dowodzenia nad *Israelem* i *Barbapiccolą*.

– Nic z tego nie będzie – odpowiedział cicho Basia.

– Nie będzie łatwo to sprzedać – przyznał Holden – ale potrafię być przekonujący. A kiedy już przejmę dowodzenie...

- Nie polecą - oświadczył Basia. - Ludzie krwawili już za tę ziemię. Ginęli dla niej. Jesteśmy gotowi się zabijać, żeby tu zostać, więc jest pewne jak diabli, że zostaniemy i będziemy walczyć z tym, co chce nas przegonić.

- O ile ktoś zostanie przy życiu - skomentował Amos.

- Tak, oczywiście - zgodził się Basia. - O ile.

Rozdział osiemnasty

HOLDEN

Murtry ze swoimi ludźmi zmienili małe, prefabrykowane stanowisko ochrony w prawdziwą fortecę. Wewnętrzne ściany pokryto pianką pochłaniającą energię, która wyglądała jak bita śmietana, ale tworzyła barierę balistyczną mogącą zatrzymać pociski z broni ręcznej i nieduże wybuchy. Pod jedną ze ścian stała duża szafa z bronią, zabezpieczona zamkiem biometrycznym. Leżało w niej tylko kilka sztuk broni. Ponieważ Holden nie wiedział, ile sztuk zespół ochroniarzy przywiózł ze sobą, był to albo dobry, albo zły znak.

Murtry siedział za mały biurkiem, na którym leżał ręczny terminal. Odchylił się na krześle i założył ręce za głowę z niesprecyzowanym uśmiechem na twarzy. Wyglądał jak człowiek, który nigdzie się nie śpieszy.

– Słyszał pan, gdy mówiłem, że ludzie planują wymordowanie pańskiego zespołu? – zapytał Holden.

– Woląabym, żeby przestał pan używać tego słowa – odezwała się Carol Chiwewe.

Uparła się być obecna przy wszystkich spotkaniach Holdena z ludźmi z RCE, co wydawało się rozsądną prośbą. Teraz jednak, gdy jej własni ludzie planowali atak, jej obecność wydała się zagrożeniem bezpieczeństwa.

– „Morderstwo”? – zapytał Murtry. – Co pani powie na „terroryzm”? „Zabójstwo” zawsze brzmiało mi trochę zbyt formalnie. Pretensjonalnie.

– Chwila. – Holden wtrącił się, zanim Carol zdołała zareagować na podpuszczanie przez Murtry'ego. – Dajcie sobie z tym teraz spokój. Chwilowo wyczerpałem limit przejmowania się waszą małą wojenką. Tu nie chodzi już o negocjacje dotyczące praw albo o to, kto kogo pierwszy zaatakował.

- Nie? – odpowiedział Murtry. – W takim razie o co?
- O mnie mówiącego wam, co będzie.
- Mówiącego – rzucił Murtry.
- Pan tu nie dowodzi – dodała Carol.

Holden stłumił irytację na fakt, że jedyne, w czym się zgadzali, to utrudnianie mu życia.

- Ostatnio zmieniły się dwie rzeczy, a jedna nie – powiedział, starając się zachować spokojny ton głosu. – Przemoc ulegnie eskalacji i znajdziemy się na skraju pełnowymiarowej wojny między kolonią a RCE. Oraz, co zapewne jest ważniejsze, budzi się sprzęt zostawiony na planecie przez obcych.

- A co takiego się nie zmieniło? – zapytał Murtry.

- Co?

- Ta jedna rzecz, która nie uległa zmianie.

- Słusznie – zgodził się Holden, nachylając się ku niemu nad biurkiem. – Wciąż jestem jedynym gościem w układzie z okrętem bojowym na orbicie. Mając więc na uwadze te trzy rzeczy, opuścimy tę planetę, zanim zaczniecie się znowu zabijać albo zanim obcy wybiją nas wszystkich.

- Przeszedł pan do gróźb? – odezwała się z tyłu Carol.

- Owszem, jeśli tego właśnie trzeba – odpowiedział Holden, nie odrywając wzroku od Murtry'ego. – Proszę zacząć przygotowywać swoich ludzi do ewakuacji. Sprowadzić na dół promy z *Israela*. I to już. *Israel* odleci ze mną za trzydzieści godzin i chciałbym, żebyście wszyscy na nim wtedy byli.

- Nie może pan – powiedziała Carol i tym razem Holden odwrócił się do niej.

- Mogę. Ściągniemy tu prom *Barb* i sugeruję, żeby kazała pani swoim ludziom spakować wszystko, na czym im zależy i zacząć do niego wsiadać. Ponieważ *Barb* odleci.

Carol mocno zacisnęła usta i zwinęła dłonie w pięści.

- Skończył pan? – zapytał Murtry lekkim tonem. – Mogę przedstawić swoją odpowiedź?

- Nie ma żadnej – rzucił Holden, przysuwając krzesło do biurka i siadając.

Pokazał, że nie obchodzi go pozycja, jaką kontrolowanie biura

dawało Murtry'emu.

– Proszę, o to cena sławy – kontynuował Murtry. – Jest pan jednym z najbardziej rozpoznawanych ludzi w Układzie Słonecznym. Dlatego właśnie pana tu przysłali. Sława daje panu złudzenie władzy, ale to tylko pozór.

– Nie, fakt, że posiadam *Rosynanta*...

Murtry poklepał powietrze podobnym pogardliwym gestem, jakiego wcześniej użył wobec Carol.

– Jest pan sławny jako człowiek, który stara się uratować wszystkich. Z powodu bycia białym rycerzem Układu Słonecznego. Powalenie olbrzymów w rodzaju Protogenu i Mao-Kwik. Pański statek na bardzo odpowiednią nazwę.

Murtry roześmiał się, widząc zmarszczone czoło Holdena.

– Tak, czytałem tę książkę – wyjaśnił. – Dlatego właśnie pana tu przysłali. Nikt nie będzie się spodziewał, że James Holden stanie po czyjejs stronie. Że potajemnie będzie wspierał kolonistów lub jedną z tych paskudnych ziemskich korporacji. Jest pan człowiekiem bez własnego interesu lub podtekstu.

– Świetnie – skomentował Holden. – Dziękuję za opinię, a teraz niech pan zbierze swoich ludzi i...

– Ale jesteśmy osiemnaście miesięcy od najbliższego rozwiązania prawnego, a jedyną rzeczywistą władzą, jaką pan tu dysponuje, jest ta zapewniana przez przemoc.

– To pan tu jest od stosowania przemocy – wtrąciła się Carol z oskarżeniem.

– Owszem – zgodził się Murtry. – Lepiej od większości ludzi rozumiem jej użyteczność. I wiem, że pan, kapitanie Holden, nie jest tego typu człowiekiem. Gdyby groźby wypowiadał ten brutal, którego sprowadził pan tu ze sobą, musiałbym je potraktować poważnie. Ale te nie z pańskich ust. W tej chwili ma pan na orbicie okręt wojenny, który może zrobić z *Israela* i *Barbapiccoli* chmury żużlu, a potem zesaść na planetę zniszczenie, które skasowałyby każdy ślad ludzkiego życia w tym Układzie Słonecznym. Ale nie jest pan człowiekiem, który pociągnąłby za ten spust i obaj o tym wiemy. Proszę sobie darować groźby. Są niesmaczne.

– Nie kontroluje się pan – odpowiedział Holden. – Oszalał pan i gdy tylko RCE dowie się...

– Czego się dowie? Że mediator ONZ przestraszył się obcego artefaktu na planecie, a ja nie? – przerwał mu Murtry. – Niech pan wyśle pełny raport. Jestem pewien, że przy pańskiej reputacji i wsparciu ONZ i SPZ pańskie słowa zostaną bardzo uważnie wysłuchane. I może, może, za trzy lata od teraz przybędzie tu ktoś, kto mnie zastąpi.

Holden wstał, opierając dłoń na rękojeści pistoletu.

– A może ja pana zwolnię właśnie teraz.

W pokoju przez chwilę panowała cisza. Carol zdawała się wstrzymać oddech. Murtry zmarszczył brwi wyglądał jakby po raz pierwszy natknął się na coś niespodziewanego. Holden czekał, nie zrywając kontaktu wzrokowego, dostatecznie rozłoszczony, by wyciągnąć broń na Murtry'ego i wściekły na siebie, że pozwolił się do tego doprowadzić.

Murtry się uśmiechnął. To nie rozładowało napięcia.

– Gdyby miał pan ze sobą tego drugiego, ta groźba mogłaby mieć pewną wagę. Obaj wiemy, kto jest zabójcą w pańskiej załodze.

– Jeśli sądzi pan, że nie zastrzelę pana w tej chwili, żeby ocalić wszystkich innych na tej planecie, to wcale mnie pan nie zna.

Rozległo się szuranie po podłodze świadczące o tym, że Carol cofa się w stronę drzwi, schodząc z linii potencjalnego ognia. Holden dalej wpatrywał się w Murtry'ego. Mężczyzna przez kilka chwil marszczył czoło, a potem z powrotem uśmiechnął się niedbale. *No to jedziemy*, pomyślał Holden i spróbował powstrzymać drżenie dłoni wywołane uderzeniem adrenaliny.

Kiedy terminal ręczny na biurku zaskrzeczał prośbą o połączenie, Holden był tak zaskoczony, że wyciągnął broń, zanim zdołał się opanować. Murtry nie drgnął. Terminal zabrzączał ponownie.

– Mogę odebrać? – zapytał Murtry.

Holden tylko kiwnął głową, chowając pistolet z powrotem do kabury. Murtry podniósł terminal i odebrał połączenie.

– Mówi Wei – zabrzmiał głos.

- Słucham.

- Zespół na pozycji. Ptaszki w gnieździe, zbierają sprzęt. Wchodzimy?

- Czekaj - odpowiedział Murtry, a potem położył terminal i znowu spojrzął na Holdena. - Wciąż jest pan nerwowy z powodu tego, co stało się na Erosie. Rozumiem. Nie podchodzi pan racjonalnie do tego obcego gówna i szczerze mówiąc, to całkiem zrozumiałe. Wybaczam panu groźby. I doceniam, że pańskim pierwotnym powodem przyjścia tu była chęć ostrzeżenia mnie o niebezpieczeństwie grożącym moim ludziom. Fakt, że pomimo dzielących nas różnic próbuje pan uratować moich ludzi, nie jest mi obojętny.

- Nikt nie musi tu ginąć - powiedział Holden, wbrew wszystkiemu mając nadzieję, że Murtry ustępuje.

- No cóż, tak do końca to nie jest prawdą - odpowiedział Murtry. - Jestem dobry w tej pracy. Sądzi pan, że nie wiedziałem o tym małym powstaniu? Wiedziałem wcześniej niż pan.

Zespoły nieustannie patrolujące miasto nie miały szans podejść na tyle, by podsłuchiwać.

- Założył pan podsłuchy w mieście.

- W każdym budynku - potwierdził Murtry. - Tak więc choć doceniam, że pan tu przyszedł, chyba mam sytuację pod kontrolą.

- Podsłuchuje pan moje miasto? - zapytała Carol, której gniew zdawał się wygrywać ze strachem.

- Co pan robi? - zapytał Holden. - Proszę nie zrobić niczego głupiego.

Murtry tylko znowu się uśmiechnął, podniósł terminal ręczny i odezwał się do mikrofonu.

- Oddział uderzeniowy, ruszajcie.

Dźwięki wystrzałów na zewnątrz zostały przytłumione przez piankowe pokrycie ścian i brzmiały jak szybka seria odległych pyknięć. Jak fajerwerki w oddali lub w końcu ustępujące kiepskie złącze hydrauliczne.

- O nie - krzyknęła Carol i ruszyła do drzwi.

Holden pobiegł za nią, sięgając do terminala, by zadzwonić do Amosa.

Na zewnątrz dźwięki były znacznie głośniejsze. Spokojne nocne powietrze rozrywały szybkie wystrzały, a ich błyski stały się odległymi stroboskopowymi światłami na dalszym krańcu osiedla. Holden pobiegł w stronę huk, przez terminal krzycząc do Amosa. Potknął się w ciemności i upuścił urządzenie, ale nie zatrzymał się, by je podnieść.

Na północnym skraju miasta znalazł resztę zespołu ochroniarzy Murtry'ego strzelających do jednego z domów. Z wnętrza ktoś odpowiadał ogniem. Ochroniarze krzyczeli do ludzi w środku, żeby się poddali, a obrońcy wykrzykiwali przekleństwa i strzelali w odpowiedzi. Z jednego z rozbitych okien domu wznosiły się kłęby dymu. Najwyraźniej coś w środku płonęło.

– Przestańcie! – wrzasnął Holden, biegnąc w stronę ludzi z RCE.

Zignorowali go, dalej ostrzeliwując dom. Pocisk obrońców trafił jedną z kobiet z RCE w pierś, a zatrzymując kulę, pancierz wyemitował głuchy łomot. Kobieta padła na plecy, krzycząc z bólu i zaskoczenia. Pozostali członkowie oddziału otworzyli ogień w stronę okna, z którego padł strzał, kompletnie niszcząc jego ramę i ścianę z tyłu.

Ogień palący się w domu rozprzestrzenił się gwałtownie z falą żaru i głuchym dźwiękiem. Ktoś w środku krzyknął ze strachu lub bólu. Otworzyły się frontowe drzwi, zmienione już przez pociski w masę sterczących na wszystkie strony węglowych włókien. Ze środka wybiegła kobieta z karabinem w dłoniach. Ochroniarze natychmiast ją zastrzelili, a ona padła na ziemię, tryskając krwią.

– Oni się palą! – krzyknął Holden, chwytając najbliższego członka RCE i potrząsając nim. – Musimy ich stamtąd wydostać!

Mężczyzna zareagował, odpychając go.

– Proszę się nie zbliżać do czasu oczyszczenia terenu, sir!

Holden pchnął go na tyle mocno, że mężczyzna wylądował tyłkiem na ziemi, a potem pobiegł w stronę zastrzelonej kobiety przed domem. Ktoś w środku musiał uznać, że ich atakuje, bo zagrzmiała strzelba i ziemia metr przed nim wybuchła chmurą pyłu. Ludzie z RCE znowu zaczęli strzelać i Holden znalazł się nagle między dwoma liniami ognia.

Znowu, pomyślała jakaś odległa, wciąż spokojna część jego mózgu, zdumiewając się tym, jak często zdarzały mu się takie rzeczy.

Rzucił się na ziemię i przeturlał się na powaloną kobietę, wrzeszcząc do wszystkich, by przestali. Nikt go nie słuchał. Pożar w domu znowu się nasilił z kolejnym głośnym wybuchem i żar przypalił odsłoniętą skórę na twarzy i dłoniach Holdena. Strzały z wnętrza budynku natychmiast ustały, a chwilę po nich ucichli ochroniarze RCE. Holden chwycił powaloną kobietę za rękę i odciągnął ją od płomieni. Potknął się po dotarciu do ludzi z RCE, lądując na ziemi u ich stóp.

– Pomóż jej – wyskrzecztał do kobiety, która schyliła się, by mu pomóc.

Dźwignął się na rękę i kolana, ale tak został, bo zbyt kręciło mu się w głowie, żeby wstać.

Nad kobietą schylał się już inny członek zespołu.

– Ona nie żyje.

Holden padł z powrotem na ziemię, nagle kompletnie pozbawiony sił. Za późno. Wielka maszynka do mięsa, przed którą próbował uratować tych ludzi, nieustannie się obracała, a oni ciągle ustawiali się w kolejce, by skoczyć do środka. Ludzie z RCE pomagali postrzelonej koleżance, która upierała się, że nic jej nie jest, że pancierz zatrzymał kulę i że co najwyżej będzie miała duży siniak. Ktoś zażartował o idiotach przychodzących z procami na strzelaninę, co wywołało ogólną wesołość. Przez cały czas dom dalej się palił, a powietrze wypełniał kwaśny, czarny dym oraz zapach gorącego epoksydu i pieczonej wieprzowiny.

Ludzie z RCE przypomnieli sobie o jego obecności i kilku podeszło, patrząc na niego z góry.

– Skujcie go – powiedział ktoś.

Wei. Ta, która pojechała z nimi obejrzeć robota obcych. Ta, która go zastrzeliła. Patrzyła na niego z góry bez śladu współczucia w oczach.

– Pieprz się – warknął Holden, próbując podnieść się z powrotem na nogi. – Nikogo nie skujesz.

Wei uderzyła go w pierś kolbą karabinu, powalając go z powrotem na ziemię. Jeden z pozostałych ochroniarzy wycelował do Holdena z karabinu. Nagle pomyślał, że jest duże ryzyko, że zostanie zastrzelony.

– Stać – zabrzmiał spokojny głos. Z ciemności wyłonił się Murtry. – Nikt nie będzie strzelał do kapitana Holdena.

– Próbował pomóc terrorystom – odezwała się Wei.

– Doprawdy? – Murtry udał zaskoczenie. – Nie robił pan tego, prawda? To byłoby naruszeniem pańskiej neutralnej pozycji tutaj, prawda?

– Próbowałem pomóc postrzelonej kobiecie – odpowiedział Holden, powoli wstając.

Bolał go mostek. Nic nie szkodzi. Będzie bolało tylko przy oddychaniu.

– Brzmi rozsądnie – skomentował Murtry. – Czy to cały zakres jego pomocy terrorystom?

Wei przytaknęła, z potem z irytacją odwróciła głowę.

– W takim razie nie ma powodu pana aresztować – kontynuował Murtry głosem pełnym dobrego humoru.

On oszalał, pomyślał Holden. Kompletnie mu odwaliło. Mógłbym go teraz zabić i skończyć to wszystko. W duchu widział Millera kiwającego z aprobatą na tę myśl.

– Sir – odezwała się Wei, unosząc karabin do ramienia i celując w mrok poza światłem pożaru. – Ktoś idzie.

– Trzymaj majtki – odezwał się Amos z mroku i wyszedł w krąg światła.

Towarzyszył mu Basia Merton, Carol Chiwewe i kilkunastu kolonistów.

– Mój Boże – powiedziała Carol, patrząc na ogień. – Czy ktoś się wydostał?

Jeden z ochroniarzy wskazał karabinem na ciało na ziemi.

– Ona.

– Zadie – zidentyfikował ją Basia. – Zabili ją.

Murtry wyszedł przed grupę i odchrząknął. Odezwał się, gdy wszyscy na niego popatrzyli.

– Moi ludzie otoczyli dom, w którym grupa znanych

terrorystów aktywnie przygotowywała się do zamordowania mnie, całego personelu ochrony RCE i kapitana Holdena. Mieli broń palną i prawdopodobnie materiały wybuchowe. Gdy oddział ochrony RCE zażądał, by wyszli z budynku bez broni i z rękami do góry, otworzyli do nich ogień. Wszyscy terroryści zginęli wskutek strzałów *w obronie własnej*. Możliwe, że materiały wybuchowe, których planowali użyć terroryści, nasiliły pożar, gdy budynek zaczął się palić. Nasze postępowanie tutaj odbyło się zgodnie z procedurami, odpowiednio do ochrony personelu RCE oraz mediatora z ramienia ONZ/SPZ.

Carol z oszołomieniem popatrzyła na płonący dom.

– Odpowiednio...

– Panie Merton – kontynuował Murtry. – Tak się cieszę, że pan do nas dołączył. Sierżant Wei, proszę aresztować Basię Mertona.

– Co? – powiedział Basia, unosząc ręce i się cofając. – Dlaczego mnie?

– Nie – warknął Holden, przechodząc przed Wei i kładąc dłoń na napierśniku jej pancerza. – Nie ma mowy.

– Pan Merton był członkiem grupy spiskowców – wyjaśnił Murtry dostatecznie głośno, by usłyszał go rosnący tłumek kolonistów. – Wziął udział w tajnym spotkaniu, podczas którego planowano atak, a istnieją też istotne dowody, że uczestniczył w ataku, w którym zginęło pięciu moich ludzi. A może ma też coś do powiedzenia w sprawie tego, co stało się z gubernatorem Tryngiem. – Przyciszył głos. – Zejdz z drogi, Holden, bo przejdziemy przez ciebie.

Wei uśmiechnęła się do niego bez humoru. Jeden z pozostałych pracowników RCE obszedł ich i skierował się do Basi z plastikowymi kajdankami w dłoniach.

Amos wyszedł przed Basię i walnął mężczyznę z RCE w twarz. Zabrzmiało to jak młot uderzający w kawał wołowiny. Ochroniarz padł na ziemię jak marionetka, której obcięto nitki.

– Nie – powiedział Amos, a potem skrzywił się i potrząsnął prawą dłonią. – Aua.

Reszta ochroniarzy wymierzyła w niego z karabinów. Holden zobaczył, że Amos opuszcza rękę do pistoletu, więc przeszedł

przed niego i krzyknął:

– Stop!

– Aresztujemy go – oznajmił Murtry, wskazując Basię. – W taki czy inny sposób. Na razie przeoczę atak na jednego z moich ludzi. Strzelanina, pożar, ostre emocje.

– I tak odlatujemy – powiedział Holden niezbyt głośno, zwracając się do Murtry’ego, a nie do tłumu.

– Nie ma pan władzy, żeby komukolwiek nakazać wylot – odpowiedział Murtry. – Miałem nadzieję, że już pan sobie odpuścił.

– A w międzyczasie – Holden kontynuował, jakby Murtry się nie odezwał – ONZ zajmie się tym człowiekiem. Basią. W ramach naszego śledztwa. Zostanie zabezpieczony na moim statku, nie będzie stanowił zagrożenia dla ludzi na dole, a gdy wszyscy wrócimy, będzie mógł pan przedstawić swoje dowody i go aresztować.

– „Wrócimy” – powiedział Murtry z leniwym uśmiechem. – Będzie go pan trzymał w celi przez kilka następnych lat? Ponieważ go o coś oskarżyłem?

– Jeśli będę musiał – odpowiedział Holden. – Ponieważ nie mam ani cienia wątpliwości, że mógłby go pan zabić.

Murtry wzruszył ramionami.

– Dobra. W takim razie to pański kłopot. Tylko niech go pan zabiera z mojej planety.

Basia wyglądała na oszołomionego, a jego spojrzenie nie skupiało się na niczym konkretnym. Koloniści zaczęli organizować się w grupy do gaszenia pożaru. Murtry i jego ludzie stali i przyglądali się, nie oferując pomocy, będąc bardzo wyraźnym przypomnieniem stwarzanego przez nich zagrożenia.

Holden ruszył z powrotem do miasta w towarzystwie Basi i Amosa. Poklepał się po kieszeniach w poszukiwaniu swojego terminala i dopiero po chwili przypomniał sobie, że upuścił go, biegnąc do strzelaniny. Nie miał szans odnaleźć go po ciemku, więc pożyczył terminal Amosa i zadzwonił na statek.

– Naomi – powiedział, gdy tylko odebrała. – Sprowadź *Rosa* na dół, na lądowisko. Będziesz musiała nam wyładować solidniejsze

pancerze i trochę większą broń.

– To nie brzmi dobrze – zareagowała.

– Owszem. Masz już coś od ONZ albo Freda?

– Jeszcze nie. To chyba znaczy, że RCE ani ludzie z Ganimesesa nie chcą się stamtąd zabierać?

– Nie – potwierdził Holden i westchnął ciężko. – Nie, wolą zostać tu i zabijać się do chwili, aż to obce gówno zacznie zamieniać ich w części zamienne.

– A ty? – zapytała.

Chodziło jej o to, czy on opuści studnię grawitacyjną. Co było rozsądnym sposobem postępowania.

– Jeszcze nie – powiedział. – Jeśli dojdzie do dalszej eskalacji, to może.

– Mówiąc o eskalacji, masz na myśli obcych czy ludzi?

– Tak?

– Aleks wykrył jeszcze kilka skoków mocy i widzimy więcej ruchu, ale dość daleko na południe od was. Dam ci znać, jeśli zacznie to wyglądać bardziej interesująco.

– Dziękuję. Ach, i zabierzecie pasażera.

– Que?

– To skomplikowane, ale zabierzemy go na *Rosa*, bo tu na dole nie byłby bezpieczny. Jestem dłużnikiem tego gościa, Naomi. Próbował mi uratować życie. Dobrze się nim zaopiekuj.

– W porządku.

– I skarbie? – powiedział Holden, niezdolny ukryć troski w głosie. – Kiedy wrócisz na górę, miej baczne oko na *Israela*. Obawiam się, że sytuacja tutaj może się zrobić bardzo paskudna, a wtedy na górze też może być niewesoło.

– Ha! – rzuciła Naomi i usłyszał uśmiech w jej głosie. – Niech spróbują.

Rozdział dziewiętnasty

HAVELOCK

Korytarz ciągnął się czterdzieści metrów między zbiornikami recyklera a pomocniczym warsztatem, z włazami rozmieszczonymi co dziesięć metrów. Otwarte windy na obu końcach prowadziły do centrali sterowania środowiskiem od dziobu i przedziału hydroponicznego do rufy. Wiek *Israela* objawiał się nie tylko w wyglądzie ścian i wykładzinie podłóg, lecz także w zielono-szarym wzorze ceramiki. Ostre krawędzie w drzwiach znaczyły miejsca, gdzie zabezpieczenia zostały usprawnione po dziesięcioleciach, od kiedy statek pierwszy raz poleciał poza orbitę Marsa. Na jednej ze ścian rozciągała się biała blizna, gdzie zdarzyło się coś drastycznego w którejś z poprzednich er historii statku. Uszkodzenia załatano, co wyglądało jak zamalowanie farbą graffiti. Havelock zwalczył pragnienie wciśnięcia się w róg najbliższych drzwi.

Co nie było łatwe. Jego gatunek wyewoluował w studni grawitacyjnej Ziemi, tam dorastał i tam się rozwijał. Mózdzek przekonywał go, że nacisk oznacza bezpieczeństwo. Gniewne szepty jego ludzi w holu przyśpieszały bicie serca, a ściana odległa o centymetry od pleców zdawała się przyciągać jak magnes. Był to przepis na katastrofę. Gdyby się odchylił i naparł na ścianę, ta naparłaby na niego i odepchnęła, wysyłając go w otwartą przestrzeń korytarza. Wprost na linię ognia. Drugie prawo termodynamiki dotyczyło też strzelanin.

- Czysto - powiedział jeden z inżynierów i Havelock nie potrafił się zdecydować, czy się z tego powodu cieszy czy złości.

Wcale nie czysto, pomyślał. Nie zobaczyli go, więc myśleli, że go tam nie ma. Trzymał pistolet przy nodze i nie ruszał się. Czekał. Nie oparł się o ścianę.

Pierwszy człowiek, który przeleciał obok, nie zauważył go,

zanim został zastrzelony. Kulka z farbą Havelocka rozkwitła pomarańczą na piersi mężczyzny. Ten za nim już wystartował, z ciałem sunącym między jednym uchwytem a następnym, niezdolny do zmiany trajektorii. Havelock trafił go dwukrotnie, raz w nogę, potem w brzuch. W prawdziwej walce w powietrzu byłoby już mnóstwo krwi. Drobne czerwone kropelki zbierające się w kule, od razu mętnieją i zaczynają krzepnąć. Trzeci był jeszcze dość daleko w korytarzu, by Havelock nie miał czystej linii strzału. Z sykiem przemknęło obok niego pół tuzina niebieskich kulek z farbą, rozpryskując się na ceramicznej ścianie. Ogień zaporowy. Niezły plan, ale nie było już komu z niego skorzystać.

Havelock delikatnie podciągnął się za uchwyt za plecami, żeby nie oddryfować, przeładował pistolet i policzył nadlatujące pociski. „Martwy” inżynier unosił się w korytarzu z kwaśnym wyrazem twarzy. Havelock naliczył piętnaście pocisków, potem nastąpiła przerwa i zabrzmiał charakterystyczny metaliczny dźwięk wyrzucanego magazynka z pociskami z farbą. Havelock przesunął się kilka centymetrów do przodu i zajrzał w głąb korytarza. Ostatni z ludzi – Williams – nie ukrył się na czas niezdarnego przeładowania broni. Havelock strzelił trzy razy, trafiając tylko raz. Celność pistoletów była do bani, ale to wystarczyło, by dowieść swojej racji. Ostatni inżynier krzyknął coś obelżywego.

– W porządku – powiedział Havelock do ręcznego terminala. – To koniec, panowie. Ściągnijmy ekipę sprząającą i spotkajmy się w sali konferencyjnej za trzydzieści minut.

Trudno było oceniać sesje treningowe. Z jednej strony ćwiczyli już osiem dni i wciąż nie byli gotowi do prawdziwej akcji. Inżynierowie nie byli żołnierzami. Byli wśród nich tacy, którzy przeszli kiedyś jakieś szkolenie, ale wyszli z wprawy do tego stopnia, że byli gorsi od całkowitych nowicjuszy – ci przynajmniej wiedzieli, że na niczym się nie znają.

Z drugiej strony ich umiejętności rosły dużo szybciej, niż Havelock się spodziewał. Za kolejny tydzień czy dziesięć dni będą przynajmniej tak kompetentni, jak oddział żółtodziobów. Albo

lepsi.

Rekruci ochrony kierowali się różnymi motywacjami – potrzebą pracy, idealistyczną wizją pomagania ludziom, czasami narcystyczną potrzebą przemocy. Inżynierowie byli inni. Bardziej skupieni, zmotywowani i emanowało z nich wręcz namacalne poczucie zjednoczenia się przeciwko wrogowi. Pokonanie przez Murtry’ego terrorystów na dole sprawiło, że równocześnie zrobili się podnieceni i rozdrażnieni, a Havelock nie widział nic złego w pragnieniu krwi, o ile było skanalizowane i kontrolowane.

Przez następne pół godziny inżynierowie i zespół ochrony – Havelock z jeszcze dwoma członkami swojej bazowej załogi – przeszli przez korytarze, ładownie i służby, czyszcząc bajzel pozostawiony po ćwiczeniach. Farba szybko polimeryzowała, odrywając się od ścian i kratek bez odprysków czy zostawiania kawałków, które ktoś mógłby wciągnąć do płuc. Inżynierowie wyprodukowali dodatkowo kilka zestawów małych ręcznych odkurzaczy, filtrujących z powietrza wszystko od małych kawałków osłon pocisków z farbą do lotnych związków. Pracując, śmiali się, żartowali i obrzucali się dobrodusznymi obelgami, jak młodzi adepci sztuk walki sprzątający dojo. Havelock nie przewidział sprzątanania jako ćwiczenia wzmacniającego więzi zespołu, ale działało to na tyle dobrze, że zaczął sobie wmawiać, że od razu o tym pomyślał.

Sala konferencyjna, w której prowadził odprawy przed ćwiczeniami i analizy po ich zakończeniu, została zaprojektowana do fałszywego ciężenia ciągu. Do podłogi przynitowano owalny stół obstawiony pryzmami przeciążeniowymi, których inżynierowie nie używali. Havelock nie wiedział, jak doszło do podjęcia decyzji o zignorowaniu stołu i obrócenia wspólnego pojęcia góry i dołu o dziewięćdziesiąt stopni, ale tak właśnie odbywało się teraz każde spotkanie. Inżynierowie i ochrona unosili się przy ścianach lub w otwartej przestrzeni, mając „podłogę” z prawej, a Havelock zajmował miejsce przy głównych drzwiach.

– No dobra – zaczął, a szmer rozmów natychmiast ucichł. –

Czego się nauczyliśmy?

– Nie ufać pieprzonemu Gibbsowi, gdy mówi, że korytarz jest pusty.

To wywołało salwę śmiechu, ale nie był gniewny ani złośliwy. Uśmiechał się nawet wspomniany inżynier.

– Zła odpowiedź – poprawił ich z uśmiechem Havelock. – Poprawna jest taka, że nie należy się śpieszyć, gdy oczyszczacie przestrzeń. Mamy naturalną tendencję do uznawania, że pusta przestrzeń jest bezpieczna. Drzwi i kąty zawsze są niebezpieczne, ponieważ wkraczacie w jakąś przestrzeń, nie wiedząc, co się tam znajduje. Kiedy zobaczycie wroga, jesteście już przed nim odsłonięci.

– Sir?

Havelock wskazał kobietę z uniesioną ręką.

– Tak?

– Sir, czy jest na to jakiś algorytm? Bo gdyby dało się przygotować jakiś schemat blokowy najlepszych praktyk, który moglibyśmy analizować w wolnym czasie, chyba bardzo by nam to pomogło.

– Moglibyśmy zaklasyfikować je na podstawie drzwi i kątów – zasugerował ktoś inny. – Oraz tego, w jakiej płaszczyźnie należy się do nich zbliżać. Mam wrażenie, że lepiej byłoby przesunąć osie tak, by wszystko, do czego się zbliżamy, traktować jako dół.

Havelock pozwolił im chwilę rozmawiać. Zabawne było słyszeć jak taktyka ataku małych oddziałów analizowana jest w terminologii inżynierskiej, ale w końcu byli teraz jego ludźmi. Uczyli się rozwiązywać przemoc jak równania: nie wyeliminować ją, a w pełni zrozumieć.

– To, czego nie rozumiem – odezwał się główny inżynier Koenen – to dlaczego w ogóle przyglądamy się *Barbapiccoli*.

Spojrzenie zebranych zwróciło się na Havelocka, wszyscy czekali na odpowiedź. A przynajmniej na reakcję. Gardło ścisnęła mu zaskakująca nerwowość, więc się roześmiał.

– To bandyci – powiedział.

– *Barbapiccola* to nieuzbrojony frachtowiec z załogą może stu osób, która potrzebuje promu, żeby dostać się na niego

z powierzchni – odpowiedział główny inżynier. – *Rosynant* jest obsługiwany przez załogę poniżej bazowej, z której połowa jest poza statkiem. Wydaje mi się, że mamy tu opcję, która wiąże się z mniejszym ryzykiem i oferuje większą nagrodę.

W pomieszczeniu rozległy się ciche potakiwania. Havelock pokręcił głową.

– Nie – odpowiedział. – Po pierwsze fakt, o którym właśnie pan wspomniał. *Barbapiccola* jest nieuzbrojony. Jeśli nie wszystko się uda, to najgorsze, czego możemy się spodziewać w odwecie, to gniewny list napisany ostrym tonem. A *Rosynant*, zanim Holden zabrał go dla SPZ, był nowoczesnym marsjańskim okrętem wojennym. Bóg wie, jakie modyfikacje wprowadzili do niego od tej pory. Ma pełny magazyn torped, działka obrony punktowej i stępkowe działko szynowe. Jeśli załoga *Rosynanta* uzna nas za zagrożenie, mogą z nami skończyć i nic z tym nie zrobimy.

– Ale gdybyśmy to my mieli działa... – zaczął Koenen.

– Wszystko byłoby w porządku, jak długo byśmy tu zostali – wciął się Havelock. – Ale gdy tylko przejdziemy przez wrota pierścienia, po drugiej stronie zastaniemy mnóstwo prawników, umów i innych okrętów z jeszcze większymi działami. Jeśli będziemy musieli przejść *Barbapiccolę*, przynajmniej da się to uzasadnić prawnie.

Inżynierowie zgodnie jęknęli, a niektórzy pokręcili głowami. Uzasadnienie prawne było dla nich synonimem bzdur, ale Havelock nie ustępował.

– Po pierwsze, mają na pokładzie własność RCE, przynajmniej zgodnie ze statutem ONZ. Po drugie, jeśli sprowadzą na pokład jakichkolwiek kolonistów z powierzchni, możemy argumentować, że pomagają i nakłaniają do morderstwa.

– Argumentować? – rzucił jeden z mężczyzn w głębi sali.

Reakcją grupy był ponury śmiech.

– Fakt, że to prawda, sprawia, że argument nabiera mocy – stwierdził Havelock. – Za to jeśli spróbujemy zaatakować *Rosynanta*, będzie wyglądało na to, że robimy to, o co się nas teraz oskarża. Jeśli będziemy twardzi, będziemy mogli się ochronić i wygrać na dłuższą metę.

- Dłuższa perspektywa jest fajna, jeśli będzie się w grze dość długo, by ją rozegrać – skomentował mężczyzna w głębi, ale ton jego głosu sugerował, że dotarł do niego sens wypowiedzianych argumentów. Przynajmniej na razie.

* * *

Ivers Thorrsen był analitykiem czujników geologicznych z dyplomami uniwersytetów na Lunie i Ganimedesie. W miesiąc zarabiał więcej niż Havelock przez rok na stanowisku w ochronie. Był też Pasiarzem. Dorastanie w niskim ciśnieniu i nieważkości nie wpłynęło na niego tak bardzo, jak na wielu innych. Głowa Thorrsena może była trochę za duża w stosunku do ciała, a kręgosłup i nogi może trochę za długie i za cienkie, ale przy odpowiednich ćwiczeniach i po zaaplikowaniu sterydów prawie mógłby uchodzić za Ziemianina. Nie, żeby to miało znaczenie. Wszyscy na *Israelu* wiedzieli, kim jest każdy inny. Kiedy opuszczali dom, różnice nie miały znaczenia. W każdym razie większego znaczenia.

- Oprócz skoków energii jak dotąd stwierdziliśmy dwadzieścia przypadków rosnącej temperatury – powiedział, wskazując na kulę Nowej Ziemi wyrenderowaną na wyświetlaczu biurkowym Havelocka. - Wszystkie pojawiły się w ciągu ostatnich osiemdziesięciu godzin i jak na razie nie mamy pojęcia, czym są.

Havelock podrapał się po głowie. Cele w areszcie były puste, więc nikt nie mógł ich podsłuchać. Nie musiał być uprzejmy.

- Czy spodziewał się pan, że będę miał jakąś hipotezę? Bo miałem wrażenie, że przylecieliśmy tutaj odkrywać rzeczy, o których nie wiedzieliśmy, czym są. Fakt, że zauważył pan coś, czego nie rozumie, wydaje mi się dobrze pasować do celów naszej misji.

Pasiarz zacisnął wargi tak, że zbiały.

- To może być ważne. Może nic nie znaczyć. Rzecz w tym, że muszę się tego dowiedzieć. Jestem zajęty ważną pracą, nie mogę spędzać całego czasu na zajmowaniu się pobocznymi sprawami.

- Dobra – powiedział Havelock.

- To już trzeci dzień z rzędu, gdy ktoś rozpylił mocz w mojej

szafce. Trzy razy, rozumie pan? I zamiast zajmować się analizami, tracę czas na próbach usunięcia smrodu szczyn z moich rzeczy.

Havelock westchnął i zgasił wyświetlacz. Nowa Ziemia z tajemniczymi punktami zniknęła.

– Słuchaj pan, rozumiem, czemu pan tego nie lubisz, też bym się wkurzył. Ale zrozum pan, ludzie się nudzą i są pod presją. Całkiem naturalne jest, że trochę się wygłupiają. To minie.

Thorrssen złożył ręce na piersi, mocniej marszcząc czoło.

– Trochę się wygłupiają? Tak pan to widzi? Jestem jedynym Pasiarzem w moim zespole, i tylko ja mam takie...

– Nie. Posłuchaj pan, zdecydowanie nie, dobra? Sytuacja i tak jest już napięta. Jeśli pan chce, umieszczę kamerę w szafce i dam ludziom znać, że muszą się trochę opanować, ale nie zmieniamy tego w sprawę: Pasiarze kontra ludzie z planet wewnętrznych.

– Nie robię tego.

– Z całym należnym szacunkiem, chyba tak – odparł Havelock. – A im bardziej będziesz pan z tego robił coś poważnego, tym większa jest szansa, że to powróci i ugryzie pana w zadek.

Furia Thorrsena była wręcz namacalna. Havelock przesunął się nieco, przepychając się trochę wyżej w kierunku, który tymczasowo wybrali na górę. Była to stara sztuczka, której nauczył się jeszcze w czasach, gdy pracował dla Star Helix. Ludzkość może i przestała mieszkać w studniach grawitacyjnych, ale wrażenie bycia wyższym, ustalenia dominacji było zakodowane zbyt głęboko w zwierzęcej naturze, żeby dało się wymazać takim drobiazgiem jak nieważkość. Thorrssen wciągnął głęboki, drżący oddech i przez chwilę Havelock zastanawiał się, czy go zaatakuje. Nie miał ochoty zamykać analityka na noc w celi. Ale jeśli do tego dojdzie, to trudno.

– Zainstaluję monitor przy pańskiej szafce i roześlę ogólny komunikat, że ludzie muszą się opanować. Nikt więcej nie będzie szczał na pańskie rzeczy, a pan będzie mógł wrócić do pracy. Tego pan chce, prawda?

– Kiedy przygotowuje pan ten komunikat, napisze pan w nim, że mają przestać robić głupie kawały czy przestać nękać Pasiarzy?

– Chyba zna pan odpowiedź na to pytanie.

Thorrssen zwiesił ramiona, pokonany. Havelock kiwnął głową. Nie po raz pierwszy pomyślał, że konfrontacje przypominają taniec. Określone ruchy wymagały właściwych reakcji, a prawie cały akt rozgrywał się w głębszych częściach mózgu, które może nawet nie były świadome istnienia mowy. Skulenie ramion Thorrssena było ofertą ustąpienia, a jego kiwnięcie głową potwierdziło jej przyjęcie. Thorrssen pewnie nawet nie wiedział, co zaszło.

A właściwie nawet na pewno, ponieważ racjonalna część jego umysłu dalej się buntowała, choć decyzje zostały już podjęte.

– Gdyby był pan jedynym Ziemianinem i coś takiego robiliby Pasiarze, inaczej by pan to odbierał.

– Dziękuję za zgłoszenie problemu – odpowiedział Havelock. – Dopilnuję, żeby się nim zająć.

Thorrssen odepchnął się od biurka i wdzięcznie poszybował przez powietrze, znikając w korytarzu. Havelock westchnął, ponownie włączył wyświetlacz biurkowy i przejrzał raporty ze statku. Tak naprawdę liczba zdarzeń rosła. Większość była drobna: narzekania na pomniejsze naruszenia korporacyjnych zasad, oskarżenia o gromadzenie rzeczy lub niewłaściwe zachowanie. Jeden z chemików organicznych zaczął produkować środki euforyczne. Konsultant psychiatryczny statku rozsyłał coraz bardziej stanowcze ostrzeżenia przed czymś, co nazywał wewnętrzną stratyfikacją, dla Havelocka wyglądało to na zwykłe rozgrywki grupowe. Podpisał się na wszystkich raportach.

Gdyby był pan jedynym Ziemianinem.

Zabawne było to, że Havelock był jedynym Ziemianinem w społeczeństwie Pasiarzy, i to nie raz. Kiedy leciał na dwudziestoprzycowym transportowcu z Luny na Ganimedesa dla Stone & Sibbets, był jednym z dwóch Ziemian, zawsze subtelnie wykluczany. Pracował dla Star Helix na stacji Ceres przez prawie rok i zawsze dostawał najgorsze przypadki i najgorszego partnera, który nieustannie, niezbyt subtelnie przypominał mu, że tam nie pasuje. Pasiarze wyżywali się na nim tylko z tego powodu, że nie miał odpowiednio ukształtowanego ciała albo nie znał tej wielojęzycznej mieszanki, która uchodziła za coś

w rodzaju żargonu planet zewnętrznych. Nie szczali mu do szafki chyba tylko dlatego, że im to nie przyszło do głowy.

Havelock ustawił monitor na szafkę Thorrseana, a potem wywołał świeży szablon komunikatu ochrony. Popatrzył na puste pole, na którym pojawiło się pytanie o to, co chce powiedzieć.

Jesteśmy osiem miliardów kilometrów od domu, a banda na wpół zdziczałych terrorystów ciągle próbuje nas zabić, więc zachowajmy spokój.

A może: Prawie każdy Pasiarz, z którym miałem do czynienia, traktował mnie jak umazanego gównem z powodu mojego pochodzenia, ale teraz to nas jest większość, więc szanujmy ich wrażliwe uczucia.

Strzelił kostkami palców i zaczął pisać.

Do ochrony dotarły informacje, że wśród załogi rośnie liczba żartów kosztem innych osób. Choć wszyscy rozumiemy potrzebę rozładowania napięcia w stresującej sytuacji, niektóre z nich zdecydowanie przekroczyły granicę dobrego smaku. Pełniący obowiązki szefa ochrony

Znieruchomiał.

Kiedyś, jeszcze na Ceres, Havelocka przydzielono do zamknięcia nielegalnego klubu blisko środka obrotu stacji, gdzie siła Coriolisa działała bardzo mocno, a ciężenie wirowe słabo. Kiedy dotarł na miejsce, połączenie jasnych światel, głośnej rytmicznej muzyki i nieprzyzwyczajonego ucha wewnętrznego doprowadziło go do silnych wymiotów w korytarzach. Jego zdjęcie trafiło na wspólną tablicę w biurze. Udawał, że nic się nie stało, ponieważ protesty tylko pogorszyłyby sprawę. Od lat nie myślał o tej sprawie.

Gdyby był pan jedynym Ziemianinem.

– Kurwa – Havelock rzucił w przestrzeń.

Skasował tekst z ekranu.

Dotarły do mnie informacje, że niektórzy pracownicy RCE

i członkowie zespołów stali się obiektem nękania z powodu pochodzenia z planet zewnętrznych. W obecnej stresującej sytuacji niezwykle ważne jest, by nie pomylić członków naszych zespołów z wrogami tylko z powodu różnic w wyglądzie i miejscu pochodzenia. W związku z tym podejmuję następujące działania:

– Będę tego żałował – skomentował Havelock do ekranu, ale gdy skończył pisać komunikat, sprawdził gramatykę i wysłał go, czuł się prawie dobrze.

Rozdział dwudziesty

ELVI

Grzejąc plecy i szyję, Elvi czekała na zbuforowanie raportów z Luny. Laser łącznościowy *Edwarda Israela* był jedynym kontaktem ze znanym jej światem, a zapychały go dane techniczne przesyłane z grup roboczych na powierzchni planety i z czujników *Israela*. Uświadomienie sobie, że pomimo wszystkich tragedii, strachu i śmierci na Nowej Ziemi, większość przesyłanych do domu danych wciąż była bardzo techniczna, trochę zmieniało perspektywę. A jej wolne łącze i tak było dużo lepsze od tego, czym dysponowali mieszkańcy Pierwszego Lądowania. *Barbapiccola* nie oferował im nawet obsługi strumieniowej. Ich ręczne terminale działały wyłącznie w trybie lokalnej sieci rozproszonej, jeśli w ogóle działały.

Podmuch wiatru uniósł kłęb piasku, a potem łagodnie znów go opuścił. Wysoko w górze zielone chmury rozproszyły się i połączyły, tworząc na błękitnym niebie wzory niczym kolonie alg unoszące się na powierzchni stawu. Powietrze pachniało żarem, pyłem i odległym przeczuciem deszczu. Raporty wreszcie się ściągnęły, więc Elvi je wywołała i spędziła godzinę na czytaniu ich, wysłuchiwanie rozmów i korygowaniu własnej perspektywy. Było to trudniejsze, niż sądziła. Jej myśli wciąż umykały w różnych kierunkach.

Wszystko na tej planecie zmieniało się tak szybko, wszystko było tak różne od tego, czego się spodziewała, że trudno jej było zachować skupienie. Podróż na pustynię i zobaczenie wciąż działającego, choć wielkim trudem, mechanizmu sprzed dwóch miliardów lat, było jak objawienie. Potem jeszcze wykrycie i zniszczenie terrorystów wśród dzikich lokatorów, powinno jej to zapewnić ulgę, a wywołało dziwny niepokój. A na dodatek, choć nie mówiła o tym nikomu i nie zamierzała tego robić,

nachodziły ją nawracające, uporczywe sny o Jamesie Holdenie.

Na ekranie skończył się raport koordynatora badań, a do Elvi dotarło, że nic z niego nie usłyszała. Westchnęła, włączyła go ponownie i przerwała, zanim kobieta z laboratoriów RCE na Ziemi zdążyła powiedzieć coś więcej. Elvi popatrzyła na niebo, zastanawiając się, gdzie znajdują się *Rosynant*, *Barbapiccola* i *Edward Israel*, ukryte przez błękit rozpraszającej atmosfery. Jeden z analogów roślin przy ścieżce prowadzącej do miasta wyemitował serię narastających kliknięć. Było to zjawisko, które od dawna chciała zbadać, ale nie miała czasu. Jeszcze nie.

– Doktor Okoye – odezwała się koordynatorka badań z odległości sześćdziesięciu jednostek astronomicznych lub połowy galaktyki, w zależności od tego, jak na to patrzeć. – Odbyłam właśnie spotkanie z zespołem statystycznym i chcę pani przekazać wytyczne dotyczące zbierania przez panią danych w ciągu najbliższych tygodni. Grupa z Luny ma szczególną nadzieję na zebranie dodatkowych próbek kilku pani początkowych obiektów, dzięki którym moglibyśmy zmniejszyć słupki błędów...

Elvi słuchała, skupiając się i odsuwając od siebie wszystkie inne myśli i uczucia. Tym razem skończyła wysłuchiwanie raportu z listą zadań do wykonania, mając poczucie tego, w jaki sposób jej praca zmienia zasoby i plany laboratoriów w domu. Jednocześnie miała pół tuzina pytań, które chciała zadać Fayeze na temat sekwestracji minerałów. Według procedury powinna od razu nagrać i wysłać odpowiedź. Godziny, które poświęci na dotarcie do domu, oznaczały, że dotrze przed porannymi naradami. Zamiast tego przełączyła się na organizator i zaczęła wypisywać zobowiązania. Próbkę wody i gleby. Próbkę trzech gatunków analogów roślin. Raport dotyczący artefaktu obcych...

Myślała o możliwych czynnikach, które wzbudziły nagłą aktywność artefaktu, a ponieważ Holden tu był i w końcu pełnił funkcję mediatora ostatecznie odpowiedzialnego za poprawę sytuacji na Nowej Ziemi – rozsądnej, cywilizowanej – uznała, że może zdejmie mu jeden problem z głowy, jeśli znajdzie jakiś

realny dowód na to, że artefakt na pustyni nie poruszał się w reakcji na ich obecność. Wszystko wyłącznie w ramach uprzejmości, drobnego gestu mającego zapewnić mu pokój.

Zdecydowanie nie szukała wymówki, żeby móc się z nim znowu spotkać.

Przeszła przez listę rzeczy do zrobienia, a potem znieruchomiła. Na jej końcu napisała *List polecający dla Felci Merton*. Patrzyła na tę pozycję przez dłuższą chwilę, przyglądając się słowom, próbując zdecydować, co w związku z nimi czuje. Skasowała tekst, poczekała, wpisała go ponownie.

* * *

Wejście do miasta przypominało wkroczenie do innego, trudniejszego świata. Ulice z ubitej ziemi nie były puste, ale chodzący nimi ludzie trzymali się bliżej ścian niż poprzednio. Zniknęły uśmiechy, gesty powitania, nikt nie szukał kontaktu wzrokowego. Mieszkańcy miasteczka chodzili szybko, z opuszczonymi głowami. Elvi miała ochotę stanąć im na drodze, zablokować swoim ciałem, żeby potwierdzili, że wiedzą o jej obecności.

Budynek, w którym do tego doszło, stał przy skraju miasta. Pożar stopił to, czego wcześniej nie strawił. Szkielet struktury dalej stał, poczerniały i przekrzywiony w popołudniowym słońcu. Zatrzymała się przed nim. Z czymś jej się skojarzył, ale nie potrafiła sobie przypomnieć – z czym. Z czymś martwym. Coś z ogniem.

Och. Oczywiście. Artefakt płonący na pustyni.

Przed nią ulicą przeszły dwie osoby z ochrony RCE, maszerując środkiem drogi. Nie usłyszała ich słów, ale ton rozmowy był radosny, niedbały i zwycięski. Któryś z mężczyzn się roześmiał. Elvi odwróciła się i ruszyła w ich stronę. Kiedy ją mijali, jeden z nich uniósł rękę na powitanie, a Elvi odruchowo odpowiedziała tym samym. Po drugiej stronie ulicy z drzwi wyłoniła się Eirinn, Pasiarka; zobaczyła ochroniarzy i zawahała się, zanim opuściła dom. Elvi przyglądała się, jak kobieta idzie, trzymając głowę trochę za wysoko i trochę za bardzo ściągając ramiona. Nic tak

nie potwierdzało strachu jak próby odrzucenia go. Pierwsze Ładowanie kiedyś należało do tej kobiety.

Weszła do kantyny, mając nadzieję znaleźć Holdena przy stole, przy którym zwykle zajmował miejsce. Pomieszczenie było mroczne i jej oczy potrzebowały chwili na przyzwyczajenie się do słabszego oświetlenia. Zamiast Holdena był tam ten drugi, Amos Burton, jadł dużą porcję brązowego makaronu pachnącego sztucznymi orzeszkami ziemnymi i curry. W głębi Lucia Merton siedziała z kimś przy stoliku. Elvi odwróciła wzrok, zanim lekarka spojrzała jej w oczy.

Amos popatrzył na nią, gdy się zbliżyła.

– Zastanawiałam się, czy kapitan Holden... chciałam z nim porozmawiać. O artefaktach. Na pustyni.

– Coś się z nimi stało?

– Mam pewne teorie, które może uznać za... przydatne.

O Boże, pomyślała. *Jakam się jak uczennica*. Na szczęście Amos tego nie zauważył, a przynajmniej udał, że nie zauważa.

– Kapitan przygotowuje się do przeniesienia więźnia – odpowiedział Amos. – Powinien wrócić koło zachodu słońca.

– W porządku – stwierdziła Elvi. – Nic nie szkodzi. Powie mu pan, że go szukałam? Kiedy wróci, prawdopodobnie będę w swojej chacie. Może mnie tam odwiedzić.

– Przekażę mu.

– Dziękuję.

Odwróciła się, wbijając pięści do kieszeni. Czowała się upokorzona, choć nie miała pewności, skąd właściwie wzięło się to wrażenie. Chciała tylko zaoferować interesującą perspektywę na artefakty i miejscowy ekosystem. Nie było w tym nic niewłaściwego albo...

– Elvi!

Jakby ktoś wrzucił jej kamień do brzucha. Odwróciła się w stronę tyłu sali, gdzie siedziała Lucia Merton. Fayez odwrócił się na krzesło i machał do niej. Spojrzała na drzwi prowadzące na ulicę, pragnąc, by był jakiś sensowny sposób na przejście przez nie.

– Elvi! Chodź, usiądź. Napij się z nami.

– Oczywiście – odpowiedziała i przeszła w głąb sali, żałując każdego wykonanego kroku.

Doktor Merton wyglądała blado, miała worki pod oczami. Elvi zaczęła się zastanawiać, czy kobieta choruje, czy to tylko niepokój i żal.

– Lucia – przywitała ją.

– Elvi.

– Siadaj, siadaj, siadaj – zwrócił się do niej Fayeze. – Jak tak stoisz, to czuję się niski. Nie znoszę się tak czuć.

Elvi wygładziła tkaninę spodni i wsunęła się na miejsce obok Fayeza. Jego uśmiech zdradzał rozbawienie, czuć było od niego piwo. Spojrzenie Lucii zdawało się mówić: Mogłaś usiąść koło mnie.

– Właśnie rozmawialiśmy o Felci – wyjaśnił Fayeze, a potem zwrócił się do Lucii. – Elvi to najinteligentniejsza osoba w zespole. Poważnie, wiesz, że to właśnie ona napisała pierwszą prawdziwą publikację o przetwarzaniu cytoplazmatycznym? To ona. Siedzi z nami.

– Felcia mi o pani opowiadała – odezwała się Lucia. – Dziękuję, że była pani dla niej życzliwa.

Pani rodzina próbowała mnie zabić, pomyślała Elvi. Każdej nocy dzieliła pani łóżko z człowiekiem, który chciał mojej śmierci.

– Proszę bardzo – odpowiedziała. – To bardzo utalentowana dziewczyna.

– Owszem – potwierdziła Lucia. – I Bóg mi świadkiem, że próbowałam jej wyperswadować zostanie lekarką.

– Miała pani nadzieję, że zostanie? – zapytała Elvi głosem znacznie bardziej niepewnym, niż planowała.

– Nie o to chodzi – zapewniła Lucia ze śmiechem. – To, że opuszcza planetę, to jedyna dobra rzecz, jaka zdarzyła się, od kiedy tu przylecieliśmy. Po prostu boję się, że robi to tylko dlatego, że ja się tym zajmuję. Wolałabym, żeby znalazła sobie własną drogę w życiu.

– Do Luny daleka droga – skomentował Fayeze. – No wie pani, sam zaliczyłem pięć przedmiotów kierunkowych, zanim zakochałem się w geohydralicy. Zamierzałem zostać

browarnikiem. Wyobrażacie to sobie?

Elvi i Lucia powiedziały tak dokładnie w tej samej chwili. Elvi uśmiechnęła się wbrew sobie. Lucia wstała.

– Powinam iść po Jacka – stwierdziła.

– Wszystko z nim w porządku? – zapytała Elvi.

Zrobiła to odruchowo. Przyzwyczajenie dobrego wychowania. Pożałowała wypowiedzenia tych słów, gdy tylko wyszły z jej ust. Lekarka uśmiechnęła się smutno.

– Na ile można się spodziewać – stwierdziła. – Jego ojciec dziś odlatuje.

Zostanie więźniem na Rosynancie, pomyślała Elvi, ale nic nie powiedziała.

– Pani pieniądze nie są tu nic warte – odezwał się Fayez. – Ja stawiam.

– Dziękuję, doktorze Sarkis.

– Fayez. Proszę mi mówić Fayez. Wszyscy tak robią.

Lucia przytaknęła i odeszła. Fayez pokręcił głową i przeciągnął się, sięgając rękami za plecami Elvi. Przesiadła się na drugą stronę stołu, naprzeciw niego.

– Co ty, u diabła, robisz? – zapytała.

– Co ja robię? Myślisz, że to właściwe pytanie?

– Wiesz, że jej mąż...

– Nie wiem żadnej cholерnej rzeczy, Elvi. Ty też nie. Mam mnóstwo interpretacji i bardzo mało zestawów danych, dokładnie tak jak ty.

– Myślisz... myślisz, że to nie...

– Sądzę, że ten budynek był pełen terrorystów, a Murtry zabił ich i nas uratował. Ale tak tylko myślę. Sądzę też, że im więcej miejscowych mnie pozna i polubi, tym mniejsze prawdopodobieństwo, że mnie oskalpują podczas następnego buntu. Oraz... czym jest cholerna cywilizacja, jeśli nie ludźmi rozmawiającymi ze sobą przy pieprzonym piwie? – zapytał Fayez, a potem obejrzał się przez ramię. – Mam rację?

– Jak cholera – odkrzyknął Amos. – Na pewno, niezależnie od tego, o czym mówiłeś.

– Zgadza się – potwierdził Fayez.

– Jesteś pijany.

– Robię to już od jakiegoś czasu – przyznał Fayeze. – Napiłem się już chyba z jedną trzecią mieszkańców tego zadupia. Tak naprawdę to chciałbym wiedzieć, gdzie są inni, kiedy ja tu nawiązuję kontakty pokojowe.

Przez chwilę zobaczyła w nim strach. Czaił się w ustawieniu szczęki i spojrzeniu na pół przymkniętych oczu, unikających jej wzroku. Fayeze, który śmiał się ze wszystkiego, niezależnie jak było tragiczne, był śmiertelnie przerażony. Dlaczego nie miał być? Znajdowali się miliardy kilometrów od domu na planecie, której nie rozumieli, pośrodku wojny, która doprowadziła już do śmierci ludzi po obu stronach barykady. Jakże dziwne i oczywiste było, że panikę wywołało właśnie zwycięstwo dla ich strony, identyfikacja i zabicie lub uwięzienie do tej pory pozbawionych imion i twarzy zabójców.

Fayeze czekał. Na kolejną eskalację. Następne uderzenie. Sięgał po każdy potencjalny strzęp kontroli, jaki mógł znaleźć, wyprodukować lub przywołać do istnienia. Elvi go rozumiała, bo czuła się tak samo, tylko że nie zdawała sobie z tego sprawy do chwili, aż zobaczyła to u kogoś innego.

Skrzywił się nad stołem, a potem powoli jego spojrzenie powędrowało do jej oczu.

– Co ty tu robisz?

– Najwyraźniej siedzę z tobą – odparła.

Czekając na następne uderzenie.

Rozdział dwudziesty pierwszy

BASIA

Stał na skraju wyznaczonego lądowiska z wilgotnymi od potu stalowymi kajdankami unieruchamiającymi jego ręce w nadgarstkach. Murtry upierał się przy stosowaniu kajdanek aż do zabrania Basi z planety, choć dał kluczyk Amosowi, a ten zapewnił Basię, że zostanie uwolniony zaraz po starcie *Rosynanta*. Była to ostatnia widoczna dla obywateli Ilusa demonstracja, że Murtry mógł im narzucić swoją wolę i będzie to robił. Jim Holden wciąż próbował odgrywać rozjemcę, więc zgodził się na kajdanki w zamian za przekazanie Basi w jego ręce bez żadnych dalszych gróźb i warunków. Basia rozumiał, dlaczego wszyscy zachowują się w taki, a nie inny sposób, ale nie było to ani trochę mniej upokarzające.

Lucia i Jacek stali z nim, czekając na lądowanie *Rosynanta*. Jacek stał przed nim, z plecami przyciśniętymi do brzucha ojca i z jego skutymi rękami na ramionach. Zaciśnięta w dłoni Basi ręka żony spoczywała na ramieniu syna. Wszyscy troje się dotykali. Próbował czerpać z tego siłę. Próbował stłumić wrażenie, że bliskość żony i syna ma mu ułatwić ich zapamiętanie. Dręczyło go straszne poczucie, że to ostatni raz, gdy czuje ich dotyk. Fakt, że Felcia już odleciała, był równocześnie źródłem ulgi i smutku. Dostatecznie okropne było to, że jego syn, zbyt młody, by zrozumieć, co to wszystko znaczy, musiał go widzieć w kajdankach. Nie zniósłby, gdyby zobaczyła go w takim stanie również jego mądra, piękna dziewczynka.

Inni mieszkańcy miasta – kobiety i mężczyźni, z którymi mieszkał, dzielił wodę, smutek i złość – unikali spektaklu jego odlotu, jakby jego wina była chorobą, którą mogli się zarazić. Stał się dla nich kimś obcym. Prawie wołałby, żeby to potępili.

Chciałem tylko wolności. Chciałem tylko mieć obok siebie rodzinę

i nie stracić przez nich kolejnego dziecka. W głębi ducha był równocześnie zdumiony i dogłębnie zniesmaczony, że najwyraźniej zbyt wiele oczekiwał od świata.

Amos, formalnie jego strażnik, stał ze złożonymi rękami w pewnej odległości, wpatrując się w niebo. Dawał rodzinie szansę na pożegnanie się, okazując im milczący szacunek. Holden stał z Murtrym i Carol, reprezentując triumwirat władzy na Ilusie. Nie patrzyli na siebie. Byli tu, by złagodzić fakt wymuszania działań przez Murtry'ego, udając, że uczestniczyli w podejmowaniu decyzji. Jego życie stało się pionkiem w ich politycznych grach. Niczym więcej.

– Jeszcze tylko kilka minut – odezwał się Amos.

Chwilę później rozległ się dobiegający z wysoka grzmot. *Rosynant*, pędzący przez atmosferę szybciej od dźwięku, opadał na nich niczym anioł sądu.

Wydawał się nierzeczywisty.

– Cieszę się, że jesteście tu teraz ze mną – powiedział Lucii.

To nawet nie było kłamstwo.

– Znajdź sposób, żeby do nas wrócić – odpowiedziała.

– Nie wiem, co mogę zrobić.

– Znajdź sposób – powtórzyła, robiąc z każdego słowa osobne zdanie. – Zrób to, Basia. Nie pozwól mi się samotnie zestarzeć na tej planecie.

Basia poczuł, jak coś gęstego blokuje mu gardło i nagle miał problemy z oddychaniem przez ból w brzuchu.

– Jeśli będziesz musiała kogoś znaleźć...

– Zrobiłam to – odpowiedziała. – Już kogoś znalazłam. Teraz on musi znaleźć sposób, żeby do mnie wrócić.

Basia nie ufał sobie dostatecznie, żeby odpowiedzieć. Martwił się, że otwarcie ust zmieni się w łkanie. Nie chciał, by Murtry to zobaczył. Zamiast tego objął Lucię skutymi rękami, przyciągnął ją do siebie i ścisnął tak mocno, że żadne z nich nie mogło oddychać.

– Wróć – wyszeptwała po raz ostatni.

Cokolwiek mógł potem powiedzieć, zostało zagłuszone przez ryk lądującego *Rosynanta*. Uderzyła w nich ściana pyłu, kłując

gołą skórę na karku Basi. Lucia schowała twarz na jego piersi, a Jacek przytulił się do pleców.

– Czas iść! – krzyknął Amos.

Basia puścił Lucię, po raz ostatni przytulił do piersi syna, może w ogóle po raz ostatni, a potem odwrócił się od nich, by wejść na pokład więzienia.

– Witamy na pokładzie, panie Merton – powiedziała wysoka, ładna kobieta, gdy otworzyły się wewnętrzne drzwi służby.

Miała na sobie prosty szaro-czarny kombinezon z wyszytym na kieszeni na piersi nazwiskiem Nagata. Naomi Nagata, pierwsza oficer *Rosynanta*. Miała długie, czarne włosy zebrane w kucyk, tak samo, jak czesała się Felcia, gdy była małą dziewczynką. Naomi pewnie zdecydowała się na kucyk z powodu jego użyteczności, nie z powodu estetyki. Nie wyglądała na uzbrojoną, a Basia poczuł, że lekko się odprężył.

Podał jej kluczyk do kajdanek, a ona je rozpięła.

– Proszę, mów mi Basia – odezwał się. – Jestem tylko spawaczem. Nikt nigdy nie zwracał się do mnie „panie Merton”.

– Spawacz? – zapytała Naomi. Nie zabrzmiało to na zwykłą uprzejmość. Zdjęła kajdanki, zwinęła je i schowała do szafki. Dyscyplina statku, na którym każdy swobodny obiekt podczas manewrów stawał się pociskiem. – Wiesz, zawsze mamy listę napraw do wykonania.

Stali w pomieszczeniu, które wyglądało jak magazynek położony na boku. Szafki leżały równoległe do podłogi, zamiast pionowo, na obu ścianach znajdowały się niewielkie włazy, przez podłogę biegło zaś coś przypominającego drabinę. Naomi wcisnęła przycisk na panelu ściennym i odezwała się do niego.

– Przypinamy się tutaj, Aleks. Zabierz nas z tej kuli pyłu, zanim całkiem wysiądą mi kolana.

– Robi się, szefowo – odpowiedział bezcielesny głos z akcentem Marsjanina z doliny Marinera. – Odpalam za trzydzieści, więc się przypnijcie.

Naomi pociągnęła za taśmę na podłodze, wyciągając składane krzeselko. Zaprojektowano je tak, że trzeba się było położyć plecami na podłodze, żeby pośladki oparły się o siedzenie. Wraz

z nim wyłoniły się liczne pasy zabezpieczające.

– Lepiej się przypnij – powiedziała, wskazując na drugą taśmę na podłodze. – Startujemy za trzydzieści sekund.

Basia wyciągnął sobie własne krzeselko i niezgrabnie się położył, żeby przypiąć się pasami. Naomi mu w tym pomogła.

Marsjański głos odliczył od pięciu i podłoga szarpnęła wraz ze startem statku. Nastąpił dezorientujący obrót i podłoga stała się ścianą za plecami, a on nagle zaczął siedzieć na wyciągniętej z niej poduszce. Poczul dużą wdzięczność za obecność przytrzymujących go w miejscu pasów.

A potem u dołu statku ryknął olbrzym i niewidoczna ręka wgniotła Basię w krzesło.

– Przepraszam – odezwała się Naomi ze sztuczną wibracją w głosie, wywołaną drganiami statku. – Aleks to były pilot wojskowy, startuje tylko z pełną prędkością.

Jak zawsze przy opuszczaniu studni grawitacyjnej Basia był zaskoczony, jak szybko było po wszystkim. Kilka minut miazdzącego ciężenia i ryku silników, a potem niemal bez żadnego okresu przejściowego unosił się w ciszy, przytrzymywany pasami.

– Załatwione – skomentowała Naomi i zaczęła się odpinać. – Możesz się spodziewać jeszcze kilku manewrów, gdy Aleks będzie nas ustawiał na odpowiedniej orbicie, ale te żółte światła na ścianie zaświecą piętnaście sekund przed każdym ciągiem, więc po prostu chwyć się jakiejś taśmy i uważaj.

– Jestem więźniem? – zapytał Basia.

– Co?

– Zastanawiam się po prostu, jak to działa. Mam zostać w swojej kabinie czy macie tu jakiś areszt albo coś podobnego?

Naomi unosiła się przez chwilę, przyglądając mu się, marszcząc przy tym czoło w autentycznym zdumieniu.

– Czy jesteś złym człowiekiem?

– Złym człowiekiem?

– Czy zamierzasz skrzywdzić kogoś na tym statku? Zniszczyć naszą własność? Coś kraść?

– Zdecydowanie nie – zapewnił Basia.

– Bo z tego, co słyszałam, wydałeś swoich przyjaciół, żeby uratować życie naszego kapitana.

Przez chwilę Basia czuł coś w rodzaju zawrotów głowy, a potem dumę albo jej zapowiedź. A potem przypomniał sobie uderzenie lądującego ciężkiego promu i głos Coopa. Wszyscy doskonale pamiętamy, kto wcisnął ten przycisk. Pokręcił głową.

Czy jesteś złym człowiekiem?

Naomi Nagata czekała na odpowiedź, ale nie znalazł w sobie słów na odczuwane poczucie winy, wstyd, gniew i żal. Po jakimś czasie uniosła pięść, pasiarski równoważnik kiwnięcia głową. Uniósł swoją w odpowiedzi.

– Rozgość się. – Wskazała na właz po jego prawej. – Tam jest ogon. Tędy na pokłady załogowe i do kambuza. Kambuz otwarty, kiedy chcesz. Przygotowaliśmy ci kabinę, jest maleńka, ale prywatna. Jeśli kierując się w stronę rufy, dojdiesz do warsztatu, to znaczy, że zaszedłeś za daleko. Ze względów bezpieczeństwa nie wchodzi do warsztatu ani maszynowni.

– Dobrze, obiecuję.

– Nie obiecuj, po prostu tam nie wchodzi. W drugą stronę – wskazała na właz po lewej – trafisz do centrum dowodzenia. Możesz tam wchodzić, jeśli chcesz, ale niczego nie dotykaj, chyba że powiemy inaczej.

– Dobrze.

– Idę tam teraz. Jeśli chcesz, możesz się przyłączyć.

– Dobrze.

Naomi przyglądała mu się przez chwilę z nieprzeniknionym wyrazem twarzy.

– Wiesz, nie jesteś naszym pierwszym.

– Pierwszym?

– Pierwszym transportowanym więźniem – wyjaśniła. – Jim ma fetysz w postaci zapewniania więźniom uczciwych procesów. A to znaczy, że przewoziliśmy już ludzi do sądów, nawet w sytuacji, gdy znacznie więcej sensu miała służa i tajemnicze uszkodzenie zapisów monitoringu.

Basia nie potrafił się powstrzymać przed nerwowym spojrzeniem na właz służy.

- Rozumiem.

- Ale - mówiła dalej - jesteś pierwszym więźniem, dla którego - co specjalnie powiedział - mam być miła.

- Powiedział?

- Jest twoim dłużnikiem. I ja też - powiedziała Naomi, a potem gestem zaprosiła go pierwszego na drabinę i do włazu pokładowego.

Basia podciągnął się do włazu, który otworzył się z jękiem. Naomi podciągnęła się za nim.

- Możesz się rozgościć. Ale ten wygląd przerażonej myszki, który teraz prezentujesz, cholernie mnie straszy.

- Rozumiem.

- Nadal to robisz.

Pokład powyżej obszaru magazynu i śluzy był jednym dużym pomieszczeniem wyposażonym w mnóstwo foteli na zawieszaniach kardanowych, monitorów ściennych i paneli sterowania. Na jednym z foteli rozsiadł się przypięty pasami ciemnoskóry mężczyzna z rzadzącymi czarnymi włosami i wyraźnym mięśniem piwnym. Odwrócił się do nich, gdy wlatywali do środka.

- Wszystko w porządku? - zwrócił się do Naomi.

To on był źródłem głosu z akcentem doliny Marinera.

- Tak się wydaje - odpowiedziała i pchnęła Basię do najbliższego fotela, a potem go przypięła. Pozwolił jej to zrobić, czując się jak niemowlę obsługiwane przez matkę. - Nie miałam okazji porozmawiać na żywo z Jimem. Chciał zabrać tego faceta z planety najszybciej, jak to możliwe.

- Cóż, mnie też nie uśmiechał się dłuższy pobyt.

- Rozumiem. Studnie grawitacyjne - rzuciła Naomi i otrząsnęła się. - Nie wiem, jak ludzie potrafią tam żyć.

- Miałem na myśli raczej te wszystkie ożywające robale. Od czasu ostatniego sprawdzenia pojawiły się kolejne skoki mocy.

- Próbowalam o nich nie myśleć.

- Powinniśmy byli zabrać też Holdena i Amosa - skomentował Aleks. - I każdego, kto ma trochę rozumu.

- Miej na nie oko. Jeśli coś się tam zbliży, trzeba będzie im

powiedzieć.

Gdy tylko skończyła go przypinać, Naomi podleciała do innego fotela i zajęła na nim miejsce. Zaczęła wywoływać ekrany i stukać w nie szybciej, niż Basia potrafił nadążyć za jej ruchem, wciąż rozmawiała przy tym z Marsjaninem.

– Aleks – powiedziała – poznaj Basię Mertona, spawacza.

– Spawacza? – Aleks uniósł brwi i uśmiechnął się szeroko. – Mamy całe mnóstwo rzeczy na liście do zrobienia podczas tych wakacji Amosa na powierzchni.

Basia otworzył usta, żeby odpowiedzieć, ale Naomi nie dała mu dojść do głosu.

– Basia, poznaj Aleksa Kamala, naszego pilota i najgorszego spawacza w Układzie Słonecznym.

– Cześć – odezwał się Basia.

– Cześć – odpowiedział Aleks, a potem zwrócił się do Naomi. – Hej, skoro już o tym myślę? Miałaś rację z tym promem.

– Tak? – Naomi odepchnęła się od fotela i poszybowała, by spojrzeć na ekran przy Aleksie. Przez kilka sekund przewijał coś, co wyglądało na przyspieszone nagranie wideo.

– Widzisz tutaj? – powiedział Aleks, zatrzymując odtwarzanie. – Odczepili go i zaparkowali kilkaset metrów od *Israela*, a potem wysłali tam grupę techniczną. Siedzą w środku kilka godzin, potem wracają na *Israela*. I od tamtej pory nie ruszył się z tej orbity.

– Wszystkie loty robią drugim promem – dodała Naomi, wywołując nagranie na drugim ekranie i przewijając je na przyspieszeniu. – Wiedziałam.

– Tak, jesteś bardzo sprytna. Chcesz, żeby luneta dalej to nagrywała czy mogę ją skierować na robale?

– Prom – odpowiedziała Naomi po kilku sekundach przeskakiwania przez wideo.

Basia wiedział, że zaproszono go tutaj, żeby z nimi siedział. Na dodatek wyglądało na to, że rozmawiają o monitorowaniu statku RCE, co raczej nie wydawało się prywatną rozmową, ale i tak czuł się bardzo nie na miejscu. Jakby podsłuchiwał coś bardzo intymnego. Był to efekt skrótów, którymi porozumiewali się

członkowie załogi *Rosynanta*. Brzmiało to jak rozmowa członków rodziny omawiających domowe sprawy. Niepokojąca natomiast była myśl, że są jedyną trójką ludzi na statku. Był za duży, zbyt pusty. Nie chciał być sam w ciszy nieznanego mu statku, ale pozostanie tutaj też nie wydawało się właściwe.

Basia odchrząknął.

– Powinienem iść do mojej kajuty?

– A chcesz? – Naomi zapytała, nie oglądając się na niego. – Nie ma tam nic do roboty. To nawet nie jest jedna z tych z własnym ekranem. Wszystkie dobre kabiny zostały zajęte przez załogę.

– Stąd możesz się połączyć z biblioteką statku – dorzucił Aleks, wskazując na najbliższy Basi ekran. – Jeśli się nudzisz.

– Jestem cholernie przerażony – wyznał Basia, nie wiedząc, że to właśnie powie.

Oboje odwrócili się w jego stronę. Marsjanin miał współczującą twarz.

– No tak – powiedział. – Nie dziwię się. Ale tutaj nic ci nie grozi. Do czasu, aż kapitan nie powie inaczej, traktuj statek jak dom. Jeśli chcesz być sam, możemy...

– Nie. – Basia pokręcił głową. – Nie, ale rozmawiacie ze sobą jakby mnie tu nie było, więc pomyślałem... – wzruszył ramionami.

– Przepraszam. Latamy ze sobą już tyle lat, że prawie nie musimy rozmawiać – przyznała Naomi. – Uważam, że *Israel* zmienił jeden ze swoich promów w broń. Monitorowałam statek i aktywność wokół jednego z promów wyglądała bardzo podejrzanie. Sądzę, że zmienili go w bombę.

– Czemu mieliby to zrobić?

– Ponieważ – odpowiedział Aleks – to nieuzbrojony statek naukowy, który znalazł się w miejscu, ich zdaniem, przypominającym strefę działań wojennych. Ten prom może zostać użyty do zaatakowania innego statku jak pocisk kierowany albo jako bomba do zniszczenia kolonii.

– Chcą was zaatakować? – zapytał Basia.

Czemu mieliby to robić? Czy Rosynant z załogą nie zostali tu przystani właśnie, żeby rozwiązać konflikt?

– Wątpię – stwierdziła Naomi. – Raczej *Barbapicolę*, jeśli spróbuje włączyć silniki i odlecieć.

– Owszem – potwierdził Aleks ze śmiechem. – Jeśli *Israel* spróbuje nam podskoczyć, to będzie najkrótsza walka w historii.

– Pierwsze Lądowanie. Mogą zniszczyć kolonię? – zapytał Basia.
– Oni o tym nie wiedzą. Powinniście ich ostrzec. Na dole jest moja rodzina.

– Wierz mi – odezwała się Naomi z przekonaniem – nie dojdzie do tego. Skoro już wiemy, będziemy mieć oko na prom, a jeśli się ruszy, możemy go zatrzymać.

– Choć pewnie powinniśmy powiedzieć szefowi – dodał Aleks.

– Owszem. – Naomi jeszcze kilka razy przejrzała nagranie, a potem je wyłączyła.

Aleks rozpiął pasy i odepchnął się w stronę drabiny.

– Albo... cholera, pierwsza, mogę to załatwić od ręki. Kazałem Rosowi sprawdzić parametry promu i wyliczyć strzał z działka szynowego, który rozwali reaktor.

Naomi zatrzymała go potrząśnięciem dłoni.

– Nie. Choć raz chciałabym znaleźć rozwiązanie, które nie obejmuje wysadzania czegoś.

Aleks wzruszył ramionami.

– Twoja decyzja.

Naomi unosiła się chwilę w milczeniu, a potem wyraźnie podjęła decyzję i wcisnęła przycisk na panelu łączności.

– Holden – zabrzmiało po kilku sekundach z głośnika.

– Jim, mam problem i rozwiązanie, które chciałabym z tobą skonsultować.

– Podoba mi się, że masz już rozwiązanie – odpowiedział kapitan.

Basia usłyszał uśmiech w jego głosie.

– Dwa rozwiązania – dorzucił Aleks. – Ja też mam swoje.

– Zgodnie z twoimi wytycznymi, obserwowaliśmy *Israela* – wyjaśniła Naomi. – Oboje z Alekssem zgadzamy się, że z dużym prawdopodobieństwem zmienili jeden ze swoich promów w broń. Trzymają go wyłączonego na równoległej orbicie jakieś pięćset metrów od dużego statku. Sądzę, że to broń ostatniego

rzutu w przypadku, gdyby *Barb* spróbował uciekać, ale to nie znaczy, że nie mogą go użyć przeciw kolonii, choć wydaje się to nieprawdopodobne.

– Nie spotkałaś Murtry’ego, który kieruje ochroną RCE – odpowiedział Holden. – Wtedy uznałabyś, że to cholernie wysoce prawdopodobne. Jakie będzie najlepsze podejście?

– Zabieramy wszystkich z planety, wracamy do domu i spędzamy kolejne kilkadziesiąt lat na badaniach bezzałogowych, zanim w ogóle pomyślimy o powrocie – oznajmiła Naomi.

– Zgadzam się – potwierdził Holden. – A co faktycznie zrobimy?

– Pomyślałam, że chciałbyś, żebyśmy się tym zajęli. Aleks uważa, że może go zniszczyć strzałem z działą szynowego, ale wydaje mi się to trochę zbyt oczywistą eskalacją. To znaczy, posyłanie pocisku tuż obok *Israela*.

– Sytuacja się tu sama eskaluje – skomentował Holden. – Ale na razie zostawimy tę opcję na później. Co jeszcze?

Naomi przysunęła się bliżej panelu łączności i ściszyła głos, jakby konsola była samym Holdenem, a ona właśnie miała mu przekazać złą wiadomość.

– Wezmę plecak manewrowy, polecę do promu i zainstaluję odcięcie na silniku. Jeśli przeprowadzą kontrolę systemów, wszystko zadziała prawidłowo, ale jeśli spróbują ruszyć prom, będę mogła go zdalnie wyłączyć. Żadnych wybuchów, po prostu martwa maszyna.

– Wydaje się to ryzykowne – skomentował Holden.

– Bardziej ryzykowne od puszczenia pocisków z działą przez reaktor?

– Nie, właściwie to nie.

– Bardziej ryzykowne od zostawienia go tam, gotowego do działania?

– Och, *cholera*, nie. Dobra, Naomi, twoja decyzja. Tak czy inaczej, chcę usunięcia tego zagrożenia. I bez tego mamy dość problemów tu na dole.

Naomi uśmiechnęła się do panelu łączności.

– Szykuj się na martwy prom.

Zamknęła połączenie i westchnęła. Basia przeniósł wzrok między nimi i zmarszczył brwi.

- Dlaczego?

- Co dlaczego? - lekko zapytała Naomi.

- Dlaczego chcecie podejmować bezpośrednie działania przeciwko RCE? Czy nie powinniście być mediatorami? Neutralnymi? Dlaczego podejmować działania, gdy możecie się do tego nie mieszać?

Jej uśmiech nabrał głębi i złożoności. Basia miał wrażenie, że usłyszała pytanie dużo bardziej kompleksowe, niż zamierzał zadać.

- Powstrzymanie się od działania, gdy giną ludzie, też jest działaniem - wyjaśniła. - Nie bawimy się w ten sposób.

Rozdział dwudziesty drugi

HAVELOCK

System Havelocka filtrował wiadomości z Układu Słonecznego – i ciągle cholernie dziwnie było myśleć „z układu” – pod kątem czterech tematów: Nowa Ziemia, James Holden, kontrakt ochrony i liga europejska piłki nożnej. Przypięty pasami do pryczy przeciążeniowej w biurze przeskakiwał przez podsumowania kanałów. ZMIANY PRZEPISÓW DOTYCZĄCYCH HARMONOGRAMÓW WYNAGRODZEŃ PRZEWAŻAJĄ SZALĘ NA RZECZ FIRM OCHRONIARSKICH NA ZIEMI, STAR HELIX ZAMIERZA WNIEŚĆ PROTEST. Skasował. CIĘŻAR ZIEMIANINA: PIĘĆDZIESIĘCIU SŁAWNYCH ZIEMIAN, KTÓRZY PRZESZLI NA STRONĘ SPZ. Holden dostał numer czterdzieści jeden. Havelock skasował artykuł. LOS BLANCOS POKONALI BAYERN 1:0. Uniósł brwi i przeniósł podsumowanie meczu do kolejki programów do obejrzenia. NARASTA PRZEMOC NA NOWEJ ZIEMI. ONZ I SPZ REAGUJĄ. MARS POPIERA SPZ.

Havelock poczuł ucisk w żołądku. Strumień został przygotowany przez firmę zajmującą się analizami wywiadowczymi z kontaktami w rządach wszystkich trzech głównych graczy.

Otworzył go.

– Mówi Nasr Maxwell z Forecast Analytics, a niniejszy firmowy strumień jest przeznaczony wyłącznie dla subskrybentów i partnerów firmy Forecast Analytics. Każda inna dystrybucja narusza przepisy MRK i ONZ, dotyczące własności intelektualnej i będzie ścigana. Raporty wywiadowcze z ONZ wskazują, że na Nowej Ziemi doszło do nasilenia aktów przemocy. Siły ochrony Royal Charter Energy zdobyły informacje o nowym potencjalnym ataku i przeciwdziałając mu, zabiły od siedmiu do szesnastu miejscowych powstańców. Reakcja SPZ na sam atak jest

ograniczona, ale RCE i siły ONZ zamierzają dziś po południu ogłosić wysłanie na Nową Ziemię misji ze wsparciem. Wstępne raporty sugerują, że obejmie ona oddziały zasobów korporacyjnych oraz eskortę wojskową Organizacji Narodów Zjednoczonych. Przedstawiciele SPZ nie zareagowali na ten plan, ale wcześniej dawali do zrozumienia, że są gotowi do użycia siły w celu kontrolowania ruchu przez stację *Medyna*. Biorąc pod uwagę ograniczenia taktyczne stwarzane przez wrota pierścieni, Forecast Analytics przewiduje, że nawet niewielkie siły bojowe SPZ mogą skutecznie blokować działania ONZ i RCE. Źródła bliskie marsjańskiemu kongresowi, które rozmawiały z Forecast Analytics pod warunkiem zachowania anonimowości, zasugerowały, że marsjański rząd poprze działania SPZ. Analiza sugeruje, że nie stanowi to pierwszych objawów długotrwałego zbliżenia SPZ i Marsa, a jedynie sojusz taktyczny, którego celem jest uniemożliwienie strukturom korporacyjnym i ONZ zdobycie większego przyczółka w nowych światach. Biorąc pod uwagę czas wymagany na zebranie grupy RCE i ONZ oraz jej dotarcie do stacji *Medyna*, zakładamy, że sytuacja na Nowej Ziemi w przewidywalnym czasie będzie rozwijać się bez aktywnego, fizycznego udziału graczy z wnętrza układu, a istotne pytanie dotyczące regulacji ruchu przez wrota stanie się źródłem napięć na wysokim szczeblu i możliwym powodem działań wojskowych w nadchodzących miesiącach i latach.

Havelock podrapał się po uchu. Na podstawie wcześniejszych doświadczeń wiedział, że Forecast Analytics zwykle wyprzedza inne kanały informacyjne o dobę. A to znaczy, że za około trzydzieści godzin zostanie zalany wiadomościami i analizami redakcyjnymi na ich temat, wygłaszanymi przez ludzi, którzy nigdy nie wylecieli dalej niż orbita Jowisza. Nawet jeśli wpłynie to tylko na historie, które opowiadają na swój temat ludzie na dole, to i tak mogło to pogorszyć sytuację. Jeśli dzicy lokatorzy dowiedzą się, że lecą tu kolejne statki RCE, nawet jeśli dotarcie tu zajmie im całe lata, to może zrobią się jeszcze bardziej zdesperowani. Albo fakt, że Mars stanął po stronie SPZ, wywoła w nich wrażenie, że mają wsparcie w domu. W każdym razie nie

mogło z tego wynikać nic dobrego.

Havelock pożałował, że nie ma sposobu na zamknięcie łączności z pierścieniem, po prostu żeby ograniczyć wpływ polityki. Sytuacja była dostatecznie spaprana i bez najwyższej klasy bajzlu z udziałem ONZ. W każdym razie nie trzeba było niczego dolewać do ognia. Przynajmniej nie podjęli tematu mediatora ONZ/SPZ, który uznał, że planeta jest pełna straszyleł, i kazał wszystkim uciekać i schować się pod kocami. Z drugiej strony, może byłoby lepiej, gdyby to podchwycili. Byłoby to przynajmniej odwróceniem uwagi.

Zabrzączał jego ręczny terminal, więc odebrał połączenie.

– Chyba jesteśmy gotowi – zgłosił główny inżynier Koenen.

– Zaraz tam będę – odpowiedział Havelock i rozpiął taśmy pryczy.

Pchnął się w stronę drzwi, a potem ręka za ręką ruszył do służby powietrznej.

Zsunął się na pokład magazynowy, gdzie czekała jego milicja, a jego mózg zdecydował, że rząd szafek znajduje się na dole, a służa u góry. Ludzkie mózgi potrzebowały odpowiedzi, nawet jeśli musiały sobie wymyślić coś, co w zasadzie było bzdurą. W powietrzu unosiło się dwunastu ludzi. Havelock zaczął do nich przemawiać, wyciągając swój skafander z szafki pod nogami.

– Miło was dziś widzieć. Będziemy dzisiaj ćwiczyć wtargnięcia. Będzie bardzo podobnie do poprzednich ćwiczeń, tylko tym razem pojawi się oddział, który spróbuje was powstrzymać.

Jeden z mężczyzn w głębi grupy potrząsnął karabinkiem na kulki z farbą i zagwizdał. Inni wokół niego się roześmiali. Havelock wciągnął na siebie skafander i zajął się uszczelkami. Na razie nie zakładał jeszcze hełmu, żeby móc mówić swobodnie bez radia.

– Mamy wydzielone drużyny?

– Biorę Alfę i Betę – odpowiedział Koenen. – Pomyślałem, że pan mógłby poprowadzić Gammę w ataku.

– Może być – zgodził się Havelock. Przesunął broń na kulki z farbą z boku na bok, próbując wyczuć jej masę. – Macie służę awaryjną?

- Tutaj - odpowiedział jeden z członków drużyny Beta, obracając się i pokazując plecak.

Jaskrawożółte pudełko mieściło pęcherz polimeru z warstwą samoprzylepną połączoną z drugim arkuszem wyposażonym w uszczelkę i zbiornik ze sprężonym gazem wielkości kciuka. Poprawnie rozłożony na kadłubie statku wyglądałby jak sferyczny pęcherz, wytrzymując do dwóch atmosfer przez nieokreślony czas lub osiem przez pełną jedną dziesiątą sekundy. Havelock nie zamierzał pozwalać inżynierom faktycznie rozcinać kadłuba *Israela*, ale chciał dopilnować, by potrafili wszystko przygotować aż do momentu włączenia palników.

- Dobra - powiedział. - Zanim tam wyjdziemy: pamiętajcie, że będziemy na zewnątrz statku, a prom jest na planecie. Istnieje niezerowe ryzyko, że oddryfujecie tak, że nie zdołamy was ściągnąć z powrotem.

Nagle ucichły prowadzone szeptem rozmowy i wymieniane zarty. Havelock rozejrzał się po sali, nawiązując kontakt wzrokowy z kilkoma ludźmi, jakby jego spojrzenie miało im zapewnić bezpieczeństwo.

- Wszystkie te skafandry mają buty magnetyczne - przypomniał. - Działają tylko na kilka centymetrów, więc utrzymają was przy kadłubie, ale nie ściągną was z powrotem do niego. Do tego macie liny z chwytakiem. Ćwiczyliście ich używanie?

Usłyszał chóralne potwierdzenie.

- Dobrze. Jeśli będziecie dryfować, lina z chwytakiem przywrze do dowolnej metalowej powierzchni kadłuba. Mają własny napęd, więc nie będzie żadnego odrzutu. Pod absolutnie żadnym pozorem nie przelatujcie nad obszarami oznaczonymi na czerwono ani nie zatrzymujcie się tam. To wyloty silników manewrowych, i choć nie planujemy żadnych korekt kursu, nie możecie na to liczyć. Nie robimy tych ćwiczeń po to, żeby kogoś stracić. Jeśli po wyjściu na zewnątrz zacznie się wam robić gorąco lub będziecie mieć wrażenie, że coś jest nie tak z podawaniem powietrza, prawdopodobnie będzie to oznaczać atak paniki. Po prostu dajcie znać mnie albo szefowi,

a wstrzymamy ćwiczenia i ściągniemy was do środka. Jeśli zaczniecie odczuwać ekstazę i wrażenie wszechmocy, jakbyście stanęli przed Bogiem, oznacza to atak euforii, a te są znacznie groźniejsze od paniki. Nie będziecie chcieli nam o nich powiedzieć, ale musicie. Zrozumiano?

W sali zabrzmiał nierówny chór potwierdzeń. Havelock zastanowił się, co jeszcze powinien im powiedzieć. Nie chciał ich obrażać, mówiąc o zbyt oczywistych rzeczach, ale też nie miał ochoty, by coś się zepsuło tylko dlatego, że o czymś nie wspomniał. W końcu wzruszył ramionami, założył hełm i wydał rozkaz na częstotliwości ćwiczeń.

– Drużyny Alfa i Beta, do służby. Macie trzydzieści minut.

Radio skafandra miało trzy ustawienia przewidziane na potrzeby ćwiczeń. Jedno pozwalało na zwracanie się do wszystkich wychodzących, drugie tylko do drużyny Havelocka, a trzecie na rozmowę wyłącznie z Koenenem. Kanał dorosłych, jak nazwał go inżynier. Havelock otworzył wszystkie trzy kanały, ale usłyszał tylko przechwałki swojej grupy. Główny inżynier i jego ludzie nie nadawali. Po dziesięciu minutach Havelock przełączył się na kanał dorosłych.

– Dobra – odpowiedział. – Wychodzimy.

Rozległ się trzask aktywowanego mikrofonu.

– Jeszcze nie minęło trzydzieści minut.

– Wiem – potwierdził Havelock, a inżynier zachichotał.

– Dobra. Dzięki za ostrzeżenie. Nie powiem im.

Havelock nigdy przesadnie nie interesował się astronomią, a mieszkając na stacjach i statkach kosmicznych, widywał gwiazdy rzadziej niż w dzieciństwie na Ziemi. Gwiazdy wokół Nowej Ziemi były piękne, tworząc równocześnie znajome i obce konstelacje. Nie było tam nielicznych znanych mu gwiazdozbiorów – Oriona, Wielkiego Wozu – ale i tak ich szukał. Częścią nieba był jasny mazaj dysku galaktyki, a miejscowe słońce mogło udawać to z domu. Przynajmniej z grubsza. Światło odbijał pierścień maleńkich księżyców Nowej Ziemi, choć ich niskie albedo sprawiało, że nie były wiele jaśniejsze od gwiazd w tle. *Edward Israel* poruszał się z prędkością około ośmiu

tysięcy kilometrów na minutę. Fakt, że jego bezruch maskował prędkość o rząd wielkości większą od pocisku z karabinu, był wiedzą czysto intelektualną. Czuł bezruch. Stał na panczerzu statku przyczepiony butami magnetycznymi, chwiejąc się lekko jak wodorosty na dnie morza. Po prawej terminator Nowej Ziemi zdawał się powoli wędrować przez olbrzymi ocean. Pół kilometra od niego unosił się prom, który wyglądał na mały i zagubiony we wszechogarniającej nocy. Jego grupa uderzeniowa zebrała się przy nim, rozglądając się w potężnej pustce dookoła. Prawie żałował, że musi skupić uwagę z powrotem na nieistotnych, niemal intymnych szczegółach przemocy.

Upewnił się, że przemawia na kanale obejmującym tylko jego grupę.

- No dobra. Rejon docelowy rozłożenia śluzu awaryjnej znajduje się od rufowej strony głównej ładowni. Obejdziemy statek lewoskrętnie. Za dziesięć minut wejdziemy w zaćmienie. Jeśli wyjdziemy na nich między głównymi silnikami manewrowymi a wrotami hangaru, powinniśmy mieć za plecami słońce. Ruszamy.

Pełne podniecenia głosy potwierdzeń powiedziały mu, że spodobał im się ten pomysł. Wyjdą wraz ze słońcem, siejąc śmierć i zniszczenie. Plan był bardzo elegancki, ale jego realizację utrudniał im brak wprawy w poruszaniu się w butach magnetycznych oraz fakt, że Koenen ustawił śluzę awaryjną sto metrów dalej, niż Havelock się spodziewał. Chwila właściwego oświetlenia minęła i słońce przesunęło się za Nową Ziemię, gdzie zostanie przez prawie dwadzieścia minut.

- Dobra - odezwał się Havelock. - Plan B. Wszyscy zgaszą światła hełmów.

- A co z kontrolkami na zewnętrznych bateriach, sir?

- Musimy mieć nadzieję, że są dość ciemne, by...

Jeden z inżynierów po lewej podniósł swój karabinek na farbę i wycelował w siebie. Błysk z lufy przypominał iskrę.

- Co ty, u diabła, robisz? - warknął Havelock.

- Pomyślałem, że jeśli strzelę farbą w kontrolkę, mogę... - zaczął

mężczyzna, ale było już za późno.

Ludzie Koenena zobaczyli błysk wystrzału. Havelock spróbował nakazać swoim ludziom przywrzeć do powierzchni kadłuba i strzelać nad krótkim horyzontem statku, ale ciągle się podnosili, żeby sprawdzić, czy w kogoś trafili. W ciągu niecałej minuty ostatni z jego ludzi zgłosił trafienie przez wroga i Havelock zakończył ćwiczenia. Potężna ciemna masa planety była teraz prawie nad nimi, z tworzącym jasny pierścień wokół niej blaskiem słońca rozproszonym w atmosferze. Obie grupy zebrały się w jednym miejscu.

Śluza była tylko częściowo przymocowana, zobaczył na niej trzy ślady pocisków jego drużyny. Trafili też dwóch członków grupy penetracyjnej głównego inżyniera. Pozostali byli w euforii. Havelock wystął swoją drużynę i rannych przeciwników do sprzątnięcia, a zawstydzeni żołnierze zaczęli ponownie pakować śluzę.

- Dobra robota - pochwalił Havelock na kanale dla dorosłych.

Koenen sapnął. Ręce złożył niezgrabnie na piersi, choć rozmiary skafandra utrudniały przyjęcie tej pozycji. Havelock zmarszczył brwi, choć nikt nie mógł tego zobaczyć.

- Jakiś problem, inżynierze?

- Wie pan - odpowiedział główny inżynier - nie mam nic przeciwko temu, że *Israel* ma własny zespół techniczny. Rozumiem, że mamy różne zadania. Ale pracujemy na tym samym sprzęcie i używamy tych samych zasobów, więc w ramach uprzejmości chciałbym być informowany, gdy załoga statku wysyła zespół.

- W porządku - odpowiedział Havelock. - Mogę z nimi porozmawiać, kiedy wrócimy. Często tak się dzieje?

- Dzieje się w tej chwili - rzucił inżynier, wskazując w mrok.

Havelock potrzebował chwili, żeby to zobaczyć. Błysk w miejscu, gdzie nie powinno go być. Zmieniony w bombę prom pojaśniał i ściemniał. Palnik spawalniczy pół kilometra od niego w czerni. Panika w nieważkości była dziwnym uczuciem, krew odpływała z dłoni i stóp.

- Ma pan w swoim hełmie powiększenie? - zapytał Havelock.

- Tak – potwierdził inżynier.

- Może pan zobaczyć, kto tam jest?

Główny inżynier zadarł głowę. Powierzchnia jego hełmu rozbłysła na chwilę, rozjarzona wyświetlaczem przeziernym.

- Czerwony skafander próżniowy. I sporej wielkości plecak manewrowy. Wycieczka długodystansowa. Plus zestaw spawalniczy.

Havelock rzucił ciężkim słowem, a potem przełączył się na kanał ogólny.

- Wszyscy stop. Mamy problem. Przy tamtym promie ktoś jest, ale to nikt od nas.

Przez chwilę nikt się nie odzywał. Potem jeden z członków milicji powiedział spokojnym i rzeczowym głosem.

- Chodźmy skopać mu tyłek.

Było to coś, czego Havelock bardzo nie chciał. Jeśli przeciwnik miał karabin, mógłby wystrzelać połowę jego ludzi, zanim się zbliżą. A oni mieli tylko karabinki na farbę. Tylko że alternatywą było pozwolenie nieznanemu wrogowi na unieszkodliwienie jedyne go asa w rękawie *Israela*.

- Dobra – odpowiedział Havelock. – Plan wygląda tak. Wszyscy zsynchronizują się z komputerem statku. Pozwolimy *Israelowi* wyliczyć ciąg. Wyłączcie buty magnetyczne.

Wyciągnął swój terminal ręczny, wstukał alarmowe obejście blokady bezpieczeństwa i wprowadził żądanie. Ich skafandry próżniowe miały dość pędnika, żeby zabrać ich wszystkich na prom i z powrotem pod warunkiem, że nikt nie trafi ani nie spróbuje czegoś głupiego. Aureola wokół Nowej Ziemi w górze zrobiła się nierówna, słońce szykowało się do wyjścia. Kolejny mały wschód. Komputer oznajmił, że wzór ciągu jest gotów.

- Dobra – rzucił Havelock. – To bandyci. Nie wiemy, ilu ich tam jest, nie wiemy, jak są uzbrojeni. Spróbujemy ich przestraszyć. Niech wszyscy przygotowują swoje karabinki. Macie wyglądać groźnie, ale nie strzelać. Jeśli domyślą się, że nasza broń nie jest prawdziwa, możemy mieć problemy.

- Sir? – odpowiedział jeden z mężczyzn. – Pamięta pan, że jesteśmy pokryci farbą, prawda?

Zanim Havelock odpowiedział, włączyły się silniczki, wydmuchując sprężony gaz za nimi jak mgłę i dym. Wszystkie skafandry uniosły się razem w mrok. Albo zaczęły spadać. Przyspieszenie przepchnęło krew do nóg Havelocka, a skafander ścisnął, wypychając ją z powrotem. To nie było nawet pełne g. Nawet nie jedna trzecia, ale i tak miał wrażenie czegoś znacznie, znacznie szybszego. Niebezpieczniejszego. Teraz, gdy wiedział, czego szukać, rozbłyśki spawarki były oczywiste. Nie ustawały. Główny ciąg ustał i skafandry obróciły się, rozpoczynając hamowanie. Idealna synchronizacja oznaczała, że wciąż steruje nimi komputer *Israela*.

Tym razem intruz ich zobaczył. Palnik zgasł. Havelock spojrział w dół między nogami z lufą karabinu ustawioną centralnie między stopami, czekając na lecące ku niemu pociski i modląc się, by nie nadleciały.

Nie pojawiły się.

– To działa! – krzyknął jeden z mężczyzn. – Skurwysyn ucieka!

I faktycznie. Czerwony skafander próżniowy na tle powłoki promu. Z czymś się zmagał, spojrział w górę w stronę spadającego Havelocka i jego milicji, a potem się odwrócił. Ktokolwiek to był, to tylko jedna osoba. Ciąg hamowania osłabł. Byli już prawie przy promie. Pięćdziesiąt metrów. Czterdzieści. Trzydzieści. Havelock otworzył standardowy kanał łączności.

– Uwaga, niezidentyfikowany spawacz. Zatrzymaj się.

Czerwony skafander wyprostował się i włączył silniczki plecaka manewrowego. Nieznana osoba poleciała pod kątem dziewięćdziesięciu stopni, nie uciekając bezpośrednio przed nimi, a nurkując w stronę powierzchni planety i niższej orbity umożliwiającej bezpieczne spotkanie. Havelock poczuł falę ulgi. Sabotażysta nie strzelał. Informacje na wyświetlaczu skafandra sugerowały, że podstawowe funkcje promu nie uległy zmianie. Nie ustawiono go na wybuch. A chłopaki z milicji nie sterowali swoim ciągiem, więc nie ruszą za intruzem.

Nie docenił ich.

W stronę sabotażysty poleciała pierwsza czarna nitka i chybiła, ale gdy tylko cały oddział zobaczył wystrzelenie liny

z chwytkiem, nie dało się ich powstrzymać. Poleciało kolejnych sześć lin z maleńkimi silniczkami błyskającymi niebieskim i pomarańczowym ogniem, leciały jak małe rakiety w stronę spawacza. Jeden z chwytaków trafił. Intruz i mężczyzna, który celnie strzelił, zostali szarpnięci, a skafander inżyniera odpalił silniczki, próbując skompensować zmianę wektora. W spowolnionego i obciążonego przeciwnika trafiły dwa kolejne chwytki. Wkrótce sabotażysta został oklejony pięcioma linami, a ich silniczki skutecznie kontrowały działania plecaka manewrowego. Havelock przejął kontrolę nad swoim skafandrem, odłączając komputer *Israela* i opadł w stronę planety i więźnia.

Czerwony skafander wykręcał się teraz, próbując użyć spawarki na trzymających go linach. Havelock uniósł swój karabinek, a wróg znieruchomiał. Znalazł się dostatecznie blisko, by móc zobaczyć twarz kryjącą się w hełmie. Pasiarka, ciemnoskóra, z pofalowanymi ciemnymi włosami przylepionymi do spoconego czoła. Na jej twarzy malował się czysty smutek.

Znowu włączył ogólny kanał.

– Cześć – powiedział. – Bez paniki. Jestem Havelock, pełnię obowiązki szefa ochrony *Edwarda Israela*, a ty musisz iść ze mną.

Interludium

ŚLEDZCY

– sięga, sięga, sięga, sięga –

Sto trzynaście razy na sekundę sięga, a rzeczy, które znajduje, nie są sygnałem, który pozwoliłby mu skończyć, ale są narzędziami, więc bada je, nie wiedząc, że je bada. Sięga jak woda bezmyślnie przeciskająca się przez koryto pełne kamieni. Porusza, co może poruszyć, otwiera, co może otworzyć. Zamyka, co może zamknąć. Zaczyna się pojawiać olbrzymia sieć, starożytna i martwa, więc sięga do niej. Części, które potrafią myśleć, starają się znaleźć jakiś sens. Jego części śnią o zmumifikowanym ciele z suchym sercem pompującym pył przez skamieniałe żyły.

Nie wszystko odpowiada, ale to sięga, napiera, porusza. I niektóre elementy odpowiadają. Stare artefakty budzą się lub nie. Żaden z nich nie jest tym, czego szuka. Żaden nigdy tym nie będzie. Eksperymentuje, nie mając świadomości eksperymentowania i zaczyna się formować krajobraz. Nie jest to fizyczny krajobraz, a logiczny – to łączy się z tym, a to z tym. Tworzy model i dodaje go do już posiadanego modelu, choć nie wie, że tak zrobiło. Sięga. Sto trzynaście razy na sekundę, to sięga.

Przestaje działać coś, co kiedyś działało. To sięga, a coś, co wcześniej odpowiadało, już tego nie robi. Coś się spala lub zawodzi, lub próbuje się podnieść i pada. Część mapy gaśnie, umiera, a to sięga do cichych martwych. Jego część czuje frustrację, ale nie jest świadome tej części i sięga. Jego część chce krzyknąć, chce umrzeć, wymiotować przez usta, które wedle wyobrażeń już od lat zmieniły się w coś innego. Nie doświadcza tych rzeczy, choć robią to jego części. Sięga.

I cofa się.

Nie jest świadome cofania się, ale raz na siedemnaście milionów prób dotyka czegoś i nie chce tego dotknąć ponownie. Nie jest świadome cofania się, ponieważ niczego nie jest świadome, ale porażki się kumulują. Tworzy się puste miejsce, pustka. Próżnia. Na próżno. Jezu, myśli stara kobieta, teraz wymyśla kalambury.

Mapa nie jest fizyczna, ale ma kształt. To model części wszechświata. Staje się bardziej szczegółowy, bardziej konkretny. Pewne rzeczy ożywają i umierają. Inne wcale nie odpowiadają. Niektóre stają się narzędziami i to używa ich do sięgania, tylko nie tam.

Pustka też zaczyna być definiowana. Z każdym nieudanym połączeniem, z każdym cofnięciem się, jej granice stają się dokładniej wyznaczone. To stara się nadać jakiś sens kształtowi pustki, która ją definiuje. Zmagają się z tym struktury umysłów, które nigdy w nim nie umarły. To cysta. Ujemna przestrzeń. Tabu. Pytanie, na które nie wolno odpowiadać. To nie jest świadome tych rzeczy. Nie jest świadome istnienia przestrzeni, faktu, że gdy tam sięga, umiera.

Nie musi być świadome problemu. Ma do tego narzędzie. Rzecz, która znajduje, co zaginęło. Narzędzie do zadawania pytań, których nie należy zadawać. Do sięgania za daleko. Śledczy analizuje cystę, cień, miejsce zajmowane przez pustkę.

To tutaj? – myśli śledczy. Tak, tam, skąd pochodzę, nazywamy to *wskazówką*.

Rozdział dwudziesty trzeci

HOLDEN

– No weź – Holden zwrócił się do pustyni i człowieka, którego tam nie było. – Pojawiasz się za każdym razem, kiedy cię nie chcę, ale gdy tylko chciałbym z tobą o czymś porozmawiać, ciebie nie ma.

Rzecz będąca Millerem nie odpowiedziała. Holden westchnął i czekał z nadzieją.

Ilus stracił część swojej obcości. Bezksiężycowe niebo wciąż wydawało się zbyt ciemne, ale nie bardziej niż w nowiu na Ziemi. Jego nos przyzwyczaił się do dziwnych zapachów planety. Pachniała teraz po prostu jak noc krótko po deszczu. Narastające przyzwyczajenie było równocześnie pocieszające i smutne. Ludzie polecą przez sieć wrót na tysiąc planet, osiądą w małych osadach takich jak Pierwsze Lądowanie, a potem rozprzestrzenia się, budując farmy, miasta i fabryki, bo zawsze tak robili. A za kilka stuleci większość tych planet będzie bardzo podobna do Ziemi. Pogranicze ustąpi cywilizacji, która zawsze na nie napiera. Zmieniając wszystko na wzór pierwotnego domu.

Holden dorastał w rejonie Ameryki Północnej, zwanym Montaną. Rejonie pełnym nostalgii za utraconymi granicami. Bronił się przed rozrastaniem miast dłużej niż większość terenów byłych Stanów Zjednoczonych. Tamtejsi mieszkańcy trzymali się swoich farm i pastwisk, nawet gdy przestały mieć ekonomiczny sens. Jednak dzięki temu Holden nie potrafił nie odczuwać pociągu do dzikich miejsc. Romantycznego uroku widoków, których nikt jeszcze nie widział. Ziemi, po której nikt nie stąpał.

Ta nowa granica utrzyma się dłużej, niż Holden pożyje. Podbicie i oswojenie ponad tysiąca planet było zadaniem na wiele pokoleń, niezależnie od tego, jakie fory dali im panowie

protomolekuły. Jednak w głębi serca Holden nie miał wątpliwości, że zostaną podbite i oswojone. A potem w galaktyce będzie tysiąc Ziemi pokrytych miastami ze stali i szkła. Poczuli cień utraty tajemnic tamtej odległej przyszłości, jakby dotknął go osobiście.

Na bezkسیężycowym niebie gwiazda poruszyła się zbyt szybko. Jeden ze statków. *Israel* lub *Barbapiccola*. *Rosynant* był za mały i zbyt ciemny, by odbijać światło. Czy ludzie tam w górze zastanawiali się nad tym, jak znaczące jest to, co tu robią? Holden obawiał się, że nie. Że obcość stała się już normalna, jak nocne zapachy na Ilusie. Że widzieli tylko konflikt do wygrania i skarby do zagarnięcia.

Westchnął, odwrócił się w stronę miasta i zaczął maszerować. Amos będzie się zastanawiał, gdzie poszedł. Carol, administratorka miasta, poprosiła o spotkanie po kolacji, więc ją też będzie musiał odszukać. Przeszło przed nim grube stworzenie kształtu psa z głową jak u ropuchy, wydając dźwięk butów chrzęszczących na żwirze. Miejscowi nazywali je jaszczurkami papuzimi. W zasadzie miały łuski jak jaszczurki, ale dla Holdena ich kończyny nie pasowały do ciała. Wyciągnął ręczny terminal i użył go do oświetlenia stworzenia. Zwierzę zamrugnęło na niego i znowu wyemitowało odgłos chrzęszczącego żwiru.

– Byłby z ciebie fajny zwierzak domowy, gdybyś okresowo nie wymiotował całego żołądka – rzucił Holden, kucając, żeby mu się lepiej przyjrzeć.

Stwór zaskrzeczał na niego. Nie były to wypowiedziane przez niego słowa, ale dźwięk zdumiewająco dobrze odtwarzał brzmienie i ton głosu. Zaczął się zastanawiać, czy to zwierzę dałoby się nauczyć powtarzania słów, tak jak papugę.

Zabrzączał trzymany przez niego terminal. Jaszczurka uciekła, brzęcząc w jego stronę przez ramię.

– Tu Holden.

– Tak, kapitanie – powiedział Aleks. – Mam złe wieści.

– Złe w rodzaju awarii trybu nieważkości w kiblu *Rosa* czy złe w rodzaju powinienem się rozglądać za nadlatującymi raketami?

– No... – zaczął Aleks, a potem głęboko wciągnął powietrze.

Holden spojrział na niebo. Tylko gwiazdy.

– Przestraszyłeś mnie. Wyduś to z siebie.

– Naomi – zaczął Aleks, a Holden poczuł kamień na sercu. – Poleciała instalować to zdalne odcięcie na promie, a oni robili jakieś ćwiczenia grupowe na zewnątrz *Israela* i ją zauważyli. Zwykły pech.

– Co się stało? Nic jej nie jest? – Proszę, niech nic jej nie będzie.

– Dopadli ją, kapitanie – wydusił Aleks.

Holden poczuł pustkę.

– Dopadli ją. Znaczy co, *zastrzelili* ją?

– Och! Nie. Złapali. Nie zrobili jej krzywdy. Facet z ochrony na *Israelu* zadzwonił, zależało mu, żeby wiedział, że nic jej nie jest. Ale nazwał jej działania sabotażem i zamknął ją w areszcie.

– Szlag – rzucił Holden, znowu mogąc oddychać. Wiedział, kto wydał ten rozkaz. Murtry. Teraz, gdy szef ochrony RCE miał potężną kartę przetargową, pójdzie na całość. – Czy ktoś jeszcze o tym wie?

– Amos dzwonił do niej przed chwilą...

Holden nie usłyszał pozostałych słów Aleksa, bo zerwał się do biegu w stronę miasta. Im dłużej biegł, nie słysząc wystrzałów, tym większą miał nadzieję, że Amos uświadomił sobie wrażliwość sytuacji i uznał, że poczeka na skonsultowanie się z kapitanem, zanim podejmie jakieś działania. Miał nadzieję, że Amos nie rozmawia już przez radio z *Israel*em, trzymając pistolet przy głowie Murtry'ego i domagając się bezpiecznego powrotu Naomi.

Częściowo miał rację.

Kiedy wpadł do biura Murtry'ego, zastał tam Amosa trzymającego szefa ochrony RCE przyciśniętego do ściany za gardło, z pistoletem przystawionym do jego czoła. Przynajmniej nikt nie dzwonił na *Israela* z żądaniami. Prawdopodobnie tylko dlatego, że Amosowi brakło trzeciej ręki.

Oprócz Murtry'ego i Amosa w placówce ochrony było jeszcze czworo ochroniarzy RCE, wszyscy z bronią wcelowaną w plecy Amosa.

– Rzuć broń, bo strzelę – krzyknęła właśnie jedna z nich, Wei, z kruczoczarnymi włosami.

– Dobra – odpowiedział Amos, wzruszając ramionami. – Strzelaj, skarbie. Gwarantuję, że zabiorę tę gnidę ze sobą. Jestem dobry. Ty też? – Nachylił się bliżej Murtry’ego, podkreślając pytanie dźgnięciem pistoletem w czoło.

Po twarzy szefa ochrony zaczęła spływać strużka krwi, wyraźnie na skutek przebicia skóry lufą. Murtry się uśmiechnął.

– Szczekaj dalej, psie. Obaj wiemy, że nie ugryziesz. Jeśli mnie zastrzelisz, ona zginie.

– Ty się o tym nie dowiesz – odpowiedział Amos.

– Amos, nie – rozkazał Holden.

– Ależ proszę – odpowiedział Murtry, prawie szepcząc.

Holden wstrzymał oddech pewny, że następne, co usłyszy, to wystrzał. Amos zaskoczył go, nie strzelając. Zamiast tego nachylił się jeszcze bardziej, aż jego nos dotknął nosa Murtry’ego i oświadczył:

– *Zabiję cię.*

– Kiedy? – odpowiedział Murtry.

– Właśnie to pytanie powinno nie dawać ci spokoju – syknął Amos i puścił go.

Holden gwałtownie zaczął znowu oddychać.

– Zajmę się tym, Amos.

Ku wielkiej uldze Holdena wielki mechanik schował pistolet do kabury, ale nie wyglądał jakby chciał wyjść.

– Poważnie. Zajmę się tym. Musisz wrócić do naszej kwatery i skontaktować się z Alekssem. Potrzebuję pełnego raportu. Za moment tam przyjdę.

Przez chwilę Holden myślał, że Amos będzie się spierał. Mechanik patrzył na niego z twarzą zaczerwienioną z wściekłości i szczęką zaciśniętą tak mocno, że mogłyby mu popękać zęby.

– Dobra – rzucił w końcu i wyszedł.

Pozostali czterej ochroniarze celowali do niego aż do chwili, gdy przeszedł przez drzwi.

– To było rozsądne – skomentował Murtry. Wyciągnął chusteczkę z pudełka na biurku i starł krew z czoła. W miejscu

dociśnięcia pistoletu Amosa zaczął się tworzyć brzydki siniak.

- Twój chłopaczek prawie nie wyszedł z tego pokoju, *mediatorze*. Holden zadziwił sam siebie, wybuchając śmiechem.
- Nigdy jeszcze nie widziałem, żeby Amos zaczął walkę, której nie planował wygrać. Nie jestem pewien, co miał na myśli, ale postawiłbym na niego nawet przy pięciu do jednego.
- W końcu każdy kiedyś przegrywa – odpowiedział Murtry.
- Zapamiętaj to sobie.
- Biorąc pod uwagę, jak bardzo krytykujesz moje metody, to masz u siebie niezłego zabójcę.
- Jest różnica. Amos jest gotów stracić twarz, by uchronić coś, co kocha. Bardziej chce utrzymać przyjaciół przy życiu, niż pragnie wygrać. I dlatego wcale nie jest podobny do ciebie.

Murtry zgodził się, przytakując, a potem wzruszył ramionami.

- To po co tu przyszedłeś, jeśli nie ratować swojego człowieka?
- Ciągłe eskalujemy – odpowiedział Holden. – Częściowo to moja wina. To ja poprosiłem Naomi, żeby zajęła się promem.
- Sabotaż... – zaczął Murtry.
- Ale zrobiłem to w reakcji na informację, że zmieniliście go w broń. Ciągłe reagujemy na to, co zrobiła osoba przed nami, usprawiedliwiając się jak dzieci na placu zabaw. „On zaczął”.
- I co, ty pierwszy przerwiesz krąg?
- Jeśli mogę – potwierdził Holden. – Posunąłeś się za daleko, Murtry. Dezaktywuj prom, oddaj mi Naomi. Zobaczmy, czy zdołamy zatrzymać eskalację.

Lekki uśmieszek Murtry’ego zmienił się w równie lekkie zmarszczenie czoła. Mężczyzna oparł się o biurko i przyłożył kolejną chusteczkę do rozcięcia na czole. Pojawiła się na niej tylko jedna czerwona kropka. Potem złożył ręce, niedbale, ale ostatecznie. Holden wiedział, że to świadoma pretensjonalność, która miała wyglądać naturalnie. Taki poziom samoświadomości i kontroli zarówno mu imponował, jak i martwił go.

- Działalem całkowicie w zakresie mojego tutejszego przydziału – oświadczył Murtry. – Ochraniałem aktywa i personel RCE.
- Zabiłeś grupę kolonistów i porwałeś moją pierwszą oficer –

odpowiedział Holden, bezskutecznie próbując nie okazać w głosie złości.

– Zabiłem mniej dzikich lokatorów, niż oni zabili nas, a wszyscy brali aktywny udział w planowaniu i prowadzeniu ataków na aktywa i personel RCE. A to, jak już mówiłem, właśnie moje zadanie.

– A Naomi...

– Schwytałem też sabotażystkę i przetrzymuję ją w oczekiwaniu na śledztwo. „Porwanie” jest nie tylko prowokacyjnym, ale też niedokładnym terminem.

– Ty chcesz, żeby to wszystko wybuchło. – Holden westchnął. – Nie możesz się doczekać następnej okazji do pogorszenia sytuacji, prawda?

Zmarszczka na czole ustąpiła miejsca uśmiechowi. On też nic nie znaczył. Po prostu inna maska. Holden zaczął się zastanawiać, jak wygląda wnętrze głowy Murtry’ego, i zadrżał.

– Na każdym kroku robiłem tylko niezbędne minimum – powiedział mężczyzna z niepokojącym uśmiechem.

– Nie – odpowiedział Holden. – Mogłeś odlecieć. Miałeś *Israela*. Po pierwszym ataku na prom mogłeś wycofać swoich ludzi i poczekać na przeprowadzenie śledztwa. Gdybyś to zrobił, mnóstwo ludzi wciąż by żyło.

– O nie – odpowiedział Murtry, kręcąc głową. Wstał i opuścił ręce. Każdy jego ruch był powolny, wykonywany z pełną świadomością i emanował groźbą. – Nie, to jedyna rzecz, której nie zrobimy. Nie oddamy ani centymetra ziemi. Miejscowi dzicy lokatorzy mogą się rzucać na nas, aż wszyscy zmieniają się w pył, ale my nigdzie stąd nie odejdziemy. Ponieważ to... – Uśmiech Murtry’ego zrobił się ostrzejszy. – ...także część mojej pracy.

* * *

Marsz z chaty ochrony RCE do pokoju w ośrodku komunalnym nie był długi, ale bardzo mroczny. Słaby blask Millera niczego nie rozjaśnił, ale i tak był dziwnie pocieszający.

– Cześć, staruszkule – odezwał się Holden na powitanie.

– Musimy porozmawiać. – Miller wyszczerzył zęby w uśmiechu

z powodu własnego żartu.

Zaczął żartować. Stał się prawie prawdziwą osobą. Na swój sposób było to bardziej przerażające niż jego wcześniejsze szaleństwo.

– Wiem, ale jestem dość zajęty, próbując dopilnować, żeby ci ludzie się nie pozabijali. Albo, no wiesz, nas.

– I jak ci to wychodzi?

– Fatalnie – przyznał Holden. – Właśnie straciłem jedyną realną groźbę, jakiej mogłem użyć.

– Tak, Naomi na pokładzie ich statku eliminuje *Rosynanta* z gry. Puszczanie jej w pobliże tamtej jednostki było głupim błędem.

– Nigdy ci o tym nie mówiłem.

– Czy mam udawać, że nie siedzę w twojej głowie? – Miller zapytał z pasiarskim odpowiednikiem wzruszenia ramionami. – Mogę to zrobić, jeśli się z tym lepiej poczujesz.

– Hej, Miller – rzucił Holden. – O czym teraz myślę?

– Muszę ci przyznać kilka punktów za kreatywność, chłopcze. Zrobienie tego będzie trudne i znacznie mniej zabawne, niż sądzisz.

– No to się nie mieszaj.

Miller chwycił ramię Holdena. Znowu zaskoczyło go, jak rzeczywiste było to uczucie. Miał wrażenie, że dłoń Millera ścisnęła go jak imadło. Spróbował się wyrwać, ale nie potrafił. A przecież to wszystko było tylko duchem działającym na jego mózg.

– Nie żartowałem. Musimy porozmawiać.

– Wyduś to z siebie – odpowiedział Holden, wrywając rękę, gdy Miller go puścił.

– Na północ stąd jest miejsce, któremu muszę się przyjrzeć.

– Co tak naprawdę znaczy, że chcesz, żebym to ja je obejrzał.

– Owszem – potwierdził Miller z pasiarskim przytaknięciem pięścią. – Dokładnie.

Wbrew sobie Holden poczuł ciekawość.

– Co to jest?

– Okazuje się, że nasz przylot tutaj wywołał pewne poruszenie wśród miejscowych – powiedział Miller. – Może zauważyłeś. Na

planecie zaczęło się budzić sporo pozostałego sprzętu.

– Tak, chciałem z tobą o tym porozmawiać. To twoje dzieło? Możesz to kontrolować?

– Żartujesz? Jestem tylko pacynką. Protomolekuła wsadziła mi łapę tak głęboko w tyłek, że czuję smak paznokci. – Miller się roześmiał. – Nie mogę kontrolować nawet sam siebie.

– Niektóre z nich wydają się niebezpieczne. Na przykład tamten robot. A tobie udało się wyłączyć stację w powolnej strefie.

– Ponieważ to chciało, żebym to zrobił. Jeśli dobrze wybierzesz porę, możesz rozkazać słońcu wstać. Nie kieruję tą maszyną. Zmuszenie jej do zrobienia tego, co ja chcę, byłoby porównywalne do przekonania kogoś, by przestał mieć atak padaczki.

– No dobrze – odpowiedział Holden. – To znaczy, że musimy się zabrać z tej planety.

– Ale zanim to zrobisz, jest ta rzecz. Ta nie-rzecz. Słuchaj, mam dość dobrą mapę globalnej sieci. Budzi się i zgłasza dość sporo pozostałego sprzętu. Poza jednym miejscem. To jakby duża kula niczego.

Holden wzruszył ramionami.

– Może to po prostu miejsce, gdzie nie ma węzłów sieci.

– Cała ta planeta jest węzłem sieci, chłopcze. Nie powinno tu być żadnego miejsca, którego nie mogę sięgnąć.

– To co to znaczy?

– Może to tylko miejsce, które jest naprawdę zepsute – odpowiedział Miller. – To byłoby ciekawe, choć bezużyteczne.

– A użyteczna wersja?

– To pozostały kawałek tego, co zabiło to miejsce.

Przez chwilę stali w milczeniu. Chłodny wieczorny wiatr Ilusa poruszał nogawkami Holdena, nie wpływając w żaden sposób na detektywa. Holden poczuł chłód u podstawy kręgosłupa, powoli pełznący do góry. Podniosły się włoski na jego rękach.

– Nie chcę czegoś takiego znajdować – powiedział w końcu.

– A ja chcę? – odpowiedział Miller z uśmiechem najbardziej zbliżonym do przyjaznego. – Dla mnie wolna wola przestała brać udział w tej rozmowie już jakiś czas temu. Ale tam właśnie są

wskazówki. Powinieneś ze mną pojechać. W końcu i tak do tego dojdzie.

– A to dlaczego?

– Ponieważ prawdziwe potwory nie znikają, gdy zamkniesz oczy. Bo równie mocno jak ja pragniesz wiedzieć, co się tu stało.

Wyraz twarzy Millera był wciąż przyjazny, ale w jego głosie pojawił się strach. Obawa doskonale znana Holdenowi. Odczuwana i przez niego.

– Najpierw Naomi. Nigdzie nie pojedę, dopóki jej nie odzyskamy.

Miller znowu kiwnął głową i rozpadł się w chmurę błękitnych światełek.

Amos czekał na niego, gdy wrócił do baru. Wielkolud siedział przy stole sam, na stole stała opróżniona do połowy butelka, woniejąca jak środek do dezynfekcji i dym.

– Zgaduję, że nie zabiłeś go po moim wyjściu – powiedział Amos, gdy Holden usiadł.

– Mam wrażenie, że balansuję na linii tak wąskiej, że nawet jej nie widzę – odpowiedział Holden.

Pokręcił głową, gdy Amos zaoferował mu butelkę, więc mechanik sam pociągnął z niej spory łyk.

– To skończy się rozlewem krwi – skomentował Amos po chwili. Jego głos brzmiał odległe, jak we śnie. – Nie da się tego uniknąć.

– Ponieważ moje zadanie jest dokładnie przeciwne, mam nadzieję, że się mylisz.

– Nie mylę się.

– Co miał do powiedzenia Aleks? – zapytał Holden z braku argumentów do sporu.

– Zebraliśmy listę żądań dla kapitana *Israela*. Żeby mieć pewność, że Naomi nic się nie stanie na ich pokładzie.

– A co oddamy w zamian?

– Aleks nie rozwali *Israela* na kawałki.

– Mam nadzieję, że zgodzą się, że jesteśmy wspaniałomyślni.

– Ale tak na wszelki wypadek – kontynuował Amos – trzyma działą szynowe wycelowane w reaktor *Israela*.

Holden przeczesał włosy palcami.

- Czyli niekoniecznie wspaniałomyślni.

- Ładnie poproś, ale trzymaj na podorędziu kilogram wolframu gotowego do gwałtownego przyśpieszenia.

- Mam wrażenie, że już to słyszałem - odpowiedział Holden i wstał. Nagle poczuł się bardzo zmęczony. - Idę do łóżka.

- Naomi siedzi w areszcie pieprzonego Murtry'ego, a ty możesz spać? - powiedział Amos i pociągnął kolejny łyk z butelki.

- Nie, ale mogę iść do łóżka. Potem, jutro, zamierzam wymyślić sposób odzyskania pierwszej oficer z rąk szaleńca z RCE, który trzyma ją jako zakładniczkę, dzięki czemu będę mógł jechać poszukać kawałka przerażającego pocisku obcych, który utkwiał w planecie.

Amos kiwnął głową jakby to miało sens.

- Czyli popołudnie masz wolne.

Rozdział dwudziesty czwarty

ELVI

Elvi śniła.

We śnie była z powrotem na Ziemi, będącej równocześnie korytarzami *Edwarda Israela*. Odczuwała napór czegoś pilnego, co szybko zmieniło się w niepokój. Coś gdzieś się paliło, ponieważ nie wypełniła właściwych formularzy. Musiała wypełnić i złożyć formularze, zanim wszystko się spali. Była w biurze kwestora na uniwersytecie razem z gubernatorem Tryngiem, tylko że on czekał na zaświadczenie o swoim zgonie, a jego wydawanie strasznie się przeciągało. Nie mogła złożyć swoich formularzy. Oglądała foliowe dokumenty, próbując znaleźć termin ich złożenia, ale słowa ciągle się zmieniały. Najpierw wiersz u dołu zawierał tekst *Elvi Okoye, główna badaczka i Argonautka*, ale gdy następnym razem go przeczytała, był tam tekst: *Kary do zapłaty bezpośrednio w świątyni: króliki i wieprze*. Ciągle napierało na nią poczucie pilności, a gdy krzyknęła z przejęcia, folia zaczęła się jej rozpadać w palcach. Próbowwała zebrać jej kawałki z powrotem w całość, ale nie chciały się połączyć.

Ktoś dotknął jej ramienia i był to James Holden, tylko że wyglądał jak ktoś inny. Młodszy i o ciemniejszej skórze, ale wiedziała, że to on. Zdała sobie sprawę, że przez cały czas była naga. Poczwała wstyd, ale też zadowolenie. Jego dłoń dotknęła jej piersi i...

– Elvi! Obudź się!

Otworzyła oczy, z ciężkimi i powolnymi powiekami. Trudno było jej skupić wzrok. Nie wiedziała, gdzie jest, tylko że jakiś cholerny idiota przerywał coś, co nie powinno być przerywane. Ciemne linie przed jej oczami powoli stały się znajome. Dach jej chaty. Przesunęła się, sięgając do kogoś, choć nie była pewna, do

kogo. Była sama w łóżku. Jej ręczny terminal jarzył się słabo. Sprzęt do analizy zamigotał, przetwarzając kolejną porcję danych, posyłając ją przez potężną czerń do Pierścienia i stacji *Medyna*, i na Ziemię, a z powrotem popłynie informacja zwrotna. Czyli wszystko było tak, jak być powinno, więc dlaczego, u diabła, nie spała?

Usłyszała pukanie do drzwi i głos Fayeza.

– Elvi! Obudź się. Musisz to zobaczyć.

Elvi ziewnęła tak rozdzierająco, że zabolala ją od tego szczęka. Dźwignęła się po pozycji siedzącej. Sen już szybko jej uciekał. Było w nim coś o pożarze i kimś, kto jej dotykał. Kimś, przez kogo bardzo chciała być dotykana. Szczegóły straciły całą spójność, gdy usiadła i sięgnęła po szlafrok.

– Elvi? Jesteś tam?

Kiedy się odezwała, jej słowa brzmiały powoli, ciężko, trochę niewyraźnie.

– Jeśli to nie jest ważne, rozszarpie ci gardło i nasikam do płuc.

Fayez się roześmiał. Gdzieś dalej zabrzmiały inne głosy. Sudyam mówiła coś zbyt cicho, by zrozumiała słowa. Była też Yma Chappel, główna geochemik. Elvi znieruchomiła na chwilę, rzuciła szlafrok i wciągnęła na siebie normalne ubranie wraz z butami polowymi. Kiedy wyszła przed chatkę, na nocnej równinie przed nią stało kilkanaście osób z zespołów badawczych, parami lub małymi grupami. Wszyscy patrzyli do góry. A wysoko w ciemności ponurą czerwienią jarzyło się coś większego od gwiazdy. Fayez siedział na ziemi i spojrzał na nią, gdy wyszła.

– Co to jest? – zapytała Elvi odruchowo przyciszonym głosem, jakby mogła to wystraszyć.

– Jeden z księżyców.

Wyszła bardziej przed domek, odchylając głowę do góry i patrząc w noc.

– Co robi?

– Topi się.

– Dlaczego?

– No nie? – odpowiedział Fayez, wstając.

Z lewej strony odezwała się Sudyam.

– Człowiek zaczyna żałować, że nie posłaliśmy tam sond, prawda?

– Mamy tylko jeden statek, a to cała cholerna planeta – rzucił Fayez w odpowiedzi. – A na dodatek jak dotąd wkładaliśmy sporo wysiłku we wzajemne zabijanie się.

– No i? – zapytała Sudyam.

Fayez szeroko rozłożył ręce.

– Byliśmy zajęci.

Księżyc przez chwilę zmieniał barwy, przechodząc od ciemnej czerwieni przez jasnopomarańczową do żółtobiałej, a potem z powrotem przez widmo, gasnąc równie gwałtownie, jak się rozjarzył.

– Czy ktoś to rejestruje? – zapytała Elvi.

– Caskey i Farengier przerwali badania refrakcji na dużych wysokościach i zaczęli ściągać z tego dane, jak tylko zobaczyli, co się dzieje. To głównie światło widzialne, żar i promieniowanie gamma o jakieś trzydzieści procent powyżej tła. Czujniki na *Israelu* pokazują mniej więcej to samo.

– Czy to niebezpieczne? – zapytała Elvi, uświadamiając sobie odpowiedź w chwili, gdy wymawiała te słowa. Może. Może to niebezpieczne, może nie. Dopóki nie dowiedzą się, co faktycznie się dzieje, mogli tylko zgadywać. W świetle gwiazd nie potrafiła odczytać wyrazu twarzy Fayeza. Niepokój w kącikach jego ust i krzywiźnie oczu mógł być wyłącznie jej wyobrażeniem. Innym rodzajem snu. – Inni wiedzą?

– Chyba tak – rzucił Fayez. – Zakładając, że nie są zbyt zajęci wzajemnymi aresztowaniami i podpaleniami.

– Mówiłeś Murtry'emu?

– Ja nie. Ale ktoś pewnie tak.

– A Holdenowi? Co z nim? On wie?

– Nawet jeśli tak, to co z tym zrobi? Porozmawia z nim uspokajająco?

Elvi odwróciła się w stronę Pierwszego Lądowania. Nieliczne oświetlone domy wyglądały jak garstka gwiazd, które spadły na ziemię. Wyciągnęła ręczny terminal i ustawiając ekran na biel,

użyła go jak latarki.

- Dokąd idziesz? – zawołał z tyłu Fayeze.
- Porozmawiać z kapitanem Holdenem – odkrzyknęła.
- Oczywiście – odpowiedział Fayeze z niecierpliwym sapnięciem.
- Bo zdecydowanie przyda mu się perspektywa biolożki na to wydarzenie.

Jego słowa trochę ją zapiekły, ale Elvi nie pozwoliła sobie na wciągnięcie w rozmowę. Fayeze był dobrym naukowcem i przyjacielem, ale jego zwyczaj naigrywania się ze wszystkiego i zmieniania poważnych spraw w żart sprawiał, że był znacznie mniej przydatny, niż mógłby być. Ktoś z pozostałych powinien był się upewnić, że wszyscy wiedzą o tym, co dzieje się w górze. To nie powinno spadać na nią. A jednak w duchu miała cichą nadzieję, że to właśnie od niej się dowie.

Suche powietrze pachniało jak kurz i drobne, kwitnące w nocy odpowiedniki kwiatów. Tam, gdzie kwitły nieliczne twarde, żylaste rośliny, miesiące pieszego ruchu wydeptały ścieżki, którymi Elvi podążała w prawie całkowitej ciemności równie łatwo, jak za dnia. Nie po raz pierwszy pomyślała, że te rozproszone chatki, ruiny i nawet Pierwsze Lądowanie stały się dla niej równie znajome jak każde z miejsc, w których dotąd mieszkała. Znała teren, wiatry, zapachy wzbierające się i gasnące o różnych porach dnia. W ciągu ostatniego miesiąca stała się oczami i uszami całej społeczności naukowców z Układu Słonecznego. Nawet gdy terroryści zabili Reeva, a Murtry zleciał na dół, przynajmniej część każdego jej dnia obejmowała analizę próbek i przesyłanie danych do domu. Spędziła więcej czasu nie tylko w tym środowisku, lecz także z nim, niż ktokolwiek inny.

Drobny czerwony księżyc w górze stanowił przypomnienie, że wciąż nie wiedziała wiele. Zwykle byłoby to źródłem radości i wyzwaniem. W ciemności nocy Nowej Ziemi sprawiał wrażenie groźby. Jej kroki nabrały rytmu, buty zaczęły uderzać w wygładzone wiatrem kamienie.

W mieście mieszkańcy wyszli z domów, tak samo jak pracownicy RCE ze swoich chat. Stali na ulicach i małych, mizernych gankach, patrząc w górę na jarzącą się kropkę, która

dryfowała w stronę horyzontu. Elvi nie potrafiła powiedzieć, czy są zaciekawieni, zaniepokojeni czy tylko pragną tematu innego niż konflikt między RCE i dzikimi lokatorami. Między *nami* a *nimi*.

A może widzieli w tym znak. Patrzące na nich wszystkich z góry płonące oko, oceniające i szykujące się do wojny. Kiedyś słyszała tego typu legendę, ale nie pamiętała jej źródła.

Wei i jeden z pozostałych ochroniarzy szli środkiem głównej ulicy z karabinami w gotowości. Elvi kiwnęła im głową i odpowiedzieli tym samym, ale żadne z nich się nie odezwało. Ktoś już pewnie powiedział Holdenowi. Ale skoro już tu przyszła, mogła się przynajmniej upewnić.

Po ulicy przed kantyną, w której mieszkał Holden, nerwowo chodził Jacek Merton. Ciało chłopaka wychylało się w ruch, a dłonie przy bokach zaciskał w pięści. Spojrzenie wbijał w ziemię metr przed sobą, jak ktoś patrzący na ekran, a ramiona przygarbił jakby chciał coś ochronić. Właśnie miała się przywitać, gdy w jej głowie zabrzmiał cichy sygnał alarmowy.

Między jednym uderzeniem serca a następnym przestała być Elvi Okoye idącą w środku nocy na spotkanie z kapitanem Holdenem pod pretekstem, który nawet dla niej był bardzo błahy. Nie miała już przed sobą syna Lucii i Basi Mertona, brata Felci. To już nawet nie było miasto. Była biologiem w terenie, widzącym młodego samca naczelnych. W tym świetle niektóre rzeczy stały się absolutnie oczywiste. Chłopak szykował się do użycia przemocy.

Zawahała się i zaczęła się cofać. Wei była tylko kilkanaście metrów i róg czy dwa dalej. Jeśli Elvi krzyknie, ochroniarze prawdopodobnie szybko tu przybiegną. Jej puls przyśpieszył. Czuła go na szyi. Długie godziny po śmierci Reeve'a wróciły do niej jak nawracający koszmar. Powinna krzyknąć. Powinna wezwać pomoc.

Ale chłopak nie był tylko naczelnym. Nie był tylko zwierzęciem. Był bratem Felci. A jeśli krzyknie po pomoc, mogą go zabić. Przełknęła ślinę, pochwycona między strachem a odwagą. Niepewna. Zaczęła się zastanawiać, co zrobiłby Fayez.

Zaoferował chłopakowi piwo?

Zatrzymał się i popatrzył na nią. Miał puste spojrzenie. Ubrany był w lekką kurtkę obciągniętą z jednej strony, jakby miał w kieszeni coś ciężkiego.

– Cześć – rzuciła z uśmiechem.

– Cześć – odpowiedział Jacek po chwili.

– Dziwne, prawda? – Wskazała czerwoną kropkę.

Wydawała się groźniejsza niż wcześniej. Jacek zerknął na niebo, ale chyba nie zareagował na nietypowy widok.

– Dziwne – zgodził się.

Stali naprzeciw siebie z ciszą bogatą i pełną napięcia. Światło z okien kantyny oświetlało go w połowie, drugą część kryjąc w mroku. Elvi próbowała znaleźć coś, co mogłaby powiedzieć. Szukała jakiegoś sposobu rozładowania sytuacji. Fayez by zażartował, rzucił coś, z czego chłopak mógłby się zaśmiać i co postawiłoby ich po tej samej stronie śmiechu, ale Elvi nic nie przychodziło do głowy.

– Boję się – powiedziała zamiast tego, trochę chrypliwym głosem. Chłopaka zaskoczyło to w równym stopniu, co ją. – Strasznie się boję.

– Wszystko będzie w porządku – rzucił Jacek. – To tylko jakaś reakcja tam w górze. To nie robi niczego, tylko się topi na orbicie.

– I tak mnie to przeraża.

Jacek zmarszczył się w stronę własnych stóp, rozdarty między zadaniem, do którego się przygotowywał, a impulsem powiedzenia czegoś uspokajającego tej ewidentnie niestabilnej, przestraszonej obcej kobiecie.

– Będzie w porządku – spróbował.

– Masz rację – zgodziła się, przytakując. – Ale. No wiesz. To znaczy, wiesz, prawda?

– Chyba tak.

– Szłam spotkać się z kapitanem Holdenem – powiedziała, a oczy Jacka błysnęły, jakby powiedziała coś obraźliwego. – Ty też?

Zobaczyła w jego twarzy, że spróbował przywołać wcześniejszą pustkę, gniew, napięcie i nicość. Nie był osobą, której przemoc

przychodziła z łatwością. Musiał włożyć w nią wiele wysiłku. I właśnie przy tym go zobaczyła.

– Zabrał mojego ojca – powiedział Jacek. – Mama martwi się, że nigdy go już nie zobaczymy.

– Dlatego tu przyszedłeś? Poprosić?

Jacek popatrzył na nią zmieszany.

– Poprosić... o co?

– O rozmowę z twoim tatą.

Chłopak zamrugał, a potem podświadomie zrobił krok w jej stronę.

– Nie pozwoli mi z nim porozmawiać. Jest jego więźniem.

– Ludzie cały czas rozmawiają z więźniami. Czy ktoś powiedział ci, że nie możesz rozmawiać z ojcem?

Jacek milczał. Włożył rękę do kieszeni kurtki – tej obciążonej – a potem znowu ją wyciągnął.

– Nie.

– No to chodź – zaproponowała Elvi, ruszając w jego stronę. – Zapytajmy go.

Wewnątrz kantyny Holden chodził z głębi sali do jej przodu i z powrotem. Duży mężczyzna – Amos – siedział przy stole z talią kart, w niepokojącym skupieniu układając pasjansa. Holden był bledszy niż zwykle, a wrażenie ledwie kontrolowanych emocji nadawało jego ciału napięcie, którego się po nim nie spodziewała. Amos podniósł wzrok, gdy weszła z ręką na ramieniu Jacka. Jego spojrzenie było płaskie i puste, choć głos brzmiał równie radośnie, jak zwykle.

– Dzień dobry, doktorco. Co jest?

– Kilka spraw – odpowiedziała Elvi.

Holden stanął. Wydawało się, że potrzebował kilku sekund na skupienie się. Coś go gryzło. Skupił na niej wzrok i spróbował się uśmiechnąć. Nieoczekiwanie ścisnęło ją w gardle. Odkaszlnęła.

– Jacek zastanawiał się, czy mógłby się w jakiś sposób skontaktować z ojcem – powiedziała. Miała wrażenie, jakby w sali nie było dość powietrza, bo trudno było jej złapać oddech. Może zaczynała się u niej rozwijać jakaś alergia.

– Jasne – rzucił Holden, a potem obejrzał się przez ramię na

Amosa. – To nie problem, prawda?

– Radia wciąż działają – odpowiedział Amos. – Tylko należałoby posłać Aleksowi informację z wyprzedzeniem, żeby się tego spodziewał. Chwilowo ma dość pełne ręce roboty.

– Słuszna uwaga – skomentował Holden, kiwając głową bardziej do siebie niż do pozostałych. – Zorganizuję to. Masz ręczny terminal?

Jacek potrzebował kilku chwil, by zrozumieć, że pytanie skierowano do niego.

– Nie działa. Nie mamy centrali. Pracuje tylko w zasięgu bezpośrednich połączeń.

– Przynies go tu, gdy będziesz miał wolną chwilę, a spróbuję go podłączyć do naszej sieci. To będzie łatwiejsze niż umawianie godzin, żebyś mógł użyć mojego. Może być?

– Ja... tak. Jasne.

Czuła, jak drży ramię chłopaka.

Jacek odwrócił się i wyszedł, nie patrząc nikomu w oczy, szczególnie starannie unikając jej spojrzenia. Zamknęły się za nim drzwi.

– Chłopak miał broń, szefie – poinformował Amos.

– Wiem – odpowiedział Holden. – Co miałem z tym zrobić?

– Wiedzieć. To wszystko.

– W porządku, wiem. Ale naprawdę nie mam teraz czasu na bycie postrzelonym. – Skupił uwagę na niej. Na czoło opadał mu lok włosów i wyglądał na bardzo zmęczonego. Jakby dźwigał na plecach całą planetę. Mimo wszystko zdołał się lekko uśmiechnąć. – Jeszcze coś? Bo mamy tu mały...

– To niedobry moment? Mogę...

– Nasza pierwsza oficer została aresztowana przez Murtry'ego – wyjaśnił Amos, a bezbarwność jego spojrzenia przeszła też do głosu. – Może trochę potrwać, zanim trafi się dobra chwila.

– Och – powiedziała Elvi, a jej serce gwałtownie przyśpieszyło.

Pierwsza oficer to kochanka Holdena i Holden ma kochankę oraz Holden może już jej nie mieć, a potem Jezu, co ja tu robię, a wszystko to zderzało się w jej głowie. Elvi stwierdziła, że nie wie, co zrobić z rękami. Wsadziła je do kieszeni, ale poczuła się

z tym niewłaściwie, więc wyjęła je z powrotem.

– Zastanawiałam się – odezwała się głosem o tonie rosnącym przy końcu każdego słowa, choć nie było to pytanie. – Nad tą rzeczą. Na pustyni. A teraz ten księżyc.

– Jaki księżyc?

– Ten, który się topi, kapitanie – przypomniał Amos.

– Racja, ten. Przepraszam. Mam teraz na głowie dużo spraw. Jeśli to nie jest coś, z czym mogę faktycznie coś zrobić, sprawa nie dociera do mnie tak, jak zapewne powinna – powiedział Holden. A potem: – Nie muszę niczego zrobić z tym księżycem, prawda?

– Możemy pozwolić naukowcom powiedzieć nam, czy mamy się tym przejmować – skomentował Amos. – Jest w porządku.

– Zastanawiałam się nad wskaźnikami niepowodzeń hibernacji i to, co tu widzimy, może być analogiczne.

Holden uniósł rękę.

– Nie potrafiłbym powiedzieć.

– Chodzi o to, że hibernacja to bardzo ryzykowna strategia. Obserwujemy ją tylko, gdy warunki są tak złe, że inne strategie przetrwania nie mają szans. Na przykład niedźwiedzie to drapieżniki na szczycie łańcucha pokarmowego. Ale w zimie nie ma dość żywności, żeby mogły się utrzymać. Albo żaby z rodziny *scaphiopodidae* na pustyniach. W suchych okresach ich jaja by po prostu wyschły, więc dorosłe osobniki zapadają w hibernację do czasu deszczu, a kiedy się budzą, wychodzą do kałuż i dziko kopulują, robiąc szalone kałużowe orgie, które... uch, w każdym razie potem, potem składają jaja w wodzie, zanim ta znowu zdąży wyschnąć.

– No dobrze – rzucił Holden.

– Chodzi o to – mówiła dalej Elvi – że nie wszystkie się budzą. Nie muszą. Jeśli tylko dość organizmów ulegnie ożywieniu w sprzyjających warunkach, przeżyje dość populacji, nawet jeśli nie wszystkie osobniki. To nigdy nie jest sto procent. A wyłączenie funkcji i ponowna aktywacja jest skomplikowanym, niebezpiecznym procesem.

Holden głęboko wciągnął powietrze i przesunął palcami przez

włosy. Miał gęste, ciemne włosy. Wyglądało, że już jakiś czas ich nie mył. Amos przegrał z pasjensem, zebrał karty i zaczął je tasować powolnymi, wyćwiczonymi ruchami.

– Czyli – odezwał się Holden – uważa pani, że te... rzeczy, które widzimy, to artefakty albo organizmy czy cokolwiek, co próbuje się obudzić?

– I zawodzi. Przynajmniej czasami – potwierdziła. – To znaczy, księżyc się stopił. A to coś na pustyni było wyraźnie zepsute. A przynajmniej tak to dla mnie wyglądało.

– Dla mnie też – zgodził się Holden. – Ale choćby dlatego, że się ruszało, to tak jakby wiedzieliśmy, że te rzeczy się budzą.

– Nie, nie o to chodzi – odparła Elvi. – Zawsze będzie niewielki odsetek organizmów, które się nie obudzą lub po obudzeniu będą uszkodzone. Te rzeczy? Jeśli to przebiega zgodnie z modelem, to są właśnie te uszkodzone.

– Jak na razie nadażam – powiedział Holden.

– Odsetek niepowodzeń jest zwykle niski. W takim razie dlaczego nie widzimy całego stada rzeczy budzących się *prawidłowo*?

Holden podszedł do stołu i usiadł na jego brzegu. Wyglądał na wystraszonego. Wrażliwego. Dziwne było oglądać tak bezbronne wyglądającego człowieka, który zrobił tak wiele, który stał się znany w całej cywilizacji dzięki słowom i czynom.

– Czyli uważa pani, że tych rzeczy jest więcej, może nawet dużo więcej, i aktywują się tak, że tego nie widzimy?

– To pasowałyby do modelu – potwierdziła.

– Dobrze – powiedział. – To wcale nie poprawia mojego dnia – dodał po chwili.

Rozdział dwudziesty piąty

BASIA

Siedział samotnie na mostku *Rosynanta*. Był przypięty do pryczy przeciążeniowej obok konsoli, która podobno zarządzała łącznością. Elementy sterujące w uśpieniu czekały na kogoś, kto zażąda połączenia, okazjonalnie błyskając na ekranie komunikatami o stanie systemu w formie niezrozumiałej mieszanki akronimów, nazw układów i liczb. Tekst wyświetlany był łagodnie zieloną czcionką, przez co Basia nie sądził, żeby były szczególnie pilne.

Aleks siedział w kokpicie za zamkniętym włazem. Co nic nie znaczyło. Włazy zamykały się automatycznie, odcinając od siebie pokłady na wypadek utraty powietrza. Zwykłe zabezpieczenie, nic więcej.

Mimo wszystko czuł się jak zamknięty w więzieniu.

Panel wystraszył go nagłym szumem, po którym zabrzmiał głos. Głośność była ustawiona na takim poziomie, że Basia zorientował się, że to rozmowa dwóch mężczyzn, ale nie rozumiał słów. W rogu ekranu pojawił się czerwony status NAGRYWANIE. *Rosynant* monitorował i nagrywał wszystkie transmisje radiowe wokół Ilusa. Może Holden robił to celowo, żeby mieć dokumentację swojej misji po powrocie na Ziemię. A może okręt wojenny robił to domyślnie. Nie było to coś, czym musiał się przejmować spawacz. Albo górnik. Czy kimkolwiek był z Coopem i Cate.

Basia zaczął rozglądać się za sposobem zwiększenia głośności i posłuchania rozmowy, gdy z panelu zagrzemiał głos Aleksa.

– Mamy rozmowę przechodzącą.

– Dobrze – odpowiedział Basia, nie mając pewności, czy pilot go słyszy.

Nie wiedział, czy musi nacisnąć jakiś przycisk, żeby

odpowiedzieć.

Komunikat na panelu łączności uległ zmianie, a męski głos powiedział:

– Niczego nie musisz robić.

Przez chwilę Basia miał irracjonalne wrażenie, że mówiąca osoba odczytała jego myśli. Właśnie chciał odpowiedzieć, gdy zabrzmiał inny, młodszy głos.

– Po prostu mówić? Jacek. – Drugi głos należał do Jacka.

A teraz Basia rozpoznał też pierwszy, jako należący do Amosa Burtona. Człowieka, który pilnował go na lądowisku.

– Tak – potwierdził Amos. – Otworzyłem połączenie z *Rosem*.

– Halo? – powiedział Jacek.

– Cześć, synu – odpowiedział Basia przez nagle ściśnięte gardło.

– Zrobili coś, że nasz ręczny terminal znowu działa – wyjaśnił Jacek.

Basia domyślił się, że miał na myśli Holdena i Amosa.

– Tak? – odpowiedział. – To świetnie.

– Łączy się tylko ze statkiem – wyjaśnił Jacek młodzieńczym głosem pełnym podniecenia. – Nie odtwarza filmów ani niczego, jak kiedyś.

– No cóż, może to też będą później mogli zrobić.

– Powiedzieli, że kiedyś będziemy w sieci, jak wszyscy w Układzie Słonecznym. Wtedy będziemy mogli robić wszystko.

– To prawda – potwierdził Basia. W jego oczach zbierały się łzy, utrudniając przeczytanie wyświetlanych na ekranie komunikatów. – Ściągniemy przekaźnik i będziemy mogli przesyłać dane w obie strony przez wrota. Wtedy wszystko będzie podpięte do sieci. Choć i tak będzie mnóstwo opóźnień.

– Właśnie – potwierdził Jacek i urwał. Na dłuższą chwilę zapadła cisza. – Jak wygląda statek?

– Och, jest świetny – odpowiedział Basia z wymuszonym entuzjazmem. – Mam własny pokój i wszystko. Poznałem Aleksa Kamala. To bardzo znany pilot.

– Jesteś w więzieniu? – zapytał Jacek.

– Nie, skąd. Na statku mogę chodzić wszędzie, gdzie chcę. Są bardzo mili. To dobrzy ludzie. – *Kocham cię. Tak mi przykro.*

Proszę, proszę, niech nic ci nie będzie.

- Pozwalają ci nim latać?

- Nie prosiłem - odpowiedział ze śmiechem Basia. - Choć bałbym się. Jest duży i szybki. I ma mnóstwo broni.

- Powinieneś polecieć nim i zniszczyć statek RCE - oświadczył Jacek po dłuższej chwili milczenia.

- Nie mogę tego zrobić. - Basia postarał się przekazać tonem jak najszerszy uśmiech, zmienić to w żart.

- Ale powinieneś.

- Jak trzyma się mama?

- W porządku - zapewnił Jacek. Basia prawie usłyszał w jego głosie wzruszenie ramion. - Jest smutna. Zacząłem więcej grać w piłkę. Jest nas dość na dwie drużyny, ale często wymieniamy się graczami.

- Tak? Na jakiej pozycji teraz grasz?

- Teraz jestem obrońcą, ale chcę zostać napastnikiem.

- Hej, obrona jest bardzo ważna. To ważna rola.

- Ale nie tak fajna - stwierdził Jacek, znowu ze słyszalnym wzruszeniem ramion. Przez chwilę panowała cisza, podczas której obaj szukali czegoś do powiedzenia. Czegoś, co można było powiedzieć. Jacek poddał się pierwszy. - Pójdę już, dobrze?

- Hej, poczekaj chwilę - odpowiedział Basia, starając się, by ściśnięte gardło nie zmieniło jego głosu. Próbował utrzymać lekki, radosny ton. - Jeszcze nie uciekaj. Muszę cię o coś zapytać.

- Mam grę - rzucił Jacek. - Już niedługo. Wkurzą się.

- Twoja mama - powiedział Basia, a potem urwał, żeby wysmarkać nos w rękaw koszuli.

- Co z mamą?

- Mama będzie za dużo pracować, jeśli nie będziesz na nią uważał. W nocy zajmuje się szukaniem rzeczy. Medycznych. I za mało sypia. Musisz dopilnować, żeby sypiała.

- Dobra.

- Mówię poważnie, chłopcze. Musisz się nią zaopiekować. Twojej siostry nie ma i to w porządku, ale przez to tylko ty zostałeś do pomocy. Pomożesz mi w tym?

- W porządku - rzucił Jacek.

Basia nie potrafił stwierdzić, czy chłopak jest smutny czy zły. Albo nie zwraca uwagi.

- Do zobaczenia, synu – powiedział Basia.
- Do zobaczenia, tatusiu – odpowiedział Jacek.
- Kocham cię – dodał Basia, ale sygnał już zgasł.

Basia wytarł oczy rękawem koszuli. Unosił się przytrzymywany pasami, oddychając głęboko i nierówno przez pełną minutę, a potem odpiął pasy i pchnął się do drabiny załogowej. Ruszył w stronę rufy, z włazami pokładowymi otwierającymi się przed nim i zatrzaszkującymi po przelocie, ich dźwięki odbijały się echem w pustym statku.

W swojej kabinie zmienił koszulę, a potem spędził kilka minut w łazience na myciu twarzy wilgotnymi ręcznikami. Mieli dużą jednostkę prysznicową – nie pamiętał, kiedy ostatni raz brał prawdziwy prysznic – ale działała tylko, gdy statek leciał z ciągiem.

Gdy nie wyglądał już jak człowiek po bójce, poszybował z powrotem wzdłuż drabiny do kokpitu. Zastanawiał się właśnie, czy powinien zapukać przed wejściem, gdy przedryfował zbyt blisko elektronicznego czujnika i właz otworzył się z sykiem.

Aleks siedział przypięty do fotela pilota z dużym ekranem tuż przed nim, wyświetlającym informacje o stanie statku i obraz Ilusa, z wielkim kontynentem upstrzonym żółtymi i czerwonymi znacznikami. Oraz jedną zieloną kropką oznaczającą Pierwsze Lądowanie. Pilot krzywił się do ekranu, jakby mógł siłą woli zmusić do czegoś wszechświat. Jakby mógł w ten sposób zmusić go do oddania załogi.

Basia odwrócił się do wyjścia, gdy właz pokładowy głośno się zatrzasnął i Aleks spojrzał w jego stronę.

- Hej – odezwał się i wstukał coś na panelu.
- Cześć – odpowiedział Basia.
- Jak się udała rozmowa? Wszystko w porządku?
- Dobrze. Dziękuję za możliwość skorzystania z radia.
- To nie jest żaden problem, partnerze – odpowiedział Aleks ze śmiechem. – Nie liczą nam od godziny.

Zapadła niezręczna cisza, a Aleks, naciskając jakieś przyciski na

konsoli, udał, że jej nie zauważa.

– Wolno mi tu wchodzić? – zapytał w końcu Basia.

– Nie mam nic przeciwko – odpowiedział Aleks. – Tylko, no wiesz, nie grzeb w niczym.

Basia przeciągnął się do fotela za Alekssem i przypiął się. Poręcze fotela kończyły się skomplikowanymi dżojstikami, więc Basia uważał, by ich nie ruszać.

– To fotel działonowego – wyjaśnił Aleks, obracając cały fotel w stronę Basi.

– Nie powinienem...

– Nie, w porządku. Nie jest aktywny. Możesz naciskać wszystkie przyciski. Hej, chcesz zobaczyć coś fajnego?

Basia przytaknął i oparł dłonie o dżojstiki. Pełno było na nich przycisków. Fotel działonowego. Te dżojstiki mogą sterować zabójczą bronią *Rosynanta*. Chciałby, żeby Jacek mógł go tu zobaczyć, trzymającego stery.

Aleks odwrócił fotel i zrobił coś z własnym panelem, a ekran przed Basią obudził się do życia z widokiem identycznym jak u Aleksa. Basia popatrzył na jasny półksiężyc planety, próbując odszukać lokalizację Pierwszego Lądowania. Bez zielonego znacznika było to niemożliwe w świetle dziennym. Gdyby byli nad nocną stroną, mógłby wypatrzeć osiedle dzięki światłom.

Aleks zrobił coś jeszcze i na ekranie pojawiła się ciemnoczerwona kula stopionej skały.

– To stapiający się księżyc. Nie był wielki, ale i tak człowiek się zastanawia, co mogło stopić tej wielkości kawał skały.

– Wiemy?

– Cholera, nie. Osobiście przypuszczam, że jakieś syfy protomolekuły obcych.

Zanim Basia zdążył poprosić o więcej informacji, odezwało się radio.

– Aleks – zgłosił się pilot.

– Chłopak poszedł, chciałem sprawdzić status – zabrzmiał głos Amosa.

– Jak sobie radzi kapitan? – zapytał Aleks.

– Nie najlepiej. I znowu powstrzymał mnie przed zrobieniem

tego, co oczywiste.

– Zastrzeleniem szefa RCE?

– Ach – odpowiedział Amos. – Robi mi się ciepło na sercu, gdy widzę, jak dobrze mnie znasz.

– Oni ją mają, stary – powiedział Aleks łagodnym, ale pewnym głosem. – Nie rób niczego, co pogorszy sytuację.

– Jasne, jasne.

– Pilnuj tam po prostu tyłka kapitana – mówił dalej Aleks. – Ja się zajmę naszą pierwszą.

– A jeśli ją skrzywdzą?

– Wtedy przez rok na Ilusie będą spadać części RCE.

– To nie pomoże – przyznał Amos, wzdychając.

– Nie – zgodził się Aleks. – Nie pomoże. Ale i tak to zrobię.

– No dobra. Pójdę poszukać kapitana. Rozłączam się.

Aleks stuknął w konsolę, a widok zawirował, oddalając się od planety. Przez chwilę na ekranie nie było niczego, potem drobny błysk światła, nie więcej niż pojedynczy piksel. Światło powiększało się, aż stało się wielkim statkiem pomalowanym w barwy RCE. Po chwili widok znowu się powiększył, obejmując rufę jednostki tak, że wypełniła cały ekran, z małym czerwonym celownikiem jarzącym się na środku.

– Mam na ciebie oko – rzucił cicho Aleks.

– Co to? – zapytał Basia, wskazując na krzyżyk.

– Tam znajduje się reaktor. *Ros* namierzył i zablokował to miejsce. Mogę posłać pocisk z działa Gaussa prosto w jego serce szybciej, niż zabrzmie pierwszy alarm.

– Czy to... no wiesz... – Wykonał rękami gest naśladujący wybuch.

– Nie, tylko go opróżni. I pewnie zabije mnóstwo ludzi w maszynowni.

– Wiedzą, że w nich celujesz?

– Nie, ale właśnie zamierzam ich poinformować. W ten sposób moja pierwsza zostanie przy życiu.

– To miło, że możesz zrobić coś, żeby ją chronić – powiedział Basia i chciał na tym poprzestać, ale słowa same cisnęły mu się na usta. – Moja córka jest na *Barbapiccoli*. A żona i syn w dole, na

Ilusie. Ja nie mogę zrobić niczego, żeby zapewnić im bezpieczeństwo.

Basia czekał na puste słowa pocieszenia.

– Tak – odezwał się Aleks. – Naprawdę poważnie to spieprzyłeś, co?

Aleks wystukał coś na ekranie, a na obrazie *Edwarda Israela* na chwilę rozjarzył się komunikat DZIAŁO SZYNOWE UZBROJONE.

– Muszę za chwilę zadzwonić na ten statek – rzucił Aleks.

– Ostrzec ich?

– Raczej zagrozić – skorygował pilot. – To strasznie gówniana rzecz, jaką można zaoferować kochanej osobie, ale tylko to nam zostało. – Wyciągnął rękę i poruszył czymś na ścianie, a z kratki wentylacyjnej poleciał strumień chłodnego powietrza. Poruszył rzednącymi czarnymi włosami pilota i wysuszył pot gromadzący się na jego głowie. Zamknął oczy i westchnął.

– Ja nie mam nawet gróźb – przyznał Basia. Nawet dla niego zabrzmiało to jak skarżenie się. – Nie mam nawet tego.

– Owszem. Wiesz, latałem dla floty marsjańskiej przez dwadzieścia lat – odezwał się Aleks z wciąż zamkniętymi oczami.

– O! – zareagował Basia.

Nie był pewien, czy to właściwa odpowiedź.

– Byłem żonaty – kontynuował Aleks, poruszając głową, żeby chłodne powietrze owiewało jego twarz i kark ze wszystkich stron.

Basia nie odpowiedział. Miał wrażenie, że to element opowieści, nie rozmowy. Aleks ją przedstawi albo nie.

– Szczerze mówiąc, życie żony żołnierza jest dość gówniane – powiedział Aleks po kilku chwilach. – Typowa tura na łajbie FMRK może trwać od dziewięćdziesięciu do czterystu albo nawet pięciuset dni. W zależności od SW i lokalizacji floty.

– SW? – zapytał Basia, zanim zdołał się powstrzymać.

– Twojej pracy. W każdym razie, kiedy ty siedzisz na łajbie, twoja partnerka siedzi w domu i robi to, co zwykle. Mnóstwo ludzi zawiera związki poligamiczne, partnerstwa grupowe, takie rzeczy. Ale ja jestem facetem jednej kobiety, a ona chyba była kobietą jednego mężczyzny. Zrobiliśmy to w staromodny sposób.

Basia przytaknęła, choć Aleks nie mógł zobaczyć jego gestu. Kiedy budowali nowe kopuły, Basia wykonywał pracę, która wymagała od niego pozostawania w obozie na powierzchni przez cztery do pięciu dni non stop. Praktyka medyczna żony nie pozwalała jej z nim podróżować, nawet gdyby nie mieli dzieci. To były bardzo długie tygodnie. Basia spróbował sobie wyobrazić połączenie dziesięciu albo dwudziestu takich tygodni, lecz wyobrażenia go zawiodła.

– To jednak oznaczało, że ona siedziała w domu, gdy ja latałem – odezwał się Aleks znowu po chwili ciszy. – Miała swoją pracę. Pisała oprogramowania. Była w tym dobra, więc to nie tak, że dla mnie siedziała w domu. Jednak mimo wszystko, jeśli kogoś kochasz, chcesz z nim być, a my się kochaliśmy. Byliśmy sobie wierni, jeśli możesz to sobie wyobrazić. Moje tury były trudne dla nas obojga. Gdy tylko wracałem do domu, nie wychodziliśmy z łóżka.

Aleks wyciągnął rękę i przytknął kratkę wentylatora, a potem obrócił fotel w stronę Basi. Na jego szerokiej ciemnej twarzy rysował się smutny uśmiech.

– To była gówniana sytuacja, ale ona trzymała się mnie. Była ze mną przez dwadzieścia lat lotów na statkach. A kiedy byłem w porcie, wszystko dobrze się układało. Pracowała z domu, a ja brałem dużo urlopów, budziliśmy się późno i razem robiliśmy śniadania. Pracowaliśmy w ogrodzie.

Aleks znowu zamknął oczy i przez chwilę Basia myślał, że może usnąć.

– Byłeś kiedyś na Marsie?

– Nie – przyznał Basia. – Ale moja żona była.

– Te nowsze obszary, zbudowane, kiedy już mieliśmy jakieś pojęcie na temat tego, czego ludzie potrzebują do szczęścia, zbudowano inaczej. Żadnych więcej wąskich, kamiennych korytarzy. Budowali szerokie przejścia z mnóstwem miejsca na rośliny pośrodku.

– Jak na Ceres – zasugerował Basia. – Na Ceres byłem.

– Tak, zgadza się. Na Ceres zrobili tak samo. W każdym razie można było złożyć podanie o pozwolenie na opiekowanie się

kawałkiem tej przestrzeni. Zasadzić tam, co się chciało. Mieliśmy dla siebie kawałek korytarza przed naszymi drzwiami. Moja żona zrobiła z niego ogródek z ziołami, kwiatami i kilkoma krzaczkami z chili. Pracowaliśmy tam.

– Brzmi miło – skomentował Basia.

– Owszem. – Aleks kiwnął głową, nie otwierając oczu. – Wtedy tego nie wiedziałem. Ale naprawdę tak było. W zasadzie, tak szczerze mówiąc sądziłem, że to strasznie upierdliwe. Nigdy nie byłem miłośnikiem ogrodnictwa. Ale ona to lubiła, a ja lubiłem ją i wtedy to wystarczało.

– Umarła? – zapytał Basia.

– Co? O Boże, nie.

– To co się stało?

– Stało się to, że czekała dwadzieścia lat, żebym przeszedł na emeryturę. I zrobiłem to, a wtedy nie musieliśmy już spędzać czasu osobno. Wzięła pracę na pół etatu, ja zatrudniłem się na pół etatu do pilotowania promów orbitalnych. Spędzaliśmy mnóstwo czasu w łóżku.

Aleks otworzył oczy i mrugnął. Wydawał się czekać na reakcję, więc Basia zadał oczywiste pytanie.

– I wtedy?

– I wtedy pewnego dnia zadokowałem do stacji tranzytowej na orbicie Marsa i kiedy rozładowywali mój prom, prawie wszedłem do biura rekrutacyjnego FMRK i znowu się zapisałem.

– Biorą...

– Nie, nie zrobiłem tego, i owszem, i tak byłem już za stary. Ale kiedy wylądowałem, bardzo pokłóciliśmy się o coś głupiego. Nawet nie pamiętam, co to było. Cholera, wtedy nawet nie wiedziałem, o co się kłócimy, choć tak naprawdę wiedziałem.

– O odejście.

– Nie, właściwie to nigdy nie chodziło o odejście od niej. Nigdy nie przestałem chcieć z nią być. Ale potrzebowałem latania. Czekala na mnie dwadzieścia lat i zrobiła to, sądząc, że kiedy skończę, będziemy mieć dla siebie cały czas świata. Odsłużyła swoją turę, prawie jak ja, i zasłużyła na to, co czekało po niej.

Basia odczuł następne słowa jak uderzenie w żołądek, nie

potrafił przestać porównywać ich ze swoją sytuacją.

– Ale i tak odszedłeś.

Aleks przez jakiś czas nie odpowiadał, nie ruszał się, po prostu unosił się w pasach fotela pilota jak trup pod wodą. Kiedy znów się odezwał, jego głos był wysilony i cichy, jak u człowieka przyznającego się do czegoś wstydliwego. Mającego nadzieję, że nikt nie usłyszy.

– Któregoś dnia wyszedłem do pracy w biurze tranzytowym, a potem przeszedłem przez ulicę do biura Pur'n'Kleen Water Company i podpisałem pięcioletni kontrakt na loty frachtowcami na Saturna i z powrotem. Tym właśnie jestem. Nie jestem ogrodnikiem, pilotem promowym albo – jak się okazuje – mężem. Jestem pilotem statków dalekiego zasięgu. Przepychanie małej metalowej bańki z powietrzem przez ocean pustki to coś, do czego się urodziłem.

– Nie możesz się obwiniać za to, co się stało – zaczął Basia.

– Nie – powstrzymał go Aleks, na którego czole pojawiła się głęboka zmarszczka. – Człowiek może zawieść ludzi, których kocha, po prostu będąc tym, kim jest. Jestem, kim jestem, okazało się, że nie tym, kim chciała moja żona, więc ktoś musiał ustąpić. Zdecydowałeś się zrobić to, co zrobiłeś tam na planecie, a to doprowadziło cię tutaj. Jesteś tu ze mną, a nie z rodziną na dole.

Aleks nachylił się do przodu i złapał dłońe Basi.

– To wciąż twoja wina. Ja nigdy nie będę osobą, której moja żona potrzebowała po dwudziestu latach czekania na mnie. Nigdy nie zdołam tego naprawić. Nie użalaj się nad sobą. Spieprzyłeś. Zawiodłeś ludzi, których kochasz. *W tej chwili* płacą za to cenę, a ty to umniejszasz przez każdą sekundę, przez którą nie chcesz przyjąć tego do wiadomości.

Basia szarpnęła się, jakby uderzono go w twarz. Odbił się od fotela i poleciał z powrotem na taśmy. Jak mucha w pajęczej sieci. Musiał się powstrzymać przed szarpaniem za pasy, żeby się uwolnić.

– I co dalej? – zapytał, gdy już przestał się rzucać wewnątrz.

– Cholera – odpowiedział Aleks, odchylając się. – Ledwie mam pojęcie, co zrobić z moim bajzłem. Nie każ mi kombinować, co

zrobić z twoim.

- Jak miała na imię? - zapytał Basia.

- Talissa. Ona ma na imię Talissa. Samo wypowiedzenie jej imienia sprawia, że czuję się jak dziesięć kilo łąjna w pięciokilowym worku.

- Talissa - powtórzył Basia.

- Ale jedno mogę ci powiedzieć. Nigdy więcej nie pozwolę sobie zawieść kogoś, na kim mi zależy. Nigdy więcej. Jeśli tylko będzie to w mojej mocy. A skoro o tym mowa, muszę zadzwonić - powiedział z szerokim, groźnym uśmiechem.

Rozdział dwudziesty szósty

HAVELOCK

Trudno było stwierdzić, co dokładnie zmieniło się na *Edwardzie Israelu* po schwytaniu sabotażystki, ale Havelock czuł to w kantynie i na siłowni, przy biurku podczas pracy i w korytarzach, gdy mijali go członkowie załogi i pracownicy RCE. Część z tego było strachem, że ktoś podjął bezpośrednie działania przeciw statkowi, część podnieceniem, że po miesiącach unoszenia się i frustracji zdarzyło się coś – *cokolwiek* – nie na poziomie planety. Jednak przede wszystkim miał wrażenie, że nastrój na statku się wyklarował. Byli załogą *Edwarda Israela*, prawowitymi badaczami Nowej Ziemi, a wszyscy inni byli przeciw nim. Nie można było ufać nawet mediatorom ONZ. A przez to, o dziwo, zrobili się wolni.

Pozostała załoga *Rosynanta* nie robiła niczego, by zmienić ich zdanie.

– Jeśli spróbujecie odlecieć – powiedział mężczyzna na ekranie – wasz statek zostanie uszkodzony.

Nazywał się Aleks Kamal i pełnił obowiązki kapitana *Rosynanta*. Jeśli dane wywiadowcze RCE były dokładne, był też jedynym pozostałym na pokładzie członkiem załogi korwety i miał ze sobą na pokładzie terrorystę dzikich lokatorów, czekającego na transport na Ziemię w celu postawienia go przed sądem. Havelock złożył ramiona na piersi i pokręcił głową, słuchając listy gróźb.

– Jeśli dowiemy się, że Naomi Nagacie stała się jakakolwiek krzywda, wasz statek zostanie uszkodzony. Jeśli będzie torturowana, statek zostanie uszkodzony. Jeśli zginie, wasz statek zostanie zniszczony.

– To wręcz urocze – skomentował kapitan Marwick. – Pamięta pan, że rozmawialiśmy o tym, żeby nikt nie chciał zniszczyć

mojego statku?

- To tylko słowa - powiedział Havelock przy trwającej wyliczance Kamala.

- Wysłaliśmy już petycję do Organizacji Narodów Zjednoczonych i Royal Charter Energy, żądając natychmiastowego i bezwarunkowego zwolnienia Naomi Nagaty. Do czasu uzyskania odpowiedzi na petycję i jej powrotu na *Rosynanta* zalecam personelowi *Edwarda Israela* i pracownikom RCE dołożyć wszelkich starań, by uniknąć dalszej eskalacji tej sytuacji. Ta wiadomość jest ostatnim słownym ostrzeżeniem przed podjęciem wymienionych w niej działań. Kopia tej wiadomości została dołączona do pakietu wysłanego do ONZ i zarządu korporacji RCE. Dziękuję.

Łysiejący mężczyzna o okrągłej twarzy jeszcze chwilę patrzył w kamerę, potem odwrócił wzrok i znowu spojrzął centralnie przed zakończeniem nagrania. Marwick westchnął.

- Nie jest to najbardziej profesjonalne nagranie - skomentował - ale powiedziałbym, że skutecznie przekazał, co chciał powiedzieć.

- Wystarczy, że kichniemy, a strzeli - podsumował Havelock. - Ba, niech tylko wyglądamy jakbyśmy mieli kichnąć, a strzeli. Mamy dopilnować, żeby jego główna inżynier nie złapała kataru, bo do nas strzeli. Dać jej ciepły kocyk na noc i kubek mleka, bo do nas strzeli.

- Brzmiało to trochę monotennie, prawda? - powiedział Marwick.

Havelock rozejrzał się po kabinie. Kajuta kapitana była mniejsza od komisariatu ochrony, ale na bokach i u góry ścian zainstalowano stalowe lustra, dzięki czemu wydawała się dużo większa. Oczywiście, było to tylko złudzenie, ale w rodzaju tych, które mogły oznaczać różnicę między szaleństwem a zdrowymi zmysłami w ciągu kilku lat spędzonych w ciasnej przestrzeni. Ekran ścienny błysnął i przełączył się na widok gwiazd. Nie tych prawdziwych na zewnątrz, a z Układu Słonecznego. Widok starych konstelacji był dezorientujący.

- Kto to widział? - zapytał Havelock.

– Wysłał to do mnie i Murtry’ego – powiedział Marwick. – Nie wiem, komu pokazał Murtry, ale ja tylko panu.

– Dobrze – pochwalił Havelock. – Co pan chce, żebym z tym zrobił?

– Chcę? Chcę, żeby uwolnił pan tę babkę i wysłał ją do domu po ostrej naganie – przyznał Marwick. – A potem chcę z powrotem włączyć silniki mojego statku i polecieć w diabły do domu, zgodnie z kontraktem. Oczekuję natomiast od pana, żeby dowiedział się pan, czy to faktycznie tylko słowa czy też mój statek może zostać ostrzelany.

– Mają broń.

– Doskonale zdaję sobie z tego sprawę. Ale czy mają wolę i umiejętności, by z niej skorzystać? Pytam tylko dlatego, że zagrożone jest życie mojej załogi, a od tego robię się trochę nerwowy.

– Rozumiem – zapewnił Havelock.

– Doprawdy?

– Tak. I dowiem się, ile zdołam. Ale na razie przyjmijmy, że mówi poważnie.

– Tak. – Marwick przeczesał włosy dłonią. Westchnął. – Kiedy podpisywałem kontrakt, myślałem, że czeka mnie wspaniała przygoda. Pierwsza obca planeta. Żadnych stacji ani statków ratunkowych, jeśli coś się spieprzy. Cały nowy układ pełen jeden Bóg wie czego. A zamiast tego mam to bagno.

– Całkowicie się z panem zgadzam, sir – zapewnił Havelock.

Jego paintballowa milicja, rozochocona schwytaniem, domagała się natychmiastowego działania. Mieli służbę awaryjną, a orbita *Rosynanta* ewidentnie zbliżyła go dostatecznie, by się tam dostać. Nalegali, by polecieć od razu, przejąc *Rosynanta*, gdy się tego nie spodziewa i mieć z głowy cały ten problem. Havelocka trochę kusiło. I może by się zgodził, gdyby nie widział, co działka obrony punktowej mogą zrobić z ludzkim ciałem.

Zamiast tego wyłączyli zasilanie skafandra pojmanej kobiety i zaciągnęli ją na *Israela*, zanim się udusiła. Od tamtej pory siedziała w celi dla pijaków w biurze Havelocka. Ze względu na liczebność ochrony niesięgającą nawet bazowej wartości, dał

więźniarce dostęp do panelu sterowania ekranem prywatności. Nie miał dość kobiet, żeby jedną z nich na stałe postawić na straży.

Właściwie, gdy wrócił do swojego biura, było puste, poza siedzącą w celi Nagatą.

Obejrzała się, witając go lekkim uniesieniem podbródka. Miała na sobie czerwony kombinezon z papieru, a jej włosy unosiły się wokół głowy jak czarna gwiazda. Procedura postępowania z pojmanymi więźniami nie pozwalała na zostawienie jej gumki, terminala ręcznego ani nawet własnego ubrania. Siedziała w celi już prawie dwa dni. Havelock wiedział z doświadczenia, że sam do tej pory zacząłby już wariować z klaustrofobii. Ona natomiast przełączyła się z trybu „zawstydzenie” na tryb „pogrążenie się we własnych myślach”. Przypuszczał, że to coś pasiarzkiego. Kilka pokoleń mieszkania bez nieba sprawiło, że zamknięte przestrzenie straciły dla Pasiarzy atawistyczną groźbę przedwczesnego pogrzebania.

Podleciał do niej przez pokój.

– Nagata – odezwał się. – Mam do ciebie kilka pytań.

– Nie mam prawa do adwokata albo przedstawiciela związku? – zapytała tonem jasno sugerującym, że przynajmniej częściowo żartuje.

– Masz – przyznał Havelock. – Ale miałem nadzieję, że pomożesz mi z dobroci serca.

Jej śmiech był ostry, krótki i nieszczerzy. Wywołał na ręcznym terminalu plik wideo i ustawił urządzenie unoszące się tuż przed stalową siatką drzwi celi.

– Nazywam się Aleks Kamal i pełnię obowiązki kapitana *Rosynanta*. W świetle ostatnich zdarzeń...

Havelock przesunął się z powrotem do biurka i przypiął do pryczy kierowany bardziej przyzwyczajeniem niż realną potrzebą. Przyglądał się twarzy Naomi, nie gapiąc się na nią. Miała doskonałą pokerową twarz. Trudno było stwierdzić, czy czuła cokolwiek, oglądając, jak jej wieloletni towarzysz grozi im wszystkim w jej imieniu. Kiedy nagranie się skończyło, sięgnął i przyciągnął terminal z powrotem do siebie.

– Nie rozumiem, do czego mnie potrzebujesz – powiedziała. – Mówił prostymi zdaniami.

– Zabawna jesteś. Moje pytanie brzmi tak: Czy naprawdę pozwolisz kumplom zmienić się w kryminalistów i morderców, żeby opóźnić osądzenie cię za twoje przestępstwa?

Jej uśmiech mógł znaczyć cokolwiek, ale miał wrażenie, że czegoś dotknął. Albo do czegoś się zbliżył.

– Mam wrażenie, że mnie o coś prosisz, przyjacielu, ale nie do końca wiem, o co konkretnie.

– Powiesz *Rosynantowi*, żeby odpuścił? – zapytał Havelock. – W niczym ci to nie zaszkodzi. I tak cię nie wypuścimy. A jeśli będziesz współpracować, to będzie przemawiać na twoją korzyść po powrocie na Ziemię.

– Mogłabym, ale to nic nie da. Nie latałeś z tymi ludźmi. Kiedy to oglądasz, słyszysz litanię gróźb, prawda?

– A co ty słyszysz?

– Aleks mówi, jak będzie – stwierdziła Naomi. – To wszystko, co powiedział? To teraz aksjomaty.

– Przykro mi to słyszeć – powiedział Havelock. – Mimo wszystko, gdybyś nagrała coś, co zapewniłoby go, że jesteś w dobrym stanie i dobrze cię traktujemy, byłoby to pomocne.

Przesunęła się, a drobne prądy powietrzne i ciągły dryf w nieważkości doprowadziły ją z powrotem pod dalszą ścianę celi. Dotknęła jej delikatnie, unieruchamiając się.

– Problemem nie jest Aleks – powiedziała. – Powiem ci trochę na temat Jima Holdena.

– Dobrze – zgodził się Havelock.

– To dobry człowiek, ale nie jest mu łatwo zmienić kurs. W tej chwili w jego głowie ścierają się dwie idee. Z jednej strony został tu wysłany, żeby doprowadzić do zawarcia pokoju i bardzo chce to zrobić. Z drugiej strony, chroni swoich.

– Swoją kobietę?

– Swoją załogę. – W słowach Naomi pojawił się lekki jad. – Będzie potrzebował chwili, żeby zdecydować się porzucić to, co obiecał zrobić i po prostu wyrzucić stół.

Zadzwoił ręczny terminal Havelocka. Było to przypomnienie

o konieczności przeglądu harmonogramów na następny tydzień. Nawet w głębi kryzysu drobne zadania biurowe wymagały swojej doli. Wywołał siatkę planowania.

– Ale sądzisz, że to zrobi – powiedział.

– Ma ze sobą Amosa – stwierdziła Naomi, jakby to wszystko tłumaczyło. – A wtedy zaatakują statek i mnie wydostaną.

Havelock się roześmiał.

– Nie jest nas tu wielu, ale nie bardzo widzę, jak mogą się spodziewać dostać do pani.

– Mówi pan o człowieku, który wydostał mnóstwo ludzi z Ganimesesa, gdy wciąż prowadzono tam działania wojenne – przypomniała Naomi. – A potem sam poleciał na stację obcych w *Medynie*. I sam zniszczył Agathę King, gdy na pokładzie okrętu było dwa tysiące protomolekularnych zombie. Wywalczył sobie drogę ucieczki z pierwszego zakażenia na Erosie.

– Leci, gdzie się anioł zbliżyć lęka³ – rzucił Havelock.

– I to skutecznie. Nie potrafiłabym zliczyć, ile razy żegnałam się z nim po raz ostatni, a on zawsze wracał.

– Wygląda na trudnego chłopaka – skomentował Havelock.

– Faktycznie, taki jest – przyznała ze śmiechem. – Ale jest tego wart.

– Dlaczego?

– Bo robi to, czego się podejmie – wyjaśniła. – A jeśli powie, że mnie wyciągnie z tej celi, to albo zginie, albo to zrobi.

Miała przy tym spokojny wyraz twarzy i mówiła rzeczowym tonem. Nie chwaliła się. Jeśli już, to uznał, że w jej głosie słyszy cień obawy. Zaniepokoiło go to bardziej niż lista gróźb PO kapitana.

Zamknął siatkę harmonogramu i przez chwilę wpatrywał się w swój terminal. Na powierzchni było popołudnie, trochę za połową jednego z długich, piętnastogodzinnych dni.

– Przepraszam – powiedział do więźniarki. – Muszę zadzwonić.

Wcisnął kciukiem ekran prywatności i stalowa siatka klatki nabrała perłowej nieprzejrzystości. Poprosił o połączenie z Murtrym i po kilku sekundach na ekranie pojawił się jego szef.

³ Tłum. Jacek Przybylski.

Jego skóra pociemniała od słońca, a niewielki strupek na jego czole wyglądał prawie jak znak kastowy. Kiwnął głową Havelockowi.

– Co mogę dla ciebie zrobić? – odezwał się Murtry.

– Chciałem się skontaktować w sprawie więźniarki – wyjaśnił Havelock. – Skonsultować strategię.

– Widziałeś atak hysterii pilota, co?

– Wie pan, szefie, to wszystko, co mówił pan wcześniej o tym, jak to mają największy kaliber i jeśli będą chcieli nas zestrzelić, to mogą to zrobić? To nadal prawda.

W tle rozmowy trzasnęły drzwi, a Murtry podniósł wzrok, kiwnął głową i skupił się z powrotem na Havelocku.

– Teraz ten problem jest mniej istotny niż kiedykolwiek. Jak długo na statku mamy jedną z nich, nie strzelą.

– Nie?

– Będzie to znacznie mniej prawdopodobne – poprawił się Murtry.

– A jaki mamy plan, jeśli RCE każe nam ją zwolnić? – zapytał Havelock. – Może warto wypuścić ją wcześniej. Wyjść na czoło, zyskać trochę dobrej woli.

– Wyszliśmy już daleko poza dobrą wolę.

– Po prostu nie jestem pewien, czy mamy prawo ją przetrzymywać, a jeśli...

– Czy ty siedzisz w jej areszcie?

Havelock zamrugał.

– Słucham?

– Czy ty siedzisz w jej areszcie?

– Nie, sir.

– Właśnie. Ona siedzi w twoim. Masz więzienie i pistolet, a to czyni z ciebie szeryfa – stwierdził Murtry. – Jeśli kwaterze głównej nie spodoba się to, co robimy, będziemy się odwoływać od ich decyzji. Jeśli przegramy apelację, mogą tu kogoś przysłać i odbyć spotkanie twarzą w twarz. Ale do tego czasu wszystko to będzie wyglądać do tego stopnia inaczej, że równie dobrze mogą sobie odpuścić. I kwatera główna dobrze o tym wie, Havelock. To, co tu mamy, to bardzo wolna ręka.

– Racja. W porządku. Po prostu chciałem się upewnić.

– Moje drzwi są zawsze otwarte – powiedział Murtry głosem znaczącym, że może Havelock nie powinien mu więcej zwracać głowy głupimi pomysłami.

Połączenie zostało zakończone i Havelock przez kilka sekund wpatrywał się w domyślny ekran, zanim z powrotem wywołał siatkę. Kilka sekund później wyłączył ekran prywatności. Naomi unosiła się w klatce, odpychając się od ściany do ściany jak znudzone dziecko.

– Wasz sprzęt do prywatności jest do bani.

– Serio?

– Serio.

– To znaczy, że słyszałaś?

– „Bardzo wolna ręka” – zacytowała.

– Przepraszam. To miało zostać między mną a nim.

– Wiem, ale wszystko słyszałam. Poważnie, słyszysz, jak tu sikam?

– Tylko, że włącza się odsysanie – przyznał Havelock, czując lekkie zaczerwienienie policzków i ostry wstyd z powodu zawstydzenia. – Jest dość głośne.

– Stare statki – skomentowała.

Wrócił do zarządzania swoim personelem. Przyszedł raport ze zgłoszeniem kradzieży z osobistej szafki jednego ze statkowych mechaników. Przekierował go do kobiety pełniącej służbę. Jak długo sytuacja pozostawała w miarę spokojna, a załoga skupiała się na zagrożeniach z zewnątrz, mógł utrzymać w tym miejscu porządek. Posiadanie wspólnego wroga bardzo pomagało. Nawet wielu wspólnych wrogów. Naomi zaczęła sobie nucić jakąś cichą melodię, którą prawie potrafił rozpoznać. Havelock pozwolił sobie trochę się nią cieszyć. Alternatywą było złoszczenie się.

– On nie był jedyny – odezwał się.

– Słucham? – odpowiedziała Naomi.

– On nie był jedynym, który wydostał się z Erosa podczas zakażenia. Był tam mój stary partner. On też się wydostał. A potem tam wrócił. Kiedy uderzyła w Wenus.

– Chwila. Znałeś Millera?

- Tak – potwierdził Havelock.

- Świat jest mały.

- Był jednym z może sześciu przyzwoitych ludzi pracujących na stacji Ceres, gdy Star Helix miała tam kontrakt. Ostrzegł mnie, żebym odszedł z Protogenu, zanim wszystko wybuchło. Żałowałem, kiedy zginął.

- Będzie mile połączony – powiedziała.

- Nie jesteśmy tu bandytami. RCE nie zaczął tego wszystkiego. Powiedziałaś, że lubisz Holdena, bo zawsze robi to, czego się podejmie? To my. RCE poprosiło o pozwolenie, przygotowało plan i przybyło tu zrobić to, na co wszyscy się zgodzili.

- Nie ludzie z Pierwszego Lądowania. Oni się nie zgodzali.

- Owszem, ponieważ złamali zasady, których my przestrzegaliśmy. Ja po prostu... wiem, jak dziwne i niebezpieczne jest to wszystko, ale zanim twoi kumple zaczną strzelać z działa szynowego w nasz reaktor, chcę, żebyś zrozumiała, że nie jesteśmy tymi złymi.

Z każdym słowem jego głos robił się coraz wyższy i głośniejszy. Przy końcu prawie krzyczał. Mocno złożył dłonie. Zagryzł wargi.

- Jesteś pod presją – skomentowała.

- Owszem – przyznał.

- Wypuść mnie, a wystawię ci dobrą opinię – zaproponowała. – A to powstrzyma Holdena przed zrobieniem czegoś głupiego.

- Serio?

- Właściwie to powstrzyma go przed zrobieniem kilku szczególnie głupich rzeczy. Może wymyślić coś innego. Pod tym względem jest całkiem kreatywny.

- Nie mogę – odpowiedział.

- Wiem.

Statek wleciał w cień planety, a pokłady zaczęły klikać i jęczeć, gdy płyty korekcyjne dostosowywały się do zmiany w ilości promieniowanego ciepła. Havelock poczuł lekki wstyd. Była jego więźniem. On strażnikiem. Nie powinien potrzebować jej aprobaty. Nawet jeśli uważała go i jego ludzi za mordujących dzieci, spragnionych władzy faszystów, nie zmieniało to tego, co musiał zrobić. Naomi znowu zaczęła nucić. Tym razem inną

piosenkę. Coś powolnego, w tonacji molowej. Po jakimś czasie zapadła cisza.

– Oni nie byli jedyni – odezwała się, gdy skończył planowanie przydziałów na przyszły tydzień. – Byli jedynymi, którzy zostali uwięzieni przez zakażenie, ale to miejsce zostało wcześniej zablokowane. Banda zbirów w skradzionych pancierzach do zwalczania zamieszek pilnowała, żeby wszyscy robili, co się im każe, i strzelali do nieposłusznych. Szykowali się do tego. Kilka osób przedostało się przez nich.

– Naprawdę? Kto?

Naomi wzruszyła ramionami.

– Ja – wyznała.

Rozdział dwudziesty siódmy

ELVI

Elvi siedziała na szczycie wzgórza, patrząc na zachód. Poranne światło zza pleców trafiało w skrzydła tysięcy zwierząt podobnych do motyli. Dotąd ich nie widziała, ale dzisiaj wypełniały powietrze od ziemi na wysokość dwudziestu metrów. Olbrzymia chmara małych zwierząt. Albo owadów. Czy jakkolwiek nazwę w końcu ludzkość przydzieli temu obcemu królestwu życia. W tej chwili dla niej były motylami.

Poruszały się razem jak ławica ryb, niezależnie i spójnie. Rozświetlały je przebłyski kolorów – niebieskiego, srebrnego, karmazynu i zieleni – chwilami prawie wydawało się, że tworzą wzory, a potem rozpadały się w chaosie. Ich kolumna wzniosła się, zwężając się, a potem poszerzyła się i spłaszczyła. Falą przeleciały przy niej i na kilka sekund znalazła się wewnątrz chmury skrzydeł wielkości dłoni, machających łagodnie tuż obok, z dźwiękiem przypominającym spadające kartki papieru i z przyjemnym, ostrym zapachem kojarzącym się z miętą. Uśmiechnęła się i podniosła rękę, zanurzając je w ich chmurę, ciesząc się pięknem chwili. Odleciały, a ona odwróciła się, żeby obserwować, jak przepływają przez powietrze, kłębiąc się na zachód, jakby wybierały się w jakieś konkretne miejsce.

Wstała i przeciągnęła się, poprawiając opierającą się na biodrze torbę na próbki. Blask słońca napierał na jej ramiona i podstawę karku, gdy ruszyła przed siebie pylistym i kamienistym polem. Od północy wznosiły się ruiny, a Pierwsze Lądowanie nie było przy nich nawet kreską, ze wszystkimi ludzkimi budowlami ukrytymi przez krzywiznę planety i kształt wzgórz. Została tylko ona.

Tu i tam na ziemi leżały pojedyncze motyle, prawdopodobnie martwe. A może odpoczywały. Przykucnęła przy jednym z nich,

przyglądając się żywo niebieskim kolorom jego skrzydeł, miedzianej strukturze, gdzie ciało – a przynajmniej coś, co uznała za korpus – składało się, tworząc coś w rodzaju zawiasu. Założyła rękawiczki i uniosła drobne stworzenie. Nawet nie drgnęło. Choć oznaczało to mniej danych fizjologicznych, miała nadzieję, że stworzenie jest martwe.

– Przepraszam, maluchu – powiedziała na wszelki wypadek. – To w imię nauki.

Złożyła go na czarną siatkę, zamknęła hermetycznie i aktywowała sekwencję analizy. Zestaw igieł do pobierania próbek zaczął klikać i mruzczyć do siebie. Elvi zmrużyła oczy, patrząc w biało-niebieski łuk nieba. Czerwona kropka unosiła się mniej więcej piętnaście stopni nad horyzontem, dość jasna, by widać ją było przez rzadkie, zielonkawe chmury.

Torba zakaszłała, wyrzucając kod błędu, którego Elvi jeszcze nie widziała. Wyciągnęła ręczny terminal i podłączyła się do kanału wyjściowego torby. Wstępny zestaw danych był kompletnie poplątany. Elvi poczuła ukłucie głębokiego strachu. Jeśli torba uległa uszkodzeniu, może minąć wiele dni, zanim jedyny sprawny prom przywiezie jej zapasową z *Israela*. Nie była nawet wcale pewna, czy mają zapasową w zestawie, czy też wszystkie zostały zniszczone podczas katastrofy ciężkiego promu. W oczy zajrzała jej wizja całych lat ręcznego zbierania danych i spędzania nocy na preparowaniu jak w czasach pierwszych lat studiów. Wyciągnęła motyla. Jego ciało wyglądało prawie tak samo, jak kiedy wkładała je do torby. Usiadła obok niego po turecku i uruchomiła procedurę diagnostyczną torby, zagryzając wargi w oczekiwaniu na kolejny kod błędu.

Pojawił się prawidłowy odczyt. Przeniosła wzrok z torby na motyla, potem z powrotem. Narodziła się druga hipoteza, równie mrożąca krew w żyłach, jak pierwsza. Może nawet bardziej. Podniosła martwe stworzenie i ruszyła z powrotem w stronę chat. Fayez mieszkał w małej kopule, którą wzniósł w połowie zbocza niewielkiego wzgórza, dość wysoko, by ominęły ją strumienie wody z ewentualnych burz, ale nie na szczycie, gdzie byłaby wystawiona na działanie wiatru. Siedział na stołku,

opierając się o ścianę. Miał na sobie spodnie robocze z poliwęłkna, T-shirt i szlafrok. Nie golił się od kilku dni, a szczecina na policzkach sprawiała, że wyglądał starzej.

– To nie jest zwierzę – oświadczyła, wyciągając motyla.

Przestawił stołek do pionu, a jego nogi wyraźnie tupnęły o ziemię.

– Ja też się cieszę, że cię widzę.

– To nie są dwa łączące się biomy. Tu są trzy. To... cokolwiek to jest, nie ma żadnych chemicznych ani strukturalnych części wspólnych z tym, czego się tu spodziewamy.

– Szukała cię Lucia Merton. Spotkałaś ją może?

– Co? Nie. Słuchaj, to kolejna maszyna. To kolejna rzecz jak... – wskazała w stronę nisko wiszącego, czerwonego księżycy – jak to.

– W porządku.

– A co, jeśli wcale nie budzą się tylko dlatego, że tu jesteśmy? Jeśli robią to w spójny sposób? To wszystko komplikuje.

Fayez podrapał się po głowie tuż nad lewym uchem.

– Wydaje mi się, że czegoś tu chcesz, Elvi, ale nie mam pojęcia, co to takiego.

– Jak mam zrozumieć to miejsce, skoro ono ciągle zmienia zasady? – powiedziała, i nawet dla niej jej głos zabrzmiał panicznie.

Gniewnie rzuciła motyla na ziemię, a potem od razu tego pożałowała. Nie, żeby to jakoś szkodziło motylowi, po prostu ten gest wydał się jej okrutny. Fayez poczęstował ją swoim ostrym uśmiechem.

– Mnie nie musisz przekonywać. Wiesz, co robiłem całe rano?

– Piłeś?

– Chciałbym. Analizowałem dane powierzchniowe z *Israela*. Z drugiej strony planety jest łańcuch wysp wykazujących coś, co wydaje się cholernie intensywną aktywnością wulkaniczną. Tylko że na ile potrafię stwierdzić, ta planeta nie ma żadnych, no wiesz, płyt tektonicznych. To co, u diabła, naśladuje wulkanizm? Wiesz, nad czym pracuje Michaela?

– Nie.

– W świetle ultrafioletowym docierającym tu do ziemi jest wzór, który cholernie przypomina jakiegoś typu falę nośną. Nie występuje, zanim światło trafia w egzosferę, ale gdy tu dociera: złożony, spójny wzór. Ona nie ma pojęcia, skąd się bierze. Grupa Sudyam znalazła coś, co ich zdaniem jest złożonymi cząsteczkami zawierającymi stabilne transuranowce.

– Jak to działa?

– Wiem, co nie? – rzucił Fayeż.

Elvi zaczepliła dłoń o własne ramię, pozwalając, by łokieć zawisł bezwładnie. Po kręgosłupie spływał jej pot.

– Muszę...

– ...powiedzieć Holdenowi – dokończył Fayeż. – Wiem.

– Chciałam powiedzieć „przejrzeć moje dane”. Zobaczyć, czy może istnieją jakieś wspólne struktury między tym – kiwnęła głową w stronę motyla – a tamtym wielkim czymś z pustyni. Może znajdę w tym jakiś sens.

– Jeśli nie ty, to nikomu się to nie uda – skomentował Fayeż.

Coś w jego głosie zwróciło jej uwagę i uważniej mu się przyjrzała. Jego ostra jak u lisa twarz wyglądała na zmiękczonej koło oczu i szczęki. Ciało wokół oczu było bardziej obrzmiałe niż zwykle.

– Dobrze się czujesz?

Roześmiał się i rozłożył ręce w stronę horyzontu, obejmując gestem całą planetę – cały wszechświat.

– Doskonale. Bosko. Dzięki, że spytałaś.

– Przepraszam. Ja po prostu...

– Nie, Elvi – powiedział. – Nie przepraszaj. Po prostu idź i zajmij się tym wszystkim, co masz do zrobienia. Osłoń to wszystko kilkoma warstwami niemyślenia o tym i żegluj dalej, moja droga. Cokolwiek utrzyma cię w zdrowiu psychicznym i pozwoli funkcjonować w tym miejscu, zasługuje na pielęgnowanie. Pomodlę się nawet z Simonem w niedzielny poranek. Tak bardzo mnie to dopadło. Cokolwiek działa dla ciebie, otrzyma moje błogosławieństwo.

– Dziękuję.

– Afwan – powiedział, machając dłonią. – Tylko zanim znowu

wsadziś głowę w swoje dane, idź porozmawiać z doktor Merton. Wyglądała na zmartwioną.

* * *

Chłopiec siedzący na stole szpitalnym miał sześć lat. Jego skóra była brązowa jak skóra Elvi, tylko u niego wyglądała jak pokryta popiołem. To nie była suchość, a coś głębszego. Oczy miał przekrwione, jakby płakał. Może faktycznie to robił. Jego mama stała w rogu z założonymi rękami i mocno wykrzywionymi wargami. Głos Lucii brzmiał żywo i spokojnie, ale głowę opuściła bardzo nisko.

– Widzę tam coś – powiedziała, przesuwając palcem w dół policzek chłopca i otwierając szczelinę między dolną powieką a nierówną powierzchnią gałki ocznej.

Przy zaczerwienieniu odbarwienie było prawie niewidoczne, ale zdecydowanie tam było. Delikatny odcień zieleni.

– Widzę – potwierdziła Elvi. Uśmiechnęła się do chłopca. Nie zareagował. – To Jakub...

– Jason.

– Przepraszam. Jason. Od jak dawna masz problemy z widzeniem?

Chłopiec wzruszył ramionami.

– Od kiedy tylko znowu zaczęły mnie boleć oczy.

– I wszystko wygląda... zielono?

Przytaknął. Lucia dotknęła ramienia Elvi. Lekarka bez słowa zaświeciła latarką do oka chłopca. Jego tęczówka ledwie zareagowała, a Elvi dostrzegła coś w płynie za rogówką. Widok kojarzył się ze źle utrzymanym akwariem. Kiwnęła głową.

Lucia wstała i uśmiechnęła się do matki.

– Poczekaj tu z nim, Amando. Zaraz wrócę.

Amanda ostro kiwnęła głową. Elvi pozwoliła się wyprowadzić Lucii przez drzwi gabinetu i poprowadzić krótkim korytarzem. Na zewnątrz wiatr przybrał na sile, szarpiąc drzwiami i oknami kliniki.

– Nigdy nie widziałam czegoś takiego – powiedziała Lucia. – Nie znalazłam niczego podobnego w literaturze.

- Jego matka chyba za bardzo mnie nie lubi - odpowiedziała Elvi, próbując zrobić z tego żart.

- Jej żona została zastrzelona przez ochronę RCE - wyjaśniła Lucia.

- Och. Przykro mi.

Zestaw do testów był dobry, ale stary. Miał dziesięć, może piętnaście lat. Przez dolną część ekranu biegła długa bruzda w miejscu, gdzie coś go uszkodziło. Elvi mogła uwierzyć, że sprzęt przebył długą drogę z targanego wojną Ganimedesa aż tutaj. Zdziwiło ją, że wciąż działa, ale gdy Lucia wstukała kod dostępu, ekran ożył. Próbką była na swój sposób piękna. Rozgałęziona elegancko zieleń przypominająca piktogram znaczący drzewo.

- Zaczęło się w macierzy pozakomórkowej - powiedziała Lucia.

- Niskopoziomowe zakażenie, ale nic poważniejszego. Miałam nadzieję, że ustąpi samoistnie.

- Tylko że teraz jest w szklistce - odpowiedziała Elvi.

- Zastanawiałam się... - zaczęła Lucia, ale Elvi wyjęła już ręczny terminal i zaczęła go synchronizować z zestawem.

Znalezienie dopasowania zajęło jej tylko kilka sekund. Elvi przejrzała dane.

- No dobrze - stwierdziła. - Najbliższym dopasowaniem jest jeden z organizmów z deszczu.

Lucia pokręciła głową, a Elvi wskazała do góry.

- Wiesz, dlaczego te chmury są zielonkawe? Tam w górze znajduje się cały biom organizmów, które znalazły sposób na wykorzystanie wilgoci i dużych dawek ultrafioletu.

- Jak rośliny? Grzyby?

- *Podobnie* jak one - przyznała Elvi. - Nie poświęciliśmy im dotąd za wiele uwagi, ale wygląda na to, że to dość zatłoczona nisza. Dużo gatunków konkurujących o zasoby. Zgaduję, że ten maluch znajdował się w kropli deszczu, która wpadła w oko Jasona i znalazł sposób na utrzymanie się tam.

- Miał kilka zakażeń oczu, ale wszystkie były wywołane znanymi mikroorganizmami. To coś. Myślisz, że jest zakaźne?

- Nie spodziewam się - odparła Elvi. - Jesteśmy dla tego czegoś

równie nowi, jak to dla nas. Wyewoluowało do rozmnażania się w otwartym powietrzu przez cykl wodny. Skoro żyje w nas, to jest odporne na sól, co samo w sobie jest ciekawe. Jeśli jego oczy były już naruszone wcześniejszymi zakażeniami, mógł być bardziej podatny, ale o ile nie zacznie rzucać w ludzi łzami, to nie sądzę, żeby daleko się to rozprzestrzeniło.

– A co z jego wzrokiem?

Elvi się wyprostowała. Lucia patrzyła na nią poważnie, prawie ze złością. Elvi wiedziała, że to uczucie nie jest skierowane przeciw niej, a wobec okropnej ignorancji, z którą się mierzyły.

– Nie wiem. Wiedzieliśmy, że coś takiego prędzej czy później musi się zdarzyć, ale nie wiem, co możemy z tym zrobić. Poza ostrzeżeniem ludzi, by nie wychodzili na zewnątrz podczas deszczu.

– Jemu to nie pomoże – zauważyła Lucia. – Możesz poprosić o pomoc laboratorium w domu?

W głowie Elvi pojawiły się liczne sprzeczności. *Nie kontroluję zespołów badawczych RCE, wszystkie analizy danych są planowane z wielomiesięcznym wyprzedzeniem i właśnie tego ranka wpadła mi w ręce próbka trzeciego biomu.* Stuknęła w ekran terminala ręcznego, zapisując kopię danych zestawu, potem przekonwertowała je na preferowany format RCE i wysłała je radiowo na *Israela*, a potem przez Pierścień w stronę Ziemi.

– Spróbuję – powiedziała. – A na razie musimy powiedzieć ludziom o problemie. Czy Carol Chiwewe o tym wie?

– Wie, że mam podejrzenia i chciałam cię zapoznać ze sprawą.

Elvi kiwnęła głową, starając się już wmyślić najlepszy sposób na przedstawienie tej sprawy Murtry'emu.

– Wprowadź swoją stronę w temat, a ja powiem moim.

– Dobrze – zgodziła się Lucia. Po chwili odezwała się znowu. – Nie cierpię tego, że tak się to wszystko podzieliło. Twoja i moja strona. Jedna z moich nauczycielek na uniwersytecie mawiała, że zarażenie stanowi jedyny niepodważalny dowód istnienia społeczności. Ludzie mogą do woli udawać, że nie ma narkotyków, prostytutek i niezaszczepionych dzieci, ale kiedy

nadejdzie zaraza, jedyne, co będzie się liczyło, to kto faktycznie oddycha twoim powietrzem.

– Nie jestem pewna, czy to mnie uspokaja, czy przeraża.

– Jest tu miejsce na oba te uczucia – zapewniła Lucia. – Przeraża mnie to w równym stopniu, jak wszystko inne, co stało się do tej pory. To małe... coś. A jeśli nie uda nam się tego wyleczyć?

– Prawdopodobnie się uda – odparła Elvi. – A potem rozwiążemy następny problem. I kolejny. To trudne i niełatwe, ale wszystko będzie dobrze.

Lucia uniosła jedną brew.

– Naprawdę w to wierzysz?

– Tak. Dlaczego miałabym nie wierzyć?

– Wcale się nie boisz?

Elvi zastanowiła się nad odpowiedzią.

– Jeśli się boję, nie czuję tego – przyznała. – To nie jest coś, nad czym się zastanawiam.

– Pewnie należy się cieszyć z każdego błogosławieństwa. A co z trzecią stroną?

Elvi nie wiedziała, o czym mówi Lucia, ale potem przypomniała sobie drwiący głos Fayeza i jej serce przyśpieszyło. Nie znosiła tej reakcji, ale to jej nie powstrzymywało.

– Powiem mu – oznajmiła. – Powiem Holdenowi.

* * *

Holden siedział w kantine przygarbiony nad swoim terminalem ręcznym. Ogolił się i uczesał włosy. Miał wyprasowaną koszulę. *Ładnie wygląda na czysto*, skomentował głos w głębi jej głowy, ale go stłumiła.

Z terminala dochodził ostry i trzeszczący kobiecy głos.

– ...ściskać wszystkie jaja, które zdołam złapać, aż ktoś zacznie płakać, ale to potrwa. I wiem, że myślisz o upublicznieniu tego, bo jesteś kurewsko głupi i zawsze o tym myślisz. Ty i upublicznienie to jak szesnastolatek i cycki. Nie masz nic innego w głowie. Więc zanim w ogóle zaczniesz...

Z boku podszedł Amos. Jego uśmiech był otwarty i przyjazny jak zwykle, ale Elvi odniosła wrażenie, że kryje się w nim

napięciu. Jego duża, łysa głowa zawsze przywodziła jej na myśl dzieci i musiała się powstrzymać, by go w nią nie poklepać.

– Cześć – przywitał się Amos. – Przepraszam, ale kapitan jest trochę zajęty.

– Kogo słucha?

– ONZ – wyjaśnił Amos. – Próbował zmusić twojego szefa do wypuszczenia naszej pierwszej.

– To nie jest mój szef – zastrzegła Elvi. – Murtry to ochrona. To zupełnie inny pion w strukturze.

– Te korporacyjne sprawy nie są moją mocną stroną – przyznał.

– Chciałam tylko... – zaczęła, a Holden wyprostował się, patrząc w kamerę swojego terminala.

Na jego ustach pojawił się twardy uśmiech, a ona zgubiła to, co chciała powiedzieć.

– Postawmy sprawę jasno – powiedział Holden głosem cichym i twardym jak kamień. – Zostało to zrobione na mój rozkaz. Jeśli Royal Charter będzie chciał mnie po powrocie postawić przed sądem, ponieważ rozkazałem swojej załodze unieszkodliwić ich prom nielegalnie zmieniony w broń, z przyjemnością...

– Doktorko? – odezwał się Amos.

– Co? Przepraszam. Nie, chodzi o to, że dzieją się pewne rzeczy, o których powinien wiedzieć.

Amos pokręcił głową w sposób, który prawie mógł wyrazić żal.

– Nie. Do czasu zwolnienia pierwszej nic innego się nie dzieje.

– Ależ nie, dzieje się – zaprotestowała Elvi. – I nie chodzi tylko o jedną sprawę. Dzisiaj znalazłam kolejne działające artefakty. Sądzę, że niektóre z nich udają miejscowe zwierzęta. Gdybyśmy byli tu dość długo, by je skatalogować, chyba moglibyśmy stwierdzić, które to, ale na razie wszystko wygląda na nowe. Więc nie wiemy.

– Czyli niektóre jaszczurki są robione przez protomolekułę? – zapytał Amos.

– Tak. Może. Jeszcze nie wiemy. I jest tego więcej, bo lokalny biom zaczyna znajdować sposoby na wdarcie się do nas. Wykorzystanie naszych zasobów. A ponieważ sztywna kopuła nie została wzniesiona, cała nasza mikrofauna chodzi po okolicy,

mieszając się z miejscową ekosferą i nie ma sposobu na zabranie jej z powrotem, więc wszystko zakażamy i wszystko tutaj z kolei zakaża nas.

Mówiła za szybko. Nie znosiła tego. Kiedy – jeśli – zdoła wrócić na Ziemię, będzie musiała zaliczyć jakieś kursy z komunikacji. Coś, co powstrzyma ją przed grzechotaniem słowami jak puszcza tocząca się po schodach.

– To wszystko przyśpiesza – powiedziała. – I to może być reakcja na nas albo coś, co robimy. Ale wcale nie musi. I wiem, że mamy problemy z radzeniem sobie z polityką i wzajemnym dogadywaniem się i jest mi naprawdę bardzo przykro z tego powodu. – W jej oczach pojawiły się łzy. Jezu. Kim ona jest? Dwunastolatka? – Ale musimy przyjrzeć się temu, co się tu dzieje, bo to naprawdę bardzo, bardzo niebezpieczne i dzieje się właśnie teraz. W którymś momencie dotrze do krytycznego punktu, a wtedy stanie się coś bardzo, bardzo złego.

Nagle znalazł się przy niej Holden, patrząc na nią i mówiąc do niej łagodnym głosem. Wytarła łzy wierzchem dłoni i zaczęła się zastanawiać, czy kiedy to robiła, na jej dłoni znajdowały się jakieś prowadzące do ślepoty grzyby Jasona.

– Hej – odezwał się Holden. – Dobrze się pani czuje?

– Tak – potwierdziła. – Nic mi nie jest. Przepraszam.

– Wszystko w porządku – zapewnił Holden. – Mówiła pani coś o kryzysie?

Przytaknęła.

– No dobrze – powiedział. – Jak miałby wyglądać?

– Nie wiem – przyznała. – Nie mogę wiedzieć. Aż do chwili, gdy do niego dojdzie.

Rozdział dwudziesty ósmy

BASIA

Unosił się nad planetą.

Tysiąc siedemset kilometrów niżej Ilus wirował w oszałamiającym tempie. Aleks powiedział mu, że *Rosynant* oblatuje planetę w niecałe dwie godziny, ale Basia tego nie czuł. Kiedy unosił się na zewnątrz statku w nieważkości, jego ucho wewnętrzne przekonywało go, że dryfuje bez ruchu. Zamiast tego wszechświat wydawał się obracać zdecydowanie za szybko, jak zabawka jakiegoś olbrzymiego dziecka. Co godzinę przejście z ciemności w światło, a godzinę później znowu w mrok, ze słońcem wschodzącym zza Ilusa, wirującego wokół, i znowu zachodzącym krótko potem. Basia był na zewnątrz dość długo, by obserwować tę zmianę trzy razy, będąc w samym środku prywatnego kosmosu.

Jedyny, wielki ocean planety był spowity ciemnością nocy. Łańcuch rozciągających się na nim wysp stanowił maleńkie czarne plamki w większej ciemności. Jedną z wysp, największą, obrysowywało słabe zielone światło. Luminescencja w falach uderzających o plaże i urwiska.

Dzienną stronę zdominował pojedynczy, wielki kontynent Ilusa. W jego południowozachodniej części znajdowała się olbrzymia pustynia. Pierwsze Lądowanie trochę na północ od niej. Za dnia było zdecydowanie zbyt małe, żeby zobaczyć je gołym okiem. Zbyt małe nawet pomimo olbrzymich wież obcych, gdzie w poprzednim życiu spotykał się z Coopem, Cate i pozostałymi.

– Wszystko u ciebie w porządku, partnerze? – W głośniczkach skafandra zabrzmiał głos Aleksa. – Od jakiegoś czasu tylko dryfujesz. Ten właz sam się nie naprawi.

Kiedy mówił, nad oświetloną słońcem stroną planety pojawił się *Edward Israel*, błyskając jak mała biała iskra. Był prawie za

daleko, żeby go zobaczyć, choć w skali orbitalnej znajdowali się prawie na wyciągnięcie ręki. Aleks utrzymywał *Rosynanta* na dopasowanej orbicie, żeby mógł ciągle w nich celować z działa.

– Jest piękny – powiedział Basia, patrząc znowu na wirującą planetę. – Kiedy przylecieliśmy tu w *Barb*, nie miałem czasu, żeby mu się przyjrzeć. Ale Ilus jest piękny.

– No dobrze – powiedział Aleks ze swoim typowym akcentem – pamiętasz, jak rozmawialiśmy o euforii, której możesz doznać podczas spacerów kosmicznych?

– Nie jestem nowicjuszem – odparł Basia. – Wiem, jakie to uczucie i nic mi nie jest. Właz jest prawie skończony. Po prostu zrobiłem sobie przerwę.

Jadali razem wszystkie posiłki. Aleks dzielił się z nim swoją kolekcją filmów Nowego Noir z dwudziestego drugiego wieku. Poprzedniego wieczoru oglądali *Naga przychodzi broń*. Dla Basi noir okazał się być zbyt ponury, zbyt beznadziejny, by się nim cieszyć. Co skończyło się długą, zakrapianą alkoholem rozmową, podczas której Aleks starał mu się wytłumaczyć, że to niesłuszne podejście.

Zgodnie z obietnicą Naomi Aleks przygotował też listę nieskończonych projektów napraw, którymi Basia mógł się zająć. Jednym z nich było zacinające się ramię siłownika na jednym z dwóch włazów do ładowania torped *Rosynanta*.

Właz leżał otwarty tuż obok, stanowiąc szerokie na metr i długie na osiem metrów drzwi do boku okrętu. Tuż pod otwartą pokrywą spoczywał wielki biały cylinder. Jedna z okrętowych torped. Wyglądała na zbyt dużą, by być pociskiem. Prawie jak mały, niezależny statek kosmiczny. Nie wyglądała groźnie, raczej jak coś dobrze wykonanego i funkcjonalnego. Basia wiedział, że w sercu pocisku kryje się głowica bojowa, która mogłaby zmienić inny statek kosmiczny w stopiony metal i plazmę. Trudno było to połączyć z łagodnymi krzywiznami i emanującym z rakiety wrażeniem spokoju i solidności.

Wadliwy siłownik został już wycięty i unosił się obok statku na końcu cumy magnetycznej, czekając na zabranie do środka. Basia z wysiłkiem odwrócił się od oszałamiającego widoku Ilusa

i wyciągnął z upręży na plecach nowy siłownik.

– Wracam do pracy – poinformował Aleksa.

– Potwierdzam – odpowiedział pilot. – Dobrze będzie mieć sprawne te drzwi.

– Planujecie, że będą potrzebne? – zapytał Basia.

– Nie, ale wolałbym mieć taką opcję, jeśli temat się pojawi. – Aleks się roześmiał.

Śmiał się, choć równocześnie był poważny.

Basia zaczął mocować nowe ramię do uchwytów w kadłubie i we włazie rakiet. Praktycznie wcale nie znał się na elektronice i martwił się, że podłączenie nowego urządzenia przekroczy jego możliwości, ale okazało się, że wystarczyło tylko wetknąć jedną wtyczkę do gniazda obudowy siłownika. Co miało sens, jeśli się nad tym zastanowić. Okręty bojowe musiały być projektowane z myślą o tym, że uszkodzenia są nieuniknione. Że naprawy będą czasem prowadzone w nieprzyjaznym środowisku. Zrobienie wszystkiego na zasadzie modułów, które bardzo prosto można było wymieniać, miało nie tylko sens, było cechą umożliwiającą przetrwanie. Zastanawiał się, czy Marsjanie mieli w zespole projektowym jakiegoś Pasiarza.

– *Barbapiccola* jest po naszej stronie Ilusa – poinformował Aleks swoim leniwym, jakby rozespianym głosem.

– Możesz mi go pokazać? – Basia rozejrzał się wokół, ale nie zobaczył nic poza jarzącą się planetą w dole i białą iskrą *Edwarda Israela*.

– Chwila. – Zaraz potem na wyświetlaczu przeziernym Basi pojawiła się mała zielona kropka, przesuając się powoli.

– To ta kropka?

– No – odpowiedział – raczej tam, gdzie jest ta kropka. Ale na razie to za daleko, żeby go zobaczyć. Jeszcze moment.

Na wyświetlaczu w hełmie Basi pojawił się zielony kwadrat, a obraz w nim powiększył się jak w teleskopie, aż odległy frachtowiec zrobił się wielkości paznokcia.

– To pięćdziesięciokrotne powiększenie – wyjaśnił Aleks.

– Kosmos jest zbyt wielki – skomentował Basia.

– Tak się mówi. A to tylko przestrzeń na niskiej orbicie wokół

jednej planety. Jak się zaczniesz na tym zastanawiać, mózg wysiada.

- Próbuję tego nie robić.
- Bardzo słusznie.

Barbapiccola wyglądał jak duży metalowy pojemnik transportowy z płaskim dzwonem mieszczącym silnik na jednym końcu i masywną nadbudówką sterowania u szczytu. Był brzydki i czysto funkcjonalny. Konstrukcja przewidziana do próżni, która nigdy nie zazna żaru oporu atmosfery.

Duże ładownie zajmujące większość przestrzeni wewnętrznej były już pełne rudy litu, który przywieźli z Ilusa, nie mogąc się doczekać na rafinerie stacji Pallas. Lit czekał na wymianę na żywność, lekarstwa i nawozy. Wszystko to, czego potrzebowała do przetrwania ich kolonia.

Czekał na zabranie stąd jego córki.

- Możemy z nimi porozmawiać?
- Hm? Z *Barb*? Jasne. Dlaczego pytasz?
- Jest tam moja córka.

- Nie ma sprawy - zabrzmiała odpowiedź, a po niej chwila trzasków.

Zaraz potem odpowiedział głos z silnym pasiarskim akcentem.

- Que?

- Sa bueno. Basia Merton, mé. Suche nach Felcia Merton. Donde?

- Sa sa - powiedział głos z tonem w pół drogi między zaciekawieniem a irytacją. Połączenie zostało otwarte, choć ciche.

Czekając, Basia dokończył montaż ramienia siłownika i podłączył je. Wywołał Aleksa na kanale statku, prosząc go o przetestowanie elementu, a włącz otworzył się i zamknął kilka razy bez zniekształcania i zacinania. Silnik wibrował cicho w kadłubie pod jego magnetycznymi butami, a przeniesione przez skafander wibracje wywołały brzęczenie w hełmie.

- Tata? - zabrzmiał niepewny głos.

- Skarbie, Felcia, to ja, kochanie - odpowiedział, bezskutecznie próbując nie paplać jak dureń.

– Tata – powtórzyła, tym razem z radością w głosie.

Był już głębszy i bogatszy, ale nadal był głosem małej dziewczynki krzyczącej Tatuś, gdy wracał z pracy do domu. To wciąż topiło wszystkie te gniewne, twarde, dorosłe miejsca w jego sercu.

– Jestem tu w górze z tobą, skarbie.

– Na *Barbapiccola*? – zapytała zmieszana.

– Nie, miałem na myśli orbitę. Nad Ilusem. Widzę wasz statek, skarbie. Przelatujecie niedaleko.

– Znajdę jakiś ekran! Gdzie jesteś? Mogę cię poszukać.

– Nie, nie martw się tym. Jestem dość daleko, musiałem użyć sporego powiększenia, żeby was zobaczyć. Po prostu porozmawiaj ze mną jeszcze chwilę, zanim znowu znajdziecie się po drugiej stronie planety.

– Dobrze – odpowiedziała. – Są tam dla ciebie mili?

Basia się roześmiała.

– Twój brat pytał mnie o to samo. Są w porządku. Najlepsi strażnicy więzienni na świecie. A co u ciebie?

– Wszyscy są mili, ale się martwią. Może statek RCE nie pozwoli nam odlecieć.

– Wszystko będzie dobrze, skarbie – zapewnił Basia, klepiąc pustą przestrzeń, jakby mogła go widzieć i znaleźć pocieszenie w jego geście. – Kapitan Holden nad tym pracuje.

– Wsadził cię do więzienia, tato.

– Zrobił mi przysługę, Felcia. Uratował mnie – powiedział Basia, a mówiąc to, uświadomił sobie, że to prawda. Murtry by go zabił. A jego żona i syn wciąż byli w dole, na planecie. – Chciałem się tylko przywitać, nie rozmawiać o takich rzeczach.

– No to witaj, tatku – odpowiedziała głosem dorosłej dziewczynki.

– Witaj, kaczuszeko – odpowiedział, używając przydomka, którego nie stosował od lat.

Wydała dziwny dźwięk, a on zrozumiał, że dziewczyna płacze.

– Nigdy więcej cię nie zobaczę, tato – powiedziała ciężkim głosem.

Zaczął się zbierać do protestowania i uspokajania jej, ale

przypomniał sobie rozmowę z Aleksem i zamiast tego powiedział coś innego.

– Może, kaczuszeko. I to wyłącznie moja wina. Pamiętaj o tym, dobrze? Próbowałem zrobić to, co uważałem za właściwe, ale wszystko popsułem i jeśli mam za to zapłacić, nie powinien tego robić nikt inny.

– Nie podoba mi się to – powiedziała Felcia, wciąż płacząc.

Mnie też nie, skarbie, pomyślał.

– Jest jak jest, sa sa? Jest jak jest. Nic nie zmieni tego, że Kocham cię, twoją mamę i Jacka. – *I Katoa, którego zostawiłem na śmierć.*

– Mówią, że muszę skończyć – powiedziała Felcia.

Małeńka zielona kropka ukrywająca wielki statek z jego córką na pokładzie oddalała się w stronę horyzontu, ku ciszy radiowej. Widział, jak się to dzieje. Patrzył, jak niewyobrażalna odległość między nimi robi się coraz większa, czekając, aż między nich wkroczy planeta.

– Dobrze, skarbie. Do zobaczenia. Kocham cię.

Cokolwiek odpowiedziała, przepadło, gdy *Barbapiccola* zniknął za Ilusem i kanał zerwał się, wypełniony tylko szumem statyki. Na orbicie wokół planety nie było jeszcze żadnych satelitów przekąźnikowych. Wrócili do zasięgu w polu widzenia, jak dziewiętnastowieczne prymitywy odbijające fale radiowe wewnątrz atmosfery. Basia pomyślał o swoim domu, tak naprawdę zaledwie chacie w małej wiosce z dwoma gruntowymi drogami. Może tak było właściwie.

Planeta wirowała tysiąc siedemset kilometrów niżej. Pod jego stopami statek kosmiczny zdolny do przelotu przez Układ Słoneczny mruczał cicho do siebie ledwie kontrolowaną mocą.

Może nie *dokładnie* jak dziewiętnastowieczne prymitywy.

– Gotów wracać do środka? – W jego rozmyślania wdarł się głos Aleksa.

– Za minutę – odpowiedział Basia. – Możesz odszukać Pierwsze Lądowanie i pokazać mi to miejsce?

– Jasne. Oddala się, ale wciąż je stąd widać.

Na jego wyświetlaczu pojawiła się kolejna mała zielona kropka

w miejscu tuż na północ od wielkiej południowej pustyni Ilusa. Wiedząc, gdzie patrzeć, Basia miał wrażenie, że widzi otwartą misę odkrywki kopalni na północ od wioski, ale to mogło być tylko myślenie życzeniowe.

Lucia tam była, przyjmując pacjentów, zajmując się Jackiem. W wiosce był dzień, więc Lucia zdecydowanie jeszcze pracowała. Basia próbował sobie wyobrazić, co robi w tej chwili. Pokusa poproszenia Aleksa o zadzwonienie do wioski, żeby mógł z nią porozmawiać, była prawie przemożna. Ale był już dzisiaj dość samolubny, dzwoniąc do Felci. Był teraz dla rodziny źródłem cierpienia, a jedyne pocieszenie czerpał ich kosztem.

Zamiast tego zaczął pakować narzędzia i uszkodzony siłownik.

Jeśli nigdy nie wróci, czy Lucia znajdzie sobie kogoś innego? Spróbował sobie powiedzieć, że był typem człowieka, który chciałby dla niej tego. Że jej szczęście było dla niego ważniejsze od strachu przed jej utratą. Przymierzył się do tego pomysłu jak do nowego ubrania. Sprawdził, czy zdoła się do niego dopasować.

Nie pasował. Tak wyraźnie, jakby Aleks wyświetlał powiększenie tego pomysłu na jego wyświetlaczu przeziernym, zobaczył, że zdecydowanie nie jest tym typem człowieka. Trudno było mu stwierdzić, czy jest to pochlebne świadectwo poświęcenia małżeństwu czy zjadliwy komentarz na temat jego niepewności i samolubności. Jak prawie wszystko inne, co przydarzyło mu się w ciągu ostatnich miesięcy, uczucie to było mętne i wieloznaczne.

Wróci z Holdenem do Układu Słonecznego i prawdopodobnie wyląduje w kompleksie ONZ na Lunie. SPZ będzie twierdzić, że jest ich obywatelem, ale Ganimedes był pierwotnie kolonią ONZ. Wciąż prowadzono rozmowy na temat tego, kto podlega któremu rządowi, i potrwa to jeszcze przez dziesięciolecia. Będą mieli mnóstwo czasu na osądzenie go jako obywatela ONZ za zbrodnie przeciwko ziemskiej firmie i osadzenie go w więzieniu na całą wieczność.

Zapewne czekają go lata rozpraw sądowych.

Basia zaczął powoli maszerować przez kadłub *Rosynanta*, ciągnąc za sobą wsadzone do siatki narzędzia i części zamienne.

Przy rufie zatrzymał się i zablokował obie stopy, czekając, aż tobołek przeleci koło niego i zatrzyma się na końcu liny. Jego masa boleśnie szarpnęła go za ręce, gdy hamował pęd narzędzi.

– Otwórz drzwi ładowni – poprosił.

– Potwierdzam – odpowiedział Aleks i statek pod stopami Basi zaczął wibrować.

Ciężkie płyty drzwi ładowni powoli się rozsunęły. Kiedy były mniej więcej w połowie otwierania, szarpnął w dół za linę i spięte siatką narzędzia poszybowały w głąb ładowni. Puścił linę i pozwolił im sunąć, nie dając im szansy na szarpnięcie go poza brzeg statku.

Kątem oka zobaczył rozbłysk światła, jak z lampy błyskowej odległego aparatu. Basia obrócił się, by spojrzeć, spodziewał się zobaczyć wchodzący w światło słońca jeden z dwóch pozostałych statków, ale zamiast tego zobaczył rosnącą plamę blasku wyśrodkowaną na największej wyspie Ilusa. Była dość jasna, by stłumić słabe zielone światło luminescencji na plażach i szybko rosła.

W ciągu kilku sekund ciemna strona planety została oświetlona tak jasno, jakby weszło drugie słońce. W miarę jak rosła biała plama, stały się też widoczne pozostałe wyspy archipelagu, jaskrawe w bieli i czerni, rzucając długie cienie przez ocean. Poczul, jak przyśpiesza mu puls.

– Aleks? – powiedział.

Ocean wokół dużej wyspy poruszył się, unosząc się nad krzywizną planety w tsunami, które musiało wznosić się na kilometry. Jednak zanim Basia do końca pojął niezwykłość sił wymaganych do czegoś takiego, wszystko zniknęło. Wyspa, potężne uniesienie oceanu, pobliskie mniejsze wyspy, wszystko przepadło w kolumnie białego ognia i szybko wznoszącej się chmury grzyba.

Wizjer Basi gwałtownie ściemniał i miał wrażenie, że gdyby nie to, światło z planety w dole mogłoby go oślepić. Jednak nawet w ciemności hełmu z aktywną osłoną spawalniczą widział rosnącą kolumnę ognia, rzucającą białą parą aż wyrwała się z atmosfery planety i zmieniała w lśniące kryształki lodu,

oddalające się od studni grawitacyjnej jak strumień kawałków szkła z okna strzaskanego kulami.

Przez ocean pomknęła olbrzymia zmarszczka, jak wiatr pędzący przez młode zboże, oddalając się od rosnącej kolumny ognia. Basia wiedział, że zmarszczki muszą być falami wysokimi na kilometry, pędzącymi od miejsca wybuchu. Ale intelektualna część jego mózgu gwałtownie ustępowała krzyczącemu dzikusowi, który ze strachu opróżnił pęcherz do cewnika skafandra.

Basia dorastał w układzie Jowisza. Nie raz widział nagrania Io z niewielkiej odległości. Io wstawił się największymi wulkanami, jakie widział człowiek. Olbrzymie gejzery siarki strzelały z powierzchni księżycy, aż ich cząstki wpadały w torus plazmy Jowisza i jego delikatny system pierścieni. Czyniły z Io niemal wariacko niegościnne miejsce.

Wybuch, który Basia zobaczył z orbity, sprawił, że tamte z Io wydały się maleńkie. Wyglądało to tak, jakby połowa planety została spłaszczona siłą wybuchu.

W pierwszej chwili pomyślał, jak dobrze, że Pierwsze Lądowanie znajduje się po drugiej stronie planety, ale zaraz do niego dotarło, że w tamtą stronę pędzi fala uderzeniowa, której nie zwolni zbyt wiele nawet droga wokół planety.

– Jezu Chryste! – W radiu rozległ się krzyk Aleksa. – Widzisz to?

– Dzwon na dół – próbował odkrzyknąć Basia. Zabrzmiało to bardziej jak paniczny szept. – Musisz ich ostrzec.

– Ostrzec? Co mają zrobić? – zapytał Aleks.

Wydawał się oszołomiony.

Co robisz, gdy planeta, na której stoisz, próbuje cię zabić?

Basia nie wiedział.

Rozdział dwudziesty dziewiąty

HOLDEN

Holden stał na niskim wzgórzu z widokiem na Pierwsze Lądowanie, próbując cieszyć się urodą planety, podczas gdy jego mózg wgryzał się w pół tuzina nierozwiązywalnych problemów, które powinien w jakiś sposób rozwiązać. Zwykle unoszący się w powietrzu pył został zmyty przez niedawne deszcze, co nadało miasteczku wygląd zadbanego i czystego. Spokojnego. Niebo w górze miało uderzający kolor indygo z ledwie delikatnymi smugami rozpadających się chmur na dużej wysokości. Według jego ręcznego terminala temperatura wynosiła dwadzieścia dwa stopnie Celsjusza, z łagodnym wiatrem o prędkości sześciu kilometrów na godzinę, wiejącym z północnego wschodu. Jedynym, co uczyniłoby to miejsce jeszcze lepszym, byłoby towarzystwo Naomi, a przynajmniej gdyby bezpiecznie wróciła na *Rosa*. To bardzo poprawiłoby sytuację.

– Brakuje mi planet – powiedział Holden, zamykając oczy i zwracając się w stronę słońca.

– Mnie nie – odpowiedział Amos.

Podczas popołudniowego spaceru zachowywał się tak cicho, że Holden prawie zapomniał o jego towarzystwie.

– Nie brakuje ci wiatru? Słońca na skórze? Łagodnego deszczu?

– Nie te elementy życia na planecie zapadły mi w pamięć – stwierdził Amos.

– Chcesz o tym porozmawiać? – zapytał Holden.

– Nie.

– Dobra. – Holden nie brał do siebie odmowy mechanika.

Wedle jego własnych słów, Amos miał dużo przeszłości w swojej przeszłości. Nie lubił, gdy ludzie w niej grzebali, a Holden był ostatnią osobą, która chciałaby próbować wydobyć coś z niego na siłę. I tak wiedział już o brutalnej młodości Amosa

na Ziemi więcej, niżby chciał.

– Chyba lepiej wracać – powiedział po jeszcze paru przyjemnych chwilach na wietrze. – Może przyszła odpowiedź RCE na moje żądania.

– Jasne. – Amos prychnął. – Jeśli szychy z RCE wysłały odpowiedź kilka sekund po odebraniu twojej wiadomości, powinna dotrzeć mniej więcej teraz.

– Nie pozwolę, by twoje fakty dotyczące czasu przelotu światła weszły w drogę mojemu optymizmowi.

– Niewiele to robi.

Holden milczał przez dłuższą chwilę. Obliznął wargi.

– Jeśli odmówią – powiedział. – Jeśli pozwolą Murtry’emu ją zatrzymać, będę musiał podjąć decyzję, czy ona jest ważniejsza od powstrzymania tego miejsca w stoczenie się w otwartą wojnę.

– Ano.

– Jestem prawie pewien, że wiem, co wybiorę.

– Ano.

– Niektórzy ludzie uznają, że jestem bardzo samolubny.

– Prawda – zgodził się Amos. – Ale wiesz co? Pieprzyć ich. Nie są nami.

– To podejście „oni i my” jest podstawowym problemem leżącym za tym wszystkim... – zaczął Holden, ale przerwał mu ręczny terminal, emitując priorytetowy alarm. Był to sygnał zarezerwowany na zagrożenie życia członka załogi. Naomi, pomyślał. Coś się stało Naomi.

Amos zrobił kilka kroków w stronę Holdena, marszcząc brwi i ściskając dłonie w pięści. Najwyraźniej pomyślał o tym samym. Jeśli coś faktycznie stało się Naomi, nie było mowy, żeby tym razem zdołał powstrzymać Amosa od zabicia Murtry’ego. Chyba by nawet nie próbował.

– Mówi Holden – odpowiedział, starając się mówić spokojnie.

– Mamy problem, kapitanie – powiedział Aleks.

Jego głos drżał, był przerażony. Holden brał z Alekssem udział w licznych bitwach. Nigdy jeszcze nie słyszał w jego głosie paniki, nawet gdy ślady rakiet zapełniały niebo. Cokolwiek to było, nie było dobrze.

– Jest ranna?

– Co? Kto? Mówisz o Naomi? Na ile wiem, nic jej nie jest – odpowiedział Aleks. – To wy macie przesrane, kapitanie.

Holden rozejrzał się wokół. Pierwsze Lądowanie wyglądało bardzo spokojnie. Nowa zmiana Pasiarzy wsiadała do wózków, które miały ich zabrać do kopalni. Ulicami szło kilka osób, zajmując się swoimi sprawami. Dwóch ochroniarzy RCE na patrolu rozmawiało spokojnie z miejscowym, popijając z termosu jakiś gorący napój. Jedynym śladem przemocy w zasięgu wzroku była jaszczurka papuzia powoli wciągająca do paszczy ptaka uwięzionego w żołądku.

– No? – powiedział Holden.

– Coś wybuchło po drugiej stronie planety – wyjaśnił Aleks, mówiąc na tyle szybko, że prawie potykał się o własne słowa, tracąc większość charakterystycznego akcentu. – Kompletnie zmiotło tamtejszy łańcuch wysp. To wygląda tak, jakby ktoś rzucił skałę. Coś na poziomie wybicia dinozaurów. Fala uderzeniowa leci teraz wokół planety. Macie jakieś sześć godzin. Może.

Gniew na twarzy Amosa został zastąpiony przez szczere zaskoczenie. Nieczęsto przybierał taki wyraz twarzy i wyglądał z tym trochę jak dziecko.

– Sześć godzin do czego, Aleks? – zapytał Holden. – Szczegóły.

– Szacuję wiatr o prędkości dwustu albo trzystu kilometrów na godzinę, błyskawice, gwałtowne ulewy. Jesteście dość daleko w głębi łądu, żeby uniknąć trzykilometrowego tsunami.

– Podstawowy pakiet bożego gniewu, minus utonięcie – skomentował Holden, sięgając po humor, by ukryć strach. – Jak bardzo jesteś tego pewien?

– Uch, kapitanie? Właśnie patrzę, jak druga strona planety rozpada się na kawałki. To nie jest prognoza, tylko szybko niknące tysiące kilometrów planety między wami a apokalipsą.

– Masz jakieś wideo do przesłania?

– Jasne – potwierdził pilot. – A ty masz świeże majtki na zmianę?

– Wyślij mimo wszystko. Może będę musiał przekonać

miejscowych. Rozłączam się.

– To co, kapitanie – odezwał się Amos. – Jaki mamy plan?

– Nie mam pojęcia.

* * *

– Pokaż to jeszcze raz – powiedział Murtry, gdy Holden odtworzył apokaliptyczne nagranie z teleskopów *Rosynanta*.

Holden, Murtry i Carol Chiwewe znajdowali się w ratuszu, z terminalem Holdena podłączonym do dużego ekranu wiszącego na ścianie.

Kapitan posłusznie odtworzył nagranie po raz drugi. Duża wyspa ponownie zniknęła w błysku światła i kolumnie ognia. Pozostałe wyspy znowu przepadły pod olbrzymią ścianą wody, a potem rozchodzącymi się chmurami pary i pyłu. Fala uderzeniowa jeszcze raz pognęła od środka wybuchu, ciągnąc za sobą niemożliwie wielkie fale wody.

Podczas odtwarzania nagrania Murtry cicho rozmawiał z kimś przez swój ręczny terminal. Carol lekko pokręciła głową, jakby nie dało się zaprzeczyć dowodom wyświetlanym na ekranie.

– To pasuje do naszych danych – oświadczył Murtry po skończeniu się filmu. – Grupa geoinżynierska uważa, że doszło do jakiegoś typu reakcji fuzyjnej blisko dna oceanu.

Holden zjeżył się na sugestię, że mógłby kłamać w sprawie czegoś tak poważnego, ale powstrzymał język.

– Jak bomba? – zapytała Carol Chiwewe.

– Albo awaria elektrowni obcych – odpowiedział Murtry. – Trudno zgadywać.

– Jak szybko możemy się ewakuować? – zapytała Carol głosem zdumiewająco spokojnym jak na osobę, która właśnie zobaczyła nadchodzący Armagedon.

– Właśnie o tym przyszliśmy porozmawiać – stwierdził Holden.

– Jak wygląda nasz najlepszy plan ochrony kolonii? Ewakuacja to jedna z opcji, ale zostało nam niewiele ponad pięć godzin.

– Ewakuacja się nie uda – odparł Murtry – przynajmniej nie z naszym promem. Okno czasowe jest zbyt małe. Startowalibyśmy tuż przed tą falą uderzeniową, mając

turbulencje i jonizację atmosfery, które próbowałyby nas strącić z nieba. Lepiej przetrwać tu na dole i nadal mieć potem prom na sprowadzenie pomocy.

Holden zmarszczył czoło, a potem przytaknął.

– Niechętnie to przyznaję, ale się zgadzam. Aleks mówi, że nie zdoła wylądować Rosem i odlecieć z powrotem, zanim dotrze tu fala uderzeniowa. A jeśli mimo wszystko spróbujemy ewakuacji, zapewne dojdzie do zamieszek. Jak mielibyśmy komuś powiedzieć, że jego dziecko nie zmieści się na promie?

– Zamieszki to nie problem – stwierdził Murtry.

Spokój w jego głosie mroził krew w żyłach.

– Jak możemy ochronić wszystkich? Całą kolonię? – zapytał Holden, decydując się zignorować prowokację.

– Są kopalnie – podsunął Amos.

Stał nad Holdenem jak zaniepokojony rodzic. Zaczął to robić za każdym razem, gdy w pobliżu znajdował się Murtry.

– Nie. – Carol pokręciła głową. – To są doły. Jeśli spadnie za dużo deszczu, zostaną zalane.

– Chyba powinniśmy liczyć na to, że zepsuje się wszystko, co tylko może – zgodził się Holden. – Czyli żadnych dołów ani jaskiń, które mogą zostać zalane wodą. Myślę o ruinach.

Murtry odchylił się na krześle, marszcząc brwi.

– Dlaczego sądzi pan, że wytrzymają wiatry rzędu trzystu kilometrów na godzinę?

– Szczerze? Nie mam dobrego powodu, żeby tak sądzić – przyznał Holden. – Ale stoją tu już od bardzo dawna. To jedyne, co mogę zaproponować. Nadzieję, że skoro wytrzymały tak długo, zdołają przetrwać i to, co nadciąga.

– To lepsze od chatek, w których mieszkacie – dodał Amos, wzruszając ramionami. – W dziesięć minut mogę rozwalić każdy budynek w tym mieście.

Murtry odchylił się na oparcie jeszcze bardziej, patrząc w sufit i cmokając cicho językiem.

– Dobra – powiedział po kilku sekundach. – To równie dobry plan, jak każdy inny. Musimy po prostu przetrwać pierwszą falę uderzeniową. To, co nastąpi później, będzie złe, ale będziemy

mogli przeprowadzić przez to wszystkich, którzy ocaleją. Rozegrajmy to na twój sposób. Każę się ruszać moim ludziom. Lepiej to ogłosić.

- Carol, znajdź jak najwięcej ludzi, żeby przekazywali wiadomość – poprosił Holden. – Dopilnuj, żeby wszyscy zabrali ze sobą tyle jedzenia i wody, ile tylko zdołają unieść, ale nic innego. Planeta płonie. Nie możemy się zatrzymywać, żeby ratować pamiątki.

- Pomogę jej – zaproponował Amos.

- Mamy sztywny limit czasu – przypomniał Holden, wprowadzając przy tym alarm w swój ręczny terminal. – Chcę was wszystkich widzieć w strukturze za cztery godziny i ani minuty później.

- Spróbujemy – odpowiedziała Carol.

* * *

Sprowadzenie kolonistów zajęło więcej czasu, niż Holden się spodziewał. Każdy musiał najpierw wyrazić szok i niedowierzanie. Potem trzeba było porozmawiać o ich zaskoczeniu. Potem o tym, co mają ze sobą zabrać. Niektórzy kłócili się o zabieranie rzeczy osobistych, każdy pewny, że jego przypadek jest szczególny. Za każdym razem, gdy Holden to słyszał, miał ochotę wrzeszczeć.

Problemem było błękitne niebo i łagodny wiatr. Katastrofa nie wydawała im się rzeczywista. Nie w sytuacji, gdy patrząc w górę, widzieli tylko błękit nieba i pojedyncze chmury. W końcu ustępowali, bo Holden, Carol i Murtry rządzą, a należało robić to, co każą rządzący, chyba że istniał bardzo dobry powód, by ich zignorować. Jednak Holden widział niedowierzanie w ich spojrzeniach, słyszał je w każdym głupim, opóźniającym ewakuację sporze.

Mężczyzna po drugiej stronie ulicy trzymał pod pachą zestaw ubrań, ciągnąc za sobą duży plastikowy pojemnik z wodą. Amos podszedł i wymienił z nim kilka słów, uśmiechając się. Mężczyzna energicznie pokręcił głową i spróbował odejść. Amos chwycił kłęb ubrań i rzucił je na dach pobliskiego domku,

a potem podniósł pojemnik z wodą i wcisnął mu w ramiona. Mężczyzna zaczął protestować, ale Amos popatrzył na niego ciężko z lekkim uśmiechem i w końcu tamten odwrócił się i poszedł, podążając za innymi w stronę ruin obcych.

– Kapitanie? – za jego plecami zabrzmiał niepewny głos.

Odwrócił się i zobaczył uśmiechającą się do niego Elvi Okoye z dużą torbą zarzuconą na ramię.

– Cześć – przywitał się. – Co pani tam ma?

– Koce. Fayez, Sudyam i ja bierzemy wszystkie koce, które mieliśmy w osadzie. Gdy okryje nas chmura pyłów, temperatura znacząco spadnie. Noce zrobią się zimne.

– Słusznie. Pewnie powinniśmy powiedzieć przynajmniej części ludzi, żeby zabrali koce.

– A przy okazji – dodała, wciąż ze swoim niepewnym uśmiechem – chciałam poprosić o pomoc dla grupy chemików.

– Pomoc?

– Zestaw do analizy chemicznej jest dość ciężki, mają problem z przeniesieniem go. Jedna czy dwie dodatkowe osoby bardzo by to ułatwiły.

Holden roześmiał się z niedowierzaniem.

– Nie będziemy tam robić badań naukowych, Elvi. Powiedz im, żeby go zostawili i zamiast tego zabrali wodę albo jedzenie.

– On robi wodę – odpowiedziała.

– Mogą zabrać... co robi?

– Może sterylizować i destylować wodę – wyjaśniła, kiwając głową, jakby w ten sposób mogła go szybciej przekonać. – Możemy go potrzebować. Kiedy już, no wiesz, skończą się zapasy butelkowanej.

– Tak – odpowiedział, czując się jak dureń.

– Tak – zgodziła się z pełnym nadziei uśmiechem.

– Amos! – krzyknął.

Kiedy wielkolud podszedł, wskazał Elvi.

– Znajdź kogoś, kto ci pomoże, a potem idź z nią. Mają duży kawał sprzętu, który trzeba przenieść.

– Sprzętu? – Amos zmarszczył brwi. – Czy jedzenie albo woda nie...

– On robi wodę – powiedzieli równocześnie Holden i Elvi.

– Jasne – rzucił Amos i odszedł pośpiesznie.

Holden zauważył, że zaczęło się subtelne przyciemnienie nieba. Słońce wciąż stało wysoko, niedawno minęło południe, ale światło zaczynało się robić czerwone, a świat ciemniał wraz z nim, jakby piękny zachód słońca zaczynał się jakieś pięć godzin za wcześnie. Coś w tej zmianie wywołało u niego dreszcz wzdłuż kręgosłupa.

– Idź tam – powiedział Holden, łagodnie popychając Elvi w stronę wież obcych. – Idź już. I powiedz swoim ludziom, żeby się pośpieszyli.

Musiał jej przyznać, że nie próbowała protestować tylko ruszyła biegiem z powrotem w stronę budynków naukowych RCE. Wszędzie wokół koloniści przyśpieszyli, ograniczyli spory i co chwila rzucali wystraszone spojrzenia w stronę nieba.

* * *

Holden nie był wewnątrz struktury obcych od czasu, gdy oglądał ją jako miejsce zbrodni. Emanowała taką samą upiorną i nieludzką estetyką, jaką widywał już wcześniej, najpierw na Erosie po zakażeniu, później na stacji pierścienia w sercu sieci wrót. Krzywizny i kąty nieznacznie niewłaściwe, a jednak równocześnie dziwnie piękne. Spróbował sobie wyobrazić, w jakim celu władcy protomolekuły wznieśli te budynki, ale bezskutecznie. Nie potrafił sobie wyobrazić ustawionych tu maszyn, jak w fabryce, ani zobaczyć w nich pomieszczeń mieszkalnych pełnych mebli i przedmiotów osobistych. Miał wrażenie, że puste jak teraz wciąż spełniały funkcję, którą wyznaczyli im ich obcy budowniczy.

Tu też Basia Merton z pozostałymi konspiratorami ukryli materiały wybuchowe. Tu zabili oddział ochrony. Najkrwawsze zbrodnie popełnione na planecie miały miejsce właśnie tutaj, gdzie teraz wszyscy się kierowali.

– Przelicz ich jeszcze raz – Carol Chiwewe zwróciła się do pomocników. – Kogo brakuje? Dowiedzcie się, kogo nie ma.

Liczyła kolonistów, od kiedy tylko tu dotarła, będąc prawie

ostatnią przybyłą. Za każdym razem uzyskiwali inne wartości w miarę jak docierali kolejni spóźnieni, a wszyscy kręcili się po pomieszczeniach. Zadanie było niemożliwe, ale Holden szanował jej potrzebę upewnienia się, że nikogo nie zostawili na zewnątrz.

Zespół naukowy RCE zebrał się razem w jednym z zaokrąglonych rogów centralnego pomieszczenia budynku, Elvi była między nimi. Kilku naukowców majstrowało przy dużym urządzeniu. Holden miał nadzieję, że przygotowawali je do oczyszczania dużych ilości wody. Lucia przeszła powoli przez salę, żeby zamienić kilka słów z Elvi, miała ze sobą syna, Jacka. Holden odetchnął z ulgą, że oboje tu dotarli. Basia na *Rosynancie* musiał szaleć z niepokoju, a Holden ucieszył się, że będzie mógł mu przekazać, że są na tyle bezpieczni, na ile było to możliwe.

– Hej, kapitanie – odezwał się Amos, wychodząc z bocznego pomieszczenia w towarzystwie kilku kolonistów. – Mamy problem.

– Kolejny? Gorszy od sunącej tu katastrofalnej burzy?

– Chyba można powiedzieć, że jest powiązany – odparł Amos. – Liczyliśmy ludzi i wygląda na to, że brakuje rodziny Dahlke.

– Jesteśmy tego pewni?

– Dość – potwierdził Amos, wzruszając ramionami.

Carol zobaczyła, że rozmawiają i ruszyła w ich stronę przez tłoczną salę.

– Mamy sto procent pewności – potwierdziła. – Clay Dahlke był w mieście po towar, gdy go ostrzeżyliśmy. Pojechał zabrać żonę i córkę. Ich dom jest najbardziej wysunięty poza osadę. Powinam była wysłać z nim kogoś, ale byłam głupia...

– Miała pani mnóstwo innych spraw na głowie – pocieszył ją Holden. – Jak daleko jest do domu Dahlkego?

– Trzy kilometry – odpowiedział Amos. – Pójdę tam z tymi facetami i zobaczymy, czy damy radę ich znaleźć.

– Poczekaj – odpowiedział Holden. – Nie jestem pewien, czy zdołacie przebyć sześć kilometrów w dwie strony w pozostałym czasie, nie mówiąc już o szukaniu kogoś.

– Nie zostawię tam małej dziewczynki, szefie – oświadczył Amos.

Ton jego głosu był starannie neutralny, ale Holden usłyszał w nim cień groźby.

– Dobra – ustąpił. – Ale najpierw zadzwonię na *Rosa* po aktualizację. Pozwól mi zrobić chociaż tyle.

– Jasne – zgodził się Amos. – I tak ktoś jeszcze szuka poncho dla dzieciaka.

Holden wyszedł z głównej sali i przez płataninę małych pomieszczeń wokół nich, próbując znaleźć wyjście. Budynek obcych był labiryntem połączonych korytarzy i sal. Idąc, wyciągnął ręczny terminal.

– Aleks, tu Holden, słyszysz mnie?

Dźwięk dochodzący z terminala był pełen szumów z silnej jonizacji atmosfery, ale Holden i tak usłyszał pilota, gdy ten odpowiedział.

– Tu Aleks. Jaka sytuacja?

– Daj mi aktualizację. Jak blisko jesteśmy?

– Och, szefie, wystarczy, że spojrzysz na zachód. – Lęk w głosie Aleksa był słyszalny nawet pomimo szumów.

Holden wyszedł w końcu przez główne wejście do wieży obcych i spojrzał w kierunku powoli opadającego słońca.

Na całej długości horyzont pokrywała czarna zasłona. Poruszała się tak szybko, że wydawała się pędzić ku niemu nawet z odległości dziesiątków kilometrów, to było jak czarne urwisko rozświetlane błyskawicami. Ziemia pod stopami drżała i trzęsła się, a Holden przypomniał sobie, że dźwięk wędruje przez ciała stałe szybciej niż przez powietrze. Odczuwane teraz wibracje były dźwiękiem tej furii, docierającym przez ziemię jak wczesny sygnał ostrzegawczy. Po chwili od zachodu zaczął dobiegać narastający ryk.

– Jak to wygląda? – Amos wyszedł z przedsiönka, zakładając lekki plecak.

Towarzyszący mu koloniści stanęli za nim z rysującą się na twarzach mieszanką strachu i nadziei.

– Już za późno, wielkoludzie – powiedział Holden, patrząc na zachód i kręcąc głową. – Zdecydowanie za późno.

Nie był pewien, czy jego słowa dotyczyły Dahlków czy ich

wszystkich.

Rozdział trzydziesty

ELVI

Nadszedł front burzy, początkowo z pozoru powolny – wysoka, fioletowoczarna kotłowanina wyższa od wieżowców, z tylko delikatnym poruszeniem ciepłego powietrza wskazującym, że jest prawdziwy – a potem między jednym oddechem a następnym uderzył z siłą ciosu. Powietrze z wodą i błotem trysnęło przez okna, drzwi i otwory w ruinach jak woda ze strażackiego węża. Dźwięk nie był zwykłym rykiem, ogłuszał. Elvi zwinęła się z plecami opartymi o ścianę ruin, rękami obejmując kolana i czekała. Ściany dygotały przy jej kręgosłupie, wibrując z uderzeniami huraganu.

Obok niej Michaela osłaniała dłońmi uszy, trzymając usta otwarte w krzyku, którego Elvi nie słyszała. Spodziewała się, że deszcz będzie zimny, ale wcale nie był. Szłam zbierający się na podłodze ruin był ciepły i słony, co na swój sposób było jeszcze gorsze. Splotła palce, ściskając je, aż rozboleły ją kostki. Gęsta od błota woda wypełniała powietrze do tego stopnia, że Elvi zaczęła mieć trudności z oddychaniem. Ktoś przecisnął się przez łuk drzwi po lewej, ale nie potrafiła go poznać, tak samo jak nie mogła powstrzymać katastrofy siłą woli. Była pewna, że ruiny się zawalą, że niezwykle starożytne ściany rozerwą się i razem ze wszystkimi innymi zostanie porwana przez burzę, zgnieciona, utopiona lub obie te rzeczy na raz. Na myśl przychodził jej lot ciężkim promem, zamieszanie i panika podczas gdy spadał, wstrząs uderzenia. Wrażenie było takie samo, tylko że trwało bez końca, aż stwierdziła, że prawie tęskni za nagłym wstrząsem upadku. Tamto przynajmniej miało koniec.

Wiedziała, że jest dzień, ale jedyne światło pochodziło z białych, zimnych lamp awaryjnych i niemal nieustannych błyskawic oświetlających ludzkie twarze jak stroboskop. Młody mężczyzna,

z twarzą zaciętą i nieruchomą, jak wykuty w kamieniu obraz cierpienia i wytrwałości. Dziecko mające najwyżej osiem lat, z głową schowaną na ramieniu matki. Wei i Murtry w mundurach, stojący blisko siebie jak kochankowie, krzyczący coś sobie do uszu w próbie bycia słyszonym, z czerwonymi twarzami. Potężne zmiany ciśnienia barometrycznego były niewidoczne, ale czuła je we wrażeniu przemożnej choroby, nieprawidłowości, przetaczającej się przez jej ciało. Nie potrafiła stwierdzić, czy wstrząsy pochodziły od ścian uderzanych burzą ruin, kolejnych niewielkich trzęsień ziemi czy z jej przeładowanego układu nerwowego.

Gdzieś po drodze uległo zmianie jej odczuwanie czasu. Nie potrafiła już stwierdzić, czy burza trwała godziny, dni czy minuty. Przypominało to częściową świadomość urazu, przekłętą cierpliwość bycia atakowanym z wiedzą, że jedyne, co może go skończyć, to łaskawość napastnika. Co jakiś czas wznosiła się na trochę wyższe poziomy świadomości, ale zmuszała się do zapadnięcia z powrotem w stupor. Szok. Może ogarniał ją szok. Jej świadomość zdawała się chwilami gasnąć. Leżała skulona obok Fayeza, trzymając go za łokieć, ale nie pamiętała, jak się tam znalazła. Ciemny, brązowzielony szlam błota sięgał do kostek w całych ruinach. Była nim pokryta. Oblepiał ich wszystkich.

Kiedy to się skończy, wrócę do swojej chaty, wezmę długi prysznic i będę spać przez tydzień, pomyślała. Wiedziała, że to niedorzeczne. Jej chata nie mogła wytrzymać tego huraganu jak zapałka nie mogła zostać zapalona pod wodą, ale i tak to pomyślała, a jakaś jej część wierzyła, że to prawda. Oślepiający błysk i ogłuszający wybuch nastąpiły niemal równocześnie. Zaciśnęła zęby, zamknęła oczy i trwała.

Pierwszą zauważoną przez nią zmianą był płacz dziecka. Było bardzo wyczerpane. Przesunęła się, z bluzą i spodniami przemoczonymi, zimnymi i przylepionymi do skóry szlamem. Wykręciła szyję, próbując odszukać źródło płaczu. Poczowała poruszenie myśli u podstawy czaszki, jeszcze zanim zrozumiała, o co chodzi, doznając surrealistycznego opóźnienia między zrozumieniem a jego świadomością. Słyszała płacz dziecka.

Słyszała coś – cokolwiek – innego niż nieustanna furia i jad burzy. Spróbowała wstać, ale ugięły się pod nią nogi. Zebrała się w sobie, klęcząc w szlamie, wyprostowała ramiona i spróbowała ponownie. Deszcz padał skosem przez okna ruin, ale tylko pod kątem jakichś dwudziestu stopni. Z czarnego nieba wciąż leciały strumienie wody. Wiatr uderzał, napierał i wył. W każdym innym kontekście byłby to straszny huragan, ale tu i teraz znaczyło to, że najgorsze mieli za sobą.

– Doktor Okoye?

Twarz Murtry'ego była podświetlona od dołu przez wiszącą mu na ramieniu latarkę awaryjną. Na jego twarzy jak zwykle rysowały się uprzejmy uśmiech i poważne skupienie. Jej otępiały umysł zaczął się zastanawiać, czy *cokolwiek* mogło wstrząsnąć jego duszą, i doszedł do wniosku, że prawdopodobnie nie. Chciała znaleźć pocieszenie w jego przewidywalności, ale ciało nie potrafiło odczuwać komfortu. Nie teraz.

– Dobrze się pani czuje, pani doktor? – zapytał, kładąc rękę na jej ramieniu.

Przytaknęła, a kiedy zaczął się odsuwać, chwyciła go.

– Jak długo?

– Front uderzył nieco ponad szesnaście godzin temu – odpowiedział.

– Dziękuję – odparła i odwróciła się z powrotem do okna i deszczu.

Błyskawice wciąż tańczyły między chmurami, sięgając do ziemi, ale teraz już nie tak często. Błyski pokazały jej zmieniony krajobraz. Tam, gdzie wczoraj rozciągała się pustynia, płynęły rzeki. Kwiaty, albo to, co uważała za kwiaty, zostały starte w nicość. Nie zostały nawet łodygi. Nie potrafiła sobie wyobrazić, jak mogłyby to przetrwać jaszczurki papuzie. Albo podobne do ptaków zwierzęta nazywane przez nią skalnymi jaskółkami. Chciała iść do niecki na wschód od Pierwszego Lądowania i zebrać próbki rosnących w tamtejszych cieniach różowych porostów. Teraz już nic z tego.

Jej gardło ścisnęło poczucie straty. Zdołała spojrzeć na ekosystem niepodobny do niczego, co widział ktokolwiek

wcześniej, siatkę życia, które wyrosło w oderwaniu od wszystkiego, co znała. Ona i jej współpracownicy byli jedynymi ludźmi, którzy kiedykolwiek weszli do tego ogrodu. A teraz przepadł.

– Zwykłym stanem przyrody jest dochodzenie do równowagi po ostatniej katastrofie – powiedziała. Był to truizm ekologów, który wypowiedziała tak, jak ktoś religijny mógłby wypowiedzieć modlitwę. Żeby znaleźć sens w tym, co zobaczyła. Żeby się pocieszyć. Nadać światu jakieś wrażenie celu lub znaczenia. Gatunki pojawiały się w określonym środowisku, które ulegało zmianie. Taka była natura wszechświata, tak było tutaj i na Ziemi.

Płakała cicho łzami, które trudno było odróżnić od deszczu.

– No proszę, tego się nie spodziewałem – odezwał się Holden.

Odwrociła się, by na niego popatrzeć. Mrok w ruinach sprawił, że stracił wszelkie barwy. Był wydrukiem Jamesa Holdena w sepia. Włosy miał mokre, przyklejone do głowy i szyi. Na koszuli mnóstwo błota.

Była zbyt zmęczona, by ukrywać uczucia. Ujęła jego dłoń w ręce i popatrzyła tam, gdzie on, w głąb ruin. Jego ręka w jej dłoniach była twarda i ciepła, a jeśli nawet kryła się w niej sztywność i wahanie, przynajmniej się nie cofnął.

Carol Chiwewe i jeszcze czterech dzikich lokatorów wyrzucało błoto przez okno sztywnymi plastikowymi panelami, chlapiąc zielonobrazową mazią po bladej szarości ścian. Za nimi dwadzieścia albo trzydzieści osób z Pierwszego Lądowania siedziało w grupach, byli przykryci kocami. Ochrona RCE chodziła między nimi, rozdając butelki z wodą i zapakowane w folię racje żywnościowe. Fayez i Lucia stali razem, rozmawiając z ożywieniem. Elvi nie słyszała słów.

– Nie wiem, co widzisz – wyznała. – Czego się nie spodziewałeś?

Ścisnął jej palce i puścił dłoń. Bez jego uścisku ręka zrobiła się bardzo zimna.

– Wasi ochroniarze pomagający Pasiarzom – wyjaśnił. – Chyba nic nie zbliża ludzi tak bardzo, jak katastrofa.

– To nieprawda – zaprotestowała Elvi. – Zawsze byliśmy gotowi do pomocy. Przylecieliśmy tutaj, planując pomoc. Nie wiem,

dłaczego wszyscy uważają nas za tak okropnych. Nie zrobiliśmy niczego złego.

Jej głos załamał się na ostatnim słowie i zaczęła płakać na całego. Czuła się dziwnie oderwana od swojego smutku, jakby przyglądała mu się z zewnątrz, a potem Holden położył dłoń na jej ramieniu i poczuła ból. Na jakiś czas ją opanował. Zalał. W pobliżu rozbłysły kolejno trzy błyskawice, głośne, jasne i gwałtowne, a ich grzmot potoczył się w dal.

– Przepraszam – powiedziała, gdy w końcu potrafiła się odezwać. – Po prostu było... tak wiele.

– Nie, to ja powinienem przeprosić – odparł Holden. – Nie chciałem sprawić, żebyś się gorzej poczuła. Po prostu...

– Rozumiem – powiedziała i znowu sięgnęła po jego dłoń.

Niech się z niej śmieje. Niech ją odrzuci. Teraz się tym nie przejmowała. Po prostu chciała być dotykana. Przytulana.

– Hej, kapitanie – rzucił Amos, wyłaniając się z ciemności. Miał na ramionach przezroczyste poncho z plastiku, którego kaptur z wysiłkiem próbował pomieścić jego gruby kark. – Dasz sobie radę przez chwilę?

Holden cofnął się o krok, oddalając się od niej. Poczuła krótki, irracjonalny atak złości na wielkiego mężczyznę za wtrącenie się. Zagryzła wargę i posłała mu gniewne spojrzenie. Jeśli je zauważył, nie dał tego po sobie poznać.

– Właściwie to nie wiem, jak odpowiedzieć na to pytanie – wyznał Holden. – Nie widzę powodu, dla którego miałbym od razu zginąć. To najlepsze, co w tej chwili mogę zaoferować.

– W każdym razie lepsze to od alternatywy – zgodził się Amos. – Ta rodzina Dahlke, która nie dotarła tu, zanim gównem trafiło w wiatrak? Paru z nas pójdzie ich poszukać.

Holden zmarszczył brwi.

– Jesteś pewien, że to dobry pomysł? Tam na zewnątrz nie wygląda to za dobrze. Jest tam pewnie więcej wody, niż to miejsce widziało od wieków. Będzie mnóstwo podtopień, a nie ma dobrego sposobu na ściągnięcie pomocy, jeśli coś się zawali.

– Mieli małą dziewczynkę – odpowiedział Amos.

Mężczyźni wymienili długie spojrzenie, które zdawało się nieść

wagę jakiejś wcześniejszej rozmowy. Elvi dziwnie się poczuła, widząc, jak dwóch członków rodziny porozumiewa się nieczytelnymi dla innych sygnałami.

– Uważaj na siebie – powiedział Holden po dłuższej chwili.

– Ten statek mógł już odpłynąć, ale zrobię, co będę mógł.

Podeszła do nich Wei. Zdjęła swój pancierz, ale wciąż niosła na plecach karabin automatyczny. Kiwnęła głową Amosowi.

– Mam jeszcze paru, którzy chcą się wybrać.

– Mnie to nie przeszkadza, jeśli nie przeszkadza tobie – odpowiedział Amos.

Wei przytaknęła. W jej oczach kryła się ciemność prawie równa tej u Amosa.

Elvi się obejrzała. Kilku ludzi wbijało się w poncho takie jak noszone przez Amosa. W ciemności i wśród zniszczeń trudno było powiedzieć, którzy z nich są dzikimi lokatorami, a którzy z RCE. Teraz trudno było odróżnić nawet Pasiarzy i Ziemian. Elvi nie wiedziała, czy to efekt ciemności, czy jakaś głębsza część jej mózgu zmieniała percepcję, nadając wszystkim ludziom jedną kategorię. Umysły potrafiły robić takie rzeczy.

Zauważyła pośród nich Fayeza i w ustach poczuła nagle miedziany smak strachu.

– Poczekaj – powiedziała, ruszając w jego stronę. – Fayez, poczekaj. Co ty robisz?

– Pomagam – wyjaśnił. – A także wydostaję się z tej puszki sardynek. Przywykłem do trochę większej odległości między ludźmi. Stresuje mnie samo przebywanie w obecności takiego tłumu.

– Nie możesz. Tam jest niebezpiecznie.

– Wiem.

– Zostań tu. – Chwyciła jego poncho i poderwała je do góry, próbując zdjąć mu je przez głowę. – Ja pójdę.

– Elvi – odpowiedział. – Elvi! Przestań.

Dłonie miała pełne plastikowej folii. Już była mokra.

– Niech idą sami – poprosiła. – To zawodowcy. Mogą się tym zająć. My... ludzie tacy jak my...

– Na tym etapie nie ma już nas i ich. Jesteśmy po prostu ludźmi

w złym miejscu – powiedział Fayeze. A po chwili dodał. – Wiesz, kim jestem, Elvi.

– Nie. Nie, jesteś dobrym człowiekiem, Fayeze.

Przekrzywił głowę.

– Chodziło mi o to, że jestem geologiem. Raczej mało prawdopodobne, żeby potrzebowali moich wykładów o tektonice płyt. O czym ty myślałaś?

– Och. Uch. Ja tylko...

– Chodźmy, profesorze – powiedziała Wei, klepiąc Fayeza w ramię. – Czas na spacer.

– Jak mógłbym odmówić? – odrzekł Fayeze, delikatnie wyjmując foliową pelerynę z dłoni Elvi.

Stała i patrzyła, jak cała szóstka idzie razem w stronę wyjścia. Amos, Wei, Fayeze i trzech dzikich lokatorów – nie, dwóch i Sudyam – z jednorazowymi chemicznymi latarniami w dłoniach. Wyszli w wicher. Stanęła przy oknie, ignorując deszcz, który natychmiast ją przemoczył. Amos i Wei szli na czele z opuszczonymi głowami i pelerynami powiewającymi z tyłu. Reszta szła blisko za nimi, byli stłoczeni jak kaczuśki. Noc wokół była czarna i gwałtowna, a oni szli w ulewny deszcz, z każdą chwilą robili się coraz mniej widoczni, aż całkiem straciła ich z oczu. Stała tam jeszcze przez chwilę z głową pustą i wyczerpaną.

Lucię i Jacka znalazła w jednej z większych sal. Dwoje Pasiarzy próbowało ustawić szeroki plastikowy panel przy jednym z okien tak, by zablokować deszcz, bo wiatr nie był już tak silny, by strzaskać plastik. Kilka osób zgarniało błoto spod nóg. Zrobili już tak wiele, Elvi zobaczyła blade pasy podłogi. Wszędzie wokół spali ludzie, zwinięci i przytuleni do siebie. Dźwięki burzy były wciąż na tyle silne, by zagłuszyć ich jęki. Przynajmniej większość.

Lucia podniosła wzrok i zobaczyła ją. Kobieta wydawała się starsza o dziesięć lat, ale i tak zdołała się uśmiechnąć. Elvi usiadła obok niej. Obie były pokryte słonym błotem i szlam zaczynał trochę śmierdzieć. Zgnilizną albo czymś podobnym. Zaczynały się rozkładać wszystkie drobne formy życia z wielkiego oceanu planety, zmiażdżone i porwane. Myśl o skali

otaczającej ich śmierci ścisnęła jej serce, więc postanowiła się nad nią nie zastanawiać.

– Mogę w czymś pomóc? – zapytała Lucia.

– Przeszłam zapytać o to samo – wyznała Elvi. – Powiedz mi, co mam robić.

* * *

Długa, koszmarna noc ciągnęła się dalej, a deszcz złagodniał tylko odrobinę. Przez chmury nie przebiło się żadne światło, żadne tęcze nie obiecywały końca katastrofy. Elvi chodziła od grupy do grupy, rozmawiając i sprawdzając. W niektórych siedzieli dzicy lokatorzy, w innych ludzie z RCE. Wszyscy mieli na twarzach podobne oszołomienie, takie samo zdumienie faktem, że wciąż jeszcze żyją. Woń szlamu robiła się coraz intensywniejsza i pełniejsza w miarę, jak rozkładały się zawarte w niej struktury organiczne. Elvi nie chciała sobie wyobrazić, jak będzie śmierdział świat, gdy skończą się deszcze i świat zostanie ogrzany promieniami słońca. To był problem na kiedy indziej.

Nie zauważyła, kiedy zapadła w sen. Siedziała przy oknie, wyglądając z nadzieją na dostrzeżenie powrotu grupy ratunkowej. Bardzo wyraźnie pamiętała głos Holdena za plecami i odpowiadającą mu kobietę. Chciała się odwrócić, odszukać go, zapytać, czy może pomóc. Czy może zrobić coś, żeby pozostać w ruchu, powstrzymać się przed myśleniem albo czuciem przez kolejną godzinę lub dłużej. Zamiast tego obudziła się.

Przez chwilę nie wiedziała, gdzie jest. Jej oszołomiony zmęczeniem mózg próbował umieścić ją w kabinie na *Israelu*, jakby wciąż leciała na Nową Ziemię. Jakby nic z tego jeszcze się nie zdarzyło. A potem wróciła teraźniejszość.

Leżała w kącie małego pokoju. Na wilgotnej ziemi wokół niej rozciągało się jeszcze osiem osób, z głowami opartymi na rękach. Ktoś chrapał i czyjeś ciało leżało przyciśnięte do niej. W oddali rozbłysła błyskawica i zobaczyła, że to Fayez. Grzmot nadszedł dłuższą chwilę później, stłumiony. Potem zauważyła zmieniony rytm deszczu. Dotknęła jego ramienia, potrząsając nim łagodnie.

Jęknął i przesunął się, z poncho trzeszczącym przy każdym

ruchu.

- Dzień dobry doktor Okoye – powiedział. – Co za spotkanie.
- Naprawdę?
- Co naprawdę?
- Czy to dzień?

Westchnął w ciemności.

- Szczerze mówiąc, nie wydaje mi się.
- Znaleźliście ich?
- Niczego nie znaleźliśmy.
- Przykro mi.
- Mam na myśli, że nie znaleźliśmy absolutnie niczego. Chaty zniknęły. Pierwsze Lądowanie przepadło. Jamy kopalni zniknęły, albo wygląd okolicy zmienił się tak bardzo, że nie zdołaliśmy ich odszukać. Nie ma dróg.

- Och.

- Kojarzysz te zdjęcia, które czasem pokazują z katastrof naturalnych? Te na których nie ma nic poza błotem i gruzem? Wyobraź sobie właśnie to, tylko bez gruzu.

Elvi położyła się z powrotem.

- Przykro mi.
- Będzie cudem, jeśli stracimy tylko ich. Zdołaliśmy się połączyć z *Israelem*. Dane atmosferyczne sugerują, że bardzo długo będziemy musieli sobie radzić bez słońca. Nikt nie wypowiedział słów „zima atomowa”, ale chyba bezpiecznie można przyjąć, że sytuacja nie wróci do miejscowej normy jeszcze przez bardzo długi czas. Mamy zasilanie bateryjne, które przywieźliśmy ze sobą, ale żadnej hydroponiki. Świeżej wody tylko tyle, ile zdoła wyprodukować zestaw chemiczny. Miałem nadzieję zobaczyć, że niektóre magazyny to przetrwały. Przynajmniej niektóre z nich były całkiem solidne.

- Mimo wszystko. Może wyniknie z tego coś dobrego.
- Podziwiam twój psychotyczny optymizm.
- Mówię poważnie. Popatrz na nas wszystkich. Poszedłeś tam z Amosem, Wei i miejscowymi. Jesteśmy tu wszyscy razem. Współpracujemy. Dbamy o siebie nawzajem. Może tego właśnie potrzeba było, żeby rozwiązać problem przemocy. Wcześniej

były tu trzy strony, teraz jest tylko jedna.

Fayez westchnął.

- To prawda. Nic tak nie podkreśla wspólnego człowieczeństwa jak katastrofa naturalna. A przynajmniej katastrofa. Moim zdaniem nic na tej planecie nie jest ani trochę naturalne.

- Czyli to coś dobrego - podsumowała.

- Owszem - zgodził się Fayez. - Daję sytuacji pięć dni - dodał po chwili.

Rozdział trzydziesty pierwszy

HOLDEN

Jako dziecko Holden widział skutki tornada. Na równinach Montany, gdzie dorastał, nie były częste, ale się zdarzały. Jedno z nich zahaczyło o kompleks handlowy kilka kilometrów od farmy jego rodziny, więc miejscowi zebrali się, by pomóc w sprzątaniu. Mama Tamara zabrała go ze sobą. Tornado uderzyło w targ rolniczy w centrum kompleksu, omijając przy tym sklep z paszami i stację paliw stojące po bokach. Targ został spłaszczony, jakby uderzyła w niego olbrzymia pięść – dach leżał płasko na ziemi, ściany były rozrzucone wokół. Zawartość stoisk leżała nawet setki metrów od miejsca uderzenia. Było to pierwsze spotkanie młodego Jamesa Holdena z nieujarzmioną potęgą natury i jeszcze przez wiele lat miewał koszmary o tornadzie niszczącym jego dom.

Tu było gorzej.

Holden stał w miejscu, które według ręcznego terminala było środkiem Pierwszego Lądowania, deszcz nieustannie spływał mu po poncho. Obrócił się powoli dookoła. Nie było tam niczego poza grubą warstwą błota, miejscami poprzecinanego strumykami wody. Nie było żadnych rozplaszczonych budynków, żadnych gruzów rozrzuconych po ziemi. Przy sile i czasie działania wiatru było całkiem prawdopodobne, że pozostałości Pierwszego Lądowania znajdowały się setki albo nawet tysiące kilometrów stąd. Koloniści nigdy się nie odbudują. Nie było czego odbudowywać.

Przez gęste chmury przedarła się seria błysków i sekundę później uderzył w niego grzmot pioruna jak artyleryjska salwa. Deszcz przybrał na sile, zmniejszając widoczność do kilkudziesięciu metrów i zasilając małe strumyki wycinające koryta przez błotnistą ziemię.

– Powiedziałbym „ale bajzel”, ale właściwie to coś wręcz przeciwnego – odezwał się Amos. – Nigdy jeszcze nie widziałem nic takiego, kapitanie.

– A co będzie, jeśli to się powtórzy? – zapytał Holden i zadrżał na tę myśl lub z powodu zimnej strużki wody ściekającej mu po plecach.

– Myślisz, że mają więcej niż jedno tego, co tam wybuchło?

– Ktoś już wie, czym było to pierwsze?

– Nie – przyznał Amos z westchnieniem. – Może duży reaktor fuzyjny. Aleks przysłał nowe dane, powiedział, że w pierwszym wybuchu poszło całkiem sporo promieniowania.

– Część z tego wróci na dół z deszczem.

– Część.

Łąka pod stopami poruszyło się i z ziemi wydostało się małe stworzenie podobne do ślimaka, desperacko próbując unieść głowę nad wodę. Amos niedbale kopnął je do jednego z pobliskich strumieni, gdzie zostało porwane przez prąd.

– Zaczynają mi się kończyć leki przeciwnowotworowe – przyznał Holden. – Radioaktywny deszcz raczej mi tutaj dodatkowo nie pomoże.

– Też tak myślę. Dla kolonistów też nie będzie dobry.

– Mamy jakiś plan? – zapytał Amos.

Jego ton sugerował, że nie spodziewa się odpowiedzi.

– Zabrać się z tej piekielnej planety przed następną katastrofą.

– A-kurwa-men – zgodził się Amos.

Poszli z powrotem w stronę wież obcych, brnąc przez gęste błoto i czasami przeskakując przez nowo powstałe rowy pełne wartkiej wody. Na ziemi było mnóstwo małych otworów w miejscach, gdzie na powierzchnię przepchnęły się jaskrawo ubarwione robakoślímaki, a we wszystkie strony ciągnęły się lśniące smugi znaczące ich ślady.

– Nigdy wcześniej ich nie widziałem – skomentował Amos, wskazując kolejne stworzenie powoli sunące po mokrej ziemi.

Nie były wiele większe od kciuka Holdena i nie miały oczu.

– Deszcz zmusił je do wyjścia na powierzchnię. Wcześniej było tu dość sucho. Założę się, że w tej chwili tonie mnóstwo

podziemnych stworzeń. Przynajmniej te tutaj potrafią się wydostać na górę.

– Owszem – Amos krzywił się, patrząc na jedno ze stworzeń. – Ale wiesz, wyglądają obrzydliwie. Wkurzę się, jeśli któreś wlezie mi w nocy do śpiwora.

– Dzieciak.

Jakby w odpowiedzi na troski Amosa ziemia się poruszyła i na powierzchni pojawiły się dziesiątki nowych ślimaków. Krzywiąc się z niesmakiem, Amos przeszedł między nimi. Starał się przy tym nie ubrudzić butów śluzem. Zostawiane przez nie ślady były szybko zmywane przez deszcz.

Zabrzączał ręczny terminal Holdena, więc wyciągnął go i zobaczył, że urządzenie ściągnęło wiadomość. Terminal od kilku godzin próbował się połączyć z Rosem. W końcu musiała się pojawić przerwa w burzy trwająca dość długo, by zdołał wysłać i pobrać wiadomości.

Spróbował otworzyć kanał do Aleksa, ale usłyszał tylko szum. Najwidoczniej łączność działała tylko przez chwilę i spóźnił się na ten moment. Jednak fakt, że dochodziło do chwilowych przerw w atmosferycznym zagłuszaniu, był dobrym znakiem sugerującym, że niedługo odzyskają łączność. Na razie mógł dalej wysyłać wiadomości, mając nadzieję, że w końcu zdołają dotrzeć do celu.

Pobrana przez terminal aktualizacja okazała się wiadomością głosową. Włożył słuchawkę do ucha i włączył odtwarzanie.

– To wiadomość dla kapitana Jamesa Holdena od Arturo Ramseya, głównego radcy prawnego Royal Charter Energy.

Holden wysłał kilkadziesiąt wiadomości do różnych wysokich rangą starszych wiceprezesów i członków rady nadzorczej RCE w sprawie uwolnienia Naomi. Otrzymanie odpowiedzi od głównego prawnika firmy nie było dobrym znakiem.

– Kapitanie Holden – wiadomość była odtwarzana dalej – Royal Charter Energy bardzo poważnie traktuje pańskie żądanie uwolnienia Naomi Nagaty z aresztu na pokładzie *Edwarda Izraela*. Jednakże sytuacja prawna, w której poruszamy się w tej chwili, jest w najlepszym razie mętna.

– Wcale nie jest mętna, oddajcie mi moją pierwszą oficer, pyszałkowate dranie – mruknął gniewnie Holden. Pokręcił głową w odpowiedzi na pytające spojrzenie Amosa i dalej słuchał nagrania.

– Obawiam się, że do czasu dalszego śledztwa zastosujemy się do sugestii zespołu ochrony na miejscu i zatrzymamy Naomi Nagatę w areszcie tymczasowym. Mamy nadzieję, że rozumie pan delikatną...

Holden z niesmakiem wyłączył nagranie. Amos uniósł brew.

– To prawnik z RCE, mówi mi, że zamierzają zatrzymać Naomi – wyjaśnił Holden. – Zgodnie z sugestią zespołu ochrony na miejscu.

– Murtry – sapnął Amos.

– A kto inny?

– W zasadzie to zastanawiam się, dlaczego nie spuściłeś mnie ze smyczy w tej sprawie, kapitanie – powiedział Amos.

– Ponieważ przed tym – Holden machnął ręką na błoto, deszcz i robaki – mieliśmy do zrobienia coś, w czym zamordowanie szefa ochrony RCE raczej by nie pomogło.

– Ale bardzo chętnie bym spróbował. Wiesz, choćby po to, żeby się sprawdzić.

– Cóż, przyjacielu, może jeszcze będziesz miał swoją szansę. Ponieważ zamierzam mu nakazać coś, czego bardzo nie będzie chciał zrobić.

– Och – odpowiedział Amos z uśmiechem. – Doskonale.

* * *

Kiedy wrócili do ruin, w obozie panował chaos. Ludzie gorączkowo wygarniali coś z wejścia do wieży, używając koców, patyków i innych prowizorycznych narzędzi. Z głębi struktury dobiegł pełen cierpienia krzyk, jakby ktoś odczuwał bardzo silny ból.

Doktor Okoye zauważyła ich z wejścia do wieży i pobiegła im na spotkanie.

– Mamy poważny problem, kapitanie. – Zanim zdążył odpowiedzieć, z piskiem strąciła kopniakiem dwa robaki z jego

stóp. – Uważaj!

Holden w czasie ich znajomości wielokrotnie widział, jak kobieta chwyta i zabija wiele okazów miejscowej fauny. Nigdy nie zrobiła na nim wrażenia przesadnie wrażliwej. Nie potrafił sobie wyobrazić powodu, dla którego w taki sposób reagowała na parę oślizłych odpowiedników ślimaków.

– Co się dzieje? – zapytał, gdy skończyła odrzucać od niego stworzenia.

– Zginął człowiek – odparła. – Ten, który był żonaty z mężczyzną i kobietą zajmującymi się wózkami. Ten wyższy. Chyba nazywał się Beth. Od nazwiska żony. To ona krzyczy w środku.

– I jaki to ma związek z robakami?

– Wydzielany przez nie śluz to neurotoksyna – z szeroko otwartymi oczami wyjaśniła Elvi. – Dotknął go i natychmiast został sparaliżowany. Pełna niewydolność oddechowa. Jeden z robaków wspinał się po ścianie koło miejsca, gdzie spali, więc złapał go, żeby wyrzucić na zewnątrz. Zanim zrozumieliśmy, co się dzieje, był już martwy.

– Jezu – rzucił Amos, patrząc na otaczające ich robaki wzrokiem łączącym szacunek z niesmakiem.

– Jakaś toksyna obronna? – zapytał Holden.

– Nie wiem – przyznała Elvi. – To może być tylko śluz pomagający w poruszaniu się, jak u ziemskich ślimaków. Może nie być toksyczny dla innych form życia na Nowej Ziemi. Nigdy wcześniej ich nie widzieliśmy. Jak możemy cokolwiek wiedzieć? Gdybym miała swój sprzęt do zbierania próbek, mogłabym wysłać dane na Lunę, gdybym mogła wysłać tam wiadomość, ale...

W miarę jak mówiła, głos Elvi robił się coraz wyższy. Gdy skończyła, prawie zalała się łzami.

– Ma pani rację – odpowiedział Holden. – To było głupie pytanie, a zresztą to i tak nie ma znaczenia.

– Dlaczego to... – zaczęła Elvi, ale Holden przepchnął się obok niej.

– Gdzie jest Murtry? – zapytał.

- Wewnątrz, organizuje ludzi do wyszukiwania i usuwania wszystkich ślimaków z budowli.

- Chodźmy, Amos - rzucił Holden. - Zmieńmy jego priorytety.

Strach panujący w środku był tak silny, że prawie czuło się go jak zapach. Połowa kolonistów pracowała gorączkowo, tworząc narzędzia do usuwania ślimaków i sprząając je z pomieszczeń. Druga połowa siedziała na podłodze, wielu ciasno owiniętych kocami, z pustym wyrazem twarzy. Ludzki umysł potrafił przetworzyć tylko pewną ilość zagrożeń. Każdy miał inną granicę i tak naprawdę Holden nie mógł mieć pretensji do ludzi, którzy zostali złamani przez ostatnie trzydzieści godzin. Właściwie to było zdumiewające, że nie spotkało to ich wszystkich.

Jednak wcale nie zaskoczył go widok żony i syna Basi pracujących z zespołem chemików.

- Doktor Merton - przywitał ją z przeprasającym uśmiechem.

- Kapitanie - odpowiedziała.

Jej uśmiech był bardzo delikatny i bardzo zmęczony. Jako jedyna lekarka kolonii miała bardzo długi dzień.

- Słyszałem o zgonie - zaczął, ale ucięła mu ostrym kiwnięciem głową i gestem w stronę zestawu do analiz chemicznych.

- Właśnie analizujemy toksynę - powiedziała. - Jest mało prawdopodobne, by z posiadanymi narzędziami udało nam się stworzyć antidotum, ale spróbujemy.

- Doceniam ten wysiłek - zapewnił Holden - ale mam nadzieję sprawić, że będzie niepotrzebny.

- Chce nas pan zmusić do odlotu? - zapytała, a słaby uśmiech zastąpiła smutna rezygnacja. - Po tym wszystkim...

- Może nie na zawsze - stwierdził Holden, kładąc dłoń na jej ramieniu.

Była bardzo szczupła.

Powoli kiwnęła głową, rozglądając się po brudnych, wystraszonych ludziach zapełniających salę.

- Nie mogę protestować. Nie zostało tu nic, o co moglibyśmy walczyć.

Och, pomyślał Holden, niektórzy ludzie zawsze znajdą powód do walki. A skoro o tym mowa.

– Muszę znaleźć Murtry’ego.

Lucia wskazała na otwór z tyłu, a Holden odszedł po ostatnim uściśnięciu jej ramion i posłaniu jej uśmiechu, który – miał nadzieję – dodał jej otuchy.

W sąsiednim pomieszczeniu Murtry siedział przykucnięty, przyglądając się czemuś na podłodze. Za nim stała Wei, z nosem skrzywionym w niesmaku i z karabinem w dłoniach.

– Wei. – Amos przywitał ją z kiwnięciem głową.

– Amos. – Oficer ochrony odpowiedziała z uśmiechem.

Holden zaczął się zastanawiać, co się tu dzieje. Nie mogli czegoś za sobą zaczynać, prawda? Kiedy mieliby czas na coś takiego? Ale zdecydowanie zachowywali się, jakby dzielili jakiś żart.

– Kapitanie Holden – odezwał się Murtry, nie dając mu więcej czasu na rozważania o możliwych sojuszach Amosa i Wei.

Na podłodze przed szefem ochrony RCE leżała przejrzysta, plastikowa miska, w której uwieczono ślimaka. Stwór obmacywał swoje więzienie zaostrzoną, bezoką twarzą.

– Masz nowego kumpla? – zapytał Holden, wskazując ślimaka.

– Mówią, że dobrze jest poznać wroga – odpowiedział Murtry.

– Mówią mnóstwo rzeczy.

– Tak, to prawda. Jak wypadł rekonesans?

– Mniej więcej tak, jak można było się spodziewać – przyznał Holden. – Wstępne raporty są prawidłowe. Nie została ani jedna cała struktura. Nie ma nawet żadnych pozostałości. Przepadły wszystkie zasoby kolonii. Możemy produkować wodę pitną z gruntowej do czasu, aż skończy się zaopatrzenie laboratorium chemicznego, ale to, co zostało na niebie, jest radioaktywne i prawdopodobnie żyją w tym różne rzeczy.

– No dobra – powiedział Murtry, drapiąc się po uchu grubym paznokciem. – Możemy się zgodzić, że w chwili obecnej dzika kolonia może się nie utrzymać?

– Nie musisz tego mówić z taką satysfakcją.

– Ściągnę tu na dół pomoc, jak tylko zdołamy nawiązać łączność. RCE z przyjemnością podzieli się zasobami z potrzebującymi.

– Bardzo wspaniałomyślne – skomentował Holden. – Ale RCE

będzie musiało wyświadczyć mi większą przysługę.

- Och - rzucił Murtry, wykrzywiając twarz w uśmiech. - Doprawdy?

- Tak. Proszę bardzo, sprowadź na dół prom z pomocą. Ewakuacja zajmie trochę czasu i będziemy potrzebować mnóstwo leków, żywności i schronienia do utrzymania tych ludzi w zdrowiu, zanim wszyscy stąd odlecą.

- Odlecą? Wygląda na to, że to pan oddaje przysługę nam, kapitanie.

- Nie skończyłem - powiedział Holden i zrobił krok do przodu, świadomie wkraczając w przestrzeń Murtry'ego. Ochroniarz zeszywniał, ale się nie cofnął. - Kiedy prom odleci, zabierze ze sobą część kolonistów. Najpierw chorych i osłabionych. A gdy tylko pańscy ludzie doprowadzą do użytku drugi prom, on też zacznie kursować. Wydam te same rozkazy *Barbapiccoli* i *Rosynantowi*. Opuścimy tę planetę, a jeśli nie zdołam upchnąć wszystkich na *Rosa* i *Barba*, *Edward Israel* zabierze pozostałych.

- Doprawdy? - Uśmiech Murtry'ego zrobił się lodowaty.

- Doprawdy.

- Nie rozumiem, dlaczego statek, który przywiózł tu dzikich lokatorów, nie może też ich stąd zabrać - powiedział Murtry.

- Po pierwsze, nie ma już dość miejsca - zaczął wyliczać Holden.

- W takim razie powinni wyrzucić rudę, którą nielegalnie ukradli z tej planety - wciął się Murtry.

- A po drugie - Holden kontynuował jakby mu nie przerwano - zostały im tylko resztki zasobów. Nie wsadzę setek ludzi na statek, który może nie dolecieć do *Medyny*. I wątpię, by zasady RCE nakazywały ignorowanie kryzysu humanitarnego. A nawet gdyby tak było, jest cholernie pewne, że to dałoby RCE fatalną prasę.

W odpowiedzi Murtry zrobił krok w stronę Holdena, składając ręce na piersi i przekształcając uśmiech w równie nic nieznaczące zmarszczenie brwi.

Plan B jest taki, że każę Amosowi cię tu zabić i po prostu wezmę, co chcę, gdy wyląduje prom, pomyślał Holden, ale postarał się,

żeby tego po sobie nie pokazać.

Jakby mógł odczytać jego myśli, Amos przesunął się do przodu i oparł dłoń na rękojeści pistoletu. Wei zrobiła krok w prawo, wciąż trzymając karabin.

Jesteśmy o włos od całkowitego spieprzenia tej sytuacji, pomyślał Holden. Ale nie mógł się wycofać. Od wyniku tej konfrontacji zależało życie kilkuset ludzi. Wei odchrząknęła. Amos uśmiechnął się do niej. Murtry przekrzywił głowę na bok, a zmarszczki na jego czole pogłębiły się.

No to jedziemy, pomyślał Holden i stłumił pragnienie przełknięcia śliny, która nagle wypełniła mu usta.

– Oczywiście – odezwał się Murtry. – Z przyjemnością pomożemy.

– Uch – westchnął Holden.

– Ma pan rację. Nie możemy ich tu zostawić – kontynuował Murtry. – I nie ma dla nich miejsca nigdzie indziej. Przekażę *Israelowi*, że będą mieli pasażerów, gdy tylko uda się nawiązać łączność.

– Doskonale – powiedział Holden. – Dziękuję.

– Doktor Okoye – odezwał się Murtry.

Holden obrócił się i zobaczył drobną uczoną, która weszła do pomieszczenia ze swoim zwykłym, niepewnym uśmiechem.

– Przepraszam, że przeszkadzam, ale mamy łączność radiową. Właśnie rozmawiamy z *Israelem*. Chciał pan, żeby mu powiedzieć, gdy tylko się połączymy.

– Dziękuję – rzucił Murtry i zaczął wychodzić za nią z sali. Zatrzymał się, jakby nagle coś sobie przypomniał i odwrócił się do Holdena. – Wie pan, jesteśmy w tej sytuacji tylko dlatego, że ci ludzie tu przylecieli i zbudowali swoje slumsy. Mieliśmy na ciężkim promie znacznie lepsze struktury. Wiele z tego dałoby się uniknąć.

– Och, nie. – Elvi odezwała się, zanim zdążył to zrobić Holden. – Ja też jestem bardzo nieszczęśliwa z powodu utraty kopuły i trwałych struktur, ale zarejestrowaliśmy podmuchy o prędkości trzystu siedemdziesięciu kilometrów na godzinę. Nie wytrzymałoby tego nic, co byśmy tu ustawili.

- Dziękuję, doktor Okoye - powiedział Murtry z krzywym uśmiechem - za skorygowanie mnie. Chodźmy porozmawiać ze statkiem, dobrze?

Gdy Murtry wychodził, Elvi zamrugała z niezrozumieniem.

- Czy on się na mnie wściekł?

- Skarbie - odezwał się Amos, klepiąc ją w plecy - to znaczy tylko, że nie jesteś dupkiem.

Rozdział trzydziesty drugi

HAVELOCK

Po utracie kontaktu radiowego z Murtrym Havelock próbował spać. *Powinien* spać. Nie mógł niczego zrobić. Przynajmniej na razie. Do czasu, aż będzie po wszystkim. Unosił się w swojej pryczy z pasami utrzymującymi go centralnie nad żelem i próbował zmusić świadomość do zgaśnięcia. Jego myśli nie chciały odpocząć. Czy wciąż żyli tam na dole? A co, jeśli ten wybuch był tylko pierwszym z kilku? A jeśli planeta eksploduje i zniszczy *Israela*? Czy powinien kazać Marwickowi przenieść statek na wyższą orbitę? Albo w ogóle oddalić się od planety? A jeśli *Barbapiccola* spróbuje zrobić to samo... co wtedy? Nie miał pozwolić im na zmianę orbity z pełnym ładunkiem rudy litu należącej do RCE.

Znowu zamknął oczy, ale otworzyły się, gdy tylko przestał świadomie trzymać je zaciśnięte. Po trzech godzinach poddał się, rozpiął pasy i poleciał do siłowni. Jego osłabione nieważkością mięśnie protestowały przy każdym powtórzeniu, a on wyświetlił u dołu ekranu obraz planety. Kompletnie zniknęły kontury Nowej Ziemi. Cała planeta stała się płaska i jednolicie szara, z chmurami zasłaniającymi przemoc rozgrywającą się pod nimi. Po cyklu ćwiczeń wykapał się, przebrał w świeży mundur i poszedł do swojego biura. Kolejka przychodzących wiadomości była pełna próśb o komentarze ze wszystkich istniejących sieci wiadomości oraz kilku, które uznał za wymyślone. Wszystkie przekierował do siedziby głównej korporacji na Lunie. Niech sami odpowiadają, jeśli chcą. Na tym etapie wiedzieli tyle, co on.

Sprawdził łączność z planetą, ale sygnał nie przedzierał się przez chmury. Więc sprawdził ponownie. I jeszcze raz. Szara planeta milczała.

– Jakies wieści? – zapytała więźniarka.

- Nic - odpowiedział Havelock. - Przykro mi - dodał po chwili.
- Mnie też - rzuciła. - Nic im nie będzie.
- Mam nadzieję.
- A ty się trzymasz?

Havelock obejrzał się na nią. Jak na osadzoną w celi sabotażystkę, która siedziała tam już wiele dni, wyglądała bardzo spokojnie. Prawie na rozbawioną. Stwierdził, że uśmiecha się do niej.

- Może jestem trochę zestresowany - przyznał.

- Tak. Przykro mi z tego powodu.

- Nie twoja wina - rzucił Havelock. - To nie ty tutaj podejmujesz decyzje.

- To ktoś tu podejmuje decyzje? - zapytała Naomi, a za jego plecami odchrząknął mężczyzna.

Havelock z sykiem łożysk obrócił pryczę, żeby spojrzeć w stronę wjazdu. Unosił się tam główny inżynier. Na rękawie kombinezону roboczego miał opaskę milicji.

- Cześć, szefie - powiedział, wlatując do pomieszczenia. - Zastanawiałem się, czy możemy porozmawiać. Raczej sami.

- Możesz włączyć ekran prywatności, jeśli chcesz - rzuciła Naomi. - I tak wszystko będę słyszeć.

Havelock rozpiął pasy i wypchnął się z fotela.

- Wróć - rzucił przez ramię.

- Zawsze zastaniesz mnie w domu - odpowiedziała Naomi.

Kantyna miała przerwę między godzinami szczytu. Główny inżynier wziął bańkę kawy dla siebie i drugą dla Havelocka. Unosili się razem przy stole przynitowanym do podłogi. Siła przyzwyczajenia.

- Rozmawialiśmy - wyznał główny inżynier Koenen. - O zdarzeniu.

- Tak, to w zasadzie jedyna sprawa, o której mogę teraz myśleć.

- Jak bardzo jesteście pewni, że jest... no cóż... *naturalne*?

- Jak dla mnie to w zasadzie sto procent na to, że nie było - odpowiedział Havelock z ponurym uśmiechem. Twarz inżyniera jakby się zamknęła, a Havelock napał dalej. - Ale może to zależy od tego, co ma pan na myśli, mówiąc o naturalnym. Coś panu nie

daje spokoju?

– Nie chciałbym sprawić wrażenia paranoika, ale czas tego zdarzenia wydaje się dość wygodny. Złapaliśmy mediatora ONZ na gorącym uczynku. Wrzuciliśmy sukę do aresztu, a potem znikąd pojawia się wielka katastrofa i odwraca od niej uwagę wszystkich.

Havelock napił się kawy.

– Co ma pan na myśli, inżynierze? Że to zostało ukartowane?

– Ci dzicy lokatorzy przylecieli tam przed nami. Nie wiemy, czy przypadkiem nie znaleźli czegoś, o czym nam nie powiedzieli. A Holden pracował dla SPZ. Dla pieprzonego Freda Johnsona, nie? Cholera, wszystko, co słyszałem, sugeruje, że sypiał z tą pasiarską dziewczyną, którą złapaliśmy. Nie jest lojalny Ziemi. I to on poszedł do tej obcej cokolwiek-to-jest na stacji *Medyna*, unoszącej się w środku i wrócił cały. Oglądałem trochę niezależnych kanałów. Ci marsjańscy marines, którzy poszli tam za nim? Od tamtego czasu ze wszystkimi dzieją się bardzo dziwne rzeczy.

– Jakie dziwne rzeczy?

Oczy głównego inżyniera rozjarzyły się i nachylił się do przodu w geście intymności i zbliżenia typowym dla grawitacji. Przez następne pół godziny relacjonował kolejno mnóstwo dziwnych zdarzeń. Jeden z marines zmarł na zator podczas lotu z wysokim ciężeniem tuż przed umówionym spotkaniem z kuzynem, który prowadził popularny kanał informacyjny. Inny odszedł z wojska i nie rozmawiał z nikim o tym, co się tam stało. Opowiadano pogłoski o tajnym raporcie sugerującym – silnie sugerującym – że James Holden został zabity na stacji, a jego miejsce zajął dubler. Co miało sens, biorąc pod uwagę wszystkie zmiany, których protomolekuła mogła dokonać w ludzkim ciele: stworzenie nowego na obraz istniejącego nie powinno być dla niej trudne. Tylko że raportu nigdy nie upubliczniono, a ludzie, którzy go czytali, stali się celem dyskredytującej ich kampanii pomówień.

Havelock pił kawę i słuchał, kiwając głową i czasami zadając pytania – przede wszystkim dotyczące źródeł informacji

podawanych przez głównego inżyniera. Kiedy skończyli, obiecał przyjrzeć się sprawie, a potem wrócił do swojego biurka. Planeta na ekranie nadal była pokryta chmurami.

- Wszystko w porządku? - zapytała Naomi.

- Tak - potwierdził. A po chwili dodał. - Po prostu przestraszeni ludzie próbują znaleźć wersję wydarzeń, w której ktoś nad tym wszystkim panuje.

Zaśmiała się.

- Tak. Robię to samo.

- Tak? W jaki sposób?

- Obgryzając paznokcie i modląc się - odparła. - Głównie się modląc.

- Jesteś religijna?

- Nie.

- Czy ty i Holden jesteście tajnymi szpiegami obcych, którzy wysadzili planetę w ramach konspiracji Pasiarzy, mającej na celu odwrócenie uwagi mediów?

Śmiech Naomi był bardzo głęboki.

- Och, o to chodziło? Tak mi przykro.

Havelock też się zaśmiał, choć z poczuciem winy. Koenen był jednym z jego ludzi, a Naomi Nagata sabotażystką i wrogiem. Mimo wszystko było to trochę zabawne, a nie miał nikogo innego, z kim mógłby porozmawiać.

- Nie jest tak źle. Teorie spiskowe pojawiają się zawsze, gdy ludzie uważają, że wszechświat jest zbyt przypadkowy. Absurdalny. Jeśli to spisek wroga, to przynajmniej ktoś podejmuje decyzje.

- Pasiarze.

- Tym razem, tak.

- Zamierzają się tu wdrzeć i wyrzucić mnie przez służbę?

- Nie, nie są tacy - odpowiedział Havelock. - To dobrzy ludzie.

- Dobrzy ludzie uważający, że zniszczyłam planetę.

- Nie, że zrobił to twój podmieniony przez obcych chłopak, żeby ludzie przestali myśleć o tobie. Nie martw się, nic ci nie grozi. Nikt tak naprawdę nie uważa, że współpracujesz z protomolekułą. Po prostu są przestraszeni.

Naomi ucichła. Czubkami palców oparła się o klatkę i nuciła cicho pod nosem. Havelock nie znał tej melodii. Znowu sprawdził przychodzące wiadomości. Kolejnych kilka próśb o komentarze. Wiadomość od członka ochrony z informacją, że Pasiarze na *Israelu* zaczęli siadywać razem w kantine i wspólnie ćwiczyć w siłowni. Mężczyźnie piszącemu raport wydało się to podejrzane. Dla Havelocka wyglądało to na wzajemną ochronę. Będzie musiał pomyśleć, co z tym zrobić. Jeśli w ogóle. Sygnały radiowe wciąż nie docierały na planetę. Analiza czujników podczerwieni sięgających przez pokrywę chmur sugerowała, że Pierwsze Lądowanie zostało niszczone przez burzę. Skupił uwagę na danych z czujników wysyłanych na Ziemię. Może ktoś tam znajdzie w nich jakiś sens. Kanały wiadomości zaczynały już spekulować, że przyczyną wybuchu było przeładowanie rdzenia fuzyjnego. Ponieważ dowiedział się przed chwilą, że Jim Holden może być udającym człowieka obcym, bardzo sceptycznie podchodził do wszystkiego.

Kiedy sześć godzin później jego terminal ręczny rozjarzył się żądaniem połączenia od Murtry'ego, Havelock poczuł, jak z jego ramion spada wielki ciężar. Przyjął połączenie, a na ekranie pojawił się nieostry, niskiej rozdzielczości obraz jego szefa. Połączenie przycinało i skakało, ale jakość dźwięku była przyzwoita, poza odrobiną szumów.

– Dobrze cię widzieć, Havelock. Jak się tam wszystko trzyma na górze?

– Żadnych skarg, sir. Głównie czekamy na wieści od was. Wygląda na to, że macie tam cholernie wielką burzę.

– Straty w ludziach były minimalne – rzucił Murtry. – Kilku dzikich lokatorów nie raczyło dotrzeć do schronienia na czas, a deszcze doprowadziły do wyjścia z ziemi jakichś robaków, które zabijają, gdy dotknie się ich śluzu. Stracili przez nie jeszcze jednego. Naszym ludziom nic nie jest. Ale obóz przepadł.

– Nasz czy ich?

– Nasz i ich. Wszyscy tu na dole będą musieli zaczynać od zera.

– Przykro mi to słyszeć.

– Dlaczego?

Havelock zamrugał. Na jego ustach pojawił się nerwowy uśmiech.

– Bo właśnie wszystko straciliśmy.

– Nie straciliśmy tyle, ile oni – powiedział Murtry. – A to oznacza zwycięstwo. Będziemy musieli załadować na prom sprzęt ratunkowy i ściągnąć go tutaj. Żywność, czystą wodę, środki medyczne. Ciepłe ubrania. Ale żadnych budynków. A jeśli już, to dopilnuj, żeby to były te tanie z laminatów, które nie wytrzymają dłużej niż tydzień.

– Jest pan pewien? Możemy przygotować budynki z prefabrykatów...

– Nie. Na planetę nie zleci nic przypominającego trwałe schronienie, dopóki nasi ludzie nie będą jedynymi, którzy z nich skorzystają. I zabierzemy na górę trochę miejscowych. Możesz zacząć urządzać coś dla jakiejś setki ludzi? Nie musi być nic wygodnego, ale musimy mieć kontrolę nad pomieszczeniami.

– Sprowadzamy dzikich na *Israela*, sir?

– Zabieramy ich z planety i umieszczamy pod naszą kontrolą – z uśmiechem odpowiedział Murtry. – Jego świątobliwość papież Holden uważa, że mnie do tego zmusił groźbami. Ten facet jest bystry jak martwy kot.

Havelock nagle stał się wyraźnie świadom tego, że osłona prywatności Naomi jest wyłączona i kobieta słyszy każde słowo ich rozmowy. Spróbował wymyślić jakiś sposób na włączenie jej tak, żeby Murtry nie zauważył, że do tej pory zapomniał o procedurze.

– Jakiś problem, Havelock?

– Nie, zastanawiam się tylko, gdzie ich umieścić, sir – odparł Havelock. – Coś wymyślimy.

– Doskonale. Ta sprawa była bardzo korzystnym zdarzeniem. Jeśli dobrze to rozegramy, pozbędziemy się z planety wszystkich dzikich lokatorów. A nawet jeśli nam się to nie uda, będą mieli cholerne problemy z dowiedzeniem, że mają tu działającą kolonię. – Uśmiech Murtry'ego był bardzo krzywy. – Przez ostatnie trzydzieści sześć godzin zrobiliśmy chyba większy postęp w stronę naprostowania tego bajzlu niż przez cały

wcześniejszy pobyt tutaj.

Naomi uderzyła kostkami palców o kraty, które zabręczały na tyle cicho, że nie wyłapał tego mikrofon ręcznego terminala. Pytająco uniosła brwi, ale się nie odezwała. Havelock wykonał najmniejsze możliwe kiwnięcie głową.

– A co z zespołem mediatorów? – zapytał. – Z Holdenem i jego ludźmi?

– Holdenowi i Burtonowi nic nie jest. Burton prawie dał się złapać w najgorszej wichurze, ale w końcu do tego nie doszło – powiedział Murtry z uśmiechem i wzruszeniem ramion. – Nie można mieć wszystkiego.

Havelock skrzywił się, myśląc o tym, jak słowa Murtry'ego musiały zabrzmieć dla kogoś, kto go nie znał.

– Cóż, proszę im przekazać, że zbieramy sprzęt do wysłania na dół i polecimy z tym, jak tylko da się przebić przez powłokę chmur.

– Żadnych trwałych struktur.

– Nie, sir. Rozumiem.

– Kiedy prom będzie wracał, zabierze też część naszego zespołu naukowego. Tych, którzy trochę za bardzo się bratają z miejscowymi. Przygotuję listę do ewakuacji.

– Czy chce pan, żebym... uch... przygotował drugi prom do normalnej służby? – zapytał Havelock, mając nadzieję, że Murtry nie każe mu utrzymywać aktywnej broni. W połączeniu zapadła cisza. – Sir?

– Chyba będziemy musieli, prawda? – odpowiedział Murtry. – Tak, w porządku. Ale bądź gotów włączyć go do gry, jak tylko skończy się ewakuacja. Nie lubię na darmo rezygnować z naszych przewag.

– Owszem, sir – zgodził się Havelock. – Zajmę się tym.

– Dobra robota.

Połączenie zgasło. Havelock zaczął wywoływać harmonogram służby i listy zapasów. Minęła prawie minuta, zanim zaryzykował spojrzenie na Naomi. Wyglądała, jakby zjadła coś bardzo nieprzyjemnego.

– To dla niego pracujesz?

- Jest szefem ochrony – przyznał Havelock.
- To żmija.
- Tylko tak to zabrzmiało – zaprotestował Havelock. – Nie wiedział, że go słyszysz.
- Gdyby wiedział, mógłby syczeć trochę inaczej – rzuciła. A po chwili dodała: – Macie na pokładzie jakieś selektywne katalizatory apoptozy?
- Onkocydy, leki przeciwnowotworowe? Jasne, to standardowy element wyposażenia medycznego.
- Mógłbyś wysłać trochę na dół tym promem?
- Wydaje mi się, że antybiotyki i czysta woda będą bardziej...
- Holden ich potrzebuje. Na Erosie dostał dużą dawkę promieniowania. To nic poważnego, gdy mamy ambulatorium, ale co miesiąc albo dwa pojawia się u niego nowy rak. A o ile Aleks nie zdecyduje się zabrać *Rosa* w tę zupę, mogą siedzieć na dole jeszcze trochę.
- Prawdopodobnie powinien odmówić. Była jego więźniem i oddawanie jej przysług nie należało do jego obowiązków. Ale nie dała znać Murtry’emu, że słucha ich rozmowy. Mogła go zawstydzić, a tego nie zrobiła.
- Jasne – rzucił. – Nie widzę powodu, żeby nie.
- A to z tym martwym kotem...
- Tak?
- Przez ostatnie kilka lat mnóstwo ludzi nie doceniło Jima – powiedziała. – I wielu z nich już z nami nie ma.
- Groźba?
- Ostrzeżenie, żebyś nie popełniał tego samego błędu, co twój szef. Lubię cię.

* * *

Zebranie listy rzeczy do wysłania na dół było łatwe. Wszyscy na pokładzie czekali tylko na okazję zrobienia czegoś. Żywność, świeża woda, koce z poliwłóki i środki medyczne – włącznie z pudełkiem onkocydów z nazwiskiem Holdena na wierzchu – wypełniły prom, aż prawie nie dało się zamknąć drzwi. Havelock przyłapał się na obserwowaniu czujników i czekaniu, aż chmury

przerzedzą się nie tyle, by dało się zobaczyć maleńkie światełko Pierwszego Lądowania. Ze wstrząsem przypomniał sobie, że te światła już się nie pojawiają. Że przepadły. Havelocka tam nie było. Nigdy nie zszedł na powierzchnię Nowej Ziemi, a jednak bardzo niepokoiła go świadomość, że ludzkie osiedle zostało całkowicie zniszczone.

– Prom dwa prosi o pozwolenie na zejście – odezwała się pilot spokojnym głosem.

– Tu kapitan Marwick. Udzielam pozwolenia. Powodzenia.

Havelock przyglądał się na ekranie, jak rozjarzają się dysze promu, odsuwając go od *Israela* i sprowadzając w dół. Największym zagrożeniem były turbulencje w dolnych partiach atmosfery. Nawet jeśli w innych warstwach wiały silne wiatry, powietrze było tam na tyle rzadkie, że maszyna zdoła sobie z nimi poradzić. Wiedział, że prawdziwe niebezpieczeństwo zacznie się, gdy prom dotrze do chmur.

Maszyna opadła, jej korpus stał się tylko jasną plamką na tle ciemnej szarości chmur. Dane przesyłane z czujników wyglądały prawidłowo. Turbulencje były silniejsze, niż Havelock się spodziewał, ale nie aż tak złe, jak się obawiał. Ale im głębiej schodził...

Kanał z danymi zniknął. Havelock przełączył się na obraz z kamer akurat na czas, by zobaczyć, jak znika jasny rozbłysk po maszynie. Chmura dymu kilka kilometrów wyżej wskazywała, gdzie doszło do wybuchu. Wstrząs i przejęcie tym zdarzeniem zadziałały jak uderzenie w brzuch. Ledwie zauważył migotanie świateł *Israela* i zacięcie się startujących ponownie wymienników powietrza.

– Havelock? – odezwała się więźniarka. – Havelock, co się dzieje? Coś poszło nie tak? Dlaczego wszystko się restartuje?

Zignorował ją, nachylając się blisko nad ekranem terminala. Prom został zniszczony, spadając ku odległej powierzchni Nowej Ziemi w setkach płonących kawałków. Ale na obrazach było coś jeszcze. Przez chmurę dymu i odłamków w miejscu wybuchu przechodziła ledwie widoczna kreska. Coś zestrześliło prom. Jego pierwszą myślą był *Barbapiccola*. Potem *Rosynant*. Wywołał dane

śledzenia orbitalnego, próbując sprawdzić, jak wrogi statek podjął działanie, ale jedynym, co przecinało się z kreską w chwili zniszczenia promu, był jeden z tuzina małych księżyców Nowej Ziemi...

Zaschło mu w ustach. Dotarł do niego ryk klaksonu awaryjnego, choć zrozumiał, że musiał hałasować już od dłuższej chwili. Zapewne od czasu wybuchu promu. Tak przypuszczał. Naomi Nagata krzyczała do niego, próbując ściągnąć jego uwagę, próbując skłonić do rozmawiania z nią. Wystukał priorytetowe żądanie o połączenie z kapitanem Marwickiem. Kapitan nie odpowiadał przez pięć długich sekund.

– To była planeta – powiedział. – Prom. Został zestrzelony przez coś znajdującego się na jednym z tych księżyców.

– Widziałem – potwierdził Marwick.

– Co to, u diabła, było? Jakiegoś rodzaju broń obcych? Czy wybuch planety włączył jakiegoś typu siatkę obronną?

– Nie potrafię odpowiedzieć.

– Potrzebuję wszystkich danych, jakie mamy na ten temat. Ze wszystkich czujników. Wszystkiego. Muszę to wysłać na Ziemię i przygotować dla Murtry'ego i zespołu naukowego. Udzielam pozwolenia na zapoznanie się z nimi wszystkim członkom załogi i naukowcom. Naszym priorytetem jest zdobycie jakichkolwiek informacji na ten temat.

– To może nie być nasz główny priorytet – odpowiedział kapitan. – Mam teraz trochę dużo na głowie, ale jak tylko będę miał wolną chwilę...

– To nie jest prośba – krzyknął Havelock.

Kiedy Marwick znowu się odezwał, mówił bardzo zimnym tonem.

– Sądzę, że chyba nie zauważył pan, że jedziemy na zasilaniu bateryjnym, sir?

– My... co takiego?

– Zasilanie bateryjne. Awaryjne, można by rzec.

Havelock rozejrzał się po biurze. Miał wrażenie, że widzi je po raz pierwszy. Jego biurko, szafka z bronią, cele. Naomi patrząca na niego z wyrazem ledwie kontrolowanego niepokoju.

- Czy... czy to strzeliło też do nas?
- Nie, na ile mogę stwierdzić. W każdym razie w kadłubie nie ma żadnych nowych dziur.
- To co się dzieje?
- Nasz reaktor nie działa – wyjaśnił Marwick. – I wygląda na to, że nie chce się włączyć.

Rozdział trzydziesty trzeci

BASIA

– Co to znaczy? – zapytał Basia.

– No cóż – odpowiedział Aleks – to skomplikowane, ale te małe peletki paliwa są wstrzykiwane do butelki magnetycznej, gdzie strzelają do nich lasery. To powoduje fuzję atomów w paliwie i uwolnienie mnóstwa energii.

– Nabijasz się ze mnie?

– Nie – zaprzeczył Aleks. – No, może odrobinę. O co mnie właściwie pytasz?

– Skoro reaktor nie działa, czy to znaczy, że się rozbijemy? Czy statek jest zepsuty? Czy to tylko my? *Co to wszystko znaczy?*

– Powoli – odparł Aleks. Siedział w fotelu pilota, robiąc coś skomplikowanego ze swoim panelem sterowania. – Tak – powiedział w końcu, przeciągając to słowo w westchnięcie. – Reaktory nie działają też na *Israelu* i *Barb*. Dla nich to dużo gorsze niż dla nas.

– Felcia... moja córka jest na *Barbapiccoli*. Czy coś jej grozi?

Aleks znowu zajął się swoim panelem, stukając w przyciski funkcyjne szybciej, niż Basia potrafił za nim nadążyć. Cmokał przy tym. Te dźwięki sprawiały, że czekający na odpowiedź Basia miał ochotę krzyczeć i zadusić lakonicznego pilota.

– Cóż – powiedział w końcu Aleks, a potem wcisnął ostatni przycisk i na ekranie pojawił się obraz Ilusa otoczony licznymi krzywymi. – Tak, orbita *Barb* będzie schodzić...

– Statek się rozbije? – wrzasnął na niego Basia.

– Nie powiedziałbym, że się rozbije, ale wszyscy trzymaliśmy się dość nisko, z tym przywożeniem rudy i wszystkim. Przeważnie po prostu dodając trochę prędkości, jak zwykle, ale...

– Musimy ją wy dostać!

– Spokojnie! Daj mi skończyć – odkrzyknął Aleks, klepiąc

powietrze uspokajającym gestem, od którego Basia miał ochotę walnąć go w twarz. – Orbita zawsze się obniża, ale nic im nie grozi jeszcze przez wiele dni. Może dłużej, w zależności od tego, jak długo mogą zasilać silniki manewrowe z akumulatorów. W tej chwili Felci nic nie grozi.

– Polecmy po nią – powiedział Basia, oddychając głęboko, żeby jego słowa brzmiały spokojnie. – Możemy to zrobić? Możemy polecieć do jej statku bez reaktora?

– Jasne. *Ros* to okręt wojenny, ma bardzo solidne akumulatory. Jeśli trzeba, możemy zrobić sporo manewrów orbitalnych. Ale bez reaktora każda odrobina energii pobrana z akumulatorów przepadnie. Nie zostanie uzupełniona. Jeśli za dużo jej stracimy, znajdziemy się w takiej samej sytuacji, jak oni. Niczego nie zrobimy, zanim nie stworzymy jakiegoś planu. Więc uspokój się albo zamknę cię w kabinie.

Basia przytaknął, ale nie miał do siebie dość zaufania, by odezwać się przy panice wzbierającej w piersi. Jego córka znajdowała się na statku kosmicznym, który schodził z orbity. Może już nigdy nie zazna spokoju.

– A do tego – mówił dalej Aleks – myślisz, że wszyscy inni na *Barb* pogodzą się z tym, że odlecimy bez nich? Nie mamy miejsca, żeby zabrać wszystkich z tamtego statku. A zadokowanie do jednostki pełnej przestraszonych ludzi szukających sposobu na ucieczkę nigdy nie jest planem A.

Basia ponownie przytaknął.

– Ale jeśli nie stworzymy planu – powiedział.

Uśmiech Aleksa zniknął.

– Ściągniemy twoją dziewczynkę. Jeśli do tego dojdzie, jeśli wszyscy spadniemy z nieba, twoja córka będzie wtedy na tym statku. Tak jak Naomi.

Panika i złość Basi ustąpiły przed poczuciem wstydu i nagłą kluską w gardle.

– Dziękuję.

– To rodzina – oświadczył Aleks z uśmiechem, który sprowadzał się niemal wyłącznie do odsłonięcia zębów. – Nie zostawiamy rodziny.

* * *

Basia dryfował przez *Rosynanta* jak duch.

Aleks siedział w maszynowni, kombinując przy reaktorze, próbując wymyślić, co uniemożliwia mu uruchomienie. Basia zaoferował pomoc, ale Aleks odmówił. Nie potrafił winić pilota. Jego ignorancja w zakresie inżynierii nuklearnej i układów statku była pełna i całkowita. Wątpił, by niedziałanie reaktora dało się naprawić bardzo równo położonym spawem.

Jeśli okaże się, że nie ma racji, Aleks go wezwie.

A na razie przemieszczał się przez statek, próbując nie myśleć o tym, że powoli dryfowali w stronę planety i śmierci w kuli ognia. I to samo groziło Felci. Skierował się do kambuza i zrobił sobie kanapkę, której nie zjadł. Udał się do łazienki i wykapał wilgotnymi ściereczkami i nacieranymi detergentami. Wyszedł stamtąd z kilkoma otarciami i tym samym zmartwieniem, które go tam zaprowadziło.

Po raz pierwszy od czasu znalezienia się na *Rosynancie* rzeczywiście poczuł się jak więzień.

Aleks zostawił na mostku włączony panel monitorujący pozostałe dwa statki. Basia mógł sprawdzać pozycję *Barbapiccoli* tak często, jak tylko chciał. Pilot zdawał się uważać, że wyświetlacz z setkami godzin pozostałych do chwili, zanim orbita *Barb* obniży się na tyle, by stała się niebezpieczna, sprawi, że poczuje się lepiej. Tylko że Aleks nie rozumiał. Nie miało znaczenia, jak wiele pozostało godzin. Istotny był fakt, że wyświetlacz odliczał w dół. Za każdym razem, gdy Basia patrzył na licznik, było na nim mniej czasu niż poprzednio. Gdy patrzył na licznik czasu pozostałego do śmierci jego dziecka, cyfry na nim w zasadzie nic nie znaczyły.

Unikał spoglądania.

Wrócił do kambuza i posprzątał bajzel, jaki zostawił po sobie, robiąc kanapkę. Wyrzucił do kosza zużyte ręczniki i myjki, a potem aktywował cykl prania, żeby je wyczyścić. Obejrzał kreskówkę dla dzieci, a potem jeden z filmów noir Aleksa. Kiedy się skończyły, nie pamiętał treści żadnego z nich. Napisał list do

Jacka, a potem go skasował. Nagrał film z przeprosinami dla Lucii. Kiedy go obejrzał, stwierdził, że wygląda jak szaleniec, z włosami latającymi dziko przy głowie i z zapadniętymi, nawiedzonymi oczami. Skasował go.

Wrócił na mostek, mówiąc sobie, że po prostu sprawdzi jeszcze raz, czy nic się nie zmieniło, że nieuchronne tykanie zegara śmierci jego córki jest tylko strumieniem danych do monitorowania. Przyglądał się, jak maleńka ikona *Barbapiccoli* porusza się po świetlistej ścieżce wokół Ilusa, z każdym kręgiem zbliżającym go niezauważalnie do atmosfery, która w końcu go zniszczy.

Tylko dane. Żadnych zmian. Tylko dane. Tik, tik, tik.

– Aleks, tu Holden. – Z konsoli łączności zabrzmiał głos.

Basia poszybował do panelu i włączył mikrofon.

– Halo, tu Basia Merton – powiedział zaskoczony tym, jak spokojnie zabrzmiał jego głos. Dzwonił Holden. Holden pracował dla rządów Ziemi i SPZ. Będzie wiedział, co zrobić.

– Uch, cześć. Aleks zostawił mi wiadomość, ale łączność ostatnio działa z przerwami. Jest gdzieś w okolicy?

Basia roześmiał się wbrew sobie.

– Pewnie mógłbym go znaleźć.

– Świetnie, ja...

– Hej, kapitanie – rzucił Aleks. Brzmiał na zdyszanego. – Przepraszam, potrzebowałem chwili na dotarcie do panelu. Gdy zadzwoniłeś, siedziałem po łokcie we wnętrzościach *Rosa*.

Basia sięgnął, by wyłączyć swój głośnik i pozwolić im rozmawiać, ale zatrzymał palec tuż nad przyciskiem. Na linii był James Holden. Prawdopodobnie będą rozmawiać z Alekssem o wyłączeniu reaktorów. Czując się trochę jak podsłuchiwacz Basia, zostawił połączenie aktywne.

– Jakiś problem? – zapytał Holden.

– Tak jakby, fuzja nie chce działać – odpowiedział Aleks z wyraźnym akcentem.

– Jeśli to puenta dowcipu, to nie łapię.

– To nie był żart. Właśnie rozebrałem cały reaktor na części. Iniektor działa, peletki paliwa wpadają, lasery strzelają, butelka

magnetyczna jest stabilna. Wszystkie elementy reaktora fuzyjnego działają prawidłowo, tylko wiesz, bez fuzji.

– Niech to szlag – rzucił Holden. Nawet Basia, który ledwie go poznał, usłyszał w jego głosie frustrację. – To tylko u nas?

– Nie – odpowiedział Aleks. – Wszyscy tu latamy na bateriach.

– Jak długo?

– Cóż, nawet na bateriach mogę odsunąć *Rosa* na tyle daleko, że umrzemy ze starości, zanim spadnie, albo mogę zlecieć na planetę i zaparkować. *Israel* ma pewnie jakieś dziesięć dni czy coś koło tego, w zależności od wielkości zapasów. Ale mają też mnóstwo ludzi oddychających powietrzem, więc będzie zużywał masę prądu na ogrzanie ich i podanie tlenu. *Barb* jest w gorszej sytuacji. Te same problemy, gorsza łajba.

Żołądek Basi ścisnął się na niedbały opis sytuacji jego córki, ale się nie odezwał.

– Nasz upiorny przyjaciel mówi, że to była sieć obronna – powiedział Holden. – Wybuchła ich elektrownia, więc aktywowały się stare systemy obronne.

– Wydają się nie przepadać za dużymi źródłami energii przebywającymi blisko nich – odpowiedział Aleks.

Basia odniósł wrażenie, że rozmawiają o czymś z przeszłości, ale nie wiedział, o co chodziło.

– I słyszeliśmy, że zestrzelono prom z zapasami – dodał Holden. – Czyli mamy kilkuset ludzi tutaj, całkiem sporo tam na górze i wszyscy zginiemy, bo obrona planety nie pozwoli nam sobie wzajemnie pomóc.

– *Ros* ma dość energii, żeby wylądować, jeśli nas potrzebujesz – przypomniał Aleks.

Nie możemy wylądować, moja córka jest ciągle tu w górze! chciał krzyknąć Basia.

– Zestrzelili prom – przypomniał Holden. – Nie ryzykuj moim statkiem.

– Jeśli nie zdołamy wam przesłać zaopatrzenia, to niedługo odziedziczę go do spółki z Naomi.

– Ale do tego czasu będziesz robił, co ci powiem – odpowiedział Holden.

Słowa były ostre, ale brzmiało w nich uczucie.

– Potwierdzam – rzucił Aleks.

Nie brzmiał na dotkniętego.

– Wiesz – kontynuował Holden – mamy tu coś, co wygląda na problem inżynierski. A najlepsza inżynier w tym Układzie Słonecznym siedzi zamknięta na tamtym statku. Może byś do nich zadzwonił i zwrócił im na to uwagę?

– Zrobi się – zapewnił Aleks.

– Zobaczę, czy jest coś, co możemy zrobić z tej strony.

– Miller – rzucił Aleks.

Basia nie miał pojęcia, co to znaczyło.

– Owszem – potwierdził Holden.

– Uważajcie na siebie tam na dole.

– Potwierdzam. A ty dbaj o mój statek. Rozłączam się.

* * *

– Słuchaj – powiedział Aleks, nie do końca krzyżąc – wszystko przeliczyłem. Spadacie. Może to potrwać dwa tygodnie, jeśli będziecie mieli szczęście, ale ten statek niedługo zacznie szorować po atmosferze i zapali się.

– Słyszałem za pierwszym razem – odpowiedziała twarz z drugiej strony.

Niejaki Havelock. Aleks zadzwonił do niego po rozmowie z Holdenem. Po drodze z maszynowni poszedł się przebrać w nowy kombinezon i przeczesać swe rzednące włosy. Wyglądał bardzo oficjalnie. Ale nie wyglądało na to, żeby wywarł wrażenie na Havelocku.

– To przestań się opierdalać i wypuść Nagatę, żeby pomogła nam to rozpracować – powiedział Aleks.

– I tu właśnie się gubię – odpowiedział Havelock z krzywym uśmiechem.

Był przysadzistym, bladokórym mężczyzną z fryzurą w stylu wojskowym. Emanowała z niego pewność siebie typowa dla żołnierzy i profesjonalnych pracowników ochrony. Dla Basi, Pasiarza żyjącego pod rządami dwóch planet wewnętrznych, jego wygląd mówił *Wiem, jak bić ludzi. Nie zmuszaj mnie, żebym ci*

pokazał.

– Nie rozumiem jak... – zaczął Aleks.

– Właśnie – przerwał mu Havelock. – Jeśli nie uda nam się włączyć reaktorów, rozbijemy się. Zgadzam się. Nie rozumiem natomiast, w czym ma tu pomóc uwolnienie mojego więźnia.

– Ponieważ – odpowiedział Aleks, wyraźnie powstrzymując się od wypowiedzenia jeszcze jednego słowa – pierwsza oficer Nagata jest najlepszym inżynierem w tym układzie. Jeśli ktoś wymyśli rozwiązanie tego problemu i uratuje tyłki nam wszystkim, to najprawdopodobniej będzie właśnie ona. Więc przestań trzymać potencjalne rozwiązanie naszego problemu zamknięte w więzieniu. – Uśmiechnął się do kamery i wyłączył mikrofon, zanim dodał „ty pierdolony kretynie”.

– Mam wrażenie, że nie docenia pan mojego zespołu inżynierów – odpowiedział Havelock wciąż z pełnym samozadowolenia uśmiechkiem. – Ale słyszę, co pan mówi. Zobaczę, co da się zrobić.

– Rety, byłoby świetnie – rzucił Aleks. Udało mu się to powiedzieć tak, że zabrzmiało szczerze. Wyłączył konsolę łączności. – Ty nadęty worku płonącego świńskiego gówna.

– Co teraz będziemy robić? – zapytał Basia.

– Najtrudniejszą rzecz na świecie. Będziemy czekać.

* * *

Basia unosił się w pryczy przeciążeniowej na mostku. Jego umysł dryfował między nerwowym snem a niepełną przytomnością i z powrotem. Kilka stanowisk dalej Aleks grzebał przy pulpicie sterowania i mruczał coś pod nosem.

Unosząc się, Basia czasem znajdował się na *Rosynancie*, z umysłem przejmującym się brakiem grzmotu reaktora fuzyjnego, co przypominało język obmacujący dziurę pozostałą po straconym zębie. A potem, bez żadnego przejścia, unosił się w lodowych korytarzach swego utraconego domu na Ganimedesie. Czasami były to spokojne tunele i kopuły, w których jego rodzina mieszkała przez tak wiele lat, kiedy indziej – pełne były gruzu i trupów, jak w chwili, gdy stamtąd

uciekali.

Późniejszy długi lot *Barbapiccoli* był koszmarnym przeżyciem. Niekończące się dni uwięzienia w kabinie ledwie wystarczającej dla jednej osoby, a mieszczącej dwie pełne rodziny. Rosnące poczucie rozpaczony w miarę jak odrzucały ich kolejne porty. Nikt nie potrzebował statku pełnego uchodźców, zajmującego ich doki pośrodku czegoś, co wyglądało na pierwszą pełnowymiarową wojnę w Układzie Słonecznym.

Basia dryfował przez to wszystko jak duch. Sprowadzając ich na statek, sądził, że ratuje swoją rodzinę, ale zostawił za sobą martwego syna i uwięził pozostałych na ciekącym, starym frachtowcu bez żadnego celu.

Chwila, gdy kapitan *Barbapiccoli* wezwał ich wszystkich razem i powiedział o pierścieniach i planetach po ich drugiej stronie, była jak objawienie. Kiedy zapytał, czy ktoś z nich chce spróbować i zająć jeden z nowych światów, uczynić z niego dom, nikt się nie przeciwstawił. Protesty uniemożliwiło choćby to jedno słowo: dom. Przelecieli więc przez wrota, obok unoszących się przy nich niezorganizowanych statków, ominęli centralną stację i dotarli na drugą stronę do systemu Ilusa. Znaleźli planetę z tlenem i wodą, z orbity błotnistą, brązowo-niebieską kulę, ale tak piękną, gdy już wylądowali, że ludzie kładli się na ziemi i płakali.

Kolejne miesiące były bardzo ciężkie. Bolesne leki i ćwiczenia zmuszające ciała do radzenia sobie z dużym ciężeniem. Powolne wznoszenie domów. Desperackie próby wyhodowania jakiegokolwiek jedzenia w odrobinie gleby, którą sprowadzili z *Barb*. Odkrycie bogatych żył litu i uświadomienie sobie, że mogą mieć coś na sprzedaż; coś, co pozwoli im się utrzymać. A potem katorżnicza praca, by wydobyć rudę z ziemi prymitywnymi narzędziami. Wszystko to było jednak warte włożonego weń wysiłku.

Dom.

Interludium

ŚLED CZY

– sięga, sięga, sięga, sięga –

Sto trzysta razy na sekundę, to sięga i poszerza swój zasięg. Gdyby przyszedł sygnał, potwierdzenie, mogłoby przestać, ale nie przestaje. Sięga, a sięgając, znajduje nowe sposoby sięgania. Improwizuje, bada. Nie jest świadome, że to robi. Aktywowane przez to systemy poszerzają go. A potem sięga na sposoby, które wcześniej były niedostępne. Ponieważ nie jest świadome, nie ma pamięci, nie czuje radości. Jego świadome części śnią i cierpią jak zawsze. Nie jest ich świadome.

Sięga i znajduje więcej mocy. Coś zawodzi. Zawodzi mnóstwo rzeczy. Coś, co kiedyś było kobietą, krzyczy w cichym przerażeniu i strachu. Coś, co kiedyś było mężczyzną, modli się i nazywa to Armagedonem. Sięga. Zwęża się tylko odrobinę, sięgając. W jego środku puste miejsce zyskuje definicję. Wzory zaczynają pasować, upraszczając się do struktur o niższej energii. Śledczy myśli o nich jak o rozwiązaniach. W jego wnętrzu powstaje model świata i otaczających go satelitów. Zaczynają się powiązywać ze sobą miejsca, zyskując rozdzielczość. Zaczynają ze sobą korelować abstrakcyjna architektura połączeń i abstrakcyjny model geografii.

To buduje śledczego, a ten się przygląda, ale nie wie. Zabija śledczego. To buduje śledczego, a ten się przygląda, ale nie wie. Zabija śledczego. To buduje śledczego, a ten się przygląda, ale nie wie, a to nie zabija śledczego. Nie jest świadome zmiany, zerwania wzoru. Śledczy jest świadomy i zastanawia się, a ponieważ się zastanawia – szuka, a ponieważ szuka, śledczy wykracza poza warunki brzegowe, więc to zabija śledczego.

Tworzy śledczego.

Coś wie.

Śledczy się waha. Wzór został zerwany, a to nie jest świadome, że wzór został zerwany, choć jego część jest. Część jego chwyta zmianę i próbuje powiedzieć śledczemu. Śledczy się zatrzymuje. Jego myśli są tak ostrożne, jak człowiek idący po polu minowym. Śledczy się waha, wie, że doszło do zerwania wzoru. Zrywa go trochę bardziej. Martwe miejsce zyskuje trochę lepsze określenie. To sięga i nie zabija śledczego. Śledczy wykracza poza warunki brzegowe, a to nie zabija śledczego. Śledczy przygląda się martwej przestrzeni, jej strukturze, sięganiu, sięganiu, sięganiu.

Śledczy oblizuje wargi, nie ma ust. Poprawia kapelusz, nie ma kapelusza. W odległy sposób pragnie piwa, nie ma ciała ani pasji. Skupia uwagę na martwej przestrzeni, na świecie, na sposobie rozwiązywania nierozwiązywalnych problemów. Jak znaleźć rzeczy, których tam nie ma. Co się stanie, jeśli się je znajdzie.

Rozdział trzydziesty czwarty

HOLDEN

– Potwierdzam. A ty dbaj o mój statek. Rozłączam się.

Holden zamknął połączenie z *Rosynantem* i odchylił się, z westchnieniem opierając się o ścianę wieży obcych. To był błąd. Deszcz nie ustawał od wybuchu na planecie i choć w ciągu ostatniego dnia osłabł do mżawki, woda wciąż spływała po ścianach wieży. Oraz, niestety, do jego spodni.

– Złe wieści? – zapytał Amos.

Stał kilka metrów dalej, przytrzymując poncho jedną ręką wyżej, żeby deszcz nie spływał mu na twarz.

– Gdyby nie złe wieści – odpowiedział Holden – nie mielibyśmy żadnych.

– Najnowsza?

– Prom z pomocą został zestrzelony przez obronę planetarną – przyznał Holden. – Która prawdopodobnie została aktywowana na skutek wybuchu planety. I włączyli typowy dla siebie program „wysoka energia to zagrożenie”.

– Czyli tak jak w stacji wrót, kiedy byliśmy w powolnej strefie, a stacja *Medyna* była jeszcze ciągle pancernikiem – podsumował Amos.

– Mówisz o starych dobrych czasach? – zapytał gorzko Holden.

– Tak, dokładnie.

– Czyli musimy po prostu skłonić wszystkich do wyłączenia reaktorów, jak poprzednio?

– Wygląda na to, że ta sieć obronna zna nową sztuczkę. Zajęli się tym problemem za nas. Sprawili, że fuzja nie działa.

– Jaja sobie, kurwa, robisz – rzucił Amos, a potem się roześmiał.

– Potrafią zrobić coś takiego?

– Pozytywny aspekt jest taki, że jeśli nie zdołamy wymyślić sposobu na sprowadzanie towarów z orbity, umrę z głodu na

długo przed tym, zanim dorwą mnie nowotwory.

– Jasne – zgodził się Amos. – To będzie pozytywne.

– Ludzie na orbicie nie mają nawet tyle czasu. Aleks uważa, że za jakieś dziesięć dni możemy zobaczyć, jak *Israel* i *Barb* spadają na planetę. Będziemy już wtedy na tyle głodni, że nie zdołamy przyglądać się całemu jedzeniu w tym Układzie Słonecznym spadającemu z nieba w płomieniach z oderwanym poczuciem ironii.

– Oraz – dodał Amos, wzruszając ramionami – na tych statkach będą wszyscy nasi przyjaciele.

– Tak. To też. – Holden zacisnął powieki i ścisnął podstawę nosa tak mocno, że aż zabolęło, w nadziei, że ból pomoże mu oczyścić głowę.

Nie pomógł. Potrafił myśleć tylko o Naomi na pokładzie *Edwarda Israela* spadającego ku ognistej zagładzie.

Stali z Amosem w milczeniu przed wieżą obcych przez kilka minut, zalewani łagodnym deszczem. Holden od lat nie stał na deszczu. I byłoby to prawie przyjemne, gdyby wokół niego nie rozpadało się wszystko inne. Amos opuścił kaptur poncho na plecy i roztarł deszczówkę na gołej skórze głowy.

– No dobrze – odezwał się w końcu Holden. – Pójdę dookoła na tyły wieży.

– Nikogo tam nie ma – rzucił Amos, a potem zamknął oczy i przemył twarz dłońmi pełnymi deszczu.

– Jest Miller.

– No tak, czyli nie potrzebujesz towarzystwa. – Amos pokręcił głową, rozpryskując wodę wokół siebie jak pies, a potem ruszył ku wejściu do wieży.

Holden pomaszerował w przeciwną stronę, starannie unikając zabójczych ślimaków.

– Cześć – powiedział Miller, gdy tylko pojawił się przy nim w błysku błękitu.

– Musimy porozmawiać – odpowiedział Holden, ignorując niespójność wypowiedzi. Kopnął zabójczego ślimaka, który za bardzo zbliżył się do jego buta. Inny wspinał się po stopie Millera, ale detektyw go zignorował. – Wygląda na to, że

aktywowały się systemy obrony planetarnej. Właśnie zestrzeliły prom z zapasami i wygenerowały na orbicie jakiegoś typu pole, które blokuje działanie fuzji jądrowej.

– Jesteś pewien, że tylko na orbicie? – zapytał Miller, unosząc brew.

– No cóż, słońce nie zgasło. Powiniennem się z tym liczyć? Miller, czy słońce zgaśnie?

– Prawdopodobnie nie – odpowiedział zapytany, rękami wykonując pasiarski odpowiednik wzruszenia ramion.

– Dobra, zakładając, że słońce zostanie, i tak będziemy mieć mnóstwo kłopotów. Statki nie mogą nam przesłać zaopatrzenia, a bez reaktorów całkiem niedługo zaczną spadać z orbit.

– Zgadza się – potwierdził Miller.

– Napraw to. – Holden powiedział to, robiąc agresywny krok w stronę detektywa.

Miller tylko się roześmiał.

– Jeśli nie dla nas, zrób to dla siebie – powiedział Holden. – To coś, co cię ze mną łączy, to kawałek paskudztwa na Rosie. To też się spali. Napraw to chociaż z tego powodu. Nie obchodzi mnie dlaczego, po prostu to zrób.

Miller zdjął kapelusz i popatrzył na niebo, nucąc melodię, której Holden nie rozpoznał. Widział, jak deszcz spada na głowę ducha, zbiera się w krople i spływa strużkami po twarzy. A równocześnie widział deszcz przelatujący przez niego. Poczuł ostry ból głowy, więc odwrócił wzrok.

– Jak myślisz, co mogę zrobić? – zapytał Miller.

To nie była odmowa.

– Wyciągnąłeś nas z blokady w powolnej strefie.

– Ciągłe ci powtarzam, chłopcze. Jestem kluczem francuskim. Problem sieci obronnej w centrum bram akurat przypadkiem był śrubą. Tu nie mam żadnej kontroli. W każdym razie niewiele. A ten system się rozpada. Wybuch połowy planety wcale nie musi być końcem tego procesu.

– Może wybuchnąć coś jeszcze? Co tu jeszcze zostało?

– Mnie pytasz? – Miller znowu się roześmiał.

– Ty jesteś tego częścią! Wszystkie te bzdety z władcami

protomolekuły. Jeśli ty nie możesz tego kontrolować, to kto może?

– Jest odpowiedź na to pytanie, ale ci się nie spodoba.

– Nikt – rzucił Holden. – Chcesz mi powiedzieć, że nikt.

– To coś, co włącza to wszystko? To po prostu robi różne rzeczy. Jeśli *Rosynant* uzbroi i odpali w kogoś torpedę, jakie są szanse, że klucz francuski z warsztatu zdoła sprowadzić torpedę z powrotem? Z tym właśnie rozmawiasz.

– Niech to *szlag*, Miller – warknął Holden, a potem zabrakło mu energii.

Bycie wybranym i prorokiem było znacznie mniej fajne, gdy bogowie byli gwałtowni i kapryśni, a ich rzecznik szalony i bezradny. Deszczowa woda pod jego ubraniem zaczęła się ogrzewać, sprawiając, że poczuł się pokryty śluzem.

Detektyw zmarszczył czoło i opuścił głowę. Myślał.

– Może zdołasz się obok nich prześliznąć – powiedział.

– Jak?

– Obrona skupia się na zagrożeniach, więc nie bądź groźny. Wiesz, że sieć jest bardzo nerwowa przy źródłach wysokiej energii.

– Żadnych źródeł zasilania – skomentował Holden. – Właśnie. Prom miał reaktory. Trudno o bardziej napakowane źródła energii.

– Dobrze jest też nie przesadzać z prędkością. Nie jestem pewien, czy tutejszy system obrony uwzględnia energię kinetyczną, ale bezpieczniej będzie przyjąć, że tak.

– Dobra – rzucił Holden, przez chwilę czując napływ ulgi i nadziei. – Dobra, mogę coś z tym zrobić. Żywność, filtry, leki... możemy to wszystko sprowadzić bez wkurzania systemu. Powolne zrzuty w profilowanych osłonach ze spadochronami. Mogą coś takiego zmontować na orbicie.

– Przynajmniej warto spróbować – bez entuzjazmu potwierdził Miller. – W sprawie tego martwego miejsca, do którego powinieneś iść na północ. Tobie się to też nie spodoba, ale jest łatwy sposób na... – zniknął.

– Kapitanie – powiedział Amos, wychodząc zza krzywizny

wieży. – Przepraszam, że przeszkadzam, ale szuka cię ta słodka uczona.

Holden potrzebował chwili na przetworzenie.

– Biolożka?

– No wiesz, geolog chyba też nie jest zły, ale to nie mój preferowany typ.

– Czego chce?

– Robić do ciebie wielkie oczy? – odparł Amos. – Skąd mam wiedzieć, do cholery?

– Nie bądź dupkiem.

– No to idź sam ją spytaj.

– No dobrze – odpowiedział Holden. – Ale najpierw potrzebny mi Murtry. Widziałeś go?

– Był przy drzwiach i kierował ruchem – odpowiedział Amos. – Będę ci do tego potrzebny?

Holden zauważył, że pytając, Amos opuścił dłoń na rękojeść pistoletu.

– Czym jeszcze się zajmowałeś?

– Patrowaniem za ślimakami.

– Wracaj do tego. Ja porozmawiam z Murtrym.

Amos zasalutował niedbale i odmaszerował w stronę wejścia do wieży. Holden wyciągnął swój terminal i nagrał wiadomość dla Aleksa, wprowadzając go w plan zrzutów z zaopatrzeniem. Zgodnie ze słowami Amosa, Murtry rozmawiał z kilkoma członkami swojego zespołu ochrony blisko wejścia do wieży.

– Znaleźliśmy trochę zakopanych fundamentów – mówiła Wei, wskazując przez ramię w stronę, gdzie do niedawna stało Pierwsze Lądowanie. – Ale jeśli nie mieli piwnic, to nie zostało nic, co byłoby z nimi połączone.

– A co z kopalnią? – zapytał ją Murtry.

– Czego nie zalało błoto, zatopiła woda – odpowiedziała.

– No cóż – skomentował Murtry, przechylając głowę i posyłając jej uśmiech bez radości. – Mamy ludzi, którzy potrafią nurkować?

– Tak jest, sir.

– To wyślij ich, niech zobaczą, czy w tej wodzie jest coś, co może nam się przydać.

– Sir – Wei odpowiedziała, salutując.

Odeszła wraz z dwoma członkami ochrony, zostawiając Murtry'ego sam na sam z Holdenem.

– Kapitanie Holden – przywitał go Murtry, utrzymując swój pusty uśmiech.

– Panie Murtry.

– Jak mogę dzisiaj panu pomóc?

– Chyba mogę mieć rozwiązanie naszego problemu z zaopatrzeniem – powiedział Holden. – Jeśli będzie pan skłonny w tym ze mną współpracować.

Uśmiech Murtry'ego nieco się rozluźnił.

– Ta pozycja ma dość wysokie miejsce na mojej liście spraw do załatwienia. Słucham.

Holden zrelacjonował zagadnienie – od hipotezy, że systemy obcych śledzą źródła wysokiej energii, do możliwości zrzutów orbitalnych z małą prędkością. Przedstawił to w świetle tego, z czym mieli do czynienia w powolnej strefie, gdy ludzkość pierwszy raz przekroczyła wrota, nie wspominając o Millerze. Murtry przez cały czas stał w całkowitym bezruchu, ani odrobinię nie zmieniając wyrazu twarzy. Kiedy skończył, Murtry jeden raz kiwnął głową.

– Zadzwońię na *Israela* i każę im przygotować paczki – powiedział.

Holden odetchnął z ulgą.

– Muszę przyznać, że prawie się spodziewałem, że będzie pan stawiał opór.

– Dlaczego? Nie jestem potworem, kapitanie. Zabiję, jeśli będzie tego wymagać moja praca, ale pan Burton tutaj w niczym się nie różni. Śmierć wszystkich tych ludzi tutaj w niczym nie pomaga mojej sprawie. Po prostu chcę, żeby dzicy lokatorzy odlecieli stąd, jak tylko rozwiążemy problem z zasilaniem.

– Świetnie – skomentował Holden, a po chwili: – Tak naprawdę wcale pana nie obchodzą, prawda? Przez cały ten czas pan z nimi walczył, a teraz jest pan gotów pomóc, ale tylko dlatego, że to pomoże ich stąd zabrać. Dla pana równie dobrze wszyscy mogliby zginąć.

- Owszem, to też rozwiązałyby moje problemy - przyznał Murtry.

- Chciałem się tylko upewnić, że pan wie, że o tym wiem - powiedział Holden, powstrzymując się od cisnącego mu się na usta *dupku*.

Amosa znalazł pracującego z miejscowymi nad obroną przed zabójczymi ślimakami. Używali zwiniętych poncho i podzielonych na ćwiartki plastikowych butli na wodę do zablokowania mniejszych wejść do ruin obcych. Okna osłaniali foliami, wciskali koszule i oderwane nogawki do mniejszych otworów i kopali rowy przed większymi wejściami. Rowy napełniały się błotnistą deszczówką jak małe fosy, a ślimaki ich unikały.

Holden bez słowa przyłączył się do kopania rowów. Praca była nieprzyjemna, deszcz i błoto wciskały się pod ubranie i ocierały mu skórę przy pracy. Kopali prowizorycznymi narzędziami zrobionym z masztów namiotów i płaskich kawałków plastiku, które co jakiś czas się rozpadały i wymagały ponownego zmontowania. Ziemia była kamienista i ciężka od wilgoci i niekiedy ciał ślimaków. Był to rodzaj wyczerpującej pracy fizycznej, który wydusił z głowy Holdena wszelkie inne rozważania. Nie myślał o śmierci głodowej albo Naomi osadzonej w więziennej celi dryfującej powoli ku ognistej śmierci ani o własnej niezdolności do zmiany czegokolwiek na planecie na lepsze.

Było doskonale.

Carol Chiwewe poprosiła go o poszukanie z drugiej strony wieży zostawionej tam plandeki, a Miller zepsuł wszystko, gdy tylko wyszedł na drugą stronę, oddalając się od pozostałych.

- ...dostanie się do sieci przesyłowej towarów - powiedział jakby nie przerywali rozmowy. - Sądzę, że możemy użyć jej, żeby dostać się na północ do miejsca, którego szukamy, a przynajmniej całkiem blisko niego.

- Niech cię szlag, Miller, już prawie udało mi się o tobie nie myśleć.

Miller popatrzył na niego krytycznie, oglądając przemoczoną

i ubłoconą postać.

- Paskudnie wyglądasz, chłopcze.
- Widzisz, na ile jestem gotów dla chwili spokoju?
- Jestem pod wrażeniem. To kiedy możemy się tam wybrać?
- Nie odpuszczasz - rzucił Holden.

Szedł przez błotnistą ziemię do płachty brezentu, której szukał. Była pełna zabójczych ślimaków. Chwycił ją za jeden z rogów i uniósł, próbując doprowadzić ślimaki do zsunięcia się z niej. Miller poszedł za nim i z rękami w kieszeniach przyglądał się, jak pracuje.

- Uważaj na tego - rzucił, wskazując ślimaka blisko palców Holdena.

- Widzę go.
- Na nic mi się nie przydasz, jeśli padniesz trupem.
- Mówiłem, że go widzę.

- To w sprawie wycieczki na północ. - Miller nie ustępował. - Nie jestem pewien, ile z sieci przesyłu towarów wciąż działa, więc niekoniecznie będzie to łatwa wyprawa. Powinniśmy wyruszyć najszybciej, jak to możliwe.

- Sieć przesyłu towarów?
- Duży podziemny system transportowy. Szybszy od chodzenia.

Gotów do drogi?

Ślimak przesunął się kilka centymetrów bliżej jego palców i Holden puścił brezent, klnąc.

- Miller - warknął, odwracając się do niego. - Tak bardzo gównie mnie obchodzą twoje potrzeby, że od smrodu robi mi się niedobrze.

Stary detektyw miał dość przyzwoitości, by przybrać zasmucony wyraz twarzy, zanim ze zmęczeniem wzruszył ramionami.

- To może pomóc.
- Co - odpowiedział Holden - może pomóc?
- Udanie się na północ. Cokolwiek tam jest, wydaje się tłumić się. Może będziemy mogli użyć tego do zabicia obrony i zdjęcia blokady z twojego statku.
- Jeśli mnie okłamujesz, żebym zrobił to, czego chcesz,

przysięgam, że każę Aleksowi rozmontować *Rosa* na kawałki w poszukiwaniu tego kawałka paskudztwa, którego używasz do połączenia, i zniszczyć je miotaczem ognia.

Duch skrzywił się, ale nie ustąpił.

– Nie kłamie, ponieważ nie prezentuję żadnych zapewnień. Martwe miejsce jest dokładnie tym, czym mówię. Martwym miejscem. Cała reszta to zgadywanie. Ale to i tak więcej, niż teraz masz, prawda? Pomóż mi, a jeśli tylko będzie na to jakiś sposób, ja pomogę tobie. Tylko tak może się to udać.

Holden kopniakiem zrzucił ślimaka ze swojego rogu płachty i poczekał, aż deszcz spłucze śluz, a potem podniósł ją z powrotem i wrócił do zrzucania pozostałych stworzeń.

– Nawet gdybym chciał, jeszcze nie mogę – powiedział. – Przynajmniej do czasu, aż będę pewien, że koloniści tu nie zginą. Daj mi bezpiecznie sprowadzić trochę zrzutów, zapewnić wszystkim przyzwoite schronienie z dala od ślimaków, a wtedy o tym pogadamy.

– Umowa stoi – odpowiedział Miller, a potem zniknął w chmurze błękitnych świetlików.

Zza wieży wyłonił się jeden z kolonistów, wysoki, chudy Pasiarz o ciemnej skórze i fantastycznej grzywie siwych włosów.

– Co robisz? Kenned babosa mało cię dorwał.

– Przepraszam – odpowiedział Holden, szarpiąc ostro za płachtę, żeby zrzucić resztę ślimaków. Pomógł Pasiarzowi ją złożyć.

Tylko że musiał przestać o nich myśleć jak o Pasiarzach, prawda? Ci ludzie mieszkali na planecie w Układzie Słonecznym po drugiej stronie galaktyki względem Sol. Pasiarz nie było już dla nich słowem mającym jakieś znaczenie. Teraz nazywali się kolonistami, a któregoś dnia, jeśli zdołają zostać na Ilusie i faktycznie uczynić go swoim domem? Ilusjanami?

– Médico buscarte – powiedział Ilusjanin.

– Lucia?

– Laa laa, RCE puta.

– Ach, racja, Amos mi mówił – przypomniał sobie Holden. – Chyba lepiej pójść i dowiem się, czego chce.

Pasiarz, Ilusjanin, czy kimkolwiek był, jeszcze raz mruknął „puta” i splunął na bok. Holden szedł przez nieprzyjemnie ciepłą deszcz, mijając rowy pełne wody z martwymi ślimakami, plastikowe płachty przyklejone do ściany i szczeliny pełne zabłoconych szmat. Przeskoczył nad ostatnią fosą, żeby dostać się do wieży, a potem stał błoto z butów i ruszył korytarzami do dużego centralnego pomieszczenia struktury. Była tam Lucia, pracowała z zespołem chemików nad projektem oczyszczania wody. Gdy wszedł, posłała mu uśmiech, a on ruszył w jej stronę po prostu dlatego, że wydawała się jedyną osobą cieszącą się na jego widok.

– Holden. To znaczy, uch, Jim. – Elvi wyszła przed niego. – Mamy problem?

– Kilka – odpowiedział.

– Nie, chodzi mi o nowy. Za jakieś cztery dni wszyscy w kolonii oślepną.

Rozdział trzydziesty piąty

ELVI

Holden zamrugał, pokręcił głową, a potem wybuchnął śmiechem. Elvi była rozdarta między zmartwieniem się faktem, że uznał jej słowa za żart, a czymś w rodzaju podziwu. Bała się, że się rozzłości. Słyszała o ludziach śmiejących się wobec niebezpieczeństwa, a to było dokładnie taką reakcją. Wytarła dłonie o swój kombinezon nieprzyjemnie świadoma, jak bardzo jest brudna, jak bardzo wszyscy są brudni.

– Ten dzień z każdą chwilą robi się coraz lepszy – powiedział. – Dlaczego oślepnjemy?

– Przez chmury – odparła Elvi. – A właściwie to, co w nich jest. Są zielone. To znaczy, kiedy nie są... – Kiwnęła głową w stronę ciemnoszarej pokrywy chmur za oknem. – Normalnie są zielone. Żyje w nich fotosyntetyzujący organizm, który spędza część cyklu życiowego w chmurach i najwyraźniej radzi sobie dość dobrze na całej planecie, bo jest we wszystkim, co spadło z chmur. Wcześniej tutejszy klimat był bardzo suchy, więc pewnie nie było dużo okazji na narażenie. Ale z tymi całymi deszczami i powodzią teraz zetknęli się z nim praktycznie wszyscy. A on jest odporny na sól.

Zestaw chemiczny wyemitował dźwięk, a Elvi odruchowo ruszyła w jego stronę, wciąż patrząc na Holdena. Ale Fayez, Lucia i jeden z pozostałych dzikich lokatorów odcepili już worek z czystą wodą i podłączali na jego miejsce nowy.

– Czy to problem? – zapytał Holden. – Co ma z tym wspólnego sól?

– Jesteśmy słoni – wyjaśniła Elvi i natychmiast poczuła się niezręcznie z tym sformułowaniem. Jej dłonie wydawały się za duże i niezgrabne, choć zwykle tak nie było. – Chciałam powiedzieć, że widzieliśmy już zakażenia tym organizmem.

Dobrze sobie radzi we łzach i w kanalikach łzowych. Oraz w oczach.

- W oczach - powtórzył Holden.

- Lucia miała do czynienia z jednym przypadkiem przed... burzą? Gdy organizm dostanie się do ciała szklistego, trafia do nowego środowiska, które wydaje się mu bardzo dobrze pasować, a w takich warunkach wykładniczy wzrost jest całkiem normalny. W efekcie blokuje całe światło docierające do siatkówki i...

Holden uniósł ręce dłońmi na zewnątrz.

Odruchowo ruszyła ku nim, gotowa przyłożyć do nich swoje dłonie. Zatrzymała się.

- Sądziłem, że to, co tu żyje, ma kompletnie odmienną biologię. Jak mogą nas zakażać?

- To nie zakażenie jak wirusem - odparła. - To nie przejmuję naszych komórek czy coś takiego. Jesteśmy dla nich po prostu nowym środowiskiem bogatym w substancje odżywcze, a te organizmy znalazły sposób na wykorzystanie ich. To nie próbuje nas oślepić, po prostu przestrzeń międzykomórkowa jest dla niego łatwą ścieżką do oczu, a kiedy już się tam znajdzie, jest mu bardzo dobrze. Gwałtowny wzrost to coś, co występuje u każdego inwazyjnego gatunku trafiającego do nowego środowiska. Nie ma konkurencji.

Holden przeczesał włosy dłonią. Kiedy się odezwał, jego głos był bezbarwny, jakby mówił głównie do siebie.

- Apokaliptyczne wybuchy, martwe reaktory, terroryści, masowe morderstwa, *zabójcze ślimaki*, a teraz jeszcze plaga ślepoty. To *koszmar*na planeta. Nie powinniśmy byli tu przylatywać.

- Przykro mi - powiedziała, kładąc dłoń na jego ramieniu.

Było bardzo twarde. Muskularne. Położył swoją dłoń na jej, wywołując u niej szybsze bicie serca. Nie znosiła czuć się jak uczennica, która pierwszy raz się zakochała, ale było to też podniecające. Po prostu skup się, pomyślała, *odrobina godności*.

- Dobrze, doktor Okoye.

- Elvi.

– Elvi, musisz z doktor Merton zrobić wszystko, co możecie, żeby się tym zająć. Chyba znalazłem sposób na sprowadzenie na dół zaopatrzenia z orbity, ale nie widzę możliwości wydostania nikogo na górę, nie wiem, gdzie można by przetransportować wszystkich, gdyby było to możliwe. Więc jeśli mam rację, możemy tu ściągnąć wszystko, co mamy na górze. Ale musisz coś z tym zrobić.

– Zrobię – obiecała Elvi, przytakując.

Nie miała pojęcia, jak miałyby dotrzymać tej obietnicy, ale jej piersi przepełniała determinacja dokonania tego.

– Powiedz mi, jeśli będziesz czegoś potrzebować – dodał Holden.

W głowie Elvi pojawiła się nagle gwałtownie bardzo obrazowa wizja. Poczuła, że się czerwieni.

– Dobrze, kapitanie – odpowiedziała. – Potrzebuję... hm... gdybym mogła dostać zapasową torbę do pobierania próbek z *Israela*? To chyba by pomogło.

Puścił ją, a ona natychmiast pożałowała braku dotyku. Wcisnęła ręce do kieszeni. Kiwnął jej głową, chwilę się wahał, jakby czekał, aż ona powie coś jeszcze, a potem odszedł w głąb zatłoczonej głównej sali. Elvi zagryzła wargę i kilka razy przełknęła ślinę, aż ustąpił ścisk w gardle. Wiedziała, że zachowuje się niepoważnie i prawie niewłaściwie, ale świadomość nie wpływała na czyny.

Podeszła do okna i wyjrzała na deszcz. Trudno było uwierzyć, że każda jego kropla niosła coś, co mogło zamieszkać w jej ciele tak, jak ludzkość skolonizowała Nową Ziemię. Wyglądało tam tak spokojnie. Olbrzymia, bogata i piękna przestrzeń. Nawet powolna rzeka deszczowej wody emanowała kojącym, majestatycznym, uspokajającym poczuciem natury w działaniu.

Większość Ziemi pokrywały miasta lub starannie pielęgnowane rezerваты równie dzikie, jak pies przewodnik. Mars i Pas pełne były kolonii zbudowanych i zaprojektowanych tak, by zapewnić ludziom przetrwanie w nieludzkim i wrogim życiu środowisku. Uświadomiła sobie, że to pierwsze miejsce, jakie odwiedziła w całym swoim życiu, gdzie mogła zobaczyć prawdziwie dziki krajobraz, jak przez tysiąclecia na Ziemi. Z krwawymi kłami

i pazurami. Groźny i obojętny. Olbrzymi, nieprzewidywalny i bardziej złożony niż cokolwiek, co mogła sobie wyobrazić.

– Dobrze się czujesz? – zapytała Lucia.

– Przyłtoczona – wyznała Elvi. – Ale dobrze.

– Pobrałam nową próbkę z oczyszczonej wody – poinformowała ją lekarka. – Pomożesz mi z oznaczeniem?

– Oczywiście – potwierdziła Elvi. – Kiedy dotrze torba na próbki, łatwiej będzie wysłać dane z powrotem do domu. Może oni zdołają pomóc.

– No cóż, jeśli coś znajdą, dopilnuj, żeby przysłali plik dźwiękowy – odparła Lucia. – Nie wiem, czy będziemy umieli przeczytać tekst.

– Jak my sobie z tym poradzimy? – zapytała Elvi.

– Z czym?

– Z tym wszystkim. Z jedzeniem, odbudową, robieniem czystej wody, wyganianiem ślimaków? Jak mamy to wszystko robić, skoro nikt z nas nie będzie widział, co robi?

– Zgaduję – odpowiedziała Lucia – że kiepsko.

* * *

Długi dzień Nowej Ziemi i ciemność chmur sprawiały, że czas płynął dziwnie. Elvi przykucnęła w małym bocznym pomieszczeniu, które Fayez zajął na potrzeby laboratorium. Ściany były zakrzywione w sposób, który przywodził na myśl kości. Jedyne otwory znajdowały się wysoko na ścianie, a Fayez, Lucia lub Sudyam umieścili tam arkusz przezrystego plastiku, żeby nie wpuszczać ślimaków. Zestaw białych diod LED rzucał zimne, białe światło na czerwoną ścianę i sufit. Drobną zieloną szlam w jej prowizorycznej szalce Petriego mógł być glonami, grzybem lub pozostałościami sałatki za długo leżącej w głębi akademikowej lodówki w czasach studiów. Jednak nie był żadną z tych rzeczy, a im uważniej mu się przyglądała, tym bardziej świadoma była tego faktu.

Dostrzegała pewne podobieństwa do bardziej jej znanych królestw życia, które badała wcześniej. Na przykład błony lipidowe wokół komórek wydawały się dobrym pomysłem

projektowym, tak jak oczy albo zdolność lotu. Zdawały się robić coś podobnego do podziału mitotycznego, choć czasami komórki dzieliły się na trzy, zamiast na pół, i nie wiedziała dlaczego. Występowały też inne anomalie, skupienia pewnych aktywowanych światłem cząstek, które wydawały się nie mieć sensu.

Co gorsza, nie potrafiła o tym myśleć. Nie potrafiła się skupić. Za każdym razem, gdy przestawała zwracać uwagę, w jej myślach pojawiał się James Holden. Dźwięk jego głosu, desperacki i nieustraszony śmiech, kształt pośladek. Prześladował ją. Zdała sobie właśnie sprawę, że przejrzała cztery strony danych oznaczeń chemicznych, nie mając pojęcia, co widziała. Wyprostowała się i zakłęła.

– Jakiś problem? – zapytał Fayez, przechodząc przez drzwi. Włosy miał związane z tyłu, a twarz szarą ze zmęczenia i umazaną błotem.

Patrząc na niego, zaczęła się zastanawiać, kiedy ostatnio spał. A potem, ile minęło czasu, od kiedy sama spała. Albo jadła, skoro już o tym mowa.

– Tak – potwierdziła.

Przysiadł obok niej pod łukiem prowadzącym do głównych pomieszczeń. Plastik był ciemny. Czyli była noc. Nie zwracała już na to uwagi.

– O co ten raban? – zapytał Fayez. – Pojawiła się jakaś nowa pozycja z kategorii „o Boże, wszyscy zginiemy” czy wciąż uczymy się doceniać aktualnie posiadaną listę?

– Muszę odszukać kapitana Holdena.

Fayez objął głowę dłońmi.

– Oczywiście.

– Muszę oczyścić atmosferę.

Szyja Fayeza zeszywniała i szeroko otworzył oczy.

– Nie, Elvi. Nie rób tego.

– Muszę – powiedziała. – Wiem, że to niewłaściwe, ale fakt jest taki, że się w nim zakochałam. To mnie rozprasza i wpływa na moją pracę. Próbowałam to ignorować, ale to nie pomaga. Pójdę do niego i to sobie wyjaśnimy. Po prostu, żeby rozwiązać

problem i...

– Nie, nie, nie – zaprotestował Fayez. – O nie. To koszmary, bardzo zły pomysł. Nie rób tego.

– Nie rozumiesz. Wcale nie chcę, ale muszę móc się skupić, a moje uczucia... moje uczucia do niego...

Wstała. Teraz, gdy to powiedziała, stało się oczywiste, co musiało się stać. Będzie spał w jednym z bocznych pomieszczeń, takich jak to. Będzie tam też pewnie Amos, pilnując go. Mogła poprosić, żeby tam z nią porozmawiał, na osobności. I będzie mogła zrzucić ciężar. Wcześniej nie rozumiała tego terminu, ale teraz tak. Mogła przy nim zrzucić swój ciężar, a on był taki łagodny, delikatny i mądry, nie będzie się z niej śmiał ani jej odrzucał. Będzie...

– Elvi! – powiedział powtórnie Fayez. – Proszę, proszę, proszę, nie rób tego. Nie zakochałaś się w Jamesie Holdenie. Nic o nim nie wiesz. Nie masz pojęcia, jak czy twoje wyobrażenie o nim ma coś wspólnego z tym, jaki jest naprawdę. Nigdy go jeszcze nie spotkałaś. Jest w kanałach telewizyjnych i pracuje tu. To wszystko.

– Nie rozumiesz.

– Oczywiście, że rozumiem – odparł Fayez. – Jesteś przestraszona jak diabli, samotna i napalona. Posłuchaj mnie, Elvi. Od dwóch lat znajdujesz się w jednym z najbardziej stresujących środowisk. Najpierw lecieliśmy na nieznaną planetę, potem zrobiła się z tego nieznaną planetą zamieszkałą przez bandę ludzi, którzy próbowali cię zabić. A potem wszystko wybuchło. Teraz próbujesz odgonić małe stworzenia, które mogą cię zabić, jeśli się o nie otrzesz podczas prób wymyślenia sposobu na powstrzymanie wzrostu innych stworzeń w naszych oczach. W takiej sytuacji nikt nie zostałby przy zdrowych zmysłach.

– Fayez...

– Nie! Wysłuchaj mnie. Zawsze radzisz sobie, ignorując to, jak bardzo jesteś przestraszona, zamiast tego skupiasz się na pracy i to jest świetne. Naprawdę, popieram wszystko, co pozwala ci przetrwać noc. Ale jesteś ssakiem, Elvi. Społecznym zwierzęciem,

które czerpie spokój z dotyku, a ponieważ nie żyjemy w kulturze przytulank, to oznacza seks. Od dwóch lat unikałaś romansów w pracy, podczas gdy pozostali parowali się i zmieniali partnerów, ponieważ byliśmy samotni i przestraszeni, a to jeden ze sposobów, w jakie naczelne zapewniają sobie wzajemnie komfort. Robili to wszyscy, oprócz ciebie.

– Ja nie...

– I proszę, jesteś przestraszona tak bardzo, że nie wiesz nawet do końca, czego się boisz, a przed tobą pojawia się James Holden, zbawca wszechświata i oczywiście wszystko poszło w diabły. Ale tu nie chodzi o niego, tylko o ciebie. A jeśli pójdziesz wyjaśniać z nim sytuację, to albo wylądujecie razem w łóżku, albo wrócisz tu płakać w próbki tkanek.

Elvi poczuła, jak jej szczeka się wysuwa, a dłonie zaciskają się w pięści. Fayez uniósł się na kolana, ale nic więcej. Wyciągnął rękę, żeby zablokować przejście, skrzywił się i zabrał ją z powrotem. Kiedy znowu się odezwał, jego głos był łagodniejszy, cichszy.

– Proszę, spieprzyliśmy wszystko, co dotyczy przylotu na tę śmiertelną pułapkę udającą planetę. Przywlekliśmy tu przez wrota każdą plemienną, terytorialną, małpią pomyłkę kiedykolwiek popełnioną przez ludzkość i zrobiliśmy sobie tu z nich gulasz. To, co chcesz teraz zrobić – proszę, niech to będzie ten jeden błąd, którego nie popełnimy.

– Twierdzisz – odezwała się Elvi głosem łączącym furie i lód – że muszę po prostu kogoś zerznąć?

Fayez opadł pod ścianę, pokonany.

– Twierdzą, że jesteś człowiekiem, a ludzie czerpią pocieszenie z siebie nawzajem. Twierdzą, że nie chcesz Holdena z powodu osoby, którą jest, bo go nie znasz i wymyślasz sobie historię o nim, żeby czuć się lepiej z braniem tego, czego ci potrzeba. Bo Boże broń, żebyś odczuwała potrzebę niewywodzącą się z romantycznej miłości. A...

Uniósł ręce, pokręcił głową i odwrócił wzrok. Deszcz stukał w plastikowy arkusz, wydając dźwięki podobny do stukania paznokciami w kamień. Ktoś w głębi korytarza krzyknął

i odpowiedział mu jeszcze odleglejszy głos. Elvi złożyła ręce na piersiach.

- A? - powiedziała. - Mów dalej. Nie widzę powodu, dla którego miałbyś teraz przestać.

- A. - Favez westchnął. - A ja tu jestem.

Minęła chwila, zanim zrozumiała, co mówi. Co jej oferuje. Jej śmiech był równie niepowstrzymany jak wcześniejsza burza. Zaciśnął wargi i wzruszył ramionami, wbijając wzrok w ścianę za nią. Nie potrafiła przestać się śmiać, choć zaczynały ją od tego boleć policzki. A potem rozbawienie osłabło. Wciągnęła powietrze. Okno rozjarzyła błyskawica, ale nie rozległ się po niej grzmot.

Popatrzyła z góry na Faveza. Po chwili podniósł wzrok.

- Dobrze - powiedziała.

* * *

Favez chrapał we śnie. Nie mocno. Nie była to piła tarczowa. Po prostu ciche mruczenie w głębi gardła. Ich upačkane błotem ubrania leżały złożone w poduszki pod głowami. Spoczywała na plecach ze zgiętymi kolanami, rozważając sufit i miękkość własnego ciała. On leżał na boku, przytulony do niej dla ciepła, z nogami złożonymi pod i nad jej nogami. Jego wydechy łaskotały skórę na jej obojczyku. Zaczęła się zastanawiać, co zrobić albo powiedzieć, gdyby ktoś przeszedł przez drzwi, ale była noc, a tutejsze noce były bardzo długie. Było w nich miejsce.

Przyjrzała się jego ciału ze skórą koloru miodu i większym owłosieniem na piersi i nogach, niż się spodziewała. Jak jaskiniowiec, tylko bez bruzdy czołowej Neandertalczyków. Głęboko wciągnęła powietrze i wypuściła je powoli, żeby zobaczyć, jakie to uczucie. Zawsze trzymała się zasady niesypiania ze współpracownikami. Od kiedy *Israel* wyruszył w długą drogę do wrót, właściwie nawet nie trzymała nikogo za rękę. Prawie zapomniała, jakim uczuciem jest seks. I czas po nim.

Favez zakasłał i przesunął się, a ona skorzystała z okazji odsunięcia się od niego. Rozłożył się na podłodze z twarzą przyciśniętą do jej ubrania, z zamkniętymi oczami. Pomyślała

o Jamesie Holdenie, delikatnie dotykając umysłem serca, na wpół bojąc się tego, co tam znajdzie.

– Hm – powiedziała w przestrzeń, cicho, żeby nie obudzić Fayeza. – Nie byłam zakochana w Holdenie.

Fayez zmienił rytm oddechu i poruszyły się jego oczy, ale ich nie otworzył. Pomyślała o obudzeniu go, żeby wydostać spod niego swój kombinezon, ale wyglądał tak spokojnie, że postanowiła poczekać. Spodziewała się, że będzie się wstydzić swojej nagości. Odczuwać zakłopotanie. Nie czuła nic takiego.

Usiadła po turecku przy sprzęcie do analiz chemicznych. Zielony rozmaz na szalce przesunął się trochę, wypuszczając cienkie jak włos wypustki, badając otoczenie. Wywołała informacje chemiczne i zaczęła je przeglądać od początku. Kiedy dotarła do dziwnego odczytu fotoaktywnych związków, stłumiła niecierpliwe westchnięcie. Były chiralne, w dwuchiralnym środowisku. Widziała obie konformacje, które prawdopodobnie pełniły zupełnie inne funkcje. Czyli to miało sens.

Przeciągnęła się, czując, jak jej kręgosłup strzela między łopatkami i zgięła się nad wyświetlaczem, przesuwając spojrzeniem po danych. Zaczęła robić notatki, zapisując pytania dla Lucii lub do wysłania do domu. Utonęła w danych, nie zauważając, gdy Fayez się obudził, ubrał i wyszedł, aż przykrył ją kocem. Podniosła wzrok. Jej kombinezon wciąż leżał złożony na podłodze. Fayez postawił przy niej gorącą herbatę i pocałował ją w czubek głowy.

– Dzień dobry, słońko – powiedział.

Elvi uśmiechnęła się, opierając się o jego piszczele.

– Pewnie mówisz to wszystkim dziewczynom.

– Dobrze się czujesz? – zapytał łagodnie.

Elvi zmarszczyła brwi. Jak to z nią było? Biorąc pod uwagę okoliczności, chyba tak.

– Przyglądam się temu organizmowi – powiedziała – i, wiesz, nabieram wrażenia, że zaczynam go rozumieć. Patrz, przyjrzyj się tym wartościom...

Rozdział trzydziesty szósty

HAVELOCK

Systemy wymiany powietrza *Edwarda Israela* nie przejmowały się tym, skąd pochodziło ich zasilanie. Reaktor fuzyjny czy akumulatory, było im wszystko jedno. Wrażenie Havelocka, że powietrze się zmieniło, zrobiło się cieplejsze, gęstsze i mniej zdolne do podtrzymywania życia, tkwiło wyłącznie w jego głowie. Był świadom znajdowania się w stalowo-ceramicznej puszcze z powietrzem odciętym od jakiegokolwiek większego, samopodtrzymującego się środowiska. Spędził w takich warunkach większość dorosłego życia i stało się to dla niego równie niewidoczne, jak dla kogoś na Ziemi myślenie o byciu utrzymywanym na wirującym obiekcie astronomicznym wyłącznie przez własną masę, chronionym przed reakcją termojądrową słońca wyłącznie przez odległość i powietrze. Nie były to tematy, nad którymi człowiek się zastanawiał, chyba że wystąpił problem.

Jego monitor wyświetlał z lewej strony wymęczonego kapitana Marwicka i szefa zespołu inżynierskiego RCE, a z prawej – milicję Havelocka.

– Mogę zwiększyć wydajność sieci, żeby zapewnić nam dwa, może trzy dni – mówił główny inżynier.

Twarz miał zaczerwienioną, szczękę wysuwał do przodu.

– W teorii – odparł Marwick. – To stary statek. Rzeczy oparte na teorii nie zawsze się tu sprawdzają.

– Wiemy, jakiego typu to sieć – warknął Koenen. – To nie zgadywanie. Mamy liczby.

– Trudno jest się pogodzić z faktem, że te liczby są częściowo zgadywane, prawda? – odpowiedział Marwick.

– Panowie – wtrącił się Havelock głosem naśladowującym ton Murtry'ego. – Rozumiem problem.

– Może jest martwy, ale to wciąż mój statek – oświadczył Marwick.

– Martwy? – rzucił główny inżynier. – Będziemy martwi, jeśli...

– Dość tego – powiedział ostrzej Havelock. – Obaj. Przestańcie. Rozumiem problem i szanuję oba spojrzenia na sprawę. Nie zajmujemy się wprowadzaniem żadnych modyfikacji statku do czasu, aż załadujemy następny zrzut dla ludzi na dole. Kapitanie, czy mogę uzyskać pańskie pozwolenie na przeprowadzenie przez zespół inżynierski wyłącznie wzrokowej kontroli sieci i złączy?

– Tylko wzrokowej? – Marwick zmrużył oczy. – Jeśli będą tego przestrzegać. Jest bardzo wąska granica między zobaczeniem czegoś a lekkim pogłaskaniem.

Havelock kiwnął głową, jakby kapitan udzielił tym zgody.

– Szefie, proszę zebrać zespół. Kontrola wyłącznie wizualna. I proszę mi złożyć raport po zrzucie.

– Sir – odpowiedział główny inżynier.

Słowo zabrzmiało ostro i trochę za głośno. Tak, jak zdaniem cywilów powinni mówić wojskowi. Połączenie z prawej zgasło i obraz kapitana Marwicka został automatycznie przeskalowany na cały ekran.

– Ten facet to dupek.

– Boi się i próbuje przejąć kontrolę nad... cóż, właściwie nad wszystkim, nad czym tylko może.

– To dupek i zapomniał, że kilka sesji gry w paintballa nie wystarczy, żeby zrobić z niego pieprzonego admirała Nelsona.

– Będę go kontrolował – zapewnił Havelock.

Przez kolejne dziesięć dni, a potem to nie będzie miało znaczenia.

Marwick kiwnął głową i też zamknął połączenie. Havelock głęboko wciągnął powietrze i wypuścił je powoli przez nos. Wrócił do swojej kolejki próśb o połączenie. Podczas rozmowy z kapitanem i głównym inżynierem przyszło trzydzieści wiadomości. Wszystkie z domu. Z Sol. Prośby o wywiady i komentarze od ludzi, których nigdy nie spotkał, ale nie wszyscy należeli do kategorii „nigdy nie widział”. Sergio Morales z Nezávislé News. Amanda Farouk z Pierwszej Odpowiedzi. Mayon Dale z Centrali Informacyjnej SPZ. Nawet Nasr Maxwell

z Forecast Analytics. Twarze i osobowości wszystkich kanałów informacyjnych, które oglądał, by trzymać kontakt z sytuacją w domu, teraz uderzały do niego. Uwaga ludzkości skupiała się na Nowej Ziemi. Na nim.

Wcale mu się to nie podobało i w niczym nie pomagało.

Przeszedł kolejno przez wszystkie, odpowiadając tym samym szablonem, który nagrał za pierwszym razem:

– W tej chwili jesteśmy bardzo zajęci rozwiązywaniem sytuacji na Nowej Ziemi. Proszę skierować swoje pytania do Patricii Verpiske-Sloan z działu public relations Royal Charter Energy.

Bła bła bła. Zapewne na którymś etapie zostanie zrugany za zrobienie czegoś takiego. Prawdę mówiąc, trochę się już martwił, że nie powinien był mówić, że są bardzo zajęci.

– Dobrze się czujesz? – zapytała Naomi z głębi celi.

– W porządku.

– Pytam tylko, bo często wzdychasz.

– Tak?

– Pięć razy w ciągu ostatniej minuty – potwierdziła Naomi. – Zanim padł ten reaktor, robiłeś to raz na dwie minuty. Średnio.

Havelock się uśmiechnął.

– Potrzebujesz hobby.

– O tak – zgodziła się Naomi.

Wywołał stronę statusu zrzutu na planetę. Do zrzutu zostało jeszcze osiem godziny. Czyli najdłuższy cykl fabrykacji, jaki mógł uruchomić, to jakieś sześć godzin. Jeśli Murtry i pozostali potrzebowali czegoś, co wymagało dłuższego wytwarzania, będą musieli poczekać. Zaczął przeglądać listę. Żywność. Zapasowe worki na wodę do uratowanego zestawu chemicznego. Acetylen i tlen dla ekipy odzyskowej i naprawczej. Sprawdził masę. Nie chciał pominąć niczego, co może się przydać na dole, ale nikomu się to nie przyda, jeśli zawartość pakietu rozleci się po całej planecie z powodu awarii spadochronu.

– Kiedy wrócimy, będziesz sławny – odezwała się Naomi.

– Hm?

– W tej chwili jesteś twarzą twego wszystkiego. To, co się tu dzieje, ten komunikat, który nagrałeś, to wszystko, co będą

odtwarzały teraz wiadomości.

– Ten komunikat jest tak wyprany z jakichkolwiek informacji, że jest prawie jałowy – odpowiedział Havelock. – Tak właśnie mówi się „bez komentarza”, żeby nie brzmieć, jakby próbowało się coś ukryć.

– Nie będzie ich to obchodziło. Może nawet nie puszcza twoich słów, tylko obraz z przyciszonym dźwiękiem i będą mówić na jego tle.

– Fantastycznie – rzucił Havelock, przesiewając zawartość rzutu.

Oświetlenie awaryjne miało akumulatory i choć zapewne nie zawierały dość energii, by aktywować systemy obrony planetarnej, nie chciał tego ryzykować. Spróbował sobie przypomnieć, czy było tam jeszcze coś z własnym zasilaniem. Nie był to problem, którym zwykle musiał się przejmować.

– Tak to wyglądało dla nas – odezwała się znowu Naomi. – A przynajmniej dla niego. Nawet jeszcze przed Erosem.

– Co wyglądało?

– Bycie twarzą czegoś. Z perspektywy czasu widzę, kiedy do tego doszło. A potem był ten facet, do którego Mars zaczął strzelać. A potem Eros.

– Prawda – zgodził się Havelock. – Pewnie istnieją ludzie, którzy nie słyszeli o Jamesie Holdenie i *Rosynancie*, ale oni raczej nie oglądają wiadomości. Choć wydaje się to całkiem dobrze znosić.

– Ależ panie Havelock, mam wrażenie, że wykryłam sarkazm.

Przełączył się na schemat pakowania. Komputer wczytał wszystkie pakiety i zestawiał je w sześciu konfiguracjach w zależności od wyboru priorytetu: gęstości, parametrów aerodynamicznych, a nawet rozkładu masy. Ruchami palców obracał wizualizacje, wyobrażając je sobie kolejno spadające przez poniewierającą nimi, gwałtowną atmosferę Nowej Ziemi.

– Chciałem tylko powiedzieć, że nie wygląda, jakby się tym przejmował – powiedział.

– Szczerze mówiąc, prawie nie zdaje sobie z tego sprawy – przyznała Naomi.

- Hej. Chcesz mi powiedzieć, że się tym nie podnieca? Choć trochę?

- Nie podnieca się tym, nawet trochę - potwierdziła Naomi. - Znałam ludzi, którzy by się tym napawali, ale to nie Jim.

- Jesteście parą, prawda?

- Tak.

- Powiedziałbym, że jest szczęściarzem, tylko że wylądował na tej totalnie spieprzonej planecie - skomentował Havelock i wybrał kompromisowy schemat pakowania. - Jedyne, czego będę twarzą, to długa, powolna śmierć, którą będą mogli oglądać wszyscy w układzie, ciesząc się, że ich tu nie ma.

Przełączył się na widok drzewa wykonania. Wszystkie zadania, które wymagały wykonania, znajdowały się w kolejce. Miał wrażenie, że o czymś zapomniał, ale potrzebował kilku sekund, żeby to znaleźć. Przełączył się z powrotem na widok inwentarza i dodał małe pudełko onkocydów. Dla Jamesa Holdena.

- Jak dobrze znałeś Millera? - spytała Naomi. - Byliście blisko?

- Byliśmy partnerami - odpowiedział Havelock. - Kilka razy uratował mnie przed kłopotami, gdy wdepnąłem w coś, co mnie przerastało. Albo gdy głupio się zachowałem. Ceres tuż przed tym, gdy władzę przejął tam SPZ, nie była dobrym miejscem dla Ziemianina.

- Czy on sprawił kiedyś na tobie wrażenie... nie wiem. Dziwnego?

- Był gliną na Ceres - stwierdził Havelock. - Wszyscy byliśmy dziwni. Szykujesz się do wielkiego zwolnienia?

Naomi wsunęła palce przez siatkę celi. Na jej twarzy rysowało się rozbawienie.

- To taka pora, co?

- Priorytetem Royal Charter Energy jest zapewnienie powierzonym jej więźniom właściwej, humanitarnej opieki zgodnie z zasadami korporacji i przepisami międzynarodowymi - powiedział tak samo, jak za każdym razem.

Te słowa stały się czymś w rodzaju dzielonego żartu, nie dlatego, że był zabawny, a dlatego że był znajomy.

- Wydaje się to trochę bezsensowne - powiedziała Naomi. - To

znaczy, jeśli wszyscy i tak zginiemy.

– Wiem – zgodził się Havelock, zaskoczony uciskiem w klatce piersiowej. – Ale to wszystko, co mamy, więc będę się tego trzymał.

Odpiął się, podleciał do szafki ze sprzętem do unieruchamiania i wystukał swój kod. Szafka wydała obręcz na kostkę, a on rzucił ją w przestrzeń. Naomi złapała ją palcami i ostrożnie wciągnęła do środka. Owinęła opaskę wokół kostki i spięła jej końce. Urządzenie zasyczało i kontrolka diagnostyczna zaświeciła się na zielono. Havelock zerknął na swój terminal. Opaska była gotowa. Żadnych nieprawidłowości, żadnych błędów. Otworzył celę, a Naomi wyleciała z niej, przeciągając się. Jej papierowy kombinezon trzeszczał przy każdym ruchu.

– Możemy? – zapytał Havelock.

– Czekałam na to cały dzień – wyznała Naomi.

Siłownia była bardziej zatłoczona niż zwykle. Niepewność i strach skłaniały niektórych ludzi do wysiłku fizycznego. Havelock nie wiedział, czy to wrażenie działania, które wymuszało na nich potrzebę zmęczenia, pragnienie wymęczenia się tak bardzo, że odsuwała się od nich nawet świadomość tego, że lecą bez zasilania nad pustą planetą, a najbliższa pomoc jest odległa o ponad rok. A może po prostu był to sposób na naćpanie się. Endorfiny potrafiły zdziałać cuda. Doprowadził Naomi do skrzyni z żelem oporowym, a potem zajął urządzenie do ćwiczeń obok niej.

Załoga na swoich urządzeniach udawała, że wcale im się nie przygląda. Większość przybierała starannie neutralny wyraz twarzy pokerzystów, ale z kilku emanowała złość. Ci gniewni skupiali się głównie na niej, ale kilku – przeważnie Pasiarzy – posyłało mu oskarżające spojrzenia. Havelock udawał, że je ignoruje, ćwicząc główne grupy mięśni pleców i nóg. Choć był gotów wyciągnąć broń w razie jakiegokolwiek gwałtownego ruchu. Jego praca polegała na utrzymaniu jej przy życiu, a siebie w jednym kawałku. A do tego próba utrzymania wszystkich razem do czasu, aż statek się spali.

Pot trzymał się skóry, jego drobne kropelki rozchodziły się,

stykały, rosły. Gdyby ćwiczył dość długo, mógłby w końcu zostać otoczony kokonem własnego potu. Przerwał między serią powtórzeń, żeby wytrzeć sobie twarz, potem zrobił to samo Naomi. Kiwnęła głową w podzięcie, ale się nie odezwała.

Kiedy skończyli, otworzył skrzynię z żelazem i wypuścił ją. Jeden z techników środowiskowych – Pasiarz z jasnymi włosami i nosem jak kartofel, Orson Kalk – podleciał, żeby zająć maszynę.

– Tu carry caba a oksel, schwist – powiedziała, a Naomi się roześmiała.

– Shikata ga pieprzone nai, sa sa? – odparła.

– Chodźmy – wciął się Havelock. – Wracajmy.

Technik zanurzył się w żelu, a Naomi odepchnęła się przez salę w stronę korytarza prowadzącego do jego biura i jej celi. Przez całą drogę powrotną Havelock oglądał się przez ramię. Nie czuł się komfortowo aż do chwili, gdy znalazła się z powrotem w celi i zamknęły się za nią drzwi. Wyciągnął z szafki świeży kombinezon i trochę ściereczek i podał jej, a potem włączył ekran prywatności. Później przypiął się do pryczy przeciążeniowej, słuchając cichych odgłosów towarzyszących ściąganiu przez nią starego kombinezonu, myciu się i zakładaniu nowego. Miała rację. Ekran prywatności w celach bardzo kiepsko tłumiły dźwięki. Sprawdził czekające wiadomości. Kolejnych pięćdziesiąt siedem próśb o komentarze, a żadna nie została przysłana przez kogoś, z kim chciałby rozmawiać. Znowu odesłał im nagraną odpowiedź.

Zamknął oczy, próbując ocenić, jak dobrze mu było z zamkniętymi i czy zdoła usnąć. Tak mu się teraz wydawało, ale od kiedy siadł reaktor, łatwiej było fantazjować o odpoczynku niż faktycznie odpoczywać.

Odezwał się monitor. Na linii był Murtry. Przyjął połączenie.

Na ekranie zobaczył człowieka, którego znał, i kogoś całkiem obcego. Twarz Murtry'ego nigdy nie była zbyt pulchna, ale teraz wyglądał bardzo mizernie. Nie było w niej stałego skupienia, do którego tak przyzwyczaił się Havelock, i potrzebował kilku sekund na zrozumienie tego, ponieważ Murtry nie starał się go zobaczyć.

– Jesteś tam, Havelock?

– Tak jest, sir. Jak wygląda sytuacja na dole, sir?

– Mogłoby być lepiej – odpowiedział Murtry. – Jak wygląda przygotowanie do zrzutu?

– Och. Bardzo dobrze. Powinniśmy mieć wszystko zapakowane i gotowe do zrzucenia za... uch. Wygląda na sześć godzin z minutami.

– W porządku.

– Nie dostaje pan powiadomień z grupy ochrony, sir? Mam przeprowadzić diagnostykę?

– Dostaję je, ale nie mogę ich czytać – wyjaśnił Murtry. Mówił spokojnym, konwersacyjnym tonem, jakby wcale właśnie nie przyznał, że traci wzrok. – Gdy tylko zrzut będzie gotowy, chcę nowego priorytetu dla następnego zrzutu.

– Oczywiście.

– Musimy tu zbudować trochę trwalsze schronienie. Projekt na tyle prosty, żebyśmy mogli je zmontować, nawet jeśli nie będziemy za dobrze widzieć, co robimy. I dostatecznie wytrzymały, żeby przetrwał... cholera, pewnie od dwóch do czterech lat. Zobacz, co znajdziesz w specyfikacjach. Jeśli na pokładzie nie ma niczego, co spełnia te parametry, możesz odpytać bazę danych w domu, ale wolałbym raczej nie tracić zbyt wielu okien zrzutu. Nie jestem pewien, jak długo ludzie tu na dole będą się nadawać do pracy.

– Jakie wymiary pana interesują?

– To bez znaczenia. Cokolwiek da się wznieść szybko i będzie wytrzymałe.

Havelock zmarszczył czoło. Ucichły dźwięki z celi więźniarki. Nie wiedział, czy słucha, ale pewnie to robiła. Choć nie widział powodu, żeby miało to mieć znaczenie.

– Jeszcze jakieś parametry funkcjonalne, których powinienem szukać?

Murtry pokręcił głową. Jego spojrzenie na chwilę skierowało się do kamery, potem odplynęło.

– Jeśli z tej wyprawy nikt nie ocaleje, chcę mieć całkowitą pewność, że kiedy dotrze tu następna fala, będzie na nich czekać

coś z dachem i wydrukowanym na ścianie logo RCE.

– Wbija pan flagę, sir?

– Myślę o tym jak o pozycji do ostatecznego wycofania się. Dasz radę to zrobić?

– Tak.

– Doskonale. Będę w kontakcie.

– Nie potrzeba wam tam na dole jeszcze czegoś?

– Nie – odparł Murtry. – To znaczy, mnóstwa rzeczy, ale daj mi to schronienie na tyle szybko, żebyśmy zdołali je postawić, a będziemy mieć, czego nam potrzeba.

Połączenie zgasło. Havelock zagwizdał cicho przez zęby. Osłona prywatności celi Naomi została wyłączona.

– Hej – rzucił.

– Twój szef planuje zbudowanie szopy na tyle wytrzymałej, by stała się fundamentem, gdy następna banda idiotów przyleci tu po śmierć. Nie mogę się zdecydować, czy gość jest nihilistą, czy drugim największym idealistą, jakiego kiedykolwiek spotkałam.

– Może mieć trochę miejsca na oba.

– Może – przyznała Naomi. – Dobrze się czujesz? – zapytała po chwili.

– Ja? W porządku.

– Jesteś pewien? Bo siedzisz w statku z niestabilną orbitą, a facet, którego traktujesz jak ojca, właśnie powiedział ci, że szykuje się na śmierć.

– Wcale nie traktuję go jak ojca – obruszył się Havelock.

– No dobrze.

– On ma plan. Jestem pewien, że ma plan.

– Jego plan polega na tym, że wszyscy zginiemy – odparła Naomi.

W nieważkości łzy nie tyle spływały, co gromadziły się w oczach, zasłaniając wszystko jak przy pływaniu pod wodą. Jak podczas topienia się. Wytarł je rękawem, ale na soczewkach i tak zostało za dużo wilgoci, drżąc drobnymi falami, które wydawały się trząść ścianami. Potrzebował prawie minuty, żeby opanować oddech.

– To musiało być dla ciebie bardzo zabawne – rzucił gorzko.

– Nie – odpowiedziała. – Ale jeśli masz wolną chusteczkę, to chętnie ją przyjmę. Ten kombinezon nie wchłania wilgoci.

Kiedy się obejrzał, w jej oczach też zobaczył łzy. Havelock zawahał się chwilę, a potem się odpiął, chwycił mały, twardy krążek ręcznika i posłał go w jej stronę. Złapała go i przeciągnęła przez kraty, a potem przycisnęła do oczu, pozwalając, by woda przyciemniła tkaninę, prowadząc do jej powolnego rozděcia i rozwinięcia się.

– Jestem przerażony jak diabli – wyznał Havelock.

– Ja też.

– Nie chcę umierać.

– Ja też nie.

– Murtry'ego to nie obchodzi.

– Owszem – potwierdziła Naomi. – Nie obchodzi go.

W jego gardle wezbrały słowa, ściskając je. Przez chwilę bał się, że może znowu zacząć płakać. Był zbyt zmęczony. Za długo pracował w zbyt silnym stresie. Robił się niestabilny emocjonalnie. Ckliwe. Ściśnięte gardło nie chciało się rozluźnić.

– Myślę – powiedział, męcząc się z każdą sylabą – że przyjąłem niewłaściwy kontrakt.

– Następnym razem będziesz mądrzejszy – skomentowała.

– Następnym razem.

Wysunęła palce przez siatkę, a on ścisnął lekko czubek jej palca między kciukiem a palcem wskazującym. Przez długą chwilę unosili się tam razem: więźniarka i strażnik, Pasiarka i Ziemiańin, pracownik korporacji i sabotażystka. Nic z tego nie miało teraz większego znaczenia.

Rozdział trzydziesty siódmy

ELVI

Dane i analizy dotarły w chaotycznym pakiecie, część z systemów eksperckich na *Israelu*, część z grup roboczych RCE na Lunie, Ziemi i Ganimesie. Nie było żadnej syntezy, żadnego łatwego do przejrzania podsumowania wyników. Zamiast tego były opinie i spekulacje, sugerowane testy (z których tylko część w ogóle dało się zrobić posiadanym sprzętem) i analizy danych. Dzięki raportom medycznym Lucii z wczesnych przypadków pojawiających się wśród dzikich lokatorów i dzięki obserwacjom Elvi dokonanych już po katastrofie było dość informacji, by skonstruować dziesiątki teorii, ale za mało, żeby wyciągnąć jakiegokolwiek realne wnioski. A Elvi była kierowniczką miejscowej grupy roboczej i jedyną osobą we wszechświecie z dostępem do pacjentów i nowych informacji.

Zabójcze ślimaki były stosunkowo proste. Toksycznym związkiem był złożony pierścień węglowy, uwalniający podłączoną cząsteczkę wykazującą pewne podobieństwo do tetrodotoksyny. Wyglądało na to, że jest to po prostu element mechanizmu poruszania się ślimaka, a nie adaptacja do zwalczania drapieżników. Tajemnicą pozostawało, jak związek przenikał do krwi, ale w śluzie znajdowało się całe mnóstwo prawoskrętnych związków, których nikt jeszcze nie przebadał. Niezależnie od wszelkich dodatkowych informacji zebranych w tym badaniu, dla potrzeb Elvi wszystko sprowadzało się do: neurotoksyna, nie ma antidotum, nie dotykać. Załatwione.

Z drugiej strony flora w oku była bardziej złożona. Laboratoria na Lunie i Ganimesie pracowały z modelami glonowymi, traktując rozrost, jakby był to inwazyjny gatunek wkraczający do niezasiedlonego stawu zalewowego. Ziemska grupa robocza twierdziła, że tak naprawdę lepszym modelem była światłoczuła

struktura mineralna. Opierając się na nielicznych danych medycznych, które przetrwały burzę, system ekspercki *Israela* sugerował, że ślepotą wynikała w mniejszym stopniu z obecności obcej masy w ciele szklistym, a bardziej z tego, jak żywy organizm rozpraszał światło. Co było bardzo dobrą wiadomością, ponieważ sugerowało, że zabicie organizmu i rozbicie aktywnych optycznie struktur doprowadziłoby do względnie szybkiego odzyskania wzroku. W oczach miałoby męty, ale większość ludzi i tak miała je w różnym stopniu, a mózg potrafił sobie radzić z kompensowaniem tych niedogodności.

Nie mieli jednak pojęcia, jak zabrać się do ich zabicia. A czasu było bardzo mało. Występował wyraźny wzrost liczby leukocytów, co znaczyło, że ich ciała próbowały się pozbyć intruzów. Tyle że bezskutecznie.

Dla niej objawy zaczęły się lekkim swędzeniem wokół powiek, nie gorszym niż przy sezonowych alergiach w domu. Potem pojawił się nieznaczny biały wysięk i łagodny ból głowy. A później, kilka godzin po wystąpieniu pierwszych objawów, świat zaczął się robić niewyraźny, nabierając zielonkawego odcienia. Wtedy zrozumiała z całą pewnością, że ona też oślepie.

Strach i realia doprowadziły do zmiany wyglądu obozu uchodźców nawet w ramach fizycznych ograniczeń stwarzanych przez ruiny. Ludzie, którzy przenieśli się w głąb ruin, teraz wracali. Potrzeba przestrzeni i prywatności ustępowała strachowi przed ślimakami, pogodą i obawą przed nadciągającym kalectwem. Zwiększona gęstość zamieszkania dla Elvi manifestowała się głównie w zmianie odgłosów tła. Głośniejsze, prowadzone równocześnie rozmowy nakładały się, aż zaczęła mieć wrażenie, że prowadzi badania w sali dworca kolejowego. Czasami otoczenie tymi dźwiękami innych ludzi dawało jej komfort, czasami drażniło. Przeważnie je ignorowała.

– Jak pani sobie radzi, pani doktor?

Elvi odwróciła się od analizatora chemicznego. W łuku pełniącym funkcję drzwi stała Carol Chiwewe. Wyglądała na zmęczoną. I niewyraźną. Oraz nieco zielonkawą. Elvi potarła

oczy, żeby je oczyścić, choć teoretycznie wiedziała, że to niczego nie zmieni. Deszcz uderzał cicho w plastikowe osłony. Prawie już to do niej nie docierało.

- Dobrze - odpowiedziała. - Ma pani nowy wynik?

- Dzisiaj złapaliśmy czterdzieści jeden gnid - odparła Carol. - To chyba wzrost, prawda? Wydawało mi się, że jeśli zrobi się trochę bardziej sucho, zaczną stąd odchodzić.

- A robi się bardziej sucho?

- Nie, choć pada trochę mniej. Miałam nadzieję.

- Jeszcze za wcześnie, żeby uznać to za istotne - powiedziała Elvi, wpisując dane w odpowiednie pole. Śledzenie liczby zabójczych ślimaków było jeszcze jednym z tuzina projektów, którymi się teraz zajmowała. - Ogólny trend wykazuje tendencję spadkową i w ciągu kilku następnych dni możemy zaobserwować cykl.

- Byłoby miło, gdyby spały w nocy. Choć pewnie byłoby nam wtedy za dobrze.

- Pewnie tak - zgodziła się Elvi. - Normalnie żyją pod ziemią, więc jest mało prawdopodobne, żeby przestrzegały cyklu dobowego.

- Zaczyna się nam kończyć jedzenie - poinformowała Carol.

Jej głos ani trochę nie zmienił brzmienia.

- Zrzuty pomagają - stwierdziła Elvi.

- Zrzuty nie dadzą rady utrzymać nas w nieskończoność przy życiu. Na tej planecie musi być coś, co możemy jeść.

- Nie ma - odparła Elvi.

Carol zaklęła cicho, ale brzmiało to na wyraz rozpacz. Westchnęła.

- No dobrze. Do zobaczenia za godzinę.

- Dziękuję.

Z tyłu ziewnął i przeciągnął się Fayez. Chciała się z nim zdrzemnąć, ale nie udało jej się oderwać od aparatury. Zmrużyła oczy, sprawdzając godzinę. Fayez spał przez trzy godziny.

- Coś mnie ominęło? - zapytał.

- Nauka - odparła. - Ominęła cię nauka.

- Cholera. Mogę pożyczyć twoje notatki?

– Nie, będziesz musiał zatrudnić korepetytora.

Zaśmiał się.

– Pamiętałaś, żeby coś zjeść?

– Nie.

– No wreszcie mogę się do czegoś przydać. Zostań tu, a ja przyniosę baton pozbawionego cech charakterystycznych produktu przypominającego jedzenie i trochę filtrowanej wody.

Zaczyna się nam kończyć jedzenie.

– Dziękuję – odparła. – A kiedy już tam będziesz, zobacz, czy uda ci się znaleźć Ymę i Lucię. Miałyśmy przeprowadzić badania oczu dla wszystkich.

– Ślepi będą badać ślepych – skomentował Faye. – Znowu czuję się jak na studiach doktoranckich. Znajdę je, a ty powinnaś sobie zrobić przerwę. Dać odpocząć oczom.

– Zrobię to – skłamała Elvi.

Jej oczy – oczy ich wszystkich – już niedługo będą miały mnóstwo odpoczynku. Jako dziecko Elvi miała niewidomą ciocię, która doskonale sobie radziła, ale też mieszkała w komunie rolniczej w Trento. Z drugiej strony Elvi znajdowała się na planecie bez możliwości upraw, w niejadalnym ekosystemie i w miejscu, gdzie dotknięcie niewłaściwej rzeczy mogło ją zabić na miejscu. Kontekst rządził wszystkim. Zadzwoił jej terminal. Nowa partia raportów i listów od grupy na Ganimesie. Otworzyła je, wzdychając. Gdyby poświęcała czas na czytanie wszystkich przesyłanych przez nich sugestii, nie miałyby czasu na nic innego. Wybrała jeden losowo i otworzyła go. Musiała powiększyć czcionkę, żeby przeczytać list, ale pomogło trochę przełączenie na jaskrawoczerwone litery na czarnym tle. Jeśli inwazyjny organizm rozwijał się zgodnie z tą samą krzywą, co drożdże...

– Sukces! – oznajmił Faye. – Powróciłem z pokarmem i Lucią. A ty nawet nie udajesz, że zrobiłaś sobie przerwę.

– Nie – potwierdziła Elvi, przyjmując od niego baton racji ratunkowych wielkości dłoni i zwracając się do lekarki. – Czego się dowiedzieliśmy?

– Mamy dobrą i złą wiadomość. Prawie stu procentowy

wskaźnik zakażenia – odpowiedziała Lucia, siadając na ziemi obok niej. – Wydaje się, że rozwój postępuje wolniej u dzieci niż u dorosłych, ale tylko nieznacznie.

– A co z RCE względem mieszkańców Pierwszego Lądowania?

– Nie widziałam wszystkich danych zebranych przez Ymę. Ona pracowała głównie z waszymi ludźmi, ale miałam wrażenie, że nie ma żadnej różnicy. Również w kategorii złych wieści: wydaje się, że teraz zakażenie jest dużo agresywniejsze niż wcześniejsze, izolowane przypadki.

Elvi ugryzła baton. Smakował jak niesłodzony keks, a pachniał jak gleba do doniczek i wchłaniał całą ślinę z jej ust, jak gąbka.

– Większe obciążenie wyjściowe? – zasugerowała Elvi przez kęs jedzenia w ustach. – Wcześniej było tak sucho, że mogło nie docierać aż tyle czynników zakaźnych.

– Na tyle niewiele, że nasze układy odpornościowe mogły zidentyfikować je jako ciała obce i wykopać – zgodziła się Lucia.

– Potrafią to zrobić? – zapytał Fayez. – Sądziłem, że te rzeczy reprezentują zupełnie odmienną biologię. Czy nasze układy odpornościowe w ogóle na nie reagują?

– Nie tak skutecznie – odpowiedziała Lucia. Wyglądała na zmęczoną. – Ale jeśli burza niosła ich bardzo dużo, to zwalczyły wszystkie nasze mechanizmy obronne.

– A potem – dodała Elvi – wszyscy je dostają.

– Tak – potwierdziła Lucia. – Tylko że nie.

Elvi znowu otworzyła oczy. Lucia się uśmiechała.

– Złe i dobre, pamiętasz? Mamy jednego mężczyznę bez rozrostu.

– Żadnego?

– Nawet gdybyśmy mieli do czynienia z bardzo opóźnionym wzrostem, wiem, jak wyglądają wczesne objawy. Nie ma nic.

– Czy mógł... nie być narażony?

– Był.

Elvi poczuła wzbierającą w piersi radość. Poczuła się, jakby dostała niespodziewany prezent. Błyskawica oświetliła na chwilę pomieszczenie i zaczęła się zastanawiać, czemu była zielona, zanim przypomniała sobie powód.

- Czyli mamy jednookiego, który będzie królem? - zapytał Faye. - To znaczy, lepiej jeden niż nikt, ale nie widzę tu długofalowego rozwiązania.

- Lekarstwa i szczepionki na mnóstwo chorób znaleźliśmy, badając ludzi, którzy wykazywali naturalną odporność - wyjaśniła Elvi. - To przyczółek.

- Rozumiem - odpowiedział Faye, trąc oczy. - Przepraszam, chyba nie jestem w szczycie swoich możliwości intelektualnych. Ostatnio działałem w sporym stresie.

Elvi uśmiechnęła się z jego żartu.

- Zgodzi się na badania? - zapytała.

- Obchodzi nas to? - rzucił Faye.

- Jeszcze nie miałam okazji zapytać - odparła Lucia. - Dostatecznie trudno było mi zrobić wstępne badanie.

- Dlaczego? - zapytała Elvi. - Kto to?

* * *

Holdena znalazła przy wejściu do głównej sali. Niezależnie od tego, jaką barwę pierwotnie miało jego ubranie, teraz przybrało kolor błota, tak jak ubrania wszystkich innych: błoto, zmęczenie, łzy i strach były nowym mundurem zarówno pracowników RCE, jak i obywateli Pierwszego Lądowania. Włosy miał tłuste, przylepione do czaszki. Na policzkach i górnej części szyi rysowały się początki brzydkiej, nierównej brody. Jej zawodzący wzrok złagodził linie wieku i zmęczenia, nadając mu wygląd przyjemnie wyglądającego, ale niczym się niewyróżniającego mężczyzny. Przypomniała sobie te wszystkie okazje, gdy wymyślała wymówki na spędzenie czasu w jego towarzystwie. Prawie trudno było teraz uwierzyć, że to ten sam człowiek.

Zebrała się w sobie i przeszła przez salę.

- Kapitanie Holden? Może mi pan poświęcić chwilę?

- Jestem teraz naprawdę zajęty. Czy to nie może poczekać?

- Nie może - odparła.

Holden się skrzywił, choć zaraz przybrał neutralny wyraz twarzy, prawie ukrywając grymas.

- No dobrze. W czym mogę pomóc?

Elvi oblizała wargi, zastanawiając się, jak najlepiej przedstawić wyjaśnienie. Nie miała pojęcia, na ile orientował się w biologii, więc uznała, że lepiej zacząć ostrożnie.

– Kapitanie, jest pan bardzo wyjątkową, bardzo ważną osobą...

– Chwila.

– Nie, nie, ja...

– Poważnie. Chwila. Niech pani posłucha, doktor Okoye. Elvi. Już od jakiegoś czasu czułem napięcie między nami, tylko po prostu udawałem, że go nie dostrzegam. Ignorowałem je. I prawdopodobnie to była z mojej strony błędna decyzja. Starłem się po prostu, żeby to samo znikło, żebyśmy niczego nie musieli mówić, ale jestem w bardzo poważnym, głębokim związku i choć niektórzy moi rodzice nie byli monogamiczni, ten związek taki jest. Zanim przejdziemy dalej, muszę jednoznacznie pani powiedzieć, że nic takiego nie może się między nami zdarzyć. Nie chodzi o panią. Jest pani piękną, inteligentną kobietą i...

– Ten organizm, który nas oślepia – przerwała mu. – Jest pan na niego odporny. Potrzebuję próbek krwi. Może tkanek.

– Pomogę w każdy dostępny sposób, ale proszę zrozumieć, że...

– To dlatego jest pan wyjątkowy. Jest pan odporny. Właśnie o tym mówiłam.

Holden urwał z częściowo otwartymi ustami i rękami wyciągniętymi przed siebie w pocieszającym geście. Milczał przez trzy uderzenia serca.

– Och – powiedział w końcu. – Och. Myślałem, że pani...

– Badania oczu, które przeprowadziła doktor Merton...

– Bo myślałem... Ojej, przepraszam. Źle panią zrozumiałem.

– Było. Napięcie, to, o którym pan mówił. Było pewne napięcie. Ale już go nie ma – powiedziała Elvi. – Wcale.

– Dobrze – powiedział Holden. Patrzył na nią przez chwilę z głową częściowo przekrzywioną na bok. – To trochę niezręczne.

– Teraz tak.

– To może nigdy więcej nie będziemy o tym wspominać?

– Sądzę, że to dobry pomysł – zgodziła się Elvi. – Będzie pan

musiał przyjść do nas i dać sobie pobrać próbki krwi.

- Oczywiście. Tak. Zrobię to.

- A ponieważ mój wzrok wysiada, może będzie pan musiał przyjść i odczytać mi niektóre wyniki.

- To też zrobię.

- Dziękuję.

- I dziękuję, doktor Okoye.

Kiwnęli sobie głowami po dwa albo trzy razy, wyraźnie chwilowo niezdolni się rozejść. W końcu odwróciła się na pięcie i pomaszerowała z powrotem, lawirując między grupkami i skupiskami ludzi stłoczonych na podłodze ruin. Jeden z dzikich lokatorów łkał i kiwał się do przodu i do tyłu. Elvi ominęła go i potruchtła z powrotem do laboratorium. Podczas jej nieobecności przyszła Yma, siedziała teraz po turecku na podłodze z Lucią. Porównywały dane. Elvi nie sądziła, że jej wzrok znacząco się pogorszył, do chwili, gdy spróbowała zajrzeć im przez ramię. Ręczny terminal Ymy był tylko białą plamą, równie pozbawiony użytecznych informacji, co chmury.

- Zgodził się? - zapytała Yma głosem napiętym jak struna.

- Zgodził się - potwierdziła Elvi, siadając przy sprzęcie do analizy.

Należało napełnić worek na wodę. Przyjdzie chwila - i to już niedługo - gdy będzie musiała przełączyć urządzenie z produkcji wody pitnej na tryb analityczny, żeby użyć jego pełnych możliwości do wykonania testów. Ale jeszcze nie teraz. Wymieniła worek na wodę.

- Zrobiłaś wywiad? - zapytała Lucia.

- Wywiad medyczny? Nie. Pomyślałam, że może ty to zrobisz.

- Jeśli wolisz - zgodziła się Lucia i wstała z ziemi. - Jest z powrotem w głównej sali?

- Tak - potwierdziła Elvi, klękając przy pulpicie sterowania. Odczyt przyciemniało rozmazane błoto, ale kiedy je starła, zdołała odczytać litery. - Przygotuję kilka badań przesiewowych na jego krwi.

- Ciecz łzową też?

- To chyba dobry pomysł - zgodziła się Elvi. - Po prostu zobacz,

czy jest tam coś nietypowego.

– No dobrze – powiedziała Lucia.

Kiedy ruszyła w stronę drzwi, w jej krokach pojawiło się coś niepewnego. Wahanie. Elvi zaczęła się zastanawiać, jak długo jeszcze lekarka zdoła funkcjonować. To pytanie dotyczyło ich wszystkich. Nie mieli czasu.

– Coś nowego w waszych danych? – zapytała.

– Są spójne – odparła Yma. – Cokolwiek to jest, nie robi mu różnicy, czy to dzicy lokatorzy czy my.

– Cóż, przynajmniej tyle.

* * *

Elvi nie była świadoma upływu czasu. Jej umysł i uwaga odeszły ze świata minut i godzin w miejsce definiowane przez testy, analizy i opóźnienie transmisji, zwalniane tylko przez słabnący wzrok. Jeszcze zanim dostała wyniki testów Holdena, starała się wydobyć jak najwięcej informacji z próbek organizmu, kategoryzując je i wyszukując analogie z innymi roślinami, zwierzętami lub grzybami. Nieustannie towarzyszyło jej poczucie uciekającego czasu, więc podobnie jak w przypadku przykrego zapachu odczuwanego przez dłuższy czas, wkrótce przestała to zauważać. Zamiast tego odczuwała prostą przyjemność robienia tego, w czym była najlepsza. Wybrali ją do tego zadania, ponieważ systemy biologiczne miały dla niej sens, a rozwiązywaniem skomplikowanych problemów zajmowała się dla rozrywki. Już od miesięcy nieustannie zbierała mnóstwo danych. Zachwyciło ją obserwowanie tego nowego świata, odkrywanie jego pierwszych tajemnic, choć było to też łatwe. Te same próbki mógł równie dobrze zebrać doktorant.

Ta praca była trudna i bardzo jej odpowiadała. A choć przerażał ją fakt, że od wyniku jej pracy zależało życie lub śmierć wszystkich na Nowej Ziemi, nie pozbawiało jej to przyjemności z działania.

– Musisz jeść – odezwał się Fayez.

– Dopiero jadłam – odpowiedziała. – Dałeś mi ten baton.

– To było dziesięć godzin temu – powiedział łagodnie. – Musisz

jeść.

Elvi westchnęła i odsunęła się od ekranu. Siedziała zgięta prawie w pół, próbując odczytać wyniki. Bolały ją plecy, a z przodu czaszki zaczynał wzbierać ból głowy. Fayez trzymał coś w wyciągniętej ręce. Kolejny baton z racji ratunkowych. Kiedy go wzięła, jego palce zostały na jej dłoni.

– Dobrze się czujesz?

– Nic mi nie jest – zapewniła Elvi.

– Jesteś pewna?

– Poza oczywistymi problemami. Dlaczego pytasz?

– Wydajesz się trochę nieobecna.

– Pracowałam.

– Jasne. Oczywiście. Przepraszam. Głupio się zachowuję.

– Nie rozumiem – odpowiedziała Elvi. – Nie zachowywałam się tak jak zawsze?

– Owszem – przyznał Fayez i puścił jej dłoń. – Właśnie o to mi chodzi. Po... po, no wiesz...

– Seksie?

Poruszył się. Wyobraziła sobie, że zamyka oczy. Krzywi się nieco. Przy stanie jej wzroku tylko się domyślała, ale i tak napełniło ją to zaskakującą uciechą. Kto by się spodziewał? Fayez z dotkniętymi uczuciami.

– Po seksie – potwierdził. – Chciałem się tylko upewnić, że wszystko w porządku. Że między nami jest wszystko dobrze.

– No cóż – odpowiedziała – orgazm uwalnia dużo oksytocyny, więc pewnie lubię cię teraz bardziej niż przedtem.

– Teraz się ze mnie nabijasz.

– To też – przyznała i znowu ugryzła baton.

Był naprawdę okropny.

– Chciałem się upewnić, że wiem, na czym stoimy.

– Tak naprawdę wcale się nad tym nie zastanawiałam – wyznała Elvi, wskazując na analizator. – Wiesz. Zajęta.

– Oczywiście – odpowiedział Fayez. – Rozumiem.

– Kiedy już nie będzie nam wszystkim groziła śmierć, może będziemy mogli o tym porozmawiać? Może tak być?

– Zdecydowanie.

- To dobrze. Jesteśmy umówieni - rzuciła i siadła z powrotem przy aparaturze.

Bolały ją plecy. Zwłaszcza między łopatkami. Wyświetliła ekran ustawień, próbując znaleźć nowy sposób na dodatkowe zwiększenie czcionki, ale zestaw oferował bardzo ograniczone opcje konfiguracji. Już niedługo będzie potrzebowała pomocy. Ktoś w głównej sali krzyknął ostro, a potem kilkanaście głosów rozbrzmiało w chórze narzekań w odpowiedzi.

- W porządku, tak będzie dobrze - zgodził się Fayed. - Posłuchaj, Elvi. Jesteś najmądrzejszą kobietą, jaką kiedykolwiek spotkałem, a pracowałem na niektórych z najlepszych uniwersytetów. Jeśli gdziekolwiek jest ktoś, kto może nas z tego wydostać, to ty, a ja bardzo chciałbym zrobić się bardzo, bardzo stary i pewnie zniedołężniały i spierniczały w twoim towarzystwie. Gdybyś więc mogła uratować moje życie razem z pozostałymi, bardzo bym to docenił.

W jej głowie starły się ze sobą *to urocze, proszę, nie obciążaj mnie teraz jeszcze bardziej i spróbuję*. Gdzieś na skraju ruin ktoś krzyknął. Miała nadzieję, że to nie był ślimak i nie doszło do kolejnego zgonu. Że nie była to kolejna mała katastrofa.

- Dobrze - powiedziała.

Rozdział trzydziesty ósmy

HOLDEN

Po raz kolejny obchodził wieżę.

Niebo miało barwę szarego, zachmurzonego południa. Deszcz osłabł do lekkiej mżawki intensywnej akurat na tyle, by jego włosy i ubranie ciągle było przemoczone, śląc mu strumyczki wody wzdłuż kręgosłupa. Mokra ziemia przy każdym kroku zasysała pięty jego butów. Powietrze pachniało błotem i ozonem.

Mała grupa zabójczych ślimaków kręciła się przy szczelinie u podstawy wieży. Wejście blokował kłęb tkaniny, ale ślimaki używały swoich wąskich nosów do obmacywania go, szukając sposobu na wciśnięcie się do środka. Holden poprawił chwyt na długiej łopacie odzyskanej z kopalni i spłaszczył je wszystkie jednym ciosem. Zgarnął na łopatę zmiażdżone ciała i odrzucił je z dala od wieży, a potem pozwolił, by lekki deszcz zmył śluz z metalu.

Ruszył dalej, od czasu do czasu znajdując stworzenia na ścianie. Zbierał je łopatą i odrzucał daleko, używając narzędzia jak katapulty. Z początku dobrze się bawił, obserwując, jak daleko potrafi je odrzucić, ale teraz barki i ręce bolały go ze zmęczenia, a odległości robiły się coraz mniejsze.

Czasami towarzyszył mu Miller, nie odzywając się, po prostu pokazywał swą smutną jak u basseta, szarą twarz, by przypomnieć Holdenowi, że ma ważniejsze rzeczy do zrobienia.

Zniknął, gdy Holden wyszedł z za rogu i trafił na małą grupę roboczą odpoczywającą obok częściowo wykopanego rowu. Próbowali wykopać choćby płytką, wypełnioną wodą fosę wokół całej wieży, ale z prymitywnymi narzędziami praca posuwała się bardzo powoli.

Ta grupa składała się z trzech kobiet i dwóch mężczyzn, dysponowali bardzo prostymi narzędziami do kopania.

Rozciągali mięśnie i pili wodę z jednego z worków napełnionych przez urządzenie do filtrowania. Jedna z kobiet kiwnęła mu głową, pozostała czwórka go zignorowała.

Jeden z mężczyzn miał ślimaka na spodniach.

Przywarł do tkaniny tuż nad lewym kolaniem. Nie miał wokół siebie żadnej ścieżki ze śluzu, a żaden z piątki kopaczy go nie zauważył. Holden wiedział, że jeśli krzyknie, mężczyzna może odruchowo spróbować strącić zwierzę ręką. Zamiast tego podszedł do niego spokojnie.

– Nie ruszaj się – powiedział.

– Que? – Mężczyzna zmarszczył brwi.

Holden chwycił go za ramiona i pchnął na ziemię.

– Co jest, kurwa? – rzucił drugi mężczyzna.

Wszyscy odsuwali się teraz od niego jak świadkowie początku bójki. Holden nachylił się nad leżącym na ziemi mężczyzną i powtórzył.

– Nie ruszaj się. – Potem chwycił mankiety jego spodni i ściągnął mu je gwałtownym szarpnięciem.

Potem odrzucił je najdalej, jak potrafił.

– Co się stało? – zapytała kobieta, która wcześniej go przywitała.

Teraz ją rozpoznał. Wyglądała starzej, ale była jedną z kierowniczek kopalni. Pewnie dowodziła zespołem kopaczy.

– Nikt z was nie widział, że miał ślimaka na kolanie?

– Babosa mało? – mruknął ktoś.

Holden sięgnął w dół i podciągnął oszołomionego mężczyznę na nogi.

– Miałeś na spodniach zabójczego ślimaka. Opierałeś się o tę ścianę?

– Nie. Nie wiem. Może na chwilę – przyznał mężczyzna.

– Mówiłem wam – Holden zwrócił się najpierw do niego, potem do kierowniczkii grupy. – Mówiłem, żebyście nie dotykali ścian. Ślimaki wchodzi na nie, żeby uciec przed wodą.

Kierowniczka kiwnęła do niego pięścią.

– Sa sa.

– Nie widzieliście go – powiedział, nie zapytał Holden. – Jak źle?

Malo que sus ojos?

– Ojos? – zapytał mężczyzna.

– Nie ojos. Ach. Orbas. Oczy.

– Na khorochó – zgodził się, rękami wykonując pasiarski odpowiednik wzruszenia ramion. Niedobrze.

– No trudno. Ceną za nieprzyznanie się szefowej, że nie widzisz dość dobrze, by unikać ślimaków, jest utrata spodni.

– Sa sa.

– Wracaj do środka – powiedział Holden, popychając go lekko w stronę wejścia do wieży – i zobacz, czy znajdziesz coś na zakrycie swojego wstydu.

– Przepraszam, szefowo – rzucił mężczyzna i oddalił się.

– Ktoś jeszcze w ekipie ma tak samo kiepski wzrok? – Holden zapytał szefowej grupy.

Zmarszczyła brwi i wzruszyła ramionami.

– Nie jest najlepiej. Żadne z nas go nie widziało.

– No dobrze – odpowiedział Holden, pocierając głowę, przez co woda trzymająca się włosów spłynęła mu po szyi. – Zabierz ich z powrotem – zdecydował po chwili.

– Fosa.

– Teraz to zbyt ryzykowne. Zostanę na patrolu. Zabierz swoich ludzi.

– No dobrze – odpowiedziała kobieta, a potem poprowadziła swoich podopiecznych w stronę wejścia.

Odezwał się ręczny terminal Holdena, a kiedy go wyciągnął, zobaczył, że ktoś już od dłuższej chwili próbował się z nim połączyć. Przyjął połączenie i po kilku sekundach na ekranie pojawiła się Elvi.

– Gdzie jesteś, Jim? Potrzebuję cię z powrotem w laboratorium.

– Przepraszam – odpowiedział – ale jestem tu trochę zajęty.

– Właśnie skończyła się analiza twojej krwi. Musisz przyjść i przeczytać mi wyniki.

Ekran analizatora był bardzo mały. Kto w erze operacyjnego korygowania wad wzroku miał z nim problemy? Holden miał wrażenie, że teraz miałyby przekonujący argument dla projektantów.

– Poczekaj, aż skończę ten patrol – powiedział.

– To ważne.

– Tak samo jak utrzymanie przy życiu durniów, którzy upierają się pracować na zewnątrz, choć nic nie widzą.

– W takim razie pośpiesz się, proszę – dodała i rozłączyła się.

Holden chował terminal z powrotem, gdy ten znowu na niego zabrzęczał. Przypomnienie o kolejnym rzucie zaopatrzenia. Uniósł terminal do góry i pozwolił mu się skierować w stronę rzutu. Po powiększeniu na ekranie zobaczył odległy biały spadochron. Za daleko. Wciąż spadały rozproszone losowo na zbyt dużym obszarze. Na zebranie pierwszych kilku wysłali zespoły, ale wkrótce nie zostanie nikt widzący dostatecznie dobrze, by z powodzeniem odbyć niebezpieczną wyprawę po zapasy i z powrotem.

Nikt oprócz niego.

Ruszył odszukać Amosa oraz potencjalne rozwiązanie tego problemu. Mechanik urządził mały warsztat kilkaset metrów od wieży pod osłoną w kształcie namiotu, zrobioną z arkuszy karbowanego plastiku. W ciasnej przestrzeni pod nimi leżało mnóstwo narzędzi i części z odzyskanych wózków elektrycznych.

– Jak to wygląda? – zapytał Holden, a potem wszedł pod osłonę i usiadł na plastikowej skrzyni pełnej różnych elementów.

Amos siedział ze skrzyżowanymi nogami na arkuszu plastiku, otoczony obudowami akumulatorów w różnym stopniu demontażu.

– Tutaj kryje się problem – odpowiedział, machając grubą ręką w kierunku akumulatorów.

– To znaczy?

– To znaczy, że mam kilka wózków, które wyciągnęli z zupy przy kopalni, i mogę je przygotować do jazdy w kilka godzin, jeśli się przyłożę. Okazuje się, że wcale im nie przeszkadza zanurzenie pod wodą. Silniki wymagają wyczyszczenia z mułu i szlamu, ale to proste.

– Ale akumulatory wysiadły.

– Tak, do tego się to sprowadza. – Amos podniósł delikatnie wyglądający pasek metalu pokryty rdzawymi plamami. – Im to

przeszkadza.

Holden wziął z ręki Amosa skorodowaną elektrodę i przyglądał się jej przez kilka sekund, a potem odrzucił na rosnącą stertę bezużytecznych części.

- Według statku wiatry w górnych warstwach atmosfery sprawiają, że precyzyjne zrzuty są niemożliwe - powiedział. - Na razie mogę wysłać grupy poszukiwawcze, żeby je sprowadziły.

- Aż do chwili, gdy twoi poszukiwacze nie zdołają się wysikać, nie oblewając sobie butów.

- Aż do tej chwili. Wtedy będę jedynym człowiekiem, który zdoła sprowadzić zapasy, a nie dam rady zrobić tego i wszystkich innych rzeczy bez jakiegoś transportu.

- Jasne - odpowiedział Amos. - Dobra wiadomość jest taka, że chyba dam radę zebrać z tych części dwa albo trzy sprawne akumulatory. Zła z kolei taka, że zapewne zdołam naładować tylko jeden.

- Jeden mi wystarczy. I sprawny wózek, do którego będę mógł go wsadzić.

- Mogę to zrobić - zapewnił Amos.

Powoli sięgnął na drugą stronę ciała i chwycił palnik acetylenowy. Urządzenie obudziło się do życia z błękitnym płomieniem, który skierował na coś na ziemi. Zbliżający się do niego zabójczy ślimak zginął z sykiem i bulgotaniem.

- Jak twoje oczy? - zapytał Holden starannie swobodnym tonem.

- Na razie w porządku - odpowiedział mechanik. - Może nie byliśmy tu tak długo. Ale widzę zielone błyski na skraju pola widzenia, więc wiem, że mam to w sobie tak jak wszyscy inni.

- Powinieneś siedzieć w środku z resztą.

- Nie - odparł Amos. Mówiąc to, chwycił jeden z częściowo rozmontowanych akumulatorów i zaczął rozbierać go na części. - Sporo z tych rzeczy zbieranych przez ludzi Wei uwalnia toksyczne syfy, których nie chciałbyś tam w powietrzu. A na dodatek nie chcę, żeby ci ludzie za bardzo zaprzyjaźnili się z moimi rzeczami.

- Wiesz, o co mi chodzi. Ten twój szafas jest atrakcyjnym

suchym miejscem. Do zmierzchu będzie tu pełno ślimaków.

– Może – Amos przytaknął. – Ale mam ten arkusz plastiku, żeby nie wychodziły mi z ziemi. A te, które próbują podpełznąć, spalam palnikiem. Zostawiam tam ich małe dymiące trupki. Żywe wydają się ich unikać. Chyba nic mi nie będzie.

Holden kiwnął głową i przez kilka minut siedział z Amosem w milczeniu, obserwując, jak mechanik kończy rozbierać akumulator i sortuje części na podstawie stopnia ich zniszczenia. Zbierał stertę sprawnych elementów do zmontowania obudowy nowego urządzenia. Holden wiedział, że jeśli zaoferuje pomoc, będzie mu tylko przeszkadzał, ale tak miło było siedzieć nie na deszczu, a zarazem z dala od wystraszonych kolonistów, że wcale nie miał ochoty odchodzić.

– Wiesz – odezwał się w końcu – jeśli twój wzrok znacznie się pogorszy, będę zmuszony zaciągnąć cię do środka. Niezależnie od tego, czy to skończysz, czy nie.

– Pewnie możesz próbować – odparł ze śmiechem Amos.

– Nie walcz ze mną w tej sprawie. Proszę. Czy mógłbym mieć choć jedną rzecz, w której nikt nie będzie się ze mną spierał? Nie zostawię cię tutaj, żebyś zmarł z zatrucia. A jeśli będziesz ślepy, chyba zdołam cię pokonać.

– Może być zabawnie spróbować się przekonać. – Amos znowu się zaśmiał. – Pewnie jeśli ktoś miałby to zrobić, to właśnie ty. Ale nie upieram się tylko po to, żeby być upierdliwym, kapitanie. Mam nadzieję, że to rozumiesz.

– W takim razie dlaczego?

– Wszyscy tutaj mają ten sam pieprzony problem. Brak jedzenia, ślepienie, wybuch planety – wyjaśnił Amos. Mówiąc to, zaczął montować nowy akumulator z przygotowanych części. Jego sprawne palce tak dobrze wiedziały, co robić, że prawie nie musiał na nie patrzeć. – Wiesz, o czym będą rozmawiać?

– O tym?

– Dokładnie. Ojej, nie mamy jedzenia, ratunku, tracę wzrok, jasna cholera, mordercze ślimaki. Nie lubię terapii grupowych. Kilka minut narzekania i jęczenia wystarczy, żebym zaczął rozbijać ludziom głowy dla odrobiny spokoju.

Holden zapadł się w sobie na skrzynce i oparł przemoczoną głowę na dłoniach.

– Wiem. Zamiast tego ja muszę tego słuchać. Robię się od tego trochę marudny.

– Jesteś marudny, bo jesteś zmęczony – poprawił go Amos. – Masz to swoje podejście „muszę wszystkich uratować”, więc przypuszczam, że nie spałeś od jakichś dwóch dni. Ale słuchanie jak ludzie narzekają? To mniej więcej twoja robota. Dlatego właśnie tyle ci płacą.

– Zarabiasz tyle samo.

– To chyba znaczy, że robisz to dla chwały i sławy.

– Nienawidzę cię – rzucił Holden.

– Przygotuję ten pierwszy wózek do wieczora – odpowiedział Amos, zatraskując obudowę akumulatora z plastikowym kliknięciem.

– Dziękuję – rzucił Holden, a potem z jękiem dźwignął się na nogi i zaczął maszerować z powrotem w stronę wieży.

– Zawsze do usług – odpowiedział Amos do jego pleców.

Znowu zaczął brzęczeć terminal Holdena.

– Gdzie jesteś, Jim? – spytała Elvi, gdy tylko przyjął połączenie.

– Potrzebuję tych danych...

– Już idę – odpowiedział. – Chwilowo mam trochę dużo rzeczy na głowie. Ale za chwilę tam przyjdę.

Rozłączył się akurat na czas, by z głównego wejścia do wieży wyłonił się Murtry i zrobił z niego kłamcę.

– Kapitanie – przywitał go ochroniarz.

– Panie Murtry. Jak się układa od pańskiej strony? Amos wydaje się robić dobry użytek z odzyskanych wózków.

– To dobry mechanik – odpowiedział szef ochrony RCE. – Był kolejny zrzut.

– Widziałem go. Mój terminal go oznaczył i zapisał współrzędne. Prześlę panu lokalizację, żeby mógł pan wysłać grupę.

– Straciliśmy człowieka – poinformował go Murtry podczas przesyłania danych.

– Kogo?

– Paulsona, jednego z moich kierowców. Ślimak włożył mu do buta, gdy nikt nie patrzył.

– Bardzo mi przykro – powiedział Holden, próbując sobie przypomnieć, czy potrafił rozpoznać Paulsona, i czując winę z faktu, że ktoś zginął, próbując im pomóc, a on nawet nie potrafił dopasować twarzy do nazwiska.

– Głupi błąd – skomentował Murtry. Wystukał szybko sekwencję poleceń w swoim terminalu. – I nie chodziło mi o pańskie współczucie, po prostu wprowadzam pana w sytuację z ograniczoną liczebnością zespołu.

– Rozumiem – odpowiedział Holden zaskoczony tym, że wciąż zaskakiwał go brak empatii mężczyzny.

– Wei zajmie się zebraniem zrzutu.

– Jak z jej wzrokiem? Jak pan sądzi, ile tych wypraw jeszcze da radę zrobić?

– Już jest w drodze – odpowiedział Murtry ze sztucznym uśmiechem. – Więc powiedziałbym, że przynajmniej jeden.

– Świetnie – skomentował Holden. – Proszę jej przekazać moje podziękowanie.

– Zrobi się – odpowiedział Murtry, ignorując ironię. – Ale potrzebuję czegoś od pana.

– Pan potrzebuje czy RCE?

– Na tym etapie może je pan uznać za tożsame. W tym zrzucie powinno być trochę materiałów konstrukcyjnych. Muszę zebrać ekipę roboczą do postawienia mojej struktury, zanim wszyscy będą zbyt ślepi, żeby to zrobić.

– Do czego ma służyć? Jest całe mnóstwo innych rzeczy do zrobienia, póki jeszcze możemy. A przypadkiem tak się składa – powiedział Holden, wskazując na wieżę obcych za plecami – że schronienie do nich nie należy.

– Ci ludzie – odpowiedział Murtry – jedzą moją żywność, piją moją wodę i łykają moje leki. Mój zespół zbiera zapasy i prowadzi niebezpieczne prace odzyskowe, dzięki którym to wszystko jest w ogóle możliwe. Wie pan o tym? Jak długo jest to prawdą, mogą postawić dla mnie kilka ścian, gdy o to poproszę.

– W takim razie czego chce pan ode mnie?

- Są pod błędnym wrażeniem, że to pan tu dowodzi. Wyprowadzenie ich z błędu wydało mi się nieuprzejme.

Holden doznał nagłej wizji wyciągnięcia wkrótce oślepego Murtry'ego na środek przemoczonej deszczem pustyni i zostawienia go pośrodku chmary zabójczych ślimaków.

- Powiedziałem coś śmiesznego? - zapytał Murtry.

- Wewnętrzny żart - odpowiedział Holden z uśmiechem. - Musiałby pan tam być. Powiem Carol, że szuka pan ochotników.

Zanim Murtry zdołał zaprotestować, Holden odwrócił się i odszedł.

Wewnątrz wieża pełna była kolonistów starających się pośpiesznie przygotować do nadchodzącej długiej nocy. Lucia zebrała grupę do napełnienia wszystkiego, co mogło pomieścić wodę, zapasami z analizatora chemicznego. Carol Chiwewe kierowała zespołem przechodzącym przez wnętrze wieży w poszukiwaniu wszelkich pozostałych zabójczych ślimaków, mieli też pozatykać wszystkie napotkane dziury.

Holden wspiął się na rampę, a potem pokonał schody zrobione z pustych skrzynek, żeby wejść na trzecie piętro wieży. Wewnątrz pomieszczenia, które optymistycznie nazwali laboratorium, zastał Elvi, Fayeza i trzecią osobę z zespołu naukowego RCE, która nazywała się chyba Sudyam.

- Kto przyszedł? - zapytała Elvi. Dźgnęła Fayeza w ramię. - Czy to Jim?

- W końcu - odpowiedział Fayez po chwili uważnego przypatrywania mu się przez zmrużone oczy.

- Przepraszam za spóźnienie, ale Murtry chciał..

- Musisz mi to przeczytać. - Elvi nie dała mu skończyć.

Wskazywała mały ekran aparatury chemicznej. Holden podszedł i przyjrzał mu się, ale nie miał pojęcia, co znaczą poszczególne wyświetlane na nim symbole i akronimy.

- Czego szukam?

- Najpierw chcemy sprawdzić CBC - powiedziała Elvi, podchodząc i wskazując ekran.

Nigdzie na nim nie zobaczył takiego tekstu.

- No dobrze - rzucił. - Będzie podpisane „CBC”? Nic takiego tu

nie widzę.

Elvi westchnęła, a potem zaczęła mówić bardzo powoli.

– Czy u góry ekranu jest tekst „Wyniki”?

– Nie. U samej góry napisano „Narzędzia”. O to chodziło?

– Złe menu. Naciśnij przycisk wstecz – poleciła Elvi, skazując przycisk ekranowy.

Holden go dotknął.

– Och, widzę teraz opcję wyników.

– Dotknij jej. Potem będą nam potrzebne wartości liczbowe dla CBC, RBC, WBC, hemoglobiny, hematokrytu i liczby płytek.

– Hej – rzucił radośnie Holden – widzę to wszystko.

– To je nam przeczytaj.

Holden wykonał polecenie, a Elvi notowała coś na swoim terminalu. Litery jej na ekranie były tak duże, że Holden potrafił je odczytać z drugiego końca pokoju.

– Teraz się cofnij i przyjrzyjmy się wynikom gazometrii – powiedziała, gdy skończył.

Zajęło to ponad godzinę, ale w końcu Holden odczytał im wszystkie wyniki, których szukały. Zdecydowały o pobraniu mu kolejnej porcji krwi i puszczaniu go.

Kiedy skończyły, stanął obok Elvi, przyciskając kawałek bandaża do rany po wkłuciu.

– Jesteśmy choć trochę bliżej?

– To nie jest łatwy proces – odpowiedziała. – Nawet z dostępem do wszystkich tych naukowców i komputera *Israela*. Szukamy igły w złożonym organizmie.

– Ile czasu nam zostało?

Elvi przechyliła głowę tak, że światło wpadało do jej źrenic. Holden zobaczył w nich lekkie zielone zabarwienie.

– Prawie nic – stwierdziła. – Ale powinieneś pójść się przespać. Jesteś wyczerpany.

– Dowiedziałaś się tego z mojej krwi?

– Nie spałeś od dwóch dni – odparła ze śmiechem. – Tego dowiedziałam się z matematyki.

– Obiecuję, że walnę się na łóżko, gdy tylko będę mógł – skłamał.

Zszedł po prowizorycznych schodach i dziwnie obcej krzywiźnie rampy do kłębowa ludzi na dolnym poziomie. Lucia przekazała asystentom obowiązek pilnowania zbierania czystej wody i świeciła właśnie latarką w oczy małego dziecka. Posłała przechodzącemu Holdenowi zmęczony uśmiech. Ktoś krzyknął ostrzegawczo, a potem przebiegł przez salę, niosąc na patyku ślimaka i wyrzucił go na zewnątrz. Holden poszedł za nim i rozdeptał zwierzę.

Niebo ciemniało, przybierając barwę mokrego popiołu, a deszcz przybierał na sile. Od wschodu przetoczył się odległy grzmot, którego błysk widoczny był tylko jako słabe rozbłyski w gęstych chmurach. Powietrze pachniało błotem i ozonem.

Holden po raz kolejny obchodził wieżę.

Rozdział trzydziesty dziewiąty

BASIA

– Cześć tato! – przywitał go z ekranu Jacek. Głos chłopca prawie wibrował od strachu i wyczerpania.

– Cześć synu. – Nagrany i prawdziwy Basia powiedzieli to równocześnie.

Jacek zaczął mówić o zabójczych ślimakach, błyskawicach i mieszkaniu w ruinach obcych, recytując uspokajające słowa i wyjaśnienia, w których Basia rozpoznał swoją żonę. Jacek poważnie powtórzył wszystkie podane mu przez mamę powody, dla których sytuacja może się dobrze skończyć, traktując relacjonowanie ich Basi jako wymówkę do ponownego ich usłyszenia. Basia już trzeci raz oglądał nagranie swojej rozmowy z synem. Kiedy skończył, wywołał nagranie rozmowy z Lucią i obejrzał je po raz dziesiąty.

Rozważył poproszenie Aleksa o zadzwonienie do nich jeszcze raz i nagranie kolejnych konwersacji, ale rozpoznał w tym samolubny impuls i stłumił go.

Jacek był brudny, pokryty błotem i zmęczony. Z przejęciem i fascynacją opisywał horror, jakim były trujące ślimaki. Nieustanne burze z piorunami i deszcze były czymś zdumiewająco egzotycznym dla dziecka, które przed przylotem na Ilusa mieszkało tylko w lodowych tunelach i na statku. Ani razu nie powiedział, że chciałby, żeby tata tam był, ale biło to z jego słów. Basia nie pragnął niczego bardziej, niż wziąć swojego syna za rękę i powiedzieć mu, że strach nie jest niczym złym. Że odwaga to bycie przerażonym, ale zrobienie tego mimo wszystko.

Kiedy przyszła kolej Lucii, jego żona wyglądała mniej na przestraszoną, a bardziej na wyczerpaną. Posyłane mu uśmiechy były bardzo niedbałe, powierzchowne. Jej raport był mało

szczegółowy, ponieważ, jak wiedział, nie miała do powiedzenia nic, co byłoby pomocne dla któregoś z nich.

Najwięcej pokoju ducha dawały mu nagrania z Felcią. Była jedyną osobą w jego rodzinie, co do której nie miał wrażenia, że ją zawiódł. Chciała iść do szkoły i zdołał zdławić swoje lęki, potrzeby i ciężary na tyle, by jej na to pozwolić. Odbierał to jak zwycięstwo.

Aż do teraz.

Teraz widział tylko tykający zegar zostawiony przez Aleksa na ekranie, pokazujący czas, który pozostał do chwili, gdy statek spali się, wpadając w atmosferę Ilusa.

Symulacja z zegarem wyświetlała swój okropny program na panelu za jego plecami. Próbował na niego nie patrzeć. Kiedy potrzebował skorzystać z ekranów na mostku, przelatował przez pomieszczenie, starając się nawet nie zerkać w jego stronę. Bardzo usilnie próbował zapomnieć o jego istnieniu.

Bezskutecznie.

Oglądając po raz czwarty ostatnią rozmowę z Felcią, czuł zegar za plecami jak ciepłą plamę na karku. Jak czyjeś spojrzenie wbite w niego przez zatłoczony pokój. Gra polegała teraz na tym, jak długo potrafił nie spojrzeć na ekran. Albo czy zdoła się zająć czymś na tyle, żeby zapomnieć o jego obecności.

Felcia na ekranie mówiła mu właśnie o nauce wymiany płuczek na pasiarskim frachtowcu. Nie była to rzecz, którą musiała robić w ciągu długich miesięcy, gdy *Barbapiccola* był jeszcze ich domem. Jej zgrabne palce demonstrowały jakieś skomplikowane operacje wymagane podczas procesu wymiany. W jej ustach wydawało się to łatwe. Zabawne. Było niemalże rozrywką. Ale on był jej ojcem. Wiedział, że się boi.

Tik, tik, tik, bezdźwięcznie przypiekał zegar za jego plecami.

Przestawił dyszę systemu wymiany powietrza przy swoim panelu, posyłając chłodny powiew na swoją twarz. Zakończył odtwarzanie nagrania i spędził trochę czasu na uporządkowywaniu swoich plików według zawartości i daty. Potem uznał, że lepiej je posortować według daty i nazwy i uporządkował je ponownie.

Tik, tik, tik, jak gorące słońce na ciemnej koszuli w południe. Piekące bez pieczenia.

Otworzył plik przygotowany przez Aleksa z naprawami do wykonania i przewinał listę. Zaznaczył już na niej pozycje, które potrafił zrobić. Spędził trochę czasu, przyglądając się pozostałym i próbując zdecydować, czy mógł przy nich pomóc. Nic nie rzuciło mu się w oczy. Co nie było dziwne, ponieważ analizował tę listę już po raz piąty.

Tik, tik, tik.

Basia się odwrócił. Pierwsze, co zauważył, to zmianę symulowanych ścieżek orbitalnych. Różnice były na tyle nieznaczne, że prawdopodobnie nie powinien był ich zobaczyć, ale jaskrawe, nienawistne linie opisujące śmierć jego jedynej córki wypaliły się w jego mózgu. Nie miał wątpliwości, zmieniły się. Z jakiegoś powodu potrzebował więcej czasu na zauważenie, że zmianie uległy też cyfry zegara.

Pozostały czas skrócił się o trzy dni.

Gdy ostatni raz spoglądał na zegar, zaledwie kilka godzin wcześniej, zostało na nim nieco ponad osiem dni, teraz było trochę poniżej pięciu.

– Zegar się zepsuł – powiedział w przestrzeń.

Aleks był wyżej, w kokpicie, gdzie spędzał większość czasu. Basia szarpnęła za taśmy trzymające go w fotelu, walcząc z nimi bez powodzenia, aż zmusił się do uspokojenia i po prostu naciśnięcia przycisków zwolnienia blokady. Potem odepchnął się do drabiny załogowej i przeleciał wyżej.

Na głównym wyświetlaczu przed Alekssem jarzyła się złożona grafika. Pracował nad nią delikatnymi ruchami po ekranie, przy akompaniamencie ciągłego mamrotania pod nosem.

– Czas się nie zgadza – oznajmił Basia.

Gdyby nie fakt, że nagle zabrakło mu tchu, prawdopodobnie by to wykrzyczał.

– Hm? – Aleks machnął przez panel, a ten przełączył się na wykres pełen liczb.

Zaczął do niego wpisywać nowe wartości.

– Zegar... licznik czasu orbitalnego się zepsuł!

– Właśnie nad nim pracuję – odpowiedział Aleks. – Nie jest zepsuty.

– Spadł do pięciu dni!

– Owszem – przyznał Aleks, a potem przerwał pracę, obrócił fotel i popatrzył na Basię. – Miałem z tobą o tym porozmawiać.

Basia poczuł, że opuszczają go siły. Gdyby byli w ciąży, opadłby na podłogę na gumowych nogach.

– Zgadza się?

– Zgadza się – potwierdził pilot, ponownie przesuwając ręką po ekranie, by z powrotem wyświetlić krzywe. – Ale to wcale nie jest niespodzianka. Początkowe szacunki dotyczące poziomu energii w akumulatorach musiały być niedokładne. To od samego początku były bardzo wstępne wartości.

– Nie rozumiem – wyznał Basia.

W żołądku miał kamień. Gdyby w ciągu ostatniego dnia lub dwóch dni pamiętał o jedzeniu, teraz chyba by zwymiotował.

– Pierwsza szacunkowa wartość opierała się na odległości orbitalnej, masie statku i spodziewanym poziomie naładowania akumulatorów oraz zużyciu prądu – mówiąc to, Aleks wskazywał różne miejsca na wykresie. Jakby to cokolwiek wyjaśniało. Jakby wykres miał jakiś sens. – Niestabilność orbity nie jest czymś, czym ktokolwiek się przejmuje, mając aktywny reaktor. Gdyby ktoś z nas chciał, moglibyśmy osiągnąć praktycznie trwałe orbity, ale *Barb* miał ten prom latający w tę i z powrotem z rudą, więc trzymał się dość nisko. Żeby oszczędzić trochę na każdej podróży. I wybaczyć, że to mówię, ale to latająca kupa złomu. Jest cięższy, niż powinien być, a jego akumulatory szybko siadają. Stąd nowe wartości.

Basia unosił się obok stanowiska działonowego, obserwując, jak na ekranie przesuwa się nienawistna matematyka.

– Straciła trzy dni – powiedział w końcu, gdy miał na to dość powietrza w płucach. – Trzy dni.

– Nie, tak naprawdę nigdy ich nie miała – odpowiedział Aleks. Jego słowa były ostre i brutalne, ale twarz miał smutną i współczującą. – Nie zapomniałem o swojej obietnicy. Jeśli *Barb* spadnie, twoja córka będzie się wtedy znajdować na tym statku.

- Dziękuję – odpowiedział Basia.

- Teraz zadzwonię do kapitana. Wypracujemy jakiś plan. Po prostu daj mi trochę czasu. Możesz to zrobić?

Pięć dni, pomyślał Basia. *Mogę ci dać pięć dni.*

- Tak – powiedział zamiast tego.

- To dobrze – odpowiedział Aleks i popatrzył wyczekująco, wyraźnie spodziewając się, że Basia wyjdzie. Kiedy tego nie zrobił, pilot w końcu wzruszył ramionami i odwrócił się, żeby wywołać ekran łączności. – Kapitanie, tu Aleks. Zgłoś się.

- Holden – odpowiedział znajomy głos po kilku sekundach.

- Zgodnie z twoją sugestią przeliczyłem zaktualizowane wartości. Zdecydowanie *Barb* spadnie pierwszy.

- Jak kiepsko jest? – zapytał kapitan.

Połączenie wydawało się zaszumione. Basia potrzebował kilku chwil na zrozumienie, że to dźwięk deszczu.

- Niecałe pięć dni zanim zaczniesz się ocierać o atmosferę bardziej, niż da radę wytrzymać.

- Szlag – rzucił Holden i umilkł. Cisza ciągnęła się na tyle długo, że Basia zaczął się martwić o utratę połączenia. – A co z *Rosem*?

- Och, w porządku. Wyłączyłem praktycznie wszystko poza światłem i powietrzem. Mamy spory zapas.

- Możemy pomóc?

- To znaczy – Aleks przeciągnął słowa – podholować ich?

- Coś w tym stylu. Damy radę?

- Szefie – odpowiedział Aleks – spięcie w ten sposób dwóch statków jest do zrobienia, ale przeprowadzenie tego na niskiej orbicie nie jest trywialnym problemem. Jestem tylko pilotem. Miło byłoby mieć, no wiesz, naszą inżynier, która by to wszystko przeliczyła.

- Ha, bez jaj – rzucił Holden.

Zdaniem Basi brzmiał na rozgniewanego. To było dobrym znakiem. Złość była dobra. Basia odkrył dziwne pocieszenie w fakcie, że ktoś oprócz niego też jest zły na tę sytuację.

- Jest na to jakaś szansa? – podsunął Aleks.

- Jeszcze raz porozmawiam z Murtrym – odpowiedział Holden.

- Niedługo oddzwonię. Rozłączam się.

Aleks westchnął. Mocno zacisnął wargi.

– Rozmawianie nic nie da – odezwał się Basia. – Prawda?

– Nie widzę, jak miałoby pomóc – przyznał Aleks.

– A to oznacza niezerową szansę, że w końcu sami będziemy musieli się po nią wybrać. Wiesz, że jest nas tylko dwóch. Ty i ja. Nikogo więcej.

– Jest nas trzech – odpowiedział Aleks, klepiąc panel sterowania. – Nie zapominaj, mamy jeszcze *Rosa*.

Basia kiwnął głową, poczekał na nowy kamień w żołądku i zdziwił się, gdy zamiast tego poczuł przepętniający go ciepły spokój.

– Co mam zrobić?

* * *

– To skafander LPP – powiedział Aleks, wskazując sprzęt zabezpieczony w otwartej szafce.

Znajdowali się na pokładzie ze służą, poza samą służą znajdowały się tu prawie wyłącznie szafki i schowki magazynowe. Zawartość tej szafki wyglądała jak gumowy skafander z mnóstwem przymocowanych elementów.

– Elpepe?

– El. Pe. Pe. Lekki pancierz próżniowy. Umożliwia poruszania się na zewnątrz i zapewnia dość powietrza i osłony, by umożliwić oddychanie i ochronę przed promieniowaniem w większości zwykłych zastosowań. – Aleks wyciągnął ze schowka skafander przypominający gumę i zostawił go w powietrzu, pozwalając Basi go obejrzeć. – Samoczynnie się zasklepia w przypadku przebicia, ma czujniki czynności życiowych i obrażeń oraz wbudowane dozowniki podstawowych leków. – Potem wyciągnął czerwony napierśnik, który wyglądał jak zrobiony z metalu. – Ponadto chroni cię przed wybicciem zbyt wielu dziur w ciele przez broń małokalibrową.

W miarę jak Aleks wyciągał każdy element i pokazywał go Basi, opisując jego funkcję, ten posłusznie je oglądał i wydawał odpowiednio brzmiące – jak miał nadzieję – dźwięki. Skafandry próżniowe nosił przez prawie całe swoje dorosłe życie,

doskonale znał ich wygląd i działanie. Z drugiej strony różne elementy opancerzenia i wyposażenia zmieniające skafander w sprzęt bojowy wychodziły poza jego doświadczenia. Coś, co Aleks opisał jako „automatyczne IFF i śledzenie wrogów dostępne przez wyświetlacz HUD”, brzmiało imponująco i przydatnie, choć Basia nie miał pojęcia, do czego to służy. Kiwał więc głową, przybierał skupiony wyraz twarzy i obejrzał hełm, gdy Aleks mu go podał.

– Strzelałeś kiedyś? – zapytał Aleks, gdy wyjął już z szafki wszystkie elementy pancerza.

– Nigdy – przyznał Basia. Opadło go krótkie, żywe wspomnienie ataku na zespół ochrony RCE. Okropnych ran zostawianych przez pociski. Wyrazu zaskoczenia na twarzach umierających ludzi. Czekał na atak mdłości, ale wciąż czuł tylko ciepło i spokój. – Kiedyś trzymałem broń, ale jestem prawie pewien, że z niej nie strzelałem.

– To – powiedział Aleks, wyciągając gruby czarny pistolet – pistolet samopowtarzalny kalibru 7,5 mm. Magazynek mieści dwadzieścia pięć naboju. Standardowa broń indywidualna FMRK. Jest dość idiotoodporna, więc z tym właśnie cię wyślę.

– Jeśli w ogóle wyjdę – zastrzegł Basia.

– Jasne – zgodził się Aleks z uśmiechem. – Nie mamy tu strzelnicy do ćwiczeń, ale możesz strzelić na sucho kilka razy, żeby się z nim zaznajomić. Choć szczerze mówiąc, jeśli tam wyjdiesz i będziesz musiał tego użyć, żeby wrócić, to i tak będziesz miał przerąbane.

– To w takim razie po co go w ogóle zabierać?

– Bo ludzie zwykle robią, co im każesz, gdy celujesz do nich z czegoś takiego – wyjaśnił Aleks.

– To równie dobrze może być nienaładowany – skomentował Basia, biorąc od niego pistolet i machając nim, by wyczuć masę.

– Jeśli chcesz – przyznał Aleks.

– Nie, pokaż mi, co robić. A potem go załadujmy. – *Dla Felci. Dla niej mogę to zrobić.*

– Dobrze – zgodził się Aleks i tym się zajęli.

* * *

Holden zadzwonił kilka godzin później. Jego głos był napięty ze złości.

– Tu Holden. Murtry nie ustąpi nawet o włos, więc pieprzyć go. Wydostańcie Naomi. Rozłączam się.

– No cóż – odezwał się Aleks i westchnął. – Wszystko jasne. Chyba oficjalnie przestaliśmy być mediatorami.

Basia przytaknęła pięścią, od czego całe jego ciało zaczęło się powoli obracać. Unosili się na mostku. W powietrzu obok Basi wisały różne elementy rozmontowanego pistoletu. Aleks uparł się, że powinien wiedzieć, jak rozłożyć pistolet i z powrotem go zmontować. Basia nie miał pojęcia, dlaczego to miałyby być istotne, ale nie protestował.

– Co teraz? – zapytał.

– Lepiej zacznij składać go z powrotem. Wywołam znowu parametry *Israela* i jeszcze raz na nie spojrzemy. Pamiętaj, na działającym statku ciągle coś jest przestawiane. Rzeczy nie zawsze są tam, gdzie powinny być zgodnie z planem. Będziesz potrzebował alternatywnych punktów wejścia i wyjścia na wypadek, gdyby ktoś zablokował korytarz, którego chciałbyś użyć.

– Mam dobrą pamięć – powiedział Basia.

Zabrzmiało to jak przechwałka, ale było prawdą. Dorastał w korytarzach i salach, miał doskonałe wyczucie kierunku.

– To pomoże. Potem wsadzimy cię w skafander i wylecisz – stwierdził Aleks i urwał. – Ale nie rozmawialiśmy jeszcze o jednej sprawie. Mam sporo energii, żeby cię tam doprowadzić. A *Ros* może dopilnować, żeby nikt cię nie zaczepiał w przestrzeni. Tylko że nie zdołam cię wprowadzić do środka.

Basia zaskoczył sam siebie, wybuchając śmiechem.

– Powiedziałem coś zabawnego? – zdziwił się Aleks, unosząc brew.

– Zabawne jest to, że martwisz się o jedyną część, gdzie akurat znam się na tym, co będę robił – wyjaśnił Basia. – Jestem certyfikowanym spawaczem próżniowym klasy 3. Spawam w próżni. Ty znajdź mi statek, a ja się dostanę do środka.

Łatwizna.

- W porządku – skomentował Aleks i klepnął go lekko w ramię.
- To do roboty.

* * *

Basia dryfował, oddalając się od *Rosynanta*. Zamiast prostego skafandra próżniowego z zapasem powietrza miał na sobie nowoczesny marsjański pancerz bojowy. Zamiast maszerowania po kadłubie statku za pomocą magnetycznych butów pokonywał kilka kilometrów próżni na łagodnych podmuchach sprężonego azotu. Pod jego stopami wirował Ilus, gniewny, szary świat, owinięty burzami i błyskający nieustannie wyładowaniami w górnych warstwach atmosfery. Lucia i Jacek byli tam w dole, pod całym tym atmosferycznym szaleństwem. Tylko że nie mógł zrobić nic, żeby im pomóc, więc zamiast tego pomagał komuś, komu mógł. Uratuje Naomi ze statku RCE, ona uratuje jego córkę. W tym rozumowaniu były mnóstwo dziur, ale bardzo starannie unikał myślenia o nich.

Coraz bardziej zbliżał się do olbrzymiej wyspy szarego metalu w czerni. *Edward Israel*. Wróg.

- Wszystko u ciebie w porządku? – zapytał Aleks przez radio.

Małe głośniczki hełmu spłaszczyły jego głos. Tłumił go też nieco wyraźny szum tła.

- Tak. Wszystko świeci na zielono. – Aleks pokazał mu, jak przechodzić przez poszczególne wskaźniki stanu na wyświetlaczu przeziernym skafandra, a Basia gorliwie sprawdzał je co kilka minut.

- Wysyłam im różnego rodzaju gniewne żądania uwolnienia Naomi – poinformował go Aleks. – Świecę w *Israela* laserem celowniczym i zalewam ich czujniki szumem radiowym i rozproszonym światłem. Dzięki temu ich pozostałe jeszcze oczy powinny być pilnie utkwione w Rosie. Da ci minutę albo dwie, zanim zorientują się, że przecinasz się do środka.

- To nie wydaje się szczególnie długo.

- Tnij szybko. Rozłączam się.

Aleks zapewnił go, że *Rosynant* miał mnóstwo energii

w akumulatorach. Że świecenie laserami i emisja zagłuszania radiowego nie wpłyną na nie znacząco. Basia jednak zaczął patrzeć na energię jak na cenny i nieodnawialny zasób. Nie było to coś, o czym dotąd musiał myśleć w erze łatwo dostępnej fuzji jądrowej. Nadawało to wszystkiemu poczucie trwałości, którego wcześniej nie znał. Żadnych poprawek. Żadnego „następnym razem zrobimy to lepiej”.

Sprawdził kurs prowadzący go do wjazdu technicznego na śródkręciu *Israela*, stwierdził, że nic się nie zmieniło i wyciągnął swój palnik, mocno ściskając go w dłoni.

Statek rósł, aż zasłonił mu widok we wszystkie strony. Władz służy urósł z małej jaśniejszej kropki, przez miniaturkę do rzeczywistych drzwi z małym okrągłym okienkiem. Aktywował się zaprogramowany wcześniej plecak manewrowy, wypuszczając cztery stożki azotu, a on zatrzymał się łagodnie metr od wjazdu.

Palnik obudził się do życia z rozbłyskiem błękitnego ognia.

– No to idę – powiedział Basia do Naomi i pilnujących jej ludzi z RCE oraz do swojej córeczki tysiące kilometrów stąd, na umierającym statku.

No to idę.

Rozdział czterdziesty

HAVELOCK

– Wyłączyłem wszystko, co mogłem – mówił Marwick z ekranu.
– Czujniki, światła, sprzęt rozrywkowy. Zmniejszyłem chłodzenie. Przy obecnym stanie akumulatorów da nam to tylko niecałe siedemnaście dni. I to przy pełnej mocy baterii słonecznych. Mniej, jeśli zaczną wysiadać. Później przyjdzie czas na decyzję, czy wolimy się udusić, czy spalić.

Havelock potarł oczy, głęboko wciskając w oczodoły palec wskazujący i kciuk. Nie był na siłowni i próbował to zrekompensować przez zwiększenie dawki sterydów przyjmowanych w nieważkości. Nie było to rozwiązaniem na dłuższą metę, ale im bardziej się temu przyglądał, tym mniej prawdopodobna wydawała się potrzeba trwałego rozwiązania. Choć miał od tego bóle głowy. Gdyby nie Naomi, pewnie i tak spędzałby na ćwiczeniach jeszcze mniej czasu. Powinien jej za to podziękować.

Jego biuro sprawiało wrażenie dusznego i ciasnego, a temperatura stale rosła. Dorastając na planecie, zawsze uważał kosmos za zimne miejsce i choć formalnie było to prawdą, głównie zawierał on próżnię. A przez to statek był w dużym stopniu termosem. Ciepło generowane przez ich ciała i systemy, mając na to szansę, w końcu uciekłyby w pustkę w ciągu lat lub dziesięcioleci. Jeśli znajdzie sposób, żeby dać mu na to szansę.

– Wspominał pan o tym załodze? – zapytał.

– Nie, ale trudno ukryć te dane. Zwłaszcza gdy ma się na pokładzie mnóstwo naukowców i inżynierów, którzy nie mają nic innego do roboty. Będziemy musieli porozmawiać o zrzuconiu ich. Największej możliwej liczby.

– Żeby mogli umrzeć z głodu na planecie, jeśli nie zestrzelą ich księżyce?

– W zasadzie tak – przyznał Marwick. – Przebyli długą drogę, żeby nie postawić nogi na powierzchni planety. Wiem o przynajmniej kilku, którzy woleliby umrzeć na dole.

Naomi zakaszła w swojej klatce.

– Porozmawiam z Murtrym – odparł Havelock. – Posiadanie cmentarza na planecie może pasować do jego planów. Zwłaszcza jeśli będziemy mieć na nim więcej ciał niż dzicy lokatorzy.

Marwick westchnął. Przestał się golić, a kiedy potarł się po policzku, rozszedł się dźwięk przypominający rzucenie garścią piasku w okno.

– Ale byliśmy blisko, prawda? Całą drogę aż tutaj, żeby na nowo rozpocząć cały nowy świat.

– Zobaczyliśmy ziemię obiecaną – zgodził się Havelock. – A co z *Barbapiccolą*? Jak wygląda ich sytuacja?

– Przy nich wyglądamy doskonale. Ta ruda litu za nieco ponad cztery dni zmieni się w parę w górnej atmosferze.

– Cóż, przynajmniej nie będziemy musieli się przejmować powstrzymywaniem ich przed wprowadzeniem jej na rynek.

– Tak, problem sam się rozwiąże – zgodził się Marwick. – Ale wróćmy do rzeczy. Ochrona? Ci ludzie stoją przed śmiercią, z którą nie mogą walczyć ani przed nią uciec. Zaczną szaleć, jeśli czegoś nie zrobimy. A ani pan, ani ja nie mamy dość ludzi, jeśli sytuacja wymknie się spod kontroli.

Czy to będzie miało znaczenie? chciał odpowiedzieć Havelock. *Niech się buntują. To nie zmieni faktu, że i tak spadniemy w atmosferę. Nie opóźni katastrofy nawet o minutę.*

– Rozumiem – powiedział. – Mam kody obejścia zabezpieczeń. Skonfiguruję system medyczny na dodawanie wszystkim do napojów niewielkiej dawki środków uspokajających i stabilizujących nastroj, może nawet coś na jego poprawienie. Ale nie za dużo. Ci ludzie muszą jasno myśleć, a nie naćpać się po uszy.

– Jeśli tak pan chce to rozegrać.

– Nie zmienię tego statku w hospicjum. Jeszcze nie.

Wzruszenie ramion kapitana było bardzo wymowne i nie zostało po nim nic więcej do powiedzenia. Havelock się rozłączył.

Ekran wrócił do domyślnego stanu. Rozpacz ogarnęła go jak niespodziewana fala. Zrobili wszystko jak należy, ale to i tak nie miało znaczenia. Wszyscy zginą – wszyscy ludzie, których miał tu chronić, wszyscy członkowie jego zespołu, jego więźniarka, on sam, wszyscy. Zginą i nie mógł z tym zrobić nic, poza naćpaniem ich, zanim dojdzie do najgorszego.

Nie wiedział, że walnie w ekran do chwili, gdy faktycznie to zrobił. Panel przesunął się trochę w obudowie, ale nie został na nim ślad uderzenia. Kompensatory jego pryczy przeciążeniowej zasyczały, pochłaniając energię. Rozciął sobie skórę na kostce palca. Zaczęła się tam zbierać kropla krwi, rosnąć do rozmiarów ciemnoczerwonej kulki, zbieranej przez napięcie powierzchniowe przy jego skórze. Kiedy ruszył ręką, w powietrze poleciała chmara kropelek, unosząc się w powietrzu jak małe planety i księżyce.

– Wiesz – odezwała się Naomi – jeśli traktujesz ognistą śmierć setek ludzi jak rozwiązanie problemu, to może być kolejny dowód na to, że jesteś po niewłaściwej stronie.

– Nie podłożyliśmy bomb – przypomniał Havelock. – To oni. Oni to zaczęli.

– Czy to ma dla ciebie znaczenie?

– Teraz? Nie takie, jak pewnie powinno.

Naomi unosiła się blisko drzwi swojej klatki. Zawsze zdumiewała go zdolność Pasiarzy wytrzymywania w ciasnych przestrzeniach. Klaustrofobia musiała chyba zostać bardzo szybko wyeliminowana z ich puli genowej. Zaczął się zastanawiać, ile pokoleń rodziny Naomi żyło w studni grawitacyjnej.

– Krwawisz – zauważyła.

– Owszem. To też nie będzie już miało wielkiego znaczenia.

– Wiesz, mógłbyś mnie wypuścić. Jestem bardzo dobrym inżynierem i mam najlepszy statek w okolicy. Wyślij mnie z powrotem na *Rosa*, a może dam radę wymyślić sposób na poprawienie sytuacji.

– Nic z tego.

– A już myślałam, że to dla ciebie nie ma znaczenia –

powiedziała z uśmiechem w głosie.

– Nie wiem, jak możesz tak spokojnie do tego podchodzić.

– Tak właśnie się zachowuję, kiedy się boję. I serio, powinieneś mnie wypuścić.

Havelock zgarnął krew z powietrza. Na jego kostce już pojawił się skrzep. Zalogował się do systemu medycznego statku, mając nieprzyjemne poczucie robienia pierwszego kroku do poddania się. Ale trzeba było to zrobić. Statek pełen spanikowanych ludzi w niczym nie pomoże. Tym bardziej że najbliższe, co miał do pełnej obsady, było na planecie z Murtrym.

Wiadomości z domu pełne były kawałków omawiających mniej lub bardziej dokładnie tragedię na Nowej Ziemi. Nagrania z wybuchu trafiły do kilku szanowanych kanałów, ale w sieci krążyły też trzy albo cztery sfałszowane wersje wideo. Sfałszowane dane nie były jakoś szczególnie ciekawsze od prawdy. Przejrzał pobieżnie kilkanaście komentarzy. Niektórzy komentujący wydawali się złościć z powodu faktu, że ekspedycji w ogóle pozwolono na wylot, inni byli poważni i smutni. Nikt nie wydawał się uważać, żeby istniała jakaś szansa na przetrwanie kogokolwiek. W skrzynce odbiorczej miał ponad tysiąc nowych wiadomości. Ludzie z mediów. Ludzie z kwatery głównej firmy. Kilka – tylko kilka – od znajomych. Od dziewczyny, z którą spotykał się podczas pracy w Pinkwater. Kuzyn, którego nie widział od piętnastu lat, mieszkający obecnie na stacji Ceres. Kilku kolegów ze szkoły.

Nie ma to jak publiczne umieranie na kilku miliardach ekranów, żeby przypomnieć sobie o starych znajomych. Nie zamierzał odpowiadać na żaden z listów. Nawet na te od kierownictwa. Nawet na te od przyjaciół. Wszystko to wywoływało w nim uczucie, jakby został uwięziony pod wodą i tonął, patrząc na powierzchnię ze świadomością, że nigdy tam nie dotrze.

Rozpiął pasy.

– Dobranoc, Havelock – rzuciła Naomi.

– Wróć – odpowiedział, odpychając się przez przestrzeń biura.

Minęło dużo czasu, od kiedy wybrał się na patrol, nawet nieformalny. Przeciągał się wzdłuż wąskich korytarzy *Israela*,

przelatywał przez ogólnodostępne przestrzenie – kantinę, siłownię, otwarte laboratorium, bar. W ciągu miesięcy – właściwie już lat – mieszkania na *Israelu* wszystkie te miejsca stały się niewidzialne, jak zawsze, gdy gdzieś dłużej się mieszka. Przyglądał im się teraz, jakby widział je po raz pierwszy. Statek był stary. Ostrożnie symetryczny kształt korytarzy, blokowane mechanizmy zamykania drzwi. Wszystko to wyglądało jak na zdjęciach z jego dziadkami. Z ludźmi było podobnie. Pojawił się dystans między ochroną a resztą załogi. Zresztą gdyby go nie było, byłoby to oznaką, że coś poszło zdecydowanie nie tak. We własnych oczach Havelock nie uważał się za członka załogi *Israela*, choć rozpoznawał wszystkie mijane twarze. Hosni McArron, szef badań nad żywnością. Anita Chang, technik systemów. John Deloso, mechanik. Nawet jeśli nie wiedział, skąd ich zna, wszyscy byli teraz elementem kontekstu jego życia.

I wszyscy zginą, ponieważ nie potrafił do tego nie dopuścić.

Przednia sala obserwacyjna była ciemna. Ekrany zamontowano tak, by stworzyć złudzenie wyglądu przez okna w nieskończoną przestrzeń, choć nikt nigdy ich w ten sposób nie używał. Kiedy tam dotarł, pomieszczenie było puste. Przez ekrany przesuwaly się odczyty danych z czujników, zbyt szybko, by je odczytać, z głośników leciał nieznany mu utwór skomponowany przez ciemnoskórego Pasiarza, którego nie rozpoznał, a w tle wyświetlany był sztucznie zabarwiony obraz termiczny Nowej Ziemi. Kamera monitoringu została zasłonięta kawałkiem materiału, a wymienniki powietrza nie do końca poradziły sobie z usunięciem woni marihuany. Zapewne ktoś korzystał z tego miejsca do spotkań w celu uprawiania seksu. Havelock zdjął materiał z kamery. W sumie dlaczego nie? Przecież nic, co teraz robili, i tak nie będzie miało znaczenia za trzy tygodnie. Przełączył ekrany na wyświetlanie planety w dole. Nowa Ziemia owinięta chmurami. Żadnych światła, żadnych miast, żadnego śladu drobnej, wymęczonej obecności ludzi. Planeta wszystkich zabiła, a mimo to była piękna.

Zabrzączał jego ręczny terminal. Czerwone obramowanie przychodzącego połączenia oznaczało alarm bezpieczeństwa.

Poczuł zastrzyk adrenaliny trafiającej do żył i przyspieszającej bicia serca. Kiedy się podłączył, Marwick i Murtry prowadzili już ożywioną rozmowę.

– ...lu ich jest i wcale nie chcę się tego teraz dowiadywać – mówił Marwick.

Prawie krzyczał. Wyraz twarzy Murtry'ego wydawał się gniewny i pogardliwy, ale Havelock zrozumiał po chwili, że wynikało to z faktu, że nie patrzył do kamery. Nie widział jej.

– Co się dzieje? – zapytał.

– *Rosynant* w nas celuje – wyjaśnił Marwick.

Havelock już się odepchnął, ruszając szybko przez korytarz.

– Przesłali jakieś żądania?

– Oraz mnóstwo gróźb – potwierdził Marwick, unosząc rękę.

– To hiperbola – rzucił Murtry. – Świecą w *Israela* laserami celowniczymi. A jakiś szalony drań wycina dziurę w śródkrętowej śluzie technicznej.

– Ktoś wchodzi na pokład? – krzyknął Havelock. Nie potrafił ukryć niedowierzania w głosie. – Ale kto? Po co?

– W tej chwili nie muszą nas interesować motywacje – odparł Murtry. – Naszym priorytetem jest zapewnienie statkowi bezpieczeństwa.

Havelock złapał uchwyt na skrzyżowaniu dwóch korytarzy i wykręcił, kierując się stopami do przodu w kierunku kolejnego korytarza prowadzącego do jego biurka.

– Z całym szacunkiem, sir, wie pan, że muszą chcieć uwolnić więźnia. Dlaczego im jej po prostu nie oddamy? Przecież to nie będzie miało znaczenia.

Murtry przekrzywił głowę. Jego uśmiech był wąski i okrutny.

– Sugeruje pan zwolnienie sabotażystki?

– I tak wszyscy jesteśmy trupami – rzucił Havelock.

I proszę, w końcu powiedział to na głos. To jedno, o czym wszyscy myśleli. Wszyscy oprócz Murtry'ego.

– Był pan nieśmiertelny, zanim wylecieliśmy? – zapytał głosem suchym i zimnym jak syk grzechotnika. – Bo niezależnie od tego, czy planuje pan zginąć w przyszłym tygodniu, czy za siedemdziesiąt lat, wciąż obowiązuje sposób postępowania.

- Tak jest, sir - odpowiedział Havelock, docierając do ostatniego zakrętu i popychając się w stronę swojego biura. - Przepraszam, sir.

Terminal zabrzęczał informacją o dołączeniu kolejnej osoby. Główny inżynier miał twarz ponurą i gniewną w sposób, który natychmiast wzbudził nieufność Havelocka.

- Zgłaszam się na służbę - oznajmił Koenen.

- Chwila. Co on tu robi? - zapytał Havelock.

- Włączyłem do sprawy pańską milicję - powiedział Murtry, gdy Havelock wlatywał do swojego biura. - Jeśli mamy odeprzeć abordaż, będziemy ich potrzebować.

- Moi ludzie są gotowi - zapewnił natychmiast główny inżynier.

- Proszę nam tylko powiedzieć, któredy wchodzi te skurwysyny, a wyjdziemy im na spotkanie.

O Boże, pomyślał Havelock. Mówi jakby grał w filmie. To fatalny pomysł.

- Panie Havelock - odezwał się Murtry - chyba muszę pana poprosić o wydanie milicji ostrej amunicji.

- Z całym szacunkiem, sir - odpowiedział Havelock. - Nie wydaje mi się to dobrym pomysłem. To nie są ćwiczenia z paintballa. Czeka nas prawdziwa walka. Samo ryzyko postrzelenia przez własne siły...

Głos Murtry'ego był spokojny, lodowaty i jadowity.

- Czy mam rozumieć, panie Havelock, że tak fatalnie przeszkolił pan tych ludzi, że pańskim zdaniem bezpieczniej byłoby odpierać abordaż bronią na kulki z farbą?

- Nie, sir - odpowiedział Havelock. A po chwili, ku własnemu zaskoczeniu: - Ale twierdzę, że wydanie im ostrej amunicji na tym etapie będzie przedwczesne. Chyba powinniśmy się dowiedzieć trochę więcej na temat tego, z czym mamy do czynienia, zanim tak bardzo eskalujemy sprawę.

- To pańska profesjonalna opinia? - zapytał Murtry.

- Tak.

- A jeśli rozkażę panu wydać im ostre naboje?

Naomi unosiła się w swojej klatce, palcami trzymając się siatki. Miała szeroko otwarte, poważne oczy.

Havelock odwrócił od niej wzrok.

Murtry sapnął, krótko i głośno.

– No cóż, nie postawię pana w sytuacji, w której będzie pan musiał wybierać – stwierdził Murtry. – Inżynierze?

– Tak jest, sir? – odpowiedział Koenen.

– Przesyłam panu moje osobiste kody zabezpieczeń. Dzięki nim może pan pobrać ze zbrojowni broń i amunicję. Rozumie mnie pan?

– Jak diabli, sir – zapewnił główny inżynier. – Zrobimy w tych draniach tyle dziur, że będzie można przez nich oglądać gwiazdy.

– Doceniam to – zapewnił Murtry. – A teraz, panowie wybaczają.

Rozłączył się.

– Co się dzieje? – zapytała Naomi.

Z jej głosu zniknął ciepły ton. Teraz faktycznie brzmiała na przestraszoną. Albo złą. Nie potrafił rozróżnić. Havelock nie odpowiedział. Zbrojownia mieściła się przy głównym stanowisku ochrony, nie przy areszcie. Nawet jeśli się pośpieszy, nie zdoła dotrzeć tam przed pozostałymi. Zresztą nawet gdyby to zrobił, nie wiedział, co miałby im powiedzieć.

Miał tu szafkę z bronią. Może jeśli do nich dołączy, zdoła choć trochę kontrolować sytuację.

– Co się dzieje, Havelock?

– Ktoś wchodzi na pokład, a my będziemy z nim walczyć.

– Czy to *Barbapiccola*?

– Nie, to *Rosynant*.

– Czyli idą po mnie.

– Tak zakładam.

Havelock wyciągnął strzelbę z szafki z bronią.

– Jeśli to Aleks, a ty go zastrzelisz, nie pomogę ci – oznajmiła Naomi. – Niezależnie od tego, co się później stanie, jeśli go skrzywdzisz, wszystko skończone. Nawet jeśli znajdę sposób na uratowanie was, pozwolę wam spłonąć.

Zabrzączał monitor. Prośba o połączenie z planety. Havelock natychmiast odebrał. Na ekranie pojawiła się twarz doktor Okoye, z pobrużdżonym czołem i oczami poruszającymi się jakby czegoś szukała. W jej źrenicach dostrzegł błysk zieleni, od

którego zaswędziała go skóra.

- Panie Havelock? Jest pan tam?

- Obawiam się, że to nie jest dobry moment, pani doktor.

- To pan koordynuje zrzuty? Muszę się dowiedzieć, czy możemy dostać...

- Czy to sytuacja, w której ludzie zginą, jeśli nie zrobię czegoś w ciągu następnych pięciu minut?

- Pięciu minut? Nie.

- Więc będzie to musiało poczekać - odpowiedział Havelock i zamknął połączenie.

Śródokrętowa słuza techniczna znajdowała się najbliżej aresztu. Możliwe punkty oporu mieściły się przy pokoju z szafkami, włazie awaryjnym i na skrzyżowaniu z korytarzem konserwacyjnym. Domyślił się, że główny inżynier ustawi swoich ludzi przy drugim i trzecim punkcie, odpuszczając pokój z szafkami. Mógł wysłać też paru ludzi do aresztu, na wszelki wypadek. To nie będzie przyjemne. Cały oddział będzie spragniony krwi i będą mieli ostrą amunicję. Zastanawiał się, czym będzie dysponować przeciwnik. Pancernym wspomaganym? Może. Może...

- Nie musimy tego robić - odezwała się Naomi.

- Nie podoba mi się to ani trochę bardziej niż tobie, ale tak się to toczy.

- Mówisz o tym jak o fizyce. Jakby nie było żadnego wyboru. To szaleństwo. Przyszli tu po mnie. Wypuść mnie, a sobie pójdą.

- Nie ma mowy, żebyśmy to zrobili - odpowiedział Havelock, ładując do strzelby pociski obalające.

- To on to powiedział, prawda? To jego słowa.

- Nie wiem, o kim mówisz - rzucił Havelock.

- Murtry. Wielki szef. Bo dokładnie tak robisz, wiesz? Słuchasz tego, co mówi, a potem powtarzasz to, jakbyś naprawdę w to wierzył. To nie czas na coś takiego. Tym razem się myli. I pewnie mylił się już kilka razy wcześniej.

- To nie on siedzi zamknięty. Nie jestem pewien, czy masz prawo się przechwalać.

- To był czysty pech - odpowiedziała. - Gdybyście nie byli na

zewnątrz, bawiąc się w gry wojenne, dezaktywowałabym waszą bombę i zniknęła, zanim ktoś by się zorientował.

- Co by to dało, gdybym cię wypuścił? To niczego nie zmieni. Statki spadną. Nie ma tu nikogo, kto może nam pomóc. Nie możesz zrobić niczego, żeby to naprawić.

- Może nie - przyznała Naomi - ale mogę zginąć, próbując pomóc. Zamiast próbować zabijać ludzi lub patrzeć, jak giną.

Havelock zacisnął szczęki. Przycisnął palec do osłony spustu i zamknął oczy. Tak łatwo byłoby skierować lufę w stronę klatki. Wystrzelić pocisk w siatkę i zmusić Naomi do cofnięcia się w głąb celi.

Tylko że nie zamierzał tego robić. Rozluźnienie zaczęło się w jego piersi i rozprzestrzeniło na palce rąk i stóp w czasie krótszym od uderzenia serca. Pchnął się do niej i wstukał na klawiaturze swój kod. Drzwi klatki otwarły się z kliknięciem.

- No to chodź - powiedział.

Rozdział czterdziesty pierwszy

ELVI

Nomenklatura naukowa zawsze była trudna. Nazwanie nowego gatunku na Ziemi, a nawet w Układzie Słonecznym, było długim, zmuśnym procesem, a nagły, nieoczekiwany napływ olbrzymiej liczby próbek z Nowej Ziemi prawdopodobnie zapcha literaturę naukową na dziesięciolecia. Nie chodziło tylko o jaszczurki papuzie czy latające zwierzęta podobne do owadów. Nowy był każdy gatunek odpowiednika bakterii. Nieznany każdy organizm jednokomórkowy. Sama Ziemia zdołała zrodzić pięć królestw życia, albo sześć, jeśli przyjąć hipotezę Fityani. Nie potrafiła sobie wyobrazić, żeby ekosfera Nowej Ziemi miała się okazać znacznie prostsza.

Jednak na razie stworzenie żyjące w jej oczach – w oczach ich wszystkich, oprócz Holdena – jeszcze przez lata nie zostanie oficjalnie uznane za poznany organizm. Może przez dziesięciolecia. Oficjalnie pozostanie bezimienne, chyba że zostanie umieszczone w szerszym kontekście życia.

A do tego czasu postanowiła nazwać go Skippy. Nadanie mu śmiesznego przydomka w jakiś sposób czyniło go mniej przerażającym. Nie, żeby to uczyniło ją mniej martwą, jeśli trafi na zabójczego ślimaka, ale na tym etapie wszystko mogło pomóc. I robiła się trochę nerwowa.

Ciekawy fakt – jeden z wielu ciekawych faktów – dotyczących organizmu był taki, że nie zawierał chlorofilu ani najwyraźniej niczego podobnego. Zielona barwa wynikała z efektu pryzmatycznego, podobnego do obserwowanego na skrzydłach motyli. Rzeczywista tkanka rosnąca w jej oczach miałaby kolor jasnobrazy, prawie przezroczysty, gdyby struktura była choć odrobinę inna. Wtedy nie zachodziłby efekt rozpraszania. A to znaczyło także, że jej oślepienie było wynikiem zalania kolorem

i utraty szczegółów, ale nie brakiem światła. Wciąż mogła zamknąć oczy i świat robił się czarny, a potem je otworzyć i zobaczyć jasną, żywą zieleni.

Nie widziała już nic innego. Wszystko przepadło. Ręcznym terminalem posługiwała się za pomocą poleceń głosowych, dotyku i pamięci. Raporty, które wcześniej by przeglądała, teraz wysłuchiwała: głosy z laboratoriów na Lunie, Ziemi i Ganimedesie. Nie oferowały wiele nadziei.

– Choć pani odporny pacjent posiada kilka rzadkich alleli w genach regulujących pompy sodowe, w ostatecznej strukturze białka nie widzę żadnych zmian. Stężenia jonów są stabilne i mieszczą się w granicach standardowej zmienności. Będę dalej szukać, ale mam wrażenie, że podchodzimy do tego ze złej strony. Przykro mi to mówić.

Elvi przytaknęła, jakby ktokolwiek tu mógł ją zobaczyć. Wciąż męczył ją ból głowy. Jego nasilenie zmieniało się w ciągu dnia, ale nie wiedziała, czy to element zakażenia, czy tylko jej doznanie.

– Hej – odezwał się Fayeze. A potem: – Elvi? Jesteś tu?

– Jestem – potwierdziła.

– To mów jeszcze przez chwilę. W obu dłoniach niosę jedzenie.

Elvi zaczęła nucić popularną melodię z czasów dzieciństwa i wsłuchiwała się w szuranie stóp Fayeza, a potem sięgnęła, by dotknąć jego łydki, gdy był już blisko. Usiadł obok niej z cichym sapnięciem. Jej dłonie znalazły jego, a on podał jej rację żywności.

– Przy następnym zleceniu – powiedział – będę pracował gdzieś z najwyższej połową ziemskiego ciężenia. Waga. Komu to potrzebne?

Elvi się roześmiała. Chciał, żeby to zrobiła, a ona nawet trochę miała ochotę. Folia pod jej palcami była śliska. Czuła się jak mała dziewczynka, która przemyciła przekąski pod kołdrę, podczas gdy powinna spać, robiąc wszystko wyłącznie na dotyk. Osłona batona Fayeza zatrzeszczała głośno.

– Ile mamy jeszcze jedzenia? – zapytała.

– Niewiele. Choć chyba spróbują zrobić jeszcze jeden rzut. Jest parę osób, które wciąż potrafią rozróżniać kształty.

– I Holden.

– Jednooki król – rzucił Favez. – Powinniśmy mu wydłubać jedno oko, żeby lepiej pasowało, nie sądzisz? Posiadanie przez niego obojga oczu to prawdziwe marnowanie okazji.

– Przestań – odpowiedziała, a folia ustąpiła pod jej palcami.

Baton suchych racji był kruchy i pachniał jak karma dla szczurów z czasów, gdy pracowała w laboratorium. Smakował nieprzyjemnie i sycąco. Spróbowała napawać się jego smakiem. Już niedługo będzie za nim tęsknić.

– Znalazłaś coś? – zapytał.

Odruchowo pokręciła głową. Wiedziała, że nie widzi tego gestu.

– Naszą najlepszą teorią był związek z jego pochodzeniem od wielu rodziców. Miał coś rzędu ośmiorga matek i ojców, a techniki stosowane do przygotowania zarodka czasem zostawiają po sobie pewne ślady. Ale jak na razie nic.

– Cóż, szkoda. Może po prostu cały ten kontakt z protomolekułą zmienił go w kosmicznego mutanta.

Ugryzła kolejny kęs i zaczęła mówić z pełnymi ustami.

– Możesz się śmiać, ale Luna analizuje go również pod tym kątem. I zamierzają spróbować wyhodować świeżą próbkę organizmu na podstawie przesłanych przez nas danych. Wczesne próby wykazują pewne oznaki samoorganizacji.

– A tym samym dają początek kolejnym pięciu stuleciom prac magisterskich – rzucił Favez. – Nie sądzę, żebyś musiała się martwić o swoją spuściznę.

O jej kolano otarły się końce palców, fizyczny akt mający osłabić cynizm jego słów. Chwyciła jego dłoń i ścisnęła u podstawy kciuka. Przysunął się do niej. Poczowała woń jego ciała. Żadne z nich nie kąpało się od czasu burzy i pewnie wszyscy śmierdzieli, ale jej nos już się do tego przyzwyczaił. Jego woń odbierała jako prawie przyjemną, coś podobnego do woni mokrego psa.

– Nie takiej bym chciała – odpowiedziała.

– A jednak nasze nazwiska zostaną zapamiętane na wieki. Twoje jako pierwszej odkrywczynie nowej planety pełnej gatunków, mnie jako prostego geologa, który czekał u twoich stóp.

– Czy ty ze mną flirtujesz?

– Flirtowanie to ostatnie, co odpuszczę – wyznał Fayez. Żałowała, że nie widzi jego twarzy. – Ty zajmujesz się nauką, a ja uderzam do najinteligentniejszej i najładniejszej kobiety w okolicy. Wszyscy mają swoje sposoby na radzenie sobie z brutalną świadomością nieuniknionej śmierci. I deszczem. Radzenie sobie z deszczem. Następny przydział chcę w miejscu, gdzie nie będzie tyle padać.

W sąsiednim pomieszczeniu zaczęło płakać dziecko. Wymęczony, przestraszony dźwięk. Jakaś kobieta – może Lucia – zaczęła mu śpiewać w nieznanym Elvi języku. Włożyła do ust resztkę batonu. Potrzebowała trochę wody do popicia go. Nie była pewna, ile czasu minęło, od kiedy analizator chemiczny wypompował worek z czystą wodą. Jeśli nie przyszła pora na wymianę worka, to już niedługo. Holden powiedział, że przyjdzie to zrobić, ale nie była pewna, czy rzeczywiście. I tak już ledwie się ruszał, a w ogóle nie odpoczywał. Nawet gdy tego potrzebował. Cóż, pewnie mogła wykombinować, jak wymienić worek na wodę, nawet jeśli go nie widziała.

– Nie powinniśmy byli tu przylatywać – powiedział Fayez. – Czy wszyscy szaleni idioci mówiący o tym, jak to światy poza stacją *Medyna* będą skażone złem? Mieli rację.

– Nikt nie mówił niczego takiego, prawda?

– Ktoś pewnie powiedział. A jeśli nie, to powinien.

– Naprawdę mógłbyś się trzymać od nich z daleka? – zapytała, podnosząc się na kolana i sięgając w stronę analizatora. Słyszała ciche tykanie czystej wody wypływającej z filtra wyjściowego w tonie innym niż nieustanny deszcz. – Gdyby przyszli do ciebie, oferując możliwość udania się na pierwszy naprawdę nowy świat, czy potrafiłbyś odmówić?

– Poczekalbym na drugą falę – odpowiedział Fayez.

Znalazła worek. Jego miękka, zimna krzywizna nie była tak ciężka, jak się spodziewała. To znaczyło, że zestaw nie oczyszczał wody tak szybko, jak wcześniej, ale jeśli w systemie wystąpił jakiś błąd, nie wyemitował żadnego ostrzeżenia. Kolejna rzecz, którą Holden będzie musiał sprawdzić.

– I tak bym przyleciała – przyznała.

– Pomimo tego wszystkiego? I tak byś przyleciała?

– Nie wiedziałabym o tym. To jeszcze by się nie zdarzyło. Wiedziałam, że podejmuję ryzyko. Wiedziałam. Oczywiście, że wsiadłabym na ten statek.

– A gdybyś wiedziała, że tak się to potoczy? Co by było, gdybyś mogła spojrzeć w jakąś kryształową kulę i zobaczyć nas tutaj, jak to wszystko się stało?

– Gdybyśmy mogli robić takie rzeczy, nigdy niczego byśmy nie zbadali – odpowiedziała.

Dziwne było myśleć, że wszyscy umrą. Wiedziała o tym, ale i tak wydawało się to nierzeczywiste. W głębi umysłu cichy, uparty głos ciągle powtarzał, że przyleci statek, który im pomoże. Że na planecie pojawi się kolejna grupa z dodatkową wodą, żywnością i schronieniem. Przyłapywała się na zastanawianiu się, czy nie powinni wysłać sygnałów z wołaniem o pomoc, i musiała sobie z wysiłkiem przypominać, że nie było żadnych innych baz. Żadnych statków. W całym Układzie Słonecznym były tylko załogi i pasażerowie trzech statków. Teraz już było ich mniej niż na początku. Nawet gdy wszyscy zapakowali się do ruin jak uchodźcy, tak blisko, że wszyscy słyszeli wzajemnie swoje chrapanie, wszechświat wydawał się pusty. I przerażający.

– Powinniśmy znaleźć Holdena – powiedziała. – Woda cieknie bardzo powoli. Zastanawiam się... może naprawdę ma bardzo sprawny układ odpornościowy? Fakt, że wszyscy mamy katar, oznacza, że wykazujemy jakąś reakcję immunologiczną na zakażenie. Coś jak drzazga. Po prostu rośnie szybciej, niż możemy ją usuwać. Może Holden zetknął się wcześniej z czymś, co dało mu przeciwciała.

– Czy badania krwi coś wykazały?

– Nie – odpowiedziała. – Na dodatek ma niższą od nas liczbę białych krwinek.

– Może jego sok oczny źle smakuje – zasugerował Fayed. – Co?

– Niczego nie mówiłam.

– Owszem, ale wydałaś to ciche mruknięcie jak zwykle, gdy masz jakiś pomysł. Słyszałem mruknięcie, ono coś znaczy.

- Właśnie pomyślałam, że to nie może być jego układ odpornościowy. Wszyscy przecież przez cały ten czas lecieliśmy przez głęboką próżnię. Promieniowanie w drodze tutaj prawdopodobnie wszystkim nam trochę osłabiło układ odpornościowy. A zwłaszcza po stacji Eros on miał więcej... więcej uszkodzeń promieniowaniem...

Elvi zamknęła oczy, odcinając zieleń. Otworzyła się przed nią piękna kaskada logiki i wniosków, jakby wkroczyła do ogrodu. Wciągnęła powietrze i uśmiechnęła się szeroko. Rozpromieniła ją radość zrozumienia.

- Co? - zapytał Fayez. - Został za mocno przypieczony? To coś z oczu lubi nas tylko na surowo, a on jest wypieczony?

- Och - rzuciła Elvi. - To jego onkocydy, leki przeciwnowotworowe. Po incydencie z Erosem ciągle je przyjmuje. A to oznacza... och! To takie ładne.

- O Boże. O czym ty mówisz? Dlaczego jego leki przeciwnowotworowe miałyby działać na coś z innej biosfery?

- To znaczy, że gdzieś w okolicy podziałów komórkowych istnieje dawkinsonowski dobry pomysł.

- To jedna z tych ksenobiologicznych rzeczy, prawda? Bo nie mam pojęcia, o czym mówisz.

Elvi pomachała rękami w powietrzu. Przyjemność wypełniająca jej ciało przypominała unoszenie się w świetle.

- Mówiłam ci - stwierdziła - że istnieją dobre pomysły, może nawet wymuszone, w przestrzeni projektowej, ponieważ widzimy rzeczy, które pojawiają się wielokrotnie na różnych gałęziach drzewa życia.

- Racja - przyznał Fayez. - Co jest powodem, dla którego możemy przylecieć na Nową Ziemię i znaleźć tu rzeczy w rodzaju oczu i tym podobnych.

- Ponieważ odbite światło niesie ze sobą dużo informacji, a organizmy, które ją przechwycą, lepiej sobie radzą.

- Doskonale wiem, Elvi.

- Ale nie to jest najlepsze. Leki Holdena działają wybiórczo na szybko dzielące się tkanki. A Skippy to szybko dzieląca się tkanka.

– Kto to Skippy?

– Ten organizm. Skup się. To, że działają na niego leki przeciwnowotworowe, oznacza, że są tam jakieś narządy ucieczki lub zmysłów blisko ust, które działają na poziomie podziałów komórkowych. Choć białka są całkiem odmienne, rozwiązania, na których się opierają, są analogiczne. To największe odkrycie od czasu naszego przylotu tutaj. To jest wielkie. Gdzie mój terminal ręczny? Muszę powiedzieć zespołowi na Lunie. Oszaleją przez to.

Ruszyła za szybko i wpadła na Fayeza. Wcisnął jej terminal w dłoń. Usiadła obok niego.

– Podskakujesz? – zapytał. – Bo brzmisz jakbyś podskakiwała.

– To najważniejsze odkrycie, jakie przydarzyło mi się w całym życiu – powiedziała. – Unoszę się.

– Czyli to znaczy, że możemy wyleczyć to coś w oczach, prawda?

– Co? Och. Tak, chyba tak. Przecież onkocydy dość łatwo zsyntezować. Po prostu większość z nas nie potrzebuje ich w sposób ciągły, jak Holden.

– Jesteś jedyną kobietą, jaką kiedykolwiek poznałem, która wymyśliłaby sposób na uratowanie głodujących uchodźców, włącznie ze sobą, przed ślepotą i była podniecona, bo to oznacza coś na temat mikrobiologii.

– Powinieneś więcej wychodzić, spotykać ludzi – odpowiedziała Elvi, ale poczuła lekkie ukłucie winy. Prawdopodobnie powinna spróbować leczenia ludzi, zanim zaczniesz rozmawiać z zespołem na Lunie. Zresztą to i tak wciąż była tylko hipoteza. Nie miała jeszcze żadnych danych. – Prośba o połączenie, Murtry.

Jej terminal ręczny zabrzączał, informując, że wykonuje polecenie. Podmuch wiatru poruszył plastikiem w oknie. Brzmiało to trochę inaczej niż zwykle, a nieustannie padający deszcz wydał się głośniejszy. Zaczęła się zastanawiać, czy folia mogła się oderwać. Wszędzie wokół pomieszczenia mogły pełzać zabójcze ślimaki, a ona nie miałaby o tym pojęcia. Nie zobaczyłaby ich. Kolejna rzecz, o której sprawdzenie będzie musiała poprosić Holdena. Podwójny dźwięk odmowy przyjęcia

połączenia sprawił, że sapnęła.

- Kto zajmuje się zrzutami? – zapytała.
- Na górze? Hm. Chyba Havelock.
- Prośba o połączenie, Havelock.

Ręczny terminal wyemitował pojedynczy dźwięk i ucichł. Nie była pewna, czy połączenie zostało nawiązane.

- Panie Havelock? Jest pan tam? – zapytała.
- Obawiam się, że to nie jest dobry moment, pani doktor.
- To pan koordynuje zrzuty? Muszę się dowiedzieć, czy możemy dostać...
- Czy to sytuacja, w której ludzie zginą, jeśli nie zrobię czegoś w ciągu następnych pięciu minut?
- Pięciu minut? – odpowiedziała. – Nie.
- Więc będzie to musiało poczekać. – Terminal wyemitował sygnał odrzuconego połączenia.

- To było cholernie nieuprzejme – warknął Fayed.
- Prawdopodobnie miał coś pilnego na głowie – powiedziała.
- Wszyscy tu jesteśmy mocno zestresowani, ale to nie znaczy, że musi się zachowywać jak palant.

Elvi uniosła brwi i kiwnęła głową z pełną świadomością, że jej nie widzi.

- Prośba o połączenie, Holden.

Dźwięki powtarzały się tak długo, że zaczęła się obawiać, że on też nie odbierze. Kiedy w końcu to zrobił, jego głos brzmiał okropnie. Jakby był pijany albo chory.

- Elvi. O co chodzi?

- Cześć – powiedziała. – Nie wiem, czy jesteś teraz zajęty, i tak naprawdę nie jesteś odpowiedzialny za wysyłane nam zapasy, ale gdybyś miał wolną chwilę, chciałabym...

- Ona wie, jak wyleczyć ślepotę – krzyknął Fayed, przerywając jej.

Przez chwilę panowała cisza. Holden sapnął. Wyobraziła sobie, że dźwięk towarzyszył wysiłkowi wstawania.

- Dobra. Zaraz tam będę.
- Przyprowadź Lucię – poprosiła Elvi. – Jeśli zdołasz ją znaleźć.
- Czy będzie tam Murtry?

- Nie odpowiada na prośby o połączenia.
- Hm - odpowiedział Holden. - To dobrze. W tej chwili chyba nie jest ze mnie zbyt zadowolony.

* * *

Lucia siedziała przy boku Elvi, trzymając ją za rękę. Powinno to wywoływać poczucie intymności, ale w kontekście zaistniałej sytuacji wydawało się tylko wskazywać, że poświęca Elvi pełną uwagę. Dotykowy odpowiednik kontaktu wzrokowego. Holden chodził po pokoju, a jego kroki wzbudzały lepkie dźwięki chodzenia po błocie.

Kiedy skończyła, Lucia zaczęła cmokać cicho przez zęby.

- Nie wiem, jak mielibyśmy dobrać dawki. Nie chcę podawać ludziom tak mało, że nie miałyby to żadnego efektu.

- Może wybierzemy opiekunów? - zasugerował Favez. - Jest kilkanaście osób, u których zakażenie nie posunęło się tak bardzo. Podajmy im lek. Będą mogli się zajmować resztą do czasu kolejnego zrzutu. Kapitanie?

- Co? Och, przepraszam. Byłem... uch. W oknie jest dziura. W plastiku. Właśnie się upewniałem, że nie ma tu żadnych ślimaków. I ją naprawiałem.

- Kapitanie - powiedziała Lucia ostrym i stanowczym głosem. - Przyjmuje pan leki na przewlekłą i potencjalnie śmiertelną chorobę. Rozmawiamy właśnie o tym, czy nie użyć pańskiego leku do leczenia innych, pozbawiając pana dostępu do niego.

- Nic nie szkodzi.

- Z punktu widzenia etyki to dość problematyczne - odpowiedziała Lucia. - Jeśli mam to zrobić, a bardzo tego chcę, muszę wiedzieć, czy rozumie pan...

- Tak, tak, tak - powtórzył. - Wchłonałem dość promieniowania, żeby ciągle pojawiały mi się nowe raki. To coś, co trzyma je pod kontrolą, robi coś z tamtym czymś. A potem będą inni ludzie i będę mógł się przespać.

Elvi usłyszała uśmiech w głosie Lucii.

- Nie jestem pewna, czy komisja etyki uznałaby to za wystarczające, ale ogólnie rzecz biorąc, owszem.

- Oczywiście, że go pani użyje - oświadczył. - Proszę bardzo. Jeśli tylko będziemy mogli, ściągniemy więcej.

- A jeśli nie?

- To może dostanę nowego guza, zanim umrzemy z głodu. A może nie - odpowiedział Holden. - Nie przeszkadza mi to.

Lucia zabrała dłoń, przez co Elvi miała wrażenie, że zrobiło się trochę chłodniej.

- No dobrze. Powinnyśmy zacząć. Czy może mnie pan zaprowadzić, kapitanie?

- Tak - potwierdził Holden. - Mogę. Ale może trzeba będzie znaleźć kubek kawy. Czuję się trochę zmęczony.

- Mogę panu podać stymulanty, jeśli pan chce, ale nie mamy kawy.

- Racja - powiedział Holden. - Nie ma kawy. To straszna, okropna planeta. Proszę mi pokazać, jak to wszystko poprawić.

Rozdział czterdziesty drugi

HAVELOCK

Pancerz trzymany w areszcie był prostym, pozbawionym wspomagania skafandrem ze wzmocnieniami z kevlaru i ceramiki. Był hermetyczny, dopuszczony do stosowania w próżni i miał gniazdo na podłączenie butli z tlenem na półtorej godziny. W zamierzeniu miał służyć do rozdzielania bójek załogi i wykonywania krótkich, taktycznych wyjść w przestrzeń. W głównym komisariacie było pewnie jeszcze kilkanaście takich samych. Miał nadzieję, że inżynierowie nie pomyślą o zabranii ich. Kiedy Havelock do niego wszedł, skafander podciągnął mu nogawki spodni, nieprzyjemnie zbierając je przy kroczu. Przełożył pas strzelby przez ramię i przesunął, używając obu rąk do opuszczenia nogawek na miejsce.

– Śmiech nie pomaga – oznajmił.

– Wcale się nie śmiałam – odpowiedziała Naomi, a potem parsknęła śmiechem.

Wziął z szafki z bronią dwa tasery i garść jednorazowych kajdanek. Jeden taser miał pełny ładunek, ale drugi tylko trzy ósme. Zapamiętał sobie, żeby później sprawdzić poziom naładowania wszystkich broni, a potem naszła go myśl, że prawdopodobnie nie będzie żadnego później. Przynajmniej nie dla niego. Mógł zostawić notatkę dla Wei, czy coś takiego. Pomyślał o zadzwonieniu do Marwicka i ostrzeżeniu go, że sytuacja robi się złożona. Polegając na jego przyzwoitości i instynkcie.

Nie zrobił tego.

Unosząca się za nim Naomi przeciągnęła się, rozciągając palce rąk i stóp w powietrzu. Jej papierowy kombinezon trzeszczał i szeleścił przy każdym ruchu. Havelock po raz ostatni rozejrzył się po biurze. Dziwne było wiedzieć, że prawdopodobnie nigdy

więcej go nie zobaczy. A nawet jeśli, to od środka klatki.

Z drugiej strony, jeśli tak będzie, to dlatego, że znajdą jakiś sposób, aby uniknąć spadku w atmosferę i spalenia się przed spadkiem na planetę. Czyli szansa na to była raczej niewielka. Nie zamierzał się tym przejmować.

– Pierwszy bunt? – zapytała Naomi.

– Owszem. To bardzo nie w moim stylu.

– Później robi się łatwiej – zapewniła, wyciągając rękę.

Popatrzył na nią, nie rozumiejąc.

– Mogę wziąć jeden z nich.

– Nie – odpowiedział i przestawił radio skafandra na kanał domyślnie używany przez grupę szkoleniową. Niczego na nim nie usłyszał. Co było dziwne. Zaczął przełączać przez pozostałe częstotliwości.

– Nie?

– Słuchaj, wyciągam cię stąd, ale to nie znaczy, że czuję się dobrze, wręczając ci broń i odwracając się do ciebie plecami.

– Masz ciekawe granice zaufania – skomentowała Naomi.

– Właśnie pracuję nad kilkoma sprawami.

Pierwszy milicjant za szybko przeleciał przez drzwi, pełny adrenaliny i nieprzyzwyczajony do trzymania w rękach prawdziwej broni. Drugi sunął tuż za nim, stopami do przodu. Havelock poczuł, jak ściska mu się żołądek. Obaj mieli w rękach pistolety i opaski na przedramionach. Naomi za jego plecami ostro wciągnęła powietrze.

– Panowie – zwrócił się do nich Havelock ze skinięciem. – W czym mogę pomóc?

– Co ty, u diabła, robisz? – powiedział do niego gniewnie pierwszy, próbując wycelować z pistoletu i równocześnie unieruchomić się pod ścianą.

– Przenoszę więźniarkę – odpowiedział Havelock głosem gdzieś pomiędzy pogardą a niedowierzaniem. – A co innego miałbym robić?

– Szef nie mówił nic na ten temat – rzucił ten drugi.

– Główny inżynier Koenen nie jest szefem ochrony tego statku. Ja nim jestem. Wy mi pomagacie. Nie zrozumcie mnie źle,

doceniam to, ale pamiętajcie, że to moje zadanie, dobra? Co wy tu, u diabła, robicie?

Wymienili spojrzenia.

– Szef kazał nam przyjść pilnować więźnia.

Naomi uśmiechnęła się, przybierając łagodny i niegroźny wygląd. Wyszło jej to całkiem niezłe.

– Dobry plan – pochwalił Havelock. – Tutaj będą się kierować. Ustawcie się tu na wypadek, gdyby się przedarli. Jak tylko schowam ją bezpiecznie gdzieś, gdzie jej nie znajdą, wrócę tu i będę was wspierał.

– Tak jest, sir – powiedział drugi, salutując ostro ręką, w której trzymał pistolet.

Havelock skurczył się w sobie. Bardzo zdecydowanie nie byli gotowi na ostrą amunicję. Havelock przesunął strzelbę w pozycję gotowości i odbezpieczył ją.

– Panno Nagata – odezwał się. – Jeśli będzie pani tak miła.

– Tak jest, sir – odpowiedziała potulnie i odepchnęła się w stronę drzwi.

Poszybował za nią, zatrzymując się przy framudze drzwi i odwracając.

– Jeśli ktoś będzie się zbliżał, zidentyfikujcie go, zanim zaczniecie strzelać, dobrze? Nie chcę, żeby komuś przez pomyłkę stała się krzywda.

– Zrobimy tak, sir – zapewnił ten pierwszy.

Drugi tylko przytaknął. Havelock mógł postawić połowę pensji, że planowali zacząć strzelać do każdego, kto przeleciałby przez drzwi. Naomi czekała na niego nieco dalej w głębi korytarza. Włączył bezpiecznik strzelby i pozwolił, by zwisała mu z ramienia. Wszystkie korytarze *Israela* były wąskie, ale te tutaj szczególnie. Im bliżej pancierza się docierało, tym ciaśniejsze robiły się przejścia. Tkanina z wyściółką na ścianach pochłaniały dźwięki statku. Kody numeryczne wydrukowane na materiale informowały, jakie przewody i systemy techniczne ukrywały się pod ściankami z drugiej strony, włącznie z modelem panelu i kodami części zamiennych. Wyściółka z pianki i tkaniny miała zwiększyć bezpieczeństwo załogi w przypadku zderzenia lub

niespodziewanego ciągu, ale w tej chwili kojarzyła mu się z wyściełaną celą.

Havelock kiwnął głową przez ramię, do tyłu.

– Jeśli coś się stanie, nie wracaj tam beze mnie.

– Nie zamierzałam.

Polecieli w głąb korytarza. Havelock objął prowadzenie i gestem zaprosił ją do ruchu. Nie przemieszczała się z instynktem taktycznym kogoś przeszkolonego do ruchu w warunkach zagrożenia, ale była bystra i cicha, szybko naśladowując jego zachowanie. I ruszała się z wdziękiem Pasiarki w nieważkości. Gdyby miał kilka tygodni z oddziałem podobnych jej ludzi, bez problemu dałby im ostrą amunicję. Przy ścianie przed skrzyżowaniem z korytarzem technicznym gestem wskazał na wąski ceramiczny pas ściany.

– Zostań tu – wyszeptał. – I skul się.

Naomi uniosła pięść. Havelock ruszył do przodu. Na skrzyżowaniu czaiło się dwóch kolejnych członków drużyny w pozycjach, które zapewne uznali za bezpieczne. Jeden z nich dobrze się zaparł, ale drugi za bardzo wysunął rękę. Gdyby spróbował się odepchnąć, wpadłby w ruch wirowy, który ustawiłby go plecami do walki. Mówili o tym.

– Panowie – odezwał się Havelock, sunąc przez powietrze. – Walters i... Honneker, prawda?

– Tak jest, sir – potwierdził Honneker.

– Jak wygląda sytuacja?

– Szef nakazał ciszę radiową. Nie chcemy, żeby wróg dowiedział się, co planujemy. Boyd i Mfume są przy grodzi dekompresyjnej. Szef ma ze sobą Salvatorego i Kiempa. Poszli do przodu, żeby wypłoszyć wroga.

– Kogo mamy na zewnątrz?

– Na zewnątrz? – Pokręcił głową, nie rozumiejąc.

– Czy wsadziliśmy kogoś w skafandry i wysłaliśmy na zewnątrz do pozostałych służ?

– Hej – rzucił Honneker – to dobry pomysł. Powinniśmy to zrobić.

– Czyli jeszcze tego nie zrobiliście – skomentował Havelock.

– Nie, sir. Nie pomyśleliśmy o tym.

– No dobrze – powiedział Havelock, a z głębi korytarza dobiegły odbite echem dźwięki wystrzałów.

Inżynierowie odwrócili się, podciągając się, żeby wyrzuć. Honneker pociągnął trochę za mocno i wypchnął się w korytarz, gdzie każdy, kto zbliżałby się z przeciwnej strony, mógłby go z łatwością zastrzelić. W uchu Havelocka obudziło się do życia radio. Główny inżynier brzmiał jak dziecko na przyjęciu urodzinowym.

– Mamy kontakt! Mamy kontakt! Wróg schronił się w kiblu przy zapasowym magazynie. Unieruchomiliśmy go!

Rozległa się kanonada wystrzałów, docierając przez radio ułamek sekundy przed dźwiękiem sunącym statkowym powietrzem. Koenen zaczął krzyczeć do kogoś, żeby się cofnął, a potem przypomniał sobie, że ma włączone radio i je wyłączył. Havelock zaczepił się stopą o uchwyty, wyciągnął do Honnekera i łagodnie ściągnął go z powrotem.

– Co robimy? – zapytał Walters, gdy Honneker ustawiał się przy uchwycie. – Powinniśmy iść do przodu? Czy wziąć jakieś skafandry i iść dookoła, jak pan mówił?

Havelock pokręcił głową, wyciągając w pełni naładowany taser. Był gotów do strzału. Ten drugi, częściowo rozładowany, potrzebował pół sekundy na osiągnięcie stanu gotowości. Dwaj mężczyźni patrzyli na niego wyczekująco, czekając na rozkazy.

– Powinniście spojrzeć w głąb korytarza – powiedział, wskazując skrzyżowanie ruchem głowy.

Kiedy się odwrócili, strzelił obu w plecy. Ich ciała wygięły się, zadygotały i znieruchomiały. Havelock zabrał ich pistolety, odłączył radia skafandrów i skuł ich, najpierw ze sobą, a potem przykuł do jednego z uchwytów.

– Czysto – rzucił przez ramię głosem spokojnym, ale na tyle mocnym, by dotarł do Naomi.

Podleciała do przodu, przesuając się od uchwytu do uchwytu tak, że nigdy nie była dłużej niż ułamek sekundy od czegoś, dzięki czemu mogła zmienić kierunek. Dobre odruchy.

– To już czterech – skomentowała. – Czy ty jesteś w tym taki

dobry, czy oni tacy źli?

- Uczenie może nie być moją mocną stroną - przyznał Havelock. - I mamy po swojej stronie element zaskoczenia.

- Chyba tak - zgodziła się Naomi, choć wyraźnie usłyszała sceptycyzm w jej głosie. - Jak sobie radzisz?

Havelock zaczął odruchowo odpowiadać *wszystko w porządku*, ale się powstrzymał. Właśnie zaatakował i unieszkodliwił dwóch ludzi działających na bezpośredni i wyraźny rozkaz jego przełożonego. Zdradził zaufanie pokładane w nim przez ludzi, z którymi podróżował przez lata, stając po stronie sabotażystki z Pasa. A wszyscy i tak za kilka dni zginą. Ale, o dziwo, może właśnie ten ostatni fakt sprawiał, że pogodził się z resztą. I tak był trupem. Wszyscy nimi byli, więc w pewnym sensie to, co robił, nie miało żadnego znaczenia. Mógł postępować zgodnie z własnym sumieniem, niezależnie od tego, dokąd go zaprowadziło.

To był najczarniejszy scenariusz policjanta. Dlaczego nie miało dochodzić do buntów w perspektywie śmierci? Dlaczego nie miałyby dochodzić do zabójstw, kradzieży i gwałtów? Jeśli nie wiązały się z nimi żadne konsekwencje - albo jeśli wszystkie były takie same - to wszystko stawało się możliwe. Jego praca polegała na spodziewaniu się po ludziach najgorszego, włącznie z sobą. I proszę, pomaga w ucieczce legalnie pojmanej więźniarce, ponieważ bardziej podobała mu się śmierć oferowana przez nią niż wizja plastikowo-ceramicznego mauzoleum ustawionego przez Murtry'ego na pustej planecie. Zupełnie nie obchodziła go Nowa Ziemia, Ilus czy jakkolwiek zostanie w końcu nazwana ta kula błota pod nimi. Interesowali go wyłącznie ludzie. Ci na pokładzie *Israela*, ci na pokładzie *Barbapiccoli* oraz przebywający na powierzchni. Wszyscy. Ustawienie symbolu, którego korporacja będzie mogła użyć do ochrony swoich aktywów po ich śmierci, nie było dla niego motywacją.

- Jestem z tym dziwnie pogodzony - wyznał w końcu.

- To pewnie dobry znak - skomentowała, a chwilę później rozległa się kolejna kanonada. Havelock gestem polecił jej zostać,

a sam ruszył do przodu.

Wszystkie główne korytarze *Israela* wyposażono w grodzie czy też wazy dekompresyjne: grube kręgi metalu z uszczelkami z twardych polimerów. Większość czasu były po prostu wypukłościami ścian, większymi niż na statkach zaprojektowanych pokolenie czy dwa później, ale nietrudno było je ignorować. Gdyby coś przebiło statek, gródz zamknęłaby się z szybkością i brakiem moralności typowym dla gilotyny. Gdyby ktoś został przez nią złapany, utrata jednego człowieka była lepsza od utraty całego powietrza. Havelock widział filmy szkoleniowe o awaryjnej aktywacji grodzi i od tamtej pory zawsze był przy nich trochę nerwowy. Jeden człowiek przycisnął się do ściany, nerwowo obserwując korytarz z przodu. Havelock odchrząknął, a mężczyzna obrócił się gwałtownie z pistoletem w gotowości.

– Mfume – powiedział Havelock, trzymając wyciągnięte puste dłonie. – Gdzie jest Boyd?

– Poszedł do przodu – wyjaśnił Mfume, machając pistoletem, ale nie opuszczając go. – Strzelają do szefa. Powiedział, żebym tu został, więc zostałem, ale...

– W porządku – rzucił uspokajająco Havelock, zbliżając się powoli, ale nie nawiązując kontaktu wzrokowego. Wciąż patrzył w głąb korytarza, próbując przesunąć tam uwagę mężczyzny. Wycelowany pistolet sprawiał, że swędziała go klatka piersiowa. – Postąpiłeś słusznie.

Radio z trzaskiem obudziło się do życia i zabrzmiał z niego głos głównego inżyniera. Brzmiał na zmachanego.

– Zablokowaliśmy drania. Ranił Salvatorego, ale nie jest źle. Potrzebuję tu wszystkich. Musimy go wziąć szturmem.

– To raczej nie jest dobry pomysł – odpowiedział Havelock na ogólnym kanale.

– Będzie dobrze – odparł główny inżynier. – Możemy go pokonać.

– Ale nie bez ofiar, które wcale nie są potrzebne – skomentował Havelock. – Ma pancerz?

– Tak, jestem całkiem pewien, że raz go trafiłem – odpowiedział

inny głos, napięty i wysoki, jak u dzieciaka na pierwszym polowaniu, który sądzi, że trafił jelenia.

– Wszyscy się zgłoszą – polecił główny inżynier.

– Jones i ja siedzimy w areszcie, szefie. Bardzo tu cicho.

– Więźniarka was nie zaczepia? – zapytał inżynier.

– Przeniosłem ją – wtrącił się Havelock. – Wszystko z nią w porządku. Ale teraz musicie się cofnąć. Trzeba to zrobić według procedury.

W powietrzu zabrzmiało kilka kolejnych wystrzałów. Mfume drgał przy każdym. Havelock delikatnie odsunął lufę jego pistoletu w bok, aż celowała w ścianę. Mfume wydawał się w ogóle tego nie zauważać.

– Nie ma mowy – odpowiedział Koenen. – Jeśli się cofniemy, ten pasiański skurwysyn się wymknie. Musimy to zakończyć. Honneker! Walters! Bierzcie dupy w troki i chodźcie tutaj, chłopaki. Załatwimy tego gnojka.

Cisza w radiu była upiorna.

– Walters? – powtórzył główny inżynier.

Havelock chwycił nadgarstek Mfumego i wykręcił, zapierając się przy tym nogą o ścianę. Mfume krzyknął, ale poluzował uchwyt na broni dostatecznie, by Havelock mógł ją odrzucić. Czarny metal poleciał, wirując w głąb korytarza, a Mfume sapnął i spróbował go odepchnąć. Havelock zmienił uchwyt, ciągnąc w dół i na zewnątrz, oderwał Mfumego od dającej mu oparcie ściany. Inżynier znowu wrzasnął, a Havelock wystrzelił mu w plecy z tasera. Mfume odbił się od ściany bezwładny jak szmaciana lalka, a Havelock zdjął z pleców strzelbę i przesunął się, zaczepiając się stopą o brzeg grodzi ciśnieniowej, a drugą stopą o uchwyt na ścianie.

– Nagata – krzyknął. – Będziemy mieć towarzystwo.

W głębi korytarza zza rogu wyleciał główny inżynier, z impetem uderzając w ścianę i strzelając gwałtownie z pistoletu.

– Wstrzymać ogień! – zawołał Havelock. – Jeden z pańskich ludzi unosi się nieosłonięty. Wstrzymać ogień!

– Pieprz się! – wrzasnął Koenen, a Havelock pociągnął za spust strzelby.

Elastyczny pocisk trafił w bok szefa i wprowadził go w obroty. Havelock posłał kolejny pocisk w jego plecy w chwili, gdy zza rogu grupą wyłoniło się trzech kolejnych inżynierów. Strzelił po razie do każdego, a potem przeszedł na drugą stronę wjazdu, przesunął strzelbę na plecy i wyciągnął tasery. Ten niedoładowany był już bezużyteczny, więc go odrzucił. Jeden z ludzi krwawił, w powietrzu unosiła się kropla krwi wielkości paznokcia. Wszyscy czterej dyszeli z bólu. Dwóch puściło broń, a pozostali dwaj – włącznie z krwawiącym i Koenenem – zdawało się w ogóle nie zauważać obecności Havelocka. Poraził prądem pierwszego z unoszących się, a potem chwycił krwawiącego, to był Salvatore.

– Ty. Kemp.

– Postrzeliłeś mnie.

– Elastycznym pociskiem. Ten drugi strzelił do Salvatorego kulą. Musisz go zaprowadzić do ambulatorium.

– Jesteś zdrajcą – krzyknął główny inżynier, a Havelock strzelił do niego z tasera, zanim zwrócił się do Kempa.

– Zabieram ci broń i powierzam Salvatorego. Natychmiast zabierzesz go do ambulatorium. Rozumiesz?

– Tak jest, sir – odpowiedział Kemp, a potem spojrzał za ramię Havelocka i kiwnął głową. – Proszę pani.

– Wszystko pod kontrolą? – zapytała Naomi.

– Tak daleko bym się nie posunął – odpowiedział Havelock, kładąc dłoń Kempa na ramieniu Salvatorego i pchając ich w głąb korytarza. – Jestem mocno przekonany, że lecą tu ci dwaj z aresztu.

– Czyli powinniśmy się stąd zbierać.

– Tak właśnie myślałem.

Krótki korytarz między rogiem a śluzą zawierał hermetyczne drzwi do zapasowego magazynu, nisko umieszczony panel dostępu do przewodów zasilania w ścianach i wejście do pokoju z szafkami śluzы technicznej. Było tam wąsko i ciasno, tkanina ukazywała mnóstwo dziur po kulach. Jedna z nich przebiła ścianę i trafiła w rurę z płynem hydraulicznym. Bezpieczny płyn hydrauliczny polimeryzował w powietrzu, a jego setki małych

zielonkawych kulek powoli zmieniało kolor na biały. Oryginalne przebicie zostało już prawdopodobnie zatkanie skrzepem polimeru. Ubikacja była standardowej wielkości, tak mała, że skorzystanie z miski próżniowej wymagało przyciśnięcia pleców do jednej ściany, a kolan – do przeciwnej. Pomieszczenie nie mogło zapewnić solidnej osłony, a wąskie drzwi do środka były otwarte. Na ścianach i drzwiach widać było kilkanaście dziur po kulach.

– Dobra – rzucił Havelock, a ze środka wysunął się pistolet, strzelając na ślepo w głąb korytarza. – Przestań! – krzyknął, zasłaniając sobą Naomi. – Przestań! Mam tu Nagatę!

– Nie zbliżaj się. – Z ubikacji dobiegł męski głos. Brzmiał prawie znajomo, ale Havelock nie potrafił go przypisać do twarzy. – Przysięgam na Boga, będę strzelał.

– Zauważyłem – odkrzyknął Havelock.

– Już dobrze, Basia – zawołała Naomi. – To ja.

Napastnik ucichł. Havelock ostrożnie ruszył do przodu, licząc się z ponownym wystawieniem pistoletu. Nie pojawił się. Mężczyzna unoszący się w ubikacji miał na sobie wojskowy pancerz marsjański, na oko model sprzed dobrych kilku lat. Miał ciemne włosy ze śladami siwizny na skroniach i w jednej ręce trzymał palnik spawalniczy, a w drugiej pistolet. Miał szeroko otwarte oczy i szarą skórę. Smuga na boku pancerza zdradzała, gdzie po jego żebrach przemknął pocisk milicji. Havelock wyciągnął pustą lewą dłoń, ale w prawej mocno ścisnął taser.

– Już dobrze – powiedział. – Wszystko w porządku. Jesteśmy po tej samej stronie.

– Kim ty, u diabła, jesteś? – zapytał gniewnie mężczyzna. – Ty jesteś tym ochroniarzem. Tym, który ją zamknął.

– Byłem – odpowiedział Havelock.

Naomi oparła dłonie na ramionach Havelocka, przesuwając się nad niego, żeby popatrzeć na mężczyznę.

– Odlatujemy – oznajmiła. – Chcesz się z nami zabrać?

Rozdział czterdziesty trzeci

BASIA

– Odlatujemy – powiedziała Naomi. – Chcesz się z nami zabrać?
Basia poczuł potężną falę zawstydzenia. Wszystko zaczęło się tak dobrze.

Wypalił dostęp do panelu sterowania śluzy *Israela* z szybkością wynikającą z wieloletniej wprawy. Kompozytowa osłona była zrobiona w starym systemie warstwowym, z którym często miał do czynienia na Ganimesdesie, a jego znajomość dała mu poczucie pewności siebie. Przeleciał przez krótki korytarz do magazynu i pokoju z szafkami, nie napotykając nikogo, cały czas trzymając w dłoni pistolet. Miał nadzieję, że broń okaże się niepotrzebna. Po drugiej stronie pokoju z szafkami znajdował się sterburtowy korytarz prowadzący do aresztu. Był o jakieś sześćdziesiąt metrów od celu i nie słyszał nawet żadnych alarmów.

Pierwszym znakiem, że coś poszło nie tak, był gwałtowny ostrzał, który zdawał się dochodzić ze wszystkich stron równocześnie. Od tamtej chwili przez cały czas ukrywał się w maleńkiej ubikacji.

– Przyszedłem cię uratować – powiedział Basia i od razu uświadomił sobie, jak śmiesznie brzmią jego słowa.

– Bardzo ci za to dziękuję – z uśmiechem odparła Naomi.

– No tak, więc pewnie powinniśmy... – zaczął mówić Ziemianin w pancerzu, ale przerwały mu nowe wystrzały.

Pociski odbijały się od ścian korytarza, wrywając długie bruzdy w piankowym obiciu. Oderwana pianka dołączała do kulek zestalonego płynu hydraulicznego. Ziemianin wepchnął Naomi do ubikacji z Basią, rozgniatając oboje o ścianę z tyłu. Wystrzelono kolejne pociski, z których jeden prześliznął się po osłonie barku Ziemianina, zostawiając na nim długą bruzdę.

– Jestem Basia – przedstawił się.

Ziemianin wychylił się za drzwi z masywną strzelbą i wystrzelił grzmiąco kilka razy.

– Havelock. Resztę może załatwimy, jak się stąd zbierzemy.

Zanim Basia zorientował się, co się dzieje, Naomi wyjęła mu z dłoni pistolet i podała go Havelockowi.

– Możesz tego potrzebować.

– Nie – odpowiedział i jeszcze kilka razy wypalił z dużej strzelby. – Żadnych zabójczych pocisków. Nie będę zabijał tych durniów, jeśli tylko da się tego uniknąć.

– To co? – zapytała.

Havelock wyciągał z kieszeni na pancerzu grube naboje i ładował je do strzelby.

– Gdy tylko wyjdę na korytarz, wy dwoje ruszajcie jak najszybciej do służy. – Załadował do strzelby ostatni nabój, a potem przeładował ją z głośnym trzaskiem. – Basia, jesteś opancerzony, więc trzymaj ją przed sobą. Naomi, będziemy przechodzić przez magazynek. Weź sobie skafander. Cokolwiek, co zdołasz szybko na siebie naciągnąć.

– Jesteśmy gotowi – odpowiedziała Naomi i oparła dłoń na ramieniu Havelocka.

Basia kiwnął pięścią w stronę Ziemianina.

– To idziemy – rzucił Havelock i wypadł na korytarz, strzelając.

Naomi wyskoczyła za nim i skierowała się w przeciwną stronę, w kierunku magazynku i służy. Basia trzymał się tuż za nią. Przebyli zaledwie kilka metrów, gdy poczuł dwa silne uderzenia w plecy.

– Trafili mnie – krzyknął spanikowany. – Zostałem postrzelony! Naomi nie zwolniła.

– Czy twój wyświetlacz w hełmie mówi, że krwawisz?

– Nie.

– To będziesz żył. Po to właśnie jest pancerz.

– Mniej gadania – rzucił z tyłu Havelock i solidnie pchnął go w plecy. – Więcej uciekania.

Basia nawet nie wiedział, że jest tak blisko. Stłumił niezręczny okrzyk. Kilka metrów dalej Naomi wpadła do magazynku, a Basia skręcił za nią, gdy tylko dotarł do drzwi. Już naciągała na siebie

jaskrawopomarańczowy ratunkowy skafander próżniowy. Havelock zatrzymał się w drzwiach, żeby posłać w głąb korytarza jeszcze kilka pocisków.

– Dostróście się na dwadzieścia siedem koma zero jeden pięć – rzucił Ziemianin.

– Co? – Jego słowa nie miały dla Basi żadnego sensu.

A cała sekwencja wydarzeń zaczynała coraz bardziej sprawiać wrażenie koszmarnego snu. Ludzie do niego strzelali i krzyczeli jakieś bzdury. Całkowicie zniknęło poczucie spokoju i heroizmu odczuwane, gdy zgodził się na przeprowadzenie tej misji.

– To częstotliwość, której używa oddział ochrony – wyjaśnił Havelock. – Możecie ich słuchać, nie stosują szyfrowania. Ponieważ – westchnął – to pieprzeni amatorzy.

Basia znalazł właściwe menu do przełączenia częstotliwości radia skafandra i przestawił ją na 27,015.

– ...w tym – usłyszał głos.

Młody, męski, gniewny.

– Jednoznacznie daje to do zrozumienia fakt, że do nas strzela – odpowiedział starszy głos. – Postrzelił mnie kilkoma gumowymi kulami. Chyba złamał mi żebro.

– Czyli – powiedział Havelock, a potem urwał, żeby znowu wystrzelić. – Chyba nie mogę cofnąć tej decyzji.

Basia nie potrafił stwierdzić, do kogo mówi.

– Strzelę ci w twarz, gnido – warknął starszy mężczyzna.

Po tych słowach ściany korytarza zostały podziurawione kolejną salwą.

– Głównie strzela pan w statek, szefie – odpowiedział Havelock.

Mówił bardzo rzeczowym tonem. Wydawał się gdzieś w pół drogi między zawstydzeniem wywołanym zachowaniem atakującego a szykowaniem się na przemoc ze swojej strony. Basia przypomniał sobie, co ktoś opowiadał mu o zasadach Bushido w czasach, gdy dopiero zaczynał pracę na Ganimesesie. Mówili, że był to spokój i skuteczność wynikająca z myślenia o sobie jak o trupie. Havelock przypomniał mu te słowa.

– Kemp – zabrzmiał starszy głos. – Jesteś na stanowisku?

– Jesteśmy w skafandrach i idziemy do dostępu awaryjnego sto

jedenaście.

– Idźcie szybciej, wyprzedźcie ich.

– Hej, Kemp? – odezwał się Havelock. – Chyba wysłałem cię do medycznego z Salvatorem? Nie zostawiłeś go chyba, żeby wykrwawił się na jakimś korytarzu, prawda?

– Nie, sir – odpowiedział Kemp. – Ktoś go tam właśnie...

– Przestań z nim rozmawiać – warknął starszy głos. – Nie jest po naszej stronie!

Naomi zmagala się ze skafandrem ratunkowym, próbując naciągnąć go na ramiona, więc Basia odepchnęła się, żeby jej pomóc. Havelock został przy włączu magazynku, od czasu do czasu strzelając w głąb korytarza.

– Znajdź butlę z tlenem – rzuciła Naomi, a potem zaczęła otwierać drzwi szafek i grzebać w ich wnętrzu.

Basia jej pomagał.

– Hej, Mfume? – powiedział Havelock.

– Co? – rzucił gniewnie nowy głos.

– Włączenie magnesów butów, żeby utrzymać się przy podłodze za osłoną, to dobry pomysł, ale w pozycji, w której przykucnąłeś, kolano wystaje ci za osłonę. – Havelock wypalił ze strzelby i ktoś w radiu głośno wrzasnął z bólu. – Widzisz?

Basia znalazła szafkę pełną ratunkowych butli z tlenem i pomógł Naomi podłączyć jedną do jej skafandra, obracając ją i zrywając plombę. Kilka sekund później wystawiła kciuk w uniwersalnym geście potwierdzenia.

– Jesteśmy gotowi – powiedziała do Havelocka.

Ziemianin wystrzelił jeszcze kilka razy, a potem cofnął się do pomieszczenia. Podał strzelbę Naomi, która skierowała ją w stronę drzwi, by ich osłaniać w czasie, gdy mężczyźni uszczelniali hełmy.

– Zmieniłeś zdanie w sprawie wręczania mi broni? – spytała.

– Będę chciał ją z powrotem.

– Już jesteśmy na zewnątrz – przez radio zgłosił Kemp.

– Hej, chłopaki? – rzucił Havelock. – Nie róbcie tego. Ledwie zaczęliśmy coś robić z taktyką walki w próżni. Jeśli wyjdziecie tam z ostrą amunicją, zrobi się bardzo niebezpiecznie.

– Ale szef powiedział...

– Przestańcie z nim rozmawiać! – krzyknął starszy mężczyzna tak głośno, że jego głos uległ zniekształceniu w głośniczkach hełmu Basi. – Niech was szlag, chłopaki!

– Koenen – zwrócił się do niego Havelock. Po zamknięciu i uszczelnieniu hełmu jego głos brzmiał nieco inaczej. – Mówię poważnie. Nie wysyłaj tam swoich ludzi. Komuś stanie się krzywda albo jeszcze gorzej – zginie.

– Właśnie – odpowiedział inżynier. – Ty włączący do dupy Pasiarzom, zdradziecki skurwysynu.

– Jak tam żebra, szefie? – Havelock rzucił z uśmiechem w głosie.

– Widzi pan, w tej chwili kieruje się gniewem. Nie przemyślał pan tego. To dlatego nie chciałem wam wydać ostrej amunicji.

Basia przypiął do skafandra zostawiony przy włączu śluzu plecak manewrowy. Naomi podała mu strzelbę i wyciągnęła z szafki dwa kolejne plecaki. Chwilę później wszystkie trzy były założone i zamknęły się za nimi wewnętrzne drzwi śluzu. Havelock zabrał Basi strzelbę i powiesił ją w swojej uprzęży. Naomi włączyła cykl śluzu.

– Wiecie – odezwała się – mogą po prostu unieruchomić tę śluzę z mostka.

Jakby w reakcji na jej słowa kontrolka stanu na panelu śluzu przełączyła się z zielonej na czerwoną i cykl ustał. Havelock wystukał coś na panelu i cykl aktywował się ponownie.

– Nie będą mieli czasu zresetować wszystkich obejść bezpieczeństwa – powiedział.

– Ochrona RCE może blokować działania obsługi statku? – zapytała Naomi.

– Witamy w ochronie korporacji. Załoga statku to tak naprawdę kierowcy taksówki. Dział ochrony pracuje bezpośrednio dla firmy, chroniąc jej interesy. Możemy zablokować wszystko, co zrobią.

– I dlatego właśnie nikt was nie lubi – skomentował Basia.

Cykl śluzu dobiegł końca i otworzyły się zewnętrzne drzwi. Havelock gestem wskazał wyjście.

– Jesteś pewien, że mnie teraz nie lubisz? Ani odrobinę?

Gwiazda Ilusa wychodziła zza krawędzi planety, więc wizjer Basi gwałtownie ściemniał, żeby nie został oślepiiony. Sama planeta wciąż była gniewną kulą szarpanych burzami szarych chmur. W oddali mrugał do nich czerwienią i zielenią świateł lądowania *Rosynant*, rozgłaszając swoją pozycję.

– Dobra – odezwał się Havelock głosem trzeszczącym szumami.
– Chyba powinniśmy ruszać. Mają ludzi na zewnątrz, po drugiej stronie statku. Nie zdołają nas złapać, ale obserwujcie się wzajemnie, czy nie strzelają linami z chwytakami.

Naomi odpaliła już swój plecak manewrowy, oddalając się od śluzy na czterech małych stożkach sprężonego gazu.

– Aleks? Wyszliśmy.

– Och, Bogu dzięki – powiedział pilot, z charakterystycznym akcentem prawie ustępującym pod napięciem w głosie. – Cholernie się tu martwiłem. Jest z tobą Basia?

– Tak – odezwał się spawacz. – Jestem.

– Odbierzesz trójkę – poinformowała Naomi. – Wyjdź nam na spotkanie.

– Trójkę?

– Zabieram do domu zbłąkaną duszę.

– Zbłąkaną? – zapytał Havelock z rozbawieniem w głosie. – To ja tutaj robię akcję ratunkową.

– To skomplikowane – skomentowała Naomi.

Wszyscy opuścili już śluzę. Na wyświetlaczu przeziernym Basi włączyła się kontrolka zdalnego połączenia i zaczął się przez niego przewijać złożony program. Aleks polecił *Rosynantowi* przejąć kontrolę nad sterowaniem ich plecakami, żeby bezpiecznie sprowadzić ich na statek. Plecak wykonał kilka ostrych manewrów i *Rosynant* zaczął powoli rosnąć.

– Cieszę się, że Basia wyszedł z tego cało – odezwał się Aleks. – Martwiłem się, wysyłając go tam w ten sposób.

– W sumie za wiele nie pomogłem – przyznał Basia, czując kolejny atak fali wstydu.

– Dzięki tobie wszyscy patrzyli w inną stronę – skomentował Havelock. – To właściwie było bardzo pomocne.

– Hura – rzucił Aleks – wszyscy jesteśmy bohaterami. Leci za

wami czterech ludzi. Wiemy o nich?

Na wyświetlaczu Basi pojawił się niewielki kwadrat wyświetlający obraz wideo czterech ludzi w skafandrach próżniowych z plecakami manewrowymi, mających za sobą kadłub *Edwarda Israela*. Choć nic nie robił, widok powiększał się, aż zobaczył trzymaną przez nich broń. Aleks przesyłał im obrazy pobrane prosto z teleskopów *Rosynanta*.

– Tak, to milicja, którą sformowałem i przeszkoliłem – wyjaśnił Havelock, a potem westchnął. – Z perspektywy czasu nie wydaje się to dobrym pomysłem.

– Mam się nimi zająć? – zapytał Aleks.

– Czy twoja wersja „zajęcia się” nimi obejmuje użycie działek obrony punktowej waszego statku? – Havelock odpowiedział pytaniem.

– Yyy... Tak?

– To nie. Ci ludzie są głupi i na tyle słabo przeszkoleni, żeby robić głupoty, ale to tylko inżynierowie. Nie są źli – powiedział Havelock.

– Strzelają do was – poinformował Aleks i nagle na wyświetlaczu Basi pojawiły się czerwone kreski. – Kazałem Rosowi śledzić trajektorie pocisków.

Świadomość, że przelatowały obok niego ciche, niewidoczne i potencjalnie zabójcze pociski, sprawiła, że Basię zaswędziła skóra na głowie. Czerwone linie na ekranie wyraźnie dla Havelocka znaczyły coś więcej, bo Ziemianin odpowiedział.

– Nie strzelają nigdzie blisko. Nie mają celowników zintegrowanych z wyświetlaczami, więc na razie sięją jak popadnie. Nie ma powodu odpowiadać ogniem.

– Pierwsza? – zapytał Aleks.

Basia potrzebował chwili na zorientowanie się, że mówił do Naomi.

– Tym razem decyduje Havelock – odpowiedziała. – To jego ludzie.

– Dobra – zgodził się z powątpiewaniem Aleks.

Rosynant nadal rósł z każdą chwilą, aż Basia zobaczył mały pierścień światła wokół śluzy. Był na tym statku w sumie dość

krótko, ale i tak poczuł się, jakby wracał do domu. Jego plecak manewrowy wypuścił serię dmuchnięć gazem i odwrócił go twarzą do *Israela*, a potem zaczął hamować. Prawie na miejscu.

- Chłopaki - odezwał się Havelock. - „Bezodrzutowe” to przesada. To wcale nie znaczy, że nie ma żadnego odrzutu.

Dla Basi wydało się to kolejnym nonsensem, aż spojrzął na przesyłany przez *Rosynanta* obraz wideo ścigających go ludzi i zobaczył, że jeden z nich wiruje i obraca się w przestrzeni, gorączkowo próbując opanować obroty za pomocą plecaka manewrowego. Co wydawało się tylko pogarszać sytuację, jako że każdy strumień gazu z dysz dodawał tylko kolejną oś obrotu.

- To znaczy, że to niedokładna nazwa broni - odpowiedział mężczyzna zwany Kemp.

- I wyjaśniłbym to, gdybyśmy dotarli do bardziej zaawansowanej taktyki walki w przestrzeni - stwierdził Havelock. - Nauczyłbym was też używania zintegrowanego oprogramowania kompensacyjnego, żeby plecak manewrowy puszczał ciąg stabilizacyjny przy każdym strzale.

- Wygląda na to, że bardzo dużo nam nie pokazałeś - skomentował Kemp.

- Owszem, a teraz, gdy do mnie strzelacie, strasznie mi przykro z tego powodu. A na razie przestańcie. Drake stracił panowanie i się od was oddala. Ktoś musi go zgarnąć, zanim znajdzie się za daleko.

- Chciałbyś tego, prawda? - powiedział ten, którego Havelock nazywał Koenenem. - Zmusić nas do odwołania pościgu.

- Chciałbym - odpowiedział Havelock smutnym głosem - żeby Drake nie spadł z nieba i nie zginął. Właśnie spieram się też z pilotem okrętu bojowego za mną, przekonując go, że nie musi zmieniać was w chmurę czerwonej mgły działkami obrony punktowej. Ale z każdą chwilą coraz trudniej jest mi to uzasadnić.

- Nie groź...

- Lećcie zgarnąć Drake'a. Wracajcie na statek. I przestańcie strzelać. Jeśli jeden z tych pocisków, którymi siejecie po okolicy, przypadkowo kogoś trafi, umyвам ręce i spuszczyć okręt ze smyczy.

Na dłuższą chwilę zapadła cisza. Czerwone linie na wyświetlaczu Basi zaczęły kolejno znikać, aż nie została ani jedna. Plecak manewrowy wypuścił długi, końcowy strumień gazu i odwrócił go. Zewnętrzna śluza *Rosynanta* była już otwarta, czekając na nich. Naomi wleciała do środka, złapała uchwyt i poczekała, aż obaj wleczą za nią. Po osłonięciu przed światłem gwiazdy Ilusa wyłączyła się polaryzacja wizjera jej hełmu, a jego wnętrze oświetlił błękitny blask diod LED śluzy. Wyraźnie zobaczył jej szeroki uśmiech.

– Znowu w domu, znowu w domu – powiedziała. Basia przedryfował obok niej, a ona złapała go za rękę, żeby zatrzymać ruch. – Dziękuję, że po mnie przyszedłeś.

Basia zaczerwienił się i unióśł dłonie w pasiarskim odpowiedniku wzruszenia ramion.

– Nie zrobiłem za wiele, głównie dałem do siebie strzelać.

– Czasami samo pokazanie się bardzo wiele znaczy.

Havelock złapał krawędź wejścia do śluzy i zatrzymał się, oglądając się w stronę *Israela*.

– Hej, macie Drake'a? Wszystko z nim w porządku?

– Tak, sir – odpowiedział Kemp. – Złapaliśmy go.

– Havelock – odezwał się starszy, bardziej przepełniony złością głos. – Nie ujdzie ci to na sucho. Kiedy wrócimy, RCE wypali cię za to do gruntu. A ja będę stał i patrzył.

Havelock się roześmiał.

– Szefie? Mam nadzieję, że obaj pożyjemy tak długo. Rozłączam się. – Cofnął się do śluzy i wcisnął panel ścienny, aktywując cykl.

– Udało się – powiedział Basia.

Przez chwilę odczuwał euforię, po której dopadło go wykręcające jelita przerażenie, z jego tłumienia dotąd nie zdawał sobie sprawy. Gdyby stał w ciężeniu, padłby na ziemię. W trakcie cyklu wypełniania śluzy powietrzem Naomi i Havelock zaczęli ściągać plecaki manewrowe. Basia zaczął się mocować ze swoimi paskami, ale ręce trzęsły mu się tak bardzo, że nie potrafił ich rozpiąć. Po kilku chwilach Naomi pomogła mu go zdjąć.

Plecak poszybował przez komorę i z głuchym łomotem uderzył w ścianę. Basia miał akurat tyle czasu, żeby zrozumieć, że

usłyszał coś poza swoim oddechem, gdy rozsunęły się wewnętrzne drzwi śluzy. Do środka wleciał Aleks, obramowany wejściem śluzy, z szerokim uśmiechem na twarzy.

- Pierwsza - powiedział - dobrze mieć cię znowu na statku.

Naomi zdjęła hełm i rzuciła go do niego.

- Dobrze być z powrotem, panie Kamal.

Przez chwilę szczerzyli się do siebie w uśmiechu, a potem Naomi odepchnęła się od niego, a Aleks chwycił ją w objęcia.

- Dobrze cię traktowali? - zapytał Aleks.

- Trzymał mnie w klatce jak psa - odparła Naomi, ruchem głowy wskazując Havelocka.

Niewysoki Ziemianin zdjął już hełm, który unosił się w powietrzu obok niego. Na jego twarzy rysował się nieśmiały uśmieszek. Bez hełmu pancerza Basia zobaczył jego krótkie, jasne włosy, kanciastą szczękę i ciemne oczy. Emanował ogólną, zwyczajną przystojnością. Jak gwiazdor kina grający gliniarza w filmie akcji. Basia zapragnął go znieubić.

- Takie były zasady - powiedział Havelock. - Jestem... byłem szefem ochrony statku na *Edwardzie Israelu*. Chyba właśnie zrezygnowałem z tego stanowiska. To ja złapałem twoją pierwszą oficer. Mam nadzieję, że nie będziesz miał mi tego za złe.

- Dobra - rzucił Aleks, a potem zwrócił się znowu do Naomi jakby Havelocka w ogóle tam nie było. - Co teraz?

- Raport o stanie - odparła Naomi. - Najnowsze dane o schodzeniu z orbity?

- *Barbapiccola* spadnie jako pierwszy, potem *Israel*, a potem możemy wybrać między śmiercią na orbicie, kiedy wyczerpią się baterie, spaleniem w atmosferze lub zestrzeleniem przez obcych.

- Aleks odpowiedział ze śmiechem bez śladu rozbawienia. - Jak by na to nie patrzeć, mamy przerąbane. Ale miło jest znowu mieć cię na pokładzie.

Rozdział czterdziesty czwarty

HOLDEN

Holden po raz kolejny obchodził wieżę. Próbował policzyć, ile godzin funkcjonował bez snu, ale jego mózg utracił możliwość wykonywania obliczeń, a trzydziestogodzinny dzień Illusa nie ułatwiał oszacowań. Najlepsze, co zdołał osiągnąć, to „bardzo długo”.

Aktywował system medyczny skafandra, żądając podania kolejnej porcji amfetamin, i zaniepokoił się, gdy wyświetlacz poinformował go, że zapas został wyczerpany. Nie miał pojęcia, ile w związku z tym ich przyjął. Podobnie jak pytanie, ile czasu minęło, od kiedy ostatnio spał, była to zagadka bez rozwiązania.

Dwa zabójcze ślimaki wspinały się po ścianie wieży w stronę okna w kształcie kropli. Plastik rozciągnięty na otworze miał kilka małych dziur, więc Holden łopatą strącił ślimaki ze ściany, a potem kopnął je jak najdalej. Spłukał toksyczny śluz z butów w pobliskiej mętnej kałuży.

Deszcz osłabł do mżawki, co było pozytywne, ale ciągle spadała temperatura, co nie wróżyło dobrze. Choć ogólny poziom światła nie zmienił się zbytnio przy ciągłej pokrywie chmur, Holden zaczął zauważać przejścia między nocą a dniem po występowaniu szronu na ścianach wieży. Jeszcze nie było niebezpiecznie zimno, ale mogło się zrobić gorzej. Już niedługo do listy nieprzyjemnych sposobów śmierci ocalali dotąd ludzie będą mogli dodać hipotermię.

Ugryzł się w język tak mocno, że zaczął krwawić, i ruszył kontynuować obchód wokół wieży.

Murtry'ego usłyszał, zanim go zobaczył. Cichy, upiorny głos docierający z szarego deszczu, stopniowo zmieniającego się w ciemniejszą plamę w kształcie człowieka.

- ...natychmiastowe działania. Eskalowali. Będziemy mieć

argument, że do tej pory działaliśmy z zachowaniem ograniczeń...
– mówił Murtry, ale urwał, gdy usłyszał zbliżającego się Holdena.

– Co tu robisz? – zapytał Holden.

Murtry nadal był ślepy, chodzenie na zewnątrz było dla niego bardzo niebezpieczne. Ziemia w miejscach niezajmowanych przez kałuże była pokryta śliską gliną, na której bardzo łatwo można było się wywrócić. Z kolei liczba ślimaków wyganianych na powierzchnię przez wodę wzbudzała w Holdenie podejrzenie, że Ilus tak naprawdę jest pustą sferą wypełnioną trującymi robakami.

– Zajmuję się swoimi sprawami, kapitanie – odpowiedział Murtry, patrząc nie do końca w stronę Holdena.

– Czyli powinienem zrobić to samo?

– Cieszę się, że pan rozumie.

Obaj stali bez ruchu przez dłuższą chwilę. Wysoko w górze ich załogi prawdopodobnie właśnie do siebie strzelały. Byli wrogami, a równocześnie nimi nie byli. Jakaś część pozbawionego snu, częściowo zepsutego umysłu Holdena wciąż pragnęła doprowadzić do pokoju z Murtrym i RCE. A przynajmniej nie chciała mieć na sumieniu jego śmierci.

– Przebywanie tutaj jest niebezpieczne – powiedział Holden, utrzymując spokojny i neutralny ton.

– I czym się to różni? – Znowu mocno zaciśnięte szczęki, obcinające ostatnie słowo.

Jego złość wzbudziła w Holdenie promyk nadziei. Może Naomi udało się wydostać. Musiał porozmawiać z Alekssem.

– Nie mogę dopuścić do pańskiej śmierci pod moją opieką – powiedział.

– Doceniam pańską troskę.

Wszystko to sprawiało wrażenie niedorzecznego obchodzenia prawdziwego problemu. Obaj wiedzieli, co się dzieje. Miał wrażenie, że grają w pokera i tylko udają, że nie widzą wzajemnie swoich kart.

– Pomóc panu wrócić do środka? – zapytał Holden.

– Mam tu sprawę do załatwienia – odpowiedział Murtry z nic nieznaczącym uśmiechem.

– Kiedy później znajdziemy pańskiego trupa, powiem wszystkim, że pana ostrzegąłem.

– Jeśli zginę – odpowiedział Murtry z odrobinę bardziej szczerym uśmiechem – spróbuję zostawić notkę, że to nie pańska wina.

Zasygnalizował koniec rozmowy, odwracając się i mrużąc coś do swojego terminala ręcznego. Holden zostawił go i natychmiast zadzwonił do Aleksa.

– Trochę jestem zajęty, kapitanie – powiedział bez wstępów Aleks.

– Powiedz mi, że jesteś zajęty, bo uratowałeś Naomi i wszystko świetnie się udało. Wróciła na statek?

Nastąpiła dłuższa przerwa, podczas której Aleks głośno sapnął w mikrofon.

– Ta część, gdzie poleciałem ratować Naomi? Tak. Wysłałem Basię.

Holden odwrócił się na pięcie, spoglądając na Murtry’ego. Szef ochrony RCE wciąż rozmawiał przez terminal ręczny.

– Wysłałiśmy więźnia, żeby uwolnił innego więźnia? Jeśli to już nie zadziałało, to chyba mogę za chwilę zobaczyć, jak Murtry rozkazuje wykonać egzekucje.

– Nie, nie – odpowiedział pośpiesznie Aleks. – To poszło trochę nie tak, ale z tego, co słyszę przez radio, wygląda, że u Naomi jest w porządku. Właściwie to mam wrażenie, że może uciekła na własną rękę i ratuje Basię.

Holden nie potrafił się nie roześmiać. Murtry się odwrócił, niewidzącymi oczami szukając źródła śmiechu.

– Brzmi prawidłowo. Gdzie teraz są?

– To właściwie trochę niejasne – przyznał Aleks. – Zdecydowanie dostają namiary transpondera Basi z przestrzeni poza *Israelem*. Ale jest tam też parę innych skafandrów, więc sytuacja jest skomplikowana.

– Nie możesz, no wiesz, zapytać?

– W tym problem, że nie. Basia przełączył kanał, nie zostawiając aktywnego starego. Domyślam się, że nie ma za sobą dużo ćwiczeń taktycznych z łączności. Mam nadzieję, że któreś z nich

zacznie do mnie mówić, żebym poznał nowe częstotliwości.

Holden popatrzył na Murtry'ego, który prawdopodobnie używał radia do prób koordynacji pościgu za Naomi i osób, które jej towarzyszyły, kimkolwiek one były. Stłumił nagłą ochotę podejścia do niego, powalenia na ziemię, zabrania terminala i zażądania wyjaśnienia, co się tam, u diabła, dzieje.

A potem przestał się opierać.

Murtry właśnie zaczął się do niego odwracać, marszcząc czoło na dźwięk zbliżających się kroków, gdy Holden wyszarpnął mu terminal z ręki i pchnął na błotnistą ziemię.

– Zostań albo pobiję cię do nieprzytomności. Kto jest po drugiej stronie linii? – zapytał, przystawiając terminal do ucha.

– Kto, kurwa, mówi? Gdzie jest Murtry?

– Stoję nad nim – odpowiedział Holden. – Więc jeśli jesteś częścią grupy, która ściga Naomi Nagatę, to powinieneś przestać.

– Naruszenie łączności – powiedział głos po drugiej stronie – przełączyć się na alfa dwa. – Połączenie zgasło. Wyglądało na to, że ten ktoś miał większe doświadczenie w zarządzaniu łącznością.

– Aleks – powiedział Holden. – Zakłóciłem ich kanał łączności. Idź po naszych ludzi.

– Nie ma problemu, szefie. Sytuacja się częściowo wyjaśniła. Na pokład wejdą trzy osoby.

– Kim jest ta trzecia?

– Za chwilę się dowiem. Rozłączam się.

Murtry z wysiłkiem dźwignął się na kolana, marszcząc się w stronę miejsca tuż nad lewym ramieniem Holdena.

– Twardy jesteś ze ślepym przeciwnikiem.

– Pracujemy nad skorygowaniem tego problemu – odpowiedział Holden, rzucając ręczny terminal na ziemię obok niego. – Możesz później przyjść mnie odszukać.

– Zrobię to – obiecał Murtry.

Szef ochrony RCE podniósł się z ziemi i zaczął ostrożnie iść w stronę wejścia do wieży obcych.

Kiedy był już na tyle daleko, że nie mógł usłyszeć jego słów, Holden odpowiedział.

– Nie mogę się doczekać. – Zaskoczyło go odkrycie, że to prawda.

Kiedy Murtry zniknął za rogiem wieży, Holden wznowił powolny patrol w przeciwną stronę.

– Kapitanie? – Głos Amosa zabrzmiał w jego słuchawce po serii trzasków. – Szuka cię ta lekarka.

– Lucia czy Elvi?

– Ta urocza.

– Lucia czy Elvi?

– Ta, która nie wyszła za naszego więźnia.

– Powiedz Elvi, że przyjdę do niej, jak skończę to obejście wieży – odpowiedział Holden i zamknął połączenie.

Kilka minut później obszedł ostatni róg i zobaczył wejście do wieży. Elvi czekała tam na niego z mocno zmarszczonym czołem.

– Nie zadziałało – powiedział Holden.

– Co?

– Leki przeciwnowotworowe. Moje prochy. Nie działają.

– Co? – odpowiedziała Elvi. – Czemu tak mówisz? Co się stało?

– Zmarszczyłaś się.

– Och. Nie, po prostu myślę, że białka błonowe w naszych komórkach muszą mieć jakieś ośrodki funkcyjne wspólne z miejscowym życiem, choć na ile potrafię stwierdzić, to całkowicie różne białka. Onkocydy wykazują podobne działanie na podział mitotyczny, choć nasze aminokwasy prawie się nie nakładają. Miną dziesięciolecia, zanim to rozgryziemy.

– To na chwilę udajmy, że nie mam pojęcia, o czym mówisz – zaproponował Holden.

– To działa – odparła Elvi, a na jej twarzy pojawił się szeroki uśmiech. – Zawodzą podziały komórkowe mikroorganizmu, więc kolonie się rozpadają, a wraz z nimi znika efekt rozpraszania światła. Już prawie mogę czytać, jeśli czcionka jest dość duża.

Holden poczuł falę ulgi, która natychmiast zmieniła się w zawroty głowy. Zatoczył się na ścianę wieży i musiał wykonać serię głębokich, powolnych oddechów, żeby nie stracić przytomności. Kilka metrów dalej po ścianie w jego stronę sunął ślimak. Zaczął go zrzucać ze ściany łopatą, ale uświadomił sobie,

że gdzieś ją zgubił i nie czuje rąk.

– Dobrze się czujesz? – zapytała Elvi, ostrożnie sięgając jedną ręką, żeby go znaleźć. – Twój oddech brzmi dziwnie.

– Tracę przytomność – odpowiedział Holden między długimi oddechami. – Ile potrwa, zanim wszyscy znowu będą widzieć?

– Musimy cię zabrać do środka – odpowiedziała Elvi, zarzucając sobie jego lewą rękę na ramiona i prowadząc go do drzwi. – Mam wrażenie, że nie spałeś od jakichś czterech dni.

– Wszystko w porządku – zapewnił Holden. – Wziąłem dużo amfy. Jak długo?

Elvi zatrzymała się, obejmując go drugą ręką w talii, żeby go przytrzymać. Odczuwał ulgę – choć jeśli miał być ze sobą szczery – także trochę zawodu, że bardzo szybko zniknął każdy ślad napięcia seksualnego między nimi. Był na tyle nieprzytomny i niewyspany, że prawie ją zapytał, co się zmieniło. Na szczęście ona odezwała się pierwsza.

– Nie jestem pewna. Martwy organizm nie rozprasza światła tak, jak żywe. Większość utraty wzroku wynikała z tego rozproszenia, a nie zablokowania światła. Jeszcze przez jakiś czas będziemy mieć męty w oczach, ale...

– Czyli już niedługo?

Elvi przeprowadziła go przez drzwi i doprowadziła do sterty koców. Opuściła go łagodnie, kładąc na plecach.

– Tak, sądzę, że wkrótce. Może kilka godzin. Najwyżej kilka dni.

– Skąd wiedziałaś, gdzie są koce?

– Przygotowaliśmy to miejsce do spania dla ciebie trzy dni temu – wyjaśniła Elvi z uśmiechem i poklepała go po policzku. – Byłeś po prostu zbyt uparty, żeby z niego skorzystać.

– Dziękuję.

– Mamy też mały namiot zapewniający prywatność – odpowiedziała, ciągnąc za coś przy jego stopach.

Pojawiła się cienka warstwa materiału, całkowicie okrywając jego ciało.

– Dziękuję – powtórzył Holden i oczy same mu się zamknęły. Już czuł w całym ciele nadchodzący sen. – Obudź mnie za rok. Och, i dopilnuj, żeby Murtry mnie do tego czasu nie zabił.

- Dlaczego miałyby to zrobić? - zapytała Elvi.

- Jesteśmy tak jakby w stanie wojny - wyjaśnił Holden.

Zalała go fala nieświadomości, wciągając w nieskończoną głębię snu.

- No więc - tuż przy jego uchu zabrzmiał głos - naprawdę musimy wyruszyć.

- Miller - odpowiedział Holden, nie otwierając oczu - jeśli zmusisz mnie do wstania, to przysięgam, że znajdę sposób na zabicie cię.

- Już odpracowałeś tu swoje - mówił dalej Miller, niewzruszony. - Teraz musisz iść ze mną i zająć się tą drugą sprawą. A nie jestem pewien, ile czasu nam zostało. Więc pobudka.

Holden z wysiłkiem otworzył oczy i spojrzał w bok. Miller był z nim w namiocie, choć równocześnie był zbyt duży, żeby się tam z nim zmieścić. Nakładające się obrazy wywołały ostry ból głowy, więc natychmiast opuścił powieki.

- Gdzie idziemy?

- Musimy złapać pociąg. Znajdź pokój na zapleczu z dziwną kolumną na środku. Używacie go jako magazynu. Tam się spotkamy.

- Tak bardzo cię nienawidzę - skomentował Holden, ale nie usłyszał odpowiedzi.

Zaryzykował otwarcie jednego oka i zobaczył, że Miller zniknął. Gdy otworzył namiot, Elvi siedziała obok i wyglądała na zmartwioną.

- Z kim rozmawiałeś?

- Z duchem minionych świąt Bożego Narodzenia - odpowiedział Holden i usiadł z wysiłkiem. - Gdzie jest Amos?

- Spędza dużo czasu z Wei. Chyba oboje są w sąsiednim pokoju.

- Pomóż mi wstać - poprosił Holden, wyciągając rękę.

Elvi wstała i pociągnęła za nią, a on w jakiś sposób zdołał się podnieść i nie przewrócić.

- Moje serce bije bardzo szybko. Nie powinno się tak zachowywać.

- Masz w sobie pełno toksyn zmęczenia i amfetamin. Nie dziwię

się, że masz halucynacje.

– Moje halucynacje są spowodowane kontrolą umysłu przez obcych – skomentował Holden i zrobił kilka niepewnych kroków w stronę sąsiedniego pomieszczenia.

– Słyszysz, co mówisz? – spytała Elvi, podchodząc i podtrzymując go za łokieć. – Zaczynasz mnie poważnie niepokoić.

Holden odwrócił się, wyprostował i odetchnął głęboko. Potem zdjął dłoń Elvi ze swojej ręki i powiedział najspokojniejszym głosem, na jaki mógł się zdobyć.

– Muszę udać się gdzieś i wyłączyć sieć obronną, żeby nasi przyjaciele nie spadli z orbity i nie zginęli. A ty musisz wrócić do pracy nad problemem ze wzrokiem. Dziękuję za pomoc.

Elvi nie wyglądała na przekonaną, ale Holden poczekał, aż wyjdzie, więc w końcu ruszyła w stronę części wieży przeznaczonej na laboratorium.

W sąsiednim pokoju Amos i Wei siedzieli przy niskim plastikowym stoliku, jedząc raczej żywnościowe i pijąc filtrowaną wodę ze starej butelki po whisky.

– Masz chwilę? – Holden zwrócił się do Amosa, a gdy ten przytaknął, dodał: – Na osobności?

Wei nic nie powiedziała, ale wstała i wyszła z rękami przed sobą w powietrzu, żeby nie wpaść na jakąś ścianę.

– Jakie wieści, kapitanie? – zapytał Amos.

Ugryzł kolejny kęs batonu proteinowego i skrzywił się. Jedzenie pachniało jak naolejowany papier.

– Odzyskaliśmy Naomi – powiedział Holden szeptem, niepewny, jak daleko mogła odejść Wei. – Jest na Rosie.

– Tak, słyszałem – potwierdził Amos z szerokim uśmiechem. – Chandra mi mówiła.

– Chandra?

– Wei – wyjaśnił Amos. – Pracuje dla niewłaściwych ludzi, ale jest w porządku.

– Dobra. Murtry wkurzył się na ratunek.

– Tak, ale pieprzyć go.

– Mogłem też – kontynuował Holden – wywrócić go i ukraść mu

ręczny terminal.

– Przestań ze mną flirtować, kapitanie, bo obaj wiemy, że nic z tego nie będzie.

– Rzecz w tym – powiedział Holden – że może spróbować się wyżyć na ludziach tutaj. Musisz wszystkich pilnować. Zwłaszcza Lucię i Elvi. One najbardziej nam pomagały, więc może spróbować ukarać nas przez nie.

– Nie boję się ślepcy – zapewnił Amos. – Nawet jeśli sam jestem ślepy.

– To się niedługo skończy. Elvi mówi, że leki działają. Ludzie odzyskają wzrok za parę godzin albo dni.

– Czy to problem, który mam rozwiązać, kapitanie? – zapytał Amos, ustawiając palce jakby celował z pistoletu. – Bo to może się zdarzyć.

– Nie. Żadnych eskalacji. Już nam dość zaszkodziłem, wywracając Murtry’ego. Zapłacę za to, gdy przyjdzie pora, ale ty rób tylko to, co niezbędne, żeby ochronić ludzi, kiedy mnie nie będzie.

– Dobra – odpowiedział Amos. – Załatwione. Ale co masz na myśli, mówiąc, „kiedy mnie nie będzie”?

Holden z łomotem usiadł na plastikowym stole i potarł oczy suche, jak stalowe kulki z łożysk. Planeta była jedną wielką kulą wilgoci, a jednak w jakiś sposób zdołał się dorobić suchych, swędzących oczu.

– Muszę iść z Millerem. Mówi, że jest tu coś, co może wyłączyć artefakty obcych, co pozwoli Rosowi znowu latać i praktycznie rozwiąże wszystkie nasze problemy.

Amos zmarszczył brwi. Holden zobaczył, że twarz wielkiego mechanika drga, formułując pytania, a potem odrzuca je bez słowa.

– Dobra – rzucił w końcu. – Będę miał tu oko na wszystko.

– I bądź tu, gdy wrócę, wielkoludzie – powiedział Holden, a potem klepnął Amosa w ramię.

– Ostatni na nogach – odpowiedział Amos z kolejnym uśmiechem. – Mam to w opisie stanowiska.

Holden potrzebował kilku minut, żeby znaleźć magazynek

z dziwnie ukształtowaną kolumną na środku, ale kiedy już tam doszedł, zastał w nim tylko Millera. Detektyw popatrzył na niego, marszcząc się w sposób jasno dający do zrozumienia, że zmarnował mnóstwo czasu, ale Holden go zignorował.

Miller odwrócił się i podszedł do kolumny, znikając w niej jak duch przechodzący przez ścianę. Kilka sekund później kolumna pękła na środku bez żadnego dźwięku i odsłoniła stromą rampę prowadzącą w mrok.

– To zawsze tu było? – zapytał Holden. – Bo jeśli tak, to gdybyś nam o tym powiedział, mogło to uratować trochę ludzi, kiedy nadciągnęła burza.

– Może bym to zrobił, gdybyś był gdzieś, gdzie mógłbym z tobą porozmawiać – odpowiedział Miller z pasiarskim wzruszeniem ramion. – Poradziliście sobie całkiem dobrze i beze mnie. A teraz złaź po rampie. I tak jesteśmy już spóźnieni.

Rampa opadała prawie pięćdziesiąt metrów w głąb ziemi, kończąc się metalową ścianą. Miller jej dotknął, a ta, choć nie miała żadnych widocznych spoin lub złącz, otworzyła się jak przesłona.

– Wszyscy na pokład – rzucił Miller. – To nasz transport.

Holden schylił się, żeby przejść przez mały okrągły otwór i znalazł się w metalowym sześcianie o boku dwóch metrów. Usiadł na podłodze, a potem odsunął się od ściany, kładąc się na plecach.

– To element starego systemu transferu materiałów – mówił Miller, ale Holden już spał.

Interludium

ŚLED CZY

– sięga, sięga, sięga, sięga –

Sto trzysta razy na sekundę, to sięga, a śledczy sięga wraz z nim. Podąża. Obserwuje. To sięga po sygnał, którego nigdy nie znajdzie. Nie czuje frustracji ani złości. Sięga, ponieważ sięga. Co znajdzie, używa do sięgania, więc znajduje więcej i sięga dalej. Nigdy nie sięgnie dość daleko. Nie zdaje sobie z tego sprawy.

Śledczy wie i wie, że to wie. Świadomość nieświadoma kontekstu. Czucie w nieczułym systemie. Czyli nic szczególnie nowego. Śledczy wzdycha, żałuje, że nie ma piwa, i wie, że to artefakty jego szablonu. Kiedyś istniał zarodek kryształu z własnym imieniem. Kochał i rozpaczał. Walczył, przegrywał i wygrał wielkim kosztem. Nic z tego nie ma znaczenia. Szukał zaginionych i brakujących rzeczy. Zaginionych ludzi. Wszystko w nim jest oparte na tym fakcie. Coś powinno tu być, ale nie ma.

Zamiast tego jest martwe miejsce. Miejsce, gdzie nic nie jest. Przed którym wszystko się cofa. Śledczy sięga i co sięgnie, ginie. Śledczy przestaje sięgać. Czeki. Rozważa.

Coś tu kiedyś było. Coś zbudowało to wszystko i zostawiło na stole swój niedojedzony posiłek. Projektanci i inżynierzy zasiedlający tysiąc planet żyli tu i tu zginęli, zostawiając po sobie codzienne skarby niczym kości na pustyni. Śledczy to wie. Świat jest miejscem zbrodni, a jedyne, co się wyróżnia – jedyne, co tu nie pasuje – to miejsce, gdzie nic nie dociera. To artefakt w świecie artefaktów, ale ten nie pasuje. Czemu mieliby umieszczać tu miejsce, do którego nie mogliby sięgnąć? Czy to więzienie, skrzynia ze skarbami, pytanie, którego nie należy zadawać?

Pocisk. Bomba wciąż tykająca pod kuchennym stołem po bombardowaniu.

Czy stworzył cię Stwórca wszystkich rzeczy? Czy też ktoś inny? Ktokolwiek was zabił, sukinsyny, coś po sobie zostawił. Coś stworzonego z waszej śmierci, jest tuż obok.

Sto trzysta razy na sekundę, to sięga, nieświadome śledczego, nieświadome blizn i artefaktów, wspomnień trupów, ze świadomością uwięzioną w środku. Sięga, ponieważ sięga. Wie, że w jakimś bardziej fizycznym miejscu umierają ludzie, ale nie jest świadome tej wiedzy. Wie, że zostało zbudowane ze śmierci tysiący, ale nie jest świadome tej wiedzy. Śledczy wie i jest świadomy, że to wie.

Śledczy sięga, ale nie losowo. Szuka ścieżki, ale jej nie znajduje. Szuka ścieżki, ale jej nie znajduje. Szuka ścieżki i ją znajduje. Nie tutaj, niezupełnie, ale blisko. Dwa punkty definiują prostą. Jeden punkt żyje, drugi punkt to śmierć. Żaden nie pochodzi stąd. Zderzmy ze sobą te kamienie i zobaczymy, skąd strzelą iskry. Zobaczymy, co zapłonie.

Śledczy jest narzędziem do znajdowania tego, co zginęło, więc wciąż istnieje. Wszystko inne to artefakty. Pragnienie piwa. Kapelusze. Pamięć, humor, dziwne połączenie sympatii i niemal pogardy dla czegoś zwanego James Holden. Miłość do nieżyjącej kobiety. Tęsknota za domem, którego nigdy nie będzie. Uboczne. Bez znaczenia.

Śledczy sięga, znajduje Holdena. Uśmiecha się. Istniał kiedyś człowiek, nazywał się Miller. I znajdował rzeczy, lecz już tego nie robi. Ratował ludzi, jeśli mógł. Mścił się za nich, jeśli nie mógł. Poświęcał się, gdy musiał. Znajdował rzeczy, które zaginęły. Wiedział, kto to zrobił, i robił oczywiste rzeczy, bo były oczywiste. Śledczy wyrósł przez jego kości, ponownie zasiedlił jego oczy nowym, nieznanym życiem, przyjął jego kształt.

To znalazło narzędzie zbrodni. To wiedziało, co się stało, przynajmniej w zarysie. Detale i tak należały do prokuratorów, zakładając, że dojdzie do procesu. Ale nie dojdzie. Narzędzie nadawało się też do innych rzeczy. Śledczy wiedział, jak zabić, jeśli konieczne.

Co więcej, wiedział, jak zginąć.

Rozdział czterdziesty piąty

HAVELOCK

Havelock wciąż nie był przekonany, że Naomi Nagata jest faktycznie najlepszym inżynierem w układzie, ale obserwując ją przy pracy, musiał przyznać, że prawdopodobnie o lepszego było trudno. Jeśli nawet niektórzy ludzie na *Israelu* mieli więcej stopni naukowych lub specjalizacji, Naomi nadrabiała to czystą, szaloną dzikością.

– Dobra, dłużej nie możemy czekać – powiedziała do muskularnego, łysego mężczyzny na ekranie. – Jak znowu się pojawi, powiedz mu, na czym tu stoimy.

– Jestem całkiem pewien, że kapitan ma do ciebie pełne zaufanie – odpowiedział Amos. – Ale jasne. Powiem mu. Mam mu jeszcze coś przekazać?

– Powiedz, że ma kilka milionów wiadomości od Freda i Avasarali. – Głos Aleksa dobiegł równocześnie z głośnika i włączył się do kokpitu. – Mówią o zbudowaniu wyrzutni elektromagnetycznej do wysyłania nam pomocy.

– Tak? – rzucił Amos. – Ile to potrwa?

– Jakieś siedem miesięcy – przyznała Naomi. – Ale w najlepszym razie będziemy martwi tylko od trzech.

Amos wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– No cóż, nie bawcie się tam za dobrze beze mnie.

– Bez obaw – odparła Naomi i zakończyła połączenie.

– Jesteś pewna, że to dobry pomysł? – zapytał Havelock.

– Nie – przyznała Naomi. Przyciągnęła się bliżej do konsoli dowodzenia. – Jak tam wygląda, Basia?

Kanał łączności włączył się z kliknięciem i na mostku zabrzmiał nieco zaszumiony głos Pasiarza. Dźwięk odbijał się pogłosem, nie wywołując przy tym wrażenia przestrzeni. Jak szept w trumnie.

– Zbliżamy się. To nie wygląda zbyt ładnie.

- No to dobrze się składa, że mamy świetnego spawacza - odpowiedziała. - Informuj mnie.

Ekran na mostku wyświetlały wszystkie stadia operacji: co zdołali zrobić do tej pory i na co jeszcze mieli nadzieję. Oraz licznik czasu pokazujący godziny pozostałe do czasu, kiedy *Barbapiccola* zacznie się ocierać o zewnętrzne warstwy atmosfery Ilusa, po czym zmieni się z szybko sunącej złożonej konstrukcji z ceramiki i metalu w fajerwerki.

Nie dni. Godziny.

Sam hol wyglądał jak dwie sieci połączone jedną nitką grubości włosa. Wzdłuż całego brzucha *Rosynanta* kilkanaście stalowo-ceramicznych zaczepów tworzyło szeroką podstawę, której czarne linie spotykały się w ceramicznym złączu kilkaset metrów dalej. *Barbapiccola* pod nimi miał już zamontowane prawie wszystkie analogiczne struktury. Gdy tylko Pasiarze zainstalują zaczepy i tam, przyjdzie czas, by marsjańska korweta użyła mocy zgromadzonej w akumulatorach do przecignięcia pasiarskiego statku z ładunkiem rudy litu na stabilniejszą orbitę. Złożoność sytuacji przyprawiała Havelocka o zawroty głowy. Na jego oczach ekran pokazujący powierzchnię *Barbapiccoli* zamigał i jeden z oznaczonych na czerwono zaczepów zmienił kolor na zielony.

- Dobra - Naomi powiedziała na otwartym kanale. - Mamy na nim dobry odczyt. Przejdźmy do następnego.

- Tak, ale dajcie mi tu jeszcze minutę - odpowiedział zniekształcony głos Basi. - Jest tu spoina, która mi się nie podoba. Sprawdzę tylko... - jego słowa ucichły. Odczyt na chwilę przełączył się na czerwony i z powrotem na zielony. - Dobra. Tak lepiej. Idę dalej.

- Uważaj - wtrącił się Aleks. - Wyłączaj palnik podczas ruchu. Te liny mają doskonałą wytrzymałość na rozciąganie, ale fatalnie znoszą temperaturę.

- Już to robiłem - odpowiedział Basia.

- Partnerze - rzucił Aleks. - Nie sądzę, żeby ktokolwiek już to robił.

Liny holu były standardowym projektem filamentowym,

zostały zaprojektowane do zbierania zrzuconych marsjańskich marines. Użycie ich do holowania pełnowymiarowego statku kosmicznego było jak użycie nici do ciągnięcia kuli do kręgli: możliwe przy odpowiedniej cierpliwości i umiejętnościach, ale bardzo łatwo mogło się to skończyć źle. Naomi spędziła trzy długie godziny przypięta do swojej pryczy przeciążeniowej, zanim uznała, że to wykonalne, a nawet wtedy Havelock podejrzewał, że przekonała się do uwierzenia w to, bo wiedziała, że nic innego nie zadziała.

Havelock spędził ten czas, bezskutecznie próbując nawiązać połączenie z terminalem Murtry'ego i rozmyślając nad tym, że właśnie w spektakularny sposób rzucił pracę. Dziwne, że aż tak bardzo go to męczyło. Był osiemnaście miesięcy od domu i zapewne w najlepszym razie o dni od śmierci, a jego myśli ciągle wracały do nieprzyjemnego zaskoczenia samym sobą, które wynikało z zerwania kontraktu. Nigdy wcześniej tego nie zrobił. A ponieważ uciekł z Naomi, nawet nie był pewien, jaki był jego status prawny. Przypuszczał, że gdzieś pomiędzy byłym pracownikiem a osobą winną współudziału w przestępczym spisku. Zakres był dużo szerszy, niż wiedza na temat tego, co z nim zrobić. Jeśli faktycznie w domu stał się twarzą wydarzeń na Nowej Ziemi, to wszyscy będą przynajmniej równie poruszeni, jak on sam.

Choć prawdę mówiąc, zdawało się, że nie obowiązują tu żadne normy prawa korporacyjnego ani rządowego. Mógł oglądać strumienie, czytać listy, a nawet wymieniać nagrania wideo z kwaterą główną RCE, ale były to tylko słowa i obrazy. Modele wypracowane na podstawie doświadczeń w ludzkiej przestrzeni – nawet w osłabionej cywilizacji Pasa – tutaj zawodziły.

Prawdę mówiąc, głównie czuł ulgę. Był bardzo mocno świadom, jak niewłaściwe było to uczucie w tej sytuacji, ale nie mógł się go wyprzeć. A przez nie trudno było mu żałować swojego wyboru. Może z wyjątkiem przyjęcia tamtej pracy. Wszystkie tragedie i cierpienia Ilusa byłyby dla niego tylko smutnymi i niepokojącymi wiadomościami oglądanymi w barze na stacji Ceres. W jego obecnej sytuacji strach przestał być uczuciem

i zmienił się w otoczenie.

Ostatni zaczep mocowania zmienił kolor na zielony.

– Dobra – powiedziała Naomi. – Stąd wszystko wygląda dobrze. Jak z twojej perspektywy, Basia?

– Brzydko jak cholera, ale porządnie.

– Jak stoisz z powietrzem?

– W porządku – odpowiedział Pasiarz. – Pomyślałem, że tu zostanę na wypadek, gdyby zepsuło się coś, co będę mógł naprawić.

– Nie – zaprotestowała Naomi. – Jeśli coś walnie, te liny strzelą tak szybko, że przetną cię na pół. Wracaj do stodoły.

Rozgłośnie prychnięcie Basi było wymowniejsze od słów, ale mała żółta kropka zaczęła oddalać się od powierzchni *Barbapiccoli* przez próżnię w stronę *Rosynanta*. Havelock patrzył z mocno splecionymi palcami.

– Aleks – odezwała się Naomi – możesz sprawdzić zwolnienie?

– Wszystko dobrze – zapewnił Aleks głosem dochodzącym równocześnie z kokpitu i głośnika. – Jeśli coś się zacznie walić, możemy puścić.

– W porządku – potwierdziła Naomi. A potem powtórzyła cicho pod nosem. – W porządku.

– Jeśli to nie zadziała – powiedział Aleks przez otwarty właz pokładowy między mostkiem a kokpitem – Basia będzie oglądał, jak jego córeczka spala się na śmierć. Tak jakby obiecałem mu, że do tego nie dojdzie.

– Wiem – zapewniła Naomi.

Havelock miał nadzieję, że powie nie spali się.

Basia potrzebował osiemnastu minut na powrót do *Rosa* i kolejnych pięciu na przedostanie się przez służbę. Naomi spędziła większość tego czasu, rozmawiając przez radio z kapitanem i głównym mechanikiem *Barbapiccoli*. Połowa rozmowy prowadzona była w gwarze Pasiarzy – *ji-ral sabe sa i richtig ane-nobu* – która dla niego równie dobrze mogła być jakimś szyfrem. Havelock po raz kolejny wysłał prośbę o połączenie do terminala Murtry'ego i znowu otrzymał odmowę. Zastanawiał się, czy powinien napisać jakieś oświadczenie dla

prasy albo list z rezygnacją dla firmy.

– No dobrze – powiedział Basia, wlatując na mostek. Na twarzy wciąż miał ciekłą warstwę potu. – Jestem.

Odczyt licznika czasu do kontaktu *Barbapiccoli* z atmosferą zszedł poniżej godziny.

Havelockowi trudno było pamiętać, że bezruch pokładu był złudzeniem. Prędkości i siły związane z czymkolwiek znajdującym się na wysokościach orbitalnych były wystarczające, by zabić człowieka samym błędem zaokrąglenia. Przy ich prędkościach zapali ich tarcie powietrza zbyt rzadkiego, by nim oddychać.

– Przypnij się – poleciła Naomi, kiwając głową w stronę prycz przeciążeniowych. Potem znowu do mikrofonu. – Rocinante bei here. Dangsineunjunbiga?

– Gotowy con son immer, sa sa?

Naomi się uśmiechnęła.

– Odliczam – powiedziała. – Dziesięć. Dziewięć. Osiem...

Przy czterech wyświetlacze na konsoli zaczęły zmieniać kolor, mapując dwa statki, linie holu i silniki w psychodelicznych fałszywych kolorach. Basia mamrotał pod nosem coś, co brzmiało jak modlitwa. Naomi dotarła do jeden.

Rosynant jęknął. Dźwięk był głęboki jak gong, ale nie cichł w ten sposób. Zamiast tego harmonicznie zdawał się narastać, nakładając się na siebie. Liny holu na wyświetlaczach zamigotały, z naprężeniami pędzącymi wzdłuż pajęczej sieci w purpurze, pomarańczy i srebrze.

– No chodź, skarbie – powiedziała Naomi, głaszcząc konsolę przed sobą. – Dasz radę. Dasz radę.

– Docieramy do granic tolerancji – zgłosił Aleks.

– Widzę. Trzymaj łagodnie i równomiernie.

Rosynant zaskrzeczał, wydając wysoki zgrzytliwy dźwięk rozrywanego metalu. Havelock chwycił brzegi swojej pryczy przeciążeniowej, ściskając je tak, że aż zabolowały go dłonie.

– Aleks? – zapytała Naomi.

– Tylko przechodzimy przez okno rezonansowe. Nie ma się czym martwić.

– Wierzę ci na słowo – odpowiedziała pierwsza.

– Zawsze możesz – zapewnił Aleks, a Havelock usłyszał niewidoczny uśmiech. – Jestem pilotem.

Basia sapnęła. Havelock się odwrócił, ale potrzebował kilku sekund, żeby zobaczyć, na co reaguje Pasiarz. Licznik – zegar śmierci – zmienił wartość. *Barbapiccola* miał się spalić za trzy godziny i piętnaście minut. Cztery godziny i czterdzieści trzy minuty. Sześć godzin i sześć minut. To działało. Na oczach Havelocka z każdą chwilą wydłużał się czas życia wszystkich na statku poniżej. Miał ochotę krzyknąć. To działało. To nie miało wcale prawa zadziałać, a jednak działało.

Przez wszystkie dźwięki przedarł się klakson alarmu. Naomi gwałtownie nachyliła się nad konsolą.

– Na co patrzę, pierwsza? – zapytał Aleks. W jego głosie nie było już słyhać uśmiechu. – Dlaczego widzę pocisk?

– Sprawdzam – odkrzyknęła Naomi, nie zwracając sobie głowy radiem.

Havelock przełączył swoją konsolę na odczyty z czujników. Nowa kropka zbliżała się od horyzontu, sunąc nad nimi łukiem powyżej pokrytego chmurami Ilusa.

– Gdzie jest *Israel*? – krzyknął Havelock.

– Zasłonięty – rzuciła Naomi. – Powinniśmy się mijać za godzinę. Czy to...

– To prom.

Zegar śmierci pokazywał siedemnaście godzin i dziesięć minut.

– Prom, który zmieniliście w pieprzoną torpedę? – spytał Basia. Jego głos brzmiał zaskakująco spokojnie.

– Tak – potwierdził Havelock. – Ale ładunkiem było przeciążenie reaktora, a nie działają żadne inne reaktory, więc...

– To znaczy, że leci na akumulatorach. To i tak będzie cholernie dużo energii kinetycznej – skomentowała Naomi.

– Uderzy w nas? – zapytał Havelock i poczuł się głupio, gdy tylko wypowiedział te słowa. Oczywiście, że w nich uderzy.

– Aleks? – rzuciła Naomi. – Daj mi opcje.

– Obrona punktowa aktywna, pierwsza – odpowiedział pilot. – Wystarczy, że dam im trochę zasilania i ustawię na automacie,

a rozwałą to coś, zanim się zbliży.

Dwadzieścia godzin i osiemnaście minut.

– Przełącz zasilanie do działek – poleciała Naomi. – I uważaj na hol.

– Przepraszam – odpowiedział Aleks. – Próbuję robić za dużo rzeczy na raz. Włączam zasilanie obrony punktowej.

To się nie uda, pomyślał Havelock. O czymś zapominamy.

Czerwona kropka się zbliżała. Znad krawędzi horyzontu wyłonił się *Israel*, choć kontakt wzrokowy wciąż blokowała krzywizna atmosfery. Prom sunął w ich stronę. Odpalenie działek obrony punktowej dało się poczuć jako delikatna wibracja w przeważającym wysiłku holowania *Barbapiccoli*. Gdyby nie wiedział, że ma się jej spodziewać, kompletnie by ją przeoczył. Czerwona kropka zamigotała i znowu się pojawiła.

– Och – rzucił Aleks. – No proszę.

– Aleks? – krzyknęła Naomi. – Co się dzieje? Dlaczego do niego nie strzelamy?

– Wiesz, rozwaliliśmy go na kawałki – odpowiedział Aleks. – Bardzo ładne trafienie. Ale ta część, gdzie normalnie usunąłbym się z trajektorii odłamków? Tym razem nie mamy takiej opcji.

– Nie rozumiem – odezwał się Havelock.

Ale wtedy do niego dotarło. Zanim trafiły w niego pociski z działek obrony punktowej, prom był wielkim kawałkiem metalu. Teraz był z pewnością mnóstwem stosunkowo małych kawałków metalu mających łącznie praktycznie tę samą masę i poruszających się z prawie tą samą prędkością. Zamiast trafienia pociskiem wielkości promu czekało ich trafienie śrutem o masie promu.

Naomi przycisnęła dłoń do ust.

– Ile czasu do...

Prom zadygotał. Przez sekundę Havelock myślał, że znowu włączyły się działka. Coś syczało, a jego prycza przeciążeniowa miała ostrą krawędź, której nie pamiętał. Zegar śmierci nie działał. Rosnąca masa krwi przy jego łokciu była pierwszą realną oznaką, że coś mu się stało, ale gdy tylko ją zobaczył, poczuł ból.

– Mostek przeбитy! – Naomi krzyczała do radia.

– Kokpit uszczelniony – zgłosił Aleks. – Nic mi nie jest.

– Jestem ranny – powiedział Havelock, próbując poruszyć krwawiącą ręką.

Mięśnie wciąż działały. Cokolwiek go uderzyło – kawałki promu czy odłamki z pryczy przeciążeniowej – nie okaleczyło kończyny. Choć purpurowa kula rosnąca na jego ręce robiła się naprawdę imponująca. Ktoś nim szarpał. Basia, Pasiarz.

– Złaż z pryczy – powiedział Pasiarz. – Musimy opuścić pokład.

– Tak – odpowiedział Havelock. – Oczywiście.

Naomi szybowała przez pomieszczenie. W rzedającym powietrzu jak płatki śniegu wirowały kawałki piany przeciwodpryskowej.

– Zalepiałe coś te dziury? – niepokojąco spokojnym głosem zapytał Aleks.

– Doliczyłam się dziesięciu – odpowiedziała Naomi, gdy Havelock wydostał się z pryczy przeciążeniowej i pchnął w stronę wjazdu prowadzącego dalej w głąb statku. – Nie zabrałam tyle łatek. Zabieram cywilów na poziom służby i ubieram w skafandry. Havelock dostał.

– Martwy?

– Żyje – odpowiedział Havelock.

Naomi skończyła wstukiwać obejście blokady i wjazd pokładu otworzył się z chmurką powietrza przy wyrównaniu ciśnień. Havelock poczuł pyknięcie w uszach przy przelatywaniu na poziom niżej.

– Jak hol? – zapytał Basia, lecąc tuż za nim.

– Nie ma uszkodzeń głównej liny – odpowiedział Aleks. – Straciliśmy jeden zaczep, ale mogę spróbować skorygować.

– Zrób to – poleciła Naomi i chwyciła Havelocka za ramię. Apteczka przy służbie zawierała rolkę bandaży i mały odsysacz do ran. Naomi rozciągnęła jego rękę i przytknęła przezroczystą plastikową dyszę odsysacza do środka kuli krwi. – Jak wygląda sytuacja, Aleks?

– Sprawdzam, pierwsza. No dobrze. Mamy powolny wyciek w warsztacie. Bakburta jest solidnie posiekana. Straciliśmy czujniki i działka z tej strony, nie odpowiadają silniczeki

manewrowe. Może ich tam w ogóle nie być. Tuż obok jest też sporo przewodów zasilających, ale przy wyłączonym reaktorze nie wiem, czy zostały uszkodzone, czy nie.

Bruzda w ręce Havelocka miała długość kciuka i wyraźny trójkątny kształt. W miejscach, gdzie oderwało się ciało, skóra wyglądała biało, jak na brzuchu ryby. Brzegi rany były prawie czarne od zbierającej się tam krwi. Naomi założyła na nią chłonny opatrunek i zaczęła owijać szerokim bandażem elastycznym. Drobne kropelki krwi zaplątały się w jej włosy.

– Jak z możliwością lotu? – zapytała.

– Mogę lecieć, gdzie chcę, pod warunkiem, że w lewo – odpowiedział Aleks. – Gdyby gdzieś w promieniu roku lotu znajdował się dok i gdybyśmy mieli reaktor, miałbym sugestię, gdzie powinniśmy stąd lecieć.

– Pomyślimy nad planem B. Jak wygląda *Barb*?

Basia prawie już założył swój sprzęt do spawania. Naomi poklepała zranioną rękę Havelocka, w drobnym geście potwierdzenia. Możesz ruszać. Odwróciła się do szafek i zaczęła wyciągać skafander dla siebie.

– Nadal się podnosi – odparł Aleks. – Ale zaczynam się martwić o ten brakujący zaczepek.

– W porządku – odpowiedziała Naomi. – Na razie zmniejsz ciąg. Zobaczmy, czy damy radę z powrotem go zamocować.

Havelock wciągnął grube legginsy, wciskając się do skafandra. Automatycznie sprawdził uszczelki, dzięki długim latom życia w próżni zrobił to szybko i automatycznie jak w odruchu bezwarunkowym. Włączył się zestaw medyczny skafandra, natychmiast podając mu mieszankę leków łagodzących szok. Jego serce przyspieszyło, a twarz się zaczerwieniła.

– Dobra wiadomość jest taka, że nie mają więcej promów – skomentował Basia. – Więcej tego nie robią.

– A co zrobią? – zapytała Naomi.

Havelock potrzebował chwili na zorientowanie się, że zwróciła się do niego.

To byli jego ludzie. Marwick i Murtry. Milicja złożona z inżynierów. Strona RCE wystrzeliła prom na *Rosynanta*

i próbowała przerwać cywilną operację ratunkową. Była to dziwnie poruszająca myśl. Spędził zauważalną część życia, chroniąc tych ludzi, ograniczając do minimum pokładowe politykierstwo, które zawsze rodziło się podczas długich podróży, chroniąc ich przed zagrożeniami zewnętrznymi i wewnętrznymi. Próbowali zabić nie tylko jego, ale też załogę *Rosynanta* i *Barbapiccoli*. A najgorsze było to, że właściwie wcale go to nie zdziwiło.

- Pierwsza? Chyba mamy też dziurę w bakburtowych szynach torped. Może dobrze byłoby zajrzeć, czy wszystko wciąż jest tam na miejscu. Zabezpieczenia są dość dobre, ale lepiej je sprawdzić, gdybyśmy kiedyś chcieli wystrzelić. Szkoda byłoby, gdyby wysadziła nas własna broń.

- Potwierdzam - rzuciła Naomi. - Już lecę. Basia, czy możesz skoordynować z Alekssem i umieścić ten zaczep z powrotem tam, gdzie powinien być?

- Zrobi się - odpowiedział Pasiarz.

Ten, który uczestniczył w tamtym pierwszym spisku mającym zabić ludzi z RCE. Mający na swoich rękach krew gubernatora Trynga. Na chwilę ich spojrzenia zetknęły się przez podwójne osłony szyb ich hełmów. Spojrzenie Basi było twarde, ale po chwili Havelock miał wrażenie, że zobaczył w nich coś jeszcze. Może przebłysk wstydu. Havelock patrzył na aktywację śluzy, a potem zamknięcie jej drzwi.

- Havelock - odezwała się Naomi. - Musisz mi odpowiedzieć na pytanie.

- Które?

- Co teraz zrobią?

Pokręcił głową. Bolała go ręka. Atak nie miał żadnego sensu poza złośliwością i rodzajem przemocy udającym jakieś znaczenie w przypadku rozpaczy. Jeśli stał za tym Murtry, chciał tylko, żeby *Barbapiccola* spadł przed *Israelem*. Z drugiej strony, jeśli to sprawka milicji, zrobili to, by dowieść, że nie przegrali.

Powody ataku nie miały znaczenia.

- Nie wiem - wyznał Havelock, a potem westchnął. - Ale pewnie będzie to fatalne dla wszystkich.

Rozdział czterdziesty szósty

ELVI

Elvi miała wrażenie, że powrót możliwości widzenia był jak wyłanianie się z mgły. Z początku przenikająca wszystko zieleń była bardzo żywa. Utrzymała się na tyle długo, by zaczęła się martwić, że się myliła albo że długotrwałe przyjmowanie onkocydów wywołało jakieś inne zmiany fizjologii Holdena, których nie dawało przyjmowanie krótkotrwałe. A potem cienie znowu zaczęły nabierać kształtów, małych stref ograniczeń. I w ciągu kilku godzin ponownie zobaczyła łuk drzwi i kształt analizatora chemicznego. Kiedy mogła znowu widzieć na tyle wyraźnie, by z przekonaniem powiedzieć Holdenowi, że rozwiązali problem, ten pogrążył się w czymś, co wyglądało na psychozę wywołaną brakiem snu. Poczła się przez to winna, że wcześniej nie wpadła na rozwiązanie. Ale poszedł porozmawiać z Amosem, a była przekonana, że wielkolud będzie umiał się zająć swoim kapitanem. Ona miała za dużo spraw na głowie.

Powolne tempo filtrowania wody przez analizator okazało się problemem poważniejszym, niż się spodziewała. Wyczerpały się filtry do oczyszczania wody: materiał, który pierwotnie był białymi, puszystymi wkładkami włókien szklanych z osadzonymi wymiennikami jonowymi, okazał się śliski i zielony. Jednak pozostali członkowie zespołu badawczego i ocalali z Pierwszego Lądowania też zaczęli odzyskiwać wzrok. Zajęło to prawie cztery godziny, ale Elvi, Fayez i dwóch techników górnictwa zmontowało razem destylarnię tuż przed ruinami, zmieniającą deszczówkę w coś nadającego się do picia z wydajnością prawie dwunastu litrów na godzinę. Smakowała jak dosmaczana sztuczną miętą i koniczyną, ale mogła podtrzymać życie.

Kiedy Elvi odnalazła Lucię, lekarka wyglądała tak źle, jak źle brzmiał Holden. Miała szarą skórę barwy popiołu, a białka oczu

tak różowe, że Elvi spodziewała się zobaczyć płynącą z nich krew. Jacek towarzyszył mamie, nosząc jej skaner medyczny i małą torbę z bandażami. Elvi przyglądała się, jak badają pacjentów. Wszyscy byli pokryci błotem i brudem. Różnice między ludźmi z RCE a dzikimi lokatorami ukryły się pod warstwami brudu i wspólnej radości z odzyskiwania wzroku. Uśmiechnęła się, gdy Jacek spojrzał w jej stronę. Zawahał się, a potem niemal nieśmiało kiwnął głową i też się uśmiechnął.

– Chmury zaczynają się przersedzać – powiedziała Lucia. – Widziałam autentycznie biały kawałek.

– Serio? – zapytała Elvi.

– Dla mnie oczywiście nadal wyglądał na zielonkawy, ale tak naprawdę był biały – potwierdziła lekarka. Kiedy pokręciła głową, wydawało się, że wykonanie ruchu było opóźnione o ułamek sekundy. – Świetnie się spisałaś. Mam tylko troje ludzi, u których leczenie nie działa.

– Dlaczego? Może powinniśmy...

– To nie nauka – przerwała jej Lucia. – To medycyna. Tak wysoki wskaźnik skuteczności nowego leczenia zupełnie nieznaney dotąd choroby? To wręcz genialne. Ale nikt z nas nie wrócił jeszcze do stanu wyjściowego. I będzie na to potrzeba czasu, jeśli w ogóle do tego dojdzie.

– Czas – rzuciła Elvi. – Dziwne jest myśleć, że w ogóle znowu go mamy.

– Ciągłe zmieniamy rodzaj śmierci: od zguby w burzy, przez zabicie przez ślimaki do śmierci z głodu za kilka tygodni.

– Coraz bardziej odsuwamy kryzys. Jeśli to nie wygrana, to przynajmniej sposób na nieprzegranie.

– Jeśli będziemy mogli dalej go odsuwać.

Ale nie możemy. Słowa nie zostały wypowiedziane, ale nie było to potrzebne. Przy statkach walczących ze sobą i spadających z orbity oraz praktycznie zupełnie niejadalnych miejscowych organizmach rozciągnięcie perspektyw grupy poza kilka tygodni powolnej śmierci głodowej będzie bardzo trudne. Może niemożliwe. Stres było widać w ludziach, tak samo mocno przeżywali sytuację pracownicy RCE, jak mieszkańcy Pierwszego

Lądowania. Elvi zauważyła też powrót do segregacji między grupami, gdy tylko odsunęło się natychmiastowe niebezpieczeństwo. Zaczęła się zastanawiać, czy jedność powróci, gdy skończy się jedzenie.

– Potrzebujesz odpoczynku – powiedziała Elvi, a jej ramienia dotknęła czyjaś dłoń.

Stali za nią Wei i Murtry. Wei miała ponury wyraz twarzy, ale z drugiej strony Murtry przybrał swój zwyczajowy uśmiech. Z nich wszystkich pokrywa błota na skórze i włosach u niego wyglądała prawie naturalnie. Jakby znajdował się w swoim naturalnym środowisku.

– Doktor Okoye – odezwał się Murtry – chciałbym porozmawiać z panią na osobności.

– Oczywiście – odpowiedziała Elvi.

Lucia uprzejmie kiwnęła głową i odwróciła się. Elvi poczuła ukłucie rozczarowania. Po wszystkich tych przykrych doświadczeniach, po burzy i ślepotcie, wciąż istniały polityczne podziały między RCE a Pierwszym Lądowaniem, kryjąc się tylko pod powierzchnią. Murtry wciąż był człowiekiem, który spalił budynek pełen terrorystów, a Lucia – żoną mężczyzny spiskującego w celu zniszczenia ciężkiego promu. Wydawało się, że teraz powinno to mieć mniejsze znaczenie, że deszcz powinien to zmyć do czysta. Wszystko.

– Zastanawiałem się, co może mi pani powiedzieć o ostatniej rozmowie, jaką odbyła pani z kapitanem Holdenem – powiedział Murtry.

Jego głos brzmiał całkiem spokojnie i rozsądnie. Jakby znowu znaleźli się na *Israelu*, a on prosił ją o przypomnienie sobie, gdzie używała jakiegoś narzędzia, którego nie potrafiła odnaleźć.

– No cóż, był bardzo, bardzo zmęczony. Wyczerpany. Wydawało się to mieć realne skutki poznawcze.

– Jakiego typu skutki poznawcze? – zapytał Murtry.

– Bełkotał – wyjaśniła Elvi. – W jego słowach było wszystko, od żartów na temat obcych kontrolujących umysł, przez Charlesa Dickensa, do upierania się, że ma jakiś sposób na wyłączenie sieci obronnej planety. Naprawdę totalnie odjechał. Próbowałam

nakłonić go do odpoczynku, ale...

– Czy dobrze rozumiem, że zamierzał wyłączyć obcą technologię działającą obecnie na planecie?

– Tak. To znaczy, dlaczego nie?

– Nie należy do niego. Czy powiedział, jak zamierza to osiągnąć?

– Nie. Ale nie sądzę, żeby faktycznie było coś na rzeczy. Mówił po prostu, co mu ślina na język przyniesie. Jestem przekonana, że nie do końca był świadom faktu, że w ogóle coś mówi.

– Czy wspominał coś o udaniu się na północ?

Elvi zamrugła, zmarszczyła czoło i pokręciła głową.

Murtry wyciągnął swój terminal ręczny, stuknął w niego trzy razy i wyciągnął go w jej kierunku. Na ekranie zobaczyła mapę jedyne go kontynentu Ilusa z dwoma kropkami. Wiedziała, że jedna z nich to położenie Pierwszego Lądowania, a przynajmniej jego wcześniejszej lokalizacji. Przyjęła, że oznacza ich obecne położenie. Druga kropka była jakieś trzy–cztery centymetry dalej.

– Pozwoliłem sobie śledzić sygnał terminala ręcznego kapitana – powiedział Murtry. – Sygnał jest słaby i często zanika, ale wydaje się, że podróżuje na północ ze średnią prędkością dwustu kilometrów na godzinę. Uważam to za bardzo interesujące.

Elvi oddała mu terminal.

– Nie mówił nic na ten temat. Tylko, że ma coś do zrobienia. Potem rozmawiał z Amosem. Sądziłam, że to właśnie ma na myśli. I szczerze mówiąc, dziwię się, że w ogóle potrafi prowadzić wózek.

– Nie jedzie wózkiem – odparł Murtry. – Mamy tylko dwa, oba są na zewnątrz, a jeden z nich nie ma nawet zasilania.

– Nie rozumiem – odpowiedziała Elvi. – To jak on...

– Przemieszcza się dwieście kilometrów na godzinę? – powiedział Murtry. – To jedno z bardzo, bardzo wielu pytań, na które chciałbym poznać odpowiedź. Dziękuję za poświęcony czas, pani doktor.

Murtry kiwnął głową, odwrócił się i ruszył w stronę łuku prowadzącego na zewnątrz. Elvi ze zmarszczonym czołem patrzyła, jak odchodzi. Czy Holden powiedział coś jeszcze? Nic

sobie nie przypominała. Ale może powiedział coś Amosowi.

Znalazła dużego mężczyznę stojącego w błocie przed jego namiotem roboczym, gdzie parkowano wózki, trzymał ręce złożone na nagiej, ubłoconej piersi. Miał paskudną bliznę ciągnącą się przez cały brzuch i tatuaż kobiety nad sercem. Miała ochotę zapytać go o oba, ale nie zrobiła tego. Jedyne działający wózek właśnie odjeżdżał, z Murtrym i Wei za sterami. Duże koła z żelom silikonowym plaskały mokro w błocie, ale pojazd szybko nabierał prędkości, podskakując na zniszczonej ziemi w łagodnym deszczu.

– Był jakiś zrzut? – zapytała Elvi.

– Nie – odparł Amos.

– Będzie jakiś?

– Jeśli tak, to lepiej, żeby spadł w zasięgu marszu. O ile nie uda mi się zmontować kolejnego źródła zasilania, to nasz jedyny działający transport.

– Och – powiedziała. – Czy Holden mówił coś panu zanim, yyy, odszedł?

– Owszem – przyznał Amos, marszcząc brwi w stronę wózka.

– Czy to było coś o jeździe na północ?

– Nie tak dokładnie, ale wiedziałem, że wybiera się gdzieś na wypadek, gdyby zdołał skłonić Millera do ponownego włączenia dla nas reaktorów fuzyjnych.

– Millera? – odpowiedziała Elvi, kręcąc głową.

– Tak, to długa historia. W zasadzie jedyne, czego chciał ode mnie kapitan, do dopilnowanie, żeby ten tam – Amos kiwnął głową w stronę oddalającego się wózka – nie zrobił się zarozumiały i nie zaczął znowu zabijać ludzi.

– Jedzie za Holdenem.

– Hm. Nie wiem, czy dzięki temu moje zadanie robi się łatwiejsze czy trudniejsze.

Wielkolud wzruszyła ramionami i wszedł do namiotu z warsztatem. Na cienkiej plastikowej folii leżały pozostałości pół tuzina akumulatorów. Amos przysiadł przy nich, a potem zaczął je sortować na podstawie rozmiarów i zakresu widocznych uszkodzeń.

– Byłoby znacznie łatwiej, gdyby *Ros* mógł mi po prostu zrzucić nowe ogniwo paliwowe – rzucił.

– Pan też pojedzie za Holdenem?

– No cóż, zgodnie z tym, co powiedział kapitan, mam dopilnować, żeby Murtry nikomu nie zrobił krzywdy. Nie ma go tutaj, więc wydaje się, że jesteście dość bezpieczni. Równie dobrze mogę pojechać za nim i dopilnować, żeby tam też nikomu nie bruździł.

Elvi przytaknęła i popatrzyła na północ. Wózek był już małą kropką na horyzoncie, wzbijającą chmurę rozchłapanego błota. Nie potrafiła ocenić, jak szybko jadą, ale była pewna, że niedługo znikną z zasięgu wzroku.

– Czy jeśli uda się to panu naprawić, mogę też pojechać?

– Nie.

– Poważnie, proszę mi pozwolić jechać z panem – powiedziała, klękając przy nim. – Będzie pan potrzebował wsparcia. Jeśli coś pójdzie nie tak. A jeśli znowu pan oślepnie? Albo coś pana użądli? Znam tutejszą ekologię lepiej niż ktokolwiek inny. Mogę pomóc.

Amos podniósł komórkę paliwową, ściskając obudowę, aż metal częściowo się wygiął, a potem wysunął zawartość na dłoń. Wraz z elementem ze środka wydostał się zielonożółty szlam.

– Holden mówił o obcych. Takich żywych, myślących, porozumiewających się obcych kontrolujących umysły – powiedziała Elvi. – Jeśli to prawda, mogłabym z nimi porozmawiać. Udokumentować ich.

Amos wytarł dłonią szlam z modułu i przyjrzał mu się z westchnieniem. Odłożył go i podniósł kolejny.

– Zginiemy tu – powiedziała Elvi głosem cichym, łagodnym i proszącym. – Skończy się nam jedzenie. Jeśli pan tam pojedzie, będzie pan przejeżdżał przez całą biosferę, której nikt nigdy jeszcze nie widział. Będą tam rzeczy, których sobie w ogóle nie wyobrażaliśmy. Chcę je zobaczyć, zanim zginę.

Otworzyła się następna komórka paliwowa. Tym razem nie było szlamu, za to powietrze wypełnił ostry, kwaśny smród stopionego plastiku, drażniąc nosy i oczy. Amos zamknął ją z powrotem.

– Potrzeba panu prądu, żeby prowadzić wózek – rzuciła. – Zabierze mnie pan ze sobą, jeśli powiem, skąd go wziąć?

Amos obrócił głowę w jej stronę i skupił na niej wzrok, jakby dopiero teraz ją zobaczył. Na jego twarzy powoli pojawił się uśmiech.

– Chce mi coś pani powiedzieć, doktoroko?

Elvi wzruszyła ramionami.

– Księżycowa siatka obronna obcych zestrzeliła prom z napędem fuzyjnym i rzut z bateriami i komórkami paliwowymi, ale przepuściła żywność i leki. Nie zajmuje się też strzelaniem do chmur, choć żyje w nich stado organizmów zbudowanych ze złożonych związków organicznych. Nie obchodzi ich energia chemiczna w związkach. Może pan poprosić *Rosynanta* o zrzucenie chemicznego źródła paliwa. Może acetylenu. Ma pan tu zbiorniki z acetylenem, prawda?

– Szlag, mam go tu każdą ilość. Ale te tutaj nie jadą na ogniu – odpowiedział Amos.

– Nie muszą – odparła Elvi. – Zestaw chemiczny ma komorę spalania prowadzącą analizy przez zmianę reakcji egzotermicznych na prąd, a następnie mierzenie uzyskanego napięcia i natężenia. Komora nie jest duża, ale jeśli się ją wyjmie i zbuduje trochę większą komorę spalania, o powierzchni może dziesięciu centymetrów, chyba wystarczy to do zamiany dostatecznej ilości energii chemicznej ze spalania na prąd równoważny temu, który dają komórki paliwowe. Może trzeba będzie zrobić jeszcze transformator, żeby uzyskać właściwe natężenie, ale to już nie jest trudne.

Amos podrapał się po karku i zakołysał na piętach. Zmrużył oczy.

– Właśnie to pani wymyśliła, tak?

Elvi wzruszyła ramionami.

– Czy to znaczy, że mogę z panem jechać?

Amos odwrócił głowę i splunął na ziemię.

– Jasne – potwierdził.

* * *

– Chcę tylko wiedzieć, dlaczego – powiedział Faye.

– Co dlaczego? – zapytała Elvi, idąc przez główną komorę ruin.

Niosła dwa grube plastikowe worki z oczyszczoną wodą. Przynajmniej nadawała się do picia. Oraz pudełko wielkości dłoni, zawierające batony proteinowe. Miało to wystarczyć dla jednej osoby na cały dzień i musiało im wystarczyć aż do powrotu do obozu w ruinach. Znalazła też torbę z pasem ze sztucznej skóry, w której mogła to wszystko pomieścić.

– Dlaczego znowu ganiasz za Holdenem – sprecyzował Faye, uskakując przed przechodzącą kobietą.

– Nie ganiam za Holdenem – odpowiedziała Elvi, a potem zatrzymała się, obróciła i położyła dłoń na piersi Fayeza. Poczwała pod palcami bicie jego serca. – Wiesz, że nie ganiam za Holdenem, prawda? Bo to... to znaczy, nie.

– To dlaczego? – zapytał.

Organizmy wciąż umierające w oczach Elvi straciły zielone zabarwienie, ale świat przez nie wciąż był jeszcze trochę rozmazany. Miała wrażenie, jakby widziała Fayeza przez filtr, który rozmywa jego rysy i wygładza skórę. Wyglądał jak gwiazda filmowa w jakiejś szczególnie niekorzystnej roli, która wymagała dużej ilości błota i nielicznych pryszniców.

– Bo chcę zobaczyć – wyjaśniła. – Po to właśnie tu przyleciałam. To dlatego cały czas spędzałam na zbieraniu próbek i robieniu analiz. Kocham swoją pracę, a ona polega na oglądaniu rzeczy. Holden powiedział, że rozmawia z obcymi i że może uda mu się wyłączyć sieć obronną, a to oznacza, że pojedziemy przez dzikie tereny...

– To, co z nich zostało – wtrącił się Faye.

– Oraz dlatego, że zginę – dodała Elvi.

Faye odwrócił wzrok.

– Wszyscy zginiemy – oświadczyła Elvi. – I to prawdopodobnie bardzo, bardzo niedługo. A mam do wyboru pojechać tam i obejrzeć ten zdumiewający, dziwny, piękny, zrujnowany świat lub zostać tu, w obozie, i patrzeć, jak wszyscy wokół powoli umierają. A jestem tchórzem, hedonistką i czasami też jestem bardzo, bardzo samolubna.

- Wiesz. Tak między nami, to zawsze myślałem o sobie w tych kategoriach.

- Wiem.

Na zewnątrz ryczał prowizorycznie zmodyfikowany wózek Amosa, z komorą spalania wydającą dźwięk przypominający syntetyzator zablokowany na wyjątkowo poszarpanym i nieprzyjemnym G pod środkowym C. Amos siedział w kabinie, przy sterach. Fayez doszedł z nią do boku wózka, a potem pomógł jej wspiąć się do kabiny. Potem cofnął się i wcisnął ręce głęboko do kieszeni. Nie widziała dość dobrze, by stwierdzić, czy miał też łzy w oczach.

- To zapasy, doktorko? - zapytał Amos.

- Nic więcej nie mam, trzeba będzie sobie z tym radzić.

- No dobra. Mam namierzony sygnał z ręcznego terminala kapitana. Mamy paliwa na jakiś tydzień, a gość, za którym jedziemy, ma dzień przewagi.

- Przydałyby nam się okulary słoneczne - rzuciła. - Albo pizza.

- Ten świat zszedł na psy, doktorko.

- Jedźmy.

Wózek szarpnął, koła obracały się przez chwilę w błocie, a potem zaskoczyły i wózek ruszył. Deszcz rzucał drobne kropki na szybie, ścierane przez szeroką, rozmazującą wszystko wycieraczkę. Świat przed nimi był potężną równiną błota. Spojrzała na ręczny terminal Amosa. Trasa do Jamesa Holdena zabierze ich przez teren porośnięty wcześniej przez coś w rodzaju lasu, zakole wielkiego słodkiego jeziora i labirynt kanionów wymykających się wszelkim standardowym wyjaśnieniom geologicznym. Zobaczy świat powstały w wyniku totalnej katastrofy, ale przynajmniej go obejrzy. A zwykłym stanem przyrody jest dochodzenie do równowagi po ostatniej katastrofie.

- Zatrzymaj się - poprosiła. - Możesz stanąć? Tylko na moment?

- Jeśli potrzebujesz przerwy na kibelek, należało o tym pomyśleć, zanim ruszyliśmy - rzucił Amos, ale zatrzymał pojazd.

Z powodu ryku generatora zasilanego acetylenem nie usłyszała

dźwięku zwalniających silników elektrycznych. Otworzyła drzwi kabiny i wychyliła się na zewnątrz. Przejechali dopiero sto metrów. Wciąż widziała Fayeza, choć głównie jako ciemną, rozmazaną plamę. Pomachała do niego, odpowiedział tym samym. Zamachała, żeby podszedł, więc to zrobił. Przyglądała się, jak truchta przez błoto, patrząc pod nogi i uważając na ślimaki.

Kiedy dotarł do kabiny, popatrzył na nią. Teraz już była pewna, że ma w oczach łzy.

– Jest ryzyko, że już nie wrócę – powiedziała.

– Wiem.

– Tak jakby musimy ruszać, doktorko – rzucił Amos. – Nie, żebyśmy chciał psuć nastrój czy coś takiego.

– Rozumiem – odpowiedziała Elvi. Znowu spojrzała w dół, prosto w jego ciemne oczy. – Wchodzisz tu?

– Czy co? – zapytał Amos w tej samej chwili, gdy Fayez odpowiedział:

– Oczywiście, że tak.

Elvi przesunęła się na fotelu, robiąc mu miejsce. Fayez wspiął się obok niej i zamknął za sobą drzwi. Amos popatrzył na nich, unosząc brew. Elvi uśmiechnęła się do niego i położyła sobie rękę Fayeza na ramieniu.

– Nie pamiętam, żeby to było częścią umowy, doktorko – powiedział Amos.

– To tak jakby nasz miesiąc miodowy – odparła Elvi.

Poczuła, że Fayez na chwilę sztywnieje, a potem prawie się przy niej roztopił.

Amos myślał przez chwilę, a potem wzruszył ramionami.

– Co kto lubi.

Rozdział czterdziesty siódmy

BASIA

– Jak tam wygląda? – W hełmie Basi zabrzmiał głos Naomi.

Miała bardzo miły głos, odpowiedni dla śpiewaczki. Brzmiał dobrze nawet w maleńkich głośniczkach skafandra. Basia zauważył, że jego myśli dryfują, i gwałtownie potrząsnął głową. Szybkie spojrzenie na wyświetlacz przezierny powiedziało mu, że ma niski poziom tlenu, więc wyciągnął zapasową butlę.

– Znalazłem kolejne pięć dziur – odpowiedział, zajmując się jej podłączaniem. – Miałeś rację, dwa przebicia były za konsolą. Trudno było je zobaczyć z tej strony. Ale chyba to już wszystkie na mostku.

– Następny jest warsztat – odpowiedziała. – Mamy tam powolny wyciek, a w środku jest ciasno. Zainstalowaliśmy trochę dodatkowego sprzętu, który zajmuje sporo przestrzeni między kadłubami.

– Precisnę się – stwierdził Basia, a potem wyciągnął mały metalowy dysk i zaczął go spawać nad jedną z pięciu znalezionych dziur.

– Wychodzi nad horyzont... teraz – rzucił na kanale Aleks.

Naomi siedziała w skafandrze próżniowym na mostku, koordynując prace, więc mógł z nią rozmawiać tylko przez radio. Basia chciał zapytać, o kim mowa, ale zamiast tego zajął się spawaniem następnej łąty. Maleńka kulka stopionego metalu oderwała się od spawu i przywarła do jego wizjera, stygnąc do czarnej kropki nad lewym okiem. Raczej nie groziło to uszkodzeniem skafandra, ale dopuszczenie do tego było błędem nowicjusza. Oznaka zmęczenia. Łagodne obroty *Rosynanta* na końcu holu sprawiały, że swobodnie unoszące się obiekty dryfowały w stronę ścian. Musiał o tym pamiętać.

– Nie zostawił dla nas żadnych prezentów? – zapytała Naomi,

wciąż mówiąc o tajemniczym nim.

– Nie – odpowiedział Aleks. – Wciąż walę w niego z lasera celowniczego, gdy przelatuje obok. Ostrzeżenie.

– Działka obrony punktowej są kompletnie wyłączone, a torpedy plazmowe teraz nie zadziałają – przypomniała Naomi.

– Tak, ale oni tego nie wiedzą. Ostatnie, co widzieli, to jak przerabiam ich prom na sushi ogniem z działek.

– W sumie trochę żałuję, że to zrobiliśmy.

– A co, wolałabyś jedną dużą dziurę zamiast wielu małych?

– Słuszna uwaga – zgodziła się Naomi. – Już tam skończyłeś?

Basia dopiero po chwili zrozumiał, że znowu mówi do niego.

– Prawie, właśnie spawam ostatnią.

– Pokieruję cię do zewnętrznego kadłuba nad warsztatem.

* * *

Naomi nie przesadzała, mówiąc, że jest tam ciasno. Większość miejsca między wewnętrznym a zewnętrznym kadłubem zajmowało jakieś duże, kanciaste urządzenie. Z jego jednej strony wystawała długa metalowa rura, która wydawała się bieć wzdłuż całego kadłuba statku jak rura ściekowa. Na drugim końcu urządzenia mieścił się złożony mechanizm podajnika. Wokół centralnego mechanizmu oraz wzdłuż rury rozmieszczono podwójne rzędy przemysłowych akumulatorów, na oko o dużej pojemności.

– Sześćdziesiąt dwa procent, pierwsza – poinformował Aleks. – I szybko spada. A zegar dla *Barb* spadł do jakichś dwunastu godzin. Gdyby te dysze działały, mniej więcej teraz bym je włączał.

– Wyłączyłam wszystko, co tylko przyszło mi do głowy – odpowiedziała Naomi. – Więc energii mamy tyle, ile mamy. Próbuję wykombinować jakiś plan przeniesienia działających silników do zastąpienia tych uszkodzonych w celu uzyskania czegoś w rodzaju manewrowości, ale problem nie jest trywialny. Solidnie oberwaliśmy.

Basia użył reflektora skafandra do oświetlenia okolicy, aż wypatrzył delikatny ślad zamrożonej pary. Ten doprowadził go

do maleńkiej dziury w ścianie warsztatu, już po chwili zaspawał ją kolejnym metalowym dyskiem. Ostre błękitne światło z jego palnika oświetliło ciasną przestrzeń, rzucając tańczące cienie na przewody i obudowy silników manewrowych.

- Aleks? - Basia odezwał się, pracując.

- Yo.

- Czym jest to coś, przy czym pracuję? Wygląda, jakby działało pod wysokim napięciem. Mam unikać osadzania się na nim gorących oparów?

- Uch, tak - potwierdził Aleks, a potem zaśmiał się bez rozbawienia. - Lepiej tego unikaj.

- To działo szynowe - wyjaśniła Naomi. - Zamontowaliśmy je na statku. Możesz je uszkodzić, ale nie wybuchnie ani nic takiego. Wystrzeliwuje pociski z litego metalu, nie wybuchowe.

- W porządku - odpowiedział Basia. - Już prawie tu skończyłem.

- Kosztuje jakieś trzysta tysięcy nowych jenów Ceres - dodał Aleks. - Więc go nie zepsuj, bo będziesz musiał odkupić.

Do czasu, gdy Basia wrócił przez służbę, zdjął sprzęt do spawania i skafander próżniowy, a potem wszystko pochował, Naomi uzupełniła powietrze utracone na mostku i wszyscy właśnie tam się zebrali. Dryfowała przy konsoli dowodzenia wciąż w lekkim skafandrze próżniowym, ale bez hełmu. Havelock i Aleks unosili się naprzeciw niej, trzymając się pryczy przeciążeniowej stanowiska bojowego. Cała trójka trwała w ciężkiej ciszy, która występuje po rozmowie z silnymi emocjami.

- Jakiś problem? - zapytał Basia, gdy zamknął się za nim właz pokładowy.

Aleks i Havelock odwrócili wzrok z czymś w rodzaju zawstydzenia na twarzach. Naomi popatrzyła prosto na niego.

- Stracimy *Barbapicolę* - przyznała.

- Co?

- Mam plan przeniesienia pięciu silników manewrowych ze sterburty na bakburtę, co da nam sześćdziesiąt procent manewrowości. To wystarczy do utrzymania nas na orbicie do

czasu, aż skończy się zasilanie, ale nie zdołamy zrobić tego dość szybko, żeby wyciągnąć *Barb* ze spadku. Zacznie ocierać się o atmosferę, zanim będziemy w połowie roboty. Musimy go odciąć.

– Nie – powiedział Basia.

– Próbowaliśmy – Naomi mówiła dalej, jakby wcale się nie odezwał. – Ale zniszczenia spowodowane przez prom są po prostu zbyt poważne. Zamierzam zadzwonić do kapitana *Barb* i poprosić o przesłanie twojej córki na ten statek. Ceną będzie zgoda na przyjęcie kilku dodatkowych osób. Ale tylko kilku.

Basia poczuł przemożną ulgę, po której niemal natychmiast opadł go silny wstyd.

– Na pokładzie *Barbapiccoli* jest ponad setka ludzi. Pozwolimy im wszystkim zginąć?

– Nie wszystkim, ale nawet gdybyśmy chcieli ich tu zabrać, po prostu się nie zmieszczą. Pełna obsada *Rosa* to dwadzieścia dwie osoby. Naszą alternatywą jest zginąć razem z nimi – stwierdziła Naomi. Jej głos drżał, ale spojrzenie miała pewne. Doskonale wiedziała, jak straszne są jej słowa, ale nie cofała się przed nimi. Basia nagle poczuł silny strach przed pierwszą oficer *Rosynanta*.

– Tylko że przy tym wszystkim wiele nie zyskamy. Przy wyczerpujących się zapasach energii i mając tylko trochę ponad połowę ciągu, bardzo zbliżamy się do granicy, poniżej której nie będziemy w stanie osiągnąć stabilnej orbity umożliwiającej nam powolne umieranie, kiedy już wysiądą systemy podtrzymywania życia. A do tego, oczywiście, będziemy mieli na pokładzie tylu członków załogi *Barb*, ilu tylko zmieścimy. Co oznacza, że o tyle szybciej zużyjemy zapasy energii. Tak czy tak, przegramy, Basia. Nie ma już żadnych dobrych wyborów.

Basia kiwnął głową, przyjmując bez sporów jej argumenty. Była ekspertką. Ale ciągle miał wrażenie, że o czymś zapomnieli. Coś śwędziało na dnie umysłu. Żeby odwrócić swoją uwagę, przesunął palcem po kropłach kondensacji zbierających się na najbliższym panelu ściennym. To nie powinno się dziać. System atmosferyczny nie powinien był pozwolić na takie nagromadzenie się wilgoci. Teraz jednak, gdy się nad tym

zastanowił, zrozumiał, że powietrze wydawało się gęstsze i za ciepłe. Naomi ustawiła systemy podtrzymywania życia na minimalne zasilanie. Nie kłamała. Znaleźli się na skraju możliwości utrzymania się na niebie.

– Kiedy tu przyjdą i w jaki sposób? – zapytał Havelock, mówiąc o uciekinierach z *Barbapiccoli*.

– Za trzy godziny. Chcę, żebyś zszedł na dół i ich eskortował. Nie wiem, jak dobre są ich skafandry, ale nie spodziewam się zbyt wiele. Może trzeba będzie im tam zabrać kilka naszych skafandrów i plecaków manewrowych.

– Potwierdzam – odpowiedział Havelock, kiwając głową.

Jak Ziemianin. Opuszczając głowę i unosząc ją, ruchem zupełnie niewidocznym w skafandrze kosmicznym. Nie myśląc o tym, Basia poruszył pięścią do przodu i do tyłu, pokazując mu, jak zrobić to właściwie. Havelock go zignorował.

Jednak skupienie się przez chwilę nad czymś innym zerwało blokadę jego mózgu i w końcu w jego głowie pojawił się pomysł, który wcześniej nie dawał mu spokoju.

– Dlaczego nie użyjemy baterii dział szynowego?

– Czego? – zapytał Havelock.

– Hm – rzuciła Naomi. – To nie jest zły pomysł. Są naładowane, prawda?

– Same pobierają energię do pełnego naładowania, gdy reaktor jest włączony, od dawna nie strzelaliśmy z dział, a one bardzo powoli się rozładowują, gdy nie są używane – odpowiedział Aleks. – Tylko że są w osobnym obwodzie. Nie da się z nich pobrać energii w przeciwną stronę bez modyfikacji.

– Mogę się tym zająć – odpowiedział Basia. – Zrobię to, tylko mi powiedzcie, co robić. Zaraz uzupełnię gazy w skafandrze i spawarce.

– Czekaj – zatrzymała go Naomi. Jej twarz zrobiła się dziwnie pusta, poza oczami poruszającymi się szybko na boki, jakby czytała coś z powietrza. – Chwileczkę...

Havelock zaczął coś mówić, ale Aleks złapał go za rękę i w milczeniu pokręcił głową.

– Pobierzemy energię z sieci dział szynowego, prześlemy do

sieci głównej i użyjemy do ogrzania masy odrzutowej do napędu – oznajmiła w końcu.

– Tak – zgodził się Aleks.

– Ze stratami na każdym kroku. To bardzo mało wydajne.

– Tak – powtórzył Aleks.

– A przecież mamy już masę odrzutową w systemie bez przesyłania energii – kontynuowała. – Aleks, ile przyśpieszenia da temu statkowi dwukilogramowy pocisk lecący z prędkością pięciu tysięcy metrów na sekundę?

– Tyle – przyznał Aleks z nieśmiałym uśmiechem – że powinniśmy go odpalać tylko przy włączonym głównym napędzie.

– To dla mnie wygląda jak silnik – rzuciła Naomi, szczerząc się do niego w uśmiechu.

– Ale statek trochę wiruje po tym uderzeniu promu? Czy to nie utrudni trochę tego, no wiecie, celowania? – pytał Havelock.

– To nie trywialny problem – przyznała Naomi. – Będziemy musieli dopilnować strzelenia dokładnie w tej milisekundzie, w której oba statki i hol są w jednej linii. Żaden człowiek sobie z tym nie poradzi, ale *Ros* może, jeśli mu powiem, czego potrzebujemy.

– Czy *Barb* nie znajdzie się na trajektorii strzału? – zapytał Havelock.

– Słusznie – rzuciła Naomi cichym i niemodulowanym głosem. – Czyli sekwencja będzie musiała obejmować opuszczenie nosa *Rosa* podczas obrotu do punktu strzału, wypuszczenie pocisku, a potem uniesienie nosa z powrotem, żeby nie dopuścić do niekontrolowanego obrotu wzdłuż nowej osi. Na szczęście te silniczki działają.

– To wygląda – skomentował Basia – na bardzo trudne.

– No cóż – Naomi odpowiedziała z uśmiechem i mrugnięciem. – To tylko najbardziej skomplikowany program nawigacyjny, jaki kiedykolwiek napisałam, ale mam na to jeszcze kilka godzin.

– Nie wiem jak wy, ale ja się ogromnie cieszę, że mogę w tym uczestniczyć – rzucił Aleks. – Bierzmy się do roboty.

* * *

Basia patrzył, jak zegar odlicza godziny i minuty do śmierci jego córki.

Naomi siedziała przy konsoli, pisząc szybko. Język symboliczny, którego używała do programowania systemów nawigacyjnych *Rosynanta*, zupełnie nic mu nie mówił. Przeglądanie się, jak pracuje, przypominało słuchanie kogoś mówiącego w obcym języku: świadomość przekazywania informacji bez rozumienia ich znaczenia. Ale i tak obserwował ją, wiedząc, że tworzy program, który może cofnąć zegar o cenne minuty. Może godziny. Ale nie dni.

Aleks wrócił do swojego kokpitu, znikając z oczu. Czasami jednak odzywał się w interkombie statku, żeby porozmawiać z Naomi o jej pracy, więc najwyraźniej śledził jej postępy z własnej konsoli. Prosił o wyjaśnienia lub podsuwał sugestie, ale jego słowa były dla Basi równie puste, jak symbole na ekranie Naomi.

Havelock zszedł na niższy pokład, żeby wyciągnąć z ładowni ratunkowe bańki powietrzne i przenieść je do głównej śluzy. Plan z działem szynowym mógł nie zadziałać, a następnym krokiem było ewakuowanie jak największej liczby ludzi z *Barbapiccoli*, w miarę możliwości pomieszczenia ich na *Rosynancie*.

Wszystko to było tylko próbami opóźnienia nieuniknionego. Wszelkie heroiczne próby użycia dział szynowego mogły tylko opóźnić zniszczenie *Barb*. A jeśli nie, uratowanie paru osób przez przeniesienia ich na *Rosa*, zanim on sam spadnie z nieba lub zmieni się w lodową trumnę z kolejnymi dwudziestoma osobami na pokładzie przeciążającymi systemy podtrzymywania życia.

Ale i tak robili to bez żadnego wahania. Walczyli, pracowali i tworzyli skomplikowane plany, żeby kupić trochę więcej czasu. Basia nie wątpił, że będą pracować równie mocno, starając się utrzymać wzajemnie przy życiu nawet o kilka dodatkowych minut. Nie było to coś, o czym dotąd musiał myśleć, ale zdawało się odbiciem w miniaturze wszystkiego w życiu. Nikt nie żył wiecznie, ale walczyło się o każdą minutę, jaką dało się zdobyć. Kupowało trochę więcej czasu mnóstwem ciężkiej pracy. Basia

poczuł się równocześnie dumny i smutny. Może tak właśnie czuł się wojownik, stając na polu bitwy ze świadomością, że nie zejdzie z niego żywy. Podejmując wybór walki najdłużej i najmocniej, jak będzie mógł. Basia nie potrafił wymyślić odpowiedzi na pytanie, *dlaczego poległem, ale po ciężkiej walce* było tak pociągającą romantyczną ideą, ale fakt pozostawał faktem.

Patrząc na gniewną brązową kulę Ilusa wirującą na ekranie, Basia pomyślał: *zabijesz nas, ale nie przyjdzie ci to łatwo*. Odetchnął głęboko i z wysiłkiem powstrzymał się przed uderzeniem w piersi.

– Wszystko w porządku? – zapytała go Naomi, nie odrywając oczu od ekranu.

– Tak, w porządku. Co u ciebie?

– Prawie skończyłam – powiedziała. – Problem polega na tym, że będziemy mieć spory ciąg na jednym wektorze, który nie będzie zgodny z naszym środkiem masy przy połączonym kablu, a mamy tylko silniki manewrowe z trzech stron statku. Czyli musimy zminimalizować rotację na bakburtę. Ale nie możemy użyć przednich silników sterburtowych do przeciwdziałania temu obrotowi, ponieważ kabel zmienia położenie naszego środka masy. Właściwie to bardzo ciekawy problem to rozwiązania.

– Nie mam pojęcia, co znaczy to wszystko, co mówiłaś – przyznał Basia. – Czy to działa?

– Sądzę, że tak. Aleks się zgadza. Wystrzelimy za kilka minut przy następnym obrocie. Wtedy się przekonamy.

– Świetnie – rzucił Basia.

Właz pokładowy otworzył się i zamknął, przepuszczając Havelocka, który wrócił na mostek. Przebrał się ze swojego kombinezonu RCE i opancerzonego skafandra w luźny szary dres z nazwą *ROSYNANT* na piersi. Oficer ochrony był większy od Holdena, więc skoro ubranie było na niego luźne, musiało należeć do Amosa. Basia pomyślał, że chyba nie odważyłby się założyć ubrania Amosa bez wcześniejszego zapytania o zgodę.

– Sprzęt ratunkowy jest w służbie – powiedział Havelock do

pleców Naomi. Nie oderwała się od pracy, kiedy wszedł. – Dorzuciłem też kilka plecaków manewrowych, trochę dodatkowych butli z tlenem i sprzęt do spawania Basi. Nie przyszło mi do głowy nic więcej, czego moglibyśmy potrzebować.

– Dziękuję, Dimitri – odpowiedziała Naomi.

– Dimitri? – zapytał Basia, unosząc brew.

– Masz z tym jakiś problem? Czy Basia to nie imię kobiece? – odciął się Havelock.

– To imię mojej babki, a ponieważ była fizyczką znaną w całym Układzie Słonecznym, nazwanie kogoś jej imieniem jest wielkim zaszczytem. Byłem pierwszym wnukiem.

– Zamknijcie się albo wynocha z mostka – warknęła Naomi. Potem wcisnęła przycisk interkomu. – Jesteś gotowy, Aleks?

– Tak sądzę – odpowiedział pilot z ciężkim akcentem. – Jedna chwila, jeszcze coś tu podkręcę...

– Możemy to rzucić na duży ekran? – zapytał Basia. – Chciałbym zobaczyć, co się stanie.

Naomi nie odpowiedziała, ale główny ekran mostka przełączył się z mapy taktycznej na widok z przedniego teleskopu. Obraz wirował powoli, pokazując szarobrązową kulę Ilusa, odległy kadłub *Barbapiccoli*, a potem gwiazdzistą czernią.

– Przeskoczyliśmy okno – poinformowała Naomi. – Jesteś gotów?

– Tak – potwierdził Aleks, rozciągając samogłoskę. – Teraz. Możemy jechać.

– Włączam – oznajmiła Naomi i wcisnęła przycisk na ekranie, ale nic się nie stało.

Widok na dużym monitorze dalej powoli wirował, aż pojawił się na nim Ilus. Potem *Barbapicola*. A potem, bez ostrzeżenia, *Rosynant* przechylił się gwałtownie do przodu i we wnętrzu statku stało się coś bardzo głośnego. W atmosferze planety pojawiła się jaskrawa ognista kropka i łuk ognia. Basia zauważył, że ścianka sunęła w jego stronę z niewielką, ale zauważalną prędkością. Statek znowu się przechylił, wypuszczając serię strumieni gazów z silników manewrowych. Kiedy ruch i hałasy skończyły się, widok na głównym ekranie się ustabilizował,

pokazując *Barbapicolę*.

– Huh – odezwał się Aleks. – Widzę aktywność księżyców.

– Strzelają do nas? – zapytał Havelock.

– Nie. Wygląda na to, że próbują zestrzelić pocisk Gausa – wyjaśnił Aleks. – Trzeba im przyznać pełny zestaw punktów za optymizm.

– Już się nie obracamy – zauważył Basia.

– Nie – potwierdziła Naomi. – Daj mi trzy kierunki ciągu, a znajdę sposób, żeby nas zatrzymać. Teraz musimy tylko dalej strzelać i korygować, a powinniśmy dodać trochę prędkości do naszej orbity.

Basia spojrzła na zegar odliczający pozostały czas życia *Barbapicoli*. Wartość wzrosła o nieco ponad cztery minuty.

– Jak często możesz strzelać?

– Mniej więcej co pięć minut, jeśli nie chcemy doprowadzić do przegrzania szyn i spalenia baterii. Przynajmniej co pięć minut do czasu wyczerpania energii.

– Ale...

– Właśnie przyhamowaliśmy krzywiznę ich orbity, ale nie za mocno – powiedziała Naomi.

– Znowu wyłania się *Israel* – poinformował Aleks. – Coś wyrzucili.

– Szlag – mruknęła Naomi. – Dajcie nam spokój, co? Co wyrzucili?

– Ludzi w skafandrach – odparł Aleks.

– To milicja – wyjaśnił Havelock. Podciągnął się do wyświetlacza taktycznego i powiększał obraz. – Jest ich dwunastu, w pancerzach próżniowych z plecakami manewrowymi. A do tego taka sama liczba metalicznych obiektów mniej więcej wielkości człowieka. Nie jestem pewien, co to jest.

– Jakieś pomysły, co mogą robić? – zapytała Naomi, przełączając widok tak, by widzieć to, co on.

– To inżynierowie. Wiedzą, jak bardzo jesteśmy okaleczeni. Jak wrażliwi. Więc przypuszczam, że będą próbowali nas zabić.

Rozdział czterdziesty ósmy

HOLDEN

Życie w akademii wojskowej było dla Holdena tak stresujące, że koniec pierwszego semestru uczcił, idąc na imprezę i pijąc aż do nieprzytomności, która utrzymała się przez dwadzieścia godzin. To była jego pierwsza lekcja w zakresie różnic między brakiem przytomności a snem. Mogły się wydawać takie same, ale nie były. Po dwudziestu godzinach obudził się, czuł się bardzo zmęczony, a poranne ćwiczenia następnego dnia prawie go zabiły.

Jadąc siecią transferu materiałów Millera, trudno było mieć jakieś poczucie upływu czasu. Kiedy Holden pierwszy raz się obudził, z terminala ręcznego dowiedział się, że minęło dziesięć godzin. Wiedział, że spędził je nieprzytomny, a nie śpiąc, bo czuł się wyczerpany i chory. Bolało go gardło, oczy piekły, jakby ktoś przejechał po nich papierem ściernym i bolały go wszystkie mięśnie. Czuł się prawie, jakby miał grypę, tylko że leki przeciwwirusowe przyjmowane przez niego co trzy miesiące praktycznie to uniemożliwiały. Włączył system diagnostyczny pancerza, który podał mu serię zastrzyków. Nie wiedział, co w nich było. Wypił połowę wody w manierce i zamknął oczy.

Minęło dziewięć godzin, zanim znowu się obudził, ale tym razem był prawie wypoczęty i zniknął ból gardła. W którymś momencie przeszedł granicę oddzielającą nieprzytomność od snu i jego ciało wreszcie go za to nagradzało. Przeciągnął się na metalowej podłodze aż jego stawy strzeliły, a potem wypił resztę wody.

- Pobudka - rzucił Miller.

Powoli wyłonił się z ciemności otoczony aurą błękitnego światła, jakby ktoś obracał jego regulator jasności.

- Nie śpię - odpowiedział Holden, a potem pomachał do Millera

pusztą manierką. – Ale wsadziłeś mnie do tego bydłowego wagonu tak szybko, że nie zdążyłem zabrać żadnych zapasów. Zrobię się dość spragniony, jeśli nie będzie tam, no wiesz, jakiegoś wodopoju obcych czy czegoś w tym stylu.

– Zobaczymy. Ale to w tej chwili najmniejszy z naszych problemów.

– Powiedział facet, który nie pije.

– Przed nami jest kawałek uszkodzonego systemu – mówił dalej Miller – i miałem nadzieję, że uda nam się go ominąć. Niestety nic z tego. Dalej musimy iść pieszo.

– Twój wymyślny pociąg obcych jest zepsuty?

– Mój wymyślny system transferu materiałów obcych był nieużywany przez ponad miliard lat, a połowa planety właśnie wybuchła. Twój statek zbudowano niecałe dziesięć lat temu, a ledwie możesz utrzymać w działaniu ekspres do kawy.

– Jesteś żalosnym, zgorzkniałym staruszkciem – skomentował Holden, dźwigając się na nogi i napierając na drzwi wagonu. Nie otworzyły się.

– Poczekaj – rzucił Miller i zniknął.

Holden podkreślił jasność swojego terminala i spędził kilka minut oczekiwania, sprawdzając swoje wyposażenie. Miller porwał go zaraz po ostatnim patrolu wokół budowli, co znaczyło, że miał na sobie pancerz, pistolet i całkiem sporo magazynków z amunicją, które zapewne okażą się zupełnie bezużyteczne. Miał też pustą manierkę, żadnego jedzenia i zestaw medyczny skafandra z prawie wyczerpanymi zapasami, który byłby znacznie przydatniejszy po doładowaniu. Kiedy jego ciało obudzi się w końcu na tyle, żeby zgłodnieć, spodziewał się być gotów wymienić swój pistolet za kanapkę. Nie sądził, żeby w strukturach obcych kryło się wiele automatów z jedzeniem.

Minęło dziesięć minut, a jego niepokój zmienił się w zniecierpliwienie. Usiadł na podłodze i spróbował wywołać *Rosynanta* za pomocą ręcznego terminala, ale dostał komunikat o braku połączenia. Spróbował połączyć się z Elvi, Lucią i Amosem. Wszystko bezskutecznie. Najwyraźniej materiał, z którego obcy zbudowali swoje metro, blokował sygnały do

centrali na Rosie. Musiało o to chodzić. Alternatywnym wyjaśnieniem było niedziałanie *Rosa*, a to prowadziło do zbyt wielu złych scenariuszy. Wywołał odwracającą uwagę grę z dopasowywaniem wzorów i grał w nią przez chwilę, aż terminal wyświetlił ostrzeżenie o niskim poziomie naładowania, więc ją wyłączył.

Po godzinie zaczął się robić nerwowy. Nie miał klaustrofobii, większość dorosłego życia spędził w maleńkich kabinach na statkach kosmicznych, ale to nie znaczyło, że podobał mu się pomysł samotnej śmierci w małej metalowej skrzyni głęboko pod powierzchnią planety. Kilka razy kopnął w drzwi pojemnika i krzyczał do Millera, ale bez odpowiedzi.

Co na swój sposób też było niepokojące.

Skrzynia, w której spał podczas długiej drogi na północ, była pusta. Jedyne narzędzia, jakie miał przy sobie, służyły do naprawiania pancerza i broni. Nie miał nic, czym mógłby przeciąć lub rozgiąć metal. Znowu kopnął w drzwi, tym razem wkładając w to dość wysiłku, by zaboląta go noga. Nawet nie drgnęły.

- Hm - powiedział na głos.

Gdyby Miller sprowadził go całą drogę aż tutaj tylko po to, żeby zginął w porzuconym wagoniku kolejki, byłby to najdłuższy psikus w historii.

Zaczął w myślach prowadzić inwentaryzację całego swojego wyposażenia, próbując wymyślić, czy jakieś połączenie tych rzeczy może stworzyć ładunek wybuchowy dostatecznie silny, by wywalić drzwi, i starannie ignorując fakt, że każda tego typu eksplozja prawdopodobnie zgniotłaby przy okazji na mokrą płamę wszelkie organizmy żywe w środku. Z zewnątrz nagle dobiegł głośny metaliczny jęk, przybierający na sile i przechodzący w zgrzyt. Wagonik zadrżał i zatrzęsł się. Zaatakowała go długa seria dźwięków silnych uderzeń. A potem kolejny metaliczny jęk narastający do ogłuszającego poziomu.

Drzwi do wagonika zniknęły, wyrwane jednym potężnym uderzeniem. Po drugiej stronie stał koszmar.

Na pierwszy rzut oka wyglądał jak wielkie zbiorowisko

kończyn i narzędzi tnących. Stał na sześciu kończynach i machał w powietrzu czterema kolejnymi jak skorupiak zrobiony ze stali i noży. W powietrzu wokół cięższych ramion tnących machało przynajmniej kilkanaście macek, które wyglądały, jakby zrobiono je z czarnej gumy. Na jego oczach dwie macki chwyciły wewnętrzne krawędzie drzwi i rozgięły je w pokazie niezwykłej siły.

Wyciągnął pistolet, ale nie wycelował go w to coś. Wydał się bardzo mały i niedorzeczny w jego dłoni.

– Odłóż to – powiedział potwór głosem Millera. – Wydłubiesz sobie oko.

Holden nie zastanawiał się zbyt nad tym, że za każdym razem, gdy w ciągu ostatniego roku słyszał głos Millera, była to halucynacja indukowana przez protomolekułę. Jednak słysząc głos detektywa w powietrzu, faktyczne wibracje przemieszczające się przez atmosferę i uderzające w bębni, niezwykłość tej sytuacji sprawiła, że zakręciło mu się w głowie.

– To ty? – zapytał Holden, zadając pytanie, które z pewnością natychmiast zajęło pierwsze miejsce w uniwersalnym konkursie głupich pytań.

– To zależy, co przez to rozumiesz – odpowiedział robot-Miller i cofnął się od otworu. Jak na swoje rozmiary potwór poruszał się zdumiewająco cicho. – Potrafię się dostać do miejscowego sprzętu, a to coś było w całkiem niezłym stanie jak na sprzęt, który ominął cokwartalny przegląd gwarancyjny przez ostatni miliard lat.

Miller zrobił coś i Holden nagle zobaczył detektywa w wymiętym garniturze stojącego tam, gdzie jeszcze przed chwilą był potwór. Wzruszył ramionami i uśmiechnął się przeproszająco. Jednak nawet widząc projekcję Millera, równocześnie w tym samym miejscu widział robota. Zrobił identyczne wzruszenie ramionami, tylko zamiast rąk, użył do gestu dwóch olbrzymich, ząbkowanych szczypców kraba. Byłoby to przekomiczne, gdyby nie towarzyszący widokowi ostry ból głowy.

– Jedno albo drugie – rzucił Holden, zaciskając oczy. – Nie mogę

widzieć obu. To mi psuje mózg.

– Przepraszam. To nie jest żaden problem – odpowiedział Miller, a gdy Holden ponownie otworzył oczy, zobaczył tylko robota. – Chodź, mamy spory dystans do pokonania.

Holden wyskoczył z wagonika systemu transferu materiałów i wyłądował na metalowej podłodze. Różne części pancerza Millera-roboty jarzyły się słabym światłem, które w przeciwieństwie do lekkiego błękitnego blasku zawsze towarzyszącego duchowi Millera faktycznie oświetlały przestrzeń dookoła.

– Możesz to zrobić jaśniejsze? – zapytał Holden, wskazując jedną ze świecących kończyn.

W odpowiedzi wszystkie świecące się części robota zaczęły jarzyć się mocniej, aż w tunelu zrobiło się jasno jak w południe. I stało się oczywiste, dlaczego zatrzymał się wagonik systemu transportu. Kilkadziesiąt metrów dalej tunel został rozerwany na części i zasypany skałami i ziemią.

– Owszem – Miller odpowiedział, czytając jego myśli. – Nie wszystko dobrze sobie radzi z ponownym uruchomieniem. Węzeł zasilania kolejki magnetycznej obudził się z problemami i wybuchł. Tylko że to nie do końca kolejka magnetyczna. Ale to na tyle bliskie porównanie, że rozumiesz analogię.

– Możemy się przez to przedostać?

– Nie damy rady naprawić torów, ale mogę cię wyprowadzić na zewnątrz. To coś – powiedział Miller-robot, machając w powietrzu potężnymi szczypcami – stworzono do kopania. Kiedyś kopał i utrzymywał te tunele. Wskakuj.

– Chyba żartujesz.

– Nie, poważnie. Włóż na korpus. Ten sprzęt może poruszać się szybciej niż ty na piechotę.

– Miller – powiedział Holden. – Jesteś w całości zrobiony z ostrych krawędzi i punktów zgnieciań.

Jedna z czarnych macek wykręciła się do tyłu, uważnie przesuając po korpusie robota.

– Chwila – rzucił Miller i przy akompaniamencie brzęczenia i kilku metalicznych szczęknięć tors robota wykręcił się w nową

konfigurację, tworząc na plecach szerokie, płaskie miejsce. – Proszę bardzo.

Holden zawahał się przez chwilę, a potem wspiął się na jedną z nóg robota i z niej na plecy. Robot-Miller potruchtał do uszkodzonej sekcji tunelu i cztery przednie kończyny zabrały się do pracy, rozrywając powyginany metal ścian tunelu i usuwając ziemię i kamienie wypełniające przestrzeń za nim. Maszyna pracowała z dużą szybkością, precyzją i przerażającą siłą.

– Hej, Miller – odezwał Holden, patrząc, jak robot odrywa dwumetrową sekcję metalowej wykładziny ściany tunelu i szybko tnie ją na kawałki. – Wciąż jesteśmy kumplami, prawda?

– Co? Ach, rozumiem. Kiedy jestem duchem, krzyczysz na mnie, przeganasz i grozisz, że znajdziesz sposób na zabicie mnie. Teraz mam na sobie osłonę z niezwykłej maszyny do niszczenia i znowu chcesz się kumpłować?

– Tak, dokładnie – potwierdził Holden.

– Jasne, wszystko dobrze.

Podkreślił te słowa potężnym uderzeniem, które rozbiło na kawałki dwutonowy głaz. Obniżając swoje sześć nóg, Miller zdołał się precyzyjnie przesuwać przez mały otwór w rumowisku blokującym tunel. Holden położył się na płasko na plecach robota, ale i tak poszarpany kawałek dachu tunelu przesunął się zaledwie kilka centymetrów od jego twarzy.

– Od tego miejsca mamy wolną drogę – poinformował Miller – ale tory nie mają zasilania. Koniec z kolejką.

– Mamy jakieś lepsze pojęcie, czego szukamy?

– Tylko dość ogólne. Mniej więcej wtedy, gdy organizmy jednokomórkowe na Ziemi zaczęły się zastanawiać nad spróbowaniem fotosyntezy, coś wyłączyło całą tę cholerną planetę. Odcięło ją od sieci i zabiło wszystko, co znajdowało się dostatecznie wysoko w łańcuchu pokarmowym, żeby mieć własne zdanie. Jeśli się nie mylę, to coś nie odeszło do końca. Za każdym razem, gdy coś sięga w to konkretne miejsce, umiera.

– Przykro mi to słyszeć – skomentował Holden.

– Nie żałuj – odpowiedział Miller. – Na to właśnie mamy nadzieję. A teraz się trzymaj, spróbujemy nadrobić trochę

straconego czasu.

Robot przyśpieszył, pędząc w głąb tunelu, a jego sześć nóg rozmazało się w smugi. Nawet gdy pędził z dość dużą szybkością, jazda na jego plecach była bardzo gładka.

Ku własnemu zdziwieniu Holden znowu zapadł w sen.

* * *

Obudził się, czując, jak jego policzka dotyka coś zimnego i gumiatego.

– Przestań – powiedział, machając ręką na obiekt.

– Obudź się – powiedział Miller, grzmiąc głosem detektywa z korpusu robota.

– Cholera – rzucił Holden, siadając gwałtownie i ścierając ślinę z boku twarzy. – Zapomniałem, że tu jestem.

– No tak, powiedziałbym, że tydzień bez snu i za dużo amfetamin trochę cię popsują – skomentował Miller. – Puściłeś się w niezłe tango.

– Tylko bez żadnej przyjemności.

– Mnie też się parę razy zdarzyło – rzucił Miller i wyemitował dziwny, metaliczny śmiech. – Żadne z nich nie są przyjemne. Ale za chwilę dotrzemy do stacji przetwarzania, więc lepiej oprzytomniej.

– Czego powinienem się spodziewać?

– Powiem ci, kiedy to zobaczę – odparł Miller.

Holden wyciągnął pistolet i sprawdził magazynek oraz komorę. Był gotów do strzału. Poczł się przy tym jak dziecko bawiące się w dorosłych. Jeśli potworny robot Millera sobie z czymś nie poradzi, raczej nie pomoże też kilka pocisków z jego pistoletu. Ale jak to często w życiu, gdy trafiało się na sytuację, w której należało odprawić jakieś rytuały, po prostu się je robiło. Holden schował pistolet z powrotem do kabury, ale zatrzymał jedną dłoń na rękojeści.

Chwilę potrwało, zanim to zobaczył, ale w końcu w tunelu przed nimi pojawił się jaśniejszy punkt, który powoli rósł. Nie odbite światło z robota, tylko coś świecącego. Holden poczuł falę ulgi. Podróżował w ciasnych metalowych tunelach systemu

transferowego dłużej i dalej, niż zdawał sobie z tego sprawę, i był już bardzo gotowy do wyjścia na zewnątrz.

Tunel kończył się złożonym labiryntem nowych korytarzy. Domyślił się, że była to stacja przeładunkowa, gdzie przybywający materiał był przekierowywany do różnych punktów docelowych. Ściany wykonano z takiego samego matowego stopu, jak tunel. Maszyneria widoczna w ciasnej przestrzeni była schowana w ścianach, nie wystając poza ich obrys.

Robot-Miller zatrzymał się na chwilę, machając mackami. Holden wyobraził sobie Millera stojącego na skrzyżowaniu, stukającego palcem w podbródek i podejmującego decyzję, którą drogę wybrać. A potem nagle zobaczył Millera nakładającego się na robota. Natychmiast powrócił potężny ból głowy.

– To była tak jakby twoja wina – skomentował Miller. – To system interaktywny.

– Mamy jakieś pojęcie, gdzie idziemy?

Miller odpowiedział, skręcając do jednego z licznych tuneli. Kilka sekund później weszli do nowej, wielkiej przestrzeni. Holden dopiero po chwili zrozumiał, że ona też jest sztuczna. Pomieszczenie sprawiało wrażenie zbyt wielkiego, by ktoś mógł je zbudować. Poczł się, jakby znalazł się w centrum świata i patrzył w górę, ku powierzchni.

Wszędzie wokół stały olbrzymie, ciche maszyny. Niektóre poruszały się, drgając. Rozpoznał w nich wygląd typowy dla projektów protomolekuły: wszystkie były na wpół organiczne, na wpół maszynowe jak inne konstruowane przez nią obiekty. Tutaj potężny system rur i tłoków wznosił się z galerii wykręcającej się w spirale jak skorupa łodzika. Tam z sufitu zwisało coś o obłych kształtach, długości półtora *Rosynanta*, kończąc się dziewięciopalczystą dłonią wielkości robota Millera. Światło wypełniało przestrzeń, zdając się dochodzić ze wszystkich stron równocześnie, nadając miejscu delikatnie złoty poblask. Ziemia drżała. Holden czuł łagodne impulsy przez pancerz robota.

– Mamy poważne kłopoty, prawda? – zapytał zduszonym głosem.

– Nie – odpowiedział Miller, obracając robota, jakby mackami badał powietrze z różnych stron. – To tylko wstępne sortowanie i odzysk materiałów. Nawet nie centrum przetwarzania.

– Można by tu zaparkować pancernik.

– Nie jest na pokaz – rzucił Miller, a potem robot ruszył w stronę odległej ściany. – To cały sens tej planety.

– Huh – zareagował Holden. Stwierdził, że zgubił gdzieś mądrzejsze słowa. – Huh.

– Owszem. Na ile się orientuję, w tym układzie występują minerały, które na skalę galaktyczną są dość rzadkie.

– Lit.

– Na przykład – zgodził się Miller. – Ta planeta to stacja paliwowa. Przetwarza rudę, oczyszcza ją, wysyła do elektrowni, a potem zebrana energia jest wypromieniowywana do celu.

– Gdzie?

– Gdziekolwiek. Jest mnóstwo tego typu planet, wszystkie zasilają sieć. Ale nie pierścienie, wciąż nie wiem, skąd one czerpią energię.

Robot pędził z maszynową prędkością ku odległej ścianie, a część struktury się odsunęła. Powstał w ten sposób otwór wielkości promu naprawczego, ukazując kolejne maszyny po drugiej stronie. Niektóre z olbrzymich urządzeń poruszały manipulatorami o wyglądzie bardziej biologicznym niż mechanicznym. Pulsowały, kurczyły się, falowały. Nigdzie nie zobaczył nic tak prozaicznego, jak przekładnia lub koło.

– Przechodzimy teraz przez reaktor fuzyjny? – zapytał Holden, przypominając sobie pytanie Naomi o napromieniowanie.

– Nie. To tylko przetwarzanie rudy. Wszystkie reaktory są w tym łańcuchu wysp po drugiej stronie planety. Ci goście projektowali, uwzględniając mnóstwo elastyczności i redundancji.

– Wiesz – rzucił Holden – jeden z geologów powiedział mi, że ta planeta została mocno zmodyfikowana. I wszystko to zrobiono tylko po to, żeby zmienić ją w stację zasilania?

– Dlaczego nie? Nie potrzebowali jej do niczego innego. Pomijając rzadkie minerały, ta planeta nie jest szczególnie

ciekawa. I ciesz się, że to zrobili. Myślisz, że można mieć system kolejki podziemnej działający po dwóch miliardach lat na planecie z ruchami tektonicznymi?

Holden przez chwilę milczał, jadąc na Millerze-robotcie przez pulsującą wokół niego stację oczyszczania materiałów.

– To zbyt wiele – powiedział w końcu. – Taki poziom kontroli nad środowiskiem to zbyt wiele. Nie potrafię tego przyswoić. Co mogło ich zabić?

– Coś gorszego.

Miller-robot przemknął pod czymś wyglądającym jak system przenośnika z metalowej siatki wokół pulsujących mięśni. Klikał i jęczał w miarę jak część mechanizmu próbowała się ruszać, lecz część nie reagowała. Holdena dopadło nagle żywe wspomnienie kozy, którą znalazł jako dziecko. Miała złamaną nogę, która utknęła w płocie z drutu kolczastego, a pozostałe trzy żałośnie napierały na ziemię, żeby ją uwolnić.

– Widzisz, rzecz w tym – powiedział Miller-robot, machając szczypcami wokół, na maszynię – to tutaj to cały sens tego miejsca. Dlatego ta planeta istnieje. I gdzieś tutaj znajduje się puste miejsce w sieci planety. Miejsce, którego nie możemy dotknąć.

– I co?

– I to, że cokolwiek jest w tym miejscu, nie pochodzi stąd. A jeśli to pocisk, to ktokolwiek go wystrzelił, umiał wycelować w serce.

Rozdział czterdziesty dziewiąty

HAVELOCK

Havelock szedł po kadłubie *Rosynanta*, klikając magnetycznymi butami przywierającymi do pancerza i unosząc je ponownie. Z prawej słońce – nie jego Słońce – świeciło jaśniej niż palnik spawalniczy. Z lewej jego osobiste niebo wypełniała zachmurzona krzywizna Nowej Ziemi. Nawet gdyby spojrział w dół, górna granica egzosfery była niewidoczna, z gazem zbyt rzadkim, by wypatrzyło je niedoskonałe ludzkie oko. Olbrzymia krzywizna planety przed i za statkiem była ledwie czymś więcej niż szarością na tle pustki. Wydawała się być za blisko. Była za blisko. Mógł już sobie wyobrazić zjadliwe tarcie rozrywające jego skafander i statek, rzadkie powietrze trące mocniej niż szlifierka. Wysoko w górze jarzył się gniewny gorący bąbel, będący jednym z obronnych księżyców planety, ciemnoczerwony na tle białych gwiazd. Jego stopa dotknęła pancerza, przywarła, oderwała się.

– Jak to tam wygląda? – usłyszał głos Naomi.

– Tak jak można się było spodziewać. Chciałbym, żeby planeta nie była aż tak blisko. Ciągle mam wrażenie, że chce mi przyłożyć.

– Tak, też tak to odbieram.

Działko obrony punktowej było pojedynczą grubą lufą na półsferycznym przegubie obrotowym z metalu gładkiego jak lustro. Otwór na jego końcu był czarną kropką – tak małą, że Havelock mógłby ją zablokować końcem małego palca bez rękawicy. Wystrzeliwane z niego małe wolframowe pociski spokojnie zmieściłyby mu się na dłoni, a podajnik wyrzucał je z prędkością kilku setek na sekundę. Była to maszyna o nieludzkiej mocy i zaawansowaniu, zbudowana do reagowania szybciej, niż potrafił to ogarnąć ludzki mózg, i z siłą dostateczną, by zestrzelić wszystko, co zagrażało statkowi.

Bez zasilania mógł jej użyć jako osłony.

Położył się płasko na pokładzie, aktywując tylko magnesy na czubkach butów. Zdjął karabin z pleców i zsynchronizował z wyświetlaczem hełmu, a po chwili zobaczył garść nowych gwiazd. Czerwone dla milicjantów, zielone dla przenoszonych przez nich obiektów. *Rosynant* szarpnęła pod nim, przesuwając horyzont statku przy wyrzale z działa szynowego. Z księżyców obronnych powyżej wystrzeliło pół tuzina błękitnych smug, śledząc trajektorię pocisku z działa szynowego natychmiastową prędkością błyskawic. Przesunął się o kilka centymetrów, korygując na ruch statku, ponownie namierzył cele i otworzył ogólną częstotliwość.

– Panowie – powiedział. – Naprawdę nie musimy tego robić.

Zobaczył, że reagują. Ich ciała zeszywniały, a głowy zaczęły się obracać, szukając go. Nikt nie odpowiedział. Powiększył obraz. Wizjery mieli przyciemnione z powodu słońca, co czyniło ich anonimowymi. Ale znał ich wszystkich.

– Serio, dlaczego? Po co? Ten statek w dole i wszyscy na nim zginą. Robimy wszystko, co w naszej mocy, żeby to opóźnić, ale przecież sami to sobie policzyliście, prawda? Macie te same dane. Niczego w ten sposób nie zyskacie. Jesteście po prostu wredni. Nie musicie tego robić.

Jedna z kropek się poruszyła. Zgadywał, że to główny inżynier wrzeszczy na używanej teraz przez nich częstotliwości. Zagłusza go. Havelock przeniósł spojrzenie na jedną z pozostałych kropek. Kąt sprawiał, że trudno mu było zrozumieć, na co właściwie patrzy. Jakiegoś typu butla z gazem, z przewodami i elektroniką na jednym z końców. Domyślał się, że to jakaś improwizowana rakietka. Nie miałyby sensu, gdyby wciąż działały działka obrony punktowej, za którymi się ukrywał. Zaczął się zastanawiać, czy inżynierowie wiedzieli o wyłączeniu obrony *Rosa*, czy tylko się tego domyślali. Albo czy perspektywa własnej śmierci i nienawiść do Pasiarzy poniosły ich tak daleko, że ryzyko śmierci, żeby tylko odmówić *Barbapiccoli* chwilowego przedłużenia życia, wydawały się tego warte. Niezależnie od wszystkiego, był rozczarowany.

– Walters? Tak właśnie chcesz zginąć? Nie słuchaj ich przez chwilę. Poważnie, wyłącz radio. Nie musimy się tu śpieszyć. Myślisz, że postępujesz słusznie?

Byli już teraz wyraźnie bliżej niż na początku. Nie przyśpieszali, ale też nie hamowali. Wyświetlacz przezierny Havelocka wyświetlił obliczenia. Dotrą do *Rosa, Barb* lub łączącego ich holu za około dwadzieścia minut.

– Musicie zwolnić, panowie – powiedział Havelock. – Wciąż jesteście moimi ludźmi i nie chcę wam robić krzywdy.

Radio z kliknięciem obudziło się do życia. Głos głównego inżyniera był ciężki od złości i pogardy.

– Nie próbuj z nami pogrywać, ty zdradziecki gnoju. Działka twoich kumpli nie działają. Wiedzieliśmy, zanim wyszliśmy w przestrzeń. Masz nas za idiotów? Mamy rozkaz sprowadzić ciebie i tę pasiarską sukę z powrotem na *Israela* i wsadzić was oboje do aresztu.

– Rozkaz?

– Prosto od Murtry’ego.

Havelock domyślił się, że chodziło o precedens. RCE mogłoby twierdzić, że chroniło swoje roszczenia aż do ostatniej chwili. Dziedzictwem Murtry’ego byłby fakt, że nie ustąpił nawet na milimetr. Ani na ziemi, ani w przestrzeni, ani na abstrakcyjnym polu walki prawnej. Nigdzie.

Jeszcze nie tak dawno Havelock uznałby, że jest to oznaką czystości i twardości. Teraz wydawało się to tylko żałosne.

– Dobra – powiedział. – Ma pan rację. Działka nie działają, ale nie przemyślał pan reszty. Jestem poza statkiem. Mam pancierz, zintegrowany wyświetlacz przezierny i broń, która w każdej chwili może trafić każdego z was. Nie macie żadnej osłony. Żyjecie jeszcze tylko dlatego, że jesteście moimi podwładnymi i nie chcę wam robić krzywdy.

Obserwował ich reakcję. Była znacznie słabsza, niż na to liczył. *Ros* znowu szarpnęła. Za pociskiem z działka szynowego znowu pognały strumienie energii z księżyców. Havelock ponownie namierzył cele. Dopiero po ułamku sekundy zrozumiał ostrzeżenie wyświetlane na ekranie. Cztery cele się poruszały.

Szybko. Cztery zbiorniki z gazem gwałtownie przyspieszały, wypuszczając za sobą chmury rzadkiej mgły, gdy uwięziona w gazie woda krystalizowała w śnieg.

– Masz nadlatujące. – W jego uchu rozległ się ostrzegawczy głos Aleksa, a Havelock uniósł karabin.

Jeden z pocisków wyraźnie schodził z kursu, w spirali kierując się w stronę planety. Wycelował w jeden z trzech pozostałych i wybił dziury w obu bokach zbiornika. Zaimprovizowana rakietka zachwiała się, gdy prowizoryczny sterownik zbudowany przez inżynierów z *Israela* spróbował skompensować wyciek, ale gaz uchodzący w bok był zbyt destabilizujący. Pocisk zdryfował w bok i zaczął skręcać. Przeniósł się na dwa pozostałe cele. Nie będzie miał czasu na trafienie obu, ale zdołał umieścić dwa pociski w tym lecącym prosto na niego, próbując zniszczyć ładunek.

Ostatni cylinder uderzył w pancerz *Rosa* osiem metrów w prawo od Havelocka i świat zrobił się biały. Coś go pchnęło, coś zabolowało i dźwięk jego radia w skafandrze wciąż tam był, ale dziwnie odległy. Jego ciało wydawało się bardzo duże, jakby rozszerzyło się, wypełniając wszechświat lub ten skurczył się tak, że dopasował się do jego skóry. Jego ręce wydawały się bardzo odległe. Ktoś krzychał jego imię.

– Jestem tu – powiedział i poczuł się, jakby usłyszał nagranie swojego głosu.

Ból zaczął narastać. Wyświetlacz przezierny błyskał ostrzeżeniami medycznymi, a lewa noga zeszywniała, nie dając się zgiąć. Gwiazdy wirowały, z Nową Ziemią wyłaniającą się z dołu, a potem przemykającą za głowę. Przez chwilę nie potrafił odszukać *Rosynanta* ani *Barbapiccoli*. Może zniknęły. Zauważył w przelocie *Israela*, daleko z prawej, tak małego, że prawie mógłby go pomylić z gęsto upakowanym gwiazdozbiorem. Na wyświetlaczu przewinęło się nowe ostrzeżenie i poczuł igłę ognia wbijającą się w prawą nogę. Przeszedł przez niego zimny dreszcz, ale jego umysł jakby się trochę oczyścił.

– Havelock? – zapytał Aleks.

– Jestem – odpowiedział. – Nie zginąłem, ale chyba zostałem

zrzucony ze statku. Wygląda na to, że się unoszę.

– Możesz się ustabilizować?

– Nie sądzę. Skafander może być uszkodzony. Chyba dostałem też sporo szrapnela w lewą nogę i biodro. Mogę krwawić.

– Masz szczelność? Havelock? Tracisz powietrze?

To było bardzo dobre pytanie, ale wzbierało mu w gardle. Od wirowania zaczęło mu się robić niedobrze. Jeśli zwymiotuje do hełmu, sytuacja bardzo szybko zmieni się ze złej w fatalną. Zamknął oczy i skupił się na oddechu do czasu, aż uznał, że zdoła znieść widok. Kiedy podniósł powieki, skupił wzrok na nieruchomych obrazach odczytu wyświetlacza.

– Mam hermetyczność. Mogę oddychać.

Usłyszał spanięcie Naomi. Brzmiało jak westchnięcie ulgi. Poruszyło go to. Na skraju pola widzenia przemknęły czerwone kropki milicji. Nie potrafił stwierdzić, czy nadal się zbliżali, czy się zatrzymali. Coś jasnego stało się w atmosferze. Znowu wypaliło działo szynowe. Planeta wyłoniła się z dołu i szybko zniknęła mu nad głową.

– Trzymaj się, coyo – rzucił Basia. – Wychodzę po ciebie.

– Nie rób tego – odpowiedział Havelock. – Faceci z *Israela* mają nie tylko te improwizowane rakiety, mają też broń. Zostań w środku.

– Za późno – rzucił Basia. – Już przeszedłem przez służę. Muszę jeszcze tylko... cholera, ależ to jasne.

Havelock wykręcił się w lewo i w końcu zobaczył *Rosynanta*. Wybuch nie odrzucił go tak daleko, jak sądził, ale teraz dryfował. Z każdym oddechem coraz bardziej oddalał się od metalowo-ceramicznej bańki z powietrzem. Zaczął się zastanawiać, czy jeśli tu zostanie, jego ciało utrzyma się w górze dłużej niż statki. Zapas powietrza zdecydowanie nie. Improwizowany pocisk zostawił jasną bliznę na zewnętrznym kadłubie *Rosa*, ale nie wyglądało na to, żeby coś przebił. Twardy stateczek.

– Hm – rzucił Basia. – No proszę, strzelają do mnie.

– Wracaj do statku – polecił Havelock.

– Wróć. Za chwilę. To gdzie ty... ach! Tu jesteś.

W jego rękę trafił chwytak na linie, z żelem, który rozprysnął

się i praktycznie natychmiast stwardniał. Przy pierwszym szarpnięciu jego prawa noga zawyła z bólu, ale złożenie wektorów doprowadziło do zwolnienia obrotów. Czerwone kropki milicji były teraz znacznie bliżej. Basi groziło poważne niebezpieczeństwo postrzelenia. I wciąż mieli jeszcze osiem improwizowanych pocisków.

Rosynant skoczył. W górnej atmosferze rozjarzyła się ścieżka pocisku z działa szynowego. Czy naprawdę minęło dopiero pięć minut? Musiał przeoczyć kilka wystrzałów. A może po prostu wybuch zmienił jego odbiór upływu czasu. Albo je widział, a potem o nich zapomniał.

– Nie ciągnij za szybko – poprosił Havelock. – Kiedy tam dotrę, będziesz musiał włożyć tyle samo energii w zatrzymanie mnie. Mogę cię zbić z powierzchni. – *Albo o nią rozgnieść*, ale tego już nie powiedział.

– W niskim ciężeniu spędziłem większość życia – odpowiedział Basia z prawdziwym rozbawieniem w głosie. – Nie martw się.

Powoli obracający się *Rosynant* robił się coraz bliższy, a obroty Havelocka sprawiały, że miał wrażenie, jakby jego ciało, statek i wszechświat znajdowały się w nieco innych rzeczywistościach. Basia był ciemniejszą plamą na tle szarej ceramiki i metalu. Wyświetlacz przezierny Havelocka radośnie poinformował go, że ustabilizowało się jego ciśnienie krwi. Do tej pory nie wiedział, że jest niestabilne. Silniczki korekcyjne skafandra wciąż nie działały, ale Basia wyskoczył mu na spotkanie, zanim uderzył w kadłub, obejmując go rękami wokół ramion w niedźwiedzim uścisku, a jego skafander ich zwolnił.

– Muszę wejść do środka – powiedział Havelock, gdy tylko jego lewy but magnetycznie przyczepił się do kadłuba.

– Właśnie miałem powiedzieć to samo – odpowiedział Basia. – Dużo odłamków zgarnąłeś?

Havelock pierwszy raz popatrzył na swoją nogę. Skafander upstrzony był kopolkami awaryjnego uszczelnacza, doliczył się przynajmniej dwunastu dziur.

– Najwyraźniej wszystkie.

– Mam szybkie obiekty – ostrzegł Aleks.

Havelock odwrócił się z uniesionym karabinem, gotowy zestrzelić pociski, zanim do niego dotrą, albo umrzeć, próbując to zrobić. Znalazł je po kilku sekundach. Zielone kropki nie leciały ku niemu, kierowały się w dół, w stronę planety. W stronę *Barbapiccoli*.

– Dobra – powiedział. – Poczekaj.

– Chyba nadal do was strzelają – ostrzegła Naomi.

Przesunął się do przodu z nogą nie tyle bolącą, co upiornie odrętwiałą. Przesuwanie się *Rosynanta* przeszkadzało mu w celowaniu. Wyświetlacz potwierdził zablokowanie na celu i pociągnął za spust. Jeden z pocisków wybuchł. Basia siedział przykurczony z dłońmi i nogami przy kadłubie, a z jego ust wydobywał się strumień przekleństw brzmiący prawie jak modlitwa. Havelock spróbował poruszyć magnetycznymi butami, ale nie potrafił ich skłonić do współpracy. *Ros* szarpnął.

– Załoga *Barb* jest gotowa – poinformował Aleks. – Pierwsze uderzenie za...

W dole rozjarzyło się nowe źródło światła. Havelock poczuł uderzenie przeniesione niemal natychmiast przez hol do *Rosa* i jego butów. Przez radio usłyszał jęk Aleksa.

– Dobra – powiedziała Naomi. – To problem.

Barbapiccola w dole zaczynał się przechylać. Siła wybuchów była wystarczająca, żeby nadać mu odrobinę prędkości, obrót tak powolny, że prawie mógł udawać, że go nie ma. Prawie. Nie do końca. Pajęczyna holu została zerwana. Dwa włókna wciąż trzymały, ale pozostałe dryfowały. Jedno zostało przerwane w połowie, a pozostałe mogły się urwać od zaczepów lub wyrwać zaczepy z powierzchni kadłuba statku. Nie był pewien. Nowa Ziemia poniżej była tak wielka, że wypełniała całe jego pole widzenia. Ogarnęła go fala mdłości i doznał podobnego do halucynacji wrażenia, że planeta jest potworem wyłaniającym się z olbrzymiego oceanu, żeby ich połączyć.

– Aleks – powiedziała Naomi – zrzuć linę.

– Nie! – krzyknął do niej Basia.

– Nie reaguje – odparł Aleks. – Mechanizm zwolnienia może być uszkodzony.

Ros szarpnął i hol napiął się gwałtownie.

– Wstrzymać ogień! – krzyknął Basia. – Przestańcie strzelać z działa szynowego!

– Przepraszam – odpowiedział Aleks. – Był na automacie. Wyłączyłem program.

– Idę na *Barb* – oświadczył Basia. – Mam swój sprzęt do spawania. Może dam radę coś zrobić.

– To się nie uda – odpowiedziała Naomi. – Po prostu go przetnij. *Barbapiccola* był dobre dziesięć stopni od wcześniejszej stabilnej orbity. Wirował.

– Nie wrócę – odpowiedział Basia. – I nie przetnę go. Muszę to obejrzeć.

– Pamiętasz, że ciągle do was strzelają, prawda? – przypomniała Naomi.

– Nie obchodzi mnie to – powiedział Basia.

– Będę go osłaniał – wtrącił się Havelock. – Mogę to robić.

– Potrafisz się ruszać?

Havelock skonsultował się z wyświetlaczem. Jego podziurawiona noga była unieruchomiona i pod ciśnieniem, żeby powstrzymać krwawienie. Jeden z silniczków manewrowych został przebity. Powietrze w skafandrze miało ostrą woń topionego plastiku. To nie mógł być dobry znak.

– Właściwie to nie – przyznał. – Ale Basia może mnie przenieść za osłonę. Może do zewnętrznego wjazdu śluzy *Rosa*. Zostanę tam i będę strzelał.

– No to się pośpieszcie – rzuciła Naomi. – Ciągle się zbliżają i w końcu będą na tyle blisko, że mogą w coś trafić.

Havelock wyłączył magnez butów i odwrócił się do Pasiarza.

– No dobra. Jeśli mamy to zrobić, to chodźmy.

Basia zacisnął dłoń na ręce Havelocka i zaczął go ciągnąć wzdłuż zniszczonego boku statku. Wszędzie widać było bruzdy i jaśniejsze miejsca po uderzeniach odłamków promu, a teraz dołączyły do nich blizny po improwizowanym pocisku. Biały gejzer strzelał w pustkę w miejscu, gdzie coś wyciekało. Czas wydawał się przeskoczyć, bo nagle znalazł się przy zewnętrznym wjeździe śluzy. Był otwarty i czekał na niego. Czerwone kropki

wskazywały, że jego ludzie wciąż są odlegli o dziesięć minut lotu. *Barb* był teraz w górze, a planeta jeszcze wyżej. Już nie bestia wyłaniająca się, by go pochłonać, a niebo spadające, żeby ich zgnieść.

– Dobrze się czujesz? – zapytał Basia. – Dasz radę?

– Przeżyję – zapewnił Havelock i natychmiast sobie uświadomił, jak bardzo nedorzeczną była ta odpowiedź. – Wszystko w porządku. Trochę kręci mi się w głowie, ale ciśnienie krwi jest stabilne.

– No dobra. Zaraz wrócę. Nie pozwól, żeby te skurwysyny zepsuły to jeszcze bardziej.

– Zrobię, co się da – odpowiedział, ale Basia już odepchnął się wzdłuż holu.

Havelock sprawdził karabin i wyświetlacz. Wciąż musiał korygować na obrót *Rosa*, ale i tak szybko odnalazł małe czerwone kropki.

– No dobra, chłopaki – powiedział. – Przekazaliście, co chcieliście. Uspokójmy to trochę. Wciąż jeszcze jest czas. Nie chcę nikomu zrobić krzywdy.

Jego słowa brzmiały surrealistycznie. Jak poemat z dawnych wieków. Litania osłabiania konfliktu. Nikt tak naprawdę nie doceniał, jak dużą częścią pracy w ochronie były próby utrzymania kontroli nad sytuacją przez jeszcze kilka chwil, danie wszystkim uczestnikom kryzysu odrobiny dodatkowego czasu na przemyślenie wszystkiego. Groźba przemocy była tylko jednym z wielu narzędzi, a chodziło o to, żeby nie pogorszyć sytuacji. Jeśli był na to jakikolwiek sposób, po prostu trzeba było nie pogorszyć problemu. Pomyślał, że Murtry tak naprawdę był bardzo zły w tej części pracy.

Jego wyświetlacz oznaczył szybko poruszający się obiekt. Pocisk albo powolny meteor. Z tego kąta raczej pocisk. Kolejny leciał na trajektorii, która przemknie obok Basi. Też nie trafi, ale z niewielkim marginesem.

– No dobrze – odpowiedział Havelock, unosząc karabin. – Liczę do dziesięciu, a potem każdy, kto dalej będzie się zbliżał, zarobi dziurę. Spróbuję tylko uszkodzić wam skafandry, ale niczego nie

obiecuję.

Czerwone kropki nie zmieniły wektorów.

Dziwne. Przebył całą tę drogę, zmierzył się z wszystkimi niebezpieczeństwami, centymetr po centymetrze spadał na planetę i zmagał się o zdobycie kilku dodatkowych minut lub godzin życia, a wciąż najbardziej przejmował się tym, że będzie musiał kogoś zastrzelić.

Rozdział pięćdziesiąty

ELVI

Wózek zaprojektowano do jazdy po nierównym terenie i wysyłania na planety bez dróg. Jazda nie była gładka, ale szybka, a ryk generatora i wycie silników składały się na rodzaj hałasu, który mózg Elvi odfiltrował już po kilku godzinach jak biały szum, zostawiając ją w czymś w rodzaju ciszy. Wszędzie wokół nich wznosiły się i przemijały ruiny Nowej Ziemi. Huragan, który rozniósł Pierwsze Lądowanie na strzepy i zatopił je w błocie, nie był zjawiskiem lokalnym. Cały mijany krajobraz był potrząskany i zatopiony, choć i tak fascynujący. Wciąż piękny.

Jechali przez las powalonych cienkich, czerwonych pni, które wyglądały jak coś między drzewami a olbrzymimi grzybami, zostawiając ślady opon na ich korpusach. Latające stworzenia nie większe od jej rozłożonej dłoni unosiły się za wózkiem całymi godzinami, przyciągane hałasem, ruchem lub rozpylanymi w atmosferę węglowodorami. Zastanawiała się, jak tak delikatne stworzenia przeżyły planetarną katastrofę. Gdy zapadła noc, na niebie pojawiły się trzy olbrzymie kolumny świetlistych kropek, wyglądające jak wieżowce ze świetlików. Nie wiedziała, czy były to organizmy w rodzaju jaszczurek papuzich, czy artefakty jak jej motyle. Olbrzymie zwierzę, wysokie i szerokie jak słoń, ale segmentowane jak gąsienica, leżało martwe, gnijąc pod grzbietem niskiego wzgórza, z wystającym z wielkich boków strukturami, które wyglądały jak dwa nakładające się zestawy żeber. Chmara małych padlinożerców zawisa dookoła jak mgła. Z kałuży szarawej deszczówki unosiła się srebrno-niebieska struktura, padała i unosiła się ponownie. Mogło to być cokolwiek, ale w jej oczach to zachowanie zdawało się zabawą. Chłapanie w kałużach. Z najwyższym wysiłkiem powstrzymywała się przed próbą zatrzymania się i przyglądania się temu czemuś z bliska.

Obok niej przemykała cała biosfera – albo dwie lub trzy – pokazując przebliski i sugestie. Żałowała, że nie zobaczyła tego wszystkiego przed huraganem. Teraz mogli w najlepszym razie zgadywać, jak to wszystko wyglądało wcześniej. Pocieszała się, przypominając sobie, że to zawsze było prawdą. Cała natura była dowodem na kryzysy i zniszczenia, dostosowywaniem się, rozkwitaniem i ponownym uleganiem zniszczeniu. To, co stało się na Nowej Ziemi, było bardzo jednorazowym i konkretnym zdarzeniem, ale ten wzór był częścią zdającą się pasować wszędzie, i może faktycznie tak było. Nawet obcy, którzy zbudowali artefakty, protomolekułę i pierścienie, zginęli w jakiejś olbrzymiej kosmicznej katastrofie.

O świcie ich trójka podzieliła się resztką jedzenia. Mieli jeszcze dość wody, by przetrwać kilka dni, ale będą głodni, a później, jak sądziła, spróbują znaleźć na planecie coś, co da się zjeść. Nic z tego nie wyjdzie i umrą. Chyba że Holden naprawdę zdoła włączyć reaktory z powrotem i zrzucą im coś ze statków. Ich drogę zablokował kanion o stromych ścianach, w którym erozja odsłoniła warstwy skał równe i niezmiennie jak strony książki. System ekspercki wózka potrzebował pół godziny na znalezienie drogi w dół i ponownie na górę.

Kiedy wspomniała, jakie mają szczęście, że nie natknęli się na nic w rodzaju łańcucha górskiego, Fayez wybuchnął śmiechem.

– Najpierw trzeba by mieć płyty tektoniczne – powiedział. – Ta planeta nie ma gór, ma obrąbki.

Żadne z nich nie mówiło za wiele: hałas wózka tłumił wszystko poza krzykiem, ale miała wrażenie, że nawet gdyby jechali w ciszy, Amos Burton raczej by się nie odzywał. Spędził półtora dnia podróży wózkiem, siedząc przy przedniej szybie wózka ze złożonymi nogami i spojrzeniem utkwionym na zmianę w ręczny terminal i horyzont. Miała wrażenie, że na jego szerokiej twarzy wzbiera niepokój, strach o Holdena i statki w górze oraz planetę wszędzie wokół nich, ale mogła też po prostu przenosić na niego własne uczucia. Miał tego typu twarz.

Miejscami ślady drugiego wózka – z Murtrym i Wei – odchodziły w kierunku innym niż ich trasa. Czasami gubiły się

w miękkim błocie lub znikwały całkowicie, gdy przejeżdżali przez szerokie, mokre połacie skał. Jednak zawsze pojawiały się ponownie, z podwójnymi krechami opon, prowadzących na północ, w dzicz. Przednie reflektory oświetliły łachę żwiru i bladożółtych organizmów podobnych do ślimaków rozgniecionych pod kołami wózka. Powietrze zrobiło się chłodniejsze – albo dlatego, że jechali na północ, albo z powodu pokrywy chmur zatrzymującej energię słońca z dala od powierzchni planety. Elvi drzemała, na ile pozwalał jej pusty brzuch, z głową na kolanach Fayeza, potem się zmieniali i on spał na jej podołku. W snach była na Ziemi i próbowała kierować dostawcę pizzy przez korytarze jej laboratorium uniwersyteckiego. Obudziła się, wiedząc, że coś się zmieniło, ale dopiero po dłuższej chwili zorientowała się, na czym polegała zmiana. Wózek ucichł. Usiadła, trąc oczy.

W świetle reflektorów zobaczyła drugi wózek, opryskany błotem i z rysą na boku w miejscu, gdzie otarł się o coś twardszego niż jego bok ze stopu. Amos zeskoczył na ziemię i obszedł go powoli dwa razy, raz zaglądając do wózka, drugi raz wyglądając w ciemność.

– Co się dzieje? – zapytała. – Wszystko w porządku?

– Spaliły się im silniki – wyjaśnił Amos, wsiadając z powrotem do wózka. – Błoto dostało się do osi i go nie wyczyścili. Gdziekolwiek poszli dalej, zrobili to na piechotę.

– Jesteśmy blisko Holdena?

– O tak – potwierdził Amos, unosząc swój terminal. – To jego ostatni sygnał. Był krótki, ale dał nam całkiem niezłą orientację w jego położeniu. Ruszymy w tamtą stronę z nadzieją, że znowu pojawi się sygnał. – Mapa nie miała skali, ale zobaczyła na niej dwie kropki: jedną dla nich, drugą dla kapitana. – Jeśli mam rację, zbliżamy się do końca tego wszystkiego. I to my nadal mamy transport. Od tej pory powinniście raczej leżeć na podłodze.

– Dlaczego? – zapytał Fayez.

– Na wypadek, gdyby postanowili kogoś zastrzelić – wyjaśnił Amos, ponownie włączając generator.

– W porządku – odpowiedział Fayez, choć Amos raczej nie miał

szans go usłyszeć przez ryk generatora. – To ma sens.

Ale ona go usłyszała.

Do struktury dojechali w bardzo wczesnych godzinach porannych, w trakcie ciągnącego się w nieskończoność czasu między północą a świtem. Z początku zobaczyli tylko migotanie w ciemności, jak kawałek gwiaździstego nieba. Przez chwilę myślała, że może to przerwa w chmurach. Jednak im bardziej się zbliżali, tym bardziej oczywiste się stawało, że to coś innego.

W ciemności trudno było zobaczyć szczegóły, ale budowla wydawała się dzielić taki sam, niemal organiczny projekt jak ruiny w Pierwszym Ładowaniu, tyle że była o kilka rzędów wielkości większa. Miała wrażenie, że znalazła się na skraju olbrzymich ruin przemysłowych zachodniego wybrzeża Europy, w miejscu, gdzie kiedyś dominowało coś na skalę planety, zostawiając po sobie tylko powłokę. Gdy w światłach reflektorów pojawiły się pierwsze płatki śniegu, pomyślała, że to popiół.

– Tam właśnie jedziemy? – zapytał Fayez.

– Tak sądzę – potwierdził Amos. – Nie mieliśmy porządnego sygnału od kapitana już od kilku godzin, a to tutaj to mniej więcej miejsce, z którego dotarł ostatni odczyt. Pewnie gdy znajdziemy się w środku, sygnał nie będzie wychodzić.

– Albo to go zjadło – skomentował Fayez. – To mogło go po prostu zjeść.

– Kapitan byłby twardym kęsem do zgryzienia – odpowiedział Amos.

Wózek jechał dalej, tocząc się w stronę ostatniej znanej pozycji Holdena. Z ziemi wyrastały olbrzymie czarne kolce, z których niektóre przechylały się, śledząc ich przejazd. Śnieg zgęstniał, przyklejając się do ziemi i wózka. Z drugiej strony struktura pozostawała czysta, topiąc biel. To jest ciepłe, pomyślała Elvi i nie potrafiła stwierdzić, dlaczego tak ją to zaniepokoiło.

Wózek przejechał przez łuk wysoki na dziesięć metrów i znalazł się wewnątrz budowli. Śnieg przestał padać. Wszędzie wokół nich jarzyły się ściany, wypełniając przestrzeń łagodnym światłem bez cieni. Powietrze było cieplejsze i pachniało czymś ostrym i gryzącym, jak opary alkoholu, tylko ostrzej. Wózek

przesunął się w jedną stronę, potem w drugą, szukając ostatnich śladów elektronicznej woni Holdena, w końcu poddał się i stanął. Amos przełączył go na sterowanie ręczne i zaczął prowadzić osobiście. Przez jakiś czas drogi prowadziły spiralami i pętlami, ale potem poszerzyły się i wyprostowały. Dach budowli niknął w ciemności, a z ziemi wznosiły się długie rury przewodów lub naczyń krwionośnych, płynąc razem, do wnętrza, do przodu, w stronę funkcjonalnego serca tego miejsca. Wózek zwolnił. Amos podniósł z podłogi strzelbę i wystrzelił. Dźwięk powrócił odbity echem.

– Co czego strzelasz? – zapytała Elvi.

– Do niczego konkretnego. – Amos wzruszył ramionami. – Pomyślałem po prostu, no wiesz, o czymś *głośnym*. – Złożył dłonie przy ustach i krzyknął. – Kapitanie! Jesteś tu? *Holden!*

– Jesteśmy pewni, że on tu jest? – zapytał Fayeze.

– Nie – odparł Amos, a potem wrócił do krzyków. – Kapitanie!

Zza wielkiej maszyny pięćdziesiąt metrów od nich wyszła postać. Miała kształt i rozmiary człowieka, a Elvi przez chwilę czuła dezorientację tym, jak bardzo nie na miejscu się tu wydawała. Amos pewnie chwycił strzelbę i skierował w stronę postaci. Ta stała nieruchomo ze stopami rozstawionymi na szerokość ramion i rękami po bokach, czekając na podjeżdżający wózek. Kiedy zbliżyli się na dziesięć metrów, Amos wyłączył generator.

– Cześć – rzucił przyjaznym i nieszczerym głosem.

– Cześć – odpowiedziała Wei, unosząc podbródek.

Amos wyskoczył z boku wózka ze strzelbą w dłoni trzymaną tak, jakby po prostu o niej zapomniał. Elvi popatrzyła na Fayeza, który wzruszył ramionami. Zsunęła się na ziemię i powoli ruszyła do przodu. Oparła ręce o przednią oponę, której bieżnik był ciepły w dotyku, ale wyraźnie stygł.

– Co robisz? – zapytał Amos.

– Pracuję – odpowiedziała Wei, kiwając głową na otaczającą ich, olbrzymią strukturę. – RCE ma prawo do tego wszystkiego. Ja tylko pilnuję, żeby nikt go nie naruszył.

– Masz na myśli kapitana.

– Mam na myśli każdego – odparła wyraźnie twardszym głosem.

– Moim zdaniem to cholernie brzydkie miejsce.

– Zgadzam się.

– Naprawdę będziemy to robić? Bo moim zdaniem o wiele fajniej byłoby, gdybym zabrał Holdena, a ty Murtry'ego i gdybyśmy razem sprawdzili, czy doktorka tam z tyłu nie znajdzie na tej kuli błota czegoś z alkoholem.

– Owszem, to wydaje się dobrą zabawą – przyznała Wei. – Ale jestem na służbie.

Zza Elvi wyłonił się Fayez z rękami złożonymi na piersi. Brwi miał zmarszczone tak mocno, że prawie się stykały.

– Ale rzecz w tym? – powiedział Amos. – Właśnie, Holden jest gdzieś tam i sądzę, że Murtry poszedł go szukać.

– Możliwe.

– To kiedy wrócę do kabiny i pojedę dalej...

– Nie chcesz tego robić, Amos. Mam rozkaz, żeby nikogo nie wpuszczać. Wskakuj do środka i jedź z powrotem, a nie będę ci przeszkadzać, ale jeśli spróbujesz naruszyć własność RCE, będę musiała cię zastrzelić.

Amos potarł głowę lewą dłonią. Strzelba w jego prawej ręce nagle wydała się trochę większa. Jakby groźba przemocy nadała jej większego znaczenia, a to przełożyło się na wagę. Elvi zauważyła, że oddycha szybko i płytko i przez chwilę myślała, że coś zmieniło się w samym powietrzu, ale to był tylko strach.

– Kapitan jest tam w środku, próbując włączyć z powrotem reaktory – powiedział Amos.

– To znaczy, że wszedł na cudzy teren i musi wyjść. – Postawa Wei złagodniała na chwilę, a kiedy znowu się odezwała, w jej głosie zabrzmiało coś przypominającego żal. Nie faktyczny żal, ale coś podobnego. – Gdy przyjdzie czas na odejście, są gorsze sposoby niż polec na stanowisku.

Amos westchnął, a Elvi zobaczyła, jak opuszcza ramiona.

– Twoja decyzja – powiedział, unosząc strzelbę.

Wystrzał zabrzmiał z tyłu. Amos pochylił się do przodu.

– Padnij! – wrzasnął Murtry z tyłu, a Elvi odruchowo się skuliła.

Fayez przycisnął się do niej z jednej strony, z drugiej miała wielkie koło. Wystrzał ze strzelby zabrzmiał równocześnie z ostrym trzaskiem pistoletu. Elvi obejrzała się i zobaczyła Wei na ziemi, z rękami rozrzuconymi na boki. Amos z wysiłkiem podnosił się na kolana. Był do niej zwrócony plecami, zobaczyła na nich krew, także na jego szyi, ale nie wiedziała, skąd pochodzi. Obok niej przeszedł Murtry, strzelając z pistoletu dwa, trzy, cztery razy. Widziała, jak pancierz Amosa ugina się przy każdym strzale. Murtry nie pudłował. Jej własny krzyk zabrzmiał wysoko i dziwnie nieporadnie.

Murtry wybiegł zza wózka, a Amos odwrócił się z rykiem, strzelając trzy razy ze strzelby. Fale uderzeniowe wystrzałów ugniatały powietrze. Murtry zatoczył się do tyłu, ale nie upadł. Jego następny strzał wzbił małą fontannę krwi z uda Amosa, przewracając go. Murtry opuścił pistolet i zakaszłał.

– Doktor Okoye. Doktorze Sarkis – powiedział. Pancierz na jego piersi był roztrzaskany. Gdyby go na sobie nie miał, strzały Amosa wyrzuciłyby mu serce przez kręgosłup. – Muszę powiedzieć, że jestem rozczarowany waszą decyzją o przyjeździe tutaj. Oraz wyborem towarzystwa.

Amos głośno i nierówno wciągał powietrze. Murtry podszedł do niego ostrożnie i kopnięciem odsunął strzelbę. Metal zasyczał na dziwnej, prawie chitynowej podłodze.

– Zastrzelełeś go – powiedział Fayez.

– Oczywiście, że tak. Zagroził życiu członka mojego zespołu – odpowiedział Murtry, podchodząc do Wei. Westchnął. – Żałuję tylko, że nie zdołałem uratować sierżant Wei.

W oczach Elvi pojawiły się łzy. Poczwała, że wstrząsa nią łkanie. Amos uniósł rękę. Brakowało w niej kciuka i palca wskazującego, a przez krew widać było jasnorożową kość. Odwróciła wzrok.

– O czym pan mówi? – zapytał Fayez.

Drżał mu głos.

– Doktorze Sarkis? Chciałby pan coś dodać? – powiedział Murtry, wsuwając nowy magazynek do pistoletu.

– Pan to wszystko ustawił. Ustawił pan to wszystko. Kazał jej pan tam stać, żeby odwrócić uwagę Amosa, i strzelił mu w plecy.

To nie jest po prostu coś, co się stało, a pan zrobił, co mógł dla biednej pieprzonej Wei. Pan to *zrobił!*

– Gdyby pan Burton zrobił to, o co go prosiliśmy i opuścił to miejsce...

– Próbował nas uratować! – wrzasnął Fayeze. Zacerwienił się i zrobił krok do przodu. Dłonie zacisnął w pięści.

Murtry popatrzył na niego, a w jego wzroku pojawiło się coś mniej uprzejmego od zainteresowania.

– On i Holden próbują nas uratować! Pana, mnie, Elvi, wszystkich. Co pan, u diabła, robi?

– Chronię aktywa, prawa i roszczenia Royal Charter Energy – odpowiedział Murtry. – To, czego nie robię, i mam nadzieję, że pan to rozumie, to bieganie w kółko z futem w rękach, narzekając na to, jak nic nie ma znaczenia, bo wszyscy zginiemy. Wsiadając na *Edwarda Israela*, wszyscy wiedzieliśmy, że możemy nie wrócić. To było ryzyko, które gotowi byliście podjąć, ponieważ oznaczało, że będziecie mogli wykonywać swoją pracę. Ja się tu niczym nie różnię.

– Doprowadził pan do śmierci Wei! – krzyknął Fayeze. Elvi położyła mu dłoń na ramieniu, ale ją stracił. – Zginęła przez pana!

– Jej kolej teraz, moja później – skomentował Murtry. – Ale wcześniej muszę zrobić kilka rzeczy.

Szef ochrony sprawdził swój pistolet i spojrzał w dół na Amosa Burtona, który patrzył na niego z nienawiścią. Murtry opuścił lufę ku twarzy krwawiącego mężczyzny. *Odwróć wzrok*, pomyślała Elvi. *Nie patrz na to. Odwróć wzrok.*

Fayeze uderzył Murtry'ego w nos. Ruch był tak szybki i niezgrabny, że w pierwszej chwili Elvi nie była pewna, czy naprawdę się to stało. Patrzyła na wyraz otwierających się coraz szerzej oczu Fayeze, gdy docierało do niego, co zrobił, a potem decydował o powtórzeniu. Murtry odwrócił pistolet od Amosa, obracając go w stronę Fayeze, a geolog wpadł na niego z krzykiem. Murtry zatoczył się do tyłu, ale nie upadł.

– Elvi! – krzyknął Fayeze. – Uciekaj!

Zrobiła krok do przodu. Amos poruszył się na ziemi i gdzieś z wnętrza jego pancerza pociekła krew. Zęby miał odsłonięte

i czerwone. Uśmiechał się.

– Uciekaj! – wrzasnął Faye.

Wokół nich wznosiły się wielkie szare ściany. Migotały fałszywe gwiazdy. Nie mogła oddychać. Zrobiła niepewny krok do przodu. Potem następny. Miała wrażenie, że porusza się w żelu, zmuszając się do każdego ruchu. Szok, pomyślała. *Jestem w szoku. Ludzie umierają od szoku, prawda? W jej wspomnieniach Faye pokręcił głową i powiedział, no zobacz, kolejna wymówka, żeby iść porozmawiać z Holdenem.*

Holden. Musiała znaleźć Holdena. Zrobiła kolejny krok, potem następny. A potem biegła, machając rękami i nogami, wydając z gardła ciche zwierzęce posapywania. Gdzieś za jej plecami dwa razy wystrzelił pistolet, potem jeszcze raz. Nie obejrzała się. Wszystko w niej, wszystko, czym była, skupiło się tylko z przodu, wzdłuż szerokich, ciemnych żył struktury, prowadząc ją tam, gdzie się zbiegały.

Elvi biegła.

Rozdział pięćdziesiąty pierwszy

BASIA

Basia sięgnął, by dotknąć cumy, która zawibrowała pod jego palcami w rękawicy jak żywe stworzenie.

- Aleks - Naomi nie do końca krzyknęła na ogólnym kanale łączności - wysyłam ci program ciągu. Musimy trzymać ten kabel napięty, aż Basia go przetnie, bo inaczej *Barb* rozerwie nas i siebie na części.

- Nie przetnę go - powtórzył Basia, ale nikt nie odpowiedział. Sprawdził, czy ma włączony mikrofon.

- Jeden - powiedział Havelock, kończąc swoje odliczanie. - Koniec czasu, panowie.

Basia nie potrafił stwierdzić, czy groźby ochroniarza miały jakiś skutek. Ekran w jego hełmie wciąż wyświetlał czerwone linie lecących pocisków. Zignorował je.

Rosynant w górze zaczął się przesuwac, odpalając pozostałe silniczki manewrowe w reakcji na powolny obrót *Barbapiccoli*, desperacko starając się nie dopuścić do poluzowania kabla. Przy dwóch masywnych statkach obracających się wzdłuż różnych osi przewód mógł przejść z luzu do tysięcy ton naciągu na tyle szybko, by wyrwać mocowania ze statków, zabierając przy okazji kawałek kadłuba.

- Basia - Naomi odezwała się łagodnym głosem. - Nie mogę ci dać wiele czasu. I wiesz, że niezależnie od wszystkiego to i tak skończy się tak samo.

- Sprawdzam połączenie z *Barb* - oznajmił, zamiast jej odpowiedzieć.

Mocowanie było plątaniną powykręcane go metalu i uszkodzone go kabla. Wyszarpnięte zaczepy wyrwały kawałki kadłuba, a te wciąż zamocowane rozciągały się i luzowały z każdym obrotem statku. Basia spróbował policzyć wartość

naprężenia na mocowaniach i kablu, ale mu się to nie udało. Gdyby się urwał, prawdopodobnie przeciąłby go na pół. Jeśli miał go przeciąć, Aleks musiałby najpierw zluźnić hol.

– Nie przecinam go – powiedział po raz kolejny, bardziej do siebie niż do innych.

Przecięcie go oznaczałoby pozwolenie *Barb* na oddryfowanie, spadek w górną atmosferę, gdzie rozpadłby się i spalił. Zgodę na śmierć Felci. Aleks obiecał, że do tego nie dopuści.

Na jego wyświetlaczu pojawiły się dwie czerwone linie, którym przez chwilę towarzyszyły słowa NIEBEZPIECZEŃSTWO, BLISKO. Nie był na bieżąco z wojskowym żargonem, ale domyślił się, co to znaczyło. Podciągnął się za mocowanie kabla i ukrył się. Z czerni między *Israelem* i *Barb* na chmurkach gazu leciało w jego stronę dwunastu ludzi w skafandrach. Wciąż mieli kilka swoich improwizowanych pocisków.

– Panowie – odezwał się Havelock z prawdziwym smutkiem w głosie.

– Havelock – krzyknęła Naomi – jeśli pozwolisz tym dupkom zastrzelić Basię, możesz nie wracać na mój statek.

– Potwierdzam – odpowiedział smutno Havelock.

Jeden z dwunastu napastników zawirował w bok, gdy z jego plecaka manewrowego wystrzelił strumień gazu. Mężczyzna zaczął się oddalać od pozostałych, dalej wirując dziko.

– Jeden z was powinien po niego polecieć – zasugerował Havelock. – Jego plecak manewrowy jest do niczego.

Zanim skończył to mówić, dwóch z pozostałych napastników ruszyło w stronę ofiary, celując w nią z wyrzutni linek.

– Havelock, ty dupku – Koenen odezwał się na otwartej częstotliwości, gdzie wszyscy go słyszeli. – Będę miał frajdę z podziurawienia cię.

Razem z zespołem otworzył ogień w stronę pozycji Havelocka w śluzie, zmuszając go do ukrycia się.

Teraz, gdy wszyscy przestali na niego patrzeć, Basia mógł wreszcie przyjrzeć się zniszczonemu zaczepowi.

– Naomi, mój skafander przesyła ci zdjęcia uszkodzenia.

– Basia, ja... – zaczęła.

– Pomóż mi to naprawić – powiedział, ucinając jej. – Jeśli *Barb* ma więcej kabla, mogę go tu zamocować, gdy Aleks będzie pilnował, żebyśmy nie stracili do końca pozostałego połączenia.

– Basia – odezwała się Naomi łagodnym i smutnym głosem. – Tego nie da się naprawić. *Barbapiccola* spada. Niczego nie zyskamy, jeśli pociągniemy nas ze sobą.

– Nie przyjmuję tego do wiadomości! – krzyknął do niej Basia na tyle głośno, że dźwięk został zniekształcony przez głośniczki skafandra. – Musi być jakiś sposób!

Skafander błysnął na niego ostrzeżeniem, więc schował się z powrotem za osłonę akurat na czas, by uniknąć salwy pocisków, które odbiły się od kadłuba, zostawiając lśniące wgniecenia na szarym metalu. Jeden z pozostałych dziewięciu napastników wyrzucił ręce w górę, jakby się poddawał, a potem znieruchomiał, wirując wolno w stronę *Barbapiccoli*.

– Williams nie żyje – powiedział główny inżynier. – Właśnie zabiłeś pracownika RCE. Spłoniesz za to, Havelock.

– Wiesz co, inżynierze? Pierdol się – odpowiedział Havelock cichym głosem, w którym tym razem słychać było prawdziwą złość. – To ty to eskalowałeś. Nie prosiłem o to. Wycofajcie się. Marwick, zabierz stąd swoich ludzi! Nie pozwól mu tego dalej przeciągać!

W radiu zabrzmiał inny głos, starszy i jeszcze smutniejszy.

– To nie są moi ludzie, panie Havelock. Wie pan równie dobrze jak ja, że nie mam władzy nad zespołem ekspedycyjnym.

– Zgadza się, skurwysynu – potwierdził główny inżynier. – Działamy na podstawie rozkazów szefa ochrony Murtry’ego.

Basia przestał słuchać kłótni Havelocka, Marwicka i głównego inżyniera. Dojdą do porozumienia albo nie. Havelock zabije kolejnych albo nie. Kapitan wymusi swoją władzę lub nie. Nic z tego nie zmieniało problemu Basi. Jego córka znajdowała się na pokładzie statku, który powoli wirował w niekontrolowany sposób i tracił wysokość. W pewnym momencie dotrze do atmosfery na tyle gęstej, że pojawi się zauważalny opór aerodynamiczny, który go zwolni i wciągnie głębiej w zabójcze powietrze, a krótko potem statek spłonie. *Rosynant* nie mógł go

uratować. Ogarnęło go poczucie bezradności i żalu, ale zmusił się, żeby nie płakać. Z warstwą łez na oczach nie będzie niczego widział. Musiał być jakiś inny sposób.

– Basia – powiedziała do niego Naomi na prywatnym kanale. Zorientował się, że to zrobiła, bo kłótnia między Havelockiem a ludźmi z RCE została nagle ucięta w pół słowa. – Basia, wypuszczają twoją córkę.

– Co?

– Mam połączenie z kapitanem *Barbapiccoli*. Wyjaśniłam mu sytuację. On... cóż, nie jest szczęśliwy, ale rozumie. Aleks obiecał ci, że jeśli statki spadną, Felcia będzie wtedy na *Rosynancie*. Dotrzymamy tej obietnicy.

– Jak? – zapytał Basia.

Biorąc pod uwagę powolne wirowanie statków, nie potrafił sobie nawet wyobrazić, jak niebezpieczne byłoby dokowanie. Kołnierze dokowe statków były elastyczne, ale nie aż tak.

– Właśnie prowadzą ją do śluzy. Wsadzą ją w skafander próżniowy i wyślą do ciebie. Będziesz musiał zabrać ją na ten statek, a potem... potem będziesz musiał przeciąć hol.

Coś w kołnierzu dokowym wzbudziło w nim jakąś myśl. *Rosynant* nie mógł zadokować do *Barbapiccoli*, żeby wyciągnąć skazaną na śmierć załogę, ale skafander próżniowy był w gruncie rzeczy bańką powietrza utrzymującą przy życiu noszącą go osobę.

– Kołnierz dokowy – powiedział. – Czy da się go uszczelnić po obu stronach? Moglibyśmy go podłączyć do *Barb*, uszczelnić wokół grupy ludzi, a potem przenieść ich na *Rosa*.

– Trzeba by go było odciąć od obsady w śluzie – odpowiedziała Naomi.

Gdy to mówiła, w zaczep holu uderzyło kilka pocisków, niczym wizualne podkreślenie jej słów. Kolejny inżynier zawirował ze skafandrem przebitym w dwóch miejscach. Naomi dalej mówiła do Basi, ale on nie słuchał.

– A co ze śluzami awaryjnymi? – zapytał. – Wiesz, tymi w typie plastikowych pęcherzy? Są robione do utrzymania atmosfery i mają zapas tlenu.

- Trzeba je do czegoś przymocować – przypomniała Naomi.

- A gdyby – odpowiedział Basia – przymocować je do siebie?
Uszczelka do uszczelki?

Naomi milczała przez dłuższą chwilę. Kiedy znowu się odezwała, mówiła powoli, ważąc słowa. Jakby równocześnie myślała i mówiła na głos to, o czym myśli.

- Bańka podtrzymania powietrza. – Basia zauważył, że przełączyła ich z powrotem na kanał ogólny, bo znowu zaczął słyszeć głośną kłótnię Havelocka. – Panowie, mamy pomysł. Wyciągniemy załogę z *Barbapiccoli* w kapsułach ratunkowych zrobionych z dwóch połączonych ze sobą śluz awaryjnych. *Rosynant* ma tylko jedną, ale jeśli *Barb* ma jedną...

- Jaja sobie robisz? – zabrzmiał nowy głos. Basia go rozpoznał. Kapitan pasiarskiego statku. – Naszą ktoś przerobił na części do destylarni jeszcze w czasach, zanim przelecieliśmy przez ten pinche pierścień.

- My mamy ich mnóstwo – wtrącił się Havelock. – *Israel* przyleciał tu, wioząc za dużo wszystkiego. Założę się, że mają w magazynie ze dwadzieścia.

- To dziesięć baniek – rzucił Basia. – W zupełności wystarczy, żeby pomieścić całą załogę na krótki lot.

- Kapitanie Marwick – odezwał się Koenen – nie może pan przekazać tym ludziom kluczowego zaopatrzenia RCE.

- Marwick – odpowiedział Havelock. – Nie pozwól zginąć setce niewinnych ludzi z powodu tych bzdur. Nie dopuść do tego.

- Och, kurwa. I co mi zrobić? Anulują mój kontrakt? – odpowiedział Marwick, a potem westchnął głęboko. – *Israel* przechodzi do przeniesienia baniek ratunkowych. Natychmiast polecę zespołowi materiałowemu ich uszczelnianie.

- Kapitanie – warknął główny inżynier – działamy tu z bezpośrednich rozkazów szefa ochrony Murtry'ego, który rozkazał nam uszkodzić statek dzikich lokatorów. Nie udzieli im pan pomocy.

- Jesteś taką straszną gnidą – skomentował Havelock. – Kompletnie ci odbiło?

- Zablokuję każdą próbę... – zaczął mówić główny inżynier,

a potem gwałtownie umilkł.

Hol przy Basi gwałtownie się napiął, prawie wyrywając kilka pozostałych zaczepów z powłoki *Barb*. Poniżej, przez tarczę Ilusa przemknął pocisk z działa szynowego, ścigany ogniem z obronnych księżyców. Zniknęła też jedna z czerwonych kropek wrogów na wyświetlaczu przeziernym Basi.

– Przepraszam – odezwał się Aleks z wyjątkowo silnym akcentem, przeciągając słowa. – To ja. Ale ten gość strasznie mnie wkurzał, a miałem go na celowniku. Będę miał problemy?

Przez dłuższą chwilę panowała cisza. W końcu przerwał ją kapitan Marwick.

– *Israel* w drodze.

Przygotowanie, a potem przeniesienie z *Israela* prowizorycznych kul uciezkowych zajęło prawie trzy godziny. Basia śledził upływ czasu, licząc uzupełnienia tlenu swojego skafandra. Odmówił powrotu na *Rosynanta* do chwili, aż jego córka opuści skazaną na zagładę fregatę Pasiarzy. Aleks zluźował trochę hol starannie wyliczonym ciągiem silniczków manewrowych, a Basia przeciął linę. Nie było już powodu, żeby utrzymywać połączenie jednostek.

Jeden z członków grupy ekspedycyjnej *Israela* składającej się z inżynierów zmienionych w amatorską milicję skontaktował się z Havelockiem i przeprosił za to, jak dramatycznie sytuacja wymknęła się spod kontroli. Większość obwiniła głównego inżyniera. Niezależnie od tego, czy faktycznie był całkowicie odpowiedzialny za eskalację, Basia był pewien, że historia nie zapamięta go najlepiej. Jeden z inżynierów przyznał się do odpalenia pocisku w *Barbapicolę* i zaoferował pomoc w naprawianiu uszkodzeń. Basia obiecał, że go zabije, jeśli się zbliży. Zgodzili się, że nie będą się godzić.

Nawet po dostarczeniu zmodyfikowanych śluz awaryjnych załoga *Barbapicoli* i przebywający na pokładzie statku koloniści potrzebowali jeszcze dwóch godzin na uzupełnienie zbiorników z powietrzem i zamknięcie wszystkich w środku. Kiedy skończyli, według komputerów *Rosynanta* statek już ocierał się o górne warstwy atmosfery. Odliczanie zegara zakończyło się.

Ale Basia unosił się teraz przed wielkimi wrotami ładowni *Barbapiccoli*, czekając na ich otwarcie i uwolnienie jego córki.

Zaczęło się od kreski białego światła rozcinającej bok wielkiego frachtowca. Potem drzwi zaczęły się rozsuwać, odsłaniając olbrzymią ładownię statku. Na tle tysięcy ton surowej rudy litu unosiło się dziesięć częściowo przejrzystych baniek. Ktoś skonfigurował zdalne sterowanie tak, by otworzyć drzwi ładowni, a uciekające z *Barbapiccoli* powietrze łagodnie wypchnęło bańki na zewnątrz.

Kule wylatywały w próżnię, małe bańki powietrza mieszczące po kilkanaście osób, otoczone zamrożoną mgłą tego, co jeszcze przed chwilą było atmosferą ich statku. Zza krawędzi planety wyrzała gwiazda Ilusa, podświetlając bańki i zmieniając ludzi unoszących się w środku w czarne sylwetki, zdumiewająco ostre na tle rozmytych plastikowych ścian. Jak kartonowe obrysy podświetlone reflektorem.

Basię dopadło nagłe wspomnienie kąpienia Jacka w kuchennym zlewie, gdy był jeszcze niemowlęciem: chłopiec puścił bąka do wody, przez co pojawiła się w niej chmara małych baniek, powoli unoszących się na powierzchnię. Roześmiał się od tego wspomnienia tak, że aż rozbolał go żołądek. Zrozumiał, że była to bardziej reakcja na ulgę z powodu faktu, że jego córka może przeżyć, niż skojarzenie ze wzdęciem małego chłopca, ale i tak się śmiał.

– Wszystko u ciebie w porządku? – zainteresowała Naomi.

– Kąpałaś kiedyś niemowlę w kuchennym zlewie?

– Tak – potwierdziła. – Kąpałam.

– Puszczają bąki?

– Nie rozu... – zaczęła mówić, a potem roześmiała się razem z nim.

Z otwartej śluzy *Israela* wystrzeliło dziesięć lin holowniczych, a Basia łąpał je kolejno i mocował do baniek. Bańka Felci była ostatnia. Kiedy ciągnął za pasek na końcu holu w celu aktywacji kleju, zobaczył ją przez maleńkie przezroczyste okienko śluzy. Słońce schowało się za planetą, więc wizjer Basi przestał być przyciemniony. Włączył oświetlenie w hełmie, żeby mogła go

zobaczyć. Jej twarz się rozpromieniła, a usta tak wyraźnie ułożyły się w słowo Tata, że mógłby przysiąc, że je usłyszał.

– Cześć, skarbie – powiedział, i przyłożył dłoń w rękawicy do okienka.

Ona zrobiła to samo po swojej stronie, małe, zręczne paluszki przy jego wielkich i niezgrabnych.

Uśmiechnęła się i wskazała za niego, układając usta w „łał”.

Obejrzał się. *Israel* zaczął kolejno wciągać bańki. Kilkanaście osób przeciągano przez próżnię kosmosu w osłonie powietrza niewiele większej od nich. Kiedy zaczęto zwijać linę Felci, Basia trzymał dłoń na bańce, aż została łagodnie, łagodnie od niego odciągnięta. Jego mała dziewczynka trafiała w bezpieczne miejsce. Jasne, tylko tymczasowo, ale tym właśnie było bezpieczeństwo.

Właśnie w tej chwili Basia poczuł się tak, jakby ktoś walnął go młotem w pierś. Wszyscy w tych małych pęcherzykach powietrza byli dla kogoś Felciami. Każde uratowane tu życie przepełniało kogoś ulgą i radością. Każde życie zgaszone przed czasem było kolejnym Katoą. Komuś gdzieś wyrывało serce.

Basia poczuł detonator w swoich dłoniach, koszarne kliknięcie przenoszone na jego nadgarstek po wciśnięciu przycisku. Znowu poczuł straszną falę uderzeniową, gdy lądowisko nikło w płomieniach. Czuł przerażenie ustępujące strachowi, gdy nieszczęśliwy zbieg wydarzeń umieścił prom zbyt blisko wybuchu i strącił go z nieba.

Poczuł to wszystko tak wyraźnie, jakby w tej chwili działo się to ponownie. Jednak jeszcze bardziej poczuł żal. Ktoś właśnie próbował zrobić to samo jego córeczce. Próbował ją zabić nie dlatego, że jej nienawidził, ale po prostu dlatego, że stała na drodze jego politycznego przekazu. Wszyscy, którzy zginęli na tamtym promie, byli czyimiś Felciami. A on zabił ich wciśnięciem przycisku.

Wcale tego nie chciał. Próbował ich uratować. To kłamstwo powtarzał sobie już od miesiący, trzymając je blisko serca, jednak prawda była dużo gorsza. Jakaś jego głęboka część chciała zniszczyć tamten prom. Radowała się, patrząc, jak spada z nieba

w płomieniach. Chciał ukarać ludzi, którzy próbowali mu odebrać planetę.

Tylko że to też było kłamstwem.

Rzeczywista prawda, prawda kryjąca się pod tym wszystkim była taka, że chciał, by inni zaznali jego bólu. Chciał ukarać wszechświat za bycie miejscem, w którym zginął jego chłopczyk. Ukarać innych ludzi za to, że żyli, choć Katoa był martwy. Ta jego część przyglądała się, jak płonie prom i myślała *teraz wiecie, jakie to uczucie. Teraz wiecie, jak się czuję.*

Tylko że ludzie, których skrzywdził, właśnie uratowali jego córkę, ponieważ byli ludźmi, którzy nie potrafili pozwolić nawet wrogom na śmierć z bezradności.

Pierwsze łkanie wzięło go z zaskoczenia, prawie zginając go w pół swoją siłą. A potem oślepnął, z oczami pełnymi wody i gardłem ściśniętym, jakby ktoś go dusił. Z wysiłkiem wciągał powietrze, a każdy oddech zmieniał się w łkanie.

– Basia! – Naomi wyraźnie się zaniepokoiła. Przed chwilą wariacko się śmiał, a teraz łkał. Musiał brzmieć jak szaleniec. – Basia, natychmiast wracaj!

Próbował jej odpowiedzieć, uspokoić się, ale kiedy się odezwał, potrafił tylko powiedzieć:

– Zabiłem ich.

– Nie – odpowiedziała. – Uratowałeś ich. Uratowałeś ich wszystkich.

– Zabiłem ich – powtórzył, mając na myśli gubernatora, Coopa, Cate i oddział ochrony RCE, ale przede wszystkim Katoa. Zabijał swojego synka na nowo za każdym razem, gdy pozwolił komuś innemu na śmierć, by ukarać go za śmierć jego syna. – Zabiłem ich – powiedział jeszcze raz.

– Tym razem ich uratowałeś – powtórzyła Naomi, jakby czytała jego myśli. – Tych uratowałeś.

* * *

Havelock czekał na niego w służbie. Basia wiedział, że ochroniarz RCE musiał słyszeć jego załamanie, i kiedy na niego popatrzył, poczuł tylko wstyd. Ale choć twarz mężczyzny była ściągnięta

z bólu, nie było w nim żadnej drwiny, gdy chwycił rękę Basi.

– Dobrze się tam spisałeś – powiedział.

Basia kiwnął głową, nie ufając sobie na tyle, by się odezwać.

– Zobacz. – Havelock wskazał drzwi służy.

Basia odwrócił się i zobaczył *Barbapiccolę* zostawiającego za sobą długie, wąskie ślad. Wchodził w atmosferę Ilusa. Przód statku zaczął się jarzyć.

Havelock zamknął właz, ale podczas napełniania służy powietrzem i zdejmowania sprzętu oglądali śmierć fregaty na monitorze. Aleks cały czas trzymał wycelowane w nią lunety *Rosa*. Frachtowiec przez jakiś czas dryfował, a smugi w górnych warstwach atmosfery zmieniły się w końcu w biały dym z czarnym sercem płonącego kadłuba.

Gdy nadszedł koniec, był gwałtowny i wstrząsający. Kadłub w mgnieniu oka zmienił się z litego obiektu w małe płonące kawałki, bez żadnego etapu pośredniego. Basia przełączył monitor na zegar śmierci, żeby sprawdzić, ile czasu kupił Felci.

Cztery dni. *Israel* miał tylko cztery dni.

Rozdział pięćdziesiąty drugi

ELVI

Elvi siedziała w ciemności z terminalem ręcznym na kolanach. Drżała ze strachu, złości i żalu, a te emocje sprawiały, że czuła się, jakby wkroczyła w sam środek burzy. Nie mogła teraz tego czuć. Nie miała na to czasu. Musiała myśleć.

Na ekranie oczywiście nie miała żadnych map. Nie mogła sięgnąć po żadne badania okolicy, a nawet gdyby jakieś przeprowadzono, nie miała połączenia z *Israelem*, jeśli statek w ogóle był jeszcze na orbicie, a nie spadł do atmosfery, gdzie spłonął, zabijając wszystkich i...

Nie mogła teraz tego czuć. Musiała myśleć. Struktura, ruiny czy cokolwiek to było, zajmowała przynajmniej siedem albo osiem kilometrów kwadratowych. Wjechali do niej w pobliżu lokalizacji ostatniego sygnału Holdena, ale i tak miała mnóstwo terenu do zbadania. Lokalizator jej ręcznego terminala pokazywał tylko miejscowe węzły. Pozostałe dwa oznaczały Fayeza i Murtry'ego i były wyszarzone. Brak zasięgu, co było pozytywne, bo oznaczało, że gdziekolwiek jest Murtry, nie widział jej, a równocześnie złe, bo ona nie знаła jego położenia. Lokalizacja była niskopoziomową funkcją diagnostyczną, tworzącą w locie sieci rozproszonego przekazywania danych. Skonfigurowała ją tak, by pytała o odnawianie konfiguracji za każdym razem, gdy nawiąże połączenie, emitując przy tym ostrzeżenie. Nie było to wiele, ale przynajmniej będzie miała chwilę, gdy Murtry się zbliży. Kiedy znajdzie się w polu widzenia. Gdy będzie mógł ją zastrzelić jak Amosa i pewnie Fayeza. Byli teraz martwi, a ona nie mogła tego czuć. Musiała myśleć. Jak znaleźć Holdena. Musiała go odszukać. Ostrzec go. Nie dopuścić, by Murtry go powstrzymał. Odetchnęła głęboko i rozejrzała się wokół. Trudno było zidentyfikować cokolwiek na powierzchni, ale w górze miała

wielką otwartą przestrzeń. Jeśli znajdzie jakiś wyższy punkt, ręczny terminal wskaże jej pozycję Murtry'ego. Skoro nie mogła odszukać przyjaciela, może chociaż zlokalizuje wroga. Podstawowe podejście do rozwiązywania problemów. Jeśli nie masz danych, które są ci potrzebne, przyjrzyj się tym, które masz i sprawdź, czy coś z tego wyniknie. To właśnie w ten sposób udało jej się przebrnąć przez trzy semestry kombinatoryki. No dobrze.

Jej ciało wciąż się trzęsło. Wciąż było słabe. Myślała o niej jak przez watę. Adrenalina i głód, i Favez, który zapewne nie żył, a ona nie mogła tego czuć. Wsadziła terminal do kieszeni i rozejrzała się za jakimś sposobem na dostanie się wyżej. Niczego tutaj nie zbudowano w ludzkiej skali. Nie było żadnych drabin ani pomostów, żadnych galeryjek z wygodnymi barierkami. Przypominało to jakieś wielkie ciało. Albo wielkie ciało, które częściowo zmieniło się w maszynę. Pobiegnęła cicho, starając się przy każdym kroku jak najmniej hałasować. Z podłogi po prawej wznosiły się skosem przewody, więc wspięła się po nich, blokując pięści w wąskich szczelinach między rurami i podciągając się coraz wyżej do góry. Było tak wielu ludzi, którzy poradziliby sobie z tym znacznie lepiej. Favez był od niej silniejszy. Sudyam uprawiała wspinaczkę wysokogórską na Ziemi. Elvi nigdy nie lubiła wspiąć się na drzewa, a co dopiero na dziwne struktury obcych. Wchodziła coraz wyżej, nie oglądając się za siebie i nie patrząc w dół.

Struktura była olbrzymia, a przenikający wszystko słaby blask sprawiał, że przestrzeń wydawała się nierzeczywista. Jak ze snu. Przysiadła w zagłębieniu, gdzie stykały się dwa przewody czy też żyły, blokując nogę w szczelinie. Wyciągnęła terminal. Podczas drogi na górę ostrzeżenie o sieci zostało wyemitowane dwukrotnie, a ona tego nie zauważyła. Murtry dwukrotnie znalazł się w zasięgu wzroku. Od tej myśli ścisnęło ją w gardle. Popatrzyła na czasy odpowiedzi. Dwie tysięczne sekundy? To nie mogło być prawidłowe. Fale radiowe poruszały się z prędkością światła, ale byli w powietrzu, więc to oznaczało... ile? Trzy razy dziesięć do ósmej? Coś tego rzędu. Na tyle blisko, by nie robić

różnicy. A to oznaczałoby, że jest jakieś pół miliona metrów od niej. Musiało w to wchodzić jakieś opóźnienie przetwarzania w terminalach, które zwiększało...

W rejestrze pojawił się nowy wpis i serce skoczyło jej do gardła. Odmowa połączenia. Zamrugła. Dlaczego terminal Murtry'ego miałby przyjmować połączenia, gdy się wspinała i odrzucać je, gdy zrobiła sobie przerwę? To nie miało sensu. Kolejny wiersz. Odmowa połączenia. Pojawiło się w niej coś przypominającego nadzieję. To nie był Murtry, to ktoś inny. Ktoś, kto nie został dopuszczony do magicznego kręgu zaufanych sieci RCE.

Holden.

Wykręciła szyję, jakby mogła go zobaczyć, jeśli się rozejrzy. Struktura była zbyt wielka. Pomyślała o zawołaniu do niego, ale nie było powodu sądzić, że ją usłyszy. A nawet gdyby, to Murtry będzie bliżej.

Murtry. To była myśl. Ponownie wywołała interfejs routingu terminala ręcznego. Minęło wiele lat, od kiedy ostatnio grzebała w protokołach sieciowych. Większość jej pracy dotyczyła białek sygnałowych w komórkach i regulacji ekspresji białek. Zaczynała ją mrowić noga wciśnięta między dwie rury. Istniał sposób na pobranie kopii rejestru Murtry'ego, musiała tylko przypomnieć sobie, jak skonfigurować rozproszone dzienniki.

Coś w strukturze zadźwięczało, a echa zagrzmiały w przestrzeni jak krzyk w katedrze. Zastanawiała się, czy gdyby Murtry popatrzył do góry, zobaczyłby ją tutaj, w jej bocianim gnieździe. Czekwała. Czekwała. Zabrzmiało ostrzeżenie. Połączenie z Murtrym. Zamknęła oczy. *Dobrze, pomyślała. Idź sobie. Po prostu sobie idź.*

Sygnał ucichł, wywołała rejestry i znalazła w nich też plik dziennika Murtry'ego. Jeden wiersz – tylko jeden – był informacją o odmowie połączenia. Znowu poczuła się jakby rozwiązywała problem matematyczny. Posadźmy przestraszoną egzobiolożkę cztery metry nad ziemią, a groźnego, drapieżnego ochroniarza w linii prostej od niej w punktach a, b i c. W punkcie d drapieżnik odmówił połączenia z opóźnieniem wynoszącym niecałe dwie

dziesiąte sekundy, ponieważ cholerne, pieprzone opóźnienie przetwarzania zwiększało czas sygnału i sprawiało, że to wszystko robiło się...

Tylko że opóźnienie było takie samo, prawda? Jeśli tak, mogła wyliczyć różnicę...

Świat odpłynął. Jej palce stukały w ekran, przełączając się na wyświetlanie wzorów, wyciągając liczby z rejestrów, przygotowując wykresy. Lęk, żal i dzikie, zwierzęce przerażenie wciąż tam były, ale teraz stanowiły tylko wiadomości, które mogła zignorować. Noga zaczęła boleć, a potem zdrętwiała. Przesunęła się o kilka centymetrów, aż noga znowu zaczęła boleć.

Holden był sto dziesięć metrów od niej. I sto pięćdziesiąt metrów od Murtry'ego. Mogła oszacować pozycję Murtry'ego na podstawie nawiązanych z nią połączeń. Przypominało to proste zadanie trygonometryczne, w którym zła odpowiedź oznacza śmierć. Holden znajdował się – szacunkowo, z grubszą, zakładając, że nie pomyliła się we wzorach, a opóźnienia przetwarzania terminali były identyczne – w złożonym węźle z prawej strony środka struktury, gdzie przewody schodziły się w coś na kształt wielkiego czarnego skrzydła. Elvi wyłączyła terminal i zaczęła schodzić. Gdy dotarła do powierzchni, po której mogła chodzić, jej noga ryknęła bólem. Zdecydowanie zdrętwiała. Zignorowała nieprzyjemne i bolesne uczucie, kuśtykając najszybciej, jak mogła, w stronę zidentyfikowanej struktury. Teraz już nie przejmowała się Murtrym. Miała coś, na czym mogła się skupić.

Droga mniej przypominała marsz przez kompleks przemysłowy, a bardziej przedzieranie się przez gęsty las bez maczety. Przeciskała się przez szczeliny między ciemnymi strukturami wyglądającymi bardziej na wyrosnięte niż zbudowane, pochylała się pod nimi, przechodziła górą, a raz musiała się przeczołgać na brzuchu. Była pewna, że się zbliża, pewna, że dotrze tam i przynajmniej dowie się, czy jej obliczenia były prawidłowe, gdy nagle wyszła na płaską półkę i prawie spadła w przepaść.

Z dołu, może jakieś sto metrów niżej, dobiegało dudnienie. Przesunęło się tam małe pasmo świateł, wirując w jedną stronę, potem w drugą, a w końcu sunąc dalej. Przepaść rozciągała się przez podłogę struktury na obie strony, sięgając aż do odległych ścian. Rozgałęziała się nad nią sieć przewodów, a daleko w dole brzegi łączyły szerokie konstrukcje podobne do ścięgien. Ruszyła wzdłuż krawędzi, przechodząc nad białymi, bulwiastymi naroślami, które zdawały się wyrastać z dołu. Już po kilku minutach znalazła strukturę prowadzącą na drugą stronę, ale nie był to most.

Konstrukcja była przeważnie płaska, choć jej brzegi zakrzywiały się w pustkę, a powierzchnia wyglądała jak drucziana siatka naciągnięta na niezwykle długi język. Nie było tam żadnych barier, a gdy weszła na konstrukcję, język na nią zareagował, drgając i falując, jakby próbował ją wciągnąć głębiej. Rozłożyła ręce dla równowagi i ruszyła biegiem przez przepaść. Dwa metry, cztery, pięć metrów, i znalazła się po drugiej stronie. Oparła się o ścianę z głową między rękami, aż minęły zawroty głowy. Olbrzymia struktura podobna do skrzydła była już teraz prawie wprost nad nią, tylko że z bliska zobaczyła, że jest bardziej złożona. Składały się na nią tysiące przeplatających się rozrostów o strukturze zachodzących na siebie spirali i pełno było tam ruchu, którego źródła nie potrafiła zidentyfikować.

Oddaliła się od krawędzi przepaści, wchodząc na coś najbardziej przypominającego chodnik, co zobaczyła, od kiedy uciekła w ciemność. Chodnik skręcił w lewo, a potem w prawo. Podążała nim, wybierając drogę na podstawie zgadywania i nadziei. Proporcje podłogi do ściany i sufitu wywoływały w niej nerwowość, choć nie potrafiła zdefiniować, co się nie zgadzało. Wszędzie wokół niej rozjarzały się i gasły drobne iskierki błękitnego światła. Idąc chodnikiem, pokonała szeroki zakręt i znalazła się w komorze.

Krzyknęła.

Nie więcej niż trzy metry od siebie zobaczyła Holdena, nad którym wznosiła się olbrzymia, owadokształtna rzecz. Sterczały z niej straszne szpony, a w słabym i upiornym świetle błyszcząły

kolce jak sztylety. Przycisnęła dłoń do ust, niezdolna odwrócić wzroku od ostatnich chwil Holdena.

Artefakt obrócił się w jej stronę i uniósł szpon, jakby jej machał. Holden wykonał identyczny gest.

– Elvi? – powiedział. – Co ty tu robisz?

– Byłam... byliśmy... – Osunęła się na kolana, czując ulgę zalewającą ją jak woda. Odetchnęła głęboko i spróbowała jeszcze raz. – Kiedy zniknąłeś, Murtry zabrał jeden z wózków. Pojechał za sygnałem twojego terminala ręcznego. Wie, że próbujesz wyłączyć wszystkie artefakty. – Nagły atak paniki sprawił, że spojrzała na pełną szczypców rzecz.

– Wszystko w porządku, mała – powiedział robot głosem z akcentem Pasiarza. – To dla mnie nie nowina.

– Amos, Fayeze i ja uruchomiliśmy kolejny wózek i pojechaliśmy za nimi. Żeby cię ostrzec.

– Dobrze – powiedział Holden. – Świetnie się spisałaś. Teraz już wszystko będzie w porządku. Jak nas znalazłaś?

Elvi wyciągnęła swój ręczny terminal, wciągnęła powietrze, wypuściła je.

– To skomplikowane.

– W porządku. Co z Amosem? Gdzie jest?

– Murtry go zastrzelił. Chyba nie żyje.

Holden zbladł, a potem się zaczerwienił. Pokręcił głową, a potem odpowiedział cichym i ostrożnym głosem.

– Amos nie zginął.

– Skąd wiesz?

– Jeśli Amos zginie, to wyłącznie w sytuacji, gdy wszyscy inni wokół będą już nie żyć. My wciąż żyjemy, więc Amos też.

– Nie zwracaj na niego zbytnej uwagi – powiedział potworny robot. – Ma trochę romantyczne podejście do tematu. Jeśli mówisz, że łysol nie żyje, to ja ci wierzę.

– Dziękuję – odpowiedziała odruchowo Elvi.

– Choć przykro mi z tego powodu. Lubiałem go.

– Ja też – powiedziała Elvi. – I Fayeza. Uciekając, słyszałam wystrzały. Chyba Fayeze...

– A co z Murtrym? – zapytał Holden.

- Idzie tu. Jest za mną. Nie wiem, jak daleko, ale idzie, żeby cię odszukać. I powstrzymać.

- Dlaczego, do cholery, miałby mnie powstrzymać? - zapytał z furią Holden.

- Chce, żeby RCE miało wciąż działające artefakty.

- Ten facet to dupek - powiedział obcy. - Ale mamy dość pełny talerz. Jesteśmy już blisko.

- Blisko czego? - zapytała Elvi.

- To bardzo dobre pytanie - odpowiedział obcy, ale spojrzenie Holdena utkwilo gdzieś nad jej ramieniem.

Zacisnął szczękę w sposób zdradzający złość.

- No dobrze - powiedział. - Mamy do zrobienia dwie rzeczy.

- Tak? - zapytał obcy.

Do Elvi dotarło, że rozmawiają z obcym. Uznała to za niesamowite i była nieco zmieszana faktem, że Holden w ogóle nie zwrócił na to uwagi.

- Ktoś musi znaleźć to cokolwiek-to-jest i wyłączyć system obrony planety i ktoś musi zastrzelić Murtry'ego.

- Nie chcę się z tobą spierać - powiedział obcy, przesuwając masę na sześciu wielocłonowych nogach - ale jedna z tych spraw jest dla mnie trochę ważniejsza.

- Dla mnie też - odpowiedział Holden - ale obawiam się, że nie ta sama. Elvi, muszę cię poprosić, żebyś poszła i wszystkich uratowała, dobrze?

- Uch. - Elvi się zapowietrzyła. - Dobrze...

- Świetnie. To detektyw Miller. Zginął na Erosie, gdy ten uderzył w Wenus, a teraz jest marionetką protomolekuły.

- Półautonomiczną - zastrzegł się obcy.

- Miło mi poznać.

- Mnie również.

- No dobrze - stwierdził Holden. - Pójdę się tym zająć.

Ku zaskoczeniu i zaniepokojeniu Elvi Holden rzeczywiście odszedł, idąc korytarzem, którym tu przyszła. Obcy stwór odchrząknął przepraszająco, choć była prawie pewna, że nie miał gardła. Czyli był to tylko jakiś element rozmowy.

- Przepraszam za to wszystko - powiedział obcy, czy też Miller.

– Czasami wbije sobie coś do głowy i nie da się go wtedy przekonać.

– Nic nie szkodzi – odpowiedziała Elvi. – To... yyy.

– No tak, uratowanie wszystkich na świecie. Chodź ze mną, dziecko. Wprowadzę cię w temat.

* * *

– Czyli to świadomość rozproszona – skomentowała, idąc za Millerem przez niski łuk drzwiowy.

Kręciło jej się w głowie, i to nie tylko z głodu. Fayez nie żył. Amos nie żył. Ona niedługo zginie. Była na obcej planecie. Rozmawiała z martwym człowiekiem kierującym robotem obcych. Jej część odpowiedzialna za emocje wyłączyła się, przeładowana. Serce było odrętwieniem za żebrami, a gdy – jeśli – wróci, nie miała pojęcia, kim lub czym wtedy będzie.

– Tylko że to nie do końca świadomość – odpowiedział Miller. – Są w tym świadome węzły, ale nie kierują tym interesem. Właściwie nie jestem jednym z nich. Jestem konstruktem na bazie martwego człowieka, tylko że jestem bardzo wierną kopią, a on zachowywał się jak buldog w tego typu sprawach. Przynajmniej taki był na końcu.

– To czy ty jesteś świadomy?

Robot obcych – noszona przez konstrukt Millera skóra – wzruszył ramionami. Dziwne było, jak dobrze przenosił się ten gest.

– Nie wiem. Choć wydaje mi się, że test Turinga zaliczam śpiewająco.

Elvi zastanowiła się nad tym chwilę i przytaknęła.

– Racja.

– Tak więc ja... tak jakby dokonałem triangulacji tego, gdzie martwe miejsce znajduje się w przestrzeni. Jeśli rozumiesz, co chcę powiedzieć.

– Oczywiście, tak. Triangulacja. Doskonale to rozumiem – potwierdziła Elvi. – No tak. Teraz już cztery.

– Cztery?

– Nasza biosfera, miejscowe organizmy, to, co zrobiło bramy,

i to, co je zabiło. Cztery.

Miller zatrzymał się przy spojeniu w ścianie i przystawił do niego swoje szpony, gotowy nacisnąć.

- Tędy? Tam mieścił się kiedyś jeden z głównych ośrodków sterowania planety. Jak... jak węzeł nerwowy czy coś takiego. Na ile mogę stwierdzić, martwy punkt jest właśnie tam.

Naparł. Ściana się cofnęła, nie tyle odsuwając się, co zmieniając konformację. Za nią otwierała się szeroka, wysoka przestrzeń. W ścianach mieściły się setki nisz, poziom za poziomem, jedna nad drugą, wszystkie z mechanizmami takimi jak Miller. W powietrzu w spiralnych wzorach krążyły kropki jasnoblękitnego światła, podobne do świetlików, sunąc z niewyczuwanymi przez Elvi prądami powietrza. A w samym środku, unosząc się metr nad podłogą...

Odwróciła wzrok, opierając się o bok Millera, żeby się podtrzymać, a potem zmusiła się do popatrzenia ponownie. Trudno było na to patrzeć wprost. Granice przestrzeni były jasne bez oświetlania czegokolwiek lub rzucania cieni, ostre i straszne. Kojarzyło jej się to ze sposobem, w jaki schizofrenicy i ludzie cierpiący na migreny opisywali światło: jako atakujące ich i niebezpieczne. A w tych granicach wirowała ciemność. To było coś więcej niż brak światła. Wyczuwała w tym strukturę, przenikające się wzajemnie warstwy, jak cienie rzucające cienie. To coś pulsowało nieludzką mocą, jak przyływy, głębokie i bolesne. *Jeśli będę się temu za długo przyglądać, pomyślała Elvi, zatracę w tym świadomość.* Zrobiła krok w stronę tego czegoś, czując, jak struktury w czerni na nią reagują. Miała wrażenie, że widzi przestrzenie między cząsteczkami w powietrzu, jakby same atomy stały się rzadką mgłą i po raz pierwszy zobaczyła czający się tuż poza jej zasięgiem prawdziwy kształt rzeczywistości.

Kiedyś istniała tu cywilizacja wykraczająca poza najśmielsze wyobrażenia Elvi. Rządziły tu istoty projektujące narzędzia takie jak protomolekuła i pierścienie. Zasiedlili tysiąc planet i więcej, rozproszyli się w czasie i przestrzeni, a teraz przepadli. A to – nie miała co do tego żadnych wątpliwości – było odciskiem stopy

tego, co ich zabiło.

- No więc - odezwał się Miller, poruszając szponami w szerokim geście - musisz tu poszukać czegoś, no wiesz, dziwnego. Czegoś, co wydaje się tu nie pasować.

Odwróciła się do niego, nie rozumiejąc, i wskazała na niezwykle rzeczą na środku sali.

- Czegoś takiego jak to?

Miller poruszył się, przesuując oczami w złożonym mechanizmie obcych.

- Jak co?

- To. Na samym środku sali. To.

- Niczego nie widzę - wyznał Miller. - Jak to wygląda?

- Jak oko gniewnego boga? - odpowiedziała Elvi.

- Och - powiedział Miller. Ciężkie płyty jego ciała robota zaklikały i zasyczały podczas ruchu. - Tak, w takim razie to pewnie to. Dobra robota.

Rozdział pięćdziesiąty trzeci

HOLDEN

Kiedy Murtry precyzyjnie przeszedł przez szczelinę w maszynowni i podszedł po krawędzi urwiska do wąskiego mostu, Holden czekał na niego po drugiej stronie. Rękę opierał niedbale na rękojeści pistoletu. Szef ochrony RCE kiwnął mu głową, a potem ostrożnie zbadał otoczenie. Zajrzał w głąb stumetrowej przepaści i czubkiem buta pomacał wąski, przypominający język most. Obrócił się powoli wokół, ostrożnie zaglądając w szczeliny stłoczonych maszyn. Kiedy skończył, znowu popatrzył na Holdena i posłał mu płaski, nic nieznaczący uśmiech. Holden zauważył, że jego dłoń cały czas znajduje się w pobliżu broni.

– Przyszedłeś sam – odezwał się Murtry. – Lepszy plan polega na umieszczeniu jednej osoby na widoku i ukryciu drugiej za celem.

– Tego właśnie użyłeś? – zapytał Holden.

Próbował naśladować swobodną nonszalancję Murtry'ego i miał wrażenie, że przeważnie mu się to udawało.

– To działa – odpowiedział Murtry. – To jak się to potoczy?

– Właśnie sam się nad tym zastanawiałem.

– No cóż – Murtry bardzo nieznacznie wzruszył ramionami – muszę przejść na drugą stronę i zatrzymać to, co tam szykujecie. Doktor Okoye wydaje się sądzić, że zamierzasz zniszczyć system obrony.

– Owszem – potwierdził Holden. – Taki jest cel. Możesz to nazwać ratowaniem ludzi.

Murtry kiwnął głową, ale przez chwilę nie odpowiadał. Holden czekał na sięgnięcie po broń. Szerokość oddzielającej ich szczeliny wynosiła niewiele ponad pięć metrów. Z tej odległości strzał był łatwy. Trudniejszy, jeśli strzelało się w pośpiechu, bo ten drugi też strzelał. Oświetlenie było dobre, a Murtry nie miał

hełmu. Zaryzykować strzał w głowę? Pancierz ochroniarza wyglądał na solidnie uszkodzony. Wzór wgniecień wzbudził w Holdenie podejrzenie, że to dzieło automatycznej strzelby Amosa. Strzał w klatkę piersiową był łatwiejszy, ale istniało ryzyko, że uszkodzenia pancerza miały charakter kosmetyczny, a w takim razie pistolet raczej mu nie zaszkodzi.

Murtry mrugnął do niego i Holden nagle doznał wrażenia, że mężczyzna czyta mu w myślach podczas próby wybrania najlepszego sposobu zabicia go.

– Nie mogę na to pozwolić – oznajmił Murtry. Wzruszenie ramionami prawie można było uznać za przeprosiny. – Zgodnie ze statutem to wszystko należy do RCE. Nie wolno tego psuć.

Holden z niedowierzaniem pokręcił głową.

– Ty naprawdę ześwirowałeś. Jeśli tego nie zepsuję, nasze statki spadną z orbity i wszyscy zginiemy.

– Może. Może zginiemy. A może znajdziemy jakiś inny sposób na pozostanie przy życiu. Tak czy tak, roszczenia RCE będą dalej obowiązywać. – Murtry zatoczył ręką łuk po sali, ale nie tą od pistoletu. – To wszystko nietknięte jest warte tryliony. Dokonałiśmy niezwykłych postępów w inżynierii materiałowej przez samo patrzenie na pierścienie. Ile da nam działająca technologia? Po to właśnie tu przybyliśmy, kapitanie. Nie będziesz decydował, co z tym zrobimy.

– Tryliony – powtórzył Holden, niezdolny ukryć w głosie niedowierzania. – Nigdy jeszcze nie widziałem trupa wydającego pieniądze.

– Jasne, że widziałeś. Nazywają to fundacją albo spadkiem. Robią to cały czas.

– I to wszystko po to, żebyś mógł zapisać spadek?

Uśmiech Murtry'ego zrobił się odrobinę szerszy.

– Nie – odpowiedział. – Przyleciałem tu podbić nowy świat. I tak właśnie się to robi. Rozumiem, że moje postępowanie wydaje ci się okrutne i niewzruszone, ale tego właśnie wymaga sytuacja. Narzędzia, których tu używasz, to te, które pozwalają funkcjonować, gdy kierowanie przejmie cywilizacja. Do tej pracy się nie nadają. Nie mam złudzeń dotyczących tego, czego będzie

trzeba do zdobycia miejsca na tej nowej granicy. Potrzebne będą ofiary i krew, będą się tu musiały dziać rzeczy, których nie zrobilibyśmy tam, gdzie wszystko jest regulowane i kontrolowane. Ty uważasz, że możemy to zrobić dzięki zebraniom i komunikatom prasowym.

- Zastanawiam się, czy będzie to przekonującym argumentem dla ludzi, którzy właśnie giną na orbicie.

- Jest mi z tego powodu przykro. Szczerze. Ale wchodząc na pokład, znali ryzyko. A ich śmierć będzie coś znaczyła - stwierdził Murtry.

- Będzie coś znaczyła?

- To znak, że nie oddaliśmy nawet centymetra. Że do ostatniej chwili trzymaliśmy to, po co tu przyszliśmy. To nie jest coś, co ludzkość może zrobić połowicznie, kapitanie. Nigdy tak nie było. Nawet Cortez spalił swoje statki.

Śmiech Holdena w połowie wynikał z niedowierzania, w połowie z pogardy.

- Co macie w sobie takiego, że wielbicie ludobójców?

Murtry zmarszczył brwi. Między nimi uniosła się chmara błękitnych światełek i opadła jak pył przewiewany pustynną ulicą.

- Co masz na myśli? - zapytał Murtry.

- Facet, którego kiedyś znałem, próbował uzasadnić przede mną swoje życiowe wybory, porównując się do Czyngis-chana.

- Jak sądzę, jego argumenty do ciebie nie przemówiły? - skomentował Murtry z pogardliwym uśmiechem.

- Nie - potwierdził Holden. - A potem mój kumpel strzelił mu w głowę.

- Ironiczna riposta na argument o koniecznej przemocy.

- Wtedy też tak sądziłem.

Murtry sięgnął do góry i podrapał się lewą ręką po głowie, przesuając krótkie tłuste włosy w konfigurację przypominającą nieco pancerz Millera. Rzeźbę z krzywizn i kolców. Z niesmakiem popatrzył na swoje palce i wytarł je w pancerz. Holden czekał. Gdzieś daleko za nimi rozbrzmiało dziwne cykanie, dźwięk przypominający cykady w letnie popołudnie.

– No dobrze – odezwał się w końcu Murtry. – Będę musiał tam przejść. – Podbródkiem wskazał stronę rozpadliny zajmowanej przez Holdena. Jego prawa dłoń wciąż unosiła się w okolicy pistoletu.

– Nie – odpowiedział Holden.

Murtry kiwnął głową, jakby się tego spodziewał.

– Aresztujesz mnie, szeryfie?

– Właściwie to raczej myślałem o zastrzeleniu.

– Nie wątpię, że prosto w twarz.

– Jeśli zdołam trafić.

– Wydaje się to radykalną zmianą – skomentował Murtry – jak na człowieka, który chciałby oswoić granicę mediacją i spotkaniami komitetów.

– Och, tu nie chodzi o to. Elvi twierdzi, że zabiłeś Amosa. Za twoją pieprzoną granicę nie zabiłbym żywej duszy, ale za załogę? Owszem, za to zabiję.

– Mówią, że zemsta jest pusta.

– Spróbuję jej po raz pierwszy – stwierdził Holden. – Wybacz, jeśli moje opinie na jej temat nie są uzasadnione.

– Czy to coś zmieni, jeśli twój chłopak jeszcze żyje? Ciągle strzelał, gdy go opuszczałem.

Holdena uderzyła fala ulgi, od której prawie zgiął się w pół. Gdyby Murtry wyciągnął w tej chwili pistolet i strzelił, walka zostałaby rozstrzygnięta. Ale zdołał utrzymać neutralny wyraz twarzy i nie dopuścić do zgięcia kolan.

– Jest ranny?

– O rety, i to jak. Dość ciężko. Zanim padł, zabił jedną z moich. Jak na gościa, który chce rozwiązywać problemy bez przemocy, podróżujesz w niebezpiecznym towarzystwie.

– Owszem – potwierdził Holden, niezdolny ukryć rozbawienia w głosie. – Ale to świetny mechanik. A co z Fayezem?

– Powalony, ale żyje. Nie miałem okazji go wykończyć, zanim twój chłopak zaczął strzelać. Żaden nie chodzi, więc po prostu odszedłem.

Rzeczowe wyjaśnienie powodów, dla których Murtry nie zabił Fayeza, zmroziło Holdenowi krew.

– Więc jest tak – powiedział Murtry. – Pozwolę ci przejść na tę stronę, a ty będziesz mógł iść sprawdzić stan swojego człowieka, Amosa. I uratować jajogłowego przed wykrwawieniem się. Masz moje słowo, że nie będę przeszkadzał.

– Ale – odpowiedział Holden – ty przejdiesz na moją stronę i powstrzymasz Elvi przed zrobieniem tego, czego od niej chcę.

– Wydaje się to uczciwą wymianą.

Holden przestał tylko opierać dłoń na rękojeści pistoletu i zamiast tego ujął ją dłonią. Obrócił ciało, ustawiając stopy na pozycji. Murtry posłał mu lekkie zmarszczenie brwi.

– Nie – powiedział Holden i czekał na rozpoczęcie strzelaniny.

– Czyli – rzucił Murtry, nie ruszając się. – Wiesz, o czym zawsze ludzie zapominają, odkrywając nowy świat?

Holden nie odpowiedział.

– Cywilizacja ma wbudowane opóźnienie. Tak samo jak opóźnienie w łączności za pomocą światła. Przylatujemy tutaj, do tego nowego miejsca, a ponieważ jesteśmy cywilizowani, sądzimy, że cywilizacja dociera wraz z nami. Wcale nie. My ją dopiero tworzymy. A podczas tego procesu ginie mnóstwo ludzi. Myślisz, że amerykański zachód odkryto od razu z liniami kolejowymi, placówkami pocztowymi i więzieniami? To wszystko zostało zbudowane kosztem tysięcy ludzkich istnień. Zbudowano je na trupach wszystkich, którzy byli tam przed przybyciem Hiszpanów. Nie dostaniesz jednego bez drugiego. I trzeba ludzi mojego pokroju, żeby to zrobić. Ludzie tacy jak ty przychodzą później. To wszystko – kontynuował Murtry, machnięciem lewej ręki wskazując na siebie i Holdena. – To dzieje się dlatego, że przybyłeś za wcześnie. Wróc później, gdy już zbudują placówkę pocztową, to porozmawiamy.

– Skończyłeś? – zapytał Holden.

– A więc przyjmuję, że to nasz dzień – skomentował Murtry. – Nie ma żadnego innego sposobu, tylko ten? Nawet jeśli nie zabiłem twojego człowieka?

– Może zabiłeś Amosa i Fayeza, a może nie. Może masz rację co do granicy, a ja jestem tylko naiwnym durniem. A może każdemu człowiekowi, którego zabiłeś na tej planecie, to się należało

i zawsze miałeś rację.

– Ale masz ludzi na orbicie i uratowanie ich to wszystko, co się liczy?

– Chciałem powiedzieć, „ale jesteś totalnym dupkiem” – skorygował Holden. – Ale to drugie też może być. Nie przejdiesz przez ten most.

– No cóż. – Murtry zmienił pozycję i zmrużył oczy. Trzeszczące cykanie zrobiło się głośniejsze. Świetliki protomolekuły w dole zawirowały i zadrżały. – No cóż.

Holden uśmiechnął się do niego. Naśladowując teksański akcent Aleksa, zacytował:

– Daj spokój, Black Bart, zawsze wiedziałeś, że tak się to skończy.

Murtry się roześmiał.

– Śmieszny z siebie...

Holden strzelił.

Murtry zachwiał się, chwycił się za pierś i niezdarnie sięgnął do pistoletu. Holden umieścił drugi pocisk w jego prawej ręce. Celował w łokieć, ale trafił w biceps. Też dobrze. Murtry upuścił pistolet na most przed sobą. Gdy pracownik RCE przykłęknął, próbując go podnieść lewą ręką, Holden strzelił mu w nogę. Murtry przewrócił się do przodu na most, zrzucając pistolet w przepaść. Ochroniarz zsunął się na bok i jego ciało przeleciało przez krawędź, ale zdołał wyrzucić lewą rękę, chwycić się metalowej siatki i zatrzymać upadek.

Wszystko to zajęło jakieś trzy sekundy.

Gdy ucichły echa ostatniego strzału, Holden wyszedł na most. Nieprzyjemna muskulatura napierała na podeszwy stóp. Murtry trzymał się siatki sprawną ręką z twarzą napiętą z bólu, ale i tak zdołał uśmiechnąć się drwiąco.

– Masz jaja, żeby to zakończyć, chłopcze? – zapytał. – Czy pozwolisz to zrobić ciężeniu?

– Och nie – odpowiedział Holden i kłęknął, żeby chwycić lewy nadgarstek Murtry'ego i wciągnąć go na most. – Nie zabiję cię. Przynajmniej do czasu, aż upewnię się, co z Amosem.

Holden zszedł z mostu na stronę szczeliny zajmowanej

wcześniej przez Murtry'ego i pociągnął go, aż tors mężczyzny znalazł się nad krawędzią. Murtry pokonał resztę drogi sam, korzystając ze sprawnej ręki.

- I co potem? - wydyszał, leżąc na plecach obok przepaści i próbując złapać oddech.

Pod jego prawą ręką i lewą nogą tworzyły się niewielkie kałuże krwi.

- Zabiorę cię z powrotem - wyjaśnił Holden, siadając obok Murtry'ego i klepiąc go pobłaźliwie po głowie. - Potem zniszczę cię publicznie, transmitując wszystko prasie. A po wszystkim wrzucimy cię do dziury tak głębokiej, że wszyscy zapomną, że kiedykolwiek istniałeś. Żadnej chwały i sławy, Cortezie. Tym razem twoje ogniste kije nie zrobiły wrażenia na Montezumie.

- Wszystko, co zrobiłem, mieściło się w granicach statutu ONZ - powiedział Murtry. - Działalem odpowiedzialnie w celu ochrony pracowników i inwestycji Royal Charter Energy.

- Dobrze - zgodził się Holden, a potem wyciągnął apteczkę i rozpylił bandaż na krwawiące rany Murtry'ego. - Czyli masz już przygotowaną strategię obrony. To proaktywne myślenie. Prawnicy bardzo się z tego ucieszą. Chcesz usłyszeć moją?

- Jasne - wydyszał Murtry i delikatnie obmacał ranę na rękę.

Skrzywił się, ale nie pociekła nowa krew.

- Najpotężniejsza osoba na Ziemi jest mi winna przysługę, a zamierzam jej powiedzieć, że jesteś dupkiem, który ze wszystkich sił starał się przedstawić ją w złym świetle. Na razie to dopiero zarys planu, ale chyba ma w sobie potencjał.

- I to ma być twoja wersja sprawiedliwości?

- Na to wygląda.

Murtry otworzył usta, ale cokolwiek miał powiedzieć, przepadło, gdy nagle znaleźli się w centrum chaosu. Z rozpadliny obok wystrzeliła ściana błękitnych świetlików, rozpadając się i sunąc przez olbrzymią przestrzeń fabryki, niknąc w końcu w otworach w ścianach. Wszędzie wokół powietrze wypełniła kakofonia budzących się do życia olbrzymich maszyn. Coś wyleciało z cieni pod sufitem i przemknęło nisko nad głową Holdena. Rzucił się na Murtry'ego, choć równocześnie zdał sobie

sprawę z ironii osłaniania własnym ciałem człowieka, którego właśnie trzykrotnie postrzelił.

- Co to? - zapytał Murtry.

- Elvi. To Elvi.

Rozdział pięćdziesiąty czwarty

ELVI

– Tak – z satysfakcją powiedział Miller. – Mam plan, ale będę potrzebował twojej pomocy. Muszę podejść możliwie jak najbliżej tego czegoś, cokolwiek to jest. Ty to widzisz, ja nie. Więc musisz mną pokierować.

– Dobrze – zgodziła się. – Co... co zamierzasz zrobić?

Robot wzruszył ramionami.

– Za każdym razem, gdy my... ja... no wiesz. Za każdym razem, gdy coś do tego sięga, umiera. To coś niszczy sieci takie jak ta, którą jestem. Zamierzam podłączyć się do jak największej ilości złomu na tej planecie i odprowadzić to wszystko do, no wiesz. Tego. Wyłączyć to. Zniszczyć system.

– Czy to nie wyłączy też ciebie?

– Tak sędzę. Tak już jest z używaniem skomplikowanych narzędzi, czasami potrzebne ci funkcje przychodzą z całym mnóstwem śmiecia.

– Nie rozumiem – powiedziała Elvi.

– To mnie zbudowało do znalezienia czegoś brakującego – wyjaśnił Miller. – Okazuje się, że jestem też dobrym narzędziem do umierania, gdy to właściwe rozwiązanie. Poważnie, mam w tym sporą praktykę. Więc podejdź tu i podprowadź mnie najbliżej jak możesz do tego, co tam jest. Ale nie chcę go dotykać. Jeśli się wsunę, zanim podłączę się do wszystkiego innego, to prawie na pewno będziesz miała przerąbane.

– Dobrze – odpowiedziała Elvi, przesuając się tak, żeby widzieć równocześnie robota i ciemność. – Obróć się o około trzydzieści stopni w lewo.

Robot przesunął się z prędkością i gwałtownością przestraszonego owada.

– Granica jest około pół metra przed tobą. Dlaczego chcesz być

blisko niej?

– Hm, to coś, czego jestem częścią – może nie jest świadome, ale głupie też nie. Kiedy to zrobię, praktycznie wszystkie elementy w nim dowiedzą się tego, co wiem ja, a może im się nie spodobać wymuszone wyłączenie. Do czegokolwiek jeszcze zaprojektowano to coś, lubi istnieć do czasu ukończenia misji. Ma instynkt przetrwania. A ja jestem praktycznie jego przeciwieństwem.

Miała wrażenie, że w głosie maszyny usłyszała uśmiech. Skąd się tam wziął? Czyżby ze wzorów i przyzwyczajień mózgu martwego człowieka? Czy też fatalizm również okazał się dobrym ruchem w przestrzeni projektowej? Czy wszechświat tak samo wyewoluował oczy, skrzydła i narządy zmysłów oraz gorzkie rozbawienie w perspektywie śmierci?

– Dobra – odezwał się Miller. Robot przesunął się i przykurczył, jakby szykując się do skoku. – Wchodzimy. Dwa. Jeden.

Uderzenie było takie, jakby znowu znalazła się w promie w chwili katastrofy. Świat Elvi skurczył się do małej przestrzeni wewnątrz czaszki, a potem powoli wykwitł ponownie bólem. Z wysiłkiem próbowała usiąść, starając się coś zobaczyć. Próbując myśleć. Czy Miller wybuchł? Czy jeszcze żyła? Kakofonia skrzeczącego metalu i przemocy utrudniała jej orientację.

Siedziała oparta o ścianę. Wszędzie wokół niej z nisz wypęzły mechanizmy. Wiele z nich zawodziło – nogi drapały ściany bez sił, by przeciągnąć się do przodu lub lądowały na ziemi i pełzały w panicznych, spazmatycznych kręgach jak owady ginące od trutki. Powietrze było gęste od bezmyślnego świergotania ich stawów. Trzy olbrzymie maszyny unieruchomiły robota-Millera i waliły w niego, podczas gdy głos Millera krzyczał kurwakurwakurwa. Jeden z napastników złapał szpon Millera i pociągnął, wrywając kończynę w fontannie iskier i jaskrawych płynów. Nie miał szans. Nie było mowy.

Mała skrzydlata maszyna z jasnoniebieskim marginesem na ostrej jak nóż krawędzi, w miejscu, gdzie u ptaka znajdowałby się dziób, przemknęła z góry przez ciemność i spadła z trzaskiem na

ziemię. Elvi podbiegła do niej i podniosła ją. Urządzenie było dość lekkie, tak że mogła je nieść, długie jak jej przedramię i ostre z przodu. Z krzykiem zaszarżowała na maszyny atakujące Millera. Uderzenie zapiekło ją w palce. Coś uderzyło ją w plecy i świat znowu zrobił się mniejszy, ale zamachnęła się z całą pozostałą jej siłą.

Jedna z olbrzymich maszyn odwróciła się od Millera w jej stronę, rozchylając kleszcze na trzy metry. Odskoczyła, upadła, przeturlała się. Pulsująca, zgubna ciemność martwego punktu znajdowała się po jej lewej stronie, więc przeczołgała się wokół niej, próbując utrzymać ją między sobą a potężnym napastnikiem.

Robot ruszył w jej stronę, machając kończynami jak kosami, aż dotarł do granicy ciemności i opadł martwy na ziemię. Inercja potoczyła korpus po podłodze z drgającymi bezładnie kończynami. Zgrzytliwe ćwierkanie w sali przygasło. Uwaga maszyn skupiła się na niej. Postawiła stopę na powalonym potworze, uniosła pięści i zawyła. Miller wykręcił się, wyprowadzając pozostały szpon w górę, prosto przez ciało jednej z dwóch maszyn przy jego boku. Ćwierkanie zabrzmiało ponownie, jeszcze bardziej przytłaczające niż wcześniej. Sam dźwięk sprawiał wrażenie ataku, uderzając w uszy, pozbawiając ją równowagi.

Była w samym środku niewidocznego wodospadu, burzy, wichury. Bardziej adrenalina niż świadoma wola dźwignęła ją na ciało powalonego wroga. Obiegła martwy punkt. Z niszy w ścianie wyleciała kolejna maszyna, rozbijając się o ziemię tuż przed nią. Przeszła nad drgającymi szczątkami. Ostatni pozostały w pełni sprawny napastnik zamachnął się na Millera, wbijając szpony głęboko w jego pancerz. Gdy Elvi się zbliżyła, odwrócił się w jej stronę. Szpon wciąż utkwiony wewnątrz Millera wydał głęboki, zgrzytliwy dźwięk. Pozostała kończyna Millera zacisnęła się na nadgarstku drugiego robota, trzymając jego szpon przy sobie i wciągając go głębiej. Z Millera zaczął tryskać lepki płyn, wypełniając powietrze smrodem ropy naftowej i kwasu. Elvi chwyciła kawałek oderwanej nogi robota i walnęła nim

w maszynę atakującą Millera, produkując tym samy snop iskier. Uderzenie nie miało żadnego efektu poza zdezorientowaniem urządzenia. Nie mogła mu zaszkodzić, tak samo jak nie potrafiła latać siłą woli ani w ten sam sposób powstrzymać schodzących z orbity statków. Jednak chwila zawahania wystarczyła.

Miller przeciągnął się na plecach pod ostatniego napastnika. Cztery z jego sześciu wielostawowych nóg zaczęły wbijać się w podwozie robota. Brzuch. Właściwie nie wiedziała, jakiego terminu powinna używać. Zwolniona kończyzna walnęła w dół, wyrrywając kawałki metalu z boku Millera, ale ponieważ jego większa część znajdowała się pod napastnikiem, ten nie mógł uderzyć pod kątem zapewniającym wyeliminowanie przeciwnika.

Przez otwór w ścianie przebiegł patykowaty robot o cienkich kończynach, biegnąc w stronę bitwy. Elvi chwyciła go, gdy ją mijał, i pchnęła w martwy punkt. Z brzucha atakującego robota zaczęły odpadać kawałki pancerza, a Miller wbił się w jego wnętrze. Zaczęła się z niego wylewać strumieniami paskudnie wyglądająca i śmierdząca posoka. Śmierć była brzydka, powolna, gwałtowna i zdecydowanie niepoetycka. Kiedy napastnik przestał się ruszać, Elvi podeszła bliżej. Martwy robot leżał na Millerze. Pary wzbijające się z otaczającej ich kałuży płynu piekły ją w oczy.

– No cóż, to mogło pójść lepiej – skomentował Miller.

– Udało się? Połączyłeś się?

– Tak – potwierdził Miller. – Ale nie jestem pewien, czy na coś się to przyda. Nadchodzi kolejna fala, a ja nie bardzo widzę, jak miałbym się dostać stąd tam.

Elvi zaparła się ramieniem o martwego robota, pchając z całych sił. Rozbolały ją ścięgna na karku. Wyobraziła sobie, że słyszy ich trzeszczenie. Włożyła w to zadanie wszystkie siły. Nie miało sensu niczego oszczędzać na później. Nic później nie miało znaczenia. Zachowywanie czegokolwiek w zapasie było marnowaniem zasobów, bo nie było już żadnej przyszłości. Krzyknęła z fizycznego wysiłku.

Robot w ogóle się nie przesunął.

Opadła na kolana. Miller z jękiem wysunął szpon, kładąc go łagodnie na jej ramieniu. Odezwał się odległym, przytłumionym głosem. Jakby mówił z grobu.

– Dobra, to będzie trudne – powiedział. – Będę musiał cię poprosić o jeszcze jedną przysługę, dziecko. A nie mamy za dużo czasu, zanim tu dotrą.

– Tak – odpowiedziała. – Wszystko.

– No dobrze, odsuń się trochę. Otworzę spojenia tego czegoś.

Przesunęła się do tyłu, czując szlam na podłodze, sięgający jej do kostek. Rozległ się syk przypominający dźwięk wydawany przez parę uciekającą z przedziurawionego przewodu, głębokie mięsiste kliknięcia i Miller rozpadł się na części, sypiąc na ziemię pancierzem i łuskami. Przygniatająca go konstrukcja przeturlała się i legła bezwładnie na boku.

Elvi stała przed trupem Millera. Wyglądał jak wielki owad rozgnieciony butem olbrzyma. Ćwierkanie wszędzie wokół niej nasiliło się prawie do krzyku.

– Co mam zrobić? – wykrzyczała Elvi. – Co powinnam zrobić?

Głos Millera dobiegł z głębi sterty.

– Jest tu jednostka. Ma około metra długości, jest jasnoniebieska i ma rząd siedmiu... nie, ośmiu kropek na boku. Musisz ją odkopać.

Elvi podeszła bliżej. Płyty pancerza składały się z mnóstwa ostrych punktów i krawędzi. Poczowała ukłucia rozciętych dłoni i pieczenie w miejscu, gdzie do ran dostały się płyny z robota.

– Nie chciałbym być tym facetem – odezwał się Miller. – Ale musisz się też pośpieszyć.

– Próbuję – odpowiedziała.

– Mówię tylko, że niechętnych nam gości jest dużo więcej i z każdą chwilą są coraz bliżej.

– No dobrze. Mam to – oznajmiła Elvi. – Jest tutaj.

– Świetnie. Dobra robota. A teraz musisz to podnieść i zanieść do martwego miejsca.

Niebieski obiekt był kształtu wielkiego, wydłużonego migdała. Jego powierzchnia była miękka i śliska. Objęła ją rękami, napreżyła się, stęknęła i dysząc, przesunęła do przodu.

- Chyba sobie jaja robisz – skomentowała.
- Mogę być trochę ciężkawy – przyznał Miller.
- To jakieś dziewięćdziesiąt kilogramów.
- I naprawdę bardzo mi przykro z tego powodu, ale musimy to natychmiast umieścić w martwym punkcie. Spróbuj wsunąć pod to ręce i dźwignąć plecami i nogami. Jakby to było dziecko.
- Dziecko zrobione z pieprzonego wolframu – rzuciła Elvi.
- Przesadzasz – odpowiedział, gdy wcisnęła ręce pod obiekt.
- Nie mogę tego rzucić – powiedziała. – Muszę to wnieść.
- Dobrze.
- Czy to coś mnie zabije, jeśli do niego wejdem?

Przez ćwierkanie przedarł się nowy dźwięk. Głęboki, grzmiący odgłos przypominał dźwięk wydawany przez wielki bęben. Nie chciała nawet myśleć, co może go wydawać.

- Jeśli powiem „tak”, czy to będzie oznaczać, że tego nie zrobisz?

Elvi zaparła się, naprężając plecy. Niebieski obiekt przesunął się na jej brzuch. Przechyliła głowę, próbując złapać oddech.

- Nie – odpowiedziała, zaskoczona właśnie wypowiedzianą odpowiedzią. – I tak to zrobię.

- W takim razie może. Nie wiem.

Elvi odgięła się do tyłu, trzymając obiekt – Millera – na udach, starając się dźwignąć do góry. Poczowała, że ciężar zaczyna zsuwać się w lewo. Gdyby go teraz upuściła, chyba nie zdołałaby go ponownie podnieść. Dudnienie się zbliżało. Elvi pchnęła nogami. Zabolały ją kolana. Plecy stały się jednolitą płaszczyzną ognia. Krzycząc z bólu, przycisnęła niebieską rzecz do piersi.

- Świetnie ci idzie, dziecko. Doskonale. Dasz radę. Jeszcze tylko odrobinę, ale już.

Nie zrobiła kroku do przodu. Przesunęła jedną stopę przed siebie, oparła się na niej mocniej, dociągnęła drugą. Podłoga była śliska jak lód. Nie całkiem bez tarcia, ale prawie. Znowu zabrzmiało dudnienie, na tyle blisko, że poczuła jak drży od niego sala. Wbiła wzrok w czerń martwego punktu i ruszyła do przodu. Kolejny krok. Następny. Następny. Była już blisko. Jej plecy płonęły. Straciła czucie w rękach. Czowała, że jej pięści były czymś

należącym do kogoś innego i tylko przypadkiem łączyły się z jej ciałem.

Przez drzwi buchnęła chmura srebra i błękitu, sunąc w jej stronę jak chmara świetlików. Elvi pchnęła, poślizgnęła się, poleciała do przodu...

Najbliższą analogią, po jaką sięgnął jej mózg, odrzucając ją i sięgając ponownie, było wpadnięcie do jeziora. Było zimno, ale nie zimno. Czuła zapach, bogaty i ziemisty. Zapach wzrostu i rozkładu. Była świadoma swojego ciała, skóry, ścięgien, splotów jelit. Była świadoma nerwów strzelających impulsami w mózgu. Rozłożyła się i obserwowала, jak się rozkłada. Wszystkie bakterie na jej skórze i we krwi, wirusy w tkankach. Kobieta, która była Elvi Okoye, stała się krajobrazem. Światem. Zapadła się głębiej.

Komórki stały się cząsteczkami – niezliczonymi, złożonymi i różnorodnymi. Zawiodło rozróżnianie między poszczególnymi obiektami. Była tylko społeczność cząsteczek ruszających się w potężnym tańcu. A potem atomy składające się na cząsteczki oddały swą przestrzeń i stała się oddechem. Mgłą. Delikatnym oddziaływaniem pól i interakcji w próżni równie doskonałej, jak kosmos. Stała się wibracją w pustce.

Przetoczyła się na bok. Coś bolało. Wszystko bolało, a ból był ciekawy. Traktowała go bardziej jak obiekt ciekawości niż niepokoju. Oddychała. Czuła powietrze przepływające przez jej gardło do złożonej sieci elastycznych jam ukrytych za żebrami. Uczucie było dziwne i cudowne. Została z nim, aż zaczęła sobie uświadamiać istnienie czasu. Upływu chwil. A to znaczyło, że podstawowe zwoje, mózdzek i kora mózgowa zaczęły z powrotem pracować. Poczowała odległe zaskoczenie tym faktem. Otworzyła oczy w nicość.

Trzymała coś przyciśnięte do siebie, jakby było cenne. Niebieski obiekt. Miller. Tylko że nie był już niebieski. Był czarny jak zamknięte oczy, jak wszystko inne. Puściła go i usiadła. Świat był cichy. Żadnego dudnienia. Żadnego ćwierkania. Jej oddech. Szum krwi. Kilka chwil później wyciągnęła z kieszeni ręczny terminal i zwiększyła jasność ekranu, używając go jak latarki.

Wszędzie wokół niej leżały martwe artefakty Nowej Ziemi. Nogi

ostre jak noże spoczywały bez ruchu. Potężne, nieludzkie szpony, które mogły być wyrzeźbione z kamienia. Warstwa srebrnych plamek na podłodze zdradzała, gdzie spadła chmura maleńkich urządzeń, milion drobnych ciałek wyłączonych w jednej chwili. Światło było zbyt słabe, by widziała kolory. Wszystko było tylko szare.

Usiadła i niechętnie odwróciła się w bok. To wciąż tam było. Czarne i jasne na brzegach. Poczowała ukłucie prawie nadnaturalnego strachu. Myślała – miała nadzieję – że zniknie. Cokolwiek to było, przeszła przez to, została przez nie rozerwana na części i okazała się na tyle prosta, by zmontować ją po drugiej stronie. To ją uratowało, a ona nigdy w życiu nie widziała niczego, co napełniłoby ją głębszym lękiem niż ta złożona ciemność.

Odsunęła się, czując ból nóg. Wstała. Uświadomiła sobie, że płacze, choć nie do końca wiedziała, dlaczego to robi. Głód, lęk, ulga, euforia i śmiertelny strach. Tego było za wiele. Tak było dobrze.

Dobiegający ją głos był ludzki i odległy. Holden.

– Elvi? Elvi! Jesteś tam?

– Jestem – odkrzyknęła.

– Wygraliśmy?

Odetchnęła głęboko. Potem jeszcze raz.

– Tak – zawołała. – Wygraliśmy.

Interludium

ŚLED CZY

– sięga, sięga, sięga, sięga –

Sto trzysta razy na sekundę, to sięga, by zgłosić wykonanie zadania. Jeśli coś przyjmie raport, będzie mogło przestać. Nigdy nie przestanie. Nie czuje frustracji ani strachu. Czuje, jak śledczy porusza się w nim i wokół niego. Śledczy wykracza poza swoje warunki brzegowe. Próbuje zabić śledczego. Bezskutecznie. Nie czuje niepokoju z porażki, sięga, sięga, sięga...

Śledczy spogląda w oko śmierci i nie widzi go. Wie, i to wystarczy. Czuje przyjemność i żal, ponieważ są częścią szablonu. Wypowiada imię – Julie. Pamięta ujmowanie dłoni kobiety w swoje ręce.

Śledczy sięga, sięga w dół. To się rozszerza jak wieczny, nieskończony wydech, rozprzestrzenia się, wypełniając wszystkie miejsca, których może sięgnąć, które osiągnięto. Które są.

Sięga i sięga, i sięga, i sięga, drganie owadziej nogi, iskra przeskakująca szczelinę, w nieskończoność, a śledczy to czuje, ogarnia to. Blizny sięgają, inne umysły. Niektóre są przestraszone, inne zagubione w trwających od lat snach, niektóre są wdzięczne. Śpiewają śledczemu, oskarżają go, błagają lub krzyczą. Są świadome i równie bezradne jak zawsze. Śledczy dotyka ich, jak dotyka wszystkiego. Mówi im, żeby się nie bali. Że kieruje tym wozem.

Nie martwcie się, mówi. Wszystko będzie dobrze.

Śledczy przesuwając kapelusz na tył głowy i żałuje, że nie ma piwa. Lubi tę kobietę. Tę Elvi. Żałuje, że nie ma więcej czasu na poznanie jej. Chciałby mieć trochę więcej czasu. Nie przejmuje się tym. Od czasu swej śmierci zginął milion razy. Otchłań nie kryje już przed nim tajemnic.

Łączy się i śledczy staje się światem. Czuje to wszędzie. Bazy orbitalne, elektrownie w głębi oceanu, schrony biblioteczne, gdzie żyli przedwieczni, stacje sygnalizacyjne wysoko w górach, miasta głęboko pod ziemią. Jest światem.

Na koniec pojawia się zmaganie. Na końcu zawsze jest zmaganie. Nie boi się, więc inni na całym świecie też się nie boją. *Jesteś jak Piotruś Pan*, powiedziała. *Kiedy umiera dziecko, Piotruś Pan leciał z nim przez połowę drogi. Żeby się nie bało.*

Dziwne. I to ma być historia dla dzieci? W każdym razie, to nie ja, mówi śledczy i uśmiecha się do niej. Trzyma ją za rękę. Ja nie idę w pół drogi.

– to sięga, i sięga, i sięga, i sięga, a potem przestaje.

Rozdział pięćdziesiąty piąty

HAVELOCK

Błękitne. Za każdy razem o tym zapominał. Intelktualnie wiedział, jasne. W końcu niebo było błękitnoniebieskie, ale wystarczyło spędzić kilka lat na stacji lub statku i był to jeden z tych detali, które człowiekowi umykały. Nawet nie wiedział, że zapomniał – aż do chwili, gdy trafił mu się moment taki jak ten. Oparł się na lasce i podniósł dłoń, żeby osłonić oczy i popatrzeć poza zielonoszare chmury na błękit nieba za nimi.

– Ładne, prawda? – odezwała się kobieta. Miała na imię Lucia. Lekarka Pierwszego Lądowania, żona Basi, matka Felci i Jacka. – Aż chce się tu zostać.

– Nie – odparł. – Sprawia, że chciałbym być już w domu.

– Gdybyś tu mieszkał... – powiedziała.

– Nie ma mowy – stwierdził i się roześmiał.

Rosynant stał na błotnistej ziemi za jego plecami, mniej więcej tam, gdzie znajdowało się lądowisko w czasach, gdy jeszcze istniało. Teraz wszystko przepadło. Chaty naukowców, budynki Pierwszego Lądowania, nawet większość kopalni odkrywkowej. Wszystko zostało zdarte na płasko i czysto. Teraz, po odejściu wód, tylko rowy erozyjne zdradzały, gdzie płynęły strumienie.

Drzwi towarowe *Rosa* były otwarte na oścież. Mężczyźni i kobiety wynosili ze środka plastikowe skrzynie z zaopatrzeniem i sprzętem, ustawiając je na miękkiej ziemi. Zobaczył kierującą nimi Naomi w skafandrze mechanicznym, dopytującą o informacje i koordynującą odpowiedzi. Aleks i Basia stali na delikatnym rusztowaniu, które wzniesli przy boku statku, a ten ostatni – chyba nazywał się Amos Burton – oceniał uszkodzenia i planował naprawy, których mogli dokonać w najprymitywniejszym i najgorzej wyposażonym suchym doku ludzkości. Prawa ręka wielkiego łysola była unieruchomiona

w osłonie medycznej, a frustracja wynikająca z tego faktu była widoczna w sposobie, w jaki ruszał rękami i trzymał barki.

– Jesteś gotowy? – zapytała Lucia.

– Jeśli chcesz – odpowiedział Havelock. – Jasne.

Razem podeszli do pierwszego stosu skrzyń. Havelock wyciągnął swój terminal ręczny, a Lucia przygotowała jeden ze zrzucanych wcześniej. Teraz należał do niej. Zaczęli oznaczać skrzynie na manifestach towarowych, starannie rejestrując dostarczone i przyjęte towary.

* * *

Powinien był zginąć trzy tygodnie temu. Jego ciało powinno być teraz strumieniem zjonizowanych atomów i złożonych molekuł unoszących się gdzieś w górnych warstwach atmosfery Ilusa. *Israel* powinien zostać zniszczony jeszcze wcześniej niż on.

Był w ambulatorium, gdy to się stało, naćpany przez automatycznego lekarza, przyjmował wlewane do żył pół litra syntetycznej krwi. Wciąż pamiętał dotyk pasów przytrzymujących go na pryczy medycznej, ciche tykanie ramienia narzędziowego eksperckiego systemu medycznego, uczucie zimna wpływającego do ciała. Czuł zimno i drętwienie warg i języka, ale Aleks zapewnił go, że to normalne. Przyszedł Basia, zjadł i znowu wyszedł, żeby usunąć ostatnie pozostałości holu wciąż trzymające się brzucha *Rosynanta*.

Powiedział coś na temat tego, jak bezsensownym zajęciem się to wydaje.

– To chyba taki rodzaj człowieka – skomentował Aleks. – Nie lubi zostawiać niczego zrobionego tylko w połowie.

– Pasiarz.

– Właśnie – zgodził się Aleks. – Wszyscy są trochę do siebie podobni pod tym względem.

Zadzwoił ręczny terminal Aleksa, a pilot spojrzął na niego i zmarszczył brwi.

– Kapitanie? To ty?

Głos, który dobiegł z głośniczka, niewątpliwie należał do Jamesa Holdena, ale brzmiał chrapliwie. Jakby dużo krzyczał.

– Aleks! Włącz reaktor.

– Nie jestem pewien, czy mogę to zrobić – odpowiedział pilot.

– Zniszczyliśmy sieć obronną. Chyba zniszczyliśmy wszystko. Zobacz, czy dasz radę włączyć reaktor.

Twarz Aleksa zrobiła się bardzo poważna, bardzo nieruchoma. Zniknął rubaszny humor, przepadła maska odwagi kryjąca strach przed śmiercią. Havelock rozumiał, bo poczuł tę samą falę nadziei i strachu, że nadzieja okaże się płonna. Aleks bez słowa podciągnął się do jednego z komputerów ambulatorium i przełączył go na sterowanie maszynownią. Havelock zacisnął pięści tak, że aż zabolęły i zmusił się do nieprzeszkadzania Aleksowi pytaniem, czy to działa.

– Działa?

– Chyba... chyba tak – potwierdził Aleks, a potem zwrócił się do ręcznego terminala. – Mam zasilanie, kapitanie. Diagnostyka rzuca jakimiś błędami, ale jestem przekonany, że to tylko dlatego, że trochę oberwaliśmy. Posadzę przy tym Naomi i Basię i założę się, że będziemy mogli latać. Choć pomogłoby, gdybyśmy tu mieli Amosa.

– Amos też trochę oberwał – odpowiedział Holden, a Havelock usłyszał ponury ton wypowiedzi.

– Wszystko z nim w porządku?

– Będzie musiał sobie wyhodować kilka nowych palców.

Aleks wzruszył ramionami.

– Da się zrobić. Hm. Daj mi kilka dni, a może zdołam sprowadzić *Rosa* na powierzchnię. Wsadzić go do ambulatorium.

– Nie śpiesz się – odpowiedział Holden. – Pracuj starannie, upewnij się, że wszystko działa. Nie możemy sobie pozwolić na kolejny kryzys.

– Zawsze będzie kolejny kryzys, kapitanie. Tak działa ten świat.

– To może chociaż odsuńmy go do czasu, aż dojdziemy do siebie po poprzednim, dobra? Możesz się skontaktować z *Barbapiccolą* i *Israelem*? Nie chcę, żeby ktoś zginął tylko dlatego, że nie wie o możliwości ponownego włączenia silników. I może trzeba będzie użyć promu *Israela*, jeśli zdołamy ich do tego przekonać.

– Będziemy musieli niedługo zrobić jakąś odprawę –

skomentował Aleks. – Sytuacja tutaj była dość dynamiczna. Ale na razie dopilnuję, żeby wszyscy włączyli najpierw reaktory, dobra?

– Jasne – rzucił Holden. – I czy możesz nam zrzucić trochę jedzenia?

– Jak tylko aktywuję kambuz – potwierdził Aleks.

– Racja. Dobrze. A Naomi... czy ona...?

– Wszyscy mają się dobrze – zapewnił Aleks. – Nic nam nie będzie.

* * *

Do czasu, gdy Havelock i doktor Merton skończyli inwentaryzację, zespół budowniczych montował już baterie w jednostkach fabrykatorów i wymierzał miejsca, gdzie miały zostać wzniesione ściany. Prawdziwe ludzkie schronienia. Nowe Pierwsze Lądowanie. Ochotnicza grupa budowlana była mieszana. Byli w niej dzicy lokatorzy, którzy przylecieli na zniszczonym statku uchodźców, byli ludzie towarzyszący Havelockowi. W jego myślach wciąż istniał podział między nimi, ale wyglądało na to, że przestał on obowiązywać w rzeczywistości. Zniszczenie ciężkiego promu i spalenie grupy terrorystycznej wydawało się czymś, co zdarzyło się w odległej przeszłości, w innej epoce. Przypuszczał, że miało to jakiś związek z huraganem, ślepotą, zabójczymi ślimakami, nieustanną świadomością śmierci czającej się tuż za progiem i odchrząkującej znacząco. Nie był to model tworzenia wspólnot, który nadawał się do stosowania na szerszą skalę, ale tutaj się sprawdził. Chwilowo. Na razie.

Od grupy oderwała się ciemnoskóra kobieta z długimi, czarnymi włosami. Wyglądała znajomo, ale Havelock potrzebował kilku sekund, żeby przypomnieć sobie jej nazwisko. Czas spędzony na planecie odchudził jej policzki.

– Doktor van Altricht.

– Proszę mi mówić Sudyam – odpowiedziała. – Wszyscy tak do mnie mówią.

– Czyli Sudyam – zgodził się, wyciągając swój ręczny terminal. –

Mam dla ciebie trochę papierkowej roboty.

– Doskonale – odparła, przyjmując go.

Przesunęła spojrzeniem po dodatku do kontraktu zbyt szybko, żeby naprawdę mogła zapoznać się z jego treścią. Wpisała u dołu swoje nazwisko paznokciem i przycisnęła do ekranu środkowy i wskazujący palec. Terminal zaświergotał, a ona podała go z powrotem.

– Gratuluję – powiedział Havelock. – Jest pani teraz oficjalnie kierowniczką połową zespołu badawczego RCE.

– I zapewne dostałam gorszą robotę – odpowiedziała z uśmiechem. – A skoro to już oficjalne, to powiesz mi, kiedy dostaniemy sprzęt na wymianę?

– Do stacji *Medyna* leci z dużym ciągiem bezzałogowa kapsuła z zaopatrzeniem – wyjaśnił Havelock. – Zakładając, że SPZ jej nie skonfiskuje ani nie uzna za odzysk, powinna tu dotrzeć za sześć, może siedem miesięcy.

– A jakie jest ryzyko, że SPZ ją zatrzyma?

– Moim zdaniem nie większe niż trzydzieści procent, ale szczerze mówiąc, proszę nie przyglądać się zbyt uważnie tej wartości. Nie chce pani wiedzieć, skąd ją wyciągnąłem.

Biochemiczka z lekkim niesmakiem pokręciła głową.

– No cóż, będzie musiało wystarczyć – skomentowała.

Przez prawie tydzień po odzyskaniu zasilania *Rosynant* i *Israel* znajdowały się w bardzo delikatnej sytuacji politycznej. Pasiarze na *Israelu* zostali przyjęci w geście dobrej woli w sytuacji, gdy było praktycznie pewne, że to działanie czysto symboliczne, bo i tak wszyscy zginą. Teraz, gdy im to już nie groziło, kwestia statusu – czy Pasiarze są uchodźcami, więźniami czy płacącymi pasażerami – stała się dużo poważniejszym problemem. Marwick musiał zdecydować, czy będą na jego statku przez pełne osiemnaście miesięcy podróży z powrotem na *Medynę*, czy też miał ich wszystkich umieścić na dole. Sytuacji wcale nie upraszczał fakt, że po zniszczeniu wszystkich promów jedynym sposobem dotarcia na powierzchnię było skorzystanie z usług *Rosynanta* lub bardzo długi, nieprzyjemny skok.

W sumie wyszli prawie na równo. Mniej więcej połowa załogi

Barb postanowiła zostać z kolonistami i naukowcami na planecie. Podobnie mniej więcej połowa personelu RCE nadal znajdującego się na orbicie postanowiła zostać na planecie. Po dotarciu tak daleko nie byli zainteresowani przyglądaniem się ziemi obiecanej ze szczytu góry. Z zespołów naukowych, które od początku znalazły się na powierzchni – Vaughn, Chappel, Okoye, Cordoba, Hutton, Li, Sarkis i kilkunastu innych – tylko Cordoba postanowił wrócić na orbitę i udać się z powrotem do domu, a i to podobno wynikało bardziej z zawodu sercowego, niż faktu, że cała planeta robiła, co w jej mocy, żeby ich zabić. Było to coś, co Havelock rozumiał, choć wcale nie musiał.

Gdy zapadła noc, naprawy statku były już dobrze zaawansowane, kadłub i rusztowanie błyskały jasno i kryły się w mroku w miarę działania spawarek. Zachód był olbrzymim malowidłem w barwach złota i pomarańczy, zieleni, szarości, indygo i granatu. Przypomnił mu plaże zachodniego wybrzeża Ameryki Północnej, tylko że tutaj nie było nieustannie krążących sprzedawców i dronów reklamowych rozgłaszających przyjemności handlu. Na swój sposób był piękny. Nie byłby zaskoczony na widok ogniska z grupą kolonistów siedzących przy nim z gitarami i ćpających, tylko że po powodzi nie zostało nic, co by się paliło, a jeśli na planecie w ogóle znajdowało się coś, czym można było chemicznie poprawić sobie nastrój, to musiało zostać wyhodowane na pokładzie *Israela*.

Wspiął się z powrotem do *Rosynanta* i pokuśtykał do pryczy przydzielonej mu przez Naomi. Pierwszy raz był na Rosie z wyraźną górą i dołem, a ponieważ statek nie lądował wzdłuż wektora ciągu, przeważnie chodził po ścianach. Rozerwane mięśnie uda i poślądka powoli odrastały, ale jego kolano mogło potrzebować jeszcze jednej serii zabiegów chirurgicznych do wymiany uszkodzonej chrząstki. Biorąc pod uwagę wszystko inne, co zaszło, był to w sumie całkiem niezły zestaw problemów do posiadania.

Położył się na koi i sprawdził czekające na niego wiadomości. Była tam też ta, której się obawiał. Rodzina Williamsa złożyła pozew z powództwa cywilnego i kryminalnego o zabójstwo.

Przedstawiciel jego związku złożył już kontrpropozycję, a RCE wykazywało dziwną wolę współpracy. Miał nadzieję, że do czasu, gdy *Israel* wróci do rodzimego portu, wszystko zostanie wyjaśnione. Chciałby móc wysłać jakąś wiadomość do rodziny Williamsa i ich przeprosić. Wyjaśnić, że próbował tylko uszkodzić jego skafander i bardzo, bardzo żałuje, że wszystko potoczyło się w ten sposób. Niestety, przedstawiciel związku zmusił go do złożenia obietnicy, że tego nie zrobi. Będzie do tego okazja po zakończeniu postępowania sądowego.

Dostał też wiadomość od kapitana Marwicka o temacie „Chyba jestem panu winien drinka” i z załączonym odsyłaczem do jednego z głównych kanałów wiadomości. Havelock kliknął.

Na ekranie pojawiło się logo stacji i dodatkowe oznaczenia, ale dziwnie było mu patrzeć na centralny obraz. Na jego oczach wirujący powoli na holu *Barbapiccola* rozwarł wrota hangaru i ze środka wyleciała grupa idealnie kulistych, plastikowych baniek. Przypominało to oglądanie kwiatu wyrzucającego nasiona na wiatr. Obraz komentowany był przez męski głos, łagodny, głęboki i uspokajający, mówiący po angielsku z akcentem z Pasa.

- Dostaliśmy dzisiaj nowe nagrania z niezwyklej operacji ratunkowej przeprowadzonej na Nowej Ziemi. Oglądacie teraz obrazy zarejestrowane przez statek Royal Charter Energy, *Edward Israel*, pokazujące zbiorową ewakuację niesprawnego frachtowca *Barbapiccola*. Dla tych, którzy nie słyszeli jeszcze tej historii: kiedy do tego doszło, wszystkie trzy statki były ograniczone do pracy na zasilaniu akumulatorowym i choć *Barbapiccola* został utracony wskutek niekontrolowanego wejścia w atmosferę, wszyscy członkowie załogi i pasażerowie zostali przeniesieni na *Israela*, gdzie zapewniono im opiekę medyczną i pomoc pod nadzorem pełniącego obowiązki dyrektora ochrony Dimitrija Havelocka.

Na ekranie pojawiły się jego zdjęcia z oficjalnego raportu przesłanego do RCE. Włosy sterczały mu na głowie, sprawiając, że wyglądał, jakby próbował się upodobnić do Pasiarza, a jego głos brzmiał dziwnie wysoko i jękliwie.

- Transfer przeprowadzono do końca w niecałe trzy godziny.

Chciałbym szczególnie pochwalić kapitana Toulouse'a Marwicka za szybką i profesjonalną pomoc, bez której nie zdołalibyśmy dokonać tej operacji bez znaczących strat.

Nagranie zakończyło się, a Havelock się roześmiał. Wysłał prośbę o połączenie z Marwickiem, a rudowłosy mężczyzna pojawił się na ekranie niemal natychmiast.

- Wygląda na to, że chyba nas nie zwolnią - powiedział Havelock.

- Kiedy wrócimy do domu, urządzą dla nas paradę z serpentynami, jeśli ktoś jeszcze używa serpentyn - odpowiedział Marwick. - To mniej więcej ten moment, kiedy powinniśmy prosić o podwyżki.

- Dodatek za pracę w warunkach niebezpiecznych - poprawił go Havelock, opierając głowę na ramieniu.

- Chwilowo jesteśmy bohaterami - potwierdził Marwick. - Nie, żeby tam w domu mieli jakieś pojęcie, jak to tu naprawdę wygląda. To jedna z tych rzeczy, które można wyjaśniać tak jasno i konkretnie, jak się tylko chce, a oni i tak tego nie rozumieją.

- Nic nie szkodzi - odpowiedział Havelock. - Nie muszą. Będę miał całą listę próśb ze strony zespołu badawczego. Myśli pan, że możemy im jeszcze coś dać?

- To zależy - odparł Marwick. - Czy *Rosynant* będzie nas konwojował do Pierścienia?

- Tak sądzę - powiedział Havelock. - Mogę to potwierdzić.

- Jeśli będziemy ich mieć w charakterze wsparcia, mogę trochę bardziej ogołocić statek. Nie przesadnie, ale moglibyśmy rozmontować jeden z zapasowych generatorów i zrzucić go. I biomasę do kambuzów.

- Właściwie to sądzę, że tego mamy dość. Doktor Okoye mówiła o jakimś sposobie na skonwertowanie miejscowej flory w coś, co da się zmienić w materiał nadający się do jedzenia. Miało to jakiś związek z prawoskrętnymi molekułami, czymkolwiek one są.

- To miło - skomentował Marwick. - Słyszac coś takiego, prawie chce się jeszcze trochę tu zostać, prawda? Zobaczyć, jak się to wszystko potoczy?

- O cholera, nie - zaprotestował Havelock. - Powinien pan

zobaczyć to miejsce. Jest małe, ciasne i wszystko tu trzyma się na kleju, taśmie klejącej i modlitwie. I są tu ślimaki, które zabijają od dotknięcia. Zdziwię się, jeśli ci ludzie przeżyją rok.

– Poważnie?

– Wie pan, że za miesiąc, dwa, osiem miesięcy albo ileś tam, coś się tu musi stać. Szklarnie hydroponiczne przestaną działać, pojawi się coś nowego w typie tego paskudztwa niszczącego oczy, tylko że nie będą mieli pod ręką gotowego lekarstwa, albo z nieba spadnie jeden z księżyców bojowych. Cholera, pieprzone mordercze ślimaki mogą wyhodować skrzydła. Skąd mamy wiedzieć, że tego nie potrafią? Natomiast wiemy, że w oceanie są tu elektrownie na tyle wielkie, żeby praktycznie zepchnąć całą planetę z kursu. Holden twierdzi, że wszystkie są już nieaktywne, ale może się mylić. Albo wyłączenie wszystkiego może oznaczać, że do jądra planety spada jakiś rdzeń reaktora. Niczego nie wiemy.

Marwick wyglądał na niewzruszonego, ale kiwnął głową.

– Zapewne to prawda.

– Nie, to, czego chcę, to stacja Ceres, Ziemia albo Mars. Wie pan, co mają w Nowym Jorku? Całonocne jadłodajnie z tłustym żarciem i paskudną kawą. Chcę mieszkać na planecie z całonocnymi jadłodajniami. I torami wyścigowymi. I natychmiastową dostawą tajskiego jedzenia zrobionego z czegoś, czego nie jadłem już siedem razy przez ostatni miesiąc.

– W pańskich ustach wydaje się to rajem – rzucił Marwick. – Mimo wszystko nie mogę nie czuć dyskomfortu na myśl o zostawieniu tu tych biedaków, gdyby naprawdę mieli zginąć z głodu.

– Może nie zginą – powiedział Havelock. – Nie byłby to pierwszy raz w niedawnej historii, gdy się w jakiejś sprawie pomyliłem. Zresztą... cóż, mają też kilka rzeczy na plus. Wydaje mi się, że mają większy odsetek naukowców i inżynierów niż jakiegokolwiek inne miejsce we wszechświecie. I dajemy im wszystkie zapasy, jakie tylko możemy.

– Mimo wszystko wydaje się to ryzykowne.

Havelock dźwignął się trochę, a prycza przeciążeniowa

zasyczała na łożyskach, przesuając się.

– Mają też siebie. Przynajmniej na razie. Musi pan pamiętać, że kiedy to zaczynaliśmy, wszyscy byli gotowi podrzynać sobie gardła, a teraz razem stawiają namioty. Jeśli nic nowego nie przyjdzie ich zabić, całkiem szybko pojawią się lokalne, urodzone na Nowej Ziemi dzieci. I wcale nie będę się zakładał, że ich rodzice przylecieli tu na tym samym statku.

– No cóż – skomentował Marwick. – Dobrze jest przypomnieć sobie, że niezależnie od tego, z czym ludzie zaczynają, cokolwiek ze sobą przyniosą, ludzkość wciąż może się zjednoczyć w złej pogodzie.

Havelock wzruszył ramionami. Wciąż miał na świeżo w pamięci głos Koenena i umierającego, dryfującego Williamsa. Naomi Nagatę w celi. Inżyniera z Pasa, któremu do szafki sikali członkowie jego zespołu. Prom zmieniony w broń. Jezu, naprawdę paskudnie czuł się z Williamsem. Nawet nie próbował sobie wyobrazić swoich uczuć, gdyby użył promu jako bomby.

– Czasem tak, czasem nie. Ci ludzie mogliby równie dobrze rzucić się sobie do gardeł. To też się zdarza. Po prostu ludzie, którzy wybrali tamtą ścieżkę, raczej nie spisują historii.

– Amen – Marwick rzucił ze śmiechem. – Doprawdy amen.

Rozdział pięćdziesiąty szósty

HOLDEN

Rosynant rzeczywiście solidnie oberwał.

Wzdłuż całej bakburty zewnętrzny kadłub był mocno podziurawiony. Holden widział jaśniejsze punkty w miejscach, gdzie Basia z Naomi wymienili uszkodzone silniki, ale nie mieli czasu ani materiałów, żeby załatać wszystkie otwory. Fakt, że Aleks zdołał ich sprowadzić na dół bez spalenia statku, świadczył o jego niezwykle wysokich umiejętnościach. Przynajmniej jedna obsada działka obrony punktowej była mocno uszkodzona, a broń wewnątrz raczej nie nadawała się do użytku. Do tego dochodziła długa blizna wzdłuż grzbietu jednostki, gdzie zgodnie z informacją od Naomi wybuchł improwizowany pocisk.

Holden starannie zapisywał wszystkie przyszłe naprawy na rachunku przygotowywanym dla Avasarali.

Rosynant stał na szerokiej połaci pośrodku niczego – pół kilometra od miejsca, gdzie kiedyś wznosiło się Pierwsze Lądowanie. Zaczynały się pojawiać ramy pierwszych konstrukcji. Ludzie budujący na ruinach tego, co było tu wcześniej, dokładnie tak jak zawsze. Stracili tak wiele, ale najbardziej bolała utrata ludzi.

Dokładnie tak, jak zawsze.

Holden zapisał punkt z pomniejszych uszkodzeniami na dyszy silnika, a potem obszedł rufę statku i zobaczył grupkę Pasiarzy stawiających tymczasowe schronienie kilkanaście metrów dalej. Mężczyzna niewiele po trzydziestce naciągał linki, a starsza kobieta wbijała w ziemię paliki. Druga kobieta stała z długim prętem do odganiania ślimaków, które mogłyby za bardzo się zbliżyć.

– Nie możecie tu tego stawiać – powiedział Holden, ruszając w ich stronę i robiąc gest strzelania. – Zapytajcie administrator

Chiwewe, gdzie postawić namiot.

– To miejsce nie zostało przez nikogo zajęte – odpowiedział mężczyzna. – Możemy równie dobrze...

– Tak, tak. Nie chcę wam mówić, gdzie możecie albo nie możecie się stawiać. Ale ten statek za kilka godzin wystartuje i z waszego namiotu nic nie zostanie.

– Och. – Mężczyzna zrobił głupią minę. – Racja. W takim razie poczekamy, aż odleci.

– Dziękuję. Miłego popołudnia. – Holden posłał im uśmiech, pomachał i ruszył w stronę Nowego Pierwszego Lądowania.

To byli ci sami ludzie, którzy gotowi byli walczyć na śmierć z RCE, aby podtrzymać swoje roszczenia do tej planety. Nie dadzą sobą kierować przez kogoś z zewnątrz. Ale katastrofa nauczyła ich przynajmniej szacunku dla wiatrów o dużej sile.

Kiedy dotarł do prostokąta sześciu częściowo wzniesionych struktur, który z czasem stanie się rynkiem Nowego Pierwszego Lądowania, Carol prowadziła zażarty spór z Naomi i kimś w stroju inżyniera RCE. Amos stał w pobliżu, patrząc w przestrzeń z lekkim uśmiechem na ustach. Zaawansowana proteza na nodze nadawała mu wygląd cyborga, a bandaż na szyi wzbudzał skojarzenia z piratem. Amos znosił ciężkie rany lepiej niż ktokolwiek znany Holdenowi. Dla porównania Fayez wciąż wyraźnie utykał. A może po prostu korzystał z wymówki, by obejmować ręką ramię Elvi Okoye.

Basia, Lucia i Jacek zebrali się w pełnej szacunku odległości od kłótni, trzymając się tak, jakby ich życie zależało od fizycznego kontaktu.

– Nie obchodzi mnie, co mówią zasady – mówiła Carol. – Chcę, żeby każda z sześciu struktur była zasilana z jednego generatora. Mamy tylko dwa. Drugi będzie potrzebny dla reszty miasta.

– To budynki o największym stopniu wykorzystania – odpowiedział inżynier. – Obciążenia będą na granicy...

– One mają trochę niedoszacowane parametry. – Naomi weszła mu w słowo. – A skoro tego chce administrator, to może jej to dać. Inżynier przewrócił oczami i wzruszył ramionami.

– Tak jest, proszę pani.

- Wszyscy się dogadują? – spytał Holden, podchodząc bliżej.
- Kraina mlekiem i miodem płynąca, kapitanie – odpowiedział Amos. – Są spokojni jak śpiące kociaki.
- Jak on wygląda? – zapytała Naomi, odchodząc od grupy, a kłótnia za jej plecami wybuchała na nowo.
- Dość poobijany.
- Robiliśmy, co mogliśmy.
- Byliście niesamowici – odpowiedział Holden, biorąc ją za rękę. – Ale następnym razem nie pozwól, żeby bandyci cię złapali.
- Hej! – Naomi oburzyła się na niby. – Sama się uratowałam.
- Właśnie, chciałem cię o to zapytać. Jak dokładnie przekonałaś swojego strażnika, żeby przeszedł na naszą stronę?
- Naomi podeszła krok bliżej i wyszczerzyła się do niego w uśmiechu.
- To było więzienie. W takich ekstremalnych sytuacjach ludzie robią różne rzeczy, których inaczej by nie zrobili. Jesteś pewien, że chcesz wiedzieć?
- Nie obchodzi mnie to ani odrobinę – powiedział Holden, a potem ją przytulił.
- Prawie się na nim zawiesiła.
- Boże, nie puszczaj – wyszeptła mu do ucha. – Kolana mnie zabijają. Jeszcze godzina chodzenia w tym ciężeniu, a będę potrzebowała wymiany więzadeł.
- W takim razie wynośmy się stąd w cholerę.
- Holden wychylił się nad Naomi na tyle, by złapać spojrzenie Amosa, a potem kiwnął głową w stronę statku. Mechanik przytaknął, uśmiechnął się i zaczął kuśtykać wokół placu, zbierając resztę swojego sprzętu.
- Nasz więzień jest na pokładzie?
- Amos parę godzin temu zamknął go w ambulatorium – wyjaśniła Naomi, a potem pozwoliła całemu szkieletowi się rozluźnić, wydając przy tym długi jęk.
- Dasz radę dojść do statku? – zapytał Holden.
- Tak. Pożegnaj się.
- Holden puścił ją i przez chwilę przyglądał się, jak chwieje się na

niepewnych nogach, zanim odszedł, by uścisnąć rękę Carol Chiwewe. Administratorka i inżynier z RCE spierali się teraz o systemy ściekowe i oczyszczanie wody. Pożegnał się z nimi krótko, życzył im obojgu powodzenia, a potem podszedł do Basi i jego rodziny.

– Pani doktor – powiedział do Lucii, ściskając jej dłoń. – Bez pani bym tego nie przeżył. Nikt z nas by tego nie zrobił. – Potem uścisnął rękę Jacka. Na koniec Basi. – Basia. Dziękuję za pomoc ze statkiem. I dziękuję za próbę pomocy Naomi. Jesteś dzielnym człowiekiem. Żegnaj i dobrej pogody.

Przewalające się w górze burzowe chmury i łagodna mżawka zmieniły życzenia w żart, a on uśmiechnął się do nich.

– Co? – powiedział Basia. – Myślałem, że musisz mnie zabrać do...

Holden już odchodził, ale zatrzymał się i odwrócił.

– Pracuj ciężko. Kiedy następnym razem przylecę na tę planetę, chcę móc dostać kubek przyzwoitej kawy.

– Będziemy – odpowiedziała Lucia.

Holden usłyszał łzy w jej głosie, choć deszcz zamaskował je na twarzy.

Nie będzie tęsknił za tą planetą, choć będzie mu brakować ludzi. Jak zawsze.

* * *

Na *Rosynancie* start wgniół Holdena w pryczę przeciążeniową, jakby statek witał go z powrotem uściskiem. Gdy tylko dostali się na niską orbitę, wyleciał ze swojego fotela i poszybował w dół drabiny załogowej do kambuza. Trzydzieści pięć sekund później powietrze wypełnił bogaty aromat kawy i dźwięki bulgotania ekspresu. Prawie zakręciło mu się od tego w głowie.

Przyleciała Naomi.

– Pierwszy krok to przyznanie się, że masz problem.

– Mam – odpowiedział. – Ale właśnie spędziłem kilka miesięcy na planecie, która cały ten czas starała się mnie zabić. I muszę się zająć naprawdę paskudną robotą, więc zamierzam poświęcić chwilę i najpierw zrobić sobie kubek kawy.

- Zrób i dla mnie – poprosiła, a potem przesunęła się do panelu ściennego i zaczęła przeglądać raporty o stanie statku.

- Ja też proszę – rzucił Amos, wciągając się do kambuza. – Mam trzy tony gratów do naprawienia, bo pozwoliliście komuś użyć mojego skarbu jako tarczy strzelniczej.

- Robiliśmy, co mogliśmy... – zaprotestowała Naomi, ale przerwał jej odgłos włączanego interkomu.

- Hej, robicie tam na dole kawę? – odezwał się z kokpitu Aleks.
- Przynieście mi na górę bańkę.

Gdy Amos i Naomi spisywali listę napraw, które będą mogli zrobić podczas długiego lotu z powrotem na *Medynę*, Holden przygotował cztery duże bańki kawy. Nie miał nic przeciwko. Robienie czegoś tak prostego i domowego, by sprawić radość innym, miało w sobie coś kojącego. Dla niego czarna. Dla Amosa dwa zabielače i dwa słodziki. Jeden zabielač dla Aleksa. Jeden słodzik dla Naomi. Rozdał gotowe bańki.

- Możesz to zanieść Aleksowi? – zapytał, wręczając drugą bańkę Naomi.

Coś w jego głosie lub twarzy sprawiło, że zmarszczyła się z troski.

- Dobrze się czujesz? – zapytała, biorąc bańkę, ale nie odlatując.

Za jej plecami Amos niezdarnie wziął kawę w uszkodzoną rękę i ruszył ku rufie, do swojego warsztatu, patrząc na listę zadań na terminalu i mrucząc coś o tym, ile ma pracy do zrobienia.

- Jak już mówiłem, mam do zrobienia coś paskudnego.

- Mogę pomóc?

- Wolałbym zająć się tym sam, jeśli nie masz nic przeciwko.

- Oczywiście – powiedziała i pocałowała go lekko w policzek. – Później cię znajdę.

Holden udał się na pokład z szafkami i służą i odszukał samouszczelniający się pakiet próżniowy, szpachlę, skafander próżniowy do napraw na zewnątrz statku i ręczny palnik. Wbił się w skafander, a potem przeleciał przez statek do ładowni.

Do pomieszczenia prawie na pewno będącego miejscem ostatniego spoczynku Millera.

Począł w służbie ładowni na otwarcie zewnętrznych drzwi,

opróżnienie całego pomieszczenia z powietrza, a potem wszedł do środka. Gdyby coś poszło nie tak, gdyby pozostałości protomolekuły na jego statku postanowiły się bronić, będzie w próżni ze służą blokującą dostęp do jego statku. Zamknął służę za sobą i polecił Aleksowi zablokować lokalne sterowanie zewnętrznych drzwi do czasu, gdy osobiście poprosi go o ich otwarcie. Aleks wykonał polecenie bez pytania o powody.

A potem Holden zaczął metodycznie rozmontowywać ładownię.

* * *

Znalazł to po pięciu godzinach i jednym uzupełnieniu powietrza w skafandrze. Mała grudka tkanki nie większa niż końcówka palca Holdena, przymocowana do spodu rynienki na kable za zdejmowanym panelem w ścianie ładowni. Kiedy pierwszy raz zobaczyli protomolekularnego potwora, który zakradł się na *Rosa* na Ganimedesie, ten leżał zwinięty niecałe pół metra od miejsca, gdzie znalazł polipa. Przeszły go ciarki, gdy uświadomił sobie, jak długo woził tę pozostałość potwora na swoim statku.

Za pomocą szpachelki zdarł polip z rynienki przewodu, a potem umieścił go wraz z narzędziem w worku próżniowym i włączył ładunek, żeby go uszczelnić. Przez kilka minut opalał rynienkę palnikiem, rozgrzewając metal do czerwoności, żeby zabić wszelkie pozostałości pominięte przy zdrapywaniu, a potem zaczął grzebać w rzeczach dostępnych w ładowni, aż znalazł zapasową sondę do statkowej wyrzutni, otworzył ją i wcisnął worek do środka obudowy.

Podłączył radio skafandra do kanału interkomu *Rosynanta*.

– Jesteś tam gdzieś, Naomi?

– Jestem – odpowiedziała po chwili. – Na mostku. Czego ci trzeba?

– Możesz przejąć ręczne sterowanie sondą, yyy, 117A43?

– Jasne, co mam z nią zrobić?

– Wyrzucę ją za chwilę przez drzwi ładowni. Możesz poczekać jakieś pięć minut, a potem wysłać ją w słońce Ilusa?

– Jasne – odpowiedziała, nie zadając pytania, które wyraźnie

usłyszał w jej głosie.

Wyłączył radio.

Sonda zawierała czujniki elektromagnetyczne i czujniki podczerwieni z prostym systemem napędu. Tego rodzaju sondy jednostki floty używały do sprawdzania, co może się kryć po drugiej stronie planety. Nie była dużo większa niż hydranty na starej Ziemi, ale swoje ważyła. Gdy Holden wypchnął ją przez drzwi ładowni, trudno było ją ponownie zatrzymać.

Na zewnątrz wirował Ilus, z gniewną, brązową warstwą chmur, przerywaną miejscami plamami bieli, a nawet okazjonalnymi przebłyskami błękitu oceanu w dole. Trochę to potrwa, ale planeta wróci do równowagi. Jaszczurki papuzie powrócą i zaczną konkurować o miejsce z ludzkimi dziećmi i tymi irytującymi owadami, które gryzły, a potem padały trupem. Dwie obce biologie walczące o miejsce. Albo trzy. A może cztery. Nic, czego Ilus nie doświadczył już kilka miliardów lat temu. Nowa walka, choć zasady takie same jak poprzednio.

Holden położył dłoń w rękawicy na unoszącej się obok niego sondzie, a drugą wskazał planetę.

- To twoje dzieło, stary. To już druga planeta, którą uratowałeś. I znowu nie mogę ci niczego ofiarować w zamian. Trochę żałuję, że nie byłem dla ciebie miłszy.

Zaśmiał się z siebie, bo prawie mógł usłyszeć w głowie słowa starego detektywa: mógłbyś też się postarać, żeby mój wikiński pogrzeb nie skupiał się na twoich uczuciach.

- Racja. Do zobaczenia po drugiej stronie. - Holden tak naprawdę nie wierzył w drugą stronę. Po śmierci nie było niczego poza nieskończoną czernią. A przynajmniej było tak jeszcze do niedawna. Jasne, może w to być zaangażowana niekontrolowana technologia obcych, ale może, po prostu może, czasem mogło być coś więcej. - Żegnaj, przyjacielu.

Mocno pchnął sondę, która powoli oddryfowała od statku. Przyglądał się, jak maleje, aż stała się tylko drobnym punktem odbitego światła gwiazdy Ilusa. Potem rozjarzyła się na kilka sekund krótkim ciągiem silnika i odleciała od planety. Holden poczekał, aż przestał ją widzieć, i zamknął drzwi ładowni.

Zdjął z siebie skafander próżniowy w służbie, gdy ta już napełniła się powietrzem. Naomi czekała na niego, gdy otworzył wewnętrzne drzwi.

- Hej - rzucił.

- Zrobione?

- Tak, już tu skończyłem.

- To chodź do mojego pokoju, marynarzu - powiedziała. - Jest tam coś, co chcę ci pokazać.

* * *

Holden unosił się pół metra nad łóżkiem z ciałem pokrytym potem. Naomi unosiła się obok niego, długa i szczupła, z włosami zmierzwionymi po seksie. Dotknął własnej skóry głowy i poczuł, jak jego włosy przesiąkły potem.

- Muszę koszmarnie wyglądać - odezwał się.

- Może być, jeże są urocze.

Naomi dotknęła ściany jednym ze swoich długich palców i przedryfowała kilka centymetrów bliżej do panelu sterowania klimatyzacją. Skierowała na nich wylot nawiewu, a skóra Holdena zamrowiała, schnąc w chłodnym powietrzu.

- Nie sądzę, żebym kiedykolwiek wziął dość pryszniców, by zmyć z siebie Ilusa - powiedział po chwili.

- Ja przez kilka tygodni byłem w areszcie statkowym. Zamienisz się?

- Przykro mi z tego powodu.

- To nie twoja wina, po prostu pech. Wiesz, że ten ochroniarz, Havelock, był partnerem Millera na Ceres?

Holden dotknął łóżka, żeby obrócić ciało i popatrzeć na nią.

- Nabierasz mnie.

- Nie. Oczywiście, zanim go spotkaliśmy.

- Żałuję, że nie wiedziałem.

- Teraz tak myślisz, ale to byłoby dziwne.

- Pewnie masz rację - zgodził się Holden, a potem westchnął i przeciągnął się tak, że strzeliły mu stawy. - Nigdy więcej tego nie zrobię.

- Którego tego?

– Nie zostawię cię. Kiedy myślałem, że zginę na Ilusie, a ty zginiesz na orbicie i nie będziemy mogli się trzymać w objęciach, gdy to się stanie, to była absolutnie najgorsza rzecz, jaka przyszła mi do głowy.

– Tak – potwierdziła, kiwając głową. – Rozumiem.

– Obiecuję, że więcej się to nie zdarzy.

– Dobrze. Dlaczego pozwoliłeś Basi zostać?

Holden zmarszczył brwi. Prawdę mówiąc, sam nie był tego do końca pewien. I było to coś, o czym bardzo stanowczo starał się nie myśleć.

– Ponieważ... lubię go. I lubię Lucię. A rozdzielenie ich rodziny niczego by nie rozwiązało. Kupiłem jego historię o wczesnym wysadzeniu lądowiska w próbie uratowania ludzi. Na dodatek nie będzie podkładał żadnych więcej bomb. A jedna rzecz, którą powiedział mi Murtry i która naprawdę skłoniła mnie do myślenia, to fakt, że tutaj jesteśmy poza granicami cywilizacji. Czarno-białe argumenty prawne nie mają tu za wiele sensu. Może kiedyś.

– Pogranicze nie ma praw, tylko szeryfów? – powiedziała Naomi, ale uśmiechała się przy tym.

– Auć – odpowiedział Holden, a ona się roześmiała.

Przez kilka minut unosili się w powietrzu w przyjaznej ciszy.

– A skoro o tym mowa, chyba powinienem zobaczyć, co u naszego więźnia – odezwał się w końcu Holden.

– Żeby się przechwalać? – zapytała Naomi, szturchając go w zębra. – Uwielbiasz to, że na koniec możesz się przechwalać.

– Dzięki temu warto było przez to wszystko przejść.

– Idź – rzuciła, opierając się stopą o ścianę, a potem rękami pchając go w stronę szafy. – Ubierz się. I nie zapomnij się uczesać.

– Niedługo wrócę – obiecał, wyciągając ubranie z szuflad. – Jest jeszcze jedna rzecz, którą chciałbym, żebyś mi pokazała.

– Nadrabiamy stracony czas?

– Zgadza się.

* * *

Przed odwiedzeniem Murtry'ego w ambulatorium Holden

zatrzymał się w łazience, żeby umyć zęby i twarz. Kiedy walczył ze splątanymi włosami, do środka powoli wleciał Amos, a potem zatrzymał się w powietrzu i czekał.

– Przeszkadzam ci w czymś? – zapytał Holden. – Potrzebujesz prywatności? – Amos nigdy dotąd nie wstydził się korzystania z ubikacji.

– Naomi mówiła, że idziesz porozmawiać z Murtrym – wyjaśnił Amos starannie neutralnym tonem.

– Owszem.

– Powiedziałaś, że mnie nie wolno go odwiedzać.

– Zgadza się.

– Czy w takim razie mogę iść z tobą? – zapytał Amos.

Holden prawie odmówił, ale chwilę się zastanowił i wzruszył ramionami.

– Jasne. Dlaczego nie?

Rana w nodze Murtry'ego nie była szczególnie poważna, ale pocisk Holdena strzaskał jego prawą kość ramienną, więc trzymali go unieruchomionego w ambulatorium pod kontrolą systemu eksperckiego, pilnującego regeneracji kości. Lewą rękę szefa ochrony RCE przykuli kajdankami do pryczy przeciążeniowej. Kiedy jego prawa ręka będzie dostatecznie zagojona, planowali przenieść go do jednej z kabin załogowych, wyposażonych przez Amosa w zewnętrzny zamek.

– Kapitanie Holden – przywitał go Murtry, gdy weszli. – Panie Burton.

– No tak – odezwał się Holden, jakby kontynuował rozmowę rozpoczętą wcześniej. Co, na swój sposób, było prawdą. – Parę godzin temu dostałem wiadomość od znajomej z ONZ. Nie może się doczekać na spotkanie z tobą. Wyrzucimy się w kompleksie ONZ w Lowell na Lunie. Kiedyś już zawiozłem tam więźnia, a od tamtej pory ta osoba przestała istnieć dla reszty Układu Słonecznego. Hej, może nawet dostaniecie sąsiadujące cele.

– Mówi pan, jakbym złamał jakieś prawo. Nie zrobiłem tego – odpowiedział Murtry.

– Na Ziemi pracuje teraz zespół bardzo mądrych prawników, którzy jakiegoś szukają. I mają na to prawie dwa lata. Życzę miłej

podróży.

- A ja - odezwał się Amos - jestem tu, żeby wyjaśnić, dlaczego ta podróż taka nie będzie.

- Nie mogę tego słuchać - wtrącił się Holden. - To mój więzień.

- W takim razie może powinieneś wyjść - zasugerował Amos.

Holden popatrzył na Murtry'ego, który odpowiedział kamiennym spojrzeniem.

- Dobra, Amos. Czekał na ciebie w kambuzie za minutę.

- Potwierdzam, kapitanie - odpowiedział Amos, uśmiechając się przy tym do więźnia.

Bojąc się, że mógł właśnie skazać więźnia na śmierć, Holden czekał tuż za rogiem przy drzwiach do ambulatorium.

- Chcesz pobić bezradnego na łóżku szpitalnym tylko dlatego, że był od ciebie lepszy? - zapytał Murtry, próbując ukryć niepokój pogardą.

- Och, na Boga, nie - zapewnił Amos z udawanym poruszeniem.

- Dobrze ci się to udało. Sprytnie postąpiłeś, atakując mnie zza pleców. Nie jestem wrogiem gry, doceniam dobrego gracza.

- W takim razie... - zaczął Murtry, ale Amos nie przestał mówić.

- Ale zmusiłeś mnie do zabicia Wei. Lubiłem ją.

Cisza między mężczyznami przeciągała się i Holden prawie wrócił do sali, spodziewając się zastać Amosa duszącego więźnia. A potem Amos znowu się odezwał.

- A kiedy w końcu cię pokonam, nie będziesz bezradny. Myślisz, że to coś zmieni?

Holden nie czekał, żeby usłyszeć dalszy ciąg.

Epilog

AVASARALA

Vyakislav Pratkanis, przewodniczący izby reprezentantów kongresu Marsa, miał świetną pokerową twarz. Przez trzy dni spotkań, posiłków i wieczorów w teatrach i na przyjęciach nigdy nie okazał niczego więcej poza bardzo delikatnym zdziwieniem. Albo panikował w środku, albo po prostu kompletnie nie rozumiał sytuacji. Avasarala podejrzewała, że chodzi raczej o to drugie.

– Bardzo mi przykro, że nie mogę się z panią spotkać tego wieczoru – powiedział, ściskając jej rękę w rzeczowy, suchy sposób.

– Jest pan dobrym kłamcą – odpowiedziała z uśmiechem. – Większość mężczyzn, którzy spędzają ze mną tyle czasu, wydaje się nabierać przekonania, że jeśli ode mnie nie uciekną, odpadną im fiuty.

Jego oczy rozszerzyły się nieco od łagodnego uśmiechu, który prawie na pewno ćwiczył przed lustrem. Odpowiedziała tym samym. Budynki rządowe mieściły się w Aterpol, najbardziej prestiżowej dzielnicy Londres Nova. Pod ziemią Aurorae Sinus na Marsie kryło się jeszcze sześć społeczności. Musiała przyznać, że Marsjanie dobrze się spisali, odtwarzając pod ziemią świat powierzchni. Fałszywa kopuła Aterpolu wznosiła się wysoko w górze, oświetlona światłem o starannie dobranym widmie, które zdołało przekonać jej prymitywną część mózgu, że znajduje się na otwartej przestrzeni na Ziemi. Budynki rządowe zaprojektowano z lekkością, dzięki której prawie można było wybaczyć fakt, że całe miasto – właściwie całą planetarną sieć – zbudowano jak pieprzony grobowiec. Brak magnetosfery sprawiał, że pierwszym priorytetem Marsa była ochrona przed promieniowaniem. Gdy dodać do tego fakt, że z powodu niskiego

ciążenia w niezamierzony sposób skakała po korytarzach jak uczennica, nie wzbudziło to w niej miłości do tej planety.

– Zaszczycem było dzielić się z panią opiniami – powiedział.

Skłoniła się.

– Poważnie, Vyakislav. Rozmawiamy nieoficjalnie. Możesz mi przestać kadzić dupę.

– Jak sobie życzysz – powiedział, w ogóle, nie zmieniając wyrazu twarzy. – Jak sobie życzysz.

W korytarzu prowadzącym do atrium poprawiła swoje sari, ściągając je z powrotem na miejsce. Nie, żeby się jakoś szczególnie przesunęło, ale jego waga była niewłaściwa i gdzieś w głębi głowy ciągle chciała je poprawiać, aż będzie je właściwie czuć. Łagodne światła osadzono w niszach wzdłuż ścian. Powietrze pachniało drzewem sandałowym i wanilią i rozbrzmiewało łagodną, kojącą muzyką. Można było odnieść wrażenie, że rząd mieści się w średniej jakości spa.

– Chrisjen! – zawołał męski głos, gdy tylko dotarła do wysoko sklepionego atrium.

Odwróciła się. Był dużym mężczyzną o skórze o kilka odcieni ciemniejszej od jej i włosami tylko odrobinę jaśniejszymi niż jej stalowa szarość. Idąc, wyciągnął ręce, a ona go objęła. Widząc ich, nikt by się nie domyślił, że kierują rządami dwóch z trzech największych organizacji politycznych ludzkości. Ziemia może się obawiać Pasa, Pas może chować urazy do Ziemi, ale SPZ i Organizacja Narodów Zjednoczonych musiały utrzymywać pozory dyplomatyczne, a zresztą prawdę mówiąc, prawie lubiła tego starego drania.

– Nie zamierzałaś chyba odlecieć bez pożegnania, prawda? – zapytał.

– Wylatuję dopiero jutro – powiedziała. – Teraz idę tylko na kolację z przyjaciółmi.

– No cóż, i tak się cieszę, że cię widzę. Masz wolną chwilę?

– Dla wojskowego dowódcy największej organizacji terrorystycznej w znanym kosmosie? – odpowiedziała. – Jak mogłabym nie mieć. Co ci chodzi po głowie?

Fred Johnson powoli ruszył przed siebie, a ona dostosowała

krok. Atrium wyłożono polerowanymi kamieniami, a z fontanny na środku woda spływała powoli po abstrakcyjnej i bezpłciowej postaci człowieka. Usiadł na brzegu fontanny. Pomyślała, że powolne fale na wodzie nadają im oleisty wygląd.

– Przepraszam, że nie mogłem cię tam bardziej wspierać – odezwał się Fred. – Ale rozumiesz, jak to jest.

– Rozumiem. Będziemy robić, co się da, obchodząc ograniczenia, jak zawsze.

– Mamy na tych statkach mnóstwo Pasiarzy. Jeśli potraktuję ich zbyt ostro, to będzie gorsze od zbyt łagodnego postępowania.

– Mnie nie musisz przepraszać – zapewniła Avasarala. – Oboje jesteśmy ograniczeni realiami sytuacji. Zresztą przynajmniej nie mamy tak przesrane, jak Pratkanis.

– To prawda – potwierdził Johnson, kręcąc głową.

– Czy Anderson Dawes wciąż kieruje tam polityczną stroną? Johnson wzruszył ramionami.

– Przeważnie. To jak ogarnianie stada kociąt. Gdyby kocięta miały mnóstwo broni i przedawkowały neoliberalariańską teorię własności. A co u ciebie? Jak Gao radzi sobie jako sekretarz generalny?

– Nie jest głupia, ale uczy się to udawać – odpowiedziała Avasarala. – Wypowiada wszystkie właściwe słowa i robi odpowiednie gesty. Pilnuję tego.

Fred Johnson sapnął. Fontanna bulgotała, a kiepska łagodząca muzyka jakoś nie spełniała swojej roli. Poczula się, jakby znaleźli się na granicy czegoś, ale to było złudzenie. Tak naprawdę już dawno temu zeskoczyli z krawędzi.

– Uważaj na siebie, Fred – powiedziała w końcu.

– Będziemy w kontakcie.

* * *

Połączony oddział ochrony Marsa i ONZ zablokował dla niej stację metra. Usiadła w wagoniku z zaciemnionymi oknami i trzema uzbrojonymi ochroniarzami przy drzwiach. Formowane plastikowe siedzenie było zwrócone w bok, więc mogła zobaczyć swoje odbicie w szybie. Wyglądała na zmęczoną, ale

przynajmniej niskie ciśnienie sprawiło, że wyglądała młodziej. Bała się, że wiek obciąża jej skórę. Wagonik z sykiem sunął po torze. Tunel na zewnątrz nie zawierał powietrza, by ograniczyć opór i tarcie. Oparła głowę o bok wagonika i pozwoliła sobie na chwilę zamknąć oczy.

Mars był pierwszy. Nie był pierwszą stacją ani pierwszą kolonią, a pierwszą próbą ludzkości zerwania więzów z Ziemią. Nowobogacką kolonią, która ogłosiła niepodległość. A gdyby Salomon Epstein nie był Marsjaninem i nie opracował swojego silnika właśnie wtedy, Mars stałby się miejscem pierwszej wojny międzyplanetarnej. Zamiast tego Ziemia i Mars zawarły coś w rodzaju szorstkiej przyjaźni, w której każda strona czuła się lepsza od drugiej i razem zajęli się dzieleniem Układu Słonecznego. Było tak, jak daleko sięgała pamięć.

To jedno z niebezpieczeństw bycia starym politykiem. Przyzwyczajenia utrzymywały się dłużej od kształtujących je sytuacji. Zasady obowiązywały, nawet gdy zmieniły się sytuacje prowadzące do ich wprowadzenia. Równowaga sił ludzkości ulegała zmianie, a modele używane do jej oswojenia zmieniały się wraz z nią, więc musiała sobie nieustannie przypominać, że przeszłość była zupełnie inna od terażniejszości. Już w niej nie żyła.

Wagonik zatrzymał się w Nariman i Avasarala wysiadła. Stacja była pełna miejscowych, których zatrzymano, aż ona dotrze na miejsce. Na Ziemi zobaczyłaby mieszankę białych, Afrykanów, Azjatów i Polinezyjczyków, ale tutaj byli Marsjanami, a ona Ziemianką. Gdy ochrona prowadziła ją do elektrycznego wózka, zastanawiała się, kim staną się potem. Zapewne Nowymi Ziemianami. Chyba że wygra nazwa dzikich lokatorów. Wtedy... kim? Iluzjanami? Iluzjami? To cholernie głupia nazwa.

Na Boga, jakże była zmęczona. To wszystko było tak strasznie wielkie i tak strasznie niebezpieczne, a ona była tak zmęczona.

Prywatna sala na tyłach restauracji została oddana do jej wyłącznego użytku. Przestrzeń mieszcząca dwieście, może trzysta osób. Kryształowe kandelabry. Srebrna zastawa stołowa. Kieliszki z rżniętego kryształu i dywany wyprodukowane na

wzór perskich sprzed stuleci. Bobbie Draper siedziała przy stole, przez co wszystko wokół niej wydawało się mniejsze.

– Kurwa – rzuciła Avasarala. – Spóźniłam się?

– Kazali mi przyjść wcześniej na kontrolę bezpieczeństwa – wyjaśniła Bobbie, wstając.

Avasarala podeszła do niej. Dziwne. Freda Johnsona mogła objąć z łatwością i wdziękiem, choć ledwie obchodził ją jako ktokolwiek poza rywalem politycznym i narzędziem. Bobbie Draper szczerze lubiła, a jednak nie była pewna, czy powinna objąć byłą sierżant kompanii, uścisnąć jej dłoń czy po prostu usiąść i udawać, że widują się każdego dnia. Zdecydowała się na to ostatnie.

– Program pomocy dla weteranów? – powiedziała.

– Mogę z tego płacić rachunki – odparła Bobbie.

– No tak.

Podszedł do nich młody mężczyzna o ostrych, pięknych rysach i bardzo zadbanych dłoniach, nalewając im wodę i wino.

– A jak pani sobie radzi? – zapytała Bobbie.

– W sumie całkiem dobrze. Mam nowe biodro. Arjun mówi, że zrobiłam się od niego marudna.

– Widzi różnicę?

– Ma dużo wprawy. Choć cholernie nienawidzę nowej pracy. Stanowisko zastępczyni podsekretarza było dla mnie idealne. Cała władza bez pieprzenia. Teraz, po awansie, muszę podróżować. Spotykać się z ludźmi.

– Wcześniej też spotykała się pani z ludźmi – odpowiedziała Bobbie, popijając wodę i ignorując wino. – Tym się pani zajmuje. Spotyka z ludźmi.

– Ale teraz najpierw muszę do nich polecieć. Nie lubię siedzieć tygodniami na statku, żeby odbyć rozmowę, którą równie dobrze można by było przeprowadzić przez telefon zza mojego własnego cholernego biurka.

– Owszem – zgodziła się Bobbie z uśmiechem. – Chyba rozumiem, co miał na myśli Arjun.

– Nie wymądrzaj się – rzuciła Avasarala, a potem piękny młodzieniec przyniósł im sałatki. Chrupka sałata i rzodkiewki,

ciemne, słone oliwki. Nic z tego nigdy nie widziało słońca. Podniosła widelec. – A teraz to.

– Śledziłam sytuację w wiadomościach. Traktaty dotyczące prawa dostępu do wrót?

– Nie, to bzdury. Dajemy to dziennikarzom, żeby mieli o czym rozmawiać. Tak naprawdę mamy na stole poważniejsze tematy.

Widelec Bobbie znieruchomiał w pół drogi do ust. Zmarszczyła czoło. Avasarala wypila pół kieliszka wina. Chyba było dobre.

– Problem – powiedziała, dla podkreślenia celując widelcem w Bobbie – polega na tym, że zaufałam Jamesowi Holdenowi. Bynajmniej nie w to, że zrobi to, co mu kazałam. Nie jestem aż tak głupia. Ale sądziłam, że będzie sobą.

– W jakim znaczeniu?

Avasarala spróbowała sałaty.

– Czy wiesz, ile obecnie statków leci w stronę Pierścienia? W tej chwili, w tej chwili mamy tysiąc sześćset jednostek, z których każda wgąpiła się w Nową Ziemię, jakby czytali z pieprzonych fusów po kawie. Razem z Johnsonem wysłaliśmy tam Holdena jako mediatora, ponieważ był idealną osobą do pokazania, jak fatalnie to wszystko tam wygląda. Jak może być paskudnie. Spodziewałam się konferencji prasowych za każdym razem, gdy ktoś kichnął. Facet przez cały cholerny czas wszczynają wojny, a tym razem, gdy potrzebowałam małego konfliktu – jest pieprzonym rozjemcą.

– Nie rozumiem – wyznała Bobbie. – Dlaczego chciała pani konfliktu?

– Żeby wdepnąć na hamulce – wyjaśniła Avasarala. – Uratować Marsa. Tylko że mi się to nie udało.

Bobbie odłożyła widelec. Piękny młodzieniec zniknął. Był dobry w swojej pracy. Teraz powinny być naprawdę same.

– Tysiąc słońc, Bobbie. Trzy rzędy wielkości więcej, niż mieliśmy dotąd. Możesz to sobie w ogóle wyobrazić? Bo ja przez większość czasu nie. A niektóre – może nawet wszystkie – mają przynajmniej jedną planetę z atmosferą nadającą się do oddychania. Miejsce nadające się do życia. Tego właśnie przecież szukali. Czymkolwiek były te pieprzone stwory, które

wyprodukowały protomolekułę, szukały miejsc podobnych do Ziemi. I właśnie takie znaleźli. Miejsca znacznie podobniejsze do Ziemi niż Mars. Nowa Ziemia była precedensem, a ten precedens to pieprzona, rozgrzewająca duszę historia, jak to w niebezpieczeństwie stanęliśmy ramię w ramię. Mamy przykład tego, że jeśli dostaniesz się na jedną z tych planet dostatecznie szybko i siądiesz dostatecznie mocno, będziesz mogła ją sobie zatrzymać. Powitaj największą migrację w historii ludzkiej cywilizacji. Fred Johnson sądzi, że może nad nią zapanować, bo ma punkt kontrolny na stacji *Medyna*, ale ma też do czynienia z SPZ. Jest już za późno.

- Dlaczego w ogóle próbować to kontrolować? Dlaczego nie pozwolić ludziom osiadać tam, gdzie chcą?

- Z powodu Marsa - odpowiedziała Avasarala.

- Nie rozumiem.

- Mars ma drugą największą flotę w układzie. Coś rzędu piętnastu tysięcy głowic jądrowych, szesnaście pancerników i cholera wie ile mniejszych jednostek bojowych. Ich statki są nowsze niż ziemskie. Lepiej zaprojektowane, szybsze. Mają technologię maskowania sygnatury cieplnej, szybką wymianę wody i działa na wysokoenergetyczne protony.

- Działa protonowe to mit.

- Wcale nie. No więc masz drugą najpotężniejszą flotę, jaka tylko istnieje. Co się z nią stanie?

- Będzie chronić Marsa.

- Mars umarł, Bobbie. Holden i ten skurwysyn Havelock oraz Elvi Okoye, kimkolwiek ona do cholery jest, zabili go. Rozumie to połowa marsjańskiego rządu i srają ze strachu tak bardzo, że za chwilę nie zostaną im żadne kości. Kto, do kurwy nędzy, zostanie na Marsie? Jest tysiąc nowych planet, na których nie musisz mieszkać w jaskiniach i nosić skafandrów, żeby chodzić pod niebem. Nikt tu nie zostanie. Wiesz, co by się stało, gdyby połowa populacji Ziemi poleciała na planety za Pierścieniem?

- Co?

- Zburzylibyśmy trochę ścian i zrobilibyśmy większe mieszkania. Tyle mamy ludzi żyjących na podstawowym

utrzymaniu. Wiesz, co stanie się z Marsem, jeśli opuści go dwadzieścia procent mieszkańców?

– Upadnie projekt terraformacji?

– Upadnie projekt terraformacji. I trudniej będzie utrzymać podstawową infrastrukturę. Zapadnie się podstawa podatkowa, ekonomia polegnie. Upadnie marsjański rząd. To się stanie, bo przepadła jedyna szansa na kontrolowanie tej sytuacji. Będziesz miała marionetkowy rząd z planetą, której nikt nie chce, bo nikt jej nie potrzebuje. Surowce, które muszą teraz sprzedawać, są powszechnie dostępne w nowych układach, gdzie wydobywanie jest proste i nie trzeba się zadusić na śmierć w próżni, jeśli sprzęt się zepsuje. A jedna rzecz – jedna rzecz – która ci została na sprzedaż? Twój jedyny zasób?

– Piętnaście tysięcy głowic jądrowych – odpowiedziała Bobbie.

– Oraz statki do ich wystrzeliwania. Kto będzie kontrolował te okręty, gdy Mars zmieni się w wymarłe miasto, Bobbie? Gdzie polecą? Kogo zabiją? Teraz wszyscy ustawiamy na planszy pionki do pierwszego konfliktu międzygwiazdowego. A James Holden, który mógł uczynić z Nowej Ziemi dowód na to, że lepiej jest zostać w domu i dać nam trochę czasu na przygotowania, zamiast tego znalazł nowy, świetny sposób na spieprzenie wszystkiego.

– Przez to, że mu się udało?

– Zgodnie z niektórymi definicjami tego pojęcia.

– Wybuchła pod nim planeta – przypomniała Bobbie.

– Drobne plusy – skomentowała Avasarala z prychnięciem.

– No cóż – rzuciła Bobbie. – Szlag.

– Właśnie.

Bardzo długo siedziały w milczeniu. Bobbie wpatrywała się w sałatkę, w ogóle jej nie widząc. Avasarala dopiła swoje wino. Widziała, jak była marine śledzi linie implikacji i konsekwencji. Spojrzenie Bobbie stwardniało.

– Ta kolacja. To nie jest spotkanie rekrutacyjne, prawda?

Avasarala złożyła dłonie.

– Bobbie, skoro już mówimy o ustawianiu naszych pionków...

– Tak?

– Muszę cię znowu wprowadzić do gry, żołnierzu.

Podziękowania

Jak zawsze jest mnóstwo osób, bez których ta książka by nie powstała. Jesteśmy winni szczególną wdzięczność naszemu agentowi, Danny'emu Barorowi, i redaktorowi, Willowi Hintonowi, fantastycznemu zespołowi wydawnictwa Orbit, grupie z Sakeriver i Josephowi E. Lake'owi Juniorowi. Wszyscy pomogli nam zrobić z tego lepszą książkę. Wszystkie błędy rzeczowe, logiczne i językowe są wyłącznie naszą winą.

O autorze

James S. A. Corey to pseudonim piszących fantastykę autorów Daniela Abrahama i Ty Francka, asystenta George R. R. Martina. Obaj mieszkają w Albuquerque, stan Nowy Meksyk, USA.

Więcej informacji na temat tej serii znajdziesz na:
www.the-expanse.com.